

PO RAZ PIERWSZY W POLSCE

Orson Scott Card

AARON JOHNSTON



PRZYGOTOWANIA

Prószyński i S-ka

Orson Scott Card
AARON JOHNSTON

PRZYGOTOWANIA

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE SWARM

Copyright © 2016 by Orson Scott Card and Aaron Johnston
All rights reserved

Projekt okładki
Dariusz Kocurek
www.darekkocurek.com

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-756-7

Warszawa 2018

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Lynn Hendee,
która ma umysł Endera,
siłę charakteru Mazera
i serce Valentine*

Oficerów dzielę na cztery klasy: bystrych, leniwych, głupich i pracowitych. Człowiek bystry i leniwy nadaje się na najwyższe stanowiska dowódcze. Ma usposobienie i pewność siebie, które pozwalają mu uporać się z każdą sytuacją. Bystrzy i pracowici są odpowiedni do zajmowania wyższych stanowisk sztabowych. Głupich i leniwych można wykorzystać. Natomiast głupich i pracowitych należy się natychmiast pozbyć.

Generał Kurt von Hammerstein-Equord,
w latach 1930–1933
szef niemieckiego Naczelnego Dowództwa

Rozdział 1

KOPERNIK

Zwycięstwo w pierwszej wojnie z Formidami wisiało na włosku. Najeźdźcy postanowili zniszczyć wszelkie życie oparte na naszym szczególnym układzie aminokwasów – ponieważ nie umieli tych aminokwasów strawić, życie to nie było dla nich warte zachowania. Królowa roju nie postrzegala swoich działań jako ataku, lecz raczej jako spokojny początek formidyzacji Ziemi.

Z trudem pokonaliśmy wroga, którego dowódca – którego umysł – znajdował się wiele milionów kilometrów od nas. Później się dowiedzieliśmy, że królowa roju rządziła swoimi robotnikami za pomocą połączeń filotycznych, których siła czy prędkość działania najwyraźniej zupełnie nie zależą od odległości między komunikującymi się; dotarcie sygnału z ludzkiego mózgu do palców u rąk zajmuje więcej czasu, niż potrzebowała królowa roju, by zapoznać się z informacjami otrzymanymi od swoich robotników, iż uprzykrzona miejscowa forma życia opiera się działaniom statku zwiadowczego – i przekształcić tych robotników w żołnierzy.

A potem ludzie zniszczyli wewnątrz statku zwiadowczego i wybili wszystkich jej robotników. Dlatego królowa, która miała przybyć na tę nową planetę, gdzie fauna i flora nie zostały jednak zastąpione przez formy życia zgodne z jej metabolizmem, została zmuszona do zmiany strategii militarnej. Natychmiast więc naradziła się ze swoimi siostrami na wszystkich innych zamieszkałych planetach, pokazując im, jak zachowali się ludzie, a także strukturę ich ciał i broń, jaką się posługiwali.

Kolonizacja nowych światów zawsze niesie wyzwania wymagające improwizacji, lecz formidzka kolonia chyba po raz pierwszy natknęła się na przeciwnika inteligentnego, zorganizowanego i skutecznego. Należy jednak powiedzieć, że

królowe roju były specjalistkami w dziedzinie wojny.

Królowa przybyła więc w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby spłodzić kolejny rzut formidzkiej cywilizacji, co w jej mniemaniu było pokojowym działaniem, wewnętrzną misją, i wraz ze swoimi siostrami sięgnęła do nie tak odległych wspomnień brutalnych wojen, jakie toczyły ze sobą dawne królowe roju, co przyczyniło się do powstania wyrafinowanej techniki militarnej. Następnie za zgodą sióstr rozmontowała niemal cały aparat kolonizacyjny i przekształciła ogromny statek bazę w okręty potrzebne do przeprowadzenia inwazji. Początkowo zamierzała posłużyć się jedynie swoim delikatnym świętym pokładem, lecz napotkawszy opór, dobyła miecza.

Demostenes, *Historia wojen z Formidami*, t. 3

Zamknięty wewnątrz kapsuły nie większej od trumny, upchnięty w niej razem z bronią i wyposażeniem, Mazer Rackham oddalał się od stacji kosmicznej. Kapsuła koziółkowała, wirując w trzech wymiarach w zerowej grawitacji, tak że Mazer w jednej chwili stracił orientację. Góra i dół nie miały już znaczenia. Mógł tylko zamknąć oczy, skoncentrować się i spróbować znaleźć w swoich obrotach jakąś prawidłowość.

Prędkość i rotacja kapsuły zmieniały się przy każdym próbnym locie, więc Mazer dowiadywał się, jak szybko i w jaki sposób będzie leciał, dopiero wtedy, gdy wyrzutnia wewnątrz komory startowej ciskała go w czern kosmosu.

Kapsuła była taktyczną sztuczką. Przypominała skręcony fragment wraku, osmalony i poszarpany na krawędziach, jakby odpadł od jakiegoś statku w wyniku gwałtownego wybuchu. Nad jej wyglądem pracował cały zespół plastyków z Międzynarodowej Floty, pieczołowicie malując i wyginając każdy centymetr kwadratowy metalowego kadłuba, aż zaczął wyglądać jak jakiś kosmiczny złom, niewart niczyjej uwagi, chyba że jako obiekt stwarzający niebezpieczeństwo kolizji. Popis kamuflażu. Formidzi zobaczą go, ale zlekceważą jako

nieszkodliwy, a ukryty wewnątrz żołnierz piechoty morskiej zbliży się dzięki temu do formidzkiego statku i dostanie do środka, wycinając otwór w jego poszyciu.

Dobry pomysł, lecz Mazer miał pewne wątpliwości. Wątpliwości, które wyrażał w każdym sprawozdaniu z próbnego lotu. Nie wiedział tylko, czy ktokolwiek czyta te sprawozdania i poświęca im choć odrobinę uwagi.

Oczyścił umysł i skupił się na swoim zadaniu: znalezieniu prawidłowości w ruchu kapsuły.

Mazer rozluźnił mięśnie i poczuł, jak siły odśrodkowe ciągną go w różnych kierunkach.

Na ruch wirowy składała się powtarzająca się bez końca sekwencja. Obiekt w ruchu pozostaje w ruchu. Gdyby Mazer zdołał określić tę sekwencję, gdyby zdołał przewidzieć, kiedy i w jaki sposób odbędzie się następny obrót kapsuły, mógłby się właściwie przygotować do jej opuszczenia po dotarciu do celu. Nasze mózgi nie są do tego zaprogramowane, pomyślał. Życie w warunkach ciężenia nauczyło nas przetwarzać trajektorie w zupełnie inny sposób. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do zerowej grawitacji. Mimo wielu lat szkolenia w kosmosie wciąż się czuł jak niezdarny nowicjusz, lecz nie dlatego że miał niezborne ruchy, ale dlatego że tutaj nie był ani trochę tak zwinny jak na Ziemi. Gdybym się tu urodził albo gdybym zaczął szkolenie jako nastolatek, pomyślał, teraz byłaby to moja druga natura.

Z tego właśnie powodu zazdrościł rekrutom wywodzącym się spośród wolnych górników. Większość z nich urodziła się w przestrzeni kosmicznej na statkach wydobywających minerały na asteroidach w całym Pasie Kuipera albo w pasie asteroid. Zerowa grawitacja była ich światem. Latanie przychodziło im z łatwością. Wirowanie, odbijanie się, wytyczanie trajektorii... Nie musieli o tym myśleć; po prostu się poruszali.

Oczywiście biurokracja nie dopuszczała wolnych górników do jakichkolwiek wpływowych stanowisk w Międzynarodowej Flocie – zajmowali je doświadczeni żołnierze z Ziemi, zawodowi oficerowie, którzy wdarli się na szczyt i nie zamierzali słuchać

rozkazów jakichś robotników ryjących w asteroidach. Górnikom pozostawały więc funkcje pomocnicze – mogli udzielać się jako mechanicy, operatorzy urządzeń załadunkowych, budownicзовie okrętów, kucharze. To były z całą pewnością bardzo ważne zadania. Ale czemu nie szkolić górników do walki? Mieli przecież więcej doświadczenia w tym środowisku. Nauczenie ich obchodzenia się z bronią wydawało się łatwiejsze niż uczenie żołnierzy urodzonych na Ziemi myślenia w kategoriach zerowej grawitacji. A może by połączyć wolnych górników w pary z żołnierzami? Mazer proponował to kilkunastu dowódcom. Chciał, by wolny górnik uczył żołnierza piechoty morskiej latania, a żołnierz uczył górnika podstaw walki. By te kultury się zespoliły. By dzieliły się informacjami i umiejętnościami. By pękły bariery, a personel się zintegrował i by wszyscy pozyskali żołnierzy sprawniejszych pod każdym względem.

Och, jak dowódcy Mazera się z tego śmiali. Niemądry, niemądry Mazer. Nie rozumiesz tego? Nie wiesz, gdzie twoje miejsce? W ulu są żołnierze i robotnice, a niewykształceni kopacze zawsze będą robotnikami. „Wolni górnicy nas ocalili – zaoponował wtedy Mazer. – Gdyby nie ich pomoc, przegralibyśmy tę wojnę”. Wkrótce jednak przekonał się, że takie wypowiedzi prowadzą tylko do izolacji i lekceważenia. „Rób swoje, Mazerze – mówiono mu. – Jesteś albo jednym z nas, albo jednym z nich. Jeżeli jesteś jednym z nas, nie będziesz wciąż próbował ściągać do dowództwa MF ludzi z zewnątrz”.

Jakoś nikogo chyba nie obchodziło, że Mazer walczył z Formidami i na Ziemi, i w przestrzeni kosmicznej. Liczyły się tylko jego oficjalne akta – w których jego elitarnie wyszkolenie przesłaniały oskarżenia o niesubordynację. W sumie to elitarnie szkolenie odbywało się w Nowej Zelandii – nie była to jedna z potęg, więc dobre traktowanie go nie dałoby urzędnikowi żadnej przewagi nad innymi.

Nie miało też sensu wyjaśnianie, że jego „niesubordynacja” polegała na tym, że walczył z Formidami w Chinach, kiedy wszystkie inne narody uległy żądaniom tego państwa, by

trzymały się z dala. Ta niesubordynacja doprowadziła do zniszczenia jednej z ziemskich baz Formidów za pomocą broni nuklearnej, a później – do wypatroszenia formidzkiego statku bazy. Lecz w aktach Mazera o tym nie było już ani słowa.

Nie, nie statku bazy, napomniał się Mazer. Statku zwiadowczego. Sądziliśmy, że stajemy w obliczu inwazji, ale Formidzi, którzy wylądowali na Ziemi, byli zaledwie forpocztą, terraformerami, robotnikami wysłanymi przodem, żeby przygotowali ziemską glebę dla formidzkiej roślinności. Zasadniczo byli rolnikami. A gazy, które rozpylili w całych południowo-wschodnich Chinach i które zabiły czterdzieści milionów ludzi, nie stanowiły broni, lecz narzędzia terraformowania. Środki chwastobójcze. Oni po prostu oczyszczali teren i wypędzali z niego gryzonie, żeby mogli się tam wprowadzić nowi mieszkańcy.

Mazer pomógł położyć temu kres, ale ponieważ operacja ta uznana została za tajną, w jego aktach nie znalazła się wzmianka o udziale w niej. A dowódcy Mazera kierowali się tym, co znajdowało się w jego aktach. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że Międzynarodowa Flota nie miała żadnych funduszy. Walki wewnętrzne, biurokracja, dogmatyczne dowództwo, rywalizacja, sprzeczne plany, karierowicze... W ciągu trzech lat od wstąpienia do Floty Mazer widział już wszystko.

Wiedział, że tak się stanie. Nie można połączyć armii z całego świata w jeden organizm i spodziewać się, że wszyscy będą zachowywać się grzecznie. Rywalizacja nie zginie. Będą się ścierać kultury. Nie zaniknie też wielowiekowa nieufność między nacjami. Dodatkowym wyzwaniem było ujednolicenie poglądów na temat dyscypliny, struktury, hierarchii, działania – podstawowych sposobów postępowania. A ponieważ wszystkie armie się różniły, a ich dowódcy odrzucali myśl wojskową innych narodów jako błędną, próby MF, by działać jako jedna organizacja, przypominały rywalizację wilków o połec rzuconego im mięsa.

Mimo to Mazer zachowywał cierpliwość. Nie, nawet optymizm, żywiąc przekonanie, że zagrożenie ludzkości wreszcie uzyska

pierwszeństwo nad wszystkimi innymi względami. Teraz jednak, stacjonując na placówce L4 – położonej w punkcie równowagi grawitacyjnej między Ziemią i Luną – zaczynał tracić nadzieję pokładaną w MF.

Ale nie dał się powstrzymać. Miał swoje zadania i zamierzał je wykonać. Międzynarodowa Flota może gnić od środka, lecz Mazer jak najlepiej wywiąże się ze swoich obowiązków.

Po kilku minutach skupienia w końcu ustalił wzorzec wirowania kapsuły. Wydał mrugnięciem polecenie inicjujące działanie żyroskopu, żeby sprawdzić, czy ma rację. Na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym pojawił się holograficzny model kapsuły. Miał rację. Jej pozornie przypadkowy ruch w przestrzeni odbywał się zgodnie z pewnym wzorcem.

Wydał mrugnięciem drugie polecenie i holo zniknęło, zastąpione przez obraz celu Mazera: znajdujący się tuż przed nim wrak statku zaopatrzeniowego. Został wyciągnięty z jakiegoś złomowiska i tak zmodyfikowany oraz pomalowany, by przypominał formidzki statek zwiadowczy.

Przez radio odezwał się znajomy głos:

– Do celu czterysta metrów.

To był Rimas, jeden z trzech żołnierzy w zespole Mazera, mającym przebić się przez kadłub. Każdy z nich koziołkował we własnej kapsule w przestrzeni kosmicznej za Mazerem i zmierzał w stronę tego samego wraku.

Taktyka ta zadziałała raz w poprzedniej wojnie, lecz wówczas kapsuły zbliżyły się do celu z różnych kierunków. MF nie zawsze będzie miała w walce taki luksus, więc zaprojektowała te mniejsze kapsuły z udoskonaloną awioniką. Czy czteroosobowy zespół mógłby zbliżyć się do celu z tego samego kierunku i przeprowadzić złożony, skoordynowany atak, nie zderzając się i nie wszczynając alarmu?

– Trzysta metrów – powiedział Rimas. – Uwaga, wszystkie króliki doświadcza!ne... Przygotować się do wyjścia z kapsuł i startu.

Po nim odezwał się Shambhani, Pakistańczyk z Karaczi, najmłodszy w zespole:

– Nie jesteśmy królikami doświadczalnymi, Rimasie. Jesteśmy szczurami laboratoryjnymi. Biegamy w labiryntach, naciskamy guziki, aplikuje się nam wstrząsy. Tyle że na końcu nie ma żadnej nagrody.

W radiu rozbrzmiał śmiech Kaufmana, czwartego członka zespołu i byłego komandosa z GSG9, jednostki specjalnej Niemieckiej Policji Federalnej.

– Nie możemy być szczurami laboratoryjnymi, Shambhani. Żaden szczur nie byłby na tyle głupi, żeby wejść do tych puszek.

Mazer się uśmiechnął. Szczury laboratoryjne. Dobre porównanie. Ponieważ pełnili służbę w WYBABI-M-ie – Wydziale Badawczym Broni i Materiałów Międzynarodowej Floty – do ich obowiązków należało testowanie najnowszych wojskowych rozwiązań technicznych. Wszystkiego. Od biometrycznie aktywowanych skarpet po opancerzone lądowiki. Niektóre rozwiązania sprawdzały się, inne nie. Niektóre były tak głupio zaprojektowane, że było bardziej prawdopodobne, iż doprowadzą do śmierci żołnierza, niż że ocalą go przed wrogiem. Głupie pomysły łatwo było odrzucić, lecz rozwiązania bardziej skomplikowane, jak te kapsuły, były trudniejsze do oceny. Czy mogą zadziałać? Tak. Czy zadziałają? Zapewne nie. To na tym szarym obszarze niejasności biurokraci oraz dostawcy sprzętu i usług dla wojska stosowali wszelkie metody, by obronić swoje rozwiązania techniczne i swój sprzęt. Oznaczało to, że wiele złych projektów było zatwierdzanych automatycznie i Mazer niewiele mógł na to poradzić.

– Dwieście metrów – powiedział Rimas. – Zaczynamy, panie kapitanie. Oddaję panu radio.

– W porządku, panowie – rzekł Mazer. – Skoro wszyscy mamy zawroty głowy i jesteśmy w stanie stuporu, bierzmy się do roboty. Zorientujcie się, jaką macie rotację. Wyjdźcie inteligentnie. Jeśli nie traficie w cel, odpłyniecie w nicość i nie pomożecie nikomu z nas. Lądujemy, umieszczamy ładunki i wynosimy się. Rimas, prowadzisz.

– Tak jest, panie kapitanie.

Ćwiczyli ten manewr dziesiątki razy, ale wiedzieli, że nie mogą

go traktować rutynowo. Zamierzali przeprowadzić go tak, jakby zależało od niego ich życie, ponieważ pewnego dnia mogło tak być. Precyzyjne ruchy, absolutna koordynacja – minimalne odstępstwo od tych wymagań oznaczało niepowodzenie.

W słuchawce Mazera rozległ się sygnał ostrzeżenia zbliżeniowego.

– Podchodzimy do celu – rzekł. – Ruszamy.

Kiedy jego kapsuła osiągnęła punkt największego zbliżenia do statku, Mazer otworzył właz, wygramolił się z kokpitu i włączył napęd umieszczony na plecach skafandra kosmicznego, który pchnął go w stronę statku.

Manewr ten byłby niemożliwy do wykonania, gdyby Mazer nie zrozumiał, jak wiruje kapsuła. Ale nawet teraz był bardzo trudny – nie tylko ze względu na rotację kapsuły, ale także dlatego, że zbliżała się ona do celu nie kursem na wprost, lecz ukośnym, który dość szybko mijał statek w bezpiecznej odległości. Kurs na zderzenie uruchomiłby formidzki system unikania kolizji i kapsuła została by zestrzelona. Spokojny przełot zaś obok statku prawdopodobnie zostanie zignorowany. Chodziło o to, żeby zbliżyć się na tyle, by dzięki osobistemu napędowi dało się przeskoczyć na statek, ale jednocześnie trzymać się wystarczająco daleko, by nie zwrócić na siebie uwagi. I wszystko to bez zmiany pierwotnego kursu kapsuły, co mogłoby uruchomić automatyczne systemy statku.

Mazer dotknął przycisku napędu jeszcze dwa razy, a następnie podkurczył nogi i wylądował na kadłubie. Podeszwy jego butów pokryte były warstwą nanocieczy, gęstego żelu składającego się z tysięcy nanobotów, które przyczepiały się do każdej rysy i nieregularności na powierzchni statku. Mazer rozkazał nanocieczy, by zesztyniała; zestaliła się w zadrapaniach, przymocowując jego buty i zarazem jego samego do statku. Dobył swój slaser – jak nazywano w skrócie samocelujący laser – i zaczął się zbliżać do miejsca przebicia kadłuba; tak szybko, jak pozwalały mu na to buty. Patrzył w prawo i w lewo wzdłuż kadłuba statku, wypatrując Formidów, którzy mogli się pojawić na jego wyświetlaczu wewnątrz hełmu.

Przed nim Rimas wylądował w miejscu planowanego przebicia kadłuba – dużym kręgu na boku statku – a następnie ukląkł w jego środku i przymocował do kadłuba skrzynkę naprowadzającą. Ze skrzynki wysunęły się cztery lasery małej mocy skierowane na północ, południe, wschód i zachód, wskazujące punkty na okręgu, w których Mazer i jego zespół powinni umieścić cztery sześciany, stanowiące broń mającą przebić kadłub.

Koreańskie Zakłady Gungsu, które zbudowały tę broń, nazwały ją zakłóczaczem grawitacji – ZG. Wykorzystywała ona cztery siły pływowe do rozdarcia kadłuba i utworzenia otworu na tyle dużego, by mogli przezeń wśliznąć się do środka żołnierze. Potrzebne do tego były cztery sześciany, stanowiące wierzchołki kwadratu, wyznaczone przez cztery trójkąty, które mogły rozedrzeć każdą powierzchnię. Lecz żeby sześciany zadziałały, musiały znaleźć się we właściwej odległości od siebie, bo inaczej powstałyby chmury odłamków albo wyrwa okazałaby się niewystarczająca.

Rimas postawił skrzynkę naprowadzającą i przemieścił się do jednego z czterech punktów, w których powinni zamontować sześciany. Wyjął swoje urządzenie z kieszeni, przekręcił pokrywę, by je uruchomić, i postawił na poszyciu statku na ścianie z nanocieczą.

– Tu Rimas. Maluch w żłobku.

– Przyjąłem – odezwał się Mazer. – Jesteśmy tuż za tobą.

Kiedy wraz z pozostałymi dotarł do okręgu, Rimas wstał i dobył slasera, by ich osłaniać. Mazer zajął wyznaczoną pozycję i wyjął z kieszeni sześcian. Uruchomił go, po raz kolejny stwierdzając, że w grubych rękawicach robi się to bardzo niezdarnie. Tu jest za dużo czynności do wykonania, pomyślał. Zbyt wiele możliwości popełnienia błędu. Musimy to uprościć, zanim przejdziemy do testów na żywo. Zakarbował sobie w pamięci, żeby poinformować o tym inżynierów.

– Mamy robale – powiedział Rimas.

Mazer uniósł głowę i zobaczył wyświetlonych wewnątrz hełmu pięciu wirtualnych Formidów w skafandrach kosmicznych,

k którzy pomykali w ich stronę po powierzchni statku na wszystkich sześciu odnóżach. Byli uzbrojeni w jarzącą się walcowaną broń. Symulacja tak doskonale wtapiała się w rzeczywiste otoczenie, że Mazer odruchowo sięgnął po broń. Zaraz się jednak uspokoił i skupił uwagę na sześcianie, zostawiając Formidów Rimasowi. Ten zlikwidował czterech wrogów czterema krótkimi strzałami; stwory rozpadły się na piksele, a potem zniknęły ze wszystkich wyświetlaczy.

– Sześcian numer dwa ustawiony – odezwał się Kaufman, a następnie uniósł się do przykłąku, wymierzył ze slasera i powystrzelał Formidów z zabójczą precyzją.

W miejsce każdych dwóch rozpylonych Formidów pojawiała się czterech następnych; zbliżali się ze wszystkich stron, strzelając ze swojej walcowatej broni. Shambhani zaklął. Mazer odwrócił się i zobaczył, że na piersi Shambhaniego pojawił się obraz koronkowej serwetki oraz słowa „Zabity w akcji”.

– Dostałeś, Sham – powiedział Mazer. – Wypadasz z gry.

Serwetki były niewielkimi płaskimi bioluminescencyjnymi organizmami wystrzeliwanymi przez Formidów. W każdych innych okolicznościach przedstawiałyby piękny widok. Budową przypominały płatek śniegu z pajęczyny – albo misterną serwetkę zrobioną szydełkiem i leżącą na jakimś starym meblu. Tutaj jednak, oklejone przezroczystym żelem, gęstym i lepkiem jak smoła, niosły śmierć. Kiedy któraś z serwetek w nich trafiała, uwalniała polimer jakiegoś nadtlenu, który wchodził w gwałtowną reakcję z żelem. Normalnie polimer stanowił naturalną reakcję na uszkodzenie – był produktem chemicznym uwalnianym w celu złagodzenia obrażeń wewnętrznych. Ale Formidzi najwyraźniej podrasowali serwetki, by wydzyślały nadmiar polimeru, tak jak podrasowuje się bakterie, by wydzyślały nadmiar protein. W rezultacie dochodziło do ograniczonej i silnie ukierunkowanej eksplozji, w której wyniku rozerwaniu ulegały skafander kosmiczny człowieka oraz wszystkie jego kości, skóra, mięśnie i narządy. Mazer to kiedyś widział i najchętniej by o tym zapomniał.

– Mogę dokończyć – odezwał się Sham. – Prawie skończyłem. –

Nadal usiłował otworzyć i ustawić swój sześcian.

– Jesteś martwy – odparł Mazer. – Przestań. Nic, co od tej chwili zrobisz, nie będzie się liczyło dla naszych wyników. Zostaw to mnie.

Mazer umocował swój sześcian.

– Sześcian numer trzy ustawiony.

Odbił się w stronę Shama, którego czubki butów i kolana nadal przywierały do kadłuba, zderzył się z nim i chwycił się górnej części ciała Shama, by nie odlecieć rykoszetem w przestrzeń kosmiczną. Następnie opuścił nogi, wziął do ręki sześcian Shama, przekręcił mechanizm, by go włączyć, i przymocował go do kadłuba.

– Sześcian numer cztery ustawiony – rzekł Mazer. – Opuścić kwadrat. – Odsunął się na bezpieczną odległość i zarządził: – Odskok!

Wydał mrugnięciem rozkaz i nanociecz – z wyjątkiem niewielkiego kwadratu pośrodku stopy Mazera – przestała przylegać do poszycia statku. Mazer odbił się w górę, a nanociecz uformowała się w polimerową linę, która w miarę rozciągania się stawała się coraz cieńsza, lecz ciągle łączyła go z niewielkim kwadratem nanocieczy przywierającej do statku.

Mazer cały czas strzelał. Zlikwidował trzech wirtualnych Formidów, a potem czwartego. Unoszący się obok niego Rimas i Kaufman też strzelali. W pewnym momencie Kaufman został trafiony i jego nanociecz przestała się rozciągać. Mazer poszybował jeszcze dziesięć metrów w górę. Wtedy jego lina napięła się i żołnierz zawisł trzydzieści metrów nad statkiem.

– Ognia – powiedział.

Gdyby zakłócacz grawitacji działał, a nie składał się jedynie z ćwiczebnych sześcianów, uwolniłby siły pływowe i zrobił dziurę w kadłubie, wciskając do środka wyrwane jego fragmenty.

Mazer i Rimas zlikwidowali ostatnich wirtualnych Formidów i wszystko znieruchomiło. Mazer wyłączył swój slaser i powiedział:

– Przyciągnąć się.

Nanociecz pociągnęła go w dół; lina z nanobotów robiła się

coraz grubsza, aż – kiedy dotarł do powierzchni statku – z powrotem uformowała się w podeszwę. Wtedy ćwiczenie się zakończyło.

Mazer połączył się przez radio ze stacją kosmiczną i poprosił o zabranie zespołu z miejsca ćwiczenia. Kiedy odwrócił się, zobaczył, że wszyscy podwładni mają spuszczone głowy i w myślach rozpamiętują każdy swój krok. Nauczył ich, żeby zaraz po zakończeniu operacji poświęcili chwilę na cichą analizę tego, co właśnie zrobili. Gdzie okazali słabość? Czego nie wzięli pod uwagę? Jak mogą poprawić swoje działanie?

Milczeli przez cały czas lotu do WYBABiM-u. Mazer się odezwał, dopiero gdy pozbyli się sprzętu i zebrali w sali odpraw. Włączył urządzenie do nagrywania, by nie uronić niczego z dyskusji.

- Misja się powiodła, ale straciliśmy dwóch ludzi – powiedział.
- Pięćdziesiąt procent strat. To nie do przyjęcia. Jakies przemyślenia?

Pierwszy odezwał się Rimas:

- Ze wszystkich stron atakowała nas cała armia Formidów. Nie byliśmy na to gotowi.

- Było ich wielu – zgodził się Mazer. – Ale możliwe, że takie właśnie warunki napotkają żołnierze.

- Nie chodzi tylko o liczbę – rzekł Rimas. – Tym razem trzymali się bardzo blisko kadłuba. Pełzli po nim. To utrudniało wzięcie ich na muszkę bez odsłonięcia się. Gdybym miał lepszą osłonę na stojąco, mógłbym zadać o wiele więcej strat, zamiast się martwić, że zostanę trafiony.

- Nie ma żadnej osłony – rzekł Shambhani. – Na powierzchni statku nie ma niczego, co moglibyśmy wykorzystać.

- A gdyby żołnierze wzięli osłony ze sobą? – zapytał Rimas.

- Jak? – odezwał się Kaufman. – W kapsułach? Tam nie ma miejsca na nic więcej. A jeśli choć trochę powiększy się kokpit, żeby dołożyć ładunku, to powstanie ryzyko ściągnięcia na kapsułę niechcianej uwagi. Zacznie wyglądać mniej jak złom, a bardziej jak statek.

- A co z tarczami? – zapytał Sham. – Takimi, jakie mają policyjne oddziały prewencji. Moglibyśmy użyć ich jako osłon

kokpitu. W ten sposób tarcza nie zajęłaby ani trochę miejsca w kapsule.

– Żadna standardowa tarcza nie powstrzyma serwetki – zauważył Kaufman.

– Standardowa nie – zgodził się Sham. – Potrzeba czegoś mocniejszego niż włókno szklane. Może stali?

Kaufman pokręcił głową.

– Nie zdałaby egzaminu. Stopy masz przytwierdzone do powierzchni nanocieczą. Siła uderzenia cisnęłaby cię w tył o powierzchnię kadłuba. Połamałoby ci nogi. Pomyśl o paskudnych złamaniach wieloodłamkowych.

– To łatwo naprawić – stwierdził Rimas. – Zaprogramujemy nanociecz tak, żeby uwalniała wszystko prócz pięty albo wszystko prócz czubka jednego buta.

– Dobrze, ale nadal trzepniesz siedzeniem o statek jak szmaciana lalka – zauważył Kaufman. – Może nie połamiesz nóg, ale na pewno coś sobie złamiesz. A poza tym są i inne problemy. Stal dodałaby dużo masy. Trudno byłoby manewrować. Miałbyś też zajętą jedną rękę. Teraz jesteś jednoręki.

– To lepsze, niż dostać serwetką w pierś – rzekł Sham.

– A gdyby przód tarczy był pokryty warstwą nanocieczy? – odezwał się Mazer. – Mogłaby otoczyć i zdusić serwetkę w chwili uderzenia, zanim ta by wybuchła.

– Nigdy nie widziałem, żeby nanociecz aktywowała się tak szybko – powiedział Rimas.

– Może nanociecz wcale nie musi się aktywować – rzekł Mazer.

– To przecież stan nieważkości. Możemy dać taką grubą warstwę nanocieczy, jaka będzie konieczna, powiedzmy, piętnaście centymetrów, żeby pocisk mógł się całkowicie w niej zanurzyć. A my ustalimy jej konsystencję, żeby była na tyle miękka, by serwetka mogła się w nią wbić, ale nie dość miękka, żeby nanociecz się rozprysła.

– Jak smalec – rzekł Rimas.

– Serwetka całkowicie się zatopi, zanim wybuchnie – powiedział Mazer. – Nanociecz wytłumiłaby eksplozję i przyjęła jej główny impet. Może nawet utrzymałbyś się na nogach.

– A nawet jeśli nanociecz gwałtownie się rozproszy, może sama wprawić się w ruch i wrócić do tarczy – stwierdził Sham.

– Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, że jestem jednoręki – rzekł Kaufman. – I z tym czymś jest mi strasznie nieporęcznie, mam utrudnione ruchy.

Mazer wzruszył ramionami.

– No to może nie tarcza. Ale pomysł z nanotechniką pozostaje. Może to będzie na wpół przepuszczalna chmura nanobotów. Żołnierze widzą przez nią jak przez cienką warstwę mgły. Ale kiedy zbliża się serwetka, mgła formuje się w tarczę, która spowija serwetkę i zmienia jej wybuch w nieszkodliwy szturchaniec.

– A więc tarcza nie jest przypięta do mnie? – zapytał Kaufman.

– Nie – odparł Mazer. – To unosząca się swobodnie chmura nanobotów. Muszą mieć tylko zdolność lotu w zerowej atmosferze i przy zerowej grawitacji. Mogłyby utrzymywać wzajemną pozycję dzięki siłom magnetycznym.

Włączył holostół i zaczął rysować to, co miał na myśli. Był to nieporadny szkic – Mazer nie był dobrym rysownikiem – ale jego zespół zrozumiał podstawę projektu. Omawiali go przez kilka godzin, cały czas go ulepszając, aż doszli do koncepcji, która sprawiała wrażenie praktycznej i uwzględniała wszystkie ich postulaty. Shambhani zastąpił pierwotny szkic Mazera szczegółowym modelem.

– Wiecie co? To rzeczywiście mogłoby działać – stwierdził.

– Ale nie mam pojęcia, jak to zbudować – oznajmił Rimas. – Nie jestem nanoinżynierem. Sam pomysł jednak wydaje się rozsądny. A w każdym razie daje ludziom od rozwoju punkt zaczepienia. To mogłoby ocalić życie wielu żołnierzom.

– Zgoda – rzekł Mazer. – Dobra robota. Wrzucę ten projekt na forum i zobaczę, co myślą inni.

Forum było społecznością, którą Mazer stworzył w intranecie MF. Korzystali z niego młodszy oficerowie z całego Układu Słonecznego, by dzielić się taktyką, pomysłami dotyczącymi sprzętu oraz nowymi wiadomościami o wrogu, a także artykułami naukowymi, jakie społeczność naukowa publikowała

na temat Formidów. Kiedy forum ruszało dwa lata wcześniej, Mazer zakładał, że w najlepszym razie będzie w nim uczestniczyło kilkadziesiąt osób. Teraz stronę odwiedzało codziennie ponad dwa tysiące użytkowników.

Tego dnia Mazer zalogował się na forum ze swojego tabletu dopiero wieczorem, kiedy znalazł się w sali sypialnej i zapiął w śpiworze. Kilka minut sprawdzał, czy na podforach nie ma jakichś nowych postów. Pewien naukowiec z Caltechu badał niewielkie organellum wydobyte z formidzkiego trupa. Chińska firma chemiczna pracowała nad genetycznie modyfikowanym ryżem, który miał być odporny na formidzką broń chemiczną. Porucznik kierujący zespołem operatorów laselinii na stacji przekaźnikowej w pobliżu Jowisza podrasował system operacyjny ich nadajnika i zwiększył prędkość transmisji o czternaście procent. W swoim poście umieścił wskazówki, jak inni mogliby zrobić to samo. Mazer przejrzał ten i inne posty, chłonąc wszystko, co uznał za godne uwagi. Przeczytał też niektóre komentarze i zauważył z zadowoleniem, że są uprzejme i przemyślane. Dzielono się nowymi spostrzeżeniami, wyrażano opinie, proponowano modyfikacje.

Mazera zdumiewało, że większość wyższych dowódców nie znośiła dzielić się informacjami. Na samą myśl o forum rozbolełyby ich zęby. Według nich dane należało ukrywać i używać jedynie do uzyskania korzyści osobistych. Mazer tego nie rozumiał i wiedział, że ich sposobu myślenia nie zmieniłoby nic. Mógł więc jedynie dzielić się tymi informacjami, które sam zgromadził.

Wygenerował nowy post i przesłał model nanotarczy, załączając jej szczegółowy opis i prosząc o krytykę. Czy pomysł jest wykonalny? Wart udoskonalania? Jakie ma wady? Jakie zagrożenia i konsekwencje może przynieść? Następnie opublikował post, wylogował się i zaczął czekać na opinie.

Potem zajął się skrzynką odbiorczą. Uśmiechnął się na widok e-maila od Kim. Czy wszystkie żony były tak wierne w swojej korespondencji? Kim pisała codziennie bez wyjątku. Nawet kiedy pracowała na podwójnej zmianie w szpitalu w Imbrium na Lunie,

znajdowała czas między pacjentami, żeby wystukać krótką wiadomość. Teraz napisała, że szpital zalewa fala uchodźców. W obozach szerzył się wirus. Nic zagrażającego życiu, lecz placówka zatrzymywała na obserwacji małe dzieci, osoby starsze i najtrudniejsze przypadki. Brakowało łóżek. Mazer niemal słyszał frustrację w słowach żony.

Uchodźcami byli w większości wolni górnicy z Pasa, którzy sprzedali swoje statki MF, by wesprzeć działania wojenne i wyjść z branży. Wykorzystali pieniądze na dotarcie do Luny i teraz nie mieli dokąd się udać. Tylko nieliczni dysponowali takimi funduszami, by przenieść się z rodzinami na Ziemię, ale nawet ci, których było na to stać, nie byli teraz przekonani, czy chcą żyć w ziemskiej grawitacji. Dziesiątki lat spędzonych w stanie nieważkości sprawiły, że niektórzy z nich mieli tak słabe kości i tak rzadko chodzili, że życie na Ziemi skazałoby ich na wózek inwalidzki.

„Artykuły prasowe nie oddają im sprawiedliwości – pisała Kim. – Oni się boją. Dorośli tak samo jak dzieci. Wojna skończyła się trzy lata temu, lecz dla nich walka trwa nadal. Gdybym znała perski, wietnamski i wszystkie języki Afryki subsaharyjskiej, może mogłabym pocieszyć niektórych z nich i rozwiązać ich obawy. Dla wielu mam jednak tylko uśmiech i uścisk dłoni. Gdybyś zobaczył, jak niektórzy ani na chwilę nie odstępują swoich chorych dzieci, pękłoby ci serce”. Zakończyła tak jak zawsze: „Powiedz, że nic ci nie grozi. Pamiętaj, że cię kocham. Wierz w nasze zwycięstwo”.

Mazer przeczytał e-mail jeszcze raz. W tych słowach była cała Kim, wszystko, co w niej kochał. Ale czytał je z bólem, ponieważ dzieliła ich odległość całego świata i ponieważ nie był już częścią jej życia.

Zamknął skrzynkę odbiorczą i otworzył filmik, który trzymał w komputerze. Dźwięk był wyłączony, lecz Mazer oglądał ten filmik tyle razy, że praktycznie słyszał każde słowo. Kim machała do kamery z kuchni ich mieszkania na Lunie, gdzie kroїła warzywa na zupę. Mazer nagrał go w drugim tygodniu ich małżeństwa. On stacjonował na Lunie, ona znalazła zatrudnienie

w szpitalu. Oboje pracowali o niemożliwych godzinach, ale przynajmniej w nocy mogli się wtulić w swoje ciała – nawet jeśli jedno kładło się do łóżka długo potem, jak drugie się położyło. Takie małe okno czasowe, pomyślał. Wiedzieli wówczas, że Formidzi wracają, lecz były takie dni, kiedy pozwalali sobie na kilka godzin zapomnieć, jak niepewna jest ich przyszłość. Tak powinno wyglądać małżeństwo. Teraz wydawało się nieprawdopodobne, że jeszcze kiedyś spędzą razem choć kilka dni.

Jak zawsze ostatnie zdanie Kim wytrąciło go z równowagi: „Wierz w nasze zwycięstwo”. „Wierz w MF, wierz w siebie”, mówiła. Nie mógł jej powiedzieć, jak bardzo to niemożliwe – najpierw uwierzyć, a potem osiągnąć to, w co się uwierzyło. Informacja z ostatniej chwili: Niezlomny ludzki duch nie wystarczy. Mimo że damy z siebie wszystko, nasza technika, taktyka oraz strategie i tak nie pozwolą nam wygrać. Ostatnim razem mieliśmy szczęście; tym razem nie mamy szans.

Odsunął od siebie tę myśl, zamknął filmik i wrócił do forum z nadzieją na znalezienie kilku komentarzy do nanotarczy, czegokolwiek, co odwróciłoby jego myśli od życia, które powinien prowadzić na Lunie.

Ku jego zaskoczeniu forum pękało od nowych postów. Tytuł jednego brzmiał: „Kopernik zniszczony”. Innego: „Trwa konferencja prasowa Hegemonia”. Mazer szybko wyszedł ze śpiwora i jednym odbiciem znalazł się przy holostole. Kopernik. Jeden z ośmiu teleskopów Paralaksy umieszczonych na orbicie poza Układem Słonecznym. Przed wojną naukowcy używali tych teleskopów do badań pozaplanetarnych albo do śledzenia obiektów zbliżających się do Układu, które potencjalnie groziły zderzeniem. Kiedy uświadomiliśmy sobie, że zbliża się formidzka flota i że znajduje się ona w odległości zaledwie kilku lat, Hegemonia przejęła kontrolę nad teleskopami, by śledzić jej ruchy. Kopernik był najważniejszy z nich wszystkich, ponieważ znajdował się poza Układem, między nami i Formidami, dzięki czemu dawał najlepszy ogłąd posunięć wroga. A teraz zniknął.

Mazer włączył holopole i przejrzał przekazy stale napływające

z Luny, nie przejmując się tym, że hałasuje. U jego boku pojawił się Shambhani. Ośłaniał oczy przed światłem i wyraźnie walczył ze snem.

– Co się dzieje, Mazerze?

– Dostajemy na forum wiadomości, że Kopernik został zniszczony.

Shambhani błyskawicznie otrzeźwiał.

– Zniszczony? Jak to się stało? Proszę cię, powiedz, że to było zderzenie.

Mazer miał taką samą nadzieję. Zderzenie z kometą, asteroidą albo gęstą chmurą kosmicznego pyłu czy nawet z innym obiektem zbudowanym przez człowieka byłoby zjawiskiem normalnym, chociaż wszystkie te możliwości wydawały się bardzo mało prawdopodobne. Kopernik był małym punkcikiem na ogromnym obszarze pustej przestrzeni kosmicznej. Szanse, że coś w niego uderzy, były niewiarygodnie małe. Poza tym satelita miał system unikania kolizji, który zepchnąłby go z toru każdego zagrażającego mu obiektu.

Po chwili Mazer znalazł właściwy plik. Pojawił się on w wiadomościach ostatniego cyklu transmisji, nadanego godzinę wcześniej. Mazer wybrał go i w holopolu odtworzył się płaski filmik. Przy mównicy stał Ukko Jukes, Hegemon Ziemi. Zestarzał się od czasu, kiedy Mazer widział go po raz ostatni, i wyglądał na zmęczonego. Za nim wisiła pieczęć Hegemonii, a z jego lewej strony stali rozmaici admirałowie floty.

– Mniej więcej dziesięć dni temu pojedynczy formidzki myśliwiec zniszczył Kopernika, jeden z ośmiu satelitów Paralaksy – rzekł Ukko, a jego słowa były dla Mazera niczym uderzenie w pierś.

– Jak to możliwe? – zapytał Shambhani. – Formidów nawet jeszcze tu nie ma.

– Cicho – rzekł Rimas.

Inni zgrupowani w sali sypialnej też się obudzili.

– Chcę stwierdzić z naciskiem – ciągnął Ukko – że ten formidzki myśliwiec był sam. Flota wrogów wciąż znajduje się w ogromnej odległości od naszego Układu. Nie chcę, by ktoś odniósł

wrażenie, że Formidzi są już bardzo blisko, gotowi zaatakować nasze placówki i statki w Pasie Kuipera. Tak nie jest. Więc chociaż powinno to wzbudzić nasz niepokój, nie powinno wywołać paniki. Bo muszę stwierdzić, że strata Kopernika to poważny cios. Teleskop ten miał największe znaczenie militarne spośród wszystkich urządzeń Paralaksy, ponieważ dawał nam najlepszy widok na Formidów.

Mazer wiedział, że słowo „widok” zostało tu użyte w ogólnym sensie. Nie „widzieliśmy” formidzkiej floty w tradycyjny sposób. Kopernik był komputerem, tylko wyrzucał z siebie dane. Na ich podstawie analitycy przewidywali następnie prawdopodobne pozycje, odległości i prędkości statków, wypełniając luki domysłami i prawdopodobieństwem. Ziemia na przykład wciąż nie wiedziała, ile statków się zbliża. Lecz dane z Kopernika, choć niepełne, były bezcenne.

– Szesnaście godzin temu dwa myśliwce MF wytropiły formidzki myśliwiec na niewielkiej asteroidzie w Pasie Kuipera i zlikwidowały zagrożenie – mówił dalej Ukko.

– Rozwalili go? – zapytał Rimas. – Co za durnie!

Mazer się z nim zgodził. Powinniśmy byli go przejąć. Jest sto pytań, na które teraz już się nie znajdzie odpowiedzi. Jeśli statek był taki mały, to czy na pewno przyleciał sam? Zdecydowanie nie był wystarczająco duży na statek międzygwiazdny. Musiał przybyć z jednego z okrętów wojennych. Ale jak?

Były też inne pytania. Czy Formidzi rozumieli militarne znaczenie Kopernika? Czy potrafili odczytać jego dane? Czy to było rozmyślnie rozmontowywanie naszej infrastruktury wywiadu jako przygotowanie do inwazji, czy może tylko brali na cel wszystkie sztuczne satelity i po prostu najpierw zniszczyli najbliższego? Ukko chyba rozumiał, że zniszczenie tego myśliwca było pod względem strategicznym chybione. Czyżby tracił swój wpływ na Strategosa i Polemarchę? Czy może błąd popełnili oni wszyscy? Kim, jeśli przewodzą nam głupcy, to jak możemy wierzyć, że zwyciężymy?

Hegemon przedstawiał szczegóły ataku. Czas, miejsce, typ myśliwców MF. Pokazał nawet krótki filmik zarejestrowany

przez kamery maszyn atakujących samotny formidzki statek. Mazer natomiast czekał wciąż na to, że Ukko wyjaśni zasady działania systemu awaryjnego, który MF wdroży do śledzenia Formidów, skoro ludzie stracili Kopernika. Ale się nie doczekał. Ukko w końcu odstąpił mównicę jednemu z kontradmirałów, by ten odpowiadał na pytania – może wiedząc, że będą one ostre.

Kontradmirał udzielał zwykłych wymijających odpowiedzi, z całych sił starając się wykazać, że MF wciąż panuje nad sytuacją. Ale słabo mu szło i kiedy transmisja się skończyła, a holo zgasło, Mazer odczuwał jeszcze większy niepokój.

– Dlaczego nie przejęli tego myśliwca? – zapytał Rimas.

– Może nie mogli – odparł Shambhani. – Może zniszczenie go okazało się jedynym wyjściem.

– A może mogli go przejąć, ale uznali, że muszą go zniszczyć, by wszystkich uspokoić – rzekł Mazer. – Dać pokaz siły, zapewnić świat, że wciąż mamy spore szanse. Zlikwidować zagrożenie i zyskać na wizerunku. Pamiętajcie, że MF nie mogłaby ukryć straty Kopernika. Prasa dostaje od floty regularne sprawozdania na temat gromadzonych przez teleskop danych. Gdyby to źródło informacji nagle wyszło, prasa w końcu domyśliłaby się prawdy. Lepiej dla Międzynarodowej Floty było zniszczyć myśliwiec i zarejestrować to na wideo, niż pozwolić, by samotny formidzki statek nie spotkał się z żadną reakcją i wydał się sprytniejszy i szybszy niż cała nasza flota.

– Więc rozwalili myśliwiec, żeby zachować twarz? – zapytał Shambhani.

– Możliwe – odparł Mazer. – Ale mnie bardziej martwi strata Kopernika niż to, jak MF pogrywa z prasą. Teraz jesteśmy właściwie ślepi. Jedyna niewielka przewaga obserwacyjna, jaką mieliśmy, została poważnie ograniczona. Teraz będziemy musieli być sprytniejsi, szybsi i bezbłędni. Żadnych strat w ludziach, żadnych potknięć.

– Ludzie nie są głupi – stwierdził Kaufman. – Międzynarodowa Flota nie da rady przedstawić tego w dobrym świetle. Zlikwidowanie zabójcy nie zmienia faktu, że król i tak nie żyje. A w kategoriach techniki ten satelita był naszym królem.

- No to mamy przesrane – skwitował Shambhani.
- Ukko Jukes i grube szychy tak nie sądzą – rzekł Rimas. – Wszyscy na tej konferencji prasowej zachowywali się tak, jakbyśmy odnieśli duże zwycięstwo.
- Ta cała konferencja była przedstawieniem – podsumował Mazer. – Ukko i admirałowie rozumieją sytuację. Po prostu próbują ukryć, jak bardzo mamy przesrane.

Rozdział 2

BINGWEN

Do: ukko.jukes%hegemon@heg.gov

Od: robinow%strategos@mfcom.gov/docent

Temat: Sankcje wobec Chińczyków

Drogi Ukko

Spółeczeństwo potrzebuje pokazu siły. Po zniszczeniu Kopernika bardzo się uaktywnili krytycy MF. Politycy ze wszystkich krajów półksiężyca – Izraela, Egiptu, Libanu, Syrii, Jordanii – domagają się mojej rezygnacji i grożą, że jeśli nie zostanę usunięty, nie będą honorować podatków Hegemonii. Nieważne, że utrata Kopernika to wina Polemarchy, a nie moja. Należy podjąć szybką akcję w celu zażegnania paniki i uciszenia krytykantów. Błagam Cię o zaakceptowanie i sfinansowanie nowych rodzajów broni, zwiększenie liczby oddziałów i wykazanie zaangażowania Hegemonii w silną obronę.

Wiesz równie dobrze jak ja, skąd mogą pochodzić ci żołnierze. Do Międzynarodowej Floty skierowały swoich żołnierzy niemal wszystkie armie Ziemi oprócz Chińczyków. Zdaję sobie sprawę, że po poniesieniu miazdzących strat ich wojsko czuje się osłabione. Lecz kto lepiej rozumie potrzebę obrony dzięki bazie w przestrzeni kosmicznej niż naród, który ucierpiał podczas wojny najbardziej? Nadeszła pora, byś użył swoich niezrównanych zdolności negocjacyjnych do przekonania Beijingu. Wiarygodną siłę przekonywania dałyby Ci sankcje gospodarcze, które z całą pewnością zyskają międzynarodowe poparcie, zwłaszcza wśród innych narodów Układu Warszawskiego. Moje kontakty w Rosji zapewniają mnie, że ich ambasadorowie wyraziliby aprobatę dla takiego posunięcia. Gdyby pomogło Ci wszczęcie publicznego

alarmu, mógłbym poinformować media, że jeśli przez Chińczyków będziemy cierpieć na rozpaczliwy niedobór personelu, to nie będziemy mogli bronić naszych zasobów militarnych ani obywateli. Ty i ja podlegamy krytyce, na którą nie zasługujemy. Zrańmy Chińczyków słowami i uderzmy ich po kieszeni, a nie będą mieli wyboru i będą musieli ustąpić.

Z wyrazami szacunku

Julian Strategos
Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna
12 maja 2118

Tamtej nocy Bingwen poszedł do formidzkich tuneli sam, ubrany w czarny kombinezon bojowy i uprząż do wspinaczki. Opuścił oficerską salę sypialną o północy i wszedł na swój śmigłowiec pod osłoną ciemności. Żaden wartownik nie pełnił służby. Panowała cisza. Bingwen włożył hełm, włączył nocny obraz i poleciał na zachód, przecinając płytką dolinę w północno-wschodnim zakątku prowincji Guangxi.

Trzy lata wcześniej, zanim spłonęły całe południowo-wschodnie Chiny, tutejsza dolina zieleniła się od ryżu. Na polach pracowały rodziny z pobliskich wiosek, ludzie w słomianych kapeluszach i ubraniach spłowiałych od słońca, a obok rodziców bawiły się, śpiewały i pracowały roześmiane dzieci. A potem wszystko zagazowali Formidzi, oddarli glebę i pozostawili dolinę czarną, dymiącą i zasłaną zwłokami. Bingwen cieszył się na widok powracających traw, które tworzyły morze zieleni, teraz ledwie widocznej w blasku księżyca, jakby to był biologiczny dowód nieposłuszeństwa, niepodległości, niepodległości. Wypalcie nas, futrzaste dranie, a my znowu odrośniemy.

Ale tej ziemi nie miał już nigdy uprawiać żaden wieśniak. Należała do wojska. Stanowiła jedną z wielu nowych baz, które wyrosły po wojnie. Szkolili się tutaj żołnierze, ucząc się, jak bronić Chin, gdyby znowu dotarli tu Formidzi.

Bingwen leciał z wyłączonymi światłami na maksymalnej mocy śmigroweru, a dno doliny rozmazywało się pod nim. Miał wrażenie, jakby uciekał, jakby tym razem naprawdę to zrobił – porzucił wojsko i zmierzał na południowy zachód do Wietnamu. Do wolności.

Ale oczywiście nigdy by tego nie uczynił. W momencie, w którym przekroczyłby granicę bazy, wszczępiony mu czip zaalarmowałby kapitana Li i pozostałych. Z łatwością zostałby wyśledzony i schwytany. A nawet gdyby jakimś sposobem rzeczywiście im się wymknął i usunął czip, to co by robił? Nie zostałby przyjęty do Międzynarodowej Floty, bo był o wiele za młody. A gdyby znalazł jakieś zatrudnienie i postanowił zaczekać, aż będzie miał osiemnaście lat, wojna byłaby już dawno skończona. Albo, co bardziej prawdopodobne, byłby martwy. Ziemia należałaby do wroga, a on nie uczyniłby nic, by temu zapobiec. Przynajmniej tutaj, chociaż było to piekło, coś robił. Przynajmniej był żołnierzem.

Zobaczył przed sobą posterunek i zaczął zwalniać.

W ciągu dnia formidzkie tunele zapełniali szkolący się żołnierze, lecz nocą, kiedy spadała temperatura i gasły światła, tunele były ciemne, ciche i puste, tak jak chciał Bingwen. Bo to w takim otoczeniu, bez śladów ludzkiego świata, chłopiec mógł całkowicie skupić myśli na wrogu.

Zaparkował śmigrower w pobliżu posterunku. Przed wartownią stało dwóch strażników. Na widok zbliżającego się Bingwena stanęli na baczność i zaszalutowali. Pozdrowił ich po chińsku i też zaszalutował, obszedł szlaban i skierował się ku olbrzymiej dziurze w ziemi. Na początku, kiedy tu się pojawiał, strażnicy sumiennie sprawdzali jego dokumenty, lecz teraz jego przyjazdy stały się rutynowe, jeśli nie oczekiwane. Ale nawet rok po awansie na stopień porucznika wciąż dziwnie się czuł, kiedy salutowali mu dorośli mężczyźni. To było sprzeczne z naturalnym biegiem rzeczy. Zwłaszcza w Chinach, gdzie szacunek był zarezerwowany dla starszych i doświadczonych. Dwunastolatki mieli być ulegli i milczący. Powinni znać swoje miejsce w szeregu. Wszyscy bowiem stali w hierarchii

wyżej od nich. I wszyscy zasługiwali na ich szacunek. Dwunastoletni chłopiec był nikim. A powierzenie mu dowództwa stanowiło obrazę nie tylko dla osoby zobowiązanej wykonywać jego rozkazy, ale także dla Chin, dla ich dziedzictwa, ich rodzin, ich duszy. Mimo to Bingwen dowodził oddziałem pięćdziesięciu dorosłych mężczyzn, którzy co do jednego wściekali się, że za dowódcę mają chłopca.

Ale oczywiście o to właśnie chodziło. Kapitan Li osobiście wybrał członków oddziału Bingwena, ponieważ z ich profili psychologicznych wynikało, że będą się gwałtownie przeciwstawiać jego zwierzchnictwu, a może nawet podejmą kroki, by go usunąć. To były zbiry, twardogłowi i tradycjonałści – ludzie, którzy nie mogli znieść myśli, że rozkazy wydaje im dziecko. Bingwen wiedział, że nie ośmielią się zaatakować go publicznie ani otwarcie mu się przeciwstawić, istniała bowiem wyższa władza, która mogła wymierzyć surową karę za jakiegokolwiek nieposłuszeństwo. Mogli jednak pogardzać nim w duchu i znaleźć mniej oczywiste sposoby okazania mu tego.

Zwykle po pewnym czasie pracy z Bingwenem mężczyźni nieco miękli. Kilku zaczynało nawet darzyć go szacunkiem. Nie był bowiem tak niekompetentny i słaby, jak zakładali. Niektórzy nawet starali się go bronić, gdy inni źle o nim mówili albo nazywali dzieckiem. Ale wtedy kapitan Li zawsze pozbywał się tych ludzi z oddziału i zastępował ich takimi, dla których konieczność służby pod rozkazami dziecka była wielką obrazą. Oznaczało to, że mniej więcej co dwa miesiące Bingwen dowodził nowymi żołnierzami, a kapitan Li za każdym razem znajdował coraz bardziej nieustępliwych i złośliwych. Ci najnowsi przybyli z wojskowego więzienia na wybrzeżu. Bingwen nie miał dostępu do ich akt, lecz cała czwórka sprawiała wrażenie, że w więzieniu znalazła się nie bez powodu.

Lecz taki był kapitan Li, który kształtował Bingwena w szkole bólu.

Bingwen dotarł do idealnie cylindrycznego pionowego krateru o głębokości siedemdziesięciu i średnicy dziewięciuset metrów. Wyglądał dokładnie tak, jak zostawili go Formidzi trzy lata

wcześniej, kiedy jeden z ich lądowników wystartował z tego miejsca i wrócił w przestrzeń kosmiczną, by walczyć z Mazerem i Policyjnym Oddziałem Polowym, czyli POP-em, przy statku zwiadowczym. Krater był widoczny z kosmosu. Rzucił się w oczy jak rana po kuli zadana Ziemi. Przypominał, jak trudny do powstrzymania był wróg i jak wielką miał przewagę techniczną.

Bingwen szedł wzdłuż ogrodzenia ku przypominającym rusztowanie schodom, które prowadziły na dno krateru. W świetle księżyca widział w nim setki wejść do tuneli, jakby kiedyś miała tam zajęcia w terenie armia ogromnych świstatków. Uśmiechnął się. Świstatków. Gdyby tylko.

Dotarł do schodów i ruszył z hałasem na dół. Dno krateru tworzyła mocno ubita, wyschła na słońcu glina. Bingwen włączył lampę czołową i ujrzał na ziemi przed sobą setki wejść do tuneli, jakby stał na olbrzymim sicie. W celu odprowadzania stąd wody deszczowej Chińczycy zbudowali wokół krateru skomplikowany system melioracyjny, a z użyciem cieńszych rur stworzyli oddzielny drenaż na dnie między wszystkimi wejściami do tuneli. W efekcie Bingwen miał przed sobą rozgałęziający się na wszystkie strony układ rur, który działał zaskakująco dobrze. Tę niedużą ilość wody, która dostawała się do tuneli, wysysały pompy, chroniąc korytarze przed erozją i zalaniem.

Tunel Bingwena znajdował się pośrodku krateru. Dotarł do niego po rurach, co chwila zmieniając kierunek jak dobrze wyszkolona mysz w skomplikowanym labiryncie. Nad wejściem do korytarza wznosiła się wysoka żelazna konstrukcja w kształcie piramidy. Do jej podstawy była przymocowana wciągarka, do której przypinali się żołnierze, gdy zjeżdżali w ciemność. Bingwen wpiął spłaszczony pierścień wciągarki do swojej uprząży i opuścił się do dziury.

Szyb był niewiele szerszy od zasięgu jego ramion, lecz Bingwen musiał trzymać ręce blisko ciała, by unikać wąskich skalnych występów i skał wystających co kilka metrów ze ściany. Wyobraził sobie Formidów, jak skaczą w dół po tych wystęпах niczym małpy po coraz niższych gałęziach płynnymi, szybkimi i pełnymi wdzięku ruchami. W górę przemieszczali się

prawdopodobnie w ten sam sposób, skacząc z jednego występu na drugi i podciągając się silnymi przednimi kończynami z taką samą gracją. Bingwen wiedział, że Formidzi są do tego wystarczająco silni. Jako przybłęda, a potem członek Policyjnego Oddziału Polowego, był w Chinach świadkiem kilkudziesięciu potyczek z wrogiem. Widział pięści Formidów bijące żołnierzy w ferworze walki z brutalnością i siłą o wiele większymi, niż można by się spodziewać po niewielkich rozmiarach obcych.

Dotknął stopami dna i odpiął pierścień od uprzęży. Po prawej stronie na ścianie tunelu była zainstalowana cienka rurka projekcyjna, która znikwała w mroku. Bingwen przypiął kabel wciągarki do niemal niewidocznego niewielkiego urządzenia przekątnikowego umieszczonego u podstawy rurki. Następnie odwrócił się w stronę tunelu odchodzącego od szybu. Miał tylko metr wysokości, więc Bingwen ruszył do przodu na czworakach. Większość dorosłych mogła przemierzać te wyższe tunele w taki właśnie sposób, lecz w niektórych miejscach musieli pełzać na brzuchu. Bingwenowi było o wiele łatwiej. Gdzieś tam mógł nawet wstać i iść lekko tylko zgarbiony.

Dotarł do miejsca, w którym tunel rozdzielał się na czworo. Ruszył odgałęzieniem leżącym najdalej po prawej stronie, które prowadziło lekko w dół i było pełne zakrętów, spadków i skrzyżowań. Ciemność rozcinało światło z jego hełmu. Bez sprzętu kartograficznego łatwo było się tu zgubić. Dowódcy oddziałów operacji specjalnych doskonale o tym wiedzieli. Jednym z ich ulubionych ćwiczeń szkoleniowych było zaprowadzenie człowieka głęboko do tuneli i zostawienie go tam z kilkoma puszkami tlenu i poleceniem znalezienia wyjścia w ciemności. Zadanie to było niemal niemożliwe do wykonania, ale o to głównie chodziło. Przede wszystkim był to sprawdzian odporności psychicznej.

Bingwen skręcał, zawracał i wybierał drogę na chybił trafił, nie myśląc, dokąd idzie. Jego ruchy śledziła nakładka na nadgarstku, ale starał się na nią nie zerkać. Czasem natrafiał na przestrzeń wielkości pokoju, w której mógłby się wyprostować nawet dorosły. Może w tych komorach z jakiegoś powodu zbierali się

Formidzi. Po co? Bingwen mógł się tego jedynie domyślać. Żeby się rozmnażać? Jeść? Spać? Nie było tu żadnej wskazówki co do funkcji pomieszczenia.

Zatrzymał się w jednej z większych komór i wstukał kod, by włączyć symulację. Cztery rurki projekcyjne biegnące wzdłuż sufitu i obu ścian nad jego głową wypełniły pomieszczenie słabym holopolem. Rurki ciągnęły się przez cały system tuneli i teraz wszystkie były objęte jednym holopolem. Ponieważ Bingwen stał w nim, symulacja dokładnie wiedziała, gdzie chłopiec się znajduje.

Przykucnął pośrodku komory i czekał, kątem oka zerkając na wyłoty tuneli, żeby zawczasu zauważyć atak.

Pierwszy Formida pojawił się chwilę później. Pędził tunelem na wprost Bingwena, a jego sześć kończyn popychało go do przodu z siłą dzikiego kota rzucającego się na ofiarę. Slaser Bingwena znajdował się na przedramieniu jego kombinezonu bojowego, lecz chłopiec nie uniósł ręki, by strzelić. Chciał się przyjrzeć każdemu ruchowi stwora aż do chwili, gdy zadawał śmiertelny cios. Obserwował każde ustawienie jego rąk, przednich i tylnych nóg, sposób, w jaki kiwał głową w celu utrzymania równowagi, i jak ocierał się o ścianę, kiedy tunel ostro skręcał; to, jak oddychał, przyśpieszał, wbijał w niego pusty wzrok; i jak w ostatniej chwili skoczył, by chwycić go za głowę i skrócić mu kark.

Stwór uderzył w Bingwena i rozprysnął się w chmurę pikseli. Bingwen miał taki zwyczaj – pozwalał pierwszemu Formidzie, by go dopadł. Stawał twarzą w twarz ze śmiercią, by pokazać wrogowi, że się nie cofnie. Mając to już za sobą, opadł na kolana i zaczął uciekać, obserwując, jak stwory go ścigają, doganiają, działają w parach lub niedużych grupach, by odciąć mu wyjście albo zapędzić w ślepy zaułek. Slaserem zabijał te, które mógł. Inne go dopadały i się rozpryskiwały.

Wszystkie ich ruchy opierały się na autentycznych filmikach zarejestrowanych przez żołnierzy podczas wojny. Niektóre pochodziły nawet od żołnierzy na tyle odważnych, by wejść do tych tuneli, chociaż zostały odzyskane później, kiedy Chińczycy

oczyścili już tunele i znaleźli ich ciała.

Po półgodzinie Bingwena bolały kolana i oblewał go pot. Wyłączył symulację i opadł na klepisko, chwytając oddech. Jeśli dojdzie do walki w takich korytarzach, przegramy, pomyślał. Tutaj nigdy nie zwyciężymy. Wróg będzie miał całkowitą przewagę.

Na chwilę zdjął hełm, by napić się z manierki, a potem znowu go włożył i wyjął z plecaka tablet. Podłączył go kabelkiem do rurki projekcyjnej i włączył. Rozgryzienie tego, jak wejść do sieci, zajęło mu kilka tygodni. W bazie miał dostęp tylko do stron aprobowanych przez kapitana Li i wojsko, czyli głównie do wojskowego intranetu. Mógł czytać wiadomości i śledzić wydarzenia na świecie, lecz zawsze przez armijny filtr, który miał budzić w czytelniku wiarę, że Chińczycy to najbardziej rozwinięty naród na Ziemi, a ich życie jest przedmiotem ogólnej zazdrości. Bingwen wiedział swoje. Aby uzyskać nieograniczony dostęp do sieci, mógł wykorzystać tylko to, co miał do dyspozycji, czyli tunele i ich wyposażenie. Zainstalował więc na wieży wciągarki kilka dyskretnych urządzeń i służyła mu ona teraz jako prymitywny nadajnik i odbiornik. Rurki projekcyjne dostarczały potrzebnej energii, a kabel wciągarki łączył je ze sobą.

W ciągu kilku chwil Bingwen uzyskał połączenie satelitarne. Kapitan Li na pewno wiedział o jego conocnych treningach i na pewno sprawdzał bazę danych symulatora w celu potwierdzenia, czy Bingwen rzeczywiście przychodzi tu, by ćwiczyć. Tak więc Bingwen ćwiczył, ale te treningi były właściwie przykrywką dla prawdziwego celu jego wypraw do dziury – ich ostatnie minuty wykorzystywał do zalogowania się na forum Mazera.

Jako nazwę użytkownika wybrał sobie numer i nazwisko aktualnej gwiazdy urugwajskiej piłki nożnej, a ilekroć robił jakiś wpis, wtrącał slangowe hiszpańskie słowa, oddalając w ten sposób wszelkie podejrzenia, że mógłby być Chińczykiem. Nawet Mazer nie wiedział, kim Bingwen jest na forum.

Przejrzał ostatnie wpisy i szkice nanotarczy. Nie był inżynierem, ale potrafił rozpoznać obiecujący pomysł. Projekt mógłby dobrze działać podczas walki w tunelach w przestrzeni

kosmicznej, jako że tarcza mogła przesunąć się przed lub za żołnierza zależnie od kierunku ataku wroga. A ponieważ mogła zmieniać rozmiar i kształt, dostosowywałaby się do wciąż zmieniającej się szerokości i wysokości tuneli. Żołnierz mógł nawet przebić ją lufą slasera i strzelać do wroga, nie bojąc się, że się odsłoni.

Bingwen napisał o tym wszystkim na forum i dodał komentarz na temat tego, kto jego zdaniem byłby najlepszym producentem takiego sprzętu. Firma Juke Limited była oczywistą kandydatką, lecz byli też inni wytwórcy. Obiecująco wyglądały nanotechniczne produkty Zakładów Gungsu oraz Mikroniksu...

Obraz zniknął z ekranu – połączenie satelitarne zostało przerwane. Dlaczego? Zakłócenia? Rurka projekcyjna na ścianie działała. Podobnie tablet. Oznaczało to, że problem leży w kablu albo wciągarence. Bingwen nie ryzykował. Schował sprzęt i pośpieszył do wyjścia, ale w miarę jak się do niego zbliżał, zaczął odczuwać niepokój. Zatrzymał się, przykucnął i podkreślił zewnętrzny mikrofon hełmu do maksimum, by móc wychwycić nawet najcichszy dźwięk. Uszy wypełnił mu warkot; Bingwen rozpoznał hałas rozwijającego się kabla wciągarki – ktoś szybko spuszczał się do tunelu. Nie był to jednak taki sam dźwięk, jaki wydawała wciągarka, kiedy używał jej Bingwen; był niższy, jakby kabel był napięty pod większym ciężarem. Pod ciężarem dorosłego.

Bingwen został na miejscu i nasłuchiwał. Czyjeś stopy dotknęły ziemi, trzasnął karabińczyk. Wciągarka z piskiem wciągnęła linę. Po chwili ciszy znowu rozległ się niski, powolny i równomierny dźwięk – na dół schodził drugi dorosły.

Była pierwsza w nocy. Ktokolwiek tu przyszedł, przyszedł po niego. Bingwen nasłuchiwał głosów, lecz nic nie usłyszał, co oznaczało, że są albo dobrze wyszkoleni, albo włożyli pełne hełmy. Przejrzał wszystkie możliwe częstotliwości – łącznie z tymi szyfrowanymi – aż znalazł używaną przez przybyszów. Dwa głosy. Mężczyźni mówiący po mandaryńsku.

- ...ciemno jak w grobie.
- Idź pierwszy.

- Ta dziura jest za mała, żeby wcisnąć się w nią pies. Idź ty.
- Żołnierze ciągle tu wchodzi. Ruszaj.
- Może zaczekajmy na niego na zewnątrz? Prędzej czy później musi wyjść. Kropniemy go, jak tylko wystawi głowę.
- Wtedy nie będzie to wyglądać na wypadek. Mamy rozkazy. Jeśli zostawimy ciało wystarczająco głęboko, to nie znajdą go przez wiele tygodni.
- Ale będą je przez wiele tygodni czuć.
- Ruszaj.

Bingwen wycofał się do tunelu. Poznał te głosy. Należały do dwóch żołnierzy niedawno przeniesionych do jego oddziału, dwóch zbirów sprowadzonych przez kapitana Li. Typowe. Kapitan Li zapewne osobiście wydał im rozkaz. Ci ludzie nie mieli pojęcia, że są wykorzystywani.

Bingwen przyspieszył kroku i jeszcze bardziej zagłębił się w tunel.

Źyły wszystkie rurki projekcyjne na ścianach i tunel ponownie wypełniło holopole. W powietrzu przed Bingwenem pojawiła się duża trójwymiarowa strzałka skierowana w jego pierś, a za nią kolejna, a potem jeszcze jedna i następne, ciągnące się przez cały tunel przed nim. Po jego prawej i lewej stronie w bocznych tunelach też wyłaniały się podobne strzałki i wskazywały na niego.

- Teraz będzie wiedział, że tu jesteśmy.
- Nieważne. Nigdzie nie ucieknie.

Pójdą za strzałkami prosto do niego. Tego samego systemu używali ratownicy, którzy po ćwiczeniach szukali zagubionych żołnierzy. Strzałki można też było wykorzystać do poprowadzenia ćwiczącego do wyjścia. Bingwen uświadomił sobie, że holopole działa przeciwko niemu, a ponieważ wypełniało tunel, nie mógł przed nim nigdzie się ukryć.

Przez chwilę się zastanawiał. Miał dwojaką przewagę nad napastnikami. Po pierwsze, mężczyźni najwyraźniej nie mieli żadnego doświadczenia w przebywaniu w tunelach. Po drugie, dzięki drobnej posturze Bingwen mógł się poruszać w wąskich korytarzach znacznie szybciej od nich. Niepokoiło go jednak, że

nie wie, z czym ma do czynienia.

Jaką mają broń? Jeśli chcieli, żeby jego śmierć wyglądała na wypadek, to najprawdopodobniej zabiją go własnymi rękami. Uduszą go albo skręcą mu kark. Trudno sprawić, żeby rana po trafieniu laserem w serce wyglądała na efekt wypadku. Ale broń i tak będzie im potrzebna – żeby go obezwładnić, schwytać, zmusić do posłuszeństwa. Wystarczyłyby im nóż i slaser. Mieli jednak lepszy sprzęt. Uprząż i hełmy z radiem to nie było codzienne wyposażenie. Ktoś ich wyekwipował. Najprawdopodobniej Li lub ktoś działający na jego rozkaz. W takim razie Bingwen powinien założyć, że mają do dyspozycji cały sprzęt polowy.

Postanowił sprawdzić tę teorię.

Stuknięciem w nakładkę na nadgarstku włączył symulację. Holograficzne przedstawienia Formidów były tak realistyczne i groźne, że co tydzień załamywał się co najmniej jeden nowy rekrut; padał na kolana w tunelu i z płaczem błagał o ratunek jak porzucone dziecko. Hologramy przerażały szczególnie tych, którzy jeszcze nigdy się z nimi nie zetknęli i mogli nawet nie wiedzieć, że stanowią część programu szkolenia.

Potwierdziły to chwilę później krzyki żołnierzy. Bingwen usłyszał miękki, wysoki dźwięk ich laserów, a potem jeden z mężczyzn zawołał do drugiego, żeby się uspokoił.

- Oni nie są prawdziwi. To symulacja.
- No to ją wyłącz.
- Nie umiem. Nie zwracaj na nich uwagi.
- Nie mogę. Oni nas atakują.

Oczywiście Formidzi atakowali także Bingwena, ale w niczym mu to nie przeszkadzało; kiedy do niego docierali, rozsypywali się w chmury pikseli. Podszedł do najbliższego holoprojektora i podłączył do niego swój tablet. Nie mógł wyłączyć strzałek za pomocą nakładki, bo to nie on je uaktywnił, ale mógł zmienić ich cel. Tak zrobił i strzałki pokazywały teraz na jednego z żołnierzy w tunelach.

Bingwen wybrał boczny korytarz, kierując się na wschód do innego systemu tuneli, który miał oddzielne wyjście na

powierzchnię. Szło się do niego pod górę i trzeba było kilka razy ostro skręcić. Dotarł do celu po dziesięciu minutach, ale kiedy opuścił miejsce ćwiczeń, wszędzie panowała cisza. Już wcześniej wyłączył światelka, uruchomił nocne obrazowanie i rozejrzał się po terenie. Wieża znajdowała się dwieście metrów z prawej. Chłopiec przybliżył obraz i z ulgą stwierdził, że kabel wciągarki wciąż zanurza się w tunelu, co oznaczało, że żołnierze jeszcze nie znaleźli wyjścia. Nic dziwnego. Nawet gdyby znali drogę, nie zdążyliby przecisnąć się przez te wszystkie wąskie przejścia, które Bingwen tak starannie zaplanował na ich drodze.

Popędził do wieży wciągarki, wciągnął kabel i przywiązał go do niej. Następnie usunął elementy nadajnika, które przed kilkoma miesiącami zamontował na wieży. W końcu jeszcze raz stuknął w nakładkę na nadgarstku, zwiększając liczbę Formidów w symulacji na dole z dziesięciu do tysiąca. Holopole wypełni się tyloma hologramami atakujących obcych, że będą sprawiać wrażenie rzeki światła. Ciągłe i niepowstrzymane bombardowanie nimi tak przeciąży zmysły żołnierzy, że w końcu stracą wszelką orientację. To będzie koszmar. Bingwenowi niemal zrobiło się ich żal.

Pobiegł do swojego pojazdu i śmignął do bazy. Przebrał się w kombinezon do snu, a potem obudził wszystkich żołnierzy w swoim oddziale i rozkazał im ustawić się w szyku na dworze. Posłuchali go, trzęsąc się z zimna w samej bieliźnie i bez butów.

Bingwen stanął przed nimi.

– Właśnie mnie obudzono i zameldowano, że kilku żołnierzy z tego oddziału wymknęło się po godzinach z koszar. Zbyłem takie oskarżenie śmiechem. „Z tego oddziału? – zapytałem. – Trzysta pierwszego? Nie, sir, na pewno się pan myli. Ci ludzie, ci wspaniali żołnierze na pewno nie pozwoliliby, by dwóch spośród nich wykazało się taką głupotą. Powstrzymaliby ich przed tak rażącą niesubordynacją. Nasz oddział bowiem cechują dyscyplina, jedność i całkowity szacunek dla wojskowego regulaminu. Nie, sir. Nie z tego oddziału. My rozumiemy, że wykroczenie jednego to wykroczenie wszystkich. W całym świecie nie istnieje lepsza grupa żołnierzy”. Tak powiedziałem.

Sierżancie, udowodnij, że mam rację. Apel.

Wkrótce zidentyfikowano dwóch brakujących. Wywołano ich nazwiska, lecz żaden z nich nie odpowiedział. Bingwen udał, że jest zszokowany. Przybity, pokręcił głową. Następnie wyprostował się i zwrócił do żołnierzy:

– To oczywiste, że was zawiodłem. Nie umiałem nauczyć was, jak ważne jest szanowanie naszych przełożonych, którzy ułożyli ten regulamin. Nie umiałem zaszcześcić was poczucia braterstwa, poczucia wzajemnej odpowiedzialności. Nie umiałem nauczyć was, że niemądre decyzje stwarzają niebezpieczeństwo dla nas wszystkich. Podczas wojny dyscyplina ma zasadnicze znaczenie dla przeżycia. Tak, jesteśmy w stanie wojny. Został zniszczony Kopernik. Wróg powraca. A jaki dajemy dowód naszym matkom i ojcom, którzy polegają na nas, że ochronimy ich domy, pola i dzieci? Nieposłuszeństwo? Wykroczenia? Buntowniczość? – Pokręcił głową. – Nie, natychmiast musimy naprawić to zło. Musimy przyjąć karę i zacząć od nowa. Sierżancie, wydaj żołnierzom rozkaz, by poszli za mną do aresztu, gdzie odsiedzimy dwudniowy wyrok.

Sierżant wykrzyknął rozkazy. Bingwen poprowadził swoich ludzi biegiem do aresztu, położonego po drugiej stronie bazy w odległości dwóch kilometrów. Na miejscu rozkazał strażnikowi pełniącemu służbę otworzyć wolne cele. Żołnierze weszli do nich w grupach po dziesięciu. Następnie Bingwen stanął przed celami i zdjął koszulę.

– Strażniku, zawiodłem tych ludzi. Weź tę trzcinkę i wymierz mi trzy uderzenia w plecy. – Podał żołnierzowi trzcinkę i odwrócił się do niego plecami, wyciągając ręce przed siebie.

Strażnik, zaledwie szeregowy, zawahał się. Rozejrzał się, zdezorientowany, a potem zwrócił się do Bingwena:

– Nie mogę uderzyć oficera, sir.

– Wydaję ci rozkaz, szeregowy.

Jego żołnierze tłoczyli się z przodu cel, by dobrze widzieć.

– Ale, panie poruczniku, w wojsku nie wymierza się kar cielesnych.

Bingwen odwrócił się do strażnika i wziął od niego trzcinkę.

– Doskonale.

Staął przodem do cel i wybrał najroślejszego i najsilniejszego ze swoich żołnierzy.

– Kapralu Mayzu, proszę podejść i wymierzyć mi trzy uderzenia. To rozkaz.

Strażnik wypuścił Mayzu. Kapral ujął trzcinkę. Miał szerokie ramiona i krępa budowę ciała. Na jego twarzy malowała się niepewność. Zawahał się.

– Sir, nie czułbym się dobrze, uderzając oficera.

– Zrób to – rzekł Bingwen.

Pierwsze uderzenie powaliło go na kolana. Całą jego górną połowę ciała przeszył straszliwy ból. Bingwen przez chwilę myślał, że straci przytomność, ale wziął się w garść i wstał. Podszedł chwycił do najbliższej celi i chwycił się krat, by utrzymać równowagę.

– Jeszcze dwa, Mayzu.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Ale, sir, pan jest...

Bingwen odwrócił się do niego.

– Kim, Mayzu? Chłopcem? Dzieckiem?

Mayzu nie odpowiedział. Bingwen stanął twarzą do swoich ludzi. Plecy palił mu ból.

– Czy tym dla was jestem? Dzieckiem?

Milczeli.

– Formidzi zabili moich rodziców, spalili moją wioskę, zaatakowali moją ojczyznę. Czy ma się dwanaście lat, czy dwieście, nie ma większego przywileju, niż oddać życie w obronie Chin. Będziemy najlepszym oddziałem w tej armii i nie pozwolimy, by głupi akt niesubordynacji osłabił nas i zagroził naszej zdolności do obrony naszego narodu. – Odwrócił się do krat i je chwycił. – Mayzu, jeszcze dwa. A jeśli stracę przytomność, zaciągniesz mnie do celi.

Zapadła długa cisza. A potem nadeszło drugie uderzenie w już podrażnione ciało.

Bingwen nie pamiętał trzeciego. Kiedy się obudził, leżał na brzuchu w skrzydle medycznym z plecami obłożonymi

wilgotnymi bandażami. Na krześle przy łóżku siedział kapitan Li.

– Przyznam, Bingwenie, że ciągle mnie zaskakujesz. Kiedy już sądzę, że wiem, jak zareagujesz, robisz coś takiego.

Bingwen milczał. Kapitan Li towarzyszył mu od chwili, kiedy chińskie wojsko odebrało go Mazerowi. Li był wtedy tylko porucznikiem.

– Gojenie twoich pleców potrwa kilka tygodni – stwierdził Li. – I po co to wszystko? Żeby zasłużyć na szacunek twoich ludzi? Pokazać im, że serce całkowicie oddałeś Chinom? Żeby przedstawić się jako godny dowódca? Żałuję, że nie słyszałem twojej przemowy. Strażnik relacjonował mi ją niemal ze łzami w oczach. Myślałem, że zaraz zaczniesz śpiewać hymn.

Bingwen nic nie powiedział.

– Wypuściłem twoich ludzi z aresztu po sześciu godzinach. Powiedziałem im, że to wystarczająca kara. A, znaleźliśmy tych dwóch w tunelach zwiniętych w kłębek i płaczących jak dzieci, wybacznym porównanie. Obaj się zanieczyścili. I kto może ich za to winić? Tylu Formidów... Boję się, że ci ludzie mogli doznać urazów psychicznych. Pytanie, co z nimi zrobić. Nie mogę ich z powrotem włączyć do twojego oddziału. Twoi żołnierze już szepczą, że od razu ich okaleczą. Czy taki był cel twojego występu? Zwrócić oddział przeciwko tym przestępcom, sprawić, by twoi ludzie wymierzili sprawiedliwość, do której wymierzenia tobie zabrakło odwagi? – Kapitan Li założył nogę na nogę i odchylił się na oparcie krzesła. – Doprawdy, Bingwenie. Naprawdę wolałeś otrzymać chłostę, niż zastrzelić winnych usiłowania morderstwa?

– Czy to właśnie miałem zrobić? – zapytał Bingwen. – Zastrzelić ich? Wykonywali rozkazy. Chociaż nie potrafisz sobie wyobrazić, kto mógłby je wydać.

Kapitan Li się uśmiechnął.

– Tak, to niepokojące. Lecz kiedy wrócą Formidzi, podziękujesz mi, że zrobiłem z ciebie żołnierza, Bingwenie. Mogą ci się nie podobać moje metody, ale nigdy nie staniesz się bronią, jakiej potrzebujemy, jeśli nie będziesz się kierował właściwą moralnością.

– A jaka to moralność, panie kapitanie? Pańska?

Kapitan Li wstał i zapiął bluzę munduru.

– Sprawdziliśmy też twój tablet. Dziwne, że zabierałeś go na dół do tuneli. Kiedy otworzyliśmy twoje pliki, znaleźliśmy jedynie wpisy do twojego dziennika, z których wszystkie były zaskakująco pochlebne dla mnie. Nie muszę mówić, że mnie rozbawiły. Mogłbym zagrozić ci chłostą, żeby się dowiedzieć, co tak naprawdę tam robiłeś, ale oczywiście chłosta jest zakazana, a w tej chwili jesteś mi potrzebny w dobrej formie. Otrzymałem rozkaz zebrania wyjątkowej grupy żołnierzy do przeszkolenia w Pasie. Wygląda na to, że Chiny w końcu zgodziły się oddelegować swoich ludzi do Międzynarodowej Floty. Ucieszy cię zapewne wiadomość, że znajdziesz się wśród nich, chociaż ze względu na twój wiek twoje zaangażowanie nie zostanie podane do powszechnej wiadomości. Będziesz stanowił swego rodzaju eksperyment. To Szkoła Aklimatyzacji do Zmiennej Grawitacji, czyli SAZG, lecz wszyscy nazywają ją Obozem Grawitacji albo – w skrócie – ObGra. Międzynarodowa Flota szkoli w niej żołnierzy od wielu lat. Więc wyzdrowiej. Odlatujesz za tydzień.

Ruszył do wyjścia, lecz Bingwen zatrzymał go pytaniem:

– A pan, panie kapitanie? Co będzie z panem?

Li się uśmiechnął.

– Oczywiście lecę z tobą. Będę twoim dowódcą i zajmę jakieś stanowisko w szkole. Jak poinformowałem naszych przełożonych, nie chciałbyś, żeby było inaczej.

Li uśmiechnął się i wyszedł, zostawiając Bingwena sam na sam z jego bandażami.

Rozdział 3

WAGANOW

Jak w wypadku wszystkich konfliktów zbrojnych druga wojna z Formidami bardzo niekorzystnie odbiła się na naszej podstawowej jednostce społecznej – na rodzinie. Jednak wyjątkową cechą tej wojny było to, że nie tylko angażowała do walki naszych synów i córki, lecz także dyktowała, jak i kiedy wolni obywatele Ziemi mogą tych synów i córki płodzić.

Ponieważ za najważniejsze uznano skupienie całej ludzkiej działalności na produkcji wyposażenia wojskowego do walki z Formidami w przestrzeni kosmicznej, jak najdalej od Ziemi, Rada Hegemonii zadecydowała, że zasobów gospodarczych Ziemi nie wolno rozpraszać na zaspokajanie potrzeb rosnącej populacji. Produkcja żywności, budownictwo, transport i opieka medyczna musiały być utrzymywane na ustalonych poziomach, by w tym krótkim czasie przed przybyciem głównych formidzkich sił inwazyjnych całą produkcję można było nastawić na budowę skutecznej floty wojennej.

W krajach takich jak Iran, Indie, Uzbekistan i Stany Zjednoczone od dawna stosowano bierną, dobrowolną kontrolę urodzin, polegającą głównie na swobodnym dostępie do środków antykoncepcyjnych oraz naturalnej tendencji zamożnych ludzi do posiadania mniejszej liczby dzieci, a także nieco bardziej agresywne przepisy, które nie pozwalały, by kobiety i mężczyźni mający wielodzietne rodziny kandydowali na publiczne stanowiska lub otrzymywali pewne świadczenia. Lecz modelem dla przepisów regulujących liczbę ludności, wprowadzonych przez Hegemonię przed drugą wojną z Formidami, była chińska polityka jednego dziecka. Limit liczby dzieci został ustalony na poziomie dwóch na rodzinę, co podwajało limit chiński, ale niedostosowanie się do tej łagodniejszej polityki skutkowało grzywnami, utratą

mienia, a w niektórych, bardziej policyjnych państwach – pozbawieniem wolności.

Największy sprzeciw wobec tych przepisów występował w państwach o dużej populacji katolików, jak Polska, która początkowo zdobyła pozwolenie na stosowanie klauzuli sumienia. Pozwolenie to zostało zniesione po umocnieniu politycznej kontroli Hegemonii. Przepisom sprzeciwiały się też takie kraje jak Bangladesz i Pakistan, gdzie ze względu na uwarunkowania historyczne muzułmanie mieli większe rodziny i tradycyjnie przeciwstawiali się zewnętrznej ingerencji na polu kultury.

Jednak przepisy dotyczące populacji najmocniej dotknęły dzieci urodzone wbrew tym przepisom lub dzieci rodziców, którzy, chociaż zdarzało się to rzadko, zostali zwolnieni przez Hegemonię z ich przestrzegania. Te trzecie dzieci – a w rzadkich wypadkach czwarte i piąte – spotykały się z pogardą, były izolowane lub nazywane zwolennikami Formidów. Prześladowania te – na które składały się gwałtowne ataki ze strony rówieśników, a niekiedy także dorosłych – to często pomijany i karygodny efekt ograniczeń demograficznych.

Demostenes, *Historia wojen z Formidami*, t. 3

Podczas śniadania Mazer otrzymał poprzez swoją nakładkę na nadgarstek polecenie natychmiastowego stawienia się w gabinecie pułkownika Waganowa.

Wezwanie to zaskoczyło Mazera. Nie znał pułkownika. Waganow przyszedł do WYBABiM-u ledwie przed miesiącem, by objąć dowodzenie wydziałem, i do tej pory zespołom mającym przebić się przez kadłub formidzkiego statku dawał wolną rękę. Ale to, co Mazer o nim wiedział, robiło wrażenie. Zanim Waganow wstąpił do Międzynarodowej Floty, służył w rosyjskiej marynarce wojennej jako dowódca krążownika opancerzonego, a potem w admiralicji w Petersburgu. Poprzednio piastował eksponowane stanowisko dyrektora Wydziału Zaopatrzenia Międzynarodowej Floty w DoCent na Lunie i miał okazję

kontaktować się zarówno z urzędnikami Hegemonii, jak i z przedstawicielami sektora prywatnego. Wspinaczka po szczeblach kariery świadczyła o jego rzeczywistych zdolnościach jako dowódcy albo podlizującego się urzędnika. Mazer miał nadzieję, że uda mu się to rozszyfrować, zanim Waganow poprowadzi ich do walki.

Lot z kantyny do biura pułkownika składał się z ciągu zakrętów w labiryncie stacji kosmicznej. WYBABiM bowiem składał się właściwie z pięciu stacji dostarczonych przez pięć krajów, kiedy powołano do istnienia Międzynarodową Flotę. Połączone solidnymi tunelami dokującymi tworzyły asymetryczną strukturę o dziwnym kształcie, wyglądającą jak coś, co mogłoby skonstruować dziecko z przypadkowych rur. Zbliżywszy się do gabinetu pułkownika, Mazer uaktywnił magnesy w butach. Drzwi rozsunęły się automatycznie.

Pułkownik Waganow tkwił za swoim holostolem. Jak na swoją szarzę był dość młody i w przeciwieństwie do innych rosyjskich oficerów znanych Mazerowi – którzy zawsze wykazywali się surowym usposobieniem – uśmiechnął się na jego widok.

– Kapitan Mazer Rackham – powiedział. – Zapraszam do środka. Właśnie przeglądałem twoje akta.

Dopiero wtedy Mazer zauważył obraz wojskowych akt unoszący się w powietrzu nad holostolem Waganowa. Zaraz się zacznie, pomyślał. Zobaczy zarzuty niesubordynacji i przypnie mi etykietkę wichrzyciela. Ale wyraz twarzy pułkownika się nie zmienił, gdy doczytał dokumenty do końca.

– Widzę, że jesteś w MF od momentu jej powstania – stwierdził.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Mazer. – Spędziłem rok w DoCent i dwa lata tutaj.

Waganow skinął głową.

– W DoCent nasze ścieżki się nie skrzyżowały, lecz nic w tym dziwnego. To jest praktycznie miasto. Rozumiem, że twoja żona wciąż przebywa na Lunie?

– Tak jest, panie pułkowniku. Jest lekarzem na oddziale ratunkowym w szpitalu w Imbrium.

Waganow się uśmiechnął.

– Lekarzem? Cóż, ktoś musi zarabiać na utrzymanie rodziny. My w MF z pewnością tego nie robimy.

Mazer był pod wrażeniem swobody, z jaką Waganow władał wspólnym językiem. W jego słowach pobrzmiwała zaledwie krztyna rosyjskiego akcentu.

– Czy komunikujesz się z żoną przynajmniej raz w tygodniu, Mazerze? Może za pośrednictwem e-maili? Hologramów? Jakoś inaczej?

Mazerowi to pytanie wydało się dziwne. Co pułkownika obchodzi, jak często komunikuje się z Kim?

Waganow uśmiechnął się, jakby odczytał jego myśli.

– Pytam, Mazerze, nie z wścibstwa, lecz dlatego że uważam cię najpierw za męża, a dopiero potem za żołnierza. Pewnie dostałbym od DoCent za takie słowa burę. Ich twoje życie osobiste w ogóle nie obchodzi. Dla nich jesteś tylko tępym narzędziem, którym można rzucić we wroga. Ale ja się z tym nie zgadzam. Nie toleruję ludzi, którzy nie dotrzymują swoich zobowiązań wobec żony i rodziny. To świadczy o słabym charakterze i zwykle wskazuje na stosunek do towarzyszy z pola walki. Takiemu oficerowi na pewno nie powierzyłbym dowodzenia moimi żołnierzami.

W ciągu całej swojej służby Mazer nigdy nie słyszał, by jakiś dowódca wyrażał taką opinię. Większość z nich miała wręcz odmienne zdanie. Żołnierz jest wyłącznie żołnierzem podległym wyłącznie swojemu dowódcy. Zobowiązania rodzinne tylko go rozpraszają.

Zaskoczenie Mazera musiało się odmalować na jego twarzy, bo Waganow się roześmiał.

– Widzę, że moje poglądy cię niepokoją – powiedział.

– Nie, panie pułkowniku. Przeciwnie, zgadzam się z panem. Po prostu nigdy nie słyszałem, by jakiś dowódca miał podobne.

Waganow znowu się roześmiał.

– Jestem rzadkim ptakiem. Niektórzy ludzie słyszą melodię, większość słyszy skrzeczenie.

Była to dziwna przenośnia, lecz Waganowa bawiła. Mazer wątpił, by to była prawda. Nie zostaje się dyrektorem

zaopatrzenia albo WYBABiM-u dzięki skrzeczeniu.

– Odpowiadając na pańskie pytanie, tak, często się komunikuję z żoną – powiedział.

Waganow skinął głową.

– Cieszę się. Zauważyłem jednak, że nie przychodzisz na spotkania oficerów.

To o to chodzi... – pomyślał Mazer. Zniszczono Kopernika, MF jest niestabilna, a Waganow martwi się frekwencją na swoich głupich imprezach?

Były to cotygodniowe zebrania w sali oficerskiej, które Waganow zaczął organizować wkrótce po objęciu dowództwa. Mazer przyszedł na pierwsze z obowiązku, ale wyszedł, kiedy tylko się zorientował, że jest to jedynie nieformalne spotkanie lizusów, na którym młodszy oficerowie schlebiają Waganowowi i jego wyższym rangą współpracownikom w nadziei zaskarżenia sobie ich względów.

– Nie jestem towarzyski, panie pułkowniku – rzekł Mazer. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan nieobecność.

– Oczywiście – powiedział pułkownik i zerknął na akta Mazera. – Tu jest napisane, że walczył pan z Formidami w Chinach, ale nie ma żadnych szczegółów. Widzę jedynie zarzuty niesubordynacji. – Spojrzał na Mazera, jakby oczekiwał wyjaśnienia.

– Niektórym moim zwierzchnikom w NZSAS oraz naszym odpowiednikom w chińskiej armii nie podobała się moja decyzja, by zetrzeć się z wrogiem i przyjść z pomocą rannym cywilom – rzekł Mazer.

Waganow skinął głową, jakby się tego spodziewał.

– Tak. NZSAS. To Nowozelandzka Special Air Service?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Siły specjalne.

– Tak jest.

Waganow zmarszczył brwi.

– A więc jesteś w Chinach, ratujesz cywilów, robisz Formidom piekło, a w zamian dostajesz jedynie krechy w aktach. – Pokręcił głową. – Prawie się zgadza. Mógłbym pomyśleć, że wróciłem do Rosji. – Machnięciem ręki sprawił, że akta zniknęły. – Wiesz,

dlaczego przegramy tę wojnę, Mazerze? Wiesz, co jest największą słabością Floty? Naszym najsłabszym punktem? Nie nasza broń. Nie nasza gorsza technika, mniejsze zasoby ludzkie albo brak doświadczenia w walce w przestrzeni kosmicznej. Są nią skomorochy. To rosyjskie słowo. Znasz je?

– Nie, panie pułkowniku.

– Znaczą „bufoni”. Idioci, Mazerze. Dlatego przegramy. Przez niekompetentne przywództwo. Jest o wiele za dużo ludzi z paskami na naramiennikach, którym bardziej zależy na zdobyciu dodatkowych pasków albo utrzymaniu tych, które już mają, niż na dwunastu miliardach Ziemi. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale to jest fakt. Fakt, z którego, jak podejrzewam, zdajesz sobie sprawę aż za dobrze, ponieważ kiedy widzę te adnotacje o niesubordynacji w twoich aktach, to wiem, jaki dokładnie typ człowieka je tam umieścił. Wiem to, bo sam służyłem pod takimi ludźmi, ludźmi, którzy usiłovali mnie zdyskredytować w podobny sposób. Pogrążają młodszych oficerów, których uważają za zagrożenie, boją się myślenia, którego nie rozumieją, za własne błędy winią wszystkich wokół siebie. A ponieważ mają charyzmę i są na wpół inteligentni, potrafią przekonać postawionych wyżej od siebie, że są taktycznymi geniuszami otoczonymi przez głupców. – Waganow wyprostował się i złączył dłonie za plecami. – Wiem, jakim jesteś żołnierzem, Mazerze. Wiele razy widziałem takie akta. Zawsze należą do żołnierzy, którzy się przejmują, do żołnierzy, którzy robią to, co jest słuszne. – Uniósł palec. – Nie zrozum mnie źle. Nie popieram niesubordynacji. Jeśli nie wykonasz jakiegoś mojego legalnego rozkazu, to poniesiesz poważne konsekwencje. – Uśmiechnął się. – Wiem, dlaczego nie przychodzisz na te spotkania oficerów, Mazerze. Nie znosisz przypochlebiania się. Na widok tego całego przymilania robi ci się niedobrze. – Uśmiechnął się szerzej. – Ale widzisz, właśnie o to chodzi. Dlatego organizuję te spotkania, ilekroć otrzymuję nowe stanowisko. Szukam żołnierzy takich jak ty, żołnierzy, których podobne gierki napełniają taką odrazą, których biurokracja tak mierzi, że wolą zaryzykować urażenie swojego dowódcy i nie

przyjść. – Znowu się roześmiał. – Jediną rzeczą, której nie znoszę bardziej od idioty na stanowisku dowodzenia, jest podlizujący się młodszy oficer. Jasne, udaję, że mi się to podoba. Cały dzień przyjmuję ich pochwały i komplementy, ale ich za to nie znoszę. – Uśmiechnął się. – To cię zaskakuje, prawda?

– Nie tego się spodziewałem, panie pułkowniku – przyznał Mazer.

– Ufam, że zachowasz ten sekrecik dla siebie – powiedział Waganow. – Gdyby ci lizusi wiedzieli, jak daremne są ich zabiegi, zmieniliby zachowanie. Dlatego uważam ich za tak niegodnych zaufania. Są zmienni jak chorągiewka na dachu. – Pokręcił głową. – Nie, istnieje tylko jeden sposób zyskania mojej przychylności, Mazerze. Jest nim bycie jak najlepszym żołnierzem. Całkowite poświęcanie się wyznaczonym zadaniom. Czy to jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Myślę, że jesteś właśnie takim żołnierzem. W gruncie rzeczy postawiłbym na to swoje życie.

Mazer nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Tę wysoką opinię o tobie mam nie tylko ja. Poprosiłem moich doradców, żeby wskazali najlepszy zespół szkolony do przebicia się przez kadłub formidzkiego statku, i wszyscy niezależnie od siebie wybrali twój.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Moi ludzie są bardzo kompetentni. Myślę, że dostałem najlepszych w MF.

– Albo, co bardziej prawdopodobne, uczyniłeś ich najlepszymi – rzekł Waganow. – Armia jest tylko tak silna jak jej dowódca, także armia licząca jedynie czterech ludzi. W każdym razie widzę, że wraz ze swoimi ludźmi testujesz zakłóczacz grawitacji.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Waganow skinął głową.

– I co sądzisz o tym urzędzeniu?

Mazer się zawahał.

– Mogę mówić szczerze, panie pułkowniku?

– Proszę – rzekł Waganow i gestem nakazał mu kontynuować.

– Zakłóczacz grawitacji to broń, która albo zadziała, albo

spowoduje śmierć żołnierzy. Jeśli zawiedzie, zginą. Nie będą mogli się wycofać. Nie będzie także można przyjść im z pomocą. Każdy statek, który spróbuje ich uratować, zostanie w jednej chwili spalony. Albo przebijemy kadłub wroga i zajmiemy statek, albo stracimy wspaniałych żołnierzy. A na podstawie przeprowadzonych przez nas testów uważam za bardzo prawdopodobne, że ZG zawiedzie.

Pułkownik Waganow sięgnął w holopole i wydobył jakieś sprawozdanie.

– Jeśli taka jest twoja ocena, Mazerze, to po co tak długo go testujesz? Tu jest napisane, że wraz ze swoimi ludźmi sprawdzałeś ZG niemal dwa razy częściej niż inne zespoły. O wiele częściej, niż jest to zalecane.

– MF może przyjąć to urządzenie bez względu na to, czy zgodzę się z tą decyzją, czy nie – odparł Mazer. – W takim wypadku musimy wypracować najlepszą taktykę działań, żeby zminimalizować ofiary i zmaksymalizować szanse na sukces. To oznacza wzięcie pod uwagę wszystkich aspektów tej operacji i poddanie ich dogłębnej analizie. Nie chodzi tylko o samo urządzenie, ale i o to, jak je dostarczymy na miejsce, w jaki sposób rozmieścimy je jako zespół i jak uruchomimy sześciany. Wiem, że taka operacja wydaje się dość prosta, lecz mój zespół odkrył możliwości udoskonalenia procedury, a nawet stworzenia nowych urządzeń, które mogłyby się przydać żołnierzom.

– Nowe urządzenia? – zainteresował się Waganow. – Na przykład?

– Kilka dni temu sporządziliśmy podstawowy projekt tarczy składającej się z nanobotów, która przechwytuje i tłumi formidzkie pociski serwetkowe.

Mazer wyjaśnił założenia leżące u podłoża projektu, a następnie, za zgodą pułkownika Waganowa, sięgnął w holopole, przekopał się przez pliki stacji i wydobył model stworzony przez Shambhaniego.

– Ach, tak... – rzekł Waganow. – Interesujące. Powiedziałeś o tym projekcie komukolwiek spoza swojego zespołu?

Mazer się zawahał. MF wprawdzie nie wydała wyraźnego

zakazu prowadzenia prywatnych forów, lecz do tej pory jeszcze nie spotkał dowódcy, któremu by się taki pomysł spodobał. Bał się, że jeśli wyjawi Waganowowi istnienie forum, pułkownik rozkaże mu je zamknąć. A ponieważ nie chciał podejmować ryzyka, odpowiedział uczciwie, pomijając informację o forum.

– Tak, podzieliłem się tym pomysłem z kilkoma młodszymi oficerami.

Waganow pokręcił głową.

– Następnym razem tego nie rób. Jeśli będziesz się dzielić pomysłami z młodszymi oficerami, oni tylko puszczą je wyżej jako własne. Co gorsza, ich ograniczeni dowódcy od ręki odrzucają te urządzenia, ponieważ ich nie rozumieją. A kiedy pojawią się one gdzie indziej, ci sami dowódcy będą sprzeciwiać się ich produkcji, żeby nie wyjść na głupców, ponieważ sami ich wcześniej nie zaakceptowali. Tak właśnie myślą ci ludzie, Mazerze. Dla ochrony swojego wizerunku robią wszystko. W Wydziale Zaopatrzenia widziałem to cały czas. To bezsensowne i głupie, ale taka jest MF. Dziękując się swoimi pomysłami z ludźmi spoza własnego kręgu, rzuca się perły przed wieprze.

Mazer zastanowił się nad tym. Z jednej strony zgadzał się z pułkownikiem. Widział dowódców, którzy zachowywali się dokładnie tak, jak opisał to Waganow. Ale z drugiej – pilne strzeżenie pomysłów też nie było dobrym rozwiązaniem.

– Jeżeli wpadniesz na jakiś pomysł, który będzie wymagał rozwinięcia, przyjdź z nim do mnie – dokończył Waganow. – Przydzielę ci inżynierów i nadam mu rozpęd, zanim zestrzelą go jakiś tępy dowódca. W Wydziale Zaopatrzenia nawiązałem kontakty z ludźmi, którzy potrafią nadać bieg sprawom. Zdobyłem ich zaufanie. Jeśli cię im przedstawię, wysłuchają cię.

Mazerowi taki układ się nie podobał. Gdyby wypełnił rozkazy Waganowa co do joty, już niczego nigdy by nie zamieścił na forum, wszystko przedstawiałby bezpośrednio i wyłącznie pułkownikowi. To zniszczyłoby cel istnienia tego serwisu i spowodowałoby rozprzestrzenianie pomysłów.

A jednak... Jeśli Waganow mówił szczerze, jeśli rzeczywiście miał takie powiązania... mógłby przełamać wszystkie bariery, na

które natrafiał Mazer i inni, kiedy usiłowali pchnąć dalej informacje i pomysły.

– Rozumiemy się? – zapytał Waganow.

– Tak.

Pułkownik skinął głową, uznając sprawę za załatwioną.

– Dobrze. A teraz wróćmy do zakłócacza grawitacji. Uważasz, że urządzenie nie wypali. Dlaczego?

– Z kilku powodów – odparł Mazer. – Po pierwsze, Formidzi porozumiewają się błyskawicznie na wielkie odległości bez żadnych urządzeń. Kiedy tylko jeden Formida domyśli się, że posługujemy się zakamuflowanymi kapsułami, będą o tym wiedzieć wszyscy na wszystkich statkach. Potem nie będą ryzykować. Będą niszczyć cały złom zbliżający się do ich maszyn. Duży czy mały.

Waganow skinął głową.

– Mów dalej.

– Problem numer dwa. ZG najprawdopodobniej nie przebije kadłuba formidzkiego statku. Mamy ich statek zwiadowczy z poprzedniej wojny... No, technicznie rzecz biorąc, ma go Juke Limited, ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ inżynierowie Juke nie potrafią nawet zadrapać jego powierzchni. Nic nie może uszkodzić tego kadłuba. Jest zbudowany z niezniszczalnego obcego stopu, który pozostaje całkowitą zagadką. Ukko Jukes sądził, że może go uszkodzić manipulacja grawitacją, ale się mylił. Prawdopodobnie ZG okaże się nieskuteczny.

– Formidzi używają różnych materiałów do budowy swoich statków – zauważył Waganow. – Broń grawitacyjna wyprodukowana przez Juke rozrywała przecież formidzkie myśliwce na strzępy.

Mazer skinął głową.

– Myśliwce owszem. Lecz to były małe statki nieprzeznaczone do lotów międzygwiazdnych i zbudowane z innego stopu. Maszyny, których kadłuby my musimy przebić, to duże międzygwiazdne konstrukcje zmierzające w stronę naszego Układu Słonecznego. Prawdopodobnie mają niezniszczalne kadłuby, bardzo podobne do kadłuba tego statku zwiadowczego.

– Zapewne – zgodził się Waganow. – Coś jeszcze?

– Dostarczenie systemu ZG – rzekł Mazer. – Elementy trzeba przenieść osobiście i je nastawić. Co oznacza, że jeśli kapsuły nie dostarczą żołnierzy, misja się nie powiedzie. W naszych ćwiczeniach używamy dryfującej atrapy formidzkiego statku. Podczas walki będą się one poruszały i w każdej chwili będą mogły zmienić prędkość i trajektorię. Jeśli tak zrobią, kiedy będą do nich zmierzać kapsuły, co jest wysoce prawdopodobne, to żołnierze nie trafią do celu i odpłyną w przestrzeń kosmiczną.

– ZG w żadnym razie nie jest systemem doskonałym – rzekł Waganow – ale jest najlepszym, jakim dysponujemy w tej chwili, a czas nam się kończy. Strata Kopernika wywołała poruszenie na całym świecie. Zaufanie do MF spadło do najniższego poziomu w historii. Sytuacja jest delikatna, Mazerze. Jeśli wydamy się słabi i nieudolni, moglibyśmy stracić wsparcie supermocarstw – Stanów Zjednoczonych i Chin, których podatki finansują Hegemonię i MF. To by nas osłabiło jeszcze bardziej.

Mazer skinął głową. Rozumiał sytuację.

– I tu jest miejsce dla ciebie – powiedział Waganow. – W celu uspokojenia ludzi Hegemon chce ogłosić, że mamy w arsenale nową broń, coś, co dowodzi, że jesteśmy przygotowani do czekającej nas walki.

– Zakłóczacz grawitacji... – rzekł Mazer.

Waganow skinął głową.

– Hegemon chce go ujawnić w obecności prasy. Kapsuły i ZG pokażą, że możemy uderzyć Formidów prosto w serce.

– To jest przedwczesne – stwierdził Mazer – i mylące. Nie wiemy, czy ZG zadziała. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie.

– Nie o to chodzi – powiedział Waganow. – Chodzi o to, żeby stworzyć wrażenie siły. To, czy ZG znajdzie się na polu bitwy, czy nie, jest nieistotne. Hegemon chce urządzić dla prasy widowisko, a my musimy w tym pomóc.

– Jak? – zapytał Mazer. – Inżynierowie nawet nie zaczęli testować aktywnych ładunków. Wciąż ćwiczymy z atrapami sześcianów.

– To się skończyło – stwierdził Waganow. – Jutro rano zaczniecie ćwiczyć z aktywnymi ładunkami.

Mazer nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Sir, do tej pory wszystkie symulacje komputerowe wykazywały, że materiał kadłuba reaguje w nieprzewidywalny sposób: na zewnątrz strefy detonacji powstają pęknięcia, jest mnóstwo odłamków... Poza tym inżynierowie wciąż kalibrują urządzenie. Powiedzą panu, że nie jest jeszcze gotowe...

– Rozmawiałem z nimi i wydałem im polecenia. Będą gotowi.

– Zapewniają pana, że będą gotowi, czy rozkazał im pan, żeby byli gotowi?

Przyjemna mina Waganowa zniknęła.

– Ostrożnie, Mazerze. Kwestionując moje rozkazy, przekraczasz granice.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, testowanie ZG na ludzkich statkach niewiele powie nam o tym, jak zareaguje materiał formidzkiego kadłuba – rzekł Mazer. – Będziemy ćwiczyć na arbuzach i wyciągać wnioski na temat kul do gry w kręgle.

– Jestem tego świadom, kapitanie. Nie mamy jednak formidzkich statków, na których moglibyśmy ćwiczyć. Statek zwiadowczy jest własnością Juke Limited, a firma nie chce nam dać do niego dostępu.

– Jeśli nastąpi awaria choć jednego elementu ZG, to zmieni się kierunek sił pływowych. Skutki mogą być katastrofalne. Fragmenty kadłuba mogą wystrzelić na zewnątrz i pociąć mój zespół jak papier.

– Zdaję sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa – powiedział Waganow. – Podobnie jak z trudności tego zadania. Dlatego wyznaczam do jego wykonania mój najlepszy zespół. Zaczniecie jutro o siódmej zero zero. Szczegóły przekażą ci moi adiutanci.

Waganow odwrócił się do biurka. To była odprawa.

No i masz, pomyślał Mazer. Waganow jednak nie okazał się sprzymierzeńcem. W gruncie rzeczy mógł się okazać nawet groźniejszy od biurokratów, bo chciał niepotrzebnie narazić na niebezpieczeństwo żołnierzy, żeby tylko zadowolić

przełożonych.

– Proszę o pozwolenie na złożenie formalnego sprzeciwu – rzekł Mazer.

Pułkownik Waganow nawet na niego nie spojrzał.

– Jeśli odczuwasz potrzebę chronienia swojej dupy, Mazerze, proszę bardzo.

Mazer nie mógł zrobić nic więcej. Wyprostował się, zasalutował i wyszedł bez słowa.

* * *

Zespół Mazera wyruszył następnego dnia o czasie. Żołnierzom przewodził Mazer w swojej kapsule. Tym razem ich cel stanowiła żniwiarka klasy C – statek z początków rozwoju przemysłu górniczego przeznaczony do przyczepiania się do małych asteroid położonych blisko Ziemi i przeciągania ich do stacji wydobywczej, gdzie górnicy pozyskiwali z nich całą rudę żelaza i metale szlachetne.

– Tak jak ćwiczyliśmy – odezwał się Mazer. – Sześciany mogą sobie być aktywne, ale nasze działania się nie zmieniają.

W odpowiedniej chwili odbił się od kapsuły, wylądował na powierzchni statku i uaktywnił podeszwy z nanocieczy. Trzy niewielkie ekrany z lewej strony jego wyświetlacza wewnątrzhełmowego pokazywały obraz z kamer jego towarzyszy, którzy wylądowali w pobliżu. Zespół poruszał się szybko. Jego członkowie przymocowali sześciany do kadłuba, osłaniając się wzajemnie. Tym razem nie będzie żadnej symulowanej walki. Mieli tylko dostać się na kadłub i zdetonować urządzenie.

Mazer wycofał się ze strefy detonacji i wraz z innymi odbił się w górę. Czuł napięcie. Zespół oddalał się od statku na czterech pasmach nanocieczy. Kiedy żołnierze osiągnęli maksymalną wysokość, liny przestały się rozciągać.

– Sześciany, wyrównać – powiedział Mazer, dając w ten sposób rozkaz uaktywnionym sześcianom, by rozpoznały się nawzajem, co było ostatnim krokiem przed uruchomieniem broni.

Ale ku jego przerażeniu tylko trzy z czterech urządzeń

wyemitowały zielone światło.

– Sześciany, wyrównać – powtórzył Mazer.

Nic się nie zmieniło. Jeden sześcian nie reagował.

Mazer włączył radio.

– Kontrola, tu kapitan Rackham. Mamy wadliwy sześcian. Proszę o pozwolenie na przerwanie testu, odbiór.

W radiu zatrzeszczał głos technika:

– Panie kapitanie, tu kontrola. Pańska prośba została odrzucona. Proszę przejść do ewentualności beta. Odbiór.

Mazer zmarszczył z wściekłością brwi, a potem odsunął złość na bok i skupił się na nowo.

Istniała ewentualność, że któryś z czterech członków zespołu zostanie zabity w walce lub zaginie podczas lotu albo któryś z sześcianów okaże się niesprawny, więc uwzględniono ją w planie misji. Trzy pozostałe sześciany mogły utworzyć jeden zamiast czterech nakładających się na siebie trójkątów. Siły pływowe nie byłyby wówczas tak mocne, a powstała wyrwa mogła być nieduża, lecz istniała nadzieja, że zespół nadal będzie mógł wejść do wnętrza statku i wypełnić misję.

Mazer zerknął na pozostałych.

– Sześciany, uruchomić ewentualność beta. Z upoważnienia kapitana Rackhama.

Zobaczył na wyświetlaczu, że trzy sześciany wyrównały i są gotowe.

– Zastosować – powiedział.

Wzmocnionym stalą kadłubem targnęła siła, która go rozdarła, jakby był zrobiony z cienkiego aluminium; poszarpane fragmenty poszycia wygięła do środka i poprzecinała kadłub rysami, jakby cały statek miał się zapaść do wewnątrz. Pół sekundy później wyrwa rozszerzyła się nierówno, pochłaniając jeden z sześcianów ZG i zaraz potem drugi. Statek przechylił się na bok, a jego kadłub pękał, rozdzierał się, załamywał. Mazer zawirował w miejscu, szarpnięty przez linę, i w kogoś uderzył. Krzyk bólu w słuchawce. Wokół fruwały odłamki, migając mu przed osłoną hełmu. Wirował, zdezorientowany, zaplątany we własną linę, a może w cudzą, potem uderzył w bok statku i odbił się od niego,

wymachując rękami. Poczuł w ramieniu ból i wibrację statku. A potem wibracja ustała.

Gwałtowne wydarzenia na powierzchni kadłuba ustały tak szybko, jak się rozpoczęły. Pęknięcia znieruchomiały i już się nie wydłużały, a krawędzie dziury przestały wyginać się do wewnątrz. Mazer jednak się nie zatrzymał. Nadal wirował w lewo, splątany liną z kimś innym.

Zwinął się w kłębek, sięgnął w dół, usiłując się zorientować w swoim położeniu, i chwycił linę przy kostce. Wtedy znowu uderzył w bok statku i uchwycił się szpary w kadłubie. Zrobił to odruchowo i przez pełną grozy chwilę myślał, że nierówna krawędź rozszarpie mu skafander. Ale nie, materiał wytrzymał.

– Dostałem – powiedział Shambhani głosem nabrzmiałym od bólu. – Zwijać.

Mazer dostrzegł go po swojej lewej stronie. Jego lina zwijała się, a Sham skulił się w kłębek. Mazer wstał, ledwie zachowując równowagę. Statek osuwał się powoli pod nim na bok, co sprawiało, że baldachim gwiazd też przesunął się w dezorientujący sposób w jedną stronę.

Mazer znalazł się przy Shامية w chwili, gdy ten dotarł do kadłuba. Odłamek przeciął mu łydkę, robiąc w skafandrze ziejącą dziurę. Rana była otwarta i sina, lecz nie wyciekała z niej krew. Samouszczelniający mechanizm skafandra uratował Shamowi życie przez poświęcenie jego nogi od kolana w dół. Dotarli już do niego Kaufman i Rimas, a Mazer wykrzykiwał przez radio rozkazy do ekipy ewakuacyjnej.

Zanim przybył statek medyczny i wciągnął ich wszystkich do środka, noga Shama poczerniała, a on sam miał płytki oddech. Sanitariusze natychmiast rozcięli kombinezon, wydobyli z niego rannego i się nim zajęli, lecz Mazer wiedział, że szanse na uratowanie nogi są bardzo nikłe. Zacumowali do stacji kosmicznej i Mazer podążył za noszami do skrzydła medycznego. Pielęgniarki zatrzymały go przed salą operacyjną i powiedziały, że nie wolno mu tam czekać. Miały się z nim skontaktować, kiedy będą coś wiedziały.

Mazer przez chwilę unosił się w korytarzu, dopóki nie

uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie kombinezon. Wyglądał strasznie.

Przemieścił się do koszar i wziął prysznic. Kiedy przebrał się w mundur, otrzymał na nakładkę wiadomość, że Shambhani stracił nogę, został przeniesiony do sali pooperacyjnej i nie wolno go odwiedzać.

Mazer poszedł prosto do gabinetu pułkownika Waganowa. Pomieszczenie było puste, ale Mazer zobaczył go przez duże okna w przylegającej do gabinetu sali konferencyjnej. Waganow stał przed jakąś nieznaną Mazerowi Azjatką, prawdopodobnie osobą cywilną. Garsonka, oficjalne zachowanie. Mazer nie słyszał ich rozmowy, lecz wydawało się, że to kobieta nadaje jej ton. Po kilku minutach Waganow skinął głową, włączył holostół i nawiązał połączenie. Po chwili w holopolu zmaterializowała się głowa Ukko Jukesa, Hegemona Ziemi. Wywiązała się krótka rozmowa. W pewnej chwili Waganow odtworzył dla Ukko w holopolu kilka filmików. Na każdym z nich inny zespół żołnierzy przeprowadzał test ZG na innym celu. Wszystkie sześciany były aktywne i z powodzeniem wydierały dziury w kadłubach. Mazer zauważył, że w każdym teście wszystkie cztery sześciany emitują zielone światło i są sprawne. Ostatni filmik pokazywał zespół Mazera. Waganow zatrzymał zapis na kadrze pokazującym cztery sześciany na swoich miejscach, z których tylko trzy świeciły i były gotowe do działania. Następnie puścił do końca filmik – który został przemontowany. Obrazy z różnych kamer przeplatały się w sposób pomniejszający siłę eksplozji. Całość wieńczył obraz dziury w boku statku. Shambhani nie pokazał się ani razu. Nie było akcji ratunkowej. Nie było zranionej nogi. Hegemon skinął z aprobatą głową, powiedział coś i zakończył rozmowę.

Mazer widział, jak Waganow i kobieta ściskają sobie uroczyście dłonie, po czym pułkownik wyprowadził ją z sali. Zastali Mazera w korytarzu. Waganow wyglądał na zaskoczonego.

– Kapitan Rackham, bohater chwili. Przedstawiam panu...

– Hea Woo Han – odezwała się kobieta i wyciągnęła do niego rękę. – Zrobił pan dziś doskonałą robotę, panie kapitanie.

Dziękuję.

– Pani Woo Han jest dyrektorem działu badań i rozwoju w Zakładach Gungsu – wyjaśnił Waganow.

Mazer zrozumiał. Gungsu było koreańską firmą zbrojeniową, która zaprojektowała zakłócacz grawitacji. W ciągu kilku lat z przedsiębiorstwa stosunkowo nieznanego w przemyśle zbrojeniowym stała się poważnym graczem na tym rynku.

– Pułkownik Waganow pokazał mi też pański projekt nano-tarczy – powiedziała Woo Han. – Jesteśmy zaintrygowani. Moi inżynierowie będą chcieli omówić go z panem. Myślę, że trzeba będzie wspólnie zbadać prototyp, a pan będzie pomagał naszemu zespołowi z ramienia WYWABiM-u. Pułkownik Waganow może omówić z panem naszą propozycję.

Teraz wszystko było jasne. To Waganow zależał od dostawcy sprzętu dla wojska, a nie na odwrót. Zakłady Gungsu miały go w kieszeni. To miało sens. Gungsu było przedsiębiorstwem inżynierów, którzy nie umieli poruszać się wśród wojskowej biurokracji. Potrzebowali wpływowych dowódców, mogących umieścić ich urządzenia na szybkiej ścieżce decyzyjnej, a także orientujących się w gąszczu biurokracji i metodach wykaszania rywali. Waganow przyszedł z Wydziału Zaopatrzenia. Czy to tam nawiązał kontakt z Gungsu? To mogłoby wyjaśniać gwałtowny awans zakładów. Miały sprzymierzeńca w człowieku, który wypisywał czeki.

Mazer zastanawiał się, co obiecano Waganowowi. Oczywiście nie bezpośrednie wypłaty. To byłoby zbyt ryzykowne, zbyt łatwe do wykrycia. Nie, to musiał być jakiś inny sposób zapłaty. Może obietnica stanowiska w zarządzie Gungsu po zakończeniu wojny, stanowiska z hojnym wynagrodzeniem i rolą konsultanta. Takie praktyki się zdarzały.

– Prezentacja poszła bardzo dobrze – oznajmił Waganow, kiedy wrócił. – Hegemonia była wdzięczna. Przedstawiłem Gungsu twoje zastrzeżenia wobec ZG, a firma wszystkie z nich uznała za uzasadnione. Chcą się zająć każdym problemem i sprawić, żeby urządzenie było jak najbezpieczniejsze. Nawiasem mówiąc, propozycja Woo Han, żebyś został ich łącznikiem, jest

prawdziwa. Zaaprobowałem ją. Możesz pomagać przy ZG i projektowaniu nanotarczy.

– Pomysł na nią nie był mój – rzekł Mazer. – Wymyślił ją kapral Shambhani.

– Tak, tak, w sprawozdaniu na pewno zostaną mu przypisane wszystkie zasługi.

– To kapral Shambhani stracił dzisiaj nogę przez odłamki, panie pułkowniku.

– Nie widziałem raportu medycznego, ale wierzę ci na słowo – stwierdził Waganow. – Jeśli ten pomysł wypali, to wkład kaprała przetrwa nawet po jego zwolnieniu z wojska ze względów zdrowotnych. Chyba że postanowi zostać. Potrzebujemy ludzi z pomysłami. – Pułkownik położył dłoń na ramieniu Mazera. – Nie bądź dla siebie zbyt surowy, kapitanie. Wiesz równie dobrze jak ja, że na ćwiczeniach zdarzają się wypadki. Dokładamy wszelkich starań, by ich unikać, ale zajmujemy się bronią. Wypadki są nieuniknione.

Tak, pomyślał Mazer. Jak zręcznie zrzucaś swoją winę na mnie.

Zastanawiał się, ile jest wart kontrakt na ZG. Cztery miliardy kredytów? Pięć? Kupienie pułkownika z Wydziału Zaopatrzenia, a potem umieszczenie go w dowództwie WYBABiM-u kosztowałoby zapewne o wiele mniej.

– Zakłady Gungsu muszą być panu wdzięczne za porady – powiedział.

Pułkownik odrzucił tę myśl ruchem nadgarstka.

– Teraz rozmawiamy o tobie, kapitanie. Takie okazje nie zdarzają się w MF często. Nie dostaniesz podwyżki żołdu, ale na dłuższą metę ci się to opłaci.

Na pewno, pomyślał Mazer.

– Są też inne korzyści. Będziesz musiał bywać w bazie Gungsu na Lunie, co pozwoliłoby ci czasem odwiedzić żonę. Mogę się założyć, że by ją to uszczęśliwiło.

– Owszem – zgodził się Mazer.

– Dobrze. Każę komuś przygotować dokumenty.

Ruszył do drzwi.

– Ten niesprawny sześcian... – powiedział Mazer.

Waganow zatrzymał się i odwrócił.

– To było celowe – rzekł Mazer.

Powinien wpaść na to wcześniej. Hegemonia na pewno zażądała, by przetestować wszystkie możliwe warianty. Ale ćwiczenie musiało się też zakończyć powodzeniem. Pułkownik dał więc działające sześcianny innym zespołom, a ten wadliwy podsunął żołnierzom najlepszym, by zwiększyć szansę na sukces mimo komplikacji.

– Hegemonia wymagała tych danych – powiedział Waganow. – Jeśli zdecydują się zastosować ZG, to musieliśmy wykazać, że jest uniwersalny i gotowy do użycia w walce.

– Jeśli? – zapytał Mazer. – To znaczy, że Hegemonia wcale nie prosiła o ZG... Poprosiła o coś, co uspokoiłoby świat, a pan zarekomendował im zakłócacz?

– Nie wiem, do czego zmierzasz, kapitanie – stwierdził Waganow ostrożnie.

– Pokazał im pan zakłócacz grawitacji... Ze wszystkich możliwych urządzeń dał im pan to, które nie było gotowe do zaprezentowania...

Po twarzy Waganowa przemknął wyraz gniewu.

– Kwestionujesz mój osąd, kapitanie?

– Kwestionuję motywację. Mamy tu dziesiątki urządzeń projektowanych przez innych dostawców. Dlaczego Gungsu? Dlaczego ZG?

– Moje motywacje? – zapytał Waganow. – Może zapomniałeś, kapitanie, ale w naszą stronę zmierza flota Formidów posiadająca większą siłę ognia, niż potrafimy to sobie wyobrazić. Ilu stracimy żołnierzy i pilotów, jeśli nie uda nam się wyeliminować choćby jednego z tych okrętów? Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Noga jednego człowieka to dopuszczalna cena. Mogą ci się takie wyliczenia nie podobać, ale taka jest arytmetyka wojny. Ciesz się, że straciliśmy tylko jedną nogę.

To była czcza dyskusja. ZG nic nie wskórają przeciwko okrętom wojennym. Waganow nawet to przyznał. Najwyraźniej porzucał logikę na rzecz jakiegoś innego planu. I zwyczajnie chciał uciszyć Mazera. Nie naciskaj zbyt mocno, pomyślał Mazer, dopóki nie

potwierdzisz swoich podejrzeń.

– Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku – powiedział i lekko skłonił głowę. – Moje emocje jeszcze nie ostygły, zapomniałem się. Shambhani jest moim przyjacielem i traktuję jego stratę osobiście. Przepraszam za moje niestosowne uwagi.

Waganow wyraźnie się odprężył.

– Rozumiem. To niefortunna sytuacja.

– Uważam jednak, że przekazanie nanotarczy Gungsu nie jest rozsądne – ciągnął Mazer. – Osiągnięcia tej firmy w dziedzinie nanotechnologii nie są tak dobre jak innych. Moim zdaniem projektowi bardziej by się przysłużyło oddanie go Juke Limited albo Galaktycznej Obronie.

Waganow wyglądał na rozbawionego, jakby właśnie usłyszał bezmyślną paplaninę dziecka.

– Zostaw to mnie, Mazerze. Byłem w Wydziale Zaopatrzenia. Mam dobre wyczucie możliwości firm.

– Nie wątpię, panie pułkowniku, ale kiedy Shambhani złożył wniosek patentowy, wyraźnie stwierdził, że nie chce, by nad tym projektem pracowało Gungsu. Myślę, że wyrazi sprzeciw.

Waganow spowaźniał.

– Cóż, bez względu na to, czy złożył wniosek patentowy, czy nie, Shambhani nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Jest pracownikiem MF, a zatem wszelkie prawa do własności intelektualnej należą do nas. Jeśli sądzi inaczej, jest głupcem. Projekt ma Gungsu i tam zostanie.

Lepszego potwierdzenia Mazer nie potrzebował.

– Wybacz mi pan, panie pułkowniku, ale nie mogę przyjąć stanowiska łącznika w Gungsu.

Waganowa znowu opanował gniew.

– To nie jest kwestia do dyskusji, Mazerze. Ja ci nie proponuję niczego do przemyślenia. Domaga się tego Gungsu.

– Z całym szacunkiem, nie mam zobowiązań wobec żadnej korporacji. Nie ma ich żaden żołnierz.

Podtekst był oczywisty i przez chwilę obaj milczeli. W zapadłej ciszy Mazer widział trybiki obracające się w umyśle Waganowa, trybiki, które mówiły: „On wie”. Nagle pułkownik ze swobodą

strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek.

– Zaskakujesz mnie, kapitanie. Sądziłem, że ktoś tak bystry wie, jak działa wojsko.

Przycisnął guziczek na swojej nakładce na nadgarstek i do pomieszczenia wszedł jeden z jego asystentów.

– Panie pułkowniku? – zapytał.

– Proszę wezwać dwóch żandarmów, żeby zaaresztowali kapitana Rackhama pod zarzutem niewykonania legalnego rozkazu oraz rażącego zaniedbania obowiązków, wskutek czego członek jego zespołu odniósł ranę.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział porucznik i wyszedł.

– Zgłosiłem formalny sprzeciw – rzekł Mazer.

Co oznaczało: Nie ja ponoszę odpowiedzialność.

Waganow zrobił zaskoczoną minę.

– Sprzeciw? Nie otrzymałem takiego dokumentu.

Implikacja była wyraźna. Nie istniał już żaden zapis sprzeciwu Mazera.

– Mamy jednak nagranie operacji – dodał Waganow. – Jestem pewien, że zostanie pan oczyszczony z zarzutów. W końcu.

Mazer wiedział, że to nie ma znaczenia. Nawet gdyby został uniewinniony, sąd wojskowy rzuci na niego cień. Skończy na statku zaopatrzeniowym w Pasie Kuipera z mopem w ręce. Nacisnął Waganowa zbyt mocno. Kopał wokół korzenia, by odsłonić prawdę, i przy okazji wykopał dołek dla siebie. Nie powinienem był tego ruszać, pomyślał. Ale nie. Shambhani zasługuje na coś lepszego. Na coś lepszego zasługują żołnierze, którzy zginą w kapsułach, kiedy zaczną się wojna. Podobnie jak Kim i wszyscy wolni obywatele Ziemi, którzy wierzą, że MF ich obroni.

Pojawili się żandarmi wojskowi. Byli uprzejmi, niemal skruszeni. Mazer znał ich obu. Byli dobrymi żołnierzami. Po upewnieniu się, że kapitan nie ma broni, skonfiskowali jego nakładkę i zamknęli go w odosobnionym pomieszczeniu, w którym miał czekać na przetransportowanie na Lunę na rozprawę przed sądem wojskowym. Wiedział, że już nie zobaczy swojego zespołu. Przegramy, pomyślał. Jeśli będą nam

przewodzić tacy ludzie jak Waganow, to Ziemia upadnie, a Kim umrze.

Nie mogę do tego dopuścić. Musi być jakiś sposób mimo korupcji i braku kompetencji. MF może być przegraną sprawą, ale wojna nie.

Rozdział 4

VICTOR

Do: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Od: niebrzytwaockhama@anonim.net

Temat: Wózek tunelowy

Victorze

Otrzymałem twój model 3D wózków tunelowych. Urządzenie proste, lecz użyteczne. Dziwię się, że nie dostajemy więcej wynalazków, które mogą pomóc żołnierzom w szybkim poruszaniu się po formidzkim statku. Teraz widzę, że taki nacisk położono na dostawienie nas na statki i przebicie ich kadłubów, że za mało uwagi poświęcono temu, jak mamy postępować, kiedy już znajdziemy się w środku.

Mam kilka uwag dotyczących głównie tego, jak żołnierze będą wsiadać do twojego wózka i z niego wysiadać. Naniósłem je na model (patrz załącznik). Zasadniczo pasy na ramiona i pachwinę wyglądają na bezpieczne, ale czy jest jakiś inny system, który pozwoliłby żołnierzowi wypiąć się szybciej? To, co masz, działa, ale podczas walki mogłoby się okazać śmiertelną pułapką. Może zaistnieć konieczność pośpiesznego opuszczenia wózka w celu przyjęcia pozycji obronnej albo przedostania się przez trudny otwór. Może zapięcie sterowane jednym ruchem. Coś, co pozwoli na natychmiastową swobodę działania poza zwykłym formidzkim układem tuneli.

I jeszcze jedno: czy twój wózek można by zmienić w coś w rodzaju uprząży dla żołnierza, która utrzymywałaby go pośrodku tunelu i pozwalała na poruszanie się przy minimum tarcia? Może zastosować wysięgniki powyżej i poniżej żołnierza? Przewiduję trudności w utrzymywaniu równowagi, ale jesteś

jedynym inżynierem z doświadczeniem w poruszaniu się zarówno w zerowej grawitacji, jak i wewnątrz formidzkiego statku. Zastanów się nad tym. Jeśli jedynym możliwym rozwiązaniem jest wózek tunelowy, to niech tak zostanie.

Mój dowódca zakazał mi ujawniania jakichkolwiek projektów nawet w bezpiecznych sieciach MF, więc na razie nie mogę się tym podzielić z innymi. Ponadto prawdopodobnie opuszczę WYBABiM i stanę przed sądem wojskowym. To długa opowieść. Same problemy.

Nie przejmuj się jednak. Kiedy skończymy, znajdziemy jakiś inny sposób, żeby przekazać to żołnierzom. Nawet jeśli nie będę już służyć w Międzynarodowej Flocie. Obaj wiemy, że istnieją nieoficjalne kanały, którymi można przepchnąć podstawowy projekt za plecami biurokratów i wdrożyć go do produkcji.

Stary Żołnierz

*Mazer Rackham: wybór korespondencji,
Archiwa Międzynarodowej Floty, DoCent, Luna*

Victor otworzył właz prowadzący do maszynowni. Buchnął mu w twarz kłęb gorącego czarnego dymu, od którego zapiekły go oczy i zaszczypało w nosie. Odkaszał w zgiecie łokcia i wyciągnął z kieszeni chustę, żeby osłonić sobie nią usta i nos. Migające światelko na nakładce poinformowało go, że pożar w maszynowni został ugaszony. Kulki z pianą, które zainstalował poprzedniego roku, zdały egzamin: nabrzmiały, pękły i zalały płomienie lepką białą pianą gaśniczą.

Victor odczuł niejaką ulgę, ale wcale się nie uspokoił. Jak daleko mają do najbliższego składu? Cztery miesiące? Pięć? Jeżeli ogień albo dym uszkodziły układ podtrzymywania życia, to rodzina może mieć poważne kłopoty.

Podpłynął do niego Magoosa i przytrzymał się uchwytu. W jego szeroko rozwartych oczach malowała się panika.

– Pożar?

Mały Somalijczyk był dobrym praktykantem, ale przestraszony

mógł popełnić błędy, więc Victor odpowiedział spokojnym tonem:

– Ogień zgasł, Gooso. Musimy jednak szybko przewietrzyć maszynownię. Poleć na drugą stronę i otwórz właz, żeby wypuścić dym.

– Wtedy dym wydostanie się na korytarz.

– Lepiej tak, niż miałyby zostać w maszynowni, gdzie może zatkać układy. Idź już.

Magoosa skinął głową, a potem ruszył bocznym korytarzem, kaszląc.

Victor zsunął gogle na oczy, wywołał na wyświetlacz główny komputer statku i kilkoma mrugnięciami włączył wentylatory w maszynowni. Następnie odciął korytarz, żeby dym nie rozszedł się po całym statku. Wiedział, że dym to powolny zabójca. Mógłby przedostać się do obwodów i komponentów, gdzie zostawiłby lepki czarny osad, na którym zbierałyby się kurz i maź. Od tego przegrzałyby się w końcu procesory, co doprowadziłoby do różnych awarii.

Złapał głęboko powietrze w płuca i przepchnął się przez właz w dym.

Maszynownia była ulokowana pośrodku statku i z obu stron obejmowały ją dwa główne korytarze. Mieściły się tu, ustawione jedno na drugich, wszystkie układy podtrzymywania życia: urządzenia do wytwarzania tlenu, wentylacji i oczyszczania wody. Przedostanie się z jednego końca pomieszczenia na drugi wymagało skręcania i wyginania ciała w stanie nieważkości, co wyglądało jak ruchy węża przeciskającego się przez trójwymiarowy labirynt. Według Victora to był zły projekt. Umieszczenie wszystkich układów podtrzymywania życia pośrodku statku chroniło je przed konsekwencjami zderzeń, lecz to też stwarzało zagrożenie. Gdyby jeden z nich się zapalił, mogłyby spłonąć wszystkie. A tu, w Pasie Kuipera, gdzie rodziny wolnych górników żyły tak daleko od siebie, że ratunek rzadko wchodził w rachubę, nawet niewielki pożar mógł mieć katastrofalne skutki. Powinienem być to wszystko poprzestawiać, kiedy miałem okazję, pomyślał Victor.

Kiedy przed dwoma laty przystał do tej załogi, sprowadził ze sobą wszystkie narzędzia i sprzęt konieczny do przekształcenia „Gagaka” ze statku złomiarского w górniczy, wydobywający surowce z asteroid. Wiertła, skafandry, piły, szybkatki... Same nowe technologie, i to z najwyższej półki. Ale przeróbka okazała się niełatwa. Statek złomiarский był zasadniczo lekką, szybką i zwrotną skrzynią o cienkich ścianach z układem napędowym. Górniczy stanowił jego przeciwieństwo: był mocny i niezniszczalny, by mógł wytrzymać moment obrotowy i działanie ciężkiego sprzętu, kiedy po zacumowaniu do asteroidy budował kopalnię.

W wypadku „Gagaka” oznaczało to wzmocnienie istniejących pokładników i zamontowanie nowych, dodanie kratownic, przyspawanie osłon do kadłuba – w zasadzie opancerzenie konstrukcji statku, przebudowanie go od wewnątrz. Victor chciał wtedy розміścić elementy układu podtrzymywania życia po całym „Gagaku”, lecz Arjuna – somalijski kapitan oraz ojciec Magoosy – sprzeciwił się temu pomysłowi, nie chcąc ryzykować uszkodzenia sprzętu podczas przenosin. Victor nie naciskał. Był wtedy tu nowy, był kimś z zewnątrz. A i tak zmienił sposób, w jaki rodzina zdobywała środki do życia. Czego jeszcze mógł wymagać? „Gagak” należał do Arjuna, nie do Victora. Więc poszedł na kompromis i nie poruszał już tej sprawy. To był błąd.

Victor chwycił się jakiejś rury i podciągnął do przodu. Z ulgą stwierdził, że rura nie jest za gorąca. To był dobry znak. Żar płomieni nie dotarł tak daleko. To dało mu cień nadziei.

Ale nadzieja zniknęła, kiedy tylko znalazł się na środku pomieszczenia, gdzie najwyraźniej zaczął się pożar. Zapalił się ekstraktor tlenu. Jego metalowa obudowa była gorąca, a pokrywająca ją farba zwęglona. Temperatura sprawiła też, że na krawędziach pojawiły się w niej pęcherze powietrza.

Victor odkręcił śruby i zdjął obudowę. Prawie się zakrztusił od swądu spalonego plastiku wewnętrznych elementów ekstraktora.

– Potrafisz to naprawić? – zapytał Magoosa.

Pojawił się u lewego boku Victora, przykrywając usta awaryjną

maską tlenową.

– Stopił się główny procesor – powiedział Victor. – Okablowanie też. Spaliło się.

Dotknął czubkiem wkrętaka jednej z płyt, która wklęsała, bo plastik zrobił się tak miękki.

– Poza tym wszystko pokrywa piana. Tego nie da się uratować.

– Ale potrafisz to naprawić, tak? – powtórzył Magoosa. – To jest ekstraktor tlenu. Jeżeli nie będziemy go mieli, nie będziemy mogli oddychać.

– W zbiornikach mamy rezerwę tlenu na kilka miesięcy – rzekł Victor. – Na razie będziemy polegać na niej, póki nie zdobędziemy jakichś części zamiennych.

– Skąd? – zapytał Magoosa. – Do najbliższego składu mamy kilka miesięcy drogi.

– Zrobimy je.

Szkutnicy wiedzieli, że awarie będą się zdarzać, więc inżynierowie ustandaryzowali wiele podstawowych części. Procesor pralki mógł być podobny do procesora ekstraktora tlenu albo nawet z nim identyczny. Victor musiałby po prostu wyjąć go z pralki, sporządzić formę i wydrukować duplikat.

– Więc możemy go naprawić – stwierdził Magoosa.

– Prawdopodobnie. Może. Ale w tej chwili naszym priorytetem jest pozbycie się dymu. Wyciągnijmy z warsztatu oczyszczacze powietrza i umieśćmy je w korytarzu. Potem wrócimy tu i oczyścimy otwory wentylacyjne.

Kiedy wyszli z maszynowni, zastali na korytarzu tłum ludzi. W tym miejscu dym się przerzedził i została tylko ciemna mgiełka. Wszyscy kaszleli i wykrzykiwali jednocześnie pytania.

– Cisza! – rozległ się mocniejszy głos. – Zróbcie mu trochę miejsca.

Ludzie się odwrócili i zobaczyli, że przy drugim końcu korytarza unosi się Arjuna, kapitan, który przybył z mostka. Arjuna przedstawiał imponujący widok. Somalijscy członkowie załogi byli w większości chudzi i przypominali bezdomne dzieci, lecz Arjuna miał szeroką pierś i bary oraz głos wymuszający posłuszeństwo.

– Ten korytarz trzeba przewietrzyć. Zabierzcie stąd dzieci.

Zza grodzi dorosłym przyglądało się kilkoro maluchów. Niektóre należały do wenezuelskiej rodziny Victora, lecz większość urodziła się somalijskiej załodze.

Tłum się rozproszył, zagarniając dzieci w stronę dalszego włazu. Magoosa oddalił się po oczyszczacze powietrza i w końcu Victor znalazł się sam na sam z Arjuną.

– Co się stało? – zapytał kapitan.

Victor powiedział mu o pożarze.

– Jeśli znajdę i zrobię odpowiednie części, być może uda mi się naprawić ET. Jeszcze nie wiem.

– Musisz mieć pewność, Vico. Bo są tu tylko dwie możliwości. Albo zostajemy na kursie do asteroidy i liczymy, że to naprawisz, albo udajemy się do jakiegoś składu i modlimy się, żeby wystarczyło nam rezerwy tlenu.

– Nie zrobiłem jeszcze obliczeń – rzekł Victor – ale jeśli się okaże, że mamy w zapasowych zbiornikach nadwyżkę tlenu, która da nam pewną swobodę ruchu, to poprosiłbym cię, żebyś mi pozwolił, abym spróbował naprawić ekstraktor przed podjęciem decyzji. Zużylibyśmy dużo paliwa na zmniejszenie prędkości i zmianę kursu, co oznacza, że po dotarciu do składu będziemy musieli je kupić. To mogłoby kosztować nawet ćwierć waszego rocznego dochodu. Jeśli jednak uda nam się dotrzeć do asteroidy, będziemy mogli za darmo uzyskać paliwo z lodu po oddzieleniu wodoru od tlenu.

– Zdaję sobie sprawę z tych wyliczeń, Vico. Chodzi mi o bezpieczeństwo załogi. Na tym statku znajduje się niemal setka ludzi, z których czterdzieścioro troje to dzieci. Jeśli wszyscy udusimy się z braku tlenu, to nie będzie miało znaczenia, ile pieniędzy zaoszczędzimy albo zarobimy. Podobnie jeśli dotrzemy do tej asteroidy z uszkodzonym ekstraktorem tlenu, to nie będzie miało znaczenia, ile zbierzemy lodu, skoro nie będziemy mogli go wykorzystać.

– Naprawię ET – obiecał Victor.

– Jesteś pewien?

– Na siedemdziesiąt procent. Będę wiedział na pewno, kiedy się

tam dostanę i spróbuję go odbudować. Daj mi czterdzieści osiem godzin. Jeśli do tego czasu nie naprawię wszystkiego, to skierujemy się do składu.

Arjuna zerknął w stronę maszynowni.

– Powinienem był pozwolić ci rozmieścić układy podtrzymywania życia po całym statku. – Pokręcił głową i westchnął. – Najpierw Kopernik, teraz to.

Victor wzruszył ramionami.

– To stary statek. Części zawodzą.

– Powinniśmy byli zostać w pasie asteroid i trzymać się odzyskiwania sprzętu – stwierdził Arjuna. – Pasowało nam to. Znałem się na tym. Mieliśmy kontakty, kupców, wszystko działało. Teraz jesteśmy na tym zamarzniętym pustkowiu, odłupujemy skały i lód i narażamy się na śmierć.

– Pozwól Magoosie i mnie to naprawić. Co godzinę będę ci przysyłać informacje o postępie prac.

Arjuna skinął głową i odpłynął w stronę mostka. Wkrótce wrócił Magoosa z oczyszczaczami powietrza i Victor pomógł mu umieścić je w korytarzach, a potem weszli do maszynowni z miniodkurzaczami.

– Myślisz, że Formidzi miewają takie problemy? – zapytał Magoosa. – Pożary, awarie i zwariowane naprawy?

– Prawdopodobnie – odparł Victor. – Lecz wiele ich urządzeń jest mechanicznych. Wykorzystują elektryczność w mniejszym stopniu, więc mają mniejsze zagrożenie pożarowe.

– Myślisz, że mógłby nas zaatakować formidzki myśliwiec?

– Wątpię – odparł Victor. – Nie ma powodu, żeby Formidzi pojawili się w tym sektorze. Nie ma tu żadnych celów wojskowych. To tylko garść skutych lodem skał i prawdopodobnie jedno z najbezpieczniejszych miejsc w całym Układzie. Dlatego twój tata zgodził się tu przylecieć. Jesteśmy bardzo daleko od obecnej trajektorii formidzkiej floty. Jeśli wejdzie prosto do Układu jak ten formidzki statek zwiadowczy podczas pierwszej wojny, to znajdzie się daleko stąd i nas ominie. MF stawi jej czoło w pasie asteroid i ją unicestwi.

– Wierzysz w to? Że zwyciężymy?

– Ostatnim razem zwyciężyliśmy – zauważył Victor.

Jeśli można nazwać zwycięstwem czterdzieści milionów trupów i spalenie na wiór całych południowo-wschodnich Chin, pomyślał.

– Tym razem będzie inaczej – powiedział Magoosa. – W pierwszej wojnie zmierzaliśmy się z pojedynczym statkiem. Tym razem zmierzymy się z dziesięcioma albo więcej.

– To będzie wyzwanie – zgodził się Victor. – Ale musimy wierzyć w MF, bo inaczej życie stanie się beznadziejne.

– Zaciągniesz się?

– Nie jestem żołnierzem, Gooso. Jestem mechanikiem.

– MF potrzebuje mechaników. Potrzebują wszystkich. W sieci jest lista setek stanowisk, które mają nadzieję zapełnić. Może tysiący.

– Potrzebują też wolnych górników, którzy będą ich zaopatrywać w żelazo i metale szlachetne. Mamy swój udział w ogólnym wysiłku tu, gdzie jesteśmy.

Magoosa zmarszczył brwi.

– Ale walczyłeś w pierwszej wojnie. Praktycznie ją wygrałeś. Jak teraz możesz odwracać się plecami do MF?

– Do nikogo nie odwracam się plecami. Nigdy nie służyłem w MF, Gooso. Po prostu dołączono mnie do grupy żołnierzy. Razem z Imalą znaleźliśmy się tam, gdzie byliśmy potrzebni, i pomogliśmy najlepiej, jak umieliśmy. Tylko tyle.

– Nie tylko. Imala mi opowiadała. Pomogłeś stworzyć technologię, dzięki której wygraliśmy wojnę.

– Nazywanie tego technologią jest trochę na wyrost. Składaliśmy do kupy to, co mieliśmy pod ręką. Teraz robimy to samo.

– Czasami widzę, jak coś szkicujesz na swojej nakładce na nadgarstek. Widzę, jak rysujesz urządzenia. Robisz to dla MF, tak?

– To są szkice, Gooso. Szkice. MF ma prawdziwych inżynierów od takich rzeczy. Ja tylko majsterkuję.

– Mogę się założyć, że zaprojektowałeś mnóstwo fajnej broni.

– Nie szkicuję broni. To nie jest moja specjalność. Projektuję

narzędzia, które mogą pomóc żołnierzom w wykonywaniu ich zadań.

– Wysłałeś któryś z tych pomysłów do MF?

Victor się uśmiechnął.

– MF nie ma skrzynki na pomysły, Gooso. Ale wysyłam moje szkice przyjacielowi. Żołnierzowi, którego poznaliśmy z Imalą w czasie wojny. Przysyła dobre uwagi.

Magoosa niemal upuścił odkurzacza.

– Znasz jakiegoś żołnierza?

Victor parsknął śmiechem.

– Nazywa się Mazer Rackham. Polubiłbyś go.

– Jaki jest? Duży? Silny?

– W gruncie rzeczy jest niewysoki. Ale jest Maorysem, więc wywodzi się z kultury wojowników. Jest bystry, zrównoważony, ma zdolności strategiczne. Jak przypuszczam, MF szuka tego u wszystkich żołnierzy.

– Zaciągnę się przy najbliższej okazji. Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby wyglądał Goosa. Zamierzam sam zabić wszystkie robale.

– Wojna jest przerażająca, Gooso. Jeśli masz jakieś romantyczne wyobrażenie na temat walki z Formidami, to jest ono niewłaściwe. Uwierz mi. Wojna by ci się nie spodobała.

– Bardzo by mi się spodobała. Mamy obowiązek bronić naszej planety i naszego gatunku. Każdy z nas może coś zrobić.

– To brzmi jak propagandowy filmik.

– Nie wierzysz filmikom? Nie uważasz, że mamy do spełnienia obowiązek?

– Owszem, mamy obowiązek bronić siebie, ale uważam też, że wojaczkę należy zostawić wyszkolonym żołnierzom – powiedział Victor.

– Ja zostanę wyszkolonym żołnierzem. Mogę się założyć, że potrafię posługiwać się bronią lepiej od innych.

– Masz czternaście lat, Gooso. Będziesz miał na to szansę dopiero za cztery lata.

– Są chłopcy niewiele starsi ode mnie, którzy skłámali co do wieku i dostali się do MF. Czytałem o tym na forach. Niedługo

będę mógł uchodzić za osiemnastolatka. Jestem wystarczająco wysoki.

– Szanse, że ojciec ci na to pozwoli, są zerowe. Poza tym znajdujemy się w odległości wielu miesięcy od jakiejkolwiek stacji rekrutacyjnej. Na razie musisz być z nami.

Magoosa zmarszczył brwi.

– Na razie.

Kiedy skończyli odkurzanie, Victor wywołał na nakładce schemat statku. Przejrzał go, zatrzymując się przy rozmaitych urządzeniach, by zajrzeć do ich wnętrza i zanalizować ich części składowe. Pralka nie miała odpowiedniego procesora, ale podobny znalazł się w piekarniku.

Kobiety pracujące w kuchni nie były tą informacją zachwycone.

– Chcesz rozłożyć piekarnik? – zapytała Ubox. Była drugą pod względem wieku żoną Arjuna i matką Magoosy. Wraz z trzema innymi członkiniami załogi prowadziła kuchnię. Teraz najwyraźniej coś piekły. Po angielsku mówiła lepiej od innych, lecz miała silny somalijski akcent. Skrzyżowała ramiona na piersiach i wbiła wzrok w Victora. – Jak mam gotować bez piekarnika, Vico?

– Potrzebuję procesora tylko na kilka godzin, żeby go skopiować. Potem przyniosę go z powrotem i zainstaluję.

– A jeśli go zepsujesz? – zapytała Ubox.

– To przez następne pół roku będziemy jeść zimną owsiankę. Czy to takie złe?

Posłał jej swój najpiękniejszy uśmiech, lecz jej to nie bawiło.

– Będziemy uważać – obiecał.

Razem z Magoosą wyjęli procesor i zanieśli go do warsztatu. Umieścili go w skanerze i zaczęli badać, które części będą mogli wydrukować, a których będą musieli szukać gdzie indziej.

Przez kilka godzin dobrze im szło. Wtedy w warsztacie pojawiła się Edimar i poprosiła Victora o rozmowę na osobności. Victor od razu poznał, że kuzynkę coś trapi. Jako obserwator rodziny Edimar zawsze pierwsza dowiadywała się o zagrażającym niebezpieczeństwie. Pracowała samotnie w bocianim gnieździe, odszyfrowując dane z Oka – komputera przeszukującego, który

analizował ryzyko zderzeń. Zatem jeśli Edimar była zaniepokojona, to nie bez kozery.

Victor wziął ją na bok.

– O co chodzi, Mar?

Edimar przygryzła wargę i się zawahała. Miała teraz osiemnaście lat i była dorosłą kobietą, ale czasami wydawała się o wiele młodsza. W ciągu kilku ostatnich lat stała się swego rodzaju znakomitością, bo to ona pierwsza zauważyła formidzki statek zwiadowczy, który przed pierwszą wojną zbliżał się do Ziemi. Miała wtedy zaledwie czternaście lat. A potem, po wojnie, kiedy wszyscy na Ziemi wciąż świętowali zwycięstwo ludzkości, Edimar wykryła zbliżającą się formidzką flotę i ostrzegła świat przed nadchodzącą drugą wojną. Teraz o ludziach, którzy mieli naprawdę dobry wzrok, mówiło się, że mają oczy Edimar. A jeśli ktoś dostrzegał coś, co przez długi czas było na widoku, lecz nikt tak naprawdę nie zwracał na to uwagi, nazywano to efektem Edimar. Edimar jednak nie przejmowała się tym zainteresowaniem sobą i zawsze odrzucała prośby o wywiad.

– Wyglądasz na zmartwioną – rzekł Victor.

– Raczej zdezorientowaną – odparła Edimar. – Chodzi o 2030CT.

Asteroida 2030CT stanowiła obecny punkt docelowy statku. Składała się z lodu, z wody oraz prawdopodobnie z żelaza, niklu i metali szlachetnych. Nie była to szczególnie interesująca skała. Miała niecałe dwa kilometry długości i lekko nietypową orbitę. Nie różniła się w zasadzie od miliardów innych asteroid.

– A co jest z nią nie tak? – zapytał Victor.

– Już nie odbija światła we właściwy sposób. Jest ciemna. Ciemniejsza, niż kiedykolwiek pokazywały to kamery. I stało się tak w ciągu kilku ostatnich tygodni. Filtry są w porządku. Wszystkie sprawdziłam. Ta skała po prostu zrobiła się ciemniejsza. Masz jakiś pomysł, co się mogło stać?

Victor zastanawiał się przez chwilę.

– Mogę się domyślać tak samo jak ty. Może coś zasłania nam widok? Pył kosmiczny?

– Może. Ale ta ciemność się utrzymuje. Gdyby to były jakieś

małe cząsteczki, powinny się już rozproszyć.

– Cóż, jesteśmy w Pasie Kuipera – stwierdził Victor. – Tę skałę prawdopodobnie pokrywa warstwa lodu i zamrożonego amoniaku. Może z czymś się zderzyła i lód odpadł. Wtedy skała pochłaniałaby światło.

– Pomyślałam o tym. Ale zobaczyłabym ten inny obiekt, a tak silne zderzenie wytrąciłoby ją z orbity.

– Może to kula śniegowa – rzekł Victor.

Kule śniegowe były zamrożniętymi pecynami żwiru spojonego lodem. W przeciwieństwie do zwykłych asteroid, zbudowanych z solidnych skał, rozpadały się na kawałki, kiedy tylko zaczynało się kopać.

– Jesteś pewna, że ta asteroida nie jest zajęta? Może jest tam jakaś rodzina, która rozbija ją kopaniem. Jeśli robi się mniejsza, to na pewno odbijałaby mniej światła.

– Nikogo tam nie ma. Obserwuję ją od dwóch miesięcy. Nie było tam żadnych węgielków.

Węgielkiem nazywano ślad termiczny, zwykle zostawiany przez napęd statku. Widziało się je najczęściej w podczerwieni, nawet z dużej odległości, zwłaszcza tutaj, gdzie było tyle otwartej przestrzeni kosmicznej. Węgielki były jak wielkie migające światła, ostrzegające wszystkich znajdujących się w odpowiedniej odległości, że w okolicy ktoś jest.

Victor wzruszył ramionami.

– Zabiłaś mi klina, Mar. Rozmawiałaś z Arjuną?

– Najpierw chciałam porozmawiać z tobą, bo mogło mi umknąć coś oczywistego.

– Ty znasz ten sprzęt, Mar, ja nie. Jeśli mu ufasz, jeśli sprawdziłaś filtry i wszystko działa, to porozmawiałbym z Arjuną.

Zawahała się.

– Nie spodoba mu się to.

– Powinien o tym wiedzieć. Może zechce wysłać przodem sondę albo na wszelki wypadek przerwie podejsście.

Skinęła głową.

– Racja. Porozmawiam z nim.

Opuściła warsztat, a Victor wrócił do pracy, ale nie opuszczała go myśl o ciemniejszej asteroidzie. To nie miało sensu. Czy Międzynarodowa Flota testuje jakąś nową broń? Coś tak potężnego, że odłupuje fragmenty obiektów kosmicznych? To było prawdopodobne. Wiele korporacji testowało nowe urządzenia w Pasie Kuipera, z dala od ciekawskich oczu konkurencji. Może MF robiła to samo.

Kiedy skaner skończył pracę, Victor z powrotem zamontował procesor w piekarniku. Razem z Magoosą siedzieli w maszynowni jeszcze długo po tym, jak zaczęła się ich pora snu. Mieli do wydrukowania wiele płyt i musieli pożyczyć na jakiś czas części składowe z różnych urządzeń – a także nieco zmodyfikować projekt ET, żeby go dopasować do tego, czym dysponowali – lecz w końcu, po niemal dwudziestu godzinach pracy Victor skończył spawać i włączył ekstraktor. Aparat zaszumiał cicho i zbudził Magoosę, który zasnął nieopodal. Chłopiec poklepał Victora po plecach.

– Widzisz? Tego właśnie potrzebuje MF. Mechaników, którzy potrafią czynić cuda. Inżynierów z odpowiednimi umiejętnościami.

Victor uśmiechnął się.

– Idź do łóżka, Gooso. Jest późno. Zanieśliśmy wszystkie nasze inne naprawy. Jutro musimy nadgonić zaległości.

Lecz słowa Magoosy kołatały mu się po głowie jeszcze długo po tym, jak chłopiec odpłynął i wszystko ucichło. Czy Victor dobrze zrobił, że się nie zaciągnął? Czy miał do wypełnienia we Flocie jakiś obowiązek?

Stuknął w nakładkę i sprawdził pocztę. Ucieszył się na widok e-maila od Mazera. Przeczytał go i zdziwił się, że Mazer ma stanąć przed sądem wojskowym. Jesteśmy skazani na zagładę, pomyślał. Jeśli dowództwo MF chce posłać do więzienia swojego najlepszego żołnierza, to ludzkość nie ma się po co modlić.

Mail zawierał załącznik. Bo Mazer sporządził uwagi na temat najnowszego projektu Victora, z którymi ten się całkowicie po ich przeczytaniu zgodził. Mechanizm zwalniający zaczęp rzeczywiście działał za wolno. Będzie musiał to przemyśleć. Albo

może nadszedł czas, żeby odrzucić ten projekt i zacząć od nowa.

Victor narysował jeszcze trzy szkice, ale ostatni kończył już, walcząc ze snem. Przetarł oczy i ziewnął.

– W sali sypialnej jest o wiele wygodniej – rozległ się czyjś głos.

Victor podniósł z zaskoczeniem wzrok. Z prawej strony między dwoma zbiornikami na wodę unosiła się Imala.

– Naprawiliście ET. Dobrze wiedzieć, że nie umrzemy. Poza tym nigdy w ciebie nie wątpiałam.

Podpłynęła do miejsca, w którym się wyciągnął, i ułożyła się przy nim. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Miała na sobie miękką piżamę z polaru i pachniała świeżym detergentem. Długie czarne włosy, tak charakterystyczne dla Apaczów, splotła w warkocz, który unosił się w powietrzu za nią. Victor delikatnie unióś jej podbródek i przyjrzał się jej twarzy. Niektórzy ludzie tracili urodę z bliska, kiedy każda drobna niedoskonałość stawała się boleśnie widoczna. Lecz nie Imala.

Uwierzyła mu, że zbliża się inwazja, kiedy wszyscy inni uważali, że Victor ma urojenia. Stała u jego boku, walczyła z nim, uratowała mu życie. A teraz go kochała. Nawet teraz, po kilku spędzonych razem latach, wciąż nie potrafił tego pojąć. Kochała go. Zwykłego, nieatrakcyjnego chłopaka. Czasami czuł się nawet nieco winny, że prosząc, by za niego wyszła, popełnił jakąś wielką niesprawiedliwość i pozbawił ją życia z osobą, na którą naprawdę zasługiwała. Ale oświadczył się jej. Nie umiał sobie wyobrazić, że inaczej może być szczęśliwy. Nie ustalili jeszcze daty ślubu, ale kiedy już to zrobią, to nie będzie wielkich przygotowań. Prawdopodobnie pobiorą się w ładowni.

– Gapisz się na mnie, Victorze Delgado.

– Podziwiam cię.

– Ale i tak się gapisz.

Wzięła do ręki jego nakładkę na nadgarstek i przejrzała rysunki.

– Co to?

– Szkice dla Mazera. Jedne pomysły dobre, inne złe. Głównie złe.

– Mnie się wszystkie wydają znakomite.

– Jesteś stronnicza.

- Co u Mazera?
 - Czekaj go sąd wojskowy.
- Spojrzała na niego z zaskoczeniem.
- Dlaczego?

Victor wzruszył ramionami.

- Bo bardziej im zależy na ocaleniu własnych karier niż ludzkości. Bo czują się zagrożeni przez bystrzejszych od siebie. Bo gardzą tymi, którzy mają talenty, jakich oni są pozbawieni... Wybieraj.

Imała westchnęła ze złością.

- Dlaczego ci, którzy powinni być u władzy, zwykle jej nie chcą, a ci, którzy ją mają, to na ogół dwulicowi intryganci, którzy doszli do niej po trupach?

Victor przez chwilę milczał.

- Czy podjęliśmy właściwą decyzję, Imalo? Czy słusznie dołączyliśmy do mojej rodziny?

Odsunęła się od niego i przyjrzała jego twarzy.

- Dlaczego tak mówisz? Kochasz swoją rodzinę.

- Tak, ale tak naprawdę to już nie jest moja rodzina. A przynajmniej nie rodzina, którą opuściłem przed wojną.

- Wiedzieliśmy o tym, kiedy tu przybyliśmy, Vico. Kiedy Arjuna przyjął do siebie twoją matkę, ciotki i wszystkie ich dzieci, powstała nowa rodzina. Nie dorastałeś w niej, ale teraz są to twoi bliscy. Przyjęli nas od razu, mimo że statek był już pełny, i traktują mnie jak swoją. Jeśli ktoś tu powinien się czuć obco, to ja. Nie jestem niczyją krewną.

- Jeszcze nie – powiedział z uśmiechem Victor.

- Jeszcze nie – zgodziła się.

Uśmiech Victora zniknął.

- Wiem, że masz rację. Ale czy powinniśmy tu być?

- Dlaczego w ogóle o to pytasz? Chodzi ci o Kopernika? Vico, to ty powiedziałeś, że nie weźmiemy udziału w tej wojnie, że tym razem na kogoś innego przyjdzie kolej walczyć.

- Wiem. I nadal tak uważam. Ale patrzę na Mazera, myślę o MF i całej tej biurokracji oraz przeszkodach, jakie się przed nami już piętrzą, chociaż Formidzi jeszcze się nie zjawili, i zastanawiam

się, czy powinienem tak tu się unosić i pozwalać na to wszystko.

– Nie dasz rady zwalczyć biurokracji, Vico. Próbowалаm to robić w Lunarnym Wydziale Handlu i nic nie wskórałam. Mając do dyspozycji wszystkie zasoby świata, MF jest tysiąc razy większa i tysiąc razy potężniejsza. Tej walki nie wygrasz.

– Nie twierdzę, że chcę się zmierzyć z Międzynarodową Flotą, Imalo. Zastanawiam się tylko, czy tu przydajemy się najlepiej. Szkoda, że nie słyszałaś, co mówił dzisiaj Goos. Bardzo chce się zaciągnąć. Kazałem mu wybić to sobie z głowy i zostawić walkę żołnierzom, ale czułem się jak hipokryta, jakbym usiłował przekonać samego siebie.

– Goos ma czternaście lat – rzekła Imalo. – I tak nie może się zaciągnąć.

Victor machnął ręką.

– Tak, oczywiście. Nie o to chodzi.

– A o co?

– Chodzi o to, że może on ma rację. MF potrzebuje mechaników tak samo jak pilotów, żołnierzy i lekarzy.

– Mechanika potrzebuje twoja rodzina, Vico. Kto by naprawił ET, gdyby cię tu nie było? Goos? Nikt na tym statku nie potrafi robić tego, co ty.

– Nie mamy więcej mechaników, bo wszyscy zaciągnęli się razem z tymi członkami załogi, którzy zrobili to wcześniej. Piętnaście osób z tej załogi, Imalo. Wiesz, jak się czułem, kiedy odeszli? Widziałaś tę dumę w oczach Arjuny?

Skrzywiła się.

– O to chodzi? O zdobycie szacunku Arjuny? O to, żeby być dumny z ciebie?

– Oczywiście, że nie. Ale kiedy myślę o Arjunie, myślę o twoim ojcu i wyobrażam sobie, że...

– O moim ojcu? – powtórzyła Imalo i wzdrygnęła się na sam dźwięk tego słowa. – Co on ma z tym wspólnego?

– On mnie nie aprobuje, Imalo. Uważa mnie za jakiegoś ciemnego górniką, który odciągnął jego córkę od wygod i bezpieczeństwa Ziemi. To, że jestem na tym statku, a nie w wojsku, według niego tylko potwierdza, że nie jestem ciebie

wart. Zapewne uważa mnie za tchórza.

Roześmiała się. Nie takiej reakcji się spodziewał. Zirytowała go tak, że się zaczerwienił.

– Dlaczego to jest zabawne? – zapytał.

– Bo czasami jesteś tak głupio uparty – odpowiedziała. – Już o tym rozmawialiśmy. Mój ojciec żadną miarą nie uważa cię za tchórza. Zlikwidowałeś całą formidzką armię, wszedłeś do brzucha bestii, do samego serca statku zwiadowczego. Bez żadnej broni. Ale nawet gdybyś tego nie zrobił, nie miałoby to najmniejszego znaczenia, ponieważ nie obchodzi mnie to, co myśli ojciec.

– Ale mnie tak.

– I sądzisz, że zmieni o tobie zdanie, jeśli się zaciągniesz? Nie jesteś Apaczem, Vico. O to chodzi. Dla mojego ojca jest ważne, żebym została z plemieniem, kontynuowała tradycje, kulturę, żebym dała mu małych Apaczów, którzy będą traktować go jak wodza. Nie możesz zmienić swojego DNA i spełnić tego warunku, więc przebolej to. Jesteś tym, kim jesteś.

– Świetnie. Ale nie podoba mi się, że musisz wybierać między mną i swoją rodziną.

– Tak się dzieje, kiedy ludzie się pobierają, Vico. Pryskają z domu. Odchodzą od rodziców. Moi rodzice zawsze będą mnie kochać. To się nie zmieni nawet z tobą u mojego boku. Poza tym mój ojciec cię nie zna. Z czasem zobaczy w tobie to, co ja, i uświadomi sobie, dlaczego cię kocham. Ale nie o to tu chodzi – ciągnęła Imala. – A przynajmniej nie całkiem. Tu chodzi o ciebie. Ty się boisz.

– Boję się? Czego? – zapytał Victor.

– Że przegramy tę wojnę, że zwyciężą Formidzi, że wszystko, czego dokonaliśmy, żeby zapewnić światu bezpieczeństwo, na nic się nie zda i że ty nie zrobisz niczego, by temu zapobiec. Tak samo zadręczałeś się ostatnim razem, przestałeś sypiać, aż zrobiłeś się tak niespokojny, że wciągnąłeś się w sam środek wydarzeń. A ja stałam przy tobie, nawet kiedy wydawało się to działaniem idiotycznym, szalonym i najbardziej niebezpiecznym. Stałam przy tobie i cię wspierałam.

– Nie tylko stałaś, Imalo. Zrobiłaś najwięcej ze wszystkich. Gdyby nie ty, ponieśliśmy porażkę. Tak mówi Mazer i ma rację.

Imala przez chwilę milczała, a potem wzruszyła ramionami.

– Dobra. No to się zaciągnę.

Victor zamrugał. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Dlaczego? Sam powiedziałaś, że MF potrzebuje pomocy we wszystkich dziedzinach. Finanse się chyba do nich zaliczają?

– Finanse?

– Audyty, śledzenie, monitorowanie, to, co robiłam przed wojną w Lunarnym Wydziale Handlu. MF przesuwają obecnie do stoczni w Pasie więcej środków i gotówki, niż kiedykolwiek widzieliśmy w historii. To potężne przedsięwzięcie logistyczne i finansowe. Do nadzorowania go potrzeba armii ludzi. Flota prawdopodobnie przyjęłaby mnie od zaraz.

Victor wpatrywał się w nią.

– Proszę cię, powiedz, że żartujesz.

– Ty jesteś potrzebny tutaj, Vico. Nie możesz opuścić swojej rodziny. Ja natomiast jestem tu tylko ciepłym ciałem. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam twoją rodzinę, ale moje obowiązki tutaj może przejąć każdy członek załogi.

– To nieprawda – stwierdził Victor. – Jesteś niezastąpiona. Jesteś najlepszą negocjatorką na statku. Dzięki tobie zaoszczędziliśmy na zaopatrzeniu dziesiątki tysięcy kredytów. Umiesz poruszać się po rynkach. Zbudowałaś model ekonomiczny, dzięki któremu utrzymamy się na powierzchni. Jesteś specjalistką od cel, podatków i tworzenia poduszek finansowych. Nie umie tego robić nikt inny na tym statku.

– Model już jest – rzekła Imala – kontrakty podpisane... Nie mam już tu zbyt wiele do roboty. Jasne, że mogę w kuchni piec chleb z Ubox, ale w MF mój wkład miałby prawdziwe znaczenie.

Mówiła poważnie. Widział to po jej minie. Pomysł zagnieździł się w jej głowie i Imala już sobie wyobrażała jego realizację. Victor widział, że nie zachwieje jej postanowieniem.

– Nie możesz się zaciągnąć, Imalo. Znalazłabyś się w niebezpieczeństwie.

– Niekoniecznie. Przeprowadzanie audytów i zawiadywanie finansami odbywa się na tyłach.

– A jeśli każą ci obsługiwać linie zaopatrzenia? To tam będziesz najbardziej potrzebna i przydatna – powiedział Victor. – A to oznacza pobyt na statku albo w składzie stanowiącym główny cel.

– Zakładasz, że Formidzi w ogóle wiedzą, co to jest linia zaopatrzenia, albo potrafią dostrzec jej wagę militarną i stwierdzić, które z naszych statków ją obsługują. To ty byłbyś narażony na niebezpieczeństwo, gdybyś się zaciągnął. Mechanicy będą potrzebni na froncie, w samym sercu walk, gdzie okręty ulegają uszkodzeniom. Jeśli ja się zaciągnę, dołożymy się do wspólnej sprawy, lecz w sposób minimalizujący ryzyko.

„Dołożymy”, powiedziała. My. Victor zrozumiał. Chciała się zaciągnąć, żeby on miał poczucie, że pomaga. Ofiarowywała się, żeby włączyć go w ten sposób w działania.

– Nie, Imalo. Nie zrobisz tego. Nie pozwolę mojej żonie iść na wojnę tylko po to, by zniwelować moje poczucie winy, że sam tego nie robię.

Uniosła palec.

– Po pierwsze, jeszcze nie jestem twoją żoną. Po drugie, nikt nie będzie mi dyktował, co mam robić w życiu, przynajmniej dopóty, dopóki się nie pobierzemy, a wtedy będziemy razem planować naszą drogę. Po trzecie, wcale nie działałam pod wpływem impulsu. Mnie też zmartwiła strata Kopernika. Od tamtej pory dręczy mnie ten sam niepokój, który ty odczuwasz. Jediną różnicą jest to, że ja mogę coś z tym zrobić, a ty nie.

Nie potrafił uwierzyć, że prowadzi tę rozmowę.

– Tak po prostu? – powiedział. – Postanowiłaś się spakować i odejść? Jak możesz traktować to tak nonszalancko?

– Nie traktuję tego nonszalancko. Patrzę na sytuację rozsądnie i wyrażam się jasno. Ty wywołałeś temat i im więcej o nim dyskutujemy, tym słuszniejsze wydaje mi się moje rozwiązanie. Nie odleciałabym od razu. Nie mogę tego zrobić. Po dotarciu do składu musiałabym znaleźć transport do stacji rekrutacyjnej. Oczywiście ślubu nie odwołujemy. Ale pobierzemy się potem.

Brzmiało to tak ostatecznie. Jak do tego doszło? Przyszłość Victora w jednej chwili stanęła na głowie. I była to całkowicie jego wina.

– Powinienem być cię poślubić rok temu – powiedział. Imala chciała mu przerwać, ale nie dopuścił jej do głosu: – Nie, powinienem. Gdybym ożenił się z tobą, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Byłem zbyt...

– ...niepewny?

– Skrępowany.

Zrobiła drwiącą minę.

– Czym?

– Sobą, Imalo. Tym. – Ruchem ręki ogarnął pomieszczenie. – Nie mam ci nic do zaproponowania.

– A czego twoim zdaniem pragnę? Luksusowego jachtu? Własnej załogi? Nie po to tu przybyłam, Vico.

– Wiem. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: wychodząc za mnie, obniżysz swój status. – Zaczęła protestować, lecz Victor uniósł rękę. – Nie domagam się uzasadnienia, Imalo. Po prostu stwierdzam prawdę. Aby tu przybyć, poświęciłaś wszystko: karierę, rodzinę, życie na Lunie. I w zamian za co? Za życie w klatce w Pasie Kuipera? Nic dziwnego, że chcesz się zaciągnąć. Tu musisz się dusić.

Zrobiła obrażoną minę.

– Tak właśnie sądzisz? Że chwytam okazję, by uciec?

– A chwytasz?

Rzucił to pytanie bez zastanowienia i natychmiast tego pożałował. Imala wyglądała na urażoną.

– Nie to chciałem powiedzieć.

Chciał cofnąć te słowa, cofnąć wszystko, zacząć tę rozmowę od początku i poprowadzić ją w zupełnie innym kierunku. Jakim sposobem tak to popsuł?

– Przykro mi, że tak to widzisz – rzekła w końcu Imala.

– Nie tak to widzę – odparł Victor.

I była to prawda. Wiedział, że Imala go kocha. Ale z jakiegoś powodu tak jej zależało, żeby odlecieć... Dlaczego tak szybko spodobał jej się ten pomysł? Czyżby chciała się stąd wydostać

i nawet sobie tego nie uświadamiała? Czy to jej podświadome pragnienie wyswobodzenia się z tego związku chwyciło okazję? Victor chciał to omówić dokładniej, ale Imala już się uniosła.

– Wychodzisz?

– Jestem zmęczona, Vico.

Pomyślał, że jeszcze coś powie, ale się mylił. Przepłynęła obok zbiorników na wodę i zniknęła.

Chciał popędzić za nią i przeprosić. Zaskoczyła go. Jej reakcja była niespodziewana. Omówmy to. Wiedział jednak, że rozmowa nie zmieni już jej decyzji. Oczywiście będą o tym dyskutować, lecz jej umysł już podążał w nowym kierunku. To nie był upór z jej strony; po prostu dostrzegła właściwą dla siebie ścieżkę postępowania i zaczęła nią podążać, odsuwając na bok emocje w imię tego, co uznała za większe dobro. To był jeden z powodów, dla których ją kochał. Była nieustraszona, stanowcza i silna.

Nie poruszył się. Większa jego część, ta zraniona, przytrzymała go na miejscu. Imala go opuszczała. Zapewniała, że się pobiorą, ale mogłoby do tego dojść tylko wtedy, gdyby wygrali wojnę, a ona po wszystkim wciąż by go kochała. I jedno, i drugie wydawało się nieprawdopodobne. Nawet gdybyśmy rzeczywiście zwyciężyli, pomyślał, wojna mogłaby ją zmienić. Może zmieniłaby ich oboje.

Pięć minut wcześniej obejmował ją, a ich przyszłość wydawała się pewna. Teraz tkwił między nimi klin. Nie, nie klin, rozdzielała ich przepaść, ogromna pusta przestrzeń, którą sam stworzył.

Uświadomił sobie, że nie powinien jej powstrzymywać. Jeśli czuje, że musi to zrobić, a on ją prawdziwie kocha, to powinien ją wspierać bez względu na to, jak brawurowe i niebezpieczne wydaje się jej postępowanie. Bo Imala miała rację. Rzeczywiście stała przy nim. Kiedy nikt inny nie chciał rozważyć jego pomysłów, ona pomogła mu je urzeczywistnić. Jak mógłby zrobić dla niej mniej?

Skrzypnął otwierany właz. Victor nie widział go ze swojego miejsca, ale założył, że to wróciła Imala.

– Vico? Jesteś tam?

To nie był głos Imali, tylko Edimar.

– Na górze przy ekstraktorze tlenu, Edimar.

Usłyszał, że kuzynka kluczy w labiryncie maszyn.

– Co tu robisz? – zapytał, kiedy dotarła do niego.

– Nie było cię w sali sypialnej, więc pomyślałam, że może wciąż jesteś tutaj. Wiem, dlaczego ta asteroida odbija mniej światła. Arjuna pozwolił mi wysłać przodem jedną z naszych sond.

Wepchnęła mu do rąk swoją nakładkę na nadgarstek. Na ekranie widniała fotografia zrobiona przez sondę. Z początku Victor nie rozumiał, na co patrzy. W otwartej przestrzeni kosmicznej znajdował się duży kulisty obiekt zbudowany z cienkich, krzyżujących się włókien i rozciągniętych między nimi błon. Wyglądał jak balon utrzymujący kształt dzięki kulistemu szkieletowi ze sznurka.

– Co to jest? – zapytał Victor.

– To jest 2030CT – odparła Edimar. – Wokół całej asteroidy została wybudowana osłona, balon albo jakaś cienka konstrukcja. Myślę, że wypełnia ją powietrze. Myślę, że jest natleniona.

Victor wpatrywał się w zdjęcie.

– Nie rozumiem. Czy to jakaś tajna placówka MF?

– Nie, spójrz na to z innej strony.

Przeciągnęła palcem po ekranie. Druga fotografia wyglądała identycznie, tylko że teraz ze środka skorupy coś wystawało, jakby została zbudowana wokół tego czegoś. Była to duża, skomplikowana metalowa konstrukcja w kształcie prostokąta z okrągłym silnikiem z tyłu.

– To układ napędowy – stwierdził Victor.

– I to nie zbudowany przez MF – powiedziała Edimar. – To jest obca technika, Vico. Na tej skale są Formidzi.

Rozdział 5

LEM

Krytycy Floty utrzymywali, że ponieważ Kopernik został zniszczony bez ostrzeżenia w ataku z bliskiej odległości, MF nie dokonała żadnych obserwacji wroga. To twierdzenie szybko zyskało popularność i zaufanie do Międzynarodowej Floty zaczęło spadać. Wyczuwając zmianę nastroju opinii publicznej, Międzynarodowa Flota spróbowała odzyskać silną pozycję poprzez przedłożenie Hegemonii dziewięćsetstronicowego dokumentu zatytułowanego Logistyczne wymagania obrony kosmicznej, w którym domagała się dodatkowych oddziałów, konstruktorów okrętów, funduszy i sprzętu. W związku z tym Hegemonia podniosła podatki, co doprowadziło do ogólnego pogorszenia sytuacji ekonomicznej. W wielu krajach, których gospodarka już znajdowała się w złym stanie – głównie w Azji Południowej, południowo-wschodniej Europie i Afryce subsaharyjskiej – doprowadziło to do racjonowania żywności, zamieszek i uaktywnienia się rewolucyjnej partyzantki.

Brak towarów i zmniejszone budżety federalne sprawiły, że pod koniec roku kontrakt demograficzny podpisało dziesięć kolejnych narodów, w wyniku czego na całym świecie tylko sześć narodów nie stosowało się do jego założeń, a wywołane tym międzynarodowe oburzenie zaczęło grozić wybuchem nowej wojny. Wszyscy wiedzieli, że rozniecanie walk wśród ludzi, kiedy zbliża się wróg zewnętrzny, to dowód niepoczytalności; lecz dla ludzkiego poczucia sprawiedliwości było nie do zniesienia, że niektórym narodom w dalszym ciągu pozwalano zwiększać swoją liczebność kosztem narodów stosujących zasadę dwojga dzieci.

Lem Jukes siedział przed swoim zespołem dyrektorskim w głównej siedzibie Juke Limited pod powierzchnią Luny i bardzo się starał zachować spokój.

– Pozwól, że ci przerwę, Serge – powiedział na tyle głośno, by jego głos dotarł na koniec sali, gdzie przemawiał mężczyzna nieco po trzydziestce.

Serge przerwał w połowie zdania i zamarł z wyciągniętą ręką, pokazując na wykres w holopolu. Lem uśmiechnął się z przymusem.

– Czy mam rozumieć, Serge, że Europejski Związek Hutników znowu grozi strajkiem?

Serge się nie poruszył.

– Tak jest, panie Jukes.

– Możesz opuścić rękę, Serge.

Mężczyzna posłuchał. Lem westchnął. Co ja bym dał za elastyczną rękę, żebym mógł sięgnąć przez salę i nim potrząsnąć. „Zrób mi przysługę, Serge – chciał powiedzieć – i wyhoduj sobie kręgosłup. Może i jesteś tylko zastępcą dyrektora do spraw eksploatacji, a więc znajdujesz się o kilka szczebli niżej od wszystkich innych w tym pomieszczeniu, ale w tej chwili musisz się zachowywać jak dyrektor naczelny. Bo prawdziwy dyrektor naczelny, kobieta, która miała kręgosłup i dobrze nami kierowała, jak wielu innych bardzo ważnych graczy w tej firmie podjęła pracę u mojego ojca w Hegemonii, zostawiając mnie z gnidami i ofermami”. Lecz Lem nie powiedział tego na głos. Zamiast tego uśmiechnął się uprzejmie, złożył dłonie i rzekł:

– Chcę dobrze zrozumieć. EZH, wobec którego właśnie poszliśmy na duże ustępstwa i który jest odpowiedzialny za połowę wrzodów żołądka w tej sali, wysuwa nowe żądania?

Serge przełknął ślinę.

– Tak jest, panie Jukes.

– Otóż mnie to bawi. A ciebie, Serge? Beczka śmiechu. Bo ci ludzie naciskają i naciskają coraz bardziej. W tym kamieniu nie ma już więcej wody, Serge. Studnia jest pusta. Ale, aby kontynuować żart, powiedz nam, proszę, czego żądają tym

razem. Może dziewięciu miesięcy płatnego urlopu? Darmowej opieki zdrowotnej dla ich ulubionych krajów? Może służącego, który będzie im wycierał nos, kiedy się nabawią katarku?

Kilku dyrektorów parsknęło śmiechem. Lizusy, pomyślał Lem. Węże, które przymilają się i udają, że dzielą jego zainteresowania, tylko po to, by nie wypaść z jego łask. Gdyby nie byli tak dobrymi fachowcami, Lem już dawno wyrzuciłby ich z pracy. Inni dyrektorzy, którzy byli na tyle bystrzy, że dobrze odczytali intencje Lema, zachowali milczenie i wpatrywali się w swoje kolana.

Sala zebrań była usytuowana pośrodku głównej siedziby firmy, którą stanowił rozległy układ tuneli na Lunie, tuż za miastem Imbrium. Lem usunął niedawno stąd duży stół konferencyjny z drewna klonowego wraz z krzesłami i zastąpił je wygodnymi skórzanymi fotelami klubowymi. Jego zamiarem było stworzenie zespołowi dyrektorskiemu swobodniejszej atmosfery podczas takich spotkań jak to, lecz zaczynał się zastanawiać, czy ta zmiana nie przyniosła efektu wręcz przeciwnego. Zamiast zebrać się jako grupa przy jednym stole, teraz każdy stanowił oddzieloną od innych wyspę i czuł się bezbronny.

Zobaczywszy, że nikt nie śpieszy mu na pomoc, Serge zajrzał do swoich notatek.

– Panie dyrektorze, większość ich żądań dotyczy zagwarantowania przez nas pracy członkom związku. Na przykład domagają się, by przynajmniej trzydzieści procent hutników zatrudnionych przez nas poza orbitą Marsa było członkami EZH.

Lem roześmiał się i pokręcił głową.

– To nie do wiary. Zakładałam, że zdajesz sobie sprawę, ile tam jest związków zawodowych.

– Tak jest, panie dyrektorze. Dość dużo.

Lem przy każdej nazwie odginał palec:

– Są Europejczycy i związek z Bliskiego Wschodu oraz związek ze Stanów Zjednoczonych, związek północnoafrykański, australijski, brazylijski, argentyński i niemiecki, ponieważ mimo że Niemcy są w Europie, to z jakiegoś względu potrzebują

własnego związku. – Zwrócił się do mężczyzny po swojej lewej stronie, Norji Ramdakana, głównego księgowego. – O kim zapomniałem, Norjo?

– O Kanadyjczykach.

– Ach, tak. Jak mogłem zapomnieć o tych cudownych Kanadyjczykach? Dostrzegasz jakiś problem, Serge? Jeśli ustąpimy Europejczykom i obiecamy im trzydzieści procent naszych miejsc pracy, to czego zażądają wszystkie inne związki?

Serge się zawahał.

– Też trzydziestu procent?

– Nie. Zażądają trzydziestu pięciu albo trzydziestu siedmiu procent. Bo, rozumiesz, Kanadyjczycy powiedzą, że mają silniejszą etykę pracy, a zatem w naszym najlepszym interesie jest zatrudnienie ich w większym wymiarze. A północni Afrykanie przypomną nam o swoich znakomitych wynikach produkcyjnych albo o wyjątkowych wskaźnikach bezpieczeństwa, i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie dali im trzydziestu trzech procent. Widzisz, dokąd to zmierza, Serge? Widzisz, jaki mógłby z tego powstać problem? Wszystkie te składniki sumują się w liczbę przekraczającą sto procent. A zatrudnienie większej liczby pracowników, niż potrzebujemy, nie jest odpowiedzialne pod względem finansowym. To nie jest dobry interes. Zgodziłbyś się z tym?

Serge skinął głową.

– Całkowicie, panie dyrektorze.

– Więc co zamierzasz im powiedzieć? – zapytał Lem.

– Powiedzieć?

– Tym z EZH, Serge. Tym nienasyconym szefom związkowym, którzy proszą o gwarantowane trzydzieści procent. Jakie im wyślesz przesłanie?

Serge otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz pierwszy odezwał się Lem:

– Odmówisz im, Serge. Powiesz im, że to, co proponują, jest nieracjonalne i obraźliwe wobec samej idei zjednoczonej globalnej obrony. Czy MF upiera się, żeby trzydzieści procent jej żołnierzy pochodziło z Europy? Nie. To byłoby niemądre. To

byłoby głupie wojskowe myślenie. Nie zatrudnia się ludzi dlatego, że pochodzą z Europy. Zatrudnia się ich dlatego, że potrafią wykonać swoją pracę. To właśnie im powiesz, Serge. Powiesz im, że jedyną liczbą, o jaką się martwimy w tej firmie, jest sto procent. Sto procent naszych pracowników jest kompetentnych, zdyscyplinowanych i oddanych naszej sprawie, a jeśli nie, to przestają być naszymi pracownikami bez względu na to, jaką flagą wymachują, jakim mówią językiem albo jakiej drużynie kibicują na olimpiadzie. A jeśli EZH nie spodoba się ta odpowiedź, to możesz ich grzecznie poinformować, że w innych związkach jest mnóstwo hutników, którzy spełnią nasze potrzeby produkcyjne. To proste. A kiedy następnym razem EZH spróbuje nas do czegoś zmusić, zajmiesz się tym sam. Nie postawisz tego na naszym zebraniu.

Policzki Serge'a się zaczerwieniły.

– Oczywiście, panie Jukes. Mój błąd.

Przeciągnął ręką przez holopole, likwidując swoją prezentację, a następnie wrócił na swoje miejsce i zaczął coś notować na tablecie. Nie patrzył nikomu w oczy.

Zmieniam się w mojego ojca, pomyślał Lem. Staję się korporacyjnym despota. Brakuje mi tylko cygara i grymasu niezadowolenia.

Nastrój w sali się zmienił. Teraz panowała w niej sztywna atmosfera. Nikt nie sypał żartami ani nie prowadził luźnej rozmowy. Górę wziął zimny, twardy biznes.

– Kto następny? – zapytał Lem.

Wstawali kolejno inni dyrektorzy i składali sprawozdania o sytuacji w swoich działach. Lem zauważył, że być może z obawy przed jego ostrą krytyką niektórzy zmieniali w biegu taktykę, pomijając slajdy i hologramy, a nawet opuszczając całe fragmenty prezentacji. Uświadomił sobie, że wszyscy przypominali pozbawione kręgosłupa gnidy. Jednego przyszpiliłem do ściany i teraz wszyscy się kulą. Wspaniale. Zaraz kolejni uciekną ze statku.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy otrzymał sześć rezygnacji od dyrektorów najwyższego szczebla. Czterech z nich pracowało

dla firmy dziesiątki lat; pomogli ojcu Lema, Ukko, zbudować ją od zera. Wszyscy byli lojalni, błyskotliwi, godni zaufania. Ojciec zwabił kilku z nich do Hegemonii. Innych odciągnęła konkurencja albo raczkujące korporacje, które miały nadzieję powtórzyć niedawny sukces Juke Limited. Bo firma odnosiła sukcesy. Teraz jeszcze nawet większe niż dawniej. W ciągu trzech lat od czasu objęcia przez Lema stanowiska dyrektora naczelnego Juke Limited rozwinęło górnictwo asteroid i rozszerzyło działalność na zaawansowaną broń, awionikę, nanotechnologię i kilkanaście innych dziedzin, nie mówiąc o budowie okrętów dla Międzynarodowej Floty, co generowało więcej dochodów niż wszystkie inne działy razem wzięte. Zarobki strzeliły pod niebo, akcjonariusze byli wniebowzięci. Lecz tu, wśród dyrektorów działów, Lem dostrzegał pęknięcia w tej wieży z kości słoniowej.

– Możemy na tym skończyć? – rzucił nagle.

Dyrektor, który właśnie prowadził prezentację, zamarł.

– Usiądź, Koshimi – polecił Lem.

Dyrektor posłuchał.

– Dlaczego nikt nie mówi o Koperniku? – zapytał Lem.

Dyrektorzy wymienili między sobą spojrzenia.

– My go zaprojektowaliśmy i my go zbudowaliśmy. Może oddaliśmy nad nim kontrolę Hegemonii, ale ten satelita to nasze dziecko. A teraz zmienił się w kosmiczny pył. Dlaczego tego nie omawiamy?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Dyrektorzy spoglądali po sobie, aż wreszcie pochylił się do przodu Naiyoni, dyrektor działu awioniki.

– A co tu omawiać, Lemie? Zespoły w B&R przejrzały dane. Nic nie znalazły. Nie ma żadnego dowodu na to, że do satelity zbliżył się jakiś obiekt. Po prostu zniknął.

– I nikt nie jest ciekawy dlaczego? – zapytał Lem. – Satelita, którego zaprojektowaliśmy, by widział wszystko, nie widział wszystkiego. To w nikim nie budzi niepokoju?

– Myślę, że wszyscy jesteśmy zaniepokojeni, panie dyrektorze – odezwał się Serge. – Nie wiemy jednak, co na to poradzić.

Lem odchylił się na oparcie fotela, zaskoczony, że Serge przerwał milczenie. Może jednak ma jakiś kręgosłup. Zobaczmy.

– Mów dalej – zezwolił.

– Kiedy usłyszałem tę wiadomość, najpierw zadałem sobie pytanie, które zapewne zadawaliśmy sobie wszyscy: Czy możemy zapełnić tę lukę jakimś innym satelitą? Czy możemy ustawić kolejną parę oczu i znowu mieć widok na formidzką flotę?

Lem machnął lekceważąco ręką.

– To niemożliwe. Z wielu powodów. Kopernik został zbudowany ponad dekadę temu. Jego oprzyrządowanie było rozpaczliwie przestarzałe. Gdybyśmy mieli zbudować satelitę, który by go zastąpił, musielibyśmy zaprojektować go na nowo. To przynajmniej rok albo dwa lata pracy. Potem musielibyśmy go skonstruować i umieścić na skraju kosmosu. To kolejne dwa lata. Wtedy wojna będzie szaleć na dobre. Jeśli nie będzie już zakończona.

Serge pokiwał głową.

– Doszedłem do takiego samego wniosku, panie dyrektorze. Potem więc zadałem sobie pytanie, czy moglibyśmy zmobilizować jednego z istniejących satelitów Paralaksy i może przesunąć go w stronę floty.

– Nie da się – stwierdził Lem. – One znajdują się na stałych orbitach i nie potrafią się poruszać wystarczająco szybko, by zająć użyteczną pozycję w dobrym czasie.

– Tak mi powiedzieli inżynierowie – rzekł Serge.

A więc się rozpytywał, pomyślał Lem. Interesujące. Przynajmniej ktoś się tym zajmował.

– Jest możliwość zbudowania satelity w Pasie Kuipera – odezwał się Naiyoni. – Mamy tam kilka stacji. Ale nie są wyposażone do takiego zadania, a i tak potrzebowalibyśmy czasu na projektowanie. Wątpię, by po ukończeniu taki satelita był jeszcze potrzebny. Formidzi znajdowałiby się już na tyle blisko, że można by ich śledzić istniejącymi teleskopami.

– Dlaczego nie mamy planu zapasowego? – zapytał Lem. – Dlaczego się na to nie przygotowaliśmy?

Dyrektorzy wymienili spojrzenia. Nikt się nie odezwał.

– Ten satelita był naszym najważniejszym urządzeniem wojskowym – powiedział Lem. – Właśnie na jego stratę nie mogliśmy sobie pozwolić. A nie zrobiliśmy niczego, by go chronić. Zostawiliśmy go bez żadnego zabezpieczenia.

Po chwili niezręcznej ciszy odezwał się Naiyoni:

– Lemie, Kopernik należał do MF. Zbudowaliśmy go, owszem, ale teraz to było dziecko floty.

Lem zmarszczył brwi.

– A więc to вина MF? Nie. To nasza вина. To my jesteśmy cholerną MF. Może nie nosimy ich błękitnych mundurów i nie salutujemy sobie nawzajem na korytarzach, ale jesteśmy ich największym dostawcą prawie wszystkiego. Jesteśmy ich mózgiem. Jesteśmy ich siłą. Jesteśmy bronią, którą mają w rękach, i okrętami, którymi latają. Nie czekamy, aż nam powiedzą, czego potrzebują. To my im mówimy, czego im trzeba. To my pokazujemy im słabe punkty w obronie. My powstrzymujemy ich przed robieniem głupich błędów. Oni nie są inżynierami, tylko żołnierzami. A żołnierz jest tak skuteczny jak jego sprzęt. To nie Międzynarodowa Flota wygra tę wojnę, tylko my. Myślicie, że zrobią to te palanty z Zakładów Gungsu? Albo z Symochrony? Albo z Galaktycznej Obrony? Ci goście to wypierdki. W Gungsu każą żołnierzom latać w trumnach, na litość boską, i rozbijać kadłuby tandetnymi manipulatorami grawitacji. Nie wyrządzą najmniejszej szkody formidzkiemu kadłubowi, mimo to MF je kupuje. Rozumiecie, do czego zmierzam? Nie możemy zostawić wojny Międzynarodowej Flocie. Jeśli to ona będzie rządzić, zginiemy. Połowa jej dowódców to biurokraci. Druga połowa jest zbyt zajęta wzajemnym zwalczaniem się. Jeśli za pięć lat gatunek ludzki będzie jeszcze istnieć, to dzięki ludziom w tym pomieszczeniu. Dzięki nam. MF może przypisać sobie wszystkie zasługi. Świat może uczynić jej dowództwo bohaterami. Ale prawdziwie genialne pomysły mają się rodzić u nas. Jeżeli każdy z nas nie będzie w to wierzyć, to mamy przechlapane. Nie tylko jako firma, ale też jako gatunek.

Nikt nic nie powiedział ani się nie poruszył. Lem odchylił się na oparcie fotela i czekał.

– Czy nikt nie ma nic więcej do powiedzenia?

Nie.

– A zatem chyba możemy zamknąć posiedzenie.

Wszyscy prócz Lema i Ramdakana wstali i wyszli z sali tak szybko, jakby właśnie pojawił się w niej unoszący się w powietrzu wirus.

– Ty to umiesz zakończyć zebranie – rzekł Norja – muszę ci to przyznać.

– Wszystko, co powiedziałem, to była prawda, Norjo. Dobrze o tym wiesz.

– Prawda twojej płomiennej przemowy nie ma znaczenia. Śmiertelnie wszystkich przeraziłeś.

– To dobrze – uznał Lem. – Może trochę się przejmą. Jeśli będziemy zadufani w sobie, to utoniemy.

– Mówisz, jakbyśmy osiągnęli poziom stabilizacji, Lemie, podczas gdy ciągle znajdujemy się w fazie wzrostu. W ostatnim kwartale mieliśmy najwyższe zyski w historii.

– To nie ma znaczenia, Norjo. Kogo obchodzą nasze zyski?

– Udam, że nie powiedział tego dyrektor naczelny tej firmy – rzekł Norja.

– Odnosimy sukcesy dzięki popytowi – powiedział Lem. – Możemy zrobić kanapkę z szynką, nazwać ją karabinem i MF ją kupi. Tylko spójrz na te wszystkie śmieci, które kupuje od Gungsu... Dodam, że im też się bardzo dobrze powodzi. Gungsu tarza się w pieniądzach. Lecz sukces finansowy nie sprawi, że wygramy tę wojnę. Nie możemy skupiać się wyłącznie na wynikach finansowych, Norjo.

– Cieszę się, że mówisz „wyłącznie”. Przez chwilę myślałem, że całkowicie pominąłeś ich wagę.

– To oczywiste, że musimy zachować płynność finansową. Musimy wytwarzać zysk. Ale to jest sprawa trzeciorzędna.

– A jakie są pierwsze dwie?

– Zabijanie Formidów i utrzymywanie żołnierzy przy życiu.

– A nie wypchnięcie Gungsu z rynku? – zapytał Norja.

Lem się uśmiechnął.

– To byłaby przyjemna premia.

Norja popatrzył uważnie na szefa i zmarszczył brwi.

– Byłeś trochę zbyt surowy dla Serge’a. Jest przecież na zastępstwie. Stara się jak może.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie współczucie, Norjo? To jedna z oznak apokalipsy. Czy księżyc przyjął już krwawą barwę? Można by pomyśleć, że zauważyłbym to, skoro znajdujemy się na Księżycu i w ogóle.

– Upokarzanie dyrektora to zły sposób zarządzania, Lemie. Nie wzbudza lojalności. Przyśpiesza odejście.

Lem westchnął i rozsiadł się wygodniej.

– Wiem.

– Jeśli nie będziesz uważał, to opuści nas jeszcze więcej ludzi. Nie możemy sobie na to pozwolić. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, to wyssanie naszych zasobów ludzkich przez twojego ojca. Jeśli stracimy jeszcze jednego dyrektora, to rozpisze się o tym prasa. Nazwie to exodusem, drenażem talentów, końcem złotego okresu Juke Limited. A zła prasa może doprowadzić do plajty. Spadną akcje. Zmniejszy się zaufanie klientów. Spłoszą się partnerzy. A wszystko dlatego, że dranie z mediów chcą mieć ciekawą historię. Och, co by to była za historia! Plebejusze uwielbiają patrzeć, jak potykają się wielcy.

– Wiem – powtórzył Lem.

– Ukrzyżowałeś tego gościa, Lemie, a powinieneś być mądrzejszy. Teraz będzie jak trucizna. Nikt nie będzie chciał z nim pracować, żeby nie splamić swojego dobrego imienia. Co tylko sprawi, że trudniej mu będzie wykonywać swoją pracę. Będzie wyłączany z zebrań, pomijany przy rozsyłaniu informacji... Właśnie wykopałeś mu grób.

– Teraz wcierasz sól w ranę, Norjo.

– Ranny jest Serge, Lemie. Nie tak prowadzi się firmy. Ten styl zarządzania wygaś jakiegoś sto lat temu. W ten sposób robi się sobie wrogów.

– Zwykle taki nie jestem – rzekł Lem. – Zwykle jestem dość miły.

– Zwykle – zgodził się Norja.

– Serge powinien więc odnieść jakiś sukces – stwierdził Lem. –

A potem na następnym zebraniu bardzo go pochwałę, żeby odzyskał poprzednią pozycję.

– Bez sprawiania wrażenia, że jesteś słaby. Potrzebujemy silnego dyrektora naczelnego. A przynajmniej takiego, który taki się wydaje.

– Kąśliwa obraza w przebraniu dobrej rady. Cieszę się, że ta fala współczucia już minęła i znowu jesteś dawnym sobą, Norjo.

Norja Ramdakan wzruszył ramionami.

– Moja dusza, choć jest bardzo słaba, objawia się bardzo sporadycznie.

– Obsypanie Serge’a pochwałami zostanie uznane za żałosne i oczywiste przeprosiny – zauważył Lem. – A może ty go pochwal na następnym zebraniu, a ja po prostu się z tobą zgodzę?

Ramdakan pokręcił głową.

– O nie, to ty wdepnąłeś w gówno. Tylko ty możesz sobie wyczyścić buty.

– To nie może być prawdziwy idiom.

Norja stęknął i wstał. Na Ziemi mężczyźni o jego tuszy przyszloby to z trudem, lecz tutaj, pod powierzchnią Luny, gdzie panował tylko ułamek ziemskiej grawitacji, Ramdakan zrobił to bez wysiłku.

– Serge nie jest zerem. Jest niezwykle bystry. Nie zostaje się zastępcą dyrektora do spraw eksploatacji, jeśli nie jest się ambitnym, inteligentnym i gotowym porzucić wszelkie inne pasje. Ten gość z łatwością pracuje osiemdziesiąt godzin w tygodniu. Ty go przyprowadzasz o nerwowość.

– Nie byłoby problemu, gdyby ojciec nie podkradał mi kierowników i inżynierów.

– A możesz go za to winić? Jest Hegemonem. Potrzebuje najlepszych ludzi, jakich może znaleźć, ludzi, którym może zaufać. Stworzył tę firmę, więc wie, jak oni myślą, jak pracują z innymi, jakie mają strategie. Nie ma czasu na wypróbowywanie świeżej krwi i sprawdzanie, czy nowi potrafią wywiązać się z obowiązków. Potrzebuje ludzi, którzy spadają na cztery łapy i sprawnie zarządzają wielkimi przedsięwzięciami od pierwszego dnia. Gdybym był na jego miejscu, też bym kradł od nas.

– Ty jako Hegemon – powiedział Lem z uśmiechem. – To ciekawa myśl. Poprowadziłbyś nas wszystkich do hedonistycznej zagłady.

Norja prychnął.

– Przynajmniej umarlibyśmy, dobrze się bawiąc.

– Tylko nie odchodź, Norjo. Cokolwiek zaproponuje ci mój ojciec, ja to przebiję.

Norja się roześmiał.

– Jeśli dobrze pamiętam, kiedyś chciałeś mnie udusić albo potraktować jak marionetkę, byle tylko odpłacić ojcu. I nie było to tak bardzo dawno temu.

Lem wzruszył ramionami.

– Przyzwyczailem się do ciebie.

– Twój ojciec nie może mnie zatrudnić. Mam za dużo szkieletów w mojej szafie, a większość z nich sam je tam umieścił. Można powiedzieć, że jestem politycznym obciążeniem.

Lem wiedział, że Norja był z ojcem od początku, kiedy jeszcze firmę stanowił jeden statek górniczy u progu boomu wydobywczego. Wiedział także, że przez te wszystkie lata Norja wykonywał dużo brudnej roboty dla ojca. Choćby z tego jednego powodu Lem nie mógł się go pozbyć. Ten człowiek stanowiłby zagrożenie nie tylko dla Lema i jego ojca, ale i dla firmy.

Rozstali się. Lem wrócił tunelami do swojego gabinetu. Kryły się w nich fabryki, zakłady przetwarzania materiałów, urządzenia testowe, laboratoria. Była to podziemna sieć tak złożona i rozległa, że bez pomocy nakładki na nadgarstek można się było w niej łatwo zgubić. Zanim Lem został dyrektorem naczelnym, wiedział o większości przedsięwzięć firmy, ale o kilku pomysłach i tunelach ojciec nie powiedział nawet jemu. Tajne urządzenia wojskowe, sekretne badania, całe działy ludzi na liście płac firmy, o których istnieniu Lem nawet nie wiedział. Odkrycie to jednak nie było wielkim zaskoczeniem. Lem zawsze zakładał, że ojciec trzyma kilka przedsięwzięć przy orderach, z dala od opinii publicznej. Lecz zamiast zyskać spokój i pewność, że teraz wie o wszystkich działaniach firmy, świadomość istnienia tych tajemnic tylko zrodziła w Lemie kolejne pytania.

Czy ojciec powiedział mu wszystko? Czy rozsunął wszystkie kotary? Czy pokazał tylko tyle, by Lem pomyślał, że widział już wszystko? Coś takiego wydawało się bardziej w stylu ojca. A jeśli tak, oznaczało to, że ojciec zachował kilka ulubionych przedsięwzięć w tajemnicy i zabrał ją ze sobą do Hegemonii, zapewniając finansowanie tych projektów z ogromnych zasobów, jakimi teraz dysponował dzięki dużym podatkom nałożonym przez Hegemonię na Ziemię.

Ale nawet jeśli ojciec pozostawił mu wszystkie sprawy firmy, to z pewnością coś knuł. Ściągnął bowiem do siebie niektórych z najbystrzejszych inżynierów.

Nad czym pracujesz, ojcie? Co budujesz?

Lem usiłował ostatnio sam znaleźć odpowiedzi na te pytania, lecz jego poszukiwania okazały się bezowocne. Cokolwiek ojciec robił w Hegemonii, było to okryte tajemnicą. To podesunęło Lemowi pewien pomysł.

Obrócił się na pięcie, poszedł inną drogą i trafił do gabinetu Serge'a. Zastukał raz i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Serge stał przy biurku, nad którym unosiło się kilkanaście okien z danymi.

– Panie dyrektorze?

Lem uniósł rękę.

– Jestem ci winien przeprosiny. Zrobiłem z siebie wcześniej głupka.

Serge pokręcił głową.

– Nie, nie. To wszystko moja wina, panie dyrektorze. Nie powinienem był stawiać takiej kwestii na zebraniu dyrektorów. Sam powinienem się nią zająć. Zapewniam pana, że to się już nie powtórzy.

Lem zbył przeprosiny machnięciem ręki.

– Przede wszystkim, nie mów do mnie „panie dyrektorze”. Jestem młodszy od ciebie. Mów mi Lem. Po drugie, zapomnijmy o ostatnim zebraniu i idźmy dalej. W gruncie rzeczy chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Dobrze.

– Coś tajnego. To sprawa tylko między nami dwoma.

– Dobrze.

– Chcę, żebyś się dowiedział, po co mojemu ojcu ci wszyscy nasi naukowcy i inżynierowie.

Serge się zawahał.

– Chcesz, żebym szpiegował Hegemona Ziemi?

Lem pokręcił głową.

– Nie, nie. Chcę legalnie zebranych informacji, Serge. Hegemonia przejmuje jedne z najbliższych umysłów na świecie, umysłów, które poprzednio pracowały dla mnie. To szkodzi naszym wynikom finansowym i naraża nas na niebezpieczeństwo. Chcę wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Świat dał mojemu ojcu bardzo długą smycz, a on nie przepuścił dobrej okazji. Chcę wiedzieć, co on robi z tą smyczą.

– Myślisz, że jego działania wykraczają poza jego prerogatywy?

– zapytał Serge.

Lem znowu pokręcił głową.

– Nie. Mój ojciec może i jest skryty, ale nie jest głupi. Cokolwiek robi, robi to w ramach swoich uprawnień. Nie narażałby się na postawienie w stan oskarżenia. Za bardzo ceni sobie bycie najwyższym władcą. Co powiedziawszy, muszę przyznać, że w tej chwili jego prerogatywy nie mają wielu ograniczeń. Świat szaleńczo przygotowuje się do wojny. To znacznie wydłuża smycz mojego ojca. Poza tym jest typem człowieka, który potrafi obrócić taki splot wydarzeń na własną korzyść.

Serge skinął głową.

– Najwyraźniej nie możesz zapytać ojca wprost, co robi, bo już byś to zrobił. I nie przychodziłbyś z tym do mnie.

– Ojciec nie powiedziałby mi, nawet gdybym go zapytał. Nie zawsze się z sobą zgadzamy. A tak czy owak, cokolwiek robi, woli uniknąć rozgłosu. Kiedy się do niego zwrócę, chcę znać odpowiedzi. Żeby zobaczyć jego reakcję.

– Rozumiem.

– Dobrze. Norja mówi, że jesteś bardzo kompetentny, a ja mu wierzę. Dlatego tu jestem i proszę, żebyś to zrobił ty, a nie ktoś inny z zespołu dyrektorskiego. Chcę zobaczyć wielkość, którą najwyraźniej dostrzega w tobie Norja.

Serge skinął z wdzięcznością głową.

– Doceniam to zaufanie, Lemie. Nie zawiodę cię.

Lem wstukał do nakładki na nadgarstek polecenie i holoeckran Serge'a zasygnalizował dźwiękiem, że pojawiła się nowa wiadomość.

– To jest bezpośredni dostęp do mojej nakładki. Skontaktuj się ze mną, kiedy zdobędziesz informacje. Niczego mi nie przysyłaj. Spotkamy się osobiście.

Serge zmarszczył czoło.

– Myślisz, że ktoś mógłby monitorować nasze wiadomości?

Lem się uśmiechnął.

– Nie znasz mojego ojca.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Lemie? – zagadnął go jeszcze Serge.

Lem ponownie się odwrócił.

– Zgadzasz się z tobą – przyznał Serge. – Jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie. Ze wszystkim, co powiedziałeś na zebraniu. O tym, że naszym obowiązkiem jest wygranie tej wojny, że spoczywa na nas odpowiedzialność. Całkowicie w to wierzę. Dlatego zamiast wstąpić do MF, zostałem w firmie.

Lem był zaintrygowany. Serge mówił szczerze, nie podlizywał się. Lem potrafił wyczuć to na milę.

– Zastanawiałeś się nad wstąpieniem do MF?

– Badałem sprawę. Po pierwszej wojnie. Kiedy zobaczyłem materiały filmowe z Chin. Ciała na ulicach, spalone pola ryżowe... Chyba wszyscy się nad tym zastanawiali. Ale powiedziano mi, że jestem za stary. Poza tym prawdopodobnie nie przeszedłbym testów sprawnościowych. Nie bardzo pasuję do wyobrażenia żołnierza. Ci z biura uzupełnień chcieli mi przydzielić jakieś drobne obowiązki administracyjne jako cywilnemu ochotnikowi, ale wiedziałem, że nie będzie to miało wielkiego znaczenia. Zdałem sobie sprawę, że moje miejsce jest tutaj. Tutaj mogę zrobić coś ważnego.

– Dokonałeś właściwego wyboru, Serge. Podobnie jak ci, którzy się zaciągnęli. Cieszę się, że mamy cię u siebie.

– Dziękuję, Lemie. Zdobędę dla ciebie te informacje. Sam jestem

ciekawy.

– Tylko legalnymi kanałami – przypomniał mu Lem.

Wyszedł z gabinetu Serge’a z nieco lepszym samopoczuciem, ale jego dobry nastrój nie trwał długo. Im więcej o tym myślał, tym mniej się po tej akcji spodziewał. Żadne z pytań Lema dotyczących przedsięwzięć ojca w Hegemonii niczego nie dało. Dlaczego w tej kwestii sukces miałyby odnieść Serge, który miał mniej kontaktów i mniejszy dostęp do informacji? Nie zaszkodzi jednak spróbować. Ojciec może być drażliwy na punkcie wściubiania nosa w jego interesy.

Kiedy Lem wrócił do swojego gabinetu, asystenci czekali już na niego ze sprawami, które według nich wymagały jego natychmiastowej uwagi. Powiedział im grzecznie, że żadna z tych spraw nie jest nagląca, po czym wszedł do holosali przyległej do gabinetu.

Podłoga w tym białym pustym pomieszczeniu wyginała się ku górze na spotkanie ścianom, dzięki czemu holosala wyglądała jak wnętrze olbrzymiego jaja. Ze środka sufitu zwieszało się lekkie rusztowanie z holoprojektorami, jakby to była scena przygotowana do wystawienia jakiejś sztuki z minimalistyczną scenografią. Lem zdjął przy wejściu buty i po kilku księżycowych susach znalazł się pośrodku pokoju, dokładnie tam, gdzie na szklanej podłodze widniała wymalowana para stóp. Tutaj też pod przezroczystą powierzchnią umieszczono kolejny zestaw holoprojektorów, wszystkich skierowanych ku górze.

Lem stanął w wyznaczonym punkcie i powiedział:

– Statek zwiadowczy. Zewnątrze. Z dwudziestu kilometrów.

Przed nim pojawiła się kolumna błękitnego światła wygenerowana przez urządzenia znajdujące się pod podłogą i sufitem. Stanowiła prostopadłościan, którego podstawą był kwadrat o bokach długości dwóch metrów. Wewnątrz kolumny zmaterializowała się klepsydra z przesypującymi się ziarenkami piasku, co oznaczało oczekiwanie na ściągnięcie przez system obrazów satelitarnych. Po chwili klepsydra zniknęła, ustępując miejsca hologramowi formidzkiego statku zwiadowczego – olbrzymiej czerwonej potworności w kształcie łyży, tkwiącej nad

Ziemią na orbicie geosynchronicznej. Statek utrzymywał tę pozycję od chwili przybycia na początku pierwszej wojny, czubkiem mierząc w Ziemię jak grotem włóczni. Ilekroć Lem go widział, wciąż odczuwał ukłucie niepokoju, jakby zbliżał się do śpiącego potwora. Statek należał teraz do ludzi – a dokładnie do Juke Limited; firma przejęła go po wojnie na mocy przepisów o odzyskiwaniu sprzętu.

Podczas końcowego ataku zginęło całe obce życie, jakie znajdowało się na pokładzie statku. Mimo to jego widok zawsze napełniał Lema mrowiącym strachem. Przypominał, że zbliża się wróg – wróg, którego rasa ludzka nie ma szansy pokonać. Lemowi czasami wydawało się, że wszystkie wysiłki Hegemona i MF to jest jedynie teatr, wielkie udawanie na użytek mieszkańców Ziemi: wszyscy się uśmiechamy i udajemy, że możemy zwyciężyć.

To żałosne. Oszukujemy samych siebie. Ostatnim razem Formidzi powalili nas na kolana, dysponując tylko jednym statkiem. Czy naprawdę sądzimy, że możemy stawić czoło dziesięciu ich maszynom albo i jeszcze większej ich liczbie naraz?

W najszerszym miejscu statek otaczały trzy olbrzymie pierścienie, które powoli się obracały, by dać ludziom w środku złudzenie grawitacji. Pierścienie wybudowała firma Juke Limited dla ośrodka badawczego i jego personelu, który pracownicy eksplorował każdy centymetr konstrukcji. Kiedy Victor, Mazer i żołnierze POP-u zalali maszynę promieniowaniem, zabijając całe życie na jej pokładzie, większość formidzkich urządzeń uległa poważnym uszkodzeniom, lecz nawet zniszczony sprzęt okazał się skarbnicą informacji. Z dokonanych tam odkryć skorzystały niemal wszystkie główne gałęzie nauki.

Lem zrobił zbliżenie na czubek łyzy, gdzie były rozmieszczone tworzące pierścień generatory osłon. Stanowiły one największą zdobycz firmy. Podczas walki nie zostały uszkodzone i ludziom Lema udało się je skopiować. Już ta technologia wystarczyłaby do utrzymania Juke Limited na powierzchni. Wszystkie statki budowane dla MF były wyposażane w zastrzeżone przez nich generatory mocy, jeszcze silniejsze i odporniejsze niż oryginalne

urządzenia formidzkie. Lecz wciąż umykała im najważniejsza tajemnica. Kadłub. Jak mamy przebić kadłub?

Lem machnął ręką przez statek i obraz zniknął.

– Pokaż mi główne laboratorium.

Kolumna błękitnego światła pogrubiła, a holopole ogarnęło Lema i wciąż się poszerzało. Zatrzymało się, osiągnąwszy u podstawy kwadrat o boku pięciu metrów. Wokół Lema rozbłysły świetliste kształty – stacje robocze, terminale komputerowe, rozmaite boty i sprzęt laboratoryjny... Firma zainstalowała w laboratorium holoprojektor bardzo podobny do tego w głównej siedzibie, ale mniejszy. Obrazki były podzielone na piksele i monochromatyczne, a opóźnienie czasowe transmisji utrudniało komunikację. Lem cieszył się jednak, że może porozmawiać twarzą w twarz z ludźmi prowadzącymi prace i mieszkającymi w Pierścieniach.

W laboratorium stał samotnie doktor Dublin, główny inżynier przedsięwzięcia, i czekał na przewidziane w grafiku rozpoczęcie transmisji. Nie był pierwszym kandydatem Lema na kierownika zespołu badającego matposz – jak technicy w skrócie nazywali materiał poszycia, niedający się przebić obcy stop, który pokrywał i chronił statek – lecz miał wystarczające kwalifikacje. Jak wszystko inne w laboratorium pojawił się jako naturalnej wielkości konstrukcja ze światła o częściowo zamazanych konturach, ponieważ przy transmisjach na wielkie odległości zawsze dochodziło do pogorszenia jakości obrazu.

– Dzień dobry, Dublinie – przywitał się Lem. – Jak sytuacja?

Opóźnienie wynosiło pięć sekund. Gdy Dublin usłyszał w końcu pytanie, skrzywił się przepraszająco.

– Postęp jest powolny, Lemie. Ustaliliśmy kolejne rodzaje broni i chemikaliów, które nie przebijają się przez matposz ani go nie uszkadzają, ale raczej nie to chciałeś usłyszeć. – Wzruszył ramionami. – Nie potrafimy uszkodzić go w najmniejszym stopniu. Nie potrafimy go przeciąć, spalić, wgnieść, zarysować. Nie potrafimy nawet odłupać maleńkiego kawałka, który moglibyśmy umieścić pod mikroskopem...

– Plazma przepaliła poszycie – zauważył Lem. – Tak wygraliśmy

wojnę, stosując wobec nich ich własną broń. Ustaliliśmy, że kadłub nie jest niezniszczalny.

Pięćiosekundowe opóźnienie. Dublin skinął głową.

– To prawda. Ale nie rozumiemy też, czym jest ta napromieniowana plazma. Nawet nie wiemy, co to dokładnie za substancja. Nazywamy ją plazmą tylko dlatego, że tak ją ochrzcił Victor. To jest najbliższe w naszym słowniku słowo na określenie tego, czym to jest naprawdę. Lecz technicznie nie była to napromieniowana plazma. Nie wiemy też, w jaki sposób została u wylotów dysz upodobniona do wiązki lasera przed wystrzeleniem jej do celu.

Dysze. Na całym formidzkim statku znajdowały się ich tysiące tuż pod poszyciem. Każda z nich była połączona z układem rur, którymi plazma płynęła ze zbiorników. Kiedy statek był gotowy do strzału, plazma przemieszczała się rurami do dysz, gdzie przechodziła jakiś proces kondensujący ją w wąski promień. Szczelina w kadłubie otwierała się, promień wystrzeliwał na zewnątrz i spalał wszystko na swojej drodze.

– Żałuję, że podczas wojny wypuściliśmy całą tę materię – powiedział Lem. – Moglibyśmy jej użyć ponownie.

Dublin pokręcił głową.

– Nie sądzę. Nawet gdyby znajdowała się jeszcze w zbiornikach, nie zalecałbym jej zebrania. Była zbyt radioaktywna. Za bardzo nieprzewidywalna. Uszkodziłaby naszą elektronikę i systemy komunikacji. Nawet gdybyśmy znali jakiś sposób jej przetransportowania, nie potrafilibyśmy jej uwolnić bez poważnego uszkodzenia własnych statków. A poza tym nie potrafimy nakierować jej na cel. Nie wiemy, jak działał proces laseryzacji. Technicznie rzecz biorąc, to nawet nie jest laseryzacja, ponieważ nie mówimy tu o świetle. No ale musimy się posługiwać słowami jak „laseryzacja” i „plazma”, żeby w ogóle się porozumieć w tej sprawie. Chodzi o to, że radioaktywna plazma by nam nie pomogła. Dobrze, że cała zniknęła.

– A więc niczego się nie nauczyliśmy – stwierdził Lem.

– Nauczyliśmy się bardzo dużo, lecz to ani trochę nie przybliżyło nas do rozwiązania militarnego, które jest nam

potrzebne.

– Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę z kryzysu, w jakim się znajdujemy, Dublinie. Zapewne słyszałeś o Koperniku. Potrzebujemy rozwiązania jak najszybciej. Kiedy zidentyfikujecie ten stop, będziemy jeszcze potrzebować czasu na zaprojektowanie broni, która go przebije. A tę broń trzeba będzie znowu wypróbować, udoskonalić, ponownie wypróbować, jeszcze raz udoskonalić i dopiero wtedy rozpocząć jej masową produkcję. A potem będziemy musieli zainstalować ją na poszczególnych okrętach floty. To będzie trwało. Tak więc rozumiesz, dlaczego zaczynam odczuwać lekką panikę. Nasze okno możliwości już się prawie zamknęło. Większość firm powiedziała, że jest już zamknięte. Ale ponieważ gra się toczy o przeżycie rasy ludzkiej, jeszcze się nie poddajemy.

– Robimy, co w naszej mocy, Lemie. Większość członków mojego zespołu śpi mniej niż po cztery godziny. A to są dobre noce. Naprawdę mocno ich naciskam.

– Ja nie krytykuję, Dublinie. Masz zadanie niemożliwe do wykonania. Ja się tylko bardzo pocę. Mogę ci przysłać więcej ludzi?

– Zawsze się przydadzą. Ale ja doradzałbym inne podejście, takie, które ci się nie spodoba. Nie zatrudniaj więcej ludzi i nie przysyłaj ich do statku, żeby w tajemnicy pracowali dla firmy. Podziel się ze światem tym, co wiemy. Opublikuj wszystko, co mamy na temat poszycia. Otwórz nasze akta. Odsuń zasłonę i poproś o pomoc cały świat. Wyznacz nagrodę dla tego, kto wymyśli metodę przebicia kadłuba. Jeśli ktoś znajdzie odpowiedź, będzie warta każdej obiecannej przez nas nagrody.

– Jeśli ty nie potrafisz tego wymyślić, Dublinie, to wątpię, by zdołał to zrobić przeciętny obywatel.

– Nie interesuje nas przeciętny obywatel – rzekł Dublin. – A przeciętny obywatel nie będzie zainteresowany udziałem w tym przedsięwzięciu. Ono by kogoś takiego znacznie przerosło. Otwarcie akt byłoby skierowane do zawodowców z podobnych dziedzin, którzy mają wyjątkową wiedzę. Jeśli zatrudnisz nowych ludzi, zgłoszą się tylko ci, którzy chcą i mogą zostawić pracę

i rodzinę, którzy chcą i mogą przylecieć tu i zamieszkać w ciasnej stacji kosmicznej. Jeżeli jednak otworzysz się na świat, będą nad tym pracować po godzinach tysiące zawodowców albo pasjonatów. Prawdopodobnie będą mieli nawet poczucie obowiązku. Ludzie chcą uczestniczyć w tej wojnie, Lemie. To by im pozwoliło włączyć się w działania.

– Gdybym tak zrobił, to podzieliłbym się zastrzeżonymi informacjami także z naszą konkurencją. Dałbym Zakładom Gungsu broń, którą by nas pobiły. A gdyby wynalazły sposób na przebicie formidzkich statków i sprzedały to rozwiązanie MF? Wyposażylibyśmy naszą konkurencję w narzędzia potrzebne jej do pokonania nas. Tak się nie powinno prowadzić interesów.

– W pewnym momencie będziemy musieli zdecydować, co jest ważniejsze, Lemie. Interesy czy przeżycie? Gdyby Gungsu dzięki naszym informacjom znalazło rozwiązanie, to, jeśli o mnie chodzi, byłoby wspaniale. Rasa ludzka mogłaby przeżyć. Czy umożliwienie zwycięstwa Gungsu pomniejszyłoby nasz udział w rynku? Niewątpliwie. Ale jeśli wszystko się skończy, jeśli nie będzie już rasy ludzkiej, to nasz udział w rynku nie będzie miał większego znaczenia.

Lem zastanawiał się przez chwilę.

– Pomyślę o tym.

– Byle szybko, Lemie. Jak powiedziałeś, nasze okno możliwości się kurczy.

Lem podziękował mu, dorzucił kilka słów zachęty i się rozłączył.

Holopole zniknęło i Lem znowu znalazł się sam w białej przestrzeni. Po trzech latach nawet się nie zbliżył do znalezienia słabego punktu wroga. Potrzebuję cudu, pomyślał. Dowodu na postępy, czegoś, co będzie podtrzymywać iskierkę nadziei. Spotkanie z zespołem dyrektorskim nic nie dało, a Dublin tylko pogorszył sprawę.

Powinien zobaczyć się z Benyawę, główną inżynier kierującą Działem Obrony Eksperymentalnej. Nie przyszła na spotkanie kierownictwa. Jak się nad tym zastanowić, to nie bywała na nich już od pewnego czasu. Powiedział jej, że jej praca w laboratorium

jest ważniejsza od zebrań, a ona uznała to za przyzwolenie na opuszczenie wszystkich.

Pojechał do jej laboratorium podziemnym samochodem. Przy wejściu przeskanowały go czujniki bezpieczeństwa, po czym otworzyły się drzwi do wspólnej sali, pomieszczenia wielkości boiska do piłki nożnej. Znajdowało się w nim dwadzieścia szklanych kolumn, które służyły także za salki konferencyjne, i kilka grup inżynierów miało w nich właśnie spotkanie – spierali się nad hologramami albo równaniami nabazgranymi na tablicach.

Po lewej stronie za olbrzymimi hangarowymi wrotami znajdował się warsztat, gdzie inżynierowie budowali, testowali i modyfikowali specjalistyczne statki oraz eksperymentalne pojazdy kosmiczne przeznaczone dla Międzynarodowej Floty. Większość tych konstrukcji prawdopodobnie nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego. Istniały setki powodów, by wstrzymać realizację danego projektu, i w ciągu tych wszystkich lat MF posłużyła się każdym z nich. Lecz niektóre z urządzeń w tej czy innej formie trafią do użytku.

Lem znalazł doktor Noloę Benyawe w jednej z kolumn w głębi sali. Siedziała w niej samotnie z dłońmi zanurzonymi w hologramie okrętu wojennego projektu Juke Limited. Zastukał w szkło, by zwrócić na siebie jej uwagę. Inżynier podniosła wzrok i zaprosiła go ruchem głowy do środka.

Noloa Benyawe była Nigeryjką. Niedawno przekroczyła sześćdziesiątkę i miała więcej siwych włosów niż wtedy, gdy Lem widział ją ostatnio. Ojciec nieraz starał się przywabić ją do Hegemonii, lecz kiedy pojawiały się jego oferty, zawsze przychodziła do Lema, a on robił wszystko, co było konieczne, by ją zatrzymać. Była pracownikiem, na którego utratę nie mógł sobie pozwolić.

– Nie przyszedłeś na zebranie kierownictwa – stwierdził.

Nie podniosła wzroku, wciąż dźgając rysikiem w hologram i robiąc szybkie notatki.

– Powiedziałeś, że mogę je sobie darować.

– Powiedziałem, że praca, jaką tu wykonujesz, jest ważniejsza

od zebrzań. Mimo to chciałbym jednak od czasu do czasu cię zobaczyć.

Spojrzała na niego znad oprawek dwuogniskowych okularów. Nigdy przedtem nie widział, by je nosiła.

– Zły dzień? – zapytała.

– Jak zwykle – odparł Lem. – Tracimy kierowników, morale spływa z wodą w klozecie, a jeśli chodzi o poszycie, to Dublin i jego zespół drepczą w miejscu.

– Zawsze sądziлиśmy, że poszycie jest niezniszczalne – rzekła Benyawe. – Trzy lata badań dowodzą, że mieliśmy rację.

– A więc nie masz żadnych pomysłów?

– Co do tego, jak je przebić? Nie, Lemie, nie mam. Poszycie to zadanie Dublina. Mój umysł tam nie bywa. Mam własne zmartwienia.

– Dublin proponuje, żebyśmy ujawnili światu wszystko, co wiemy na temat matposzu, i ustanowili nagrodę dla tego, kto pomoże nam je przebić.

– To dobra propozycja – powiedziała Benyawe. – Mnóstwo amatorów zgłosi okropne pomysły oparte na niewłaściwych przesłankach i źle przyswojonej wiedzy, ale przy dobrym systemie filtrującym mógłbyś trafić na coś wartościowego.

– Miałem nadzieję, że po prostu to dla mnie rozwiązesz. W tej chwili czuję lekkie zniechęcenie.

Nie spojrzała na niego.

– Jestem twoim głównym inżynierem, Lemie, a nie terapeutką. Jeśli szukasz beztroskiej szczęśliwości, kup jakąś posiadłość z plażą i zafunduj sobie czyszczenie umysłu. Będziesz zadowolony aż do nadejścia Formidów.

– Masz dzisiaj kiepski nastrój – stwierdził Lem.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Problemy z XR-50. Jestem zrzędliva.

XR-50 był jednym z wielu okrętów wojennych budowanych w Pasie Kuipera.

– Jakie problemy? – zapytał Lem.

– Nie martw się. Zajmuję się nimi. Wciąż mieścimy się w czasie. Załogi po prostu przysłały holo z pytaniami. Jest dobrze.

– I ty się tym zajmujesz? Nie masz ludzi, którzy mogliby to zrobić za ciebie?

Wyprostowała się i zdjęła okulary.

– Tak, mam ludzi, którzy mogliby to zrobić za mnie, Lemie. Przeglądałam zalecenia moich zespołów. To są kwestie spójności konstrukcyjnej. Ja to wszystko podpisuję.

– I to nie spowalnia całego procesu? To znaczy przepuszczanie wszystkiego przez ciebie? Chyba nie zarządzasz szczegółowo swoimi zespołami?

– Dyrektor naczelny firmy stoi właśnie za moimi plecami, kwestionując moją metodę działania, i pyta, czy ja nie zarządzam szczegółowo moimi ludźmi...

Lem się uśmiechnął.

– Trafiony. Jestem pewien, że cokolwiek robisz, masz rację. – Oparł się o szkło i założył ramiona na piersi. – Zakłady Gungsu zdobyły kontrakt na przebicie poszycia dzięki zakłóaczom grawitacji.

– Słyszałam – powiedziała Benyawe. – Głupia decyzja. Jednym z żołnierzy testujących te urządzenia w WYBABiM-ie był Mazer Rackham. Wiedziałaś o tym?

– Rackham? Naprawdę? Nie, nie wiedziałem. Kto ci powiedział?

– Victor.

– Victor Delgado?

– Pisujemy do siebie – rzekła Benyawe. – Z Imalą też. Zaręczyli się. Wiedziałaś o tym?

– Nie, nie wiedziałem. Chyba nie zostałem włączony do mailowego kółka kumpli z przeszłości. Cieszę się, że wszyscy kwitną. Teraz jestem zdołowany jeszcze bardziej.

Benyawe uśmiechnęła się, zerknęła na Lema i wróciła do swojego hologramu.

– Nie martwiłabym się o Zakłady Gungsu – powiedziała.

– A ja się martwię. Przedstawiliśmy MF sześć propozycji, Benyawe. Sześć. Wszystkie praktyczne. Dobra, niektóre były bardziej praktyczne od innych, ale każda z nich była obiecująca.

Benyawe machnęła ręką przez holo, które zniknęło.

– Po pierwsze, te sześć propozycji, które wysłaliśmy MF, zostało

odrzuconych nie bez powodu, zwłaszcza skoro teraz wiemy, że matposz jest mocniejszy, niż się spodziewaliśmy. MF słusznie odmówiła. Wiesz równie dobrze jak ja, że nic, co im przedstawiliśmy, nie było srebrną kulą.

– To główniane urządzenie Zakładów Gungsu też nią nie jest – rzekł Lem – mimo to Hegemonia obsypała je za to złotem. Zechcesz mi to wyjaśnić?

– Nie jesteś swoim ojcem – stwierdziła Benyawe.

Lem zamrugał z zaskoczeniem.

– A co to ma znaczyć?

– Dokładnie to. Kiedy twój ojciec, Ukko Jukes, Hegemon Ziemi, prowadził tę firmę, miał inny styl zarządzania. Dla ogółu był jedną osobą, a za zamkniętymi drzwiami – kimś zupełnie innym. Dla ogółu i prasy był roztropnym biznesmenem, który miał przebłycki geniuszu i żeby wygrać, szedł po trupach. Za zamkniętymi drzwiami był brutalny, przebiegły i podcinał nogi całym firmom, o czym wiedzieli tylko nieliczni. Zapytaj swojego przyjaciela Norję Ramdakana. To jedna z niewielu osób, które wiedzą, jak naprawdę działa twój ojciec.

– Robisz z niego gangstera.

– Gangsterzy to nieinteligentne małpy – stwierdziła Benyawe. – Twój ojciec taki nie jest. Zawsze był genialny. Był też jednak niebezpieczny. Gdyby teraz prowadził firmę, nie byłoby żadnych Zakładów Gungsu. Zlikwidowałyby je, zanim znalazły punkt zaczepienia i stały się poważnym zagrożeniem.

– Dziękuję za krytykę – powiedział Lem. – Czy robię źle coś jeszcze?

– Źle mnie zrozumiałeś, Lemie. Nie powiedziałam, że robisz coś źle. Pokazuję tylko, że twój ojciec miał zupełnie inne podejście. Zakłady Gungsu są w doskonałej formie, ponieważ pozwoliłeś im istnieć. A ponieważ tak się składa, że wierzę w wolny rynek i jego zdolność napędzania innowacyjności, cieszę się z tego. Bez Gungsu nie mielibyśmy nanocieczy ani innych urządzeń, które sprzedali MF. Większość z nich to dobry praktyczny sprzęt. Cieszę się, że MF je ma. Gdyby rządził tu twój ojciec, nie mielibyśmy ich, bo nie zostałyby zbudowane.

Lem pokręcił głową.

– Nie rozumiem cię, Benyawe. W jednej chwili mówisz tak, jakbyś mnie obrażała, a w następnej brzmi to tak, jakbyś była w moim zespole.

– Oczywiście, że jestem w twoim zespole. Wciąż tu jestem, prawda? Chcę powiedzieć, że wygrana Gungsu nie powinna nas zniechęcać. Powinna pobudzać nas do działania. Powinna dać nam kopa w tyłek i zainspirować do zrobienia czegoś lepszego. Poza tym twój ojciec i tak nie może przyznawać nam wszystkich dużych kontraktów. Po pierwsze, wyglądałoby to na nepotyzm. Po drugie, nie powstałyby wtedy najlepsze urzędnienia. Konkurencja jest nam potrzebna, Lemie. Ktoś musi rzucać nam codziennie wyzwanie, grozić przejęciem i starciem z powierzchnią ziemi.

– Nie lubię przegrywać.

– To przestań. Jesteś dyrektorem naczelnym. Jeśli chcesz, żebym opracowała broń do przebijania poszycia lepszą od Gungsu, to zrób dyrektorską minę i wydaj mi takie polecenie. Nie rozczulaj się nad sobą. Przewodź.

Lem się wyprostował.

– Dobra. Koniec uzalania się. Zbierz wszystkich swoich mózgowców i powiedz im, że właśnie dostali więcej zadań. Musimy sprawić, że żołnierze znajdują się wewnątrz formidzkich statków, a poszycie, przez które muszą się przedostać, jest niezniszczalne. To oznacza: wszystkie ręce na pokład. Noce. Weekendy. Wszystko, czego trzeba.

Benyawe wstała.

– W tej chwili zwołam zebranie. Powinnam powiedzieć im coś jeszcze? Jak to, że dla zwycięskiego zespołu jest przewidziana sowita nagroda?

– Oni są zatrudnieni w firmie, Benyawe. Ja już im sowicie płacę.

Uniosła brew.

– Jak szybko chcesz mieć wyniki? Pamiętaj, że wielu moich inżynierów jest przekonanych, że przegramy. Woleliby spędzać weekendy z bliskimi, bo, jak sądzą, nie zostało im już zbyt wiele czasu. Prośba, by z tego zrezygnowali, może wymagać

dodatkowego poparcia.

– Dobrze – zgodził się Lem. – Powiedz im, że temu, kto stworzy broń, którą kupi MF, dam pięćset tysięcy kredytów.

Benyawe się uśmiechnęła.

– To złagodzi złą wiadomość dotyczącą weekendów. Coś jeszcze?

– Tak. Zwolnij wszystkich, którzy nie wierzą w nasze zwycięstwo. Jeżeli nie wkładają w to całego serca i duszy, to ja ich nie chcę. Jeśli potrzebujesz więcej ludzi, skontaktuj się z kadrami. Nie chcę tu pesymistów.

– Doskonale. A co ty zrobisz?

– Skontaktuję się z prasą. Dam światu wszystko, co wiemy o tym poszyciu.

Rozdział 6

WILA

Biochemiczny proces dekonstrukcji i odbudowy statku jest być może największym dowodem na istnienie u Formidów rozwiniętych umiejętności bioinżynieryjnych. W przeciwieństwie do ludzi, którzy budują i rozbierają statki za pomocą narzędzi i maszyn, Formidzi wykorzystują filotycznie kontrolowane organizmy skonstruowane specjalnie do wykonania tych prac.

Zdolność zjadaczy poszycia do rozmontowania kadłuba statku bazy królowej roju, a tkaczy kadłuba do zmiany tego materiału we flotę okrętów wojennych w trakcie podróży do naszego Układu Słonecznego z prędkością bliską prędkości światła wyraźnie dowodzi naukowej wyższości Formidów w dziedzinie biomechaniki. Tymczasem inne wyspecjalizowane organizmy były wykorzystywane do budowy układów napędu, osłon, broni oraz układów podtrzymywania życia. Wyobraźmy sobie Kolumba, który w 1492 roku rozbiera swoją karakę i karawele i przemienia je w pięćdziesiąt pełnomorskich katamaranów i łodzi z pływakami – w trakcie rejsu, z dala od lądu i to nie tracąc żadnych zapasów czy nie opóźniając podróży – a wszystko to przy użyciu na wpół inteligentnych termitów i pąkli.

Królowa roju nie tylko objęła umysłem całą tę technologię, lecz także przy odrobinie pomocy ze strony swoich sióstr na innych światach zaprojektowała nowe statki, broń i struktury, jakich nie potrzebował wcześniej żaden Formida. To połączenie głębokiej i rozległej wiedzy ze zdumiewającą kreatywnością świadczy o mentalnej wyższości nad pojedynczymi robotnikami, która wyjaśnia, dlaczego królowa roju potrafiła zdominować ich tak całkowicie, że funkcjonowali jak przedłużenie jej ciała, tak jak nasze dłonie i stopy są elementami naszych ciał.

Wila uniosła rąbek swojej białej szaty nowicjuszki i pośpieszyła w stronę mostku, prowadzącego do starej świątyni z drewna tekowego w centrum Ubon Ratchathani w Tajlandii. Słońce chyliło się już ku zachodowi i Wila nikogo nie napotkała, przecinając park. Świątynia stała na palach pośrodku stawu z żółtymi i lotosami o ogromnych różowych płatkach i ostro zakończonych żółtych pręcikach. Zanim nowicjuszka weszła na mostek, zatrzymała się na trawie i zrobiła kilka głębokich, medytacyjnych oddechów. Podczas podróży pociągami z uniwersytetu tłumiła emocje i poskramiała płacz, teraz jednak łzy groziły poważną powodzią.

Komisja doktorska wysłuchiwała jej ustnej obrony, lecz tylko po to, by móc zbiorowo odmówić przyznania jej stopnia. Członkowie komisji z łatwością mogli odrzucić jej rozprawę kilka tygodni wcześniej i oszczędzić jej upokorzenia, jakiego doznała, stojąc przed nimi i słuchając, jak miażdżą jej wnioski. Ale nie, musieli to zrobić dla przykładu. Trzy lata badań, pomyślała Wila. Trzy lata studiów, pisanie i dopracowywanie teorii, a teraz nic z tego nie ma. Nigdy nie będzie mogła uczyć.

Chwyciła poręcz i opanowała drżenie. Nie, nie pozwolę, by emocje wzięły nade mną górę. Dusza musi być wolna od smutku i wstydu. Musi być czysta, spokojna, jasna jak słońce. Zamknęła oczy i jeszcze raz głęboko odetchnęła, wciągając słodki, odurzający zapach kwiatów lotosu wystających wysoko ponad wodę w stawie poniżej. Wiedziała, że ta roślina jest tu zapewne od ponad stu lat i co roku kwitnie, otaczając świątynię przyjemnym aromatem. Taka piękna, pomyślała Wila, a do tego taka odporna. A czyż ja nie jestem silniejsza od kwiatu?

Wyprostowała się i jej gniew oraz upokorzenie powoli znikwały. Jeszcze raz uniosła skraj szaty, zrzuciła sandały i boso przeszła po mostku. Drewno było stare i chłodne, wygładzone stopami tysięcy mnichów, którzy chodzili po tych deskach przed nią. Wila zatrzymała się przed wejściem do świątyni, złożyła dłonie i ukloniła się z szacunkiem. Wewnątrz powitała ją nieduża złota

statuetka Buddy; Wila delikatnie jej dotknęła. Reguła jej zakonu nie obejmowała takiego nakazu, lecz chłód metalu jeszcze bardziej ją wzmocnił. Mogę być tak silna jak ta statuetka, pomyślała. Nieugięta. Trwała. Nieporuszona.

Słońce już prawie zaszło i we wnętrzu świątyni robiło się coraz ciemniej. Wila zapaliła kilka świec, a następnie wzięła jedną z nich i przeszła do wihanu – wielkiej sali, gdzie na modlitwie spotykali się mnisi i wierni.

Wat Thung Sri Muang była wedle buddyjskich standardów małą świątynią, nie większą od skromnego domu; nazywanie jej wihanu wielką salą stanowiło lekką przesadę. Pomieszczenie to nie było też zbyt ozdobne. Nie było w nim złotych statuetek bóstw, demonów czy mitycznych stworzeń, żadnych zdobionych kolumn, żadnych mozaik, ceramiki czy obrazów. Znajdował się w nim tylko stolik na kadzidełka, i to mały i lekko rozchwiany, zrobiony z tego samego starego teku co cała świątynia. Paliło się na nim dla duchów zmarłych długie kadzidełko. Wila zatrzymała się i z szacunkiem nagarnęła dłonią do twarzy wonne pasemko dymu. Znowu był to gest jej pomysłu, ale uspokajał jej umysł i pomagał przygotować się do modlitwy.

Mistrz Arjo siedział na poduszce z przodu sali w pozycji lotosu. Zwrócony twarzą do wejścia, pogrążył się w medytacji z zamkniętymi oczyma. Szafranowa szata ciasno spowijała jego szczupłe, pomarszczone ciało. Wila zastanawiała się, jak ze swoim artretyzmem mógł całymi godzinami trwać w tej pozycji. Przed nim siedziało jeszcze dwóch mnichów, także zatopionych w modlitwie.

W ciągu wieków wokół świątyni wyrosło miasto, napierając na nią drapaczami chmur, handlem i smogiem. Wila słyszała dobiegające z zewnątrz odgłosy ruchu ulicznego i odległe wycie syreny. Gdyby mocno się skupiła, mogłaby zepchnąć ten hałas w głąb umysłu, aż prawie nie zwracałby na siebie uwagi.

Znalazła sobie miejsce na podłodze z tyłu i zaczęła się modlić. Nauczyła się na pamięć wielu modlitw za królową roju, lecz ta, którą wypowiadała teraz, była jej ulubioną. Nie była to modlitwa do królowej roju, ponieważ Wila, jak wszyscy wyznawcy

buddyzmu Theravada, nie modliła się do żadnej istoty, łącznie z samym Buddą. Była to raczej modlitwa za królową, żeby w swoim obecnym stanie nieoświeconego bodhisatty nauczyła się większego współczucia dla wszystkich rozumnych istot we wszechświecie. Była to modlitwa o harmonię i dobroć, a także za rannych Formidów, by skończyło się ich cierpienie, by ich umysły stały się otwarte, jasne i gotowe do przyjęcia dobroci istot innych ras.

Była to długa modlitwa i kiedy Wila w końcu uniosła powieki, ujrzała przed sobą mistrza Arjo, który oczyma o żrenicach mlecznych od katarakt patrzył tuż obok jej głowy. Pozostali mnisi zniknęli.

Jakimś sposobem mistrz Arjo wyczuł, że Wila skończyła, chociaż wcale się nie poruszyła.

– Twoje modlitwy wystawiają moją cierpliwość na próbę, Wilasanee – odezwał się. – Zaczynałem się zastanawiać, czy nie powinienem być zapakować sobie kanapki, żeby przetrwać, aż skończysz.

Wila złożyła dłonie i nisko się ukloniła.

– Mistrzu Arjo, nie chciałam kazać ci czekać.

– Stawiłaś się dzisiaj przed komisją i masz ciężkie serce. Jesteś smutna z powodu wyniku tego spotkania, a także dlatego, że twoje modlitwy okazały się bezowocne.

– Jak na człowieka pozbawionego oczu, mistrzu Arjo, widzisz całkiem wyraźnie.

Mistrz Arjo się uśmiechnął.

– Mam oczy, dziecko. Nie potrzebuję ich jednak, by usłyszeć w twoim głosie ból. Wiedziałaś, że ta komisja cię nie zaakceptuje. Nie było szans, żeby jej członkowie zmienili nastawienie wobec twojej rozprawy. Mimo to poszłaś na egzamin.

– Pozwoliłam sobie na nadzieję – rzekła Wila.

– Pozwoliłaś sobie na złe potraktowanie. Pozwoliłaś, by opluto cię jadem, i dałaś się zawstydzić, bo wyobrażam sobie, że tak właśnie zrobili.

Wila milczała, bo nie chciała mówić źle o komisji.

– Młodzieniec o pięknym głosie widzi groźnego tygrysa w klatce

– rzekł mistrz Arjo. – Myśli, że zdoła obłaskawić tego tygrysa pieśnią. Wchodzi więc do klatki i śpiewa tygrysowi melodię tak słodką, że wszystkich wieśniaków, którzy znaleźli się w pobliżu, wzrusza do łez. Wtedy tygrys otwiera paszczę i połyka młodzieńca. Kogóż więc należy winić? Młodzieńca, że był na tyle niemądry, by stawiać czoło takiemu zwierzowi, czy tygrysa za to, że zrobił to, co zawsze robią tygrysy?

– Ani jednego, ani drugiego – odparła Wila. – Winię tego, kto zrobił klatkę, za to, że mógł do niej wejść niemądry chłopiec.

Mistrz Arjo się uśmiechnął.

– Wilasanee. Zawsze wybiera niewydeptaną ścieżkę.

– Nie idę nią sama, mistrzu. W Tajlandii i w całym buddyjskim świecie jest wiele osób, które podzielają moje przekonanie, że królowa roju jest bodhisattą, istotą na drodze ku staniu się buddą.

– To stanowisko nie cieszy się popularnością. Przede wszystkim nie ma dowodu, że królowa roju istnieje.

– Może i jej nie widzieliśmy – przyznała Wila – ale mamy wiele dowodów jej istnienia. A przynajmniej istnienia czegoś takiego jak ona. Ktoś kierował Formidami, mistrzu. W walce poruszali się jak jedna istota, reagowali bez wahania i bez słownej komunikacji między sobą. Mamy to wszystko nagrane. Kiedy został zaatakowany formidzki statek zwiadowczy, wszyscy Formidzi na Ziemi przerwali swoje czynności i pośpieszyli do statku, by go chronić. Zauważyliśmy sygnatury czasowe. Wszędzie w Chinach wszyscy Formidzi zareagowali w tym samym momencie. Zupełnie jakby reagowali na pojedynczy bodziec z pojedynczego źródła. Już samo to stanowi dowód na istnienie królowej.

– To jest dowód na istnienie czegoś – zgodził się mistrz Arjo. – Umysłu przekraczającego nasze pojmowanie. Może to jest królowa, lecz bez fizycznego dowodu nie możemy mieć pewności. Nazywamy ją królową, bo wiążemy Formidów z owadzimi koloniami na Ziemi. Z mrówkami, pszczołami czy szarańczę. Lecz umysł ich roju może działać w odmienny sposób. To może być umysł trzeciego gatunku, którego jeszcze nie

odkryliśmy, gatunku, który kontroluje Formidów tak, jak rolnik kontroluje swojego konia pociągowego. Po prostu tego nie wiemy.

– Myślałam, że wierzysz w istnienie królowej.

– Wierzę całkowicie – odparł mistrz Arjo. – Bo koncepcja istoty, której umysł potrafi przemierzać niewyobrażalne odległości i błyskawicznie dotknąć umysłu innej rozumnej istoty, jest interesująca ze względów teologicznych. Jest to pierwszy prawdziwy przykład wszechmocnego umysłu, na jaki natrafiłem. To jest oświecenie. To jest z definicji umysł buddy, zdolność manifestowania umysłu w milionach form w milionach wszechświatów. To jest dążenie nas wszystkich. – Uniósł pomarszczony palec. – Jednakże dlaczego ten umysł buddy robi coś takiego? W jakim celu wszechmocny umysł sięga poprzez kosmos?

– Aby ulżyć cierpieniu wszystkich rozumnych istot – powiedziała Wila.

– Tak, aby ulżyć cierpieniu – zgodził się mistrz Arjo. – Tu właśnie według mnie upada koncepcja, że formidzka królowa jest bodhisattą. Jeśli królowa prawdziwie aspiruje do stanu buddy, to nigdy go nie osiągnie. Jej grzechy są zbyt wielkie, jej zła karma zbyt rozległa. Nie ulżyła cierpieniu na Ziemi, lecz raczej zintensyfikowała je do stopnia przekraczającego wszelkie pojmowanie. Żaden najeźdźca nie wymordował większej liczby ludzi, nie spalił większej liczby domów, nie zniweczył takich zasobów niewinności, nie zniszczył więcej upraw, miast i środków do życia. Żadna istota nie zabiła więcej niewinnych dzieci. Żadne stworzenie nie okazało większego lekceważenia dla porządku, pokoju i zasad buddyzmu.

Wila milczała. Już słyszała wszystkie te argumenty. Komisja doktorska powiedziała prawie to samo ledwo dwie godziny wcześniej – chociaż w przeciwieństwie do mistrza Arjo twarze jej członków wykrzywiały gniew i pogarda dla Wili. Jak śmiała sugerować, że motywacją królowej roju było coś innego niż chęć mordowania?

Gdyby tylko głosem komisji mógł być mistrz Arjo, pomyślała

Wila. Odrzuciłby moje teorie z taką łagodnością, że uznałabym to za błogosławieństwo. Wynik byłby taki sam, lecz przynajmniej zaoszczędzono by jej wszystkich tych zniewag i przekleństw.

– Ucichłś, dziecko – zauważył mistrz Arjo.

Wila się uśmiechnęła. Nie była dzieckiem. Miała już osiemnaście lat, lecz on zawsze będzie w niej widział małą dziewczynkę, która do niego przyszła tyle lat temu.

– Uraziłem cię.

– Ależ skąd. Myślałam tylko, o ile bardziej spodobałoby mi się odrzucenie mnie, gdyby komisja do przekazania tej wiadomości zatrudniła ciebie.

– Ja cię nie odrzucam, dziecko. Nie mogę tego zrobić. Odrzucić cię to jak odrzucić kawałek własnego serca.

– A zatem odrzucasz moją rozprawę.

– Kwestionuję twoją teorię na gruncie teologicznym – odparł mistrz Arjo. – Nie potrafię zrozumieć, jak istota odpowiedzialna za śmierć tylu osób i zniszczenia mogłaby mieć duszę.

– Nie duszę. Filot.

Mistrz Arjo zmarszczył brwi.

– Nie znam tego słowa.

– Jest nowe. To koncepcja teoretyczna. Oraz podstawa mojej rozprawy. Chodzi w niej o to, że filoty to podstawowe części składowe całej materii i energii.

– Nowa cząsteczka?

– Prawdziwa niepodzielna cząsteczka, która nie składa się z mniejszych elementów. Filoty łączą się i tworzą wszelkie struktury – elektrony, protony, neutrony, atomy, cząstki, ludzi, Formidów, asteroidy, wszystko we wszechświecie.

– Jak duża jest ta cząsteczka? – zapytał mistrz Arjo.

– Tego jeszcze nie rozumiemy, ponieważ uważa się, że filoty nie zajmują ani trochę miejsca.

Mistrz Arjo miał niepewną minę.

– Jak to możliwe? Wszystko zajmuje miejsce, Wilasanee. Jeśli ma masę, nawet subatomową masę, to aby istnieć, musi zajmować miejsce.

Wila wzruszyła ramionami.

– No właśnie. Filot nie zajmuje miejsca, nie ma rozmiarów ani bezwładności.

Mistrz Arjo niemal się roześmiał, słysząc to założenie.

– Nie ma bezwładności? Zatem nie jest fizyczny. Jak można udowodnić istnienie czegoś, czego nie można wykryć? Zaprzecza to ustalonym prawom fizyki. Nic dziwnego, że utrzymuje się to tylko jako teoria.

– Nie lekceważ tej teorii całkowicie, mistrzu Arjo. Koncepcja filotu mogłaby wyjaśnić wiele kwestii, których nie rozstrzygnięto. Jej głównym założeniem jest to, że każdy filot łączy się z resztą wszechświata i wszystkimi innymi filotami w jego najbliższej strukturze pojedynczym promieniem, jednowymiarową linią. Nici te splatają się i łączą z większą strukturą jak proton, a potem z coraz większymi strukturami na poziomie cząsteczkowym i poza nim, aż wszystko zostaje połączone ze wszystkim.

– Wszystko? – zapytał mistrz Arjo. – Żywe i nieożywione?

– Wszystko – powtórzyła Wila. – Ty jesteś połączony ze mną, a my jesteśmy połączeni z tą świątynią, świątynia z kwiatami lotosu w stawie, z mieszkańcami tego miasta, z owadami, ptakami i samą planetą. Zastanów się nad tym, mistrzu Arjo. Od dawna wierzymy, że prawdziwie oświecony umysł może przy niewielkim wysiłku zrobić wszystko, co trzeba, dla dobra wszystkich istot we wszechświecie, że może się objawić pod milionami postaci. Nauka jednak nie znalazła odpowiedzi na pytanie, jak coś takiego mogłoby być możliwe. W gruncie rzeczy nauka zawsze gwałtownie odrzucała ten pomysł, ponieważ nigdy nie miała podstaw do takiej koncepcji. Ale co by się stało, gdyby nauka, religia i wiara wzięły się za ręce i działały jako jedność? Co by się stało, gdyby biochemia i fizyka znalazły miejsce w buddyzmie i vice versa? Filotyczne zasady dają odpowiedź na to wielkie pytanie naszej wiary. Jak jeden umysł może sięgnąć do innych we wszechświecie, przemierzając wielkie odległości, by przynieść posłannictwo pociechy? Jak umysł może dokonać czegoś tak pozornie niemożliwego?

– Dlaczego komisja cię odrzuciła? – zapytał mistrz Arjo. –

Z powodu twoich poglądów na temat królowej roju czy na temat biochemii teoretycznej?

– Jednych i drugich. Momentami trudno było stwierdzić, która koncepcja rozżłościła ich bardziej. Usiłowałam wyjaśnić, że nie akceptuję działań królowej roju. Uważam zniszczenia dokonane przez Formidów za przerażające tak samo jak oni. Usiłuję jedynie zrozumieć umysł, który jest całkowicie odmienny od naszego. Narzuciliśmy naszą moralność istocie, która rozwinęła się w toku całkowicie odmiennego procesu ewolucyjnego. Czym jest dla Formidy śmierć? Czym ludzkie życie? Czy królowa roju podziela nasze wartości? Czy mamy pewność, że właściwie interpretujemy jej punkt widzenia? Sądzę, że tu ponosimy klęskę. Jesteśmy pewni, że znamy umysł królowej. Określiliśmy ją jako złośliwą i pozbawioną skrupułów istotę. Lecz bazą dla takiego stwierdzenia jest nasz system wartości. Działamy według założenia, że królowa postrzega świat tak jak my i postanawia działać destruktywnie. A jeśli ona nie postrzega swoich działań jako destruktywnych? A jeśli widzi je jako coś wręcz przeciwnego? Jako konstruktywne dla jej gatunku?

– Prowadziłaś swoje badania na jednym z najbardziej konserwatywnych uniwersytetów w całej Tajlandii. Wiedziałaś, że twoje teorie zostaną odrzucone, mimo to kontynuowałaś analizy.

– To nie są tylko moje teorie. A kontynuowałam analizy, ponieważ taka jest droga oświecenia. Naszym obowiązkiem jest dostrzec prawdziwą naturę danej istoty. Nie wartość, jaką nadaje jej społeczeństwo, lecz to, jaka jest naprawdę. Takie jest zadanie prawdziwie rozwiniętego umysłu. Świat może patrzeć na żołędź i widzieć w nim denerwujący okrągły orzech, który trzeba wygrabić z dziedzińca i wyrzucić. Lecz umysł buddy musi spojrzeć na żołędź i dostrzec jego prawdziwą naturę. Musi zobaczyć w nim potencjalny dąb.

– I dlatego uważasz, że królowa roju może być bodhisattą. Ma potencjał osiągnięcia stanu buddy.

– To jest podstawa naszej wiary – odparła Wila. – Uważamy, że wszystkie istoty mogą osiągnąć pełną świadomość. Może

królowej roju zajmie to tysiąc stuleci, może będzie musiała żyć i umrzeć milion razy. Lecz stwierdzenie, że nie może tego dokonać, odebranie jej tej możliwości zaprzecza samemu jądro naszej wiary.

Mistrz Arjo się uśmiechnął.

– Kiedy rozmawiają ze mną mnisi, przychodzą po to, żeby nauczyć się mądrości. Przy tobie czuję się tak, jakbym to ja był uczniem.

Wila ponownie nisko się skłoniła, przerażona.

– Wybacz mi, mistrzu. Nie chciałam cię obrazić.

– Nie obrażałaś mnie, dziecko. – Skrzywił się, wstając z niejakim trudem. – Przejdź się ze mną po ogrodzie. Pokaż mi punkt widzenia biochemika na cud życia.

Wyciągnął rękę, żeby ją ujęła. Wila też wstała.

– Ale na dworze jest ciemno, mistrzu. Słońce już zaszło.

– Dla mnie świat jest zawsze ciemny, Wilu. Czy nie tego poszukujesz? Poznania świata cudzymi oczyma? Doświadczenia cudzego postrzegania, a dzięki temu osiągnięcia współczucia? Jak inaczej możesz poznać i zrozumieć mnie? Chodź, naucz mnie o kwiatach. Zobaczmy w żółędziach to, czym naprawdę są.

Wila wróciła do swojego mieszkania późnym wieczorem i po raz pierwszy od wielu lat nie domagała się jej uwagi sterta książek czy akademickich artykułów. Jak zawsze znajdowały się w jej terminalu komputerowym i czekały, by je przeczytała, lecz teraz jej nie wzywały. Wila nie czuła naglącej potrzeby, która napędzała ją podczas pisania doktoratu.

Oczywiście zamierzała kontynuować studia mimo odrzucenia jej rozprawy. Jej obowiązkiem jako osoby wierzącej było poszerzanie własnego pojmowania. To jednak miało stanowić jej jedyną motywację. Będzie to robić dla powiększenia umysłu, a nie przychodu.

Były inne, bardziej liberalne uniwersytety, które mogły zaakceptować jej przepełnione współczuciem postrzeganie królowej roju i nazwać ją osobą postępową, lecz

prawdopodobnie uznałyby jej głęboką wiarę za odpychającą, jeśli nie wręcz zasługującą na pogardę. Dla religii nie było miejsca w środowisku akademickim, zwłaszcza wśród biochemików. Poza tym Wila nie miała żadnego dorobku. Nic nie opublikowała. Nie miała doktoratu. Kto potraktowałby ją poważnie?

Tego dnia nie ogoliła głowy, więc poświęciła na to kilka minut teraz. Jak zwykle zaznała dzięki temu poczucia odnowy. Zaczynania od początku. Przygotowała sobie szklankę czarnej herbaty ze zmiażdżonymi owocami tamaryndowca i kardamonem, a potem usiadła przed terminalem, by poczytać wiadomości.

Jej uwagę natychmiast przyciągnęła główna informacja dnia. Lem Jukes uwolnił tysiące dokumentów na temat formidzkiego poszycia i zaprosił świat do pomocy w jego przebicciu. Wila otworzyła pliki i zaczęła je przeglądać. Widziała już sporą część wnętrza statku, bo przestudiowała filmik nakręcony przez Victora Delgado, który dostał się na pokład podczas wojny. Nagranie ukazywało duży ogród pośrodku statku, gdzie w podobnym do gęstej dżungli biorezerwacie przebywały dziesiątki obcych form życia. Zwierzęta i rośliny wszelkich rodzajów. Ogród służył jako źródło tlenu dla statku, lecz dla społeczności naukowej stanowił największe w historii odkrycie biologiczne. Albo raczej byłby takim odkryciem, gdyby nie został całkowicie zniszczony podczas ostatecznej bitwy, kiedy statek został zalany promieniowaniem gamma.

Och, Wila dużo by dała, żeby móc spędzić w tym ogrodzie jedną godzinę. Zapachy, gleba, rośliny, stworzenia. Tyle można by się dowiedzieć o historii ewolucji formidzkiej planety. Na przykład jaka przewaga genetyczna pozwoliła Formidom rozwinąć się jako gatunek dominujący? I czy rośliny wykorzystują fotosyntezę? Tak by się wydawało, ale w jaki sposób i do jakiego stopnia?

Chociaż filmik był krótki, Wila zauważyła, jak Formidzi wykorzystywali mniejsze stworzenia do zakończenia pewnych uciążliwych zadań. Czy wyewoluowali razem z nimi, czy wyhodowali je w danym celu? Pociski serwetkowe, stosowane

przez Formidów, stanowiły dowód na to, że nieobca im jest bioinżynieria. Czy stworzyli też inne, bardziej złożone organizmy? A dokładnie: czy stworzyła je królowa roju? Jeśli tak, to czy komunikowała się z wytworzonym gatunkiem w taki sam sposób, jak komunikowała się z własnym? Ten pomysł nie przekraczał granic możliwości. Jeśli królowa roju rozumiała, jak działają połączenia filotyczne, i umiała wykorzystywać filotyczne nici do przekazywania informacji, to czy nie rozumiałaby też, w jaki sposób owe nici splatają się z organizmem, który wymyśliła? Pytania te od lat nie dawały Wili spokoju. A teraz to. Poszycie. Technologia rozwinięta przez Formidów. Wraz ze szczegółowymi analizami, stanowiącymi plon kilku lat badań prowadzonych przez wysoko kwalifikowanych naukowców i inżynierów. I prośba o pomoc. Każdą pomoc.

Z pozoru wydawało się, że jest to problem inżynierii mechanicznej. Jak mamy przebić to poszycie? Jaką mamy stworzyć metodę czy jaką broń mamy zbudować, by była wystarczająco silna? Ale oczywiście zasadnicze pytania dotyczyły metalurgii. Co to jest za stop? I jak został zrobiony? Odpowiedzi na nie dawała chemia. I chociaż Wila nie była inżynierem, miała pewną wiedzę chemiczną oraz kilka teorii na temat tego, jak królowa roju zbudowała swoje królestwo.

Dopiła herbatę i odstawiła szklanę ze wskrzeszonym poczuciem naglącej potrzeby. Po to studiowała. To do niej przemawiało, na to przygotowały ją wszystkie jej badania.

Uspokoila myśli i pomodliła się o otwartość umysłu, żeby wyraźnie dostrzegł i zrozumiał to, co odkryli już inni.

A potem otworzyła pierwsze holo i zaczęła czytać.

Rozdział 7

ASTEROIDA

Do: niebrzytwaockhama@anonim.net; lem.jukes@juke.net

Od: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Temat: Formidzi w Pasie Kuipera

Stary Żołnierzu oraz Lemie

Załączam obrazy asteroidy 2030CT, stosunkowo małej lodowej skały znajdującej się tu, w Pasie Kuipera, BARDZO DALEKO od Kopernika, co sprawia, że poniższa informacja jest tym bardziej niepokojąca. Do asteroidy jest zakotwiczony formidzki statek. Właściwie ministatek. Emituje bardzo mało ciepła, co mogłoby wyjaśniać, w jaki sposób zdołał niepostrzeżenie przybyć do Układu.

Nie umiem powiedzieć, jak długo tu jest, ale podejrzewam, że pojawił się stosunkowo niedawno. Edimar zauważyła spadek jasności asteroidy i wysłała przed nami sondę. Jak dowodzą tego obrazy, skała odbija mniej światła, ponieważ Formidzi pokryli ją jakąś błoniastą osłoną. Jakby balonem albo kokonem. Jeśli właściwie interpretujemy te obrazy, to obwód osłony jest większy od obwodu asteroidy, jaki mamy w naszych danych, co oznacza, że między osłoną a powierzchnią asteroidy jest pewna przestrzeń, może nawet dwadzieścia metrów. Nie mam pojęcia, z czego składa się osłona ani jak powstała, ale myślę, że może być hermetyczna, a to oznacza, że pod nią może się znajdować natlenione środowisko. Pokrywający powierzchnię asteroidy lód powstały z wody oraz lód występujący w porowatej skale mogłyby dostarczyć mnóstwo tlenu i wodoru w gazowej, ciekłej albo stałej postaci, zależnie od temperatury utrzymywanej wewnątrz skorupy.

Jest zupełnie możliwe, że cała powierzchnia asteroidy nadaje się teraz do życia i że może tam mieszkać i pracować pewna liczba formidzkich robotników i/lub żołnierzy.

Zbliżamy się do tej asteroidy. Wkrótce wyślę kolejne informacje. Proszę, żebyście natychmiast przekazali to Hegemonowi oraz wyższym oficerom Międzynarodowej Floty. Nie wiemy, czy mamy dość siły ognia, by odbić tę skałę lub oprzeć się Formidom, gdyby postanowili nas odpędzić. Nie wiemy, czy zdołamy umieścić tam jakichkolwiek obserwatorów – ludzi bądź roboty. Nie mamy też możliwości ukrycia naszego statku czy naszych zamiarów. Pilnie potrzebujemy porady.

Vico

Victor Delgado do Mazera Rackhama i Lema Jukesa, *Mazer Rackham: wybór korespondencji*,
Archiwa Międzynarodowej Floty, DoCent, Luna

Mazer unosił się w swoim ciasnym pomieszczeniu w WYBABiM-ie i oglądał obrazy przesłane przez Victora, z każdą chwilą czując coraz większy niepokój. Stuknął w ekran terminala i zrobił zbliżenie w nadziei na ustalenie, z czego jest wykonana osłona wokół asteroidy. Nic z tego. Za dużo pikseli. Wrócił więc do poprzedniej wielkości obrazu. Z odległości osłona wyglądała jak z utwardzonego bursztynu z zatopioną w nim grubą siecią jako podstawą konstrukcji. Była wyraźnie sztucznym tworem. Ale jak Formidzi ją zbudowali? I po co?

Znowu stuknął w ekran i zalogował się na forum. Victor mądrze postąpił, wysyłając te zdjęcia także do Lema, lecz Mazer nie mógł zrzucać na niego całej odpowiedzialności za podzielenie się nimi ze światem. Jeśli jest w stanie poinformować MF, to robi to.

Napisał nową wiadomość i załączył do niej wszystkie zdjęcia. Na forum tworzono codziennie dziesiątki nowych wątków, ale jako administrator Mazer mógł umieścić swój post na szczycie, żeby zobaczył go każdy, kto się logował. Wystarczyło, żeby wydał polecenie „Wyślij”.

Uniósł palec i się zawahał. Waganow rozkazał mu przynosić wszystkie nowe informacje bezpośrednio do niego. Jeśli Mazer umieści tę na forum, nie uprzedzając o tym Waganowa, to czy Waganow nie oskarży go o złamanie legalnego rozkazu? Czy nie postawi Mazera przed sądem wojskowym?

Nie mógł aż tak ryzykować. Najpierw powinien zdać raport Waganowowi. Pułkownik był karierowiczem, a tak cenna informacja mogła sprawić, że zostanie zauważony. Prawdopodobnie połamałby sobie nogi z pośpiechu, próbując dostarczyć te zdjęcia do DoCent jako pierwszy i móc przypisać sobie wszystkie zasługi oraz pławić się w pochwałach.

Mazer zapisał post, lecz go nie wysłał. Weźmie sprawy we własne ręce, jeśli Waganow zignoruje informacje. I do diabła z sądem wojskowym...

Pomieszczenie było zamknięte od zewnątrz, wysłał więc e-mail do adiutanta pułkownika. Sama prośba o spotkanie z Waganowem zostałaby prawdopodobnie zignorowana, dlatego Mazer załączył jeden z obrazów asteroidy i napisał, że ma dowody na obecność Formidów w Układzie.

Po kilku minutach pojawił się żandarm wojskowy i zaprowadził Mazera prosto do gabinetu Waganowa. Pułkownik odprawił żandarma machnięciem ręki, a potem wyświetlił asteroidę w holopolu.

– Kto ci przesłał ten obraz? – zapytał.

– Victor Delgado, panie pułkowniku – odparł Mazer. – Wolny górnik z Pasa Kuipera.

Waganow miał sceptyczną minę.

– Victor Delgado? Ten wolny górnik, który ostrzegł Ziemię przed pierwszą inwazją? Czy to żart?

– Nie, panie pułkowniku. Zapewniam, że to sprawdzone informacje.

Waganow zmrużył oczy.

– Dlaczego Victor Delgado miałby wysyłać krytyczną informację kapitanowi? Pomógł żołnierzom POP-u wygrać wojnę. Mógłby wysłać to komukolwiek w MF i każdy by mu uwierzył.

Mazer się zawahał. Musiał postępować delikatnie. Pod koniec

wojny Strategos zakazał mu ujawniania swojego uczestnictwa w ostatecznej bitwie, a tak właśnie rozwinęła się jego przyjaźń z Victorem. Zdradził więc tyle, ile mógł:

– Poznaliśmy się z Victorem Delgado za pośrednictwem holo podczas pierwszej wojny, kiedy przebywałem w Chinach. Delgado skontaktował się z chińskimi oficerami z Jaskini Smoka, gdzie służyłem, i zaproponował pomoc. Od tamtej pory jesteśmy w kontakcie.

Wyglądało na to, że Waganow jest pod wrażeniem, lecz na jego twarzy wciąż malował się cień sceptycyzmu.

– Nie wyglądasz mi na człowieka nieuczciwego, Mazerze. Człowiek nieuczciwy starałby się nakłonić mnie do przekazania fałszywej informacji do DoCent, chcąc mnie w ten sposób upokorzyć i zdyskredytować. Chcąc się zemścić, że tak powiem... Postawiłem cię przed sądem wojskowym w okolicznościach, które z twojego punktu widzenia wydają się niesprawiedliwe, nieuzasadnione czy nawet okrutne. Gdybyś był nieuczciwy, mógłbyś nawet uznać, że wyreżyserowanie skomplikowanego oszustwa w celu zniszczenia mojej reputacji jest usprawiedliwione. Ale nie jesteś człowiekiem nieuczciwym, prawda, Mazerze?

On myśli, że jestem podobny do niego, uświadomił sobie Mazer. To naturalne. Zawsze zakładamy, że inni myślą tak samo jak my. Więc jeśli jesteśmy podejrzliwi i przebiegli, to zakładamy, że wszyscy są równie niemili, podejrzliwi i przebiegli.

– Niczego nie zyskam, przekazując fałszywą informację, panie pułkowniku – stwierdził. – To byłoby zawodowe samobójstwo.

– Tak, to byłby głupi błąd.

– Moim jedynym zamiarem jest przekazanie ważnej informacji wyższym oficerom floty. Może pan ją zweryfikować w dowolny sposób. Oczywiście nie potrzebuje pan do tego mojego pozwolenia, a ja nie mam nic do ukrycia. Zachęcałbym tylko pana, by zrobił pan to szybko. To jest niezbity dowód na to, że Formidzi już się znajdują w Układzie Słonecznym. Uniknęli wykrycia. Mają jakiś plan. Osiedlili się na tej skale z jakiegoś powodu. Jeśli przyjrzy się pan układowi napędowemu, panie

pułkownika, to zobaczy pan, że wydaje się on przymocowany do skały. Jest tylko jeden powód, dla którego Formidzi mogliby to zrobić. Zamierzają tę asteroidę poruszyć. A jeśli potrafią poruszyć asteroidę, panie pułkowniku, to potrafią umieścić ją na kursie kolizyjnym z Ziemią. Mogą wystrzelić ją do nas jak pocisk.

To skłoniło Waganowa do zastanowienia. Ponownie popatrzył na zdjęcie.

– Tak. To chyba prawda.

– W Układzie Słonecznym znajduje się ponad dziesięć miliardów obiektów – ciągnął Mazer. – Jeśli Formidzi potrafią zmieniać te obiekty w broń, to nie będzie miało znaczenia, ile zbierzemy żołnierzy czy ile statków. Asteroida o średnicy zaledwie kilku kilometrów może uwolnić tyle energii, ile kilka milionów wybuchających jednocześnie głowic nuklearnych. Mogłaby zetrzeć z powierzchni Ziemi całe kraje, całe kontynenty. Większe obiekty mogłyby doprowadzić do wymarcia ludzkiej rasy. Formidzi mogliby nas wykończyć jednym strzałem, panie pułkowniku. Musimy natychmiast przekazać to DoCent. W Pasie Kuipera może być więcej takich zajętych asteroid, o których nie wiemy.

Waganow wpatrywał się zamyślony w zdjęcie.

– I jest coś jeszcze – dodał Mazer. – Bez względu na to, co Formidzi tam robią, musimy ich powstrzymać. MF musi sformować oddział szturmowy wyspecjalizowany w walce na asteroidach. Bo jeśli się nie mylę, w tej chwili flota nie prowadzi żadnych działań w tym kierunku. Nie sądziliśmy, że będziemy potrzebować takiego oddziału. Ale teraz go potrzebujemy. Żołnierze MF muszą zająć albo zniszczyć tę instalację i wszystkie inne do niej podobne. To będzie wymagało szkolenia, broni i taktyki, jakich jeszcze nie opracowaliśmy.

Waganow przez chwilę nic nie mówił.

– To zdjęcie może być fałszywe. Istnieje oprogramowanie, które z łatwością może generować takie obrazy. Mogłoby to zrobić nawet dziecko. Nikomu tego nie przekażę, dopóki samodzielnie wszystkiego nie potwierdzę.

Historia się powtarza, pomyślał Mazer. Kiedy Victor usiłował

ostrzec świat przed pierwszą inwazją, nikt nie chciał mu wierzyć. Tak było łatwiej – odrzucić informację jako fałszywą. Gdyby nie pojawiła się Imala i mu nie uwierzyła, bylibyśmy całkowicie nieprzygotowani.

– Panie pułkowniku, nie usiłuję pana oszukać – rzekł Mazer.

– Nie, ale ktoś może usiłować oszukać ciebie. Ta asteroida, 2030CT, leży daleko? Czy jakiś statek albo teleskop MF mógłby potwierdzić to, co tu widzimy?

– Ona znajduje się w Pasie Kuipera, panie pułkowniku. Tam wszystko jest daleko. W pobliżu nie ma żadnego statku albo składu MF. Sprawdziłem.

– A ten statek? Jeśli uniknął wykrycia, to nie znajdę też zapisu jego podejścia w żadnych bazach danych Paralaksy, prawda?

– Wątpię, panie pułkowniku. Ten formidzki statek ma bardzo mały silnik i przypomina maszynę, która zniszczyła Kopernika i która także nie została wykryta. Ze względu na ich rozmiary Victor nazwał je ministatkami. Prawdopodobnie zostawiają bardzo niewielki ślad termiczny. Musimy pamiętać, panie pułkowniku, że satelity Paralaksy to komputery. Wykrywają tylko to, co każemy im wykrywać. Jeśli ślad termiczny tego statku był mniejszy niż zadane parametry, nasze satelity go pominęły.

– No to mamy problem, prawda? – rzekł Waganow. – Mamy potencjalnie krytyczną informację, której nie mogę potwierdzić. Jeden obraz nie wystarczy.

– Są inne – powiedział Mazer. – Victor przysłał mi ich kilka. Może je pan obejrzeć.

Waganow sięgnął do holopola i wywołał ekran logowania do poczty MF.

– Zaloguj mnie do swojej poczty. Pokaż mi te inne obrazy.

Mazer się nie zawahał. Wiedział, że jego konto można przeglądać na żądanie – prawo do zachowania prywatności w wojsku właściwie nie obowiązywało, dlatego zawsze kasował e-maile natychmiast po przeczytaniu. Wszystkie pliki i projekty, które otrzymał od Victora, przechowywał w prywatnej bazie danych w sieci. Podobnie jak e-maile od Kim. Jedynym listem, jaki miał w skrzynce, był ten najnowszy od Victora. Podszedł

więc do holopola, zalogował się i otworzył obrazy.

– Gdzie jest reszta twoich maili? – zapytał Waganow i zmrużył oczy. – Coś ukrywasz. Z kim się jeszcze komunikujesz? Rozmawiacie o mnie, tak?

Mazer niemal się roześmiał. Pułkownik martwi się, że informuję jego przełożonych o jego związkach z Gungsu. Myśli, że rzucam go na żer wilkom. To było i żałosne, i rozwścieczające. Mazer daje mu informację, która mogłaby zmienić całą dynamikę wojny, a Waganow niepokoi się o swoją reputację. Ale nie okazał ani cienia odrazy, zachowując całkowicie obojętną minę.

– Zapewniam pana, że niczego nie ukrywam.

– No to gdzie, do diabła, jest reszta twoich e-maili?

– Kasuję je po przeczytaniu, panie pułkowniku.

– Bo nie chcesz, żebym ja je czytał. Nie chcesz, żebym odkrył, z kim rozmawiałeś i co o mnie mówiłeś.

– Zapewniam pana, panie pułkowniku, że nie jest pan tematem mojej korespondencji.

– Nie. I nie będę. Cofam ci dostęp do sieci. Nie będziesz z nikim rozmawiał ani w jakikolwiek sposób komunikował się z żadnym żołnierzem ani cywilem, dopóki nie zostaniesz wywieziony z tej stacji przed sąd wojskowy. Połączenie z twoją kwaterą też zostanie przerwane. Oddaj mi swoją nakładkę na nadgarstek.

– Bez dostępu do sieci, panie pułkowniku, nie będę mógł komunikować się z adwokatem. Z całym szacunkiem, ale zgodnie z Kodeksem wojskowego postępowania karnego nie może pan gwałcić mojego prawa do obrony.

Waganow zgromił Mazera wzrokiem.

– Twój obrońca może się z tobą skontaktować, kiedy znajdziesz się poza moją stacją. Wydałem ci bezpośredni rozkaz. Oddaj mi swoją nakładkę.

Mazer zdjął nakładkę i podał ją pułkownikowi.

– Co będzie z informacją na temat tej asteroidy? – zapytał.

– Wdrożę własne śledztwo – odparł Waganow. – Jeśli okaże się prawdziwa, przekażę ją dalej. Ty jednak nikomu o tym nie powiesz.

– A jeśli nie zdoła pan jej potwierdzić? Te czynności mogą

potrwać kilka tygodni albo miesięcy.

– To już nie jest twoje zmartwienie.

Nie powinienem był iść z tym do Waganowa, uświadomił sobie Mazer. Powinienem natychmiast umieścić te obrazy na forum. Albo wymyślić jakiś sposób na przesłanie ich bezpośrednio do Strategosa. Chwila, w której pozwolimy biurokracji na ograniczenie swobodnego dzielenia się informacjami, będzie chwilą, w której przegramy tę wojnę.

Mazer sięgnął do holopola i zalogował się na forum. Robił to już tyle razy, że jego palce działały jak na autopilocie, poruszając się szybko, tańcząc w świetle.

– Co robisz? – zapytał Waganow.

Mazer nie przerywał tańca. Znalazł odłożony post i wysłał go szybkim ruchem nadgarstka, błyskawicznie umieszczając na forum. Następnie poruszył nadgarstkiem w przeciwną stronę, zamykając forum, żeby Waganow nie zdążył skasować wiadomości. Pułkownik był wściekły.

– Co zrobiłeś?

– Umieściłem wiadomość na forum, które stworzyłem w intranecie MF. Odwiedza je codziennie około dwóch tysięcy niższych oficerów z całej floty. Zobaczą ją i podzielą się nią z dowódcami. Wcześniej czy później trafi do DoCent. Prawdopodobnie w ciągu godziny.

Oczy Waganowa pociemniały.

– Przeciwstawiasz mi się?

– Wciąż ma tu pan te zdjęcia. Jeśli wyśle je pan natychmiast kontradmirałowi, będzie pan pierwszy. Może nawet dostanie pan pochwałę. Ale jeśli będzie pan zwlekać, ktoś pana wyprzedzi. Tak czy owak, informacja się rozejdzie.

Mazer przeciągnął ręką przez holopole i zamknął swoją skrzynkę odbiorczą.

Pułkownik Waganow obciągnął bluzę i się uśmiechnął.

– Przekona się pan, kapitanie Rackham, że mam bardzo małą tolerancję dla niesubordynacji. – Postukał w swoją nakładkę na nadgarstek. – Sierżancie Nardelli, proszę przyjść do mojego gabinetu.

Chwilę później pojawił się żandarm wojskowy. Mazer go nie znał. Sierżant przerastał go prawie o głowę, miał grube ręce i ponurą minę.

– Sierżancie, proszę odprowadzić kapitana Rackhama do jego pokoju. Cały czas ma go pilnować żandarm. Jego zmiana czuwania zmienia się teraz w trzecią zmianę. Ma mieć służbę w oddziałach ciężkiej pracy i nie wolno mu się komunikować z nikim na tej stacji. Ani za pomocą słów, liter, języka migowego, języka ciała, ani mrugania i tak dalej. Czy wyrażam się jasno?

Nardelli skinął głową.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Waganow odwrócił się do holostolu, tym samym odprawiając żołnierzy.

– To wszystko.

Mazer poczuł, że chwytają go szorstkie dłonie i ciągną w stronę drzwi. Sierżant Nardelli nie był delikatny. Pułkownik wezwał go po nazwisku niewątpliwie właśnie z tego powodu.

Pułkownik odprowadził Mazera wzrokiem. Było to spojrzenie pełne obojętności, jakby Mazer nic nie znaczył, jakby był nikim. Tak mógłby patrzeć kot na mysz przed rzuceniem się na nią i zagłębieniem zębów w jej ciele.

Rozdział 8

NANOCHMURA

Do: ukko.jukes%hegemon@heg.gov

Od: sorin%ambasador@usa.gov

Temat: Rozzłoszczony niedźwiedź

Ukko

Ostrzeżenie. Wyjeżdżam ze Szczytu Bezpieczeństwa Ziemi w Petersburgu, gdzie atmosfera naszej ostatniej sesji była szczególnie wybuchowa, a cały jad był wylewany na ciebie. Korżakow, rosyjski pierwszy wicepremier, który nawet nie miał się pojawić, nazwał Hegemonię „ciałem uprzywilejowanych autokratów, którzy są ślepi na wołania słabszych warstw społecznych”. Powiedział, że Hegemonia ciśnie podatkami narody Nowego Układu Warszawskiego tak bezlitośnie, że rodziny nie mają środków do życia. Pokazał zdjęcie dziecka, które zamarzło na śmierć na ulicy. Jestem pewien, że w ciągu godziny to zdjęcie ukaże się w sieciach.

Oczywiście Korżakow wystawił swoją komedię ostatniego dnia pod koniec ostatniej sesji, nie dając nikomu szansy na polemikę. Przed szczytem skontaktowałem się z Norczowem, rosyjskim ambasadorem, żeby zapewnić sobie rosyjskie wsparcie dla tego podatku, a on zagwarantował mi, że Rosja jest z nami. „Tak, tak, musimy wzmocnić MF – mówił. – Zbudować obronę. Rosja jest z wami”. Zapomniałem o pierwszej zasadzie dyplomacji. Rosjanie są najbardziej skorzy do współpracy, kiedy mają zamiar zdradzić.

Głosowanie wygraliśmy, ale z trudem. Korżakow zakończył swoją diatrybę sugestią, że świat potrzebuje Hegemona, który zarówno kładzie silny nacisk na obronę, jak i jest pełen współczucia dla wolnych obywateli Ziemi. Jego intencje nie mogłyby być mniej

subtelne. Rosja w końcu zdała sobie sprawę, że urząd Hegemonia ma realną władzę. Chcą go dla siebie. Pilnuj się.

David

Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna, 2118

Lem wszedł do Działu Obrony Eksperymentalnej w Juke Limited i zdziwił się, że wciąż palą się tam światła. Było dobrze po północy, ale wyglądało na to, że cały personel jest na miejscu, jakby Lem zjawił się tu w środku dnia pracy. Sale konferencyjne były wypełnione inżynierami. Inne grupki skupiły się przy ustawionych po bokach stołach. Wszyscy stukali w nakładki i tablety, przerzucając się szybkimi, pełnymi napięcia uwagami. Przy jednym ze stołów spał samotny nieogolony inżynier, obejmując swoją torbę jak poduszkę. Inni drzemali w hamakach w ciemnym kącie pomieszczenia. Jedni wyglądali na sześćdziesięciolatek, a inni na studentów podyplomowych. Lem ruszył w głąb głównej sali, mijając po drodze pojemnik na śmieci, z którego wysypywały się opakowania po jedzeniu na wynos, i przestępując nad pracownikiem w śpiworze.

Znalazł doktor Benyawe w części wspólnej, gdzie mniej więcej dwadzieścioro pogrążonych w pracy inżynierów zajmowało rozrzucone po całym pomieszczeniu sofy i dwuosobowe kanapy. Benyawe spostrzegła go, udzieliła ostatniej rady mężczyźnie, z którym rozmawiała, i podeszła.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała, pokazując na oficjalny garnitur Lema. – Co to było? Balet? Polityczna kwesta? Północ to pora chyba trochę na to za późna.

Lem wciąż się rozglądał, chłonąc widok.

– Czuję się jak rodzic, który właśnie odkrył, że jego nastoletni syn urządza w domu imprezę.

– Trochę brakuje nam miejsca – oświadczyła Benyawe. – Złożyłam u jednego z twoich asystentów zapotrzebowanie na większy metraż. W tej firmie muszą być jakieś puste biura, które

moglibyśmy wykorzystać. Moi ludzie siedzą na skrzynkach.

– Twoi ludzie śpią na podłodze – rzekł Lem. – Ilu zatrudniłeś?

– Prawie trzystu. Większość na kontraktach, ale kilku naprawdę dobrych na etat.

– Trzystu?

Benyawe skinęła głową.

– To zdumiewająco zróżnicowana grupa. Nasze kadry zdziałały cuda. Twoi zwalniali się dyrektorzy wyższego szczebla uwolnili sporo gotówki.

– Gotówki, którą miałem wykorzystać do zwabienia nowych dyrektorów wyższego szczebla – powiedział Lem i przeciągnął ręką po włosach, by się uspokoić. – Czy mógłbym zapytać, skąd się oni wzięli? Żadną miarą nie mogłeś znaleźć ich wszystkich na Lunie.

– Zanim wybuchniesz jak nowa, przypomnę ci, że robię to, o co prosiłeś. Wszyscy inżynierowie przebywający na tej skale już pracują dla firmy. Moim jedynym wyjściem było zwrócić się do planety.

– Przywiozłeś trzysta osób z Ziemi? Powiedz mi, proszę, że upchnęłeś ich do jednej rakiety.

– Trzeba było kilku lotów – odparła Benyawe. – Nie spodoba ci się koszt paliwa. Wyniósł kilka razy więcej niż to, co im płacimy. Ale jeśli chcesz szybkich, cudownych rezultatów, to potrzebujesz nowej krwi.

– Nowa krew jest w porządku. W przeciwieństwie do wykrwawiania firmy.

– Zachowujesz się melodramatycznie i trochę wrednie. Ta firma zatrudnia ponad pół miliona osób. Czy muszę ci wykazać, o ile więcej zysku zapewnia ten dział od innych? Jeśli chodzi o personel, jesteśmy jednym z najmniejszych działów i jednym z największych, jeśli chodzi o wytwarzanie dochodu. Sądzę, że możesz dać nam trochę luzu.

Lem westchnął.

– Dlatego mnie wezwałaś? Żeby mi pokazać nowych pracowników?

Benyawe ruszyła żwawo z miejsca i Lem musiał podbiec, by się

z nią zrównać.

– W gruncie rzeczy pracujemy nad tym już od pewnego czasu – powiedziała – i jest jeszcze trochę za wcześnie, żeby ci to pokazać, ale ostatnio zrobiliśmy wielkie postępy, więc chyba powinnam cię w to wprowadzić. Pomyślałam jednak, że możesz poczekać do rana. Nawiasem mówiąc, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

Lem musiał prawie biec, żeby dotrzymać jej kroku.

– O garnitur. Co to była za okazja?

– Nadawano moje imię nowemu skrzydłu szpitala.

Benyawe spojrzała na niego.

– Żartujesz.

– Nie.

– To trochę banalne, nie sądzisz?

Lem zmarszczył brwi.

– Sprzeciwiałem się temu, ale ludzie od kontaktów zewnętrznych się uparli. Nasz dział zdrowia ofiarował kilka urządzeń nanochirurgicznych, a firma wyłożyła mnóstwo pieniędzy na budowę. Najwyraźniej jak człowiek za coś płaci, to to coś otrzymuje jego imię.

– Aha. Odpisy podatkowe pod płaszczykiem filantropii. Robi mi się od tego cieplutko i przytulnie.

– Wiesz co? Jak na kogoś, kto lubi się bronić twierdzeniami o generowaniu dochodu, masz kiepskie pojęcie o funkcjonowaniu wolnych rynków.

– Posługuję się ekonomią tylko wtedy, kiedy wspomaga moją argumentację. Poza tym jej nienawidzę. Jestem naukowcem, pamiętasz?

– Czy możesz mi łaskawie powiedzieć, dlaczego znalazłem się tutaj o północy?

– Nazywamy to nanochmurą – powiedziała Benyawe.

Właśnie wychodzili z głównej sali i szli do warsztatu.

– Nanochmura? – powtórzył Lem. – Co to jest dokładnie? Technologia roju?

– Zasadniczo.

– I co ona ma robić?

– Oczywiście przebić matposz formidzkiego okrętu wojennego i wprowadzić do środka żołnierzy. Tego chciałeś, prawda? Rozwiązania, które pobije wadliwy zakłócacz grawitacji Gungsu...

– Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej niż zaszkodzenie Gungsu – stwierdził Lem. – Ale jeśli nanochmura to tylko nanoboty zaprogramowane do przegryzienia się przez matposz, to nic z tego.

– Chmura przez nic się nie przegryza. Ma otworzyć statek od środka.

Przy rozmaitych stanowiskach krzątały się zespoły inżynierów, którzy konstruowali, podrasowywali albo naprawiali małe eksperymentalne statki kosmiczne lub fragmenty większych pojazdów. Wszędzie były narzędzia, roboty i maszyny do obróbki metali, mimo to w warsztacie panowały porządek i dobra organizacja.

– Czy oni zawsze pracują tak długo? – zapytał Lem.

– Kazałeś zaangażować w to wszystkie siły – odparła Benyawe.

– To właśnie robimy.

Przeszli pomiędzy stanowiskami do niewielkiej sali obserwacyjnej ze szklaną ścianą wychodzącą na ogromną komorę próżniową. Pośrodku niej stała metalowa konstrukcja wielkości miejskiego autobusu i uświadomienie sobie, co widzi, zajęło Lemowi chwilę.

Benyawe i członkowie jej zespołu odtworzyli część formidzkiego statku zwiadowczego. Wyglądało to tak, jakby wycięli laserem fragment stanowiący przekrój kadłuba wielkości dziesięciu metrów kwadratowych – jak kawałek ze środka tortu. Każdy element konstrukcji sprawiał wrażenie identycznego z oryginałem. Był czerwony błyszczący kadłub z dużymi i małymi otworami. Były warstwy rur i płyt pod poszyciem, a pod tym wszystkim, bezpośrednio pod największym zakrytym otworem, spoczywała replika formidzkiego działła. Działo było niepomalowane, z grubsza tylko wyrzeźbione i całkowicie niewykończone.

– Oczywiście nie skończyliśmy jeszcze modelu, ale, jak widzisz, wszystko wybudowaliśmy w skali – wyjaśniła Benyawe. – Tak jest na prawdziwym statku. Jedynym wyjątkiem jest użyty materiał. Dublin i jego zespół jeszcze nie określili, z czego się składa matposz, więc nasz zrobiliśmy ze stali. Ale dla naszych celów metal nie jest ważny.

Zamknęła drzwi do sali obserwacyjnej i zgasiła światła. Lem podszedł do szyby, żeby lepiej widzieć. Benyawe podciągnęła rękaw i stuknęła w nakładkę.

– W komorze panuje próżnia – powiedziała. – Nie są to dokładnie warunki kosmiczne, ale są do nich zbliżone. Nie potrafimy jednak odtworzyć warunków bitewnych. Nie jest to zatem w żadnym razie dokładny obraz tego, jak nanochmura będzie działać w czasie wojny. To ma ci po prostu z grubsza pokazać, do czego zmierzamy.

Z przewodu wentylacyjnego w ścianie buchnął do komory czarny dym, jakby ze starego komina wypadła sadza. Tylko że, jak uświadomił sobie Lem, to nie były dym ani sadza. To były nanoboty. Do pomieszczenia wlewał się po prostu rój milionów mikroskopijnych botów.

Początkowo poruszały się jak normalny dym – rozprzestrzeniały się, rozrzedzały w pozornym bezładzie. Lecz w pomieszczeniu nie było prądów powietrza, więc musiały się poruszać zgodnie z programem – utworzyły ścianę. I wtedy, jakby nanoboty scaliły się w pojedynczy przedmiot posiadający inteligencję, chmura opuściła się na kadłub statku i w chwili kontaktu rozsypała się, lecz żaden jej element nie odbił się od kadłuba. Roje nanobotów ruszyły w stronę otworów i zebrały się przy ich krawędziach albo tam, gdzie stykały się listki otworów.

– Ta część zajmuje kilka minut – powiedziała Benyawe. – Proszę cię o chwilę cierpliwości.

Lem obserwował chmurę smartpyłu, ale nic się nie działo.

– Każdy czarny punkcik, który widzisz, składa się z tysięcy nanobotów – wyjaśniła Benyawe.

– A co one właściwie robią?

– Wnikają w niewiarygodnie małe przerwy między listkami. Ich szerokość wynosi kilka atomów. Listki sprawiają wrażenie hermetycznych i według naszych standardów takie są. Lecz na poziomie atomowym nie są szczelne. Nie widzimy drobnych wyrw, odstępów i przepaści między nimi, lecz one tam są, a przez te otwory płyną jak rzeka tysiące naszych nanobotów i wnikają do statku na mikroskopijnym poziomie.

Duży otwór rozwarł się, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem, i ukazało się w nim formidzkie działo, które zaczęło się wysuwać i rozkładać, przygotowując się do plunięcia ogniem.

I wtedy rozpadło się w punktach łączenia na trzy części i oddzieliło od kadłuba. Jego kawałki odpływały coraz dalej i zderzyły się miękko z wyściełanymi ścianami komory. Otwór się nie zamykał. Stanowił rozwartą, zapraszającą dziurę.

Benyawe odwróciła się do Lema.

– Działo nie jest, na szczęście, zrobione z matposzu. Składa się głównie z żelaza. Musieliśmy więc po prostu zaprogramować boty, by rozmontowały jego zawiasy. Inna grupa ma sterować mechanizmem kontrolującym otwór, by nie mógł się zamknąć. Jeszcze inne grupy schodzą do mniejszych otworów w najbliższym sąsiedztwie i wyłączają dysze, z których wydobywa się plazma. Mamy nadzieję, że po usunięciu działa zespół żołnierzy zdoła podlecieć maleńkim stateczkiem do samego otworu i wejść do wnętrza statku. To będzie wymagało doskonałego pilotowania. Będą musieli podlecieć prosto do otworu. Jeśli zboczą choć odrobinę, wystawią się na atak plazmy z innych otworów.

– To jak lot Imali w ostatniej wojnie – zauważył Lem.

– Właśnie on nas zainspirował. Cała operacja nie jest więc pozbawiona ryzyka. Wymaga bezbłędnego działania nanochmury i wyszkolonych żołnierzy. Ale zyskałszy przynajmniej metodę przeniknięcia przez poszycie, która nie wymaga od nas niszczenia niezniszczalnego. Tej bitwy nie mamy szansy wygrać.

– Zaprogramowaliście te boty, by otworzyły ten statek – stwierdził Lem – ale nie wiemy, czy nowe okręty wojenne wroga

będą do niego podobne. Mogą być zaprojektowane zupełnie inaczej.

– Zasada jest ta sama – odparła Benyawe. – Identyfikujemy miejsca wejścia na okręt i posługujemy się nanobotami do otwarcia luku, szczeliny czy co tam jest do otwarcia. Zasadniczo znajdujemy drzwi i otwieramy je naszym żołnierzom. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to jeszcze technologia doskonała. Wciąż musimy opracować metodę pozyskiwania zewnętrznych skanów okrętów. Prawdopodobnie najłatwiej byłoby wykorzystać do tego sondy. Wysyłamy kilka, żeby przekazały nam szczegółowe zapisy powłoki statku. To pozwoli nam pracować na precyzyjnych wymiarach. Będziemy wiedzieć, gdzie dokładnie znajdują się te punkty wejścia.

– A co z wnętrzem? – zapytał Lem. – Zdołaliście zaprogramować nanoboty do rozmontowania działa, ponieważ wiedzieliście, gdzie dokładnie się ono znajduje i jak wygląda. Nie będziemy mieli takiego luksusu w wypadku nowych okrętów. Sonda skanująca nie będzie mogła zajrzeć do wnętrza formidzkich okrętów. Jak poznamy rozkład danego okrętu?

– Wyślemy nanochmurę z misją odwzorowania jego wnętrza – rzekła Benyawe. – Boty prześlą trójwymiarowy obraz tego, co znajdują. To jak wstrzyknięcie barwnika do krwiobiegu.

– A w jaki sposób dostarczycie chmurę w pobliże wrogiego kadłuba?

– Nad tym właśnie teraz wszyscy pracują. Mamy pewne obiecujące wstępne pomysły, ale nie są doprecyzowane. Przed nami dużo pracy – powiedziała Benyawe.

– Znajdźcie jakiś sposób. I pośpieszcie się. Działajcie tak, jakbyście byli trzy lata do tyłu. Bo tak jest.

– To brzmi jak krytyka – zauważyła Benyawe. – Znam cię jednak na tyle dobrze, że wiem, że jesteś zadowolony.

– To, czy jestem zadowolony, nie ma znaczenia, Benyawe. Znaczenie ma to, że ta technologia bezapelacyjnie zwiększa nasze szanse na wygraną wojny. Ale nie jestem na tyle głupi, by sądzić, że szala właśnie przechyliła się na naszą stronę. Nawet gdyby wszystkie okręty MF miały otrzymać tę broń, to prawdopodobnie

i tak ponieśliśmy spektakularną porażkę. Zatem tak, jestem w bardziej optymistycznym nastroju niż ostatnio, ale przed nami jeszcze długa droga.

Lem zostawił ją z nanobotami i przekrojem kadłuba i wyszedł z pomieszczenia. Znowu przeskoczył przez mężczyznę w śpiworze, lecz tym razem zrobił to nieco bardziej sprężyście. Dał Benyawe powściągliwą odpowiedź – zaprezentował jej minę dyrektora naczelnego: Dobra robota, pracujcie dalej itepe, itede. Lecz w środku był w euforii. Nanochmura... Teraz wydawało się to tak oczywiste, że było aż lekko żenujące. Powinni byli na to wpaść kilka lat temu. I zapewne wpadli, tylko opracowanie całego procesu i technologii w takim stopniu, by wszystko zadziało, zajęło trochę czasu. W gruncie rzeczy osiągnięcie tego zaledwie w trzy lata było niemal cudem.

Wyszedł z ośrodka i wszedł do swojego śmigacza, zostawionego na podziemnej stacji. Na czas uroczystości w szpitalu zdjął nakładkę na nadgarstek i zostawił ją na tablicy rozdzielczej. Teraz cicho dzwoniła, domagając się jego uwagi. Urządzenie to było prostą SI. Spośród oficjalnych informacji i wiadomości elektronicznych wybierało te, które mogły najbardziej zainteresować Lema, a następnie przydzielało im stopień ważności. Uznane za pilne przedstawiało Lemowi natychmiast, a zwykłe sprawy odkładało na później.

Sygnał wydawany przez nakładkę oznaczał, że otrzymała wiadomość od osoby rzadko nawiązującej kontakt i że uznała ją za bardzo ważną. Lem wziął urządzenie do ręki.

Ku jego zaskoczeniu wiadomość pochodziła od Victora Delgado. Był to e-mail z załączonymi zdjęciami. Ekran nakładki był za mały, by dobrze je obejrzeć, więc Lem włączył akumulatory śmigacza i uruchomił holopole deski rozdzielczej. Najpierw pojawił się jakiś unoszący się w przestrzeni kosmicznej okrągły kształt. Lem nie miał pojęcia, co to takiego. Mała dziwna piłka? Albo jakiś okrągły worek. Ale nie, przysłał to Victor, to musiało być coś formidzkiego. Ale co? Mina? Maleńka sonda?

Przeczytał e-mail i w końcu pojął skalę obiektu. Uświadomił sobie, że nie zmieściłby mu się w dłoni. To była asteroida.

Wstukał kod wylotu.

Boty dokujące uniosły śmigacz na platformę, a ona wzniosła się ku powierzchni. Lem wystartował i poleciał nad dziobatym i zapylonym krajobrazem księżycowym, kierując się w stronę Imbrium – skupiska potężnych żelaznych kopuł po słonecznej stronie Księżyca. Jego ojciec na pewno będzie już spał, ale Lem go obudzi. Zakładając, że przebrnę przez ochronę, pomyślał. Teraz większa część miasta znajdowała się pod powierzchnią, chroniona w ten sposób przed nieustannym bombardowaniem mikrometeorytów i promieniowaniem słonecznym. Pierwotne osiedle, Stare Miasto, nadal stało na powierzchni pod kopułami. Po pierwszej wojnie z Formidami ruch turystyczny w nim powoli zamarł. Okolice odrodziła się dopiero wtedy, gdy ojciec Lema ustanowił siedzibę główną Hegemonii właśnie tam. Jednakże zamiast turystów chodniki wypełniali teraz ambasadorzy, lobbyści, dostawcy sprzętu i usług dla wojska oraz urzędnicy w garniturach, którzy wprawiali w ruch świat, MF i całą Hegemonię.

Lem podleciał do bramy Północnej Kopuły i sprowadził śmigacz na przejściowe lądowisko, gdzie przejęły go boty i popilotowały przez służę do natlenionego wnętrza kopuły. Kiedy Lem znalazł się w środku, znowu wystartował i wzniosł się nad Stare Miasto. Sztuczne światła były wygaszone i większość mieszkańców spała.

Hegemon Ziemi wybrał na swoją prywatną siedzibę skromne mieszkanie na ostatnim piętrze budynku. Ukko Jukes może kiedyś i był najbogatszym człowiekiem na Ziemi, lecz rozumiał, że wystawne życie denerwuje elektorat. Chociaż prawda była taka, że właściwie nie musiał się już martwić o wybory – został wyznaczony na to stanowisko przez Narody Zjednoczone, a jego kandydatura zatwierdzona przez głosy zgromadzeń ogólnych na całej Ziemi.

– Śmigacz 7002, zbliżasz się do zastrzeżonej przestrzeni powietrznej. Przedstaw się – usłyszał z głośnika.

Lem przewrócił oczami.

– Tu Lem. Chcę się zobaczyć z ojcem. Mój śmigacz jest w waszej

bazie danych. Wiecie, że to ja.

Zwolnił i zawisł w powietrzu w pewnej odległości od platformy dokującej nad mieszkaniem ojca.

– Zna pan zasady, panie Jukes. Nie mogę pozwolić panu na lądowanie bez podpisanej przepustki.

– Proszę poinformować mojego ojca, że mam bardzo ważną informację dotyczącą Formidów.

– Przepraszam, panie Jukes. W tej chwili Hegemon nie przyjmuje gości. Udał się już na spoczynek.

– Żołnierzu, jesteście bystrym człowiekiem, bo inaczej nie obsługiwalibyście tak ważnego stanowiska. Jestem więc pewien, że wystarczy, bym powiedział to tylko raz: mam niepodważalny dowód, że Formidzi przeniknęli do Układu Słonecznego tuż pod naszym nosem i być może w tej chwili przygotowują atak. Jeśli chcecie, żeby przez was ta informacja dotarła do Hegemona, Polemarchy i Strategosa z opóźnieniem, to jak najbardziej trzymajcie się swoich mało ważnych zasad kontroli lotów. W innym wypadku obudźcie mojego ojca i pozwólcie mi wylądować.

W radiu zapadło długie milczenie.

– Chwileczkę.

Lem czekał pięć minut na powrót pełnego niepewności głosu żołnierza.

– Hegemon pana przyjmie, panie Jukes. Może pan wylądować.

Lem znowu przewrócił oczami. „Hegemon pana przyjmie”. Czy to im każesz mówić, ojczu? Jakbyś był jakimś królem czy sułtanem, który udzielił mi wielkiego przywileju ogrzania się w blasku twojej królewskiej obecności.

Lem posadził śmigacz i księżycowymi skokami przemieścił się do strzeżonego wejścia. Po jego ciele przebiegły światła skanera i żołnierz pełniący wartę przepuścił go gestem. Ojciec czekał w salonie, ubrany i całkowicie rozbudzony.

– Późno chodzisz spać – zauważył Lem, włączając magnesy w butach i ruszając po dywanie. – Twoja ochrona została chyba źle poinformowana. Wyglądasz fatalnie, ojczu.

Lem widział go ostatnio kilka miesięcy temu; i ten czas

najwyraźniej nie przysłużył się ojcu. Wyglądał na zmęczonego, a nawet wyczerpanego. Wydawało się, że bardziej posiwiiał, stracił na wadze... ale wciąż był ojcem Lema – chłodnym, niecierpliwym i bardzo rzeczowym.

– Co masz? – zapytał.

Lem uniósł swoją nakładkę na nadgarstek.

– Któraś z tych ścian jest gotowa do projekcji?

Ojciec skinął ręką w stronę ściany po lewej stronie Lema.

Lem nakierował na nią nakładkę, wpisał odpowiednie polecenia i na ścianie pojawił się pierwszy duży obraz. Ukazywał kokon spowijający asteroidę z ogonem formidzkiego statku wystającym z jednej strony. Ojciec podszedł do zdjęcia i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Gdzie to jest? – zapytał w końcu.

– W Pasie Kuipera. Asteroida 2030CT. Dość daleko od miejsca, w którym działał Kopernik, co było moim pierwszym pytaniem. Tak naprawdę jest w środku niczego. Daleko od jakichkolwiek celów wojskowych. Nie ma powodu, żeby tam była.

– Jest powód – stwierdził ojciec. – Nie chce być zauważona. Co to za materiał ją otacza?

– Nie mam pojęcia. Ale spójrz na to drugie zdjęcie. Widać formidzki statek zakotwiczony do skały z drugiej strony. Jest maleńki. Nie większy od tego, który zniszczył Kopernika. Co rodzi pytanie: skąd Formidzi wzięli materiał do pokrycia całej asteroidy? Nie mogli go przywieźć z sobą. Na tym statku brak miejsca na ładunek. Skała ma w najszerszym miejscu średnicę ponad kilometra. Nie robiłem obliczeń, ale z grubsza zakładam, że do jej pokrycia potrzeba by ponad miliona metrów kwadratowych materiału. Nie, właściwie więcej, ponieważ unosi się on w pewnej odległości od powierzchni, tworząc osłonę dla habitatu. To zapewne daje dwadzieścia do trzydziestu procent dodatkowej powierzchni. A materiał musi być wystarczająco gruby, żeby wytrzymać złe traktowanie. Bombardujące go sporadycznie mikrometeoryty i takie różne... Mówimy więc o ogromnej jego ilości. No i nie można zapominać o podtrzymującym go włóknistym szkielecie. Formidzi żadną

miarą nie mogliby go przywieźć. Musieli wytworzyć materiały ze skały. Nie ma innego wyjaśnienia.

– Wiadomo, jak długo tam są?

Lem wzruszył ramionami.

– Taki mały statek ma minimalną załogę. Najwyżej sześciu Formidów. Mimo to zbudowali tę całą strukturę z pozyskanych surowców. To dużo pracy – kopania, przetwarzania, kształtowania i budowania – dla tak nielicznej grupy robotników. Domyślam się, że mogłoby to im zająć kilka lat.

– Chyba że początkowo było tam więcej Formidów, którzy pomagali przy budowie, a potem się wynieśli, zostawiając tylko podstawowy personel.

– Możliwe – rzekł Lem. – Ale sądzę, że materiały albo oddziały przerzucano by za pomocą takich maleńkich statków jak ten. Gdyby użyli czegoś większego, prawdopodobnie byśmy to wykryli.

– Skąd masz te zdjęcia? – zapytał ojciec. – Od jakiegoś górnika z Juke?

– Od Victora Delgado, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć. W jego załodze są Imala, Edimar i inni. Victor uważa, że ten kokon to świeża konstrukcja, ale ja się z tym nie zgadzam.

– Czy to są jedyne zdjęcia, jakie masz?

Lem skinął głową.

– A zatem wyślij je natychmiast do MF. Oni zdecydują, co z tym zrobić. Dobrze postąpiłeś, że przyszedłeś z nimi do mnie.

To była odprawa.

– A więc to wszystko? – zapytał Lem.

– A czego chcesz? Oficjalnego podziękowania? Medalu?

– A może: „Co u ciebie, Lemie? Jak się ma firma, którą ci dałem? Jak ci się wiedzie od czasu, kiedy ja, twój ojciec, zacząłem ci wykradać pracowników?”.

Ojciec westchnął.

– Nie marudź, Lemie. To nie przystoi dyrektorowi naczelnemu.

– Nie sądzisz, że powstał konflikt interesów, ojcze? Hegemonia, która zawiera kontrakty na usługi i dostawy sprzętu dla wojska, tworzy własną firmę zajmującą się właśnie tym? Nie jestem

prawnikiem, ale uważam, że pewnego dnia może cię to ugryźć w siedzenie.

– Nie mam żadnej firmy, Lemie. Zatrudniam ludzi do pomocy przy wykonywaniu zadań zbyt delikatnych dla otwartego rynku.

– Zbyt delikatnych? Ja mam całe działy ludzi mających upoważnienia najwyższego poziomu, ojciec. To nigdy wcześniej nie stanowiło problemu.

– Może dlatego, że to, nad czym teraz pracujemy, nigdy nie było aż tak poufne. Wiem, że wystawiam twoją ciekawość na wielką próbę, Lemie, ale po prostu będziesz musiał mi zaufać.

– Co to jest? Jakaś broń? To nie może być nic, co przebiłoby formidzkie kadłuby. Ten kontrakt dałeś Gungsu. Co, nawiasem mówiąc, było błędem. Ten ich mały zakłócacz grawitacji to żart i ty o tym wiesz, ojciec. – Przyszła mu do głowy pewna myśl. – Chyba że opracowujesz taką broń, ale nie zawarłszy kontraktu z nikim, wzbudziłbyś podejrzenia i odkrył karty, więc dałeś kontrakt Gungsu jako przykrywkę.

Kiedy tylko Lem wypowiedział to na głos, zdał sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi. Ojciec roześmiał się cicho.

– Doprawdy, Lemie. Naprawdę sądzisz, że dałbym miliardy kredytów Gungsu tylko po to, żeby zmylić tropy? Dostali kontrakt, ponieważ zaprezentowali najlepszy produkt. Osobiście uważam, że – zważywszy na siłę poszycia – jest to stosunkowo słaba opcja, ale najlepsza, jaką widzieliśmy, a już na pewno lepsza od wszystkiego, co opracował twój zespół.

– Teraz mamy już rozwiązanie – rzekł Lem. – Benyawe pokazała mi je dosłownie przed chwilą. Nie przebija poszycia. Otwiera istniejące wejścia. Po co tworzyć nową dziurę, kiedy są już drzwi, którymi można się dostać do środka?

Ojciec się zawahał.

– Interesujące. Podejście bez użycia przemocy. Jakie to niewojskowe. Strategosowi bardzo się to nie spodoba.

– Ta decyzja nie należy do niego, ojciec. To decyzja Hegemonii. Twoja.

– To nie jest spotkanie biznesowe, Lemie. To spotkanie wywiadowcze. Czy nie nauczyli cię w szkole biznesu, żeby nigdy

niczego nie sprzedawać komuś, kto nie ma ochoty kupować?

Ku zaskoczeniu Lema otworzyły się drzwi w tylnej części pokoju i z gabinetu ojca wyszedł oficer MF w pełnym umundurowaniu. Szybko zamknął drzwi za sobą, jakby coś za nimi ukrywał, i zrobił nieco zażenowaną minę.

– Przepraszam, panie Jukes. Nie chcę przeszkadzać, ale czekają na pana.

Ojciec zerknął nerwowo na Lema, a potem rzucił do oficera:

– Za chwilę wracam. Dziękuję, panie kapitanie.

Kapitan skinął głową i zniknął w gabinecie.

Kto tam czeka? – zadał sobie pytanie Lem. I dlaczego jest tam również oficer MF? I to w środku nocy. Ale ktokolwiek to był, musiał dysponować wielką władzą, żeby pozwolić sobie na okazanie zniecierpliwienia Hegemonowi Ziemi. A jeśli łącznikiem był oficer MF... to musiał to być ktoś z MF...

A jednak kapitan powiedział „czekają”. A więc więcej niż jedna osoba. Co najmniej dwie. Ludzie mający władzę. Ludzie, którym podlega ten kapitan.

Lem nagle zrozumiał. W gabinecie ojca poza tym kapitanem nikogo nie było, a przynajmniej fizycznie. Ojciec był w bezpośrednim kontakcie ze Strategosem i Polemarchą. Ale jak to możliwe? Obaj znajdowali się w pasie asteroid. Jakakolwiek rozmowa z nimi zajęłaby kilka godzin. System „podaj cegłę”, wykorzystywany we flocie do komunikacji, działał straszliwie powoli. Składały się na niego stacje przekaznikowe, rozmieszczone wzdłuż linii ciągnącej się od Luny po kraniec Pasa Kuipera. Nowe transmisje były wysyłane wzdłuż tego łańcucha od jednej stacji do drugiej, aż docierały do miejsca przeznaczenia. Dwukierunkowa rozmowa mogła trwać kilka dni. Ale ktoś czekający na ojca w gabinecie się zniecierpliwiał, jakby oczekiwał, że dialog będzie się toczył błyskawicznie, jakby rozmawiali twarzą w twarz...

– Opracowaliście komunikację szybszą niż światło – stwierdził Lem. – To jest wasze tajne przedsięwzięcie, tak? Nad tym pracujecie. Nad sposobem natychmiastowego komunikowania się na wielkie odległości. Tak jak robią to Formidzi.

– To byłoby wygodne, prawda? – rzekł ojciec. – Ale nie.

– Nie potrafisz kłamać, ojczu. W tym pokoju czekają na ciebie Polemarcha i Strategos. Dlatego jeszcze się nie położyłeś i jesteś ubrany. Dopasowujesz się do ich rytmu dobowego. Ten kapitan to oficer łączności. Co on robi? Obsługuje to urządzenie? Chroni je? Jak to jest w ogóle możliwe?

– Nie zajmuj się tą sprawą, Lemie. I przestań spekulować. Gdyby taka technologia istniała – a nie istnieje – na pewno nie omawiałbym jej z tobą.

– Nie wiem, dlaczego nie dostrzegłem tego wcześniej – ciągnął Lem. – Oczywiście dla wojska to byłby priorytet. Jak możemy pokonać wroga, jeśli jego system łączności jest o tyle szybszy i lepszy od naszego? Wróg miałby przewagę w każdej bitwie. Ale gdybyśmy my też dysponowali taką technologią, to nasi najlepsi dowódcy mogliby być na wszystkich frontach jednocześnie, w każdej chwili. – Lem się roześmiał. – Sprzedaliśmy wam system „podaj cegłę”. Firma Juke go zbudowała i sprzedawała Hegemonii, ale ty przez cały czas opracowywałeś własny, lepszy. Pośmiejemy się jeszcze z mojego pomysłu co do mylenia tropów?

– Daj temu spokój, Lemie. Masz pracę do wykonania i ja też.

– Podczas ostatniej wojny Formidzi załatwili nasz system łączności plazmą. Uszkodzili prawie wszystkie nasze satelity, przez co staliśmy się ślepi i pogrążyliśmy się w chaosie. Więc oczywiście potrzebowalibyśmy niezniszczalnej siatki łączności. Takiej, która w ogóle nie potrzebuje satelitów. Jak ona działa, ojczu? I jak mogę zdobyć coś takiego?

– Ty budujesz broń i statki, Lemie. Nie potrzebujesz do tego natychmiastowej łączności. Ale jeżeli będziesz rozpuszczał plotki na temat komunikacji szybszej niż światło, to każę cię aresztować i uwięzić, jeśli nie rozstrzelać.

– To oczywiście znaczy, że mam rację – powiedział Lem z uśmiechem.

– Nie, to znaczy, że rozpuszczanie plotek na ten temat to przestępstwo graniczące ze zdradą, które zakończy twoje użyteczne życie w Hegemonii. Potraktuj to, jak chcesz, ale trzymaj język za zębami.

Lem udał, że zamyka usta na suwak.

– Ta wiadomość o asteroidzie zostanie przekazana właściwym osobom – rzekł ojciec. – To mogę ci obiecać. I mówię poważnie, Lemie. Odpuść. Hegemonia nie cofnie się przed niczym, by chronić Ziemi.

– Ale po co trzymać to w sekrecie? – zapytał Lem. – Po co bronić tego tak zaciekle? Dlaczego ludzie nie mają o tym wiedzieć?

– Zawsze brakowało ci wizji, Lemie. Masz ciasną perspektywę. Widzisz tylko to, co się dzieje tu i teraz. To dzięki nieświadomości ludzie mogą iść w nocy spać. – Odwrócił się i ruszył w stronę gabinetu. – Możesz sam wyjść – rzucił jeszcze i zniknął za drzwiami.

Lem stał przez chwilę w pustym pokoju, a w głowie kłębiło mu się jeszcze więcej pytań niż przedtem. Wizji czego mi brakuje, ojciec? Jaka perspektywa leży poza moją wyobraźnią?

Wrócił do śmigacza i wystartował w ciemność, wznosząc się nad przysadzistymi budynkami Starego Miasta.

Natychmiastowa łączność. To niemożliwe. Ale ojciec najwyraźniej to wymyślił... Może z ludźmi znajdującymi się poprzednio na mojej liście płac. Zrobił z nimi to, czemu ja nie podołałem.

Może masz rację, ojciec. Może rzeczywiście brak mi wizji. Ale to nie ignorancja pozwala mi w nocy spać. Śpię dzięki odpowiedziom. I nie przestanę szukać, dopóki ich nie znajdę.

Rozdział 9

NARADA

Do: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Od: lem.jukes@juke.net

Temat: Dot.: Formidzi przy asteroidzie 2030CT

Vico

Przekazałem ojcu wszystkie informacje na temat 2030CT. Co dziwne, przyznał, że sprawa jest ważna ORAZ że jeszcze o niej nie wiedział. Zapewnił mnie, że natychmiast zawiadomi Międzynarodową Flotę. Zakładam, że już powiedział Polemarsze i Strategosowi.

Spojrzałem jednak na mapy. Najbliższy okręt MF znajduje się o sześć do ośmiu miesięcy od tej asteroidy. Wy moglibyście do niej dotrzeć w ciągu tygodnia. Nie chcę narażać Twojej rodziny na niebezpieczeństwo, ale czas gra tu zasadniczą rolę. Silnik sterujący, który Formidzi przymocowali do asteroidy, sugeruje, że zamierzają ją gdzieś pchnąć. Może nawet prosto ku Ziemi. Nie jest to strasznie duża asteroida, ale od jej uderzenia mogą zginąć miliony ludzi, a pogoda może rozregulować się na całe pokolenie. Gdyby Formidzi wzięli na cel jakiś gęsto zaludniony obszar, to mogliby unicestwić cztery do pięciu razy więcej ludzi, niż straciliśmy podczas ostatniej wojny. A kiedy asteroida zacznie się już poruszać, to im bliżej Ziemi się znajdzie, tym trudniej będzie zmienić jej kurs, zwłaszcza jeśli Formidzi będą próbować nam przeszkodzić.

Jest tu zbyt wiele niewiadomych, żeby czekać, aż przybędzie MF i przeprowadzi dogłębne badania. Ktoś powinien jak najprędzej dotrzeć na tę skałę w celu rekonesansu. Czy istnieje poza armią ktoś o lepszych kwalifikacjach niż Twoje? Czy to nie największe

szczęście dla przyszłości naszego gatunku, że odkryłeś to Ty i Twoja rodzina oraz że znajdujecie się na najlepszej pozycji, by to zbadać?

Mam w Pasie K. kilka statków górniczych Juke, ale żaden z nich nie jest na tyle blisko, by Was wesprzeć. Zrobię jednak, co w mojej mocy, by Wam pomóc. W jednej z instytucji finansowych mojej firmy założyłem rachunek na Twoje nazwisko. Link znajdziesz poniżej. Przelałem fundusze, z których możesz korzystać po udowodnieniu swojej tożsamości. Mam nadzieję, że okażą się przydatne. Oczywiście będziesz mógł ich użyć dopiero po dotarciu do jakiegoś składu, kiedy zakończycie ten rekonesans, ale mogą Wam pomóc zrekompensować koszty paliwa czy materiałów, nie mówiąc już o dochodzie utraconym z racji przerwania pracy.

Proszę tylko o to, żebyś wszystkie uzyskane dane przysyłał bezpośrednio do mnie. Zdjęcia, filmiki, analizy mineralne, cokolwiek... W tym celu załączyłem program szyfrujący. Proszę, żebyś go używał. Oczywiście wyślij też dane do MF, ale nie zdziw się, jeśli nie podejmą decyzji przez tydzień – albo jeśli jakiś uprzedzony i ambitny kontradmirał nie będzie chciał przekazać informacji wyżej, dopóki nie wymyśli, jak ją wykorzystać w celu uzyskania politycznej przewagi.

Daj mi znać, co postanowiłeś, chociaż znam Cię na tyle dobrze, by mieć pewność, że, jak tyle razy przedtem, podejmiesz ryzyko i poniesiesz ofiary konieczne dla bezpieczeństwa Ziemi.

Lem

Victor unosił się w niewielkim biurze przylegającym do mostka i patrzył, jak Arjuna po raz kolejny czyta e-mail.

– Sprawdziłeś ten link? – zapytał kapitan. – Ten rachunek, o którym wspomina, jest prawdziwy?

– Tak – odparł Victor. – Jest na nim dwieście tysięcy kredytów.

Arjuna na chwilę rozwarł szeroko oczy, a potem powiedział drwiąco:

– Cały Lem Jukes. Myśli, że może nam zamachać pieniędzmi

przed nosem i nas kupić.

– Przydałaby się nam ta suma – rzekł Victor. – Musimy wymienić ekstraktor tlenu.

– Myślałem, że go naprawiłeś.

– Naprawiłem, ale użyłem wydrukowanych części. Polimery, które mamy, nie są tak wytrzymałe jak materiały z rynku wtórnego. To, co zbudowałem, powinno jakiś czas działać, ale spałbym lepiej, gdybyśmy mieli fabrycznie złożony ET.

– A co z Mazerem Rackhamem? – zapytał Arjuna. – Nadal milczy?

– Tak, co jest dziwne. Zwykle odpowiada bardzo szybko, a to jest najważniejsza wiadomość, jaką mu kiedykolwiek wysłałem.

Arjuna westchnął i obejrzał się na e-mail unoszący się w holopolu.

– A więc naszą jedyną nadzieją na dotarcie do kogoś mającego władzę w MF jest Lem Jukes... Mówi, że pokazał to ojcu. Czy Hegemon mógł to zlekceważyć? A jeśli nie przekazał tej informacji Strategosowi i Polemarsze? Czy dla pewności nie powinniśmy użyć jakiegoś innego kanału łączności?

– Możemy wysłać zdjęcia na gorącą linię, którą MF utworzyła na wypadek takich doniesień, ale słyszałem od innych wolnych górników w sieciach, że szanse na przekazanie czegoś wyżej tą drogą są nikłe. Lem potwierdza to w swoim e-mailu. Najpierw musielibyśmy się przedrzeć przez biurokrację i sceptyków.

– Moglibyśmy wysłać ten materiał do prasy – rzekł Arjuna. – Rzuciłaby się na niego.

– I dzięki nam MF wysłałaby na bandę nieudolnych urzędników – stwierdził Victor. – Świat i tak już traci wiarę w wojsko, Arjuno. Jeśli ludzie dowiedzą się z prasy, że do Układu Słonecznego przeniknął cichaczem statek Formidów, to byłby to kolejny cios wymierzony w MF, kolejny dowód jej niekompetencji. Na Ziemi rozpętałoby się polityczne pandemonium. W tej chwili MF ma słabą pozycję. Wyczuwam to z wiadomości od Mazera. Nie potrzeba jej kolejnego pokazu słabości, który pogрузzyłby ją jeszcze bardziej.

– Martwię się o ciebie, Vico. Zaczynasz mówić jak jakiś polityk.

– Międzynarodowa Flota to nasz najlepszy ratunek przed Formidami. Jeśli możemy ją wspierać, to powinniśmy to robić. To pomaga nam wszystkim.

Arjuna machnął ręką w stronę e-maila.

– Mówisz oboma kącikami ust, Vico. Mówisz, że powinniśmy polegać na MF, ale chyba też podoba ci się propozycja Lema, żebyśmy podlecieli do tej asteroidy i zbadali sprawę. Nie zrobimy tego. Nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo życia wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci znajdujących się na tym statku za dwieście tysięcy kredytów. Uważam, że powinniśmy się upewnić, że MF traktuje to zagrożenie poważnie, i pozwolić jej się nim zająć.

– I na tym polega problem – powiedział Victor. – Ona nie może się nim zająć. Tam nikogo nie ma. My jesteśmy jedynym statkiem, który ma możliwość dowiedzenia się, co ci Formidzi tam robią.

– „Gagak” nie jest okrętem wojennym, Vico. Nie jesteśmy uzbrojeni do walki. W razie ataku nie możemy się bronić. Wiesz, w jaki sposób utrzymywałem tę rodzinę przy życiu przez te wszystkie lata wśród piratów i napastników? Uciekając. Nigdy nie wdając się w walkę. Jeśli widzę zagrożenie, uciekam. Możesz nazwać to tchórzostwem, ale ja to nazywam ratowaniem moich dzieci.

– Uciekałeś, bo miałeś statek złomiarski. Lekki, szybki i bez dobrych osłon. Nie mogłeś się bronić. W starciu z piratami przegrywałbyś za każdym razem. Ale teraz „Gagak” jest inny. Uczyniliśmy z niego jeden z najmocniejszych statków górniczych w całym Pasie K. Mamy na naszym kadłubie więcej płyt pancernych, niż zdołałbyś znaleźć na którejkolwiek maszynie we flocie. Jesteśmy silni jak wół.

– I jesteśmy też jak wół powolni – stwierdził Arjuna. – Z całym tym żelazem i dodaną masą przyspieszanie trwa całe wieki. Gdyby mieli nas zaatakować Formidzi, to nie zdołalibyśmy im uciec.

– Nie sądzę, by chcieli nas ścigać. Zakotwiczyli swój statek do tej asteroidy. Jeśli mamy rację, że ta przestrzeń pod osłoną jest natleniona, to odłączenie statku spowodowałoby powstanie

dziury i straciliby swoje środowisko. Uważam, że o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że pozwoliliby nam uciec. Albo może by nas odstraszyli. Moim zdaniem nie poleciliby za nami. Znaleźli tę skałę z jakiegoś powodu. Nie porzucają jej.

– Robisz założenia, które mogą kosztować nas życie – powiedział Arjuna.

– Próbuję zgadywać na podstawie moich doświadczeń z Formidami. Te stwory są nastawione na wykonanie zadania. Kiedy otrzymają jakąś misję, nie rezygnują z niej, nawet jeśli miałyby zapłacić za to życiem. Podczas wojny wciąż to widziałem. Ty widziałeś to na filmikach. Jeśli dostali rozkaz, by przemieścić tę skałę, to jej nie opuszczają.

– A jeśli mają na swoim statku plazmę? – zapytał Arjuna. – Wtedy nie musieliby nas ścigać. I nie miałyby znaczenia, ile mamy płyt pancernych. Przecięliby nas na pół.

Victor sięgnął do holopola i kilkoma gestami wywołał najnowsze obrazy 2030CT.

– Spójrz na zdjęcia wykonane przez sondę – powiedział. – Nie widzę na tym statku żadnej broni. Są widoczne tylko silniki manewrowe. Więc nawet jeśli ten statek jest uzbrojony, to broń znajduje się pod osłoną, a zatem gdyby została użyta, zrobiłaby w niej wyrwę. Poza tym statek jest bardzo mały. Cztery razy mniejszy od naszego. Myślę, że możemy wykluczyć plazmę. Potrzebowaliby potężnych zbiorników. Wydaje mi się też, że mają bardzo mało miejsca na ładunek. I spójrz na metal silników. To nie jest nieskazitelny i niezniszczalny materiał poszycia statku zwiadowczego. To żelazo. I to nawet niezbyt mocne żelazo, tylko z grubsza przetworzona ruda. Statek jest słaby. Moglibyśmy go przejąć.

– Jeszcze chwilę temu rozmawialiśmy o rozpoznaniu sytuacji – zauważył Arjuna. – Teraz chcesz zaplanować atak?

– Nie. Mówię tylko, że na podstawie zgromadzonych przez nas informacji można stwierdzić, że jest nieprawdopodobne, by Formidzi przebywający na tej asteroidzie byli wyposażeni w ciężką broń. Statek jest na to za mały. Dlatego znajduje się na pustkowiu, z dala od kogokolwiek, kto mógłby mu zagrozić.

Dlatego wygasił światła. Nie chce być odnaleziony i nie chce wdawać się w walkę.

– Kolejne przypuszczenia – skwitował Arjuna.

– Nasza sonda orbituje wokół tej asteroidy od kilku dni, a Formidzi nie strzelili do niej ani razu – powiedział Victor. – Dlaczego? Nie potrafią jej wykryć? Ta skorupa, czy cokolwiek to jest, wpływa na ich czujniki? Nie wiedzą o sondzie? A może wiedzą, tylko postanowili nie zwracać na nią uwagi? A może wiedzą... ale nie mogą do niej strzelić, bo wtedy uszkodziliby osłonę. Nie wiemy tego, ale to, że w ogóle nie reagują, jest dla nas dobrym znakiem. Dzięki temu rekonesans staje się bezpieczniejszy.

– Jaśniej wyrazić się nie mogę – rzekł Arjuna. – Nie podprowadzę statku bliżej do tej skały. Nie obchodzi mnie, że Formidzi nie strzelili do sondy. Nie obchodzi mnie, że MF nie jest tak blisko jak my. Nie obchodzi mnie, że zbudowałeś logiczny wywód o minimalnym ryzyku. Ja się troszczę wyłącznie o tę załogę. Nie jesteśmy żołnierzami, Vico. Jesteśmy górnikami, i to zaledwie górnikami.

– Nie proponuję, żebyśmy podlecieli tam statkiem. Cenię bezpieczeństwo tej rodziny tak samo jak ty. Ja tylko proponuję, żebyśmy trochę się zbliżyli. Podejdziemy od strony przeciwnej do silników. Potem zwolnimy i utrzymamy pozycję w odległości może kilku tysięcy klików. A potem przybliżę się sam w szybkostatku i zbadam sytuację.

– Szybkostatki nie są zaprojektowane dla pilota. To są bezzałogowe rakiety towarowe. Przewożą minerały z kopalni. Próba pilotowania takiej rakiety byłaby samobójstwem.

– Już to robiłem. Umiem zbudować wystarczająco duży kokpit – rzekł Victor.

Arjuna westchnął i przez chwilę się zastanawiał.

– Co rozumiesz przez „zbadanie sytuacji”? – zapytał w końcu. – Jakie zamierzasz zebrać informacje, których nie zdobyła sonda?

– Nie wiemy, z czego się składa ta osłona – wyjaśnił Victor. – Mógłbym co najmniej wziąć próbkę jej powierzchni.

Arjuna zmarszczył brwi.

– Jeśli zostaniesz zaatakowany, nie będziemy mogli pośpieszyć ci z pomocą – ostrzegł Victora. – Byłbyś tam sam.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Proszę cię tylko o to, żebyś pozwolił mi zmodyfikować jeden z szybkozłazków i podrzucił mnie trochę bliżej asteroidy.

Arjuna skrzyżował ramiona.

– Co o tym sądzi Imala?

Victor się zawahał.

– Zgadza się, że należy podjąć jakieś działanie.

– Ale uważa, że to nie ty powinienesz je podjąć – stwierdził Arjuna.

– Zasadniczo tak. Chociaż zgadza się, że mam do tego najlepsze kwalifikacje.

Arjuna skinął głową, a potem przeciągnął ręką przez holopole, zamykając e-mail.

– Imala powiedziała mi, że złożyła podanie o przyjęcie do MF.

Victor nie wiedział, jak ma zareagować. Zdawał sobie sprawę, że to zrobiła, ale nie sądził, że o tym rozpowiada. Kiedy następnym razem przycumują do jakiegoś składu, zejdzie z pokładu i znajdzie transport do najbliższej placówki werbunkowej. Ile zostało im czasu? Pół roku? Dziewięć miesięcy?

– Twój związek z Imalą to nie moja sprawa – zaczął łagodnie Arjuna. – Słyszałem jednak, że się pokłóciliście i nagle jedno z was chce samotnie zaatakować placówkę Formidów, a drugie wstąpiło do wojska, by wziąć udział w wojnie. Gdybym nie był mądrzejszy, powiedziałbym, że uciekacie z deszczu pod rynnę.

– Wstąpienie Imali do wojska nie ma nic wspólnego ze mną, a moja chęć zbadania tej asteroidy nie ma nic wspólnego z Imalą. Przynajmniej nie bezpośrednio. Chyba oboje chcemy zapewnić bezpieczeństwo temu drugiemu, ale tu nie chodzi o nas. Obecność Formidów tutaj to akt wojenny, Arjuno. I nie jest to wojna między nimi i MF, lecz wojna między nimi i nami wszystkimi. Tobą, mną, wszystkimi na tym statku... Nie, nie jesteśmy żołnierzami. Lecz naszą powinnością wobec wszystkich innych ludzi jest dowiedzenie się, co się dzieje na tej asteroidzie.

– Nie chciałem cię obrazić, Vico. Po prostu martwię się o ciebie

i Imalę. Z przykrością przyjąłbym wiadomość, że między wami powstała przepaść.

– Nie powstała – zapewnił Victor, chociaż nie był całkiem przekonany, czy to prawda.

Od tamtego wieczoru pojawiła się między nimi sztywność, której Victor nie mógł znieść. Przedtem zawsze zachowywali się w swojej obecności swobodnie i żartobliwie. Albo wystarczało im po prostu przebywanie w tym samym pomieszczeniu, spokojne zajmowanie się oddzielnymi sprawami i cieszenie się wzajemną bliskością. Teraz wisiała między nimi mgła skrępowania, z którą Victor nie umiał sobie poradzić.

– Dziękuję za twoją troskę o mnie i Imalę, lecz ja się martwię tą asteroidą – powiedział. – Wolałbym mieć twoje błogosławieństwo na zbliżenie się do niej w szybkostatku, ale zrobię to i bez niego.

Arjuna skinął głową, jakby się tego spodziewał.

– Szybkostatki należą bardziej do ciebie niż do mnie. Przyprowadziłeś je ze sobą, kiedy się do nas przyłączyłeś. Nie mogę cię powstrzymać. Pozwól jednak, że porozmawiam z radą. Jeśli zgodzi się podrzucić cię bliżej tej skały, to nie zawetuję jej decyzji.

Victor nie mógł prosić o nic więcej.

– Dziękuję – powiedział.

Wyszedł z gabinetu Arjuna na korytarz, gdzie ku swojemu zdumieniu stwierdził, że czeka na niego matka. Dla załogi była Reną, zastępczynią Arjuna, spoiwem załogi, spokojnym głosem rozsądku, matroną statku. W ciągu ostatnich kilku miesięcy posiwała i wyglądała na bardziej zmęczoną niż zwykle. Objęła syna w pasie i ruszyła razem z nim korytarzem, który zamykała ściana o zakrzywionej powierzchni, prezentująca rzeczywisty obraz przestrzeni kosmicznej na zewnątrz – spokojną czerń upstrzoną gwiazdami. To była najlepsza imitacja okna na statek. Matka zatrzymała się tam i popatrzyła na zewnątrz.

– Imala powiedziała mi, że się zaciągnęła – rzekła. – Wyglądała na zaskoczoną, że jeszcze mi o tym nie powiedziałeś. – Odwróciła się do Victora. – Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo to ona powinna ci o tym powiedzieć, matko. Nie zamierzam rozmawiać o jej decyzjach za jej plecami. Jeśli będzie chciała, żeby ludzie się o tym dowiedzieli, to im powie.

– Jesteś zły.

– Tylko na siebie. Jeśli odejdzie, to dlatego, że nie dałem jej dobrego powodu, by została.

– Jeśli odejdzie, to dlatego, że uważa to za swój obowiązek, Vico. Możesz ją za to winić?

– Nie winię jej za nic. To ja popełniłem błąd. Powinienem był poślubić ją rok temu.

– Wtedy nie byłeś jeszcze gotowy. Ona chyba też nie. W przestrzeni kosmicznej jest inaczej. Nie zawierasz ślubu z jedną osobą, tylko z całą rodziną. To onieśmielające zobowiązanie.

Victor odwrócił się od okna do matki.

– Bez urazy, matko, ale w twoich ustach brzmi to tak, jakby ludzie mieli tu wybór w kwestii małżeństwa. Zanim przyłączyliśmy się do załogi Arjuny, nasza rodzina praktykowała kojarzenie małżeństw. Nie było żadnych zalotów, żadnego romansowania. Ludzie byli po prostu zestawiani ze sobą, a małżeństwo było sposobem na zróżnicowanie puli genów i zniechęcenie do endogamii.

Matka zmarszczyła brwi.

– Robisz z tego barbarzyństwo.

– A jak inaczej byś to opisała? – zapytał Victor. – Wysyłaliśmy nasze osiemnastoletnie córki z obcymi im ludźmi i mieliśmy nadzieję, że będą przyzwoicie traktowane. Wybacz, ale nie o to chodzi w bajkach.

– Znaliśmy te rodziny, Vico. To nie byli zupełnie obcy ludzie. I nie ryzykowaliby złej reputacji, źle traktując pannę młodą. To by przekreśliło ich szanse na jakiekolwiek związki w przyszłości. Naraziliby się na ostracyzm innych klanów. A panny młode wszędzie były traktowane jak królowe. Kiedy przyjmowaliśmy je do naszej rodziny, zapewnialiśmy im wszelkie wygody.

– Tak, ale niektóre z nich całymi dniami wypłakiwały oczy.

– Zawsze miały wybór, Vico. Ani one, ani chłopcy czy mężczyźni

nie byli zmuszani do małżeństwa. Być może doświadczali tęsknoty za domem po odlocie ich rodzin albo szybko przekonywali się, że małżeństwo nie spełnia ich oczekiwań, ale każdy wchodził w związek dobrowolnie.

– Dwie rodziny spotykały się pośrodku przestrzeni kosmicznej tylko po to, by ich dzieci zawarły małżeństwo, i ty nie uważasz, że młodzi czuli się do czegoś przymuszani?

Matka uniosła brew.

– Jakim cudem zrobiła się z tego rozmowa o kojarzeniu małżeństw u wolnych górników?

Victor pokręcił głową.

– Chciałem, żeby z Imalą było inaczej. Nie chciałem, żebyśmy się pobraли tylko dlatego, że jest to społecznie wygodne. Chciałem, żeby Imala wybrała mnie ze względu na to, kim jestem, a nie dlatego, że jestem jedynym dostępnym gościem.

– Ależ ona wybrała ciebie, Vico. Przybyła z tobą z Luny.

– To nie było zobowiązanie do małżeństwa, matko. To była chęć zbadania pewnego pomysłu.

– Zbadała go i się zakochała.

– W to nie wątpię, matko. Martwię się tylko, że to przeminie. Kiedy Imala odleci, kiedy wróci do prawdziwego świata i znajdziemy się z dala od siebie, uświadomi sobie, że ma tam lepsze możliwości, lepszą przyszłość niż ta, którą ja mogę jej zaproponować.

– Nadal jesteście zaręczeni, Vico. Powiedziała mi, że ślub jest nadal w planach.

– Oczywiście, że będzie tak mówić. Jesteś moją matką. Sytuacja byłaby dla niej bardzo niezręczna, gdyby musiała dać do zrozumienia, że może stać się inaczej. Jest otoczona moją rodziną.

– Uważasz, że jest nieszczerą?

– Uważam, że ze względu na sytuację przekonała samą siebie, że nadal jesteście zaręczeni. Kiedy odleci, kiedy poczuje odrobinę więcej swobody, może stwierdzi, że jest inaczej.

– Swobody? – powiedziała matka i cicho się roześmiała. – W twoich ustach brzmi to tak, jakby była tu zakładniczką.

– To nie jest jej życie, matko. Nie jest górnikiem eksploatującym

asteroidy.

– Od kiedy? Jest z nami ponad dwa lata, Vico, i wydaje mi się, że doskonale do nas pasuje, o wiele bardziej, niż sądziłam. Jest jednym z najbardziej produktywnych członków załogi. Lubi ją nawet Sabad, a Sabad nie lubi nikogo.

To była prawda. Sabad była najmłodszą żoną Arjuna; miała ledwie dwadzieścia lat i trudno było ją znieść dłużej niż przez kilka minut. Victor unikał jej, jak tylko się dało. Traktowała wszystkich protekcyjnie, nawet własnego męża. Jedynym wyjątkiem była Imala, której towarzystwa – ku zdumieniu wszystkich – Sabad szukała i którą traktowała niemal jak przyjaciółkę.

– Imala jest tu szczęśliwa, Vico. Ty też.

Victor odwrócił się do okna.

– To nie ma znaczenia. To, co pcha ją do odejścia, jest silniejsze od tego, co ją tu trzyma.

Matka położyła mu rękę na ramieniu, by go pocieszyć. Kiedy w końcu spojrzał na nią, uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś podobny do mnie, lubisz się martwić. Twój ojciec był optymistą, zawsze przekonany, że sytuacja w końcu się rozwiąże. A ja wrywałam sobie włosy, zastanawiając się nad wszystkimi możliwymi okropnymi skutkami.

Victor zmarszczył brwi.

– A więc to ja tu jestem złym gościem?

Matka poklepała go po ręce.

– Tu nie ma czarnego charakteru, synu. Osobiście uważam, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas rozstaniecie się z Imalą. Mogłoby to pomóc wam określić, czy oboje rzeczywiście pragniecie tego małżeństwa i czy chcecie dołożyć wszelkich starań, by się wam udało.

Victor uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wydaje mi się, że powinnaś stanąć po mojej stronie...

Roześmiała się.

– Ależ staję. Staję też po stronie Imali. I mam także nadzieję, że pewnego dnia obie te strony się zjednoczą.

Pocałowała go w policzek i wróciła na mostek.

Uświadomił sobie, że powinien być jej powiedzieć o swoich planach zbadania asteroidy. Prędzej czy później i tak się o tym dowie, ale najlepiej by było, gdyby dowiedziała się od niego. Ale nie, matce nie spodobałby się ten pomysł, a on nie był w nastroju, żeby znowu się bronić. Nie chciał kolejnych protestów. Nie teraz.

Udał się prosto do swojego warsztatu na niższym pokładzie, żeby zacząć budować cyfrowy model kokpitu dla szybkostatku. Kiedy pojawił się Magoosa, miał już podstawowy projekt. Praktykant Victora tylko raz spojrzał na model i od razu wszystko zrozumiał.

– Jeśli lecisz na asteroidę, chcę polecieć z tobą – powiedział. – Mogę pomóc.

– Doceniam propozycję, ale zapewniam cię, że do tego nie dojdzie, Gooso. Twój ojciec nigdy by na to nie pozwolił. I ja też nie.

Magoosa zmarkotniał.

– Nie jestem dzieckiem, Vico. Mogę pomóc.

– Wiem, Gooso. Dlatego czynię cię odpowiedzialnym za zmodyfikowanie szybkostatku. Musimy wyposażyć go w osłony, akumulatory i jakiś prosty układ podtrzymywania życia, głównie w dodatkowe zbiorniki tlenu i wodę. W ładowni jest szybkostatek, którym się posłużymy.

Magoosa zrobił zaskoczoną minę.

– Czynisz odpowiedzialnym za to mnie?

– Chyba że uważasz, że sobie nie poradzisz?

– Och, poradzę sobie, Vico. O to się nie martw.

– Dobrze. Bo kiedy przyjdzie pora, żebyś się zaciągnął do MF, spytają cię, czy brałeś udział w jakiejś walce, czy kiedykolwiek znalazłeś się w kryzysowej sytuacji, czy wymyśliłeś jakieś prawdziwie nowatorskie rozwiązanie, mając do dyspozycji mizerne zasoby. Jeśli pomożesz mi przy tym szybkostatku, będziesz mógł odpowiedzieć twierdząco.

Magoosa energicznie skinął głową.

– Zajmę się tym całym sobą, Vico. Znajdziesz mnie w ładowni.

Odbił się od podłogi i odpłynął.

Victor uśmiechnął się, a potem przez chwilę kręcił po

warsztacie, nie wiedząc, co ma robić dalej. Powinien opracować strategię. Jak zbliży się do skorupy otaczającej asteroidę? A kiedy już do niej dotrze, jak zakotwiczy szybkostatek, żeby nie odpłynął i nie zostawił go na lodzie? Potrzebny mu był umysł Imali. To ona była strategiem, nie mówiąc już o tym, że świetnie filtrowała jego pomysły. Od razu dostrzegała usterki i natychmiast podsuwała możliwe rozwiązania problemów. Bez niej mnóstwo czasu marnotrawiłby w ślepych uliczkach. Dlaczego więc nie poszedł jej szukać? Dlaczego się wahał?

– Unikasz mnie – usłyszał czyjś głos.

Odwrócił się i zobaczył unoszącą się w wejściu Imalę.

– Właśnie myślałem o tym, żeby cię odszukać – powiedział.

– Myślałeś. Ale nie szukałeś.

– Rozmawiałem z Arjuną.

Wpłynęła do warsztatu i zatrzymała się w pobliżu Victora.

– I co powiedział? – zapytała.

– Był tak niechętny, jak się spodziewałaś, ale zgodził się zwołać radę.

– To dobrze. Myślę, że rada weźmie naszą stronę – powiedziała Imala.

– Naszą? Sądziłem, że nie chcesz, żebym tam leciał.

– Nie chcę. Ale się zgadzam, że ktoś musi to zrobić. Ty już się kiedyś dostałeś do wnętrza formidzkiego statku. Wiesz, jak unikać Formidów. Wiesz, jak myśłą, a przynajmniej rozumiesz ich lepiej niż ktokolwiek tutaj.

Victor z wdzięcznością skinął głową, chociaż trochę go bolało, że Imala już nie sprzeciwia się jego pomysłowi. Czy jej miłość do niego zmaląta tak bardzo, że chciała, aby się narażał na niebezpieczeństwo?

– Wiedz jednak, że nie polecisz beze mnie – powiedziała.

Zaczął protestować, ale uciszyła go ruchem dłoni.

– Nie sprzeczasz się ze mną, bo nic, co powiesz, nie wpłynie na moją decyzję. To jest robota dla dwóch osób w szybkostatku. Nie możesz lecieć sam. Gdybyś potrzebował pomocy, musisz mieć kogoś, kto ci ją da. Jesteśmy zespołem, Vico. Już to robiliśmy, a gdyby nie ja, umarłbyś dawno temu.

Z tym nie mógł polemizować.

– Poza tym jestem o wiele lepszym pilotem od ciebie – dodała.

– Nigdy nie leciałaś szybkostatkiem.

– Szybko się uczę. To nie teoria rakiet.

– Praktycznie to jest teoria rakiet.

– Potrzebujesz kogoś do pomocy – powiedziała Imala. – Jeżeli polecisz sam, może się posypać tysiąc rzeczy, a ty możesz nie być w stanie nic na to poradzić. Wiesz, że mam rację.

– Nie chcę cię narażać na niepotrzebne niebezpieczeństwo, Imalo.

– To jest potrzebne niebezpieczeństwo, Vico. Wiem, że jesteś na mnie zły za to, że się zaciągnęłam, że jesteś rozczarowany... ale w tej chwili musimy to odłożyć na bok i skupić się na tej asteroidzie. Nie pozwolę, żebyś poleciał sam. Nic z tego. Jeśli polecisz, ja polecę z tobą. Bez dyskusji.

Victor chciał powiedzieć coś więcej, ale rozległ się dźwięk jego terminala komputerowego.

– Vico, tu Arjuna, potrzebuję cię na mostku. Imalę też, jeśli wiesz, gdzie jest.

Wymienili spojrzenia i pośpieszyli na mostek. Kiedy się tam pojawili, cała załoga patrzyła na nich w milczeniu. Arjuna znajdował się przy holostole. Victor nie wiedział, co ma sądzić o jego minie. Był zły? Zdenerwowany? Rozczarowany?

– Co jest? – zapytał Victor.

– Wygląda na to, że twoja wiadomość jednak dotarła do MF – rzekł Arjuna i mocno zacisnął usta. – Właśnie otrzymaliśmy przekaz.

Odwrócił się do holostolu i machnął ręką. Pojawiła się głowa oficera MF. Starszy mężczyzna. Fryzura na jeża. Ciemna karnacja. Hindus. Była to nagrana wiadomość, przesłana laseliną.

– Załogo „Gagaka” – powiedział hologram. – Nazywam się Khudabadi Ketkar i jestem Polemarchą Międzynarodowej Floty. Odpowiadam za budowę, uzbrojenie i utrzymanie okrętów floty oraz za szkolenie ich załóg. Zostaliśmy poinformowani, że odkryliście w waszym sektorze anomalie, która może mieć formidzkie pochodzenie. Dziękujemy za zwrócenie uwagi

Międzynarodowej Floty na tę informację. Obrona ludzkiej rasy jest obowiązkiem wszystkich mężczyzn i kobiet, czy to żołnierzy, czy cywilów. Zgodnie z ustawą o handlu kosmicznym w czasie wojny, podpisaną przez Hegemoną i ratyfikowaną przez większość narodów Ziemi po formidzkiej inwazji, Międzynarodowa Flota może zarekwirować każdy statek kosmiczny do celów obrony Ziemi, jeśli nie dysponuje odpowiednim statkiem Międzynarodowej Floty. Zatem na mocy władzy przyznanej mi przez tę ustawę od tej chwili wasz statek znajduje się pod bezpośrednimi rozkazami Międzynarodowej Floty.

– To jakiś żart? – zapytał Victor.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział Arjuna.

– Zdajemy sobie sprawę, że większość osób na waszym statku to cywile – ciągnął Polemarcha. – Zapewniam, że bezpieczeństwo waszej załogi stanowi dla nas priorytet. Jednakże w zaistniałej sytuacji i z uwagi na potencjalną wielkość tego zagrożenia uznajemy za konieczne, by wasz statek podjął działanie. Przekazujemy zatem dowództwo waszego statku chorążej Imali Bootstamp, którą uznajemy za nowego rekruta we flocie, lecz której działania podczas poprzedniego konfliktu dowodzą jej umiejętności wykonywania rozkazów i polegania na dowódcach. Pani kapitan Bootstamp, proszę o natychmiastową odpowiedź po otrzymaniu tej wiadomości, żebyśmy mogli przekazać pani rozkazy. Bez odbioru.

Hologram zgasł, a na jego miejscu pojawił się napis: „Koniec przekazu”. Imala wpatrywała się w puste holopole z lekko otwartymi ustami. Arjuna skrzyżował ramiona na piersi i się jej przyjrzał.

– Cóż, to trochę niezręczne – powiedział.

Rozdział 10

NARDELLI

Na żołnierza oczekującego na rozprawę przed sądem wojskowym nie można nałożyć żadnej kary poza karą aresztowania lub odosobnienia. Z karą odosobnienia nie mogą się wiązać żadne okrutne lub niespotykane niewygody ani ograniczenie w zaspokajaniu podstawowych potrzeb życiowych. Za naruszenie dyscypliny podczas trwania odosobnienia mogą być nakładane drobne kary niecielesne.

Ujednolicony kodeks wojskowego postępowania karnego
Międzynarodowej Floty, artykuł 27

Mazer zaparł się stopami w podłogę w kuchni i zaczął czyścić wnętrze piekarnika z czarnego osadu. W kuchni WYBABiM-u było pięć takich piekarników, a w każdym mógłby się zmieścić dorosły człowiek. Mazer otrzymał rozkaz wyczyszczenia wszystkich do rana. Potem miał przeprowadzić inwentaryzację pomieszczenia chłodniczego, przygotować śniadanie na następny dzień i obsłużyć zmywarki. Później miał umyć, wyszorować i nawoskować rozmaite powierzchnie w latrynach, pod prysznicami i w rejonie dokowania. Następnie miał się zająć praniem. I zmienić filtry powietrza. I wykonać wszystko ze swojej listy obowiązków. Było to o wiele więcej, niż zdołałby zrobić podczas jednej zmiany, ale taki był zamiar pułkownika Waganowa: przydzielić mu zbyt wiele zadań, a potem na zakończenie każdej zmiany zamknąć go za niewykonanie rozkazów.

Żandarm wojskowy, który pilnował Mazera, drzemał z rękoma

unoszącymi się po obu jego stronach w zerowej grawitacji. Początkowo żandarmi byli poirytowani rozkazem pilnowania Mazera, lecz ta irytacja szybko przerodziła się w niechęć, zwłaszcza że musieli pracować na nocnej zmianie. Mazerowi było ich żal. Ponieważ jednak otrzymał rozkaz zachowania milczenia, nie mógł im wyrazić swojego współczucia.

Przebywał w odosobnieniu już ponad tydzień, pozbawiony jakichkolwiek informacji, kiedy może się spodziewać podróży na Lunę na rozprawę. Nie miał dostępu do sieci, ale przynajmniej nie odnosił wrażenia, że całkowicie marnuje ten czas. Jego słuchawka zawierała dziesiątki wykładów i akademickich rozważań na temat Formidów, których słuchał podczas pracy.

Jego wpis na forum został przesłany wyżej – albo Lem przekazał wiadomość Hegemonii. Tak czy owak, fakt istnienia osłoniętej asteroidy był już powszechnie znany. Mazer słyszał, jak rozmawiają o niej żandarmi. MF zajmowała się tą sprawą, chociaż nikt nie wiedział, w jaki sposób.

Kiedy Mazer zaczął czyścić ostatni piekarnik, jego ręce i ubranie pokrywała czarna maź. Żandarma, który go pilnował, zmienił Nardelli. To on tak bezceremonialnie wyprowadził Mazera z gabinetu pułkownika. Mazer nadal skupiał się na pracy i udawał brak zainteresowania, ale ta zmiana zakłóciła rutynę i obudziła jego czujność. Nardelli sprawiał wrażenie waśniaka, jakby wiedział, że ma więcej władzy i swobody od innych. Zerknął na Mazera i odezwał się półgłosem do pierwszego żandarma. Mazer ściszył dźwięk w słuchawce i zaczął słuchać.

– Sprawa jest zamknięta – rzekł Nardelli. – Nikt nie zna szczegółów. Ale słyszałem, że podczas prób w warunkach polowych zdarzył się jakiś wypadek i ten gość opuścił swoich ludzi. W rezultacie jeden żołnierz stracił nogę. – Pokazał na Mazera. – Ten tchórz nawet nie udzielił mu pierwszej pomocy. Był zbyt zajęty ratowaniem siebie. Słyszałem też, że dopuścił do wycieku tajnych informacji. Sprzedawał żołnierzom prasie.

Pierwszy żandarm spojrzał wrogo na Mazera.

– Wiedziałem, że to musi być coś poważnego. Kapitan sprzątający na nocnej zmianie... Niżej już upaść nie można.

Nardelli spojrział na Mazera spode łba.

– Proszę, jaki sprzątac. Odzywał się?

– Nie. Tylko czyści jak szalony i milczy jak grób.

Nardelli zwrócił się do Mazera:

– Hej, Rackham, zostawiłeś swojego człowieka? Dlatego pułkownik dał ci kopa w tyłek?

Mazer nie odpowiedział i dalej czyścił piekarnik.

– Nie dręcz go, Nardelli. To jest kapitan.

– Po rozprawie przed sądem wojskowym już nim nie będzie – odrzekł Nardelli. – Wypatroszą go i zdegradują do stopnia chorążego. Tak mówi pułkownik. On jest teraz nikim. Nie może nas tknąć. E, Rackham, zadałem ci pytanie.

Mazer nie podnosił wzroku i w milczeniu czyścił piekarnik.

Nardelli podszedł do Mazera i przysunął twarz do jego ucha. Z bliska wyglądał na jeszcze silniejszego i głupszego.

– Traktujesz mnie jak powietrze, żołnierzu? – zapytał. – Myślisz, że jesteś lepszy od nas? Myślisz, że chroni cię twoja szarża? To chyba nie znasz artykułu czwartego kodeksu wojskowego postępowania karnego Międzynarodowej Floty. Bo gdybyś go znał, to wiedziałbyś, że kiedy oficer żandarmerii wojskowej zadaje ci pytanie, to bez względu na jego i swoją szarżę masz obowiązek odpowiedzieć tak wyczerpująco i szczerze, jak potrafisz. Niestosowanie się do tego artykułu może zostać uznane za utrudnianie postępowania sądowego, co jest bardzo poważnym wykroczeniem. Może za to grozić karne zwolnienie, przepadek wszystkich wypłat albo do pięciu lat więzienia. Lubi pan więzienie, kapitanie Rackham? Pańska delikatna dupa dobrze się w nim czuje?

Mazer milczał.

– Zostaw go, Nardelli. On nie może mówić. Wpędzisz nas obu w tarapaty.

– Ależ on może mówić. Jest tylko zbyt wyniosły, by odpowiadać. Co tam masz w uchu, Rackham? Słuchawkę? – Nardelli wyciągnął rękę. – Dawaj.

– Nie zabieraj mu niczego – powiedział pierwszy żandarm.

Nardelli wycelował w niego palec.

– Twoja zmiana się skończyła, Utami. Spływaj. Teraz to mój wiezień.

Utami zawahał się, ale się oddalił. Nardelli odwrócił się z powrotem do Mazera i skinął na niego ręką.

– Słuchawka, Rackham. Podaj mi ją. Nie wolno ci mieć żadnych urządzeń.

To nie była prawda, ale Mazer oddał mu słuchawkę. Nardelli przyjrzał się jej.

– Wiesz co, właśnie taką zgubiłem. Właściwie to mogłaby być ta. Jak to ładnie z twojej strony, że mi ją zwróciłeś. Nie masz nic przeciwko temu, że ją sobie odbiorę, prawda, Rackham?

Mazer nadal milczał.

– Jeśli chcesz się sprzeciwić, zrób to. Nie? Cóż, jesteś bardzo wielkoduszny. Przyda mi się coś do odtwarzania muzyki. Jakiej muzyki pan słucha, panie kapitanie? – Wytarł słuchawkę o swoją koszulę, wsunął ją sobie do ucha i dotknięciem palca włączył odtwarzanie. – Co to jest? Wykłady na temat Formidów? Interesujące. Masz obsesję na ich punkcie, co, Rackham? Kochasz te robale? To niemądre. To rzuci na ciebie złe światło na rozprawie przed sądem wojskowym. Sędziemu zapewne nie spodoba się miłośnik robali. – Wyłączył słuchawkę, ale nie wyjął jej z ucha. Położył dłoń na pałce, którą nosił na biodrze. – Jeśli będziesz sprawiał jakieś problemy, Rackham, to będziesz miał siniaki w miejscach, gdzie nikt nie zagląda. Kości i siniaki. To będziesz ty. Fioletowy jak bakłazan. – Odsunął się. – A teraz weź się za swoją listę.

Mazer wyczyścił piekarnik, a potem zaczął krążyć po stacji, wykonując kolejne zadania. Nardelli pociągnął butem po podłodze, zostawiając na niej ślad.

– Przegapiłeś tu jedno miejsce, Rackham.

Mazer usunął zabrudzenie, lecz Nardelli zrobił butem następny ślad.

– Nie słuchasz mnie, Rackham. Powiedziałem, że przegapiłeś jedno miejsce. Jesteś za głupi, żeby je zobaczyć? Jest tutaj.

Robienie śladów butem i czyszczenie ich powtórzyło się jeszcze kilka razy, aż Nardelli znudził się zabawą i odpłynął, mamrocząc

coś pod nosem. Mazer czekał na użycie pałki i planował swoją reakcję, gdyby do tego doszło. Nardelli był potężnie zbudowany, ale punkty uciskowe i kości miał jak wszyscy inni. Lecz żandarm nie wykonał tego posunięcia i reszta zmiany przeszła bez żadnych incydentów.

– Czas się skończył, Rackham – powiedział w końcu Nardelli. – Wstawaj. Ruszamy.

Mazer wykonał tylko połowę zadań z listy, ale schował przybory do sprzątanía, umył się i zrobił, jak mu kazano.

Przed jego kwaterą czekał jeden z oficerów pułkownika Waganowa.

– Czy kapitan Rackham wypełnił swoje obowiązki? – zapytał Nardellego.

– Nie, panie majorze.

– Czy rozmawiał z panem, zwracał się do pana w jakikolwiek sposób?

– Nie, panie majorze.

– Jest pan pewien, że nie wypowiedział ani słowa? Zupełnie nic? Nardelli zrozumiał.

– Właściwie jak się teraz nad tym zastanawiam, to rzeczywiście wypowiedział kilka dość niemiłych uwag o panu i o pułkowniku Waganowie. I o Strategosie. Nie chcę tego powtarzać, bo używał bardzo obraźliwych sformułowań.

Oficer z zadowoleniem skinął głową.

– Rozumiem. Sporządzę odpowiednią notatkę. A teraz proszę łaskawie odeskortować kapitana Rackhama do skrzydła medycznego.

– Tak jest.

Mazer poszedł za Nardellim bez słowa. Skrzydło medyczne? Po co?

Wkrótce się dowiedział. Jeden z lekarzy umieścił go w pokoju badań i kazał Nardellemu zaczekać na zewnątrz. Lekarz dokładnie zbadał Mazera; naciskał, uciskał i pobrał krew. Kiedy skończył, poprosił go, by włożył strój kompresyjny i przez godzinę biegł po ruchomej bieżni. Mazer wykonał polecenie. Było to wyczerpujące, zwłaszcza po dziesięciu godzinach pracy

fizycznej, lecz Mazer narzucił sobie równe tempo i nie zwracał uwagi na ból w boku. Znał standardy ustalone przez MF i obserwował sprzęt monitorujący, by im sprostać. Kiedy skończył, drżały mu nogi, bolały plecy i miał wrażenie, że płuca nie mają dość powietrza. Ku jego zaskoczeniu lekarz zadał mu teraz serię testów siły i zwinności, jakich Mazer nie wykonywał podczas żadnego z poprzednich badań. Kiedy skończył, był wyczerpany i pokryty potem.

Lekarz przejrzał wyniki testów na swoim tablecie.

– Nie ma delikatnego sposobu przekazania tej wiadomości, panie kapitanie, więc od razu przystąpię do rzeczy. Pańska kariera jako żołnierza służby czynnej jest zasadniczo skończona. MF ustaliła bardzo ściśle standardy gotowości fizycznej i obawiam się, że nie mam wyjścia i muszę skierować pana do lekkiej służby.

Zdumiony Mazer patrzył w milczeniu, jak lekarz stuka w tablet, zaznaczając kratki, które właściwie miały zakończyć jego karierę polową. W tym momencie zniknęła jakakolwiek nadzieja na dostanie się na okręt z porządną załogą. Nigdy już nie będzie walczył ani służył z żołnierzami. Nie będzie już prowadził działań, do jakich się szkolił. Zostanie odesłany do bezmyślnej pracy administracyjnej. Za biurko. Wszystkie te lata skrajnego wysiłku i trenowania zarówno umysłu, jak i ciała zostaną zmarnowane.

Zakazano mu się odzywać, lecz teraz nie mógł milczeć.

– Moje wyniki zawierają się w dopuszczalnych granicach.

– Znajduje się pan w dolnym końcu skali – odparł lekarz – więc technicznie rzecz biorąc, owszem, wciąż znajduje się pan w dopuszczalnych granicach. I z tego powinien pan być dumny. Standard dla żołnierzy mających się przebić przez kadłub jest niezwykle wysoki. Większość żołnierzy z Ziemi nie przeszłaby przez sito. To są standardy dla elitarnych sił specjalnych, które spełnia jeden czy dwa procent żołnierzy. Fakt, że w pańskim wieku nazbierał pan tyle punktów, robi wrażenie.

– Mówi pan tak, jakbym powinien odejść na emeryturę. Mam dwadzieścia pięć lat.

– To jest wojna młodych, panie kapitanie. Średnia wieku żołnierzy wynosi dwadzieścia lat. Pan w porównaniu z nimi jest dinozaurem.

– A więc odsyła mnie pan na emeryturę ze względu na mój wiek?

– Nie odsyłam pana na emeryturę, panie kapitanie. Po prostu zalecam inną ścieżkę kariery. A robię to z uwagi na kilka czynników. Jednym z nich jest pański wiek. Drugim – wytrzymałość. Lecz najważniejszym powodem są pańskie obrażenia. Po prostu nie mogę przepuścić żołnierza z takimi ranami.

Rany Mazera. Te, które odniósł w pierwszej wojnie z Formidami.

– Wróciłem do zdrowia. To było trzy lata temu. Od tamtego czasu przeszedłem wszystkie testy sprawnościowe.

– I pańskie wyniki były co roku gorsze. Może tylko odrobinę, ale mam tu przed sobą wszystkie dane.

Lekarz zbliżył się do ściany, która rozbłysła odczytami wyników i skanami ciała.

– Podczas wojny miał pan poważny uraz brzuszny, panie kapitanie. Ta rana powinna pana zabić, zwłaszcza że przebywał pan w skażonej strefie i miał krwotok wewnętrzny.

Mazerowi nie trzeba było o tym przypominać. Wciąż doskonale pamiętał rozbicie śmigłowca. Co pewien czas śnił mu się ryk łopat wirnika, żar ognia, gryzący smród zwęglonych ciał i płonącego plastiku.

– Przeszedłem w terenie operację ratującą życie – rzekł. – Moje rany zostały opatrzone.

– Nie nazwałbym tego operacją. To była raczej łatanina. Czytałem raport. Kilkoro chińskich rolników uprawiających ryż trochę porozcinało i pozszywało. Ich umiejętności pracy nożem musiały się ograniczać do skórowania kóz i obierania warzyw. Dziwię się, że nie umarł pan na zakażenie.

– Po wojnie przeszedłem dodatkową operację korygującą ich błędy. Teraz czuję się dobrze.

Lekarz pokazał na skan ciała.

– Z pańskiego jelita cienkiego lekarze usunęli jeszcze piętnaście centymetrów uszkodzonej tkanki, panie kapitanie. Gdybym wtedy był pańskim lekarzem prowadzącym, prawdopodobnie zaleciłbym natychmiastowe zwolnienie z wojska z powodów zdrowotnych. – Stuknął w jeden z wykresów, który natychmiast się powiększył. – Pańskie rany miały wpływ na pańskie wyniki. Kiedyś był pan nadzwyczajnie szybki i giętki. Ze smutkiem stwierdzam, ile pan stracił na sprawności. Pańska wiedza, uzdolnienia i przenikliwość wychodzą poza skalę, lecz pańskie ciało nie jest już takie jak dawniej. Co więcej, wiem, że teraz pan cierpi. Może pan nadrabiać miną, może pan sprawiać wrażenie zadowolonego jak wróbel na wiosnę, ale ja wiem, że pan udaje. Pański strój kompresyjny nie kłamie. Pan cierpi.

To była prawda. Mazer czuł w brzuchu dręczący ból – to nie była kolka w boku czy naciągnięty mięsień, lecz pulsujące przypomnienie o dawnej ranie. Jakby ktoś dźgał go ostrym kijem. Gdyby mocno skupił się na wykonaniu jakiegoś zadania, mógłby nie zwracać na niego uwagi. Ból jednak był.

– Tutaj, w WYBABiM-ie, wypadają pan dobrze, nikt więc nie zwracał zbytniej uwagi na pańskie akta medyczne – powiedział lekarz. – A może znał pan kogoś, kto chętnie je ignorował. Tak czy owak, ja ich teraz zignorować nie mogę.

Stuknął w ścianę i wykresy zniknęły.

– Czy otrzymał pan rozkaz, by skierować mnie do lekkiej służby? – zapytał Mazer.

Lekarz zrobił urażoną minę.

– W żadnym razie. Taka sugestia jest dla mnie obraźliwa.

Mazer mu uwierzył. Lekarz nie mógł być aż tak dobrym aktorem.

– Jak długo jest pan w WYBABiM-ie? – zapytał. – Nigdy wcześniej pana nie widziałem.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– A jednak...

Lekarz skrzyżował niecierpliwie ramiona.

– Przybyłem promem dziś rano.

– A więc jestem jednym z pierwszych pana pacjentów.

– Jest pan moim pierwszym pacjentem. Co pan sugeruje, panie kapitanie?

– Kto zlecił moje badanie? Ostatnie przeszedłem zaledwie pięć miesięcy temu. Myślałem, że to są badania coroczne.

– Owszem. Normalnie. Można jednak je zlecić, jeśli zdrowie danego żołnierza albo jego fizyczna wytrzymałość stoją pod znakiem zapytania.

– A zatem w moim wypadku chodzi o specjalne zlecenie?

– Nie mam pojęcia. Przybyłem, dostałem grafik, pan był pierwszy. Nie ja umawiam wizyty.

– Interesujące. Ilu żołnierzy kieruje pan przeciętnie do lekkiej służby?

– To mi zaczyna wyglądać na przesłuchanie – powiedział lekarz. – Skończył się.

Ruszył w stronę drzwi, lecz Mazer był szybszy. Stał między nim i wyjściem.

– Z drogi, panie kapitanie, albo wezwę oficera.

– Ostatnie pytanie – ponieważ sądzę, że padł pan ofiarą manipulacji.

Lekarz stanął, znowu skrzyżował ramiona i czekał ze zmarszczonymi brwiami.

– Zgodziłby się pan, że jeśli chodzi o badanie fizycznej gotowości żołnierzy, inni lekarze w MF są zbyt pobłażliwi?

Lekarz westchnął.

– Jeśli pyta mnie pan, czy jestem bardziej surowy wobec żołnierzy niż inni lekarze, to moja odpowiedź brzmi: jestem dokładny tam, gdzie inni lekarze dokładni nie są. Jestem skrupulatny. Oni nie. W sprawach żołnierskiej gotowości nie powinno być żadnej pobłażliwości. Koniec, kropka. Każdy żołnierz, który otrzymał ranę zagrażającą życiu, powinien zostać skierowany do pełnienia lekkiej służby. Takie doświadczenie naznacza go negatywnie. Jest bardziej prawdopodobne, że w ogniu walki zawaha się, cofnie albo załamie. Strach przed powtórzeniem wcześniejszych doświadczeń zwiększa jego niepokój i szkodzi racjonalnemu myśleniu. Rany fizyczne tworzą nieodwracalne rany psychiczne. Napisałem na ten temat artykuł.

– Został opublikowany?
– Kilka razy.
– Czy przedstawił pan naukowe dowody na poparcie tej teorii?
– To nie jest teoria. To fakt. Robię to od dłuższego czasu, panie kapitanie. Widziałem to na własne oczy.

– A więc ma pan dowody z niepotwierdzonych źródeł – stwierdził Mazer. – Nie dowody statystyczne. Pańskie wnioski są oparte wyłącznie na pańskich osobistych interakcjach z ograniczoną liczbą pacjentów, spełniających szczególne kryteria. Bo ja mógłbym dostarczyć mnóstwa dowodów z niepotwierdzonych źródeł na wsparcie tezy przeciwnej. Wiele takich przykładów można prawdopodobnie znaleźć w każdej większej bitwie w historii wojen.

Lekarz zmrużył oczy.

– Nie muszę uzasadniać przed panem moich wniosków. Nie przybyłem też tu, by prowadzić dyskusje o psychologii żołnierza.

– Nie, przybył pan tu, by skierować mnie do lekkiej służby – rzekł Mazer. – A podjął pan tę decyzję w chwili, gdy ujrzał pan moją historię. Ruchoma bieżnia i te wszystkie testy były niepotrzebne.

– Z drogi, panie kapitanie.

Mazer otworzył drzwi i lekarz przemieścił się na korytarz, gdzie czekał Nardelli. Doktor obrócił się, odbił i zniknął za rogiem. Nardelli uśmiechnął się sardonicznie do Mazera.

– Dobrze wieści, Rackham. Właśnie otrzymałem rozkaz odeskortowania cię do doku. Czeka na ciebie sąd wojskowy na Lunie.

Ciekawe. Wzięli się do roboty, jak tylko sformułowali oskarżenie przeciwko mnie.

Wykąpał się, przebrał w mundur, spakował do plecaka swoje nieliczne rzeczy osobiste i ruszył korytarzem za Nardellim. Kiedy znaleźli się sami, żandarm zatrzymał się i obrócił twarzą do Mazera.

– Masz w tym plecaku wszystkie swoje rzeczy, Rackham? Co do jednej?

Wyjął z ucha słuchawkę i obracał ją w palcach z lodowatym

uśmiechem.

Mazer westchnął w duchu. Było oczywiste, że Nardelli próbuje go rozzłościć. Prawdopodobnie z rozkazu Waganowa. „Doprowadź do tego, żeby się na ciebie zamachnął – mógł powiedzieć pułkownik. – Dodajmy do rosnącej listy oskarżeń przeciwko niemu atak na oficera”. Ale to byłoby idiotyczne. Tylko dla czego Waganow tak bardzo chciał go zdyskredytować? Czy miał za uszami znacznie więcej, niż podejrzewał Mazer? Tak czy owak, Mazer nie przystąpił do gry.

– Możesz sobie wziąć moją słuchawkę – powiedział. – Już jej nie potrzebuję.

Nardelli uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie wolno ci się odzywać, Rackham.

– Dla ciebie robię wyjątek. Uznaj to za prezent, jak to między żołnierzami.

Nardelli ścisnął pałkę.

– Nie jesteś żołnierzem, Rackham. Jesteś zdrajcą.

Mazerowi zrobiło się odrobinę żal Nardellego.

– Dam ci na pożegnanie nieproszoną radę, Nardelli. Cokolwiek obiecał ci Waganow, nie jest to tego warte. Skupił swoje zainteresowania nie tam, gdzie powinien, i kiedy upadnie, zabierze ze sobą ciebie i wszystkich tych, których nakłonił do odwalania za niego brudnej roboty. Mogę się założyć, że masz już na swoim koncie kilka krech. Dlatego Waganow cię zauważył i zrobił z ciebie swój taran. Ale to jest droga donikąd, przyjacielu. Nie jestem twoim wrogiem. Wrogami są Formidzi, a kiedy tu dotrą, będziemy potrzebować każdego sprawnego żołnierza. Za krótkimi na nic się nie przydasz swojej rodzinie na Ziemi.

Nardelli się roześmiał.

– To ty idziesz pod sąd wojskowy, Rackham, nie ja.

– To się może dość szybko zmienić.

Rysy Nardellego stwardniały.

– Grozisz mi, zdrajco?

– Proszę, żebyś dla dobra ludzkiej rasy okazał rozsądek. Najwyraźniej palisz się do bitki. Ja jednak nie połknę przynęty. Rozstańmy się więc, zanim jeden z nas zrobi coś, czego będzie

potem żałował.

Nardelli chwycił Mazera za rękę i pociągnął wzdłuż bocznego korytarza.

– Tak, tylko że ja żałuję jedynie tego, że nie zrobiłem tego dawno temu.

Na końcu korytarza znajdowała się główna ładownia stacji kosmicznej. Nardelli wciągnął Mazera do środka, odepchnął na bok i zaczął podwijać rękawy. Mazer stanął na podłodze i spokojnie się rozejrzał. Pomieszczenie było ogromne, miało co najmniej trzydzieści metrów wysokości i było puste pośrodku, żeby dźwigi mogły przesuwac ładunek. Ściany po lewej i prawej stronie były obstawione od podłogi do sufitu sześciennymi pojemnikami magazynowymi o boku mierzącym mniej więcej dwa metry. Długie rzędy i wysokie kolumny pojemników sprawiały, że ściany przypominały ogromne plastry miodu o kwadratowych komórkach. Pojemniki nie miały przednich ścian i tylko nieliczne były puste. W większości z nich znajdowały się metalowe sześciany towarowe dopasowane do nich rozmiarami. Zawierały żywność, sprzęt medyczny, wodę pitną, części zamienne, wyposażenie. W połowie wysokości każdego pojemnika znajdowała się krótka metalowa sztaba przytrzymująca ładunek na miejscu. Po uniesieniu sztaby można było wysunąć sześcian.

Mazer spróbował obrócić sztabę w najbliższym pustym pojemniku i przekonał się, że jest to bardzo łatwe. Pod sztabą znajdował się okrągły przycisk. Mazer wdusił go i tak jak się spodziewał, tylna ściana pojemnika powoli przesunęła się do przodu. Gdyby znajdował się w nim ładunek, ściana wprowadzona w ruch umieszczonym za nią niewidocznym mechanizmem wypchnęłaby go na zewnątrz.

Nardelli przyjął bojową postawę, uniósł pięści i zacisnął zęby.

– Naprawdę chcesz to zrobić, Nardelli? Zachowujesz się jak szkolny zabijaka. Powinieneś dawno z tego wyrosnąć.

Nardelli się uśmiechnął.

– To będzie świetna zabawa.

Mazer przesunął ręce za plecy. Wyglądał na rozluźnionego.

– Jestem żołnierzem sił specjalnych, Nardelli. Nauczono mnie, jak zgnieść człowiekowi tchawicę. To nic trudnego. Zwykle krtań jest dość elastyczna. Lecz tutaj, w przestrzeni kosmicznej, chrząstka tarczowata i chrząstka pierścieniowa kostnieją. Stają się kruche i łatwo się łamią. Wystarczy jedno uderzenie. Wszystkie te połączenia, ścięgna, struny głosowe i chrząstki rozerwą się, pękną i rozpadną. Ból, Nardelli. I krew. Jeszcze zanim cię to zabije, zechcesz umrzeć.

Nardelli uniósł pięści wyżej, chroniąc szyję. Nie zaatakował.

Mazer postąpił krok w prawo i przekręcił dźwignię w górę, uwalniając sześcian towarowy, a następnie wcisnął guzik i dalej zmierzał w prawo, nie spuszczając wzroku z Nardellego. Mechanizm za sześcianem ożył i wypchnął go na zewnątrz. Pozbawiony masy sześcian wypłynął z pojemnika i podążał w stronę pojemników po przeciwnej stronie.

Nardelli z łatwością zszedł mu z drogi, nie opuszczając rąk.

– Poza tym po obu stronach szyi masz tętnice – ciągnął Mazer. – A zwłaszcza zatoki tętnic szyjnych. Jeśli trafię w którąś z nich, komórki baroreceptora zwariują i polecą twojemu mózgowi, żeby zwolnił pracę serca, by obniżyć ciśnienie krwi. To stanie się szybko. Stracisz przytomność. Ja wtedy kopnę cię w krocze. Jeśli jeszcze się obudzisz, pożałujesz tego. Ten ból nie jest przyjemny.

– Grasz na zwłokę – powiedział Nardelli. – Jesteś dwa razy mniejszy ode mnie. Z łatwością cię załatwię.

Mazer wciąż przesuwał się w prawo.

– Drobniejsza budowa daje mi przewagę, Nardelli. Ty stanowisz duży, łatwy, niemrawy cel. Większa masa w zerowej grawitacji oznacza, że do poruszania się potrzebujesz więcej energii i że trudniej ci manewrować. Żeby to wiedzieć, nie trzeba mieć doktoratu z fizyki.

Mazer uwolnił następny sześcian i nadal poruszał się w prawo. Nardelli wyglądał tak, jakby chciał zaatakować, ale się zawahał. Minął go drugi sześcian.

– Jakie dokładnie instrukcje wydał ci pułkownik Waganow? Miałeś doprowadzić mnie do wściekłości? Rozzłościć na tyle, żebyś mógł mnie zapuszkować pod zarzutem napaści?

Nardelli milczał.

– To niezbyt mądry plan – stwierdził Mazer. – Adwokaci floty nie są głupi. Spojrzą w twoje i w moje akta i jak myślisz, komu uwierzą, Nardelli? Tobie?

Żandarm nadal nic nie mówił.

– Subtelność nie jest twoją mocną stroną. Trochę przesadziłeś. Muszę jednak przyznać, że kilka razy niemal uległem i chciałem ci połamać rękę.

– Więc spróbuj teraz, Rackham.

– A jaki to pomyślny zbieg okoliczności, że nie ma tu ani jednego dokera. Czy Waganow wydał instrukcje także im?

Nardelli nic nie powiedział.

– To, co tu robisz, to służbowe samobójstwo, Nardelli.

Mazer uniósł kolejną dźwignię i nacisnął kolejny guzik. Na zewnątrz wypłynął jeszcze jeden sześcian.

– Pułkownik Waganow nie może ci wydawać nielegalnych rozkazów. Leć ze mną na Lunę. Porozmawiaj z jakimś adwokatem. Masz dość dobrą linię obrony. On jest pułkownikiem. Jesteśmy uczeni słuchać pułkowników. Postawił cię w trudnej sytuacji. Oczywiście Waganow jest prawdopodobnie za sprytny, żeby rozmawiać z tobą osobiście. Rozkazy otrzymałeś zapewne od któregoś z jego oficerów... Od którego?

Mazer podniósł kolejną dźwignię i nacisnął jeszcze jeden guzik. Mechanizm uruchomił się z piskiem i z pojemnika wypłynął kolejny sześcian.

Nardelli zaatakował.

Mazer odbił się w górę, wyłączwszy już wcześniej magnesy w butach, i z łatwością znalazł się poza zasięgiem żandarma, który schwytał jedynie powietrze, bo Mazer zwinął się w kłębek i skierował stopy w przeciwną stronę. Wylądował lekko na suficie, lecz natychmiast odbił się w kierunku pojemników na przeciwną ścianę. Chwycił się krawędzi pojemnika znajdującego się w połowie odległości między podłogą a sufitem, podniósł sztabę blokującą sześcian i nacisnął guzik. Sześcian popłynął przez ładownię.

Nardelli podniósł na niego wzrok.

– To tak walczysz, Rackham? Uciekając?

Mazer przesunął się w prawo, pociągnął dźwignię, nacisnął guzik. Kolejny sześcian towarowy opuścił swój pojemnik.

Nardelli ujął pałkę i odbił się w górę prosto do Mazera.

Nie był dobrze wyszkolony w walce w zerowej grawitacji. Odbił się zupełnie źle. Środek ciężkości miał przesunięty, nogi nieprzygotowane i wyraźnie brakło mu pomysłu, jak się zatrzymać inaczej niż przez zderzenie z Mazerem. To nie było mądre.

Mazer przesunął dźwignię i nacisnął guzik. Nardelli, nie mogąc zmienić kursu, zderzył się z sześcianem towarowym właśnie wypychanym z pojemnika. Rozległo się głuche uderzenie i jęk bólu. Mazer odbił się i uwolnił następne dwa sześciany. Nardelli unosił się bez celu, wymachując rękami.

Tak było w formidzkim statku zwiadowczym podczas wymiany ognia, pomyślał Mazer. Duże fragmenty złomu, przeszkody zasłaniające nam widok i niepozwalające się swobodnie poruszać. Formidzi z łatwością je omijali, przyzwyczajeni do zerowej grawitacji, lecz my nie byliśmy na to przygotowani. Nie wyszkoliliśmy naszych mózgów do myślenia w trójwymiarowej przestrzeni. To ogromne przeoczenie. Trzeba je naprawić.

Mazer wylądował na krawędzi jednego z pojemników znajdujących się blisko sufitu i patrzył na zmagania Nardellego. W pomieszczeniu pływało leniwie na różnych wysokościach dziewięć sześcianów, które wpadały na siebie i tworzyły grupy. Nardelli z trudem je omijał. Skoczył i wylądował na jednym z nich, złapał równowagę i odbił się w stronę następnego. Miał ranę na czubku głowy i kipiał ze złości, rozpaczliwie pragnąc dopaść Mazera, ale poruszał się niepewnie i niezdarnie, co złościło go jeszcze bardziej. Przeskoczył na następny sześcian, ale ten musiał być pusty, bo pod ciężarem Nardellego zaczął się obracać.

Żandarm wpadł w panikę, starając się zachować orientację wobec podłogi. Kubik obracał się w jedną stronę, a on pełził po nim w drugą, usiłując utrzymać się na górze, jakby się bał, że

spadnie na podłogę. Takiego oczywistego błędu nie popełniłby żaden Formida.

Najwyraźniej czeka nas dużo pracy z naszymi żołnierzami.

Nardelli spróbował odbić się od pustego sześcianu, lecz jego masa była niewiele większa i sześcian uciekł mu spod nóg z tą samą siłą, jaką przyłożył do niego Nardelli. Zamiast więc zbliżyć się do Mazera, żandarm wpadł w niekontrolowany ruch wirowy i odpląnął w drugą stronę, klnąc i wymachując rękami i nogami.

Mazer pomyślał, że potrwa to kilka minut, a tyle właśnie czasu potrzebował. Odbił się w dół do wyjścia, chwycił plecak i skierował się do hangaru.

W doku czekał na niego prom. Mazer zameldował się u żołnierza odpowiedzialnego za ładunek i rozmieszczenie pasażerów, który zeskanował jego bransoletkę identyfikacyjną i zaprosił na pokład. Mazer ułożył plecak i zajął miejsce z tyłu. Nie był jedynym pasażerem. Pasy zapięto już kilkunastu innych żołnierzy, ale żaden z nich nie zwracał na niego uwagi, co przyjął z ulgą.

Obserwował drzwi, na wpół spodziewając się, że nie zważając na krwawiącą ranę głowy, na prom wdrze się Nardelli, żeby skończyć to, co zaczął. Lecz minęło kilka minut i nikt się już nie pojawił.

Mazer opuścił ekran terminala ukryty w oparciu fotela przed sobą i zanim prom odcumował, przerywając połączenie, wystukał e-mail do Kim. Napisał, że wraca do domu. Że ją kocha. Że bardzo się cieszy, że ją zobaczy. Nie napisał, że jego wojskowa kariera prawdopodobnie się skończyła ani że stery w MF przejmują plaga krótkowzrocznych karierowiczów. Nie wspomniał też, że jego nadzieja na zwycięstwo została prawie całkowicie zniweczona. Kim nie lubiła przygnębiających e-maili. Poza tym chciał ją zobaczyć uśmiechniętą. Jeśli zostało im tylko trochę czasu, to chciał, by liczyła się każda chwila spędzona razem.

Rozdział 11

PROM

Do zbudowania floty potrzebna jest flota, zwłaszcza że tuż po pierwszej wojnie z Formidami nie było czasu czekać, by statki górnicze z Pasa Kuipera i asteroid przywiozły dość surowców do stoczni znajdujących się w pobliżu Ziemi. Dlatego też wszystkie promy, które mogły startować z Ziemi, stały się statkami towarowymi i wnosiły ze studni grawitacyjnej planety całe ładunki metalu. Następnie zostawiały je na orbicie i wracały po kolejną porcję.

Do podjęcia orbitujących ładunków i dostarczenia ich na miejsce budowy okrętów używano statków towarowych, holowników, jachtów, promów lunarnych i statków badawczych. Kłopot polegał na tym, że nie było ich wystarczająco dużo. Flota towarowa, jakiej potrzebowała MF, już kursowała między Marsem, Luną i pasem asteroid, a po zarekwirowaniu wszystkich statków znajdujących się w pobliżu Ziemi do wożenia ładunków ani rodziny, ani korporacje nie chciały się przyznać, że mają w odpowiedniej odległości więcej niż kilka maszyn, którymi mogłyby wspomóc flotę, a wolni górnicy wyruszyli w dalsze rejony przestrzeni kosmicznej.

Wszyscy oni rozumieli, że przeżycie rasy ludzkiej zależy od zbudowania okrętów mogących pokonać Formidów, lecz wiedzieli także, że jeśli MF zagarnie ich statki, to już nigdy ich nie zobaczą. To byłby ich finansowy koniec. Utknęliby w jakimś składzie czy na jakiejś stacji, gdzie musieliby błagać o żywność bez nadziei, że kiedykolwiek znów wybiją się na powierzchnię.

Rozpaczliwie potrzebując statków, MF zaczęła sporządzać plany wytropienia i zajęcia najbliższych jednostek towarowych. Położył temu kres pierwszy Hegemon Ukko Jukes i użył funduszy Hegemonii do stworzenia programu wykupu statków

kosmicznych, zwanego Prowyskiem. Hegemon zaczął od zapłacenia uczciwej rynkowej ceny za wszystkie konstrukcje, które już zostały zarekwirowane. Dopiero wtedy korporacje i rodziny odkryły, że mają w pobliżu o wiele więcej jednostek, niż sądziły. Koszt zakupu statków przekraczał cały budżet Hegemonii, a akta sugerują, że zwrot pieniędzy wyłożonych przez banki na Prowysk zagwarantowała firma Juke Limited.

Wkrótce było dość statków, by opróżnić wszystkie ogromne składy części do okrętów. Pierwotne załogi tych jednostek albo kontynuowały pracę pod rozkazami oficerów MF, albo podejmowały służbę jako stocznioowcy w rozmaitych korporacjach zakontraktowanych przez flotę do budowy nowych okrętów. Zgodnie ze skrupulatnym „Indeksem załóg statków towarowych” autorstwa S.P. Mu do zakończenia drugiej wojny z Formidami ponad osiemdziesiąt procent tych załóg zaciągnęło się do MF, a wedle wszystkich doniesień ci górnicy stali się trzonem MF i szkolili nowych rekrutów z Ziemi i Luny, aż ci przyzwyczaili się do warunków panujących w przestrzeni kosmicznej i nauczyli bezpiecznie żyć i pracować w środowisku zerowej grawitacji.

Krewnym na utrzymaniu wolnych górników, którzy wstąpili do MF, oraz tym, którzy nie chcieli pozostać na statkach dowodzonych przez oficerów floty, opłacono przelot na Lunę, jedyną powierzchnię z na tyle niską grawitacją, by mogli się do niej dostosować mieszkańcy przestrzeni kosmicznej. Mimo że Hegemonia zwiększyła przydział żywności i wody dla Luny, by zaspokoić potrzeby uchodźców, jej rząd nie był dobrze przygotowany na ich przyjęcie. Pod południowymi kopułami Imbrium szybko założono „obozy” uchodźców, lecz dostawy żywności były niewystarczające i nieregularne, a ochrona sanitarna i opieka medyczna były w najlepszym razie sporadyczne.

Gdyby nie starania Fundacji Dzieci Ziemi, organizacji non profit założonej przez Lema Jukesa, która w ciągu kilku miesięcy zapewniła nowo przybyłym rodzinom wolnych górników środki do życia i pracowała na rzecz włączenia ich do społeczeństwa lunarnego, Prowysk doprowadziłby prawdopodobnie do masowej dezercji (lub buntu) tych wolnych górników, którzy wstąpili

w szeregi MF i stoczniowych związków zawodowych.

W tej sytuacji nowych rekrutów zapewniono, że ich rodziny mają dobrą opiekę, dlatego też nie porzucili oni pracy i zanim rozpoczęły się szeroko zakrojone działania bojowe drugiej wojny z Formidami, zbudowali zdumiewająco wiele okrętów wojennych. Po wojnie większość z tych ludzi nadal je budowała według nowych projektów, by dać Ziemi tarczę, której nie zdołałaby w przyszłości przebić żadna formidzka broń. I nawet gdyby Lem Jukes nie zrobił niczego poza uruchomieniem tej bardzo ważnej akcji humanitarnej, miałby zapewnione miejsce w poczcie architektów ocalenia ludzkości.

Demostenes, *Historia wojen z Formidami*, t. 3

Bingwen wyszedł ze śmigacza na pas kołowania w chwili, kiedy nad Zatoką Bengalską wschodziło słońce. Powierzchnia łagodnie falującego w nikłym świetle oceanu przywodziła na myśl ciemny połyskujący bursztyn. Znajdowali się na niewielkiej trójkątnej wyspie doktora Abdula Kalama, położonej dziesięć kilometrów od wschodniego wybrzeża Indii i wykorzystywanej przez Międzynarodową Flotę do dyskretnych startów w przestrzeń kosmiczną. Rześkie powietrze pachniało solą, a z oddali dobiegało stłumione nawoływanie jakiegoś morskiego ptaka. Bingwen nigdy wcześniej nie widział oceanu, a zdjęcia nie oddawały jego piękna. To dlatego Formidzi tak rozpaczliwie pragną tego świata, pomyślał. Jest tu ciepło, woda i życie. Jest pożywienie, paliwo, ziemia i szansa nie tylko na przetrwanie, ale na rozkwit.

Kiedy Bingwen tak stał, owiewany morską bryzą, obok niego pojawił się też kapitan Li, który wyszedł ze śmigacza i obciągnął marynarkę swojego nowego błękitnego munduru MF.

- Delektujesz się ostatnią chwilą na stałym lądzie? – zapytał.
- Mam nadzieję, że nie jest ostatnia – odparł Bingwen.

Na pasie przed nimi stał prom, który miał ich wynieść z ziemskiej atmosfery do portu promowego w przestrzeni

kosmicznej. Kilka osób z załogi ładowało do niego jakieś towary i sprzęt. Widok ten mocno kontrastował z szeroko nagłaśnianymi startami z poprzedniego rana, kiedy to setki chińskich żołnierzy ubranych w nowe mundury MF i wymachujących małymi chińskimi flagami wsiadły do promów i odleciały na Lunę. Stanowili pierwszy kontyngent żołnierzy włączonych do MF i wydarzenie to obsługiwali dziennikarze z całego świata. Natomiast tutaj, z dala od lądu, nie było widać ani jednego aparatu fotograficznego.

– Chyba nie jesteśmy jedynymi pasażerami – powiedział Bingwen, idąc za kapitanem Li w stronę promu.

Li się roześmiał.

– Bynajmniej. To jest prom uniwersalny, zarezerwowany głównie dla ważnych osobistości, które mogą przybyć na kilka minut przed startem. Ty, jako że nie jesteś ważną osobistością, nie masz tego luksusu. Wsiadasz pierwszy, wysiadasz ostatni. A ponieważ jestem zmuszony cię eskortować, dotyczy to także mnie. Przez cały lot będziesz się trzymał z tyłu. Z nikim nie rozmawiaj, chyba że ktoś odezwie się do ciebie pierwszy. Zrozumiano?

– Tak jest, panie kapitanie.

Ta odpowiedź była przesadnie oficjalna, lecz w uszach Bingwena brzmiała już naturalnie. Przez te wszystkie lata nauczył się stosować do szczególnych wymagań kapitana Li w kwestii okazywania szacunku. Ignorowanie ich oznaczało karne prace lub inne konsekwencje. Lepiej oddać mu, czego chciał, a zastrzeżenia zachować na bitwy warte rozegrania.

Usiedli obok siebie z tyłu promu. Li oparł łokcie na podłokietniku, zetknął opuszki palców i przyglądał się Bingwenowi.

– Czy Chiny podjęły właściwą decyzję? – zapytał chłopca.

To był test. U Li wszystko było testem. Najwyraźniej miał na myśli chińską decyzję dostarczenia żołnierzy. I jak zwykle w umyśle Li istniała tylko jedna odpowiedź. Odpowiedź, którą Bingwen powinien znać i wyczerpująco wyjaśnić.

– Bez kwestii – powiedział.

Li nauczył go nie tylko udzielania bezpośrednich odpowiedzi, ale też udzielania ich z całkowitym przekonaniem. Żołnierz zawsze musi promieniować siłą. Jego raporty i odpowiedzi są zwięzłe. Odpowiada z pewnością siebie, natychmiast i z głębokim przeświadczeniem. Jeśli nie zna odpowiedzi, nie wstydzi się o tym powiedzieć. Może w ten sposób okazać, że jest niedoinformowany, ale nie słaby.

– Jakiego uzasadnienia pan chce? – zapytał Bingwen. – Wojskowego, gospodarczego czy politycznego?

– Wszystkich trzech – odparł Li.

Bingwen skinął głową.

– Pod względem politycznym Chiny nie miały wielkiego wyboru. Media w Europie i na Zachodzie rozsiewały pogłoski, że winę za stratę Kopernika ponoszą Chiny. I do tej pory świat dawał Chinom taryfę ulgową. Ponieśliśmy najwięcej ofiar w ludziach i najsilniej odczuliśmy skutki tej wojny. Nasza infrastruktura znalazła się na krawędzi załamania. Nasze ośrodki handlu, nasze największe miasta były głównym celem i w dużej mierze zostały zrujnowane. Pod względem rolniczym straciliśmy miliony hektarów upraw, nasz przemysł ryżowy prawie przestał istnieć, a długoterminowe umowy handlowe z Zachodem zostały zerwane. Chiny znalazły się w bardzo niepewnej sytuacji, co wywołało ogólnoświatowe współczucie, dzięki któremu mogliśmy w okresie odbudowy nie angażować się w sprawy związane z MF. Przyjęliśmy na siebie ciosy przeznaczone dla świata i świat nam pobbłażał.

Lecz współczucie nie trwa wiecznie, zwłaszcza w obliczu rosnącego ogólnoświatowego zagrożenia. Robi się więc z nas kozła ofiarnego w sprawie Kopernika i daje do zrozumienia, że wszystkie te tryliony kredytów, które wpompowano w nasz kraj, by pomóc w jego odbudowie, mają swoją cenę. Mówi się, że to nie zasiłek, tylko pomocna dłoń. Oczekuje się od nas, że wkroczymy i zaproponujemy taką pomoc, na jaką nas stać.

Sugestia, że Chiny są odpowiedzialne za Kopernika, jest w najwyższym stopniu obraźliwa, lecz chyba zakorzenia się już w globalnej świadomości. Świat spojrzał na nas i powiedział:

„Wciąż bierzecie, a nic nie dajecie”. Nie mogliśmy pozwolić, by takie postrzeganie Chin utrzymało się na dłuższą metę. Zostalibyśmy zaszufadkowani jako samolubni. Unikano by naszych ambasadorów i dygnitarzy. Żaden polityk nie chciałby być widziany z Chińczykami. Zostalibyśmy wykluczeni z obrad na szczycie, dyskusji i międzynarodowych przedsięwzięć. Najszkodliwsze byłoby to, że gdybyśmy nie podjęli żadnych działań, spadałyby na nas dalsze oskarżenia. Po każdym niepowodzeniu MF świat znów spoglądałby na nas i mówił: „Widzicie? To wasza wina. Nie pomagacie, a my przez to przegrywamy”.

– A implikacje gospodarcze? – zapytał Li.

– Bardzo podobne – odparł Bingwen. – Odmawiając pomocy, narażamy się na alienację gospodarczą. Zachodnie korporacje zmieniałyby zdanie co do wytwarzania dóbr w Chinach. A groźba sankcji sprawiłaby, że wiele zagranicznych firm uciekłoby od nas i zawarło umowy z azjatyckimi narodami o mniejszym znaczeniu politycznym. Już jesteśmy świadkami wyciekania dużej części naszego handlu do Indonezji i Wietnamu. Gdyby na Chiny zostały nałożone sankcje, ten wyciek zmieniłby się w powódź. Nie możemy sobie na to pozwolić. Dosłownie. Nawet niewielkie sankcje gospodarcze podcięłyby nam nogi. Hegemon o tym wiedział, podobnie jak Beijing. Nie możemy też sobie pozwolić na stratę MF jako klienta. Innowacja, wytwarzanie, łączność. Gospodarcza kondycja narodu w dużej części zależy od silnych więzi z MF. Jesteśmy jej piątym co do wielkości dostawcą towarów. Jeśli zacznie robić interesy z kimś innym, spowoduje to u nas natychmiastową recesję.

– Jeśli to prawda, to dlaczego Hegemon nie zagrał tą kartą, kiedy poprosił o żołnierzy? – zapytał Li.

– Bo nie musiał – odparł Bingwen. – MF ma już wystarczającą liczbę żołnierzy i poborowych. W gruncie rzeczy ma ich prawdopodobnie tylu, że nie wie, co z nimi robić. Rekrutowała wśród korporacyjnych załóg górniczych, przyjmowała tysiącami zaciągających się wolnych górników i przyjmowała dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet służących w wojsku na Ziemi. I MF

robiła to, nie mając gdzie umieścić tych ludzi. W przestrzeni kosmicznej nie było żadnej wojskowej floty z pustymi kojami, by ich przyjąć. Żadnych obiektów szkoleniowych na Lunie. Żadnych składów czy stacji użytkowanych wyłącznie przez MF. Nie miała niczego. Tych, których się dało, zatrudniono przy budowie okrętów, lecz przez bardzo długi czas MF miała więcej żołnierzy niż pryczy. Możliwe, że nadal tak jest, lecz MF z całą pewnością tego nie potwierdzi. Będzie utrzymywać, że rozpaczliwie potrzebuje żołnierzy.

– A implikacje wojskowe? – zapytał Li.

– Międzynarodowa Flota nie zniknie. Jeśli poszczęści nam się na tyle, że wygramy tę wojnę, MF tak po prostu się nie rozformuje. Ludzka rasa musiała zmienić całą koncepcję wojny. Nie możemy już sobie pozwalać na walki między sobą, skoro wśród gwiazd znajdują się więksi wrogowie. Jeśli chcemy przetrwać jako gatunek, musimy się zjednoczyć i utrzymywać flotę nie tylko ze względu na zagrożenie ze strony Formidów, ale i na wszelkie inne zagrożenia, które mogą zaistnieć. Chiny muszą przynależeć do tej organizacji i móc zabrać w niej głos. MF będzie mieć niewiarygodnie wielką siłę i ignorowanie jej oznacza zgodę na własny upadek. Nie możemy do tego dopuścić. Stojąc na uboczu, wyrządzamy sobie wielką krzywdę. Chiny znowu muszą udowodnić światu swoją wartość. Potrzebujemy bohaterów wojennych. Potrzebujemy wielkich dowódców, którzy mają wpływy w MF, którzy mogą reprezentować siłę naszego kraju i utrzymywać naszą pozycję w świecie. Ta wojna upokorzyła Chiny. Nasza pozycja w rankingu globalnych potęg znacznie spadła. Zostaliśmy uznani za słabych i to mimo faktu, że żaden inny naród na Ziemi nie odniósłby większego sukcesu w walce z Formidami niż my. Pod względem wojskowym nie mieliśmy innego wyboru jak wysłać żołnierzy.

– W twoich ustach brzmi to jak coś oczywistego – stwierdził kapitan Li. – Dlaczego zatem Chiny nie wysłały swoich żołnierzy dawno temu? Dlaczego Hegemon musiał wyrzucić na nas nacisk?

– To proste – odparł Bingwen. – Chodzi o strach. Im więcej żołnierzy wysyłamy w przestrzeń kosmiczną, tym mniej

żołnierzy broni naszej ojczyzny. W Beijingu panuje strach, że Formidzi przełamią wszelką obronę, jaką spróbuje wystawić MF, i że wróg dotrze na planetę. A jeśli wszystkie nasze siły wojskowe znajdują się w przestrzeni kosmicznej, to mieszkańcy Ziemi, a szczególnie mieszkańcy Chin, będą wtedy bezbronni. Jeśli Formidzi wylądują w Chinach, nasz naród ulegnie zagładzie. Nie mamy tyle wojska, ile mieliśmy dawniej, nawet jeśli zgromadzimy wszystkich naszych żołnierzy. Oddanie jakiegokolwiek oddziału osłabia nas jeszcze bardziej. Łatwo winić za takie myślenie Beijing – ciągnął Bingwen – lecz taka jest chińska kultura. Nie ma narodu innego niż Chińczycy, innego społeczeństwa i tradycji wartych zachowania niż chińskie, nie ma narodu ważniejszego od Chińczyków. Patrzymy na świat z bardzo ograniczonej perspektywy. We wszechświecie, w którym jedynym dominującym gatunkiem są ludzie, taką perspektywę można by wybaczyć. Teraz jednak tak już nie jest. Naszym narodem są teraz wszyscy ludzie na świecie.

– Mówisz o naszych przywódcach w Beijingu bez szacunku – stwierdził Li.

– Nie jest to moim zamiarem – rzekł chłopiec. – Staram się jedynie sformułować to, co moim zdaniem może stać za ich decyzjami. Oczywiście nie mogę mieć co do tego pewności. Jestem jedynie niedouczonego dzieckiem. Pan oczywiście rozumie te sprawy o wiele lepiej ode mnie.

Li się uśmiechnął.

– Jesteś zawsze taki pełen szacunku, Bingwenie, taki uprzejmy...

– Jest pan starszy ode mnie. Jakże mógłbym zachowywać się inaczej?

– Wysłałem ludzi z poleceniem zabicia cię, a ty nadal okazujesz mi poważanie?

– Jeśli wysłał pan ludzi z poleceniem zabicia mnie, to jasne jest, że chciał pan, by to doświadczenie czegoś mnie nauczyło. Jest pan doskonałym nauczycielem, a niektóre lekcje muszą być trudniejsze od innych. Albo to, albo zasługiwałem na śmierć.

Kapitan Li się roześmiał.

– Przestańmy na chwilę udawać, Bingwenie. Naprawdę myślisz, że po tylu latach inwestowania w twoje szkolenie chcę twojej śmierci? Czy wysłałbym niewyszkolonych zbirów, żeby cię zabili?

– Właśnie się pan do tego przyznał.

– Wysłałem niewyszkolonych zbirów, żeby spróbowali cię zabić. To zupełnie co innego. Zrobiłem to, ponieważ wiedziałem, że z łatwością ich pokonasz. Jak sądzisz, dlaczego tu siedzisz? Bo napisałem do Beijingu list polecający? Bo wrzuciłem karteczkę z twoim imieniem do kapelusza? Nie jestem jedynym dowódcą, który ma wpływ na twoje życie, Bingwenie.

– A więc to był test? Żeby zobaczyć, co im zrobię?

– Ci ludzie stanowili tylko część testu. Moi przełożeni chcieli także zobaczyć, co zrobisz potem. Gdybyś ich zabił, konsekwencje poniósłby twój oddział. Jak byś sobie z tym poradził? Wielu żołnierzy tobą gardziło, co niektórym z moich przełożonych dało do myślenia. Nielubiany dowódca może być skuteczny, ale lepiej jest, jeśli cieszy się lojalnością i szacunkiem swoich podwładnych.

– Gardzili mną, bo jestem dzieckiem. To pan dopilnował, by mną gardzili. Nie chciał pan dopuścić, bym zatrzymał kogokolwiek, kto mnie wspierał.

– Co cię zmuszało do stałego szukania sposobów na zdobycie ich szacunku – rzekł Li. – W czasie wojny skład oddziału ciągle się zmienia, Bingwenie. Nie wszyscy przeżywają. Kiedy przybywają posiłki, musisz zasłużyć na szacunek także tych ludzi. Nie możesz liczyć tylko na lojalność pierwotnego oddziału.

– A zatem zdałem pański test?

– To nie był mój test. Wiele osób cię obserwuje i ocenia twoje decyzje, Bingwenie. Ja jestem jedynie ich przedstawicielem. Ale tak, zdałeś. Twoje działania były nieco bardziej teatralne, niż się spodziewaliśmy, lecz cel osiągnąłeś. Chociaż wielu ludzi uważa mnie za głupca. Nie dostrzegają mądrości tego, co robię.

– A co pan robi?

– Chronię Chiny, Bingwenie. Sam to powiedziałaś. Chiny potrzebują bohaterów. Chiny potrzebują dowódców, którzy

promieniują siłą i mądrością.

– Mam dwanaście lat – powiedział Bingwen. – Nie mogę być bohaterem wojennym. Świat uznałby to za pogwałcenie praw dziecka. Nie jestem dowódcą.

– Nie, ale pewnego dnia nim zostaniesz. A kiedy nadejdzie odpowiedni czas, szkolenie, jakie przeszedłeś, twoje doświadczenia z dzieciństwa i okresu dorastania uczynią cię szczególnie przygotowanym do przewodzenia innym.

– To dlaczego nie zostałem na Ziemi? Z dala od walk? Jeśli Chiny mają nadzieję użyć mnie jako narzędzia, kiedy dorosnę, to po co rzucać mnie do walki teraz i ryzykować moje życie?

– Sam to powiedziałeś: niektóre lekcje muszą być trudniejsze od innych.

– Czy są inni? – zapytał Bingwen. – Tacy jak ja? Osierocone dzieci rzucone w wir wojny?

Li się uśmiechnął.

– Po pierwsze, nie jesteś dzieckiem. I nie rzucamy cię w wir wojny. Idziesz na ochotnika. Po drugie, chociaż jesteś kimś szczególnym, nie jesteś szczególnie na tyle, żeby Chiny stawiały wszystko na ciebie. Są inni. Jest ich w gruncie rzeczy bardzo wielu. Teraz mogę ci to powiedzieć. Niektórzy są nawet o wiele zdolniejsi od ciebie. Lecz spodziewamy się strat. Nie wszyscy dotrą na szczyt. Mamy jednak nadzieję, że ci, którzy się wyróżniają i przeżyją, to ci, których zdolności przywódcze w przyszłości okażą się nieocenione.

– A więc godzicie się na śmierć kilkorga dzieci w ramach selekcji tych, które nie spełniają waszych oczekiwań... – stwierdził Bingwen.

– W twoich ustach brzmi to jak działanie nieetyczne.

– A nie jest takie? Nie jestem jeszcze nastolatkiem. Istnieją międzynarodowe prawa zakazujące takich rzeczy. Włożenie mi broni do ręki to zbrodnia wojenna.

– Nie widzę w twojej ręce broni – rzekł Li.

– To ja jestem bronią. A przynajmniej macie nadzieję, że kiedyś się nią stanę.

– Przechodzisz szkolenie, Bingwenie. To jest jego kolejny etap.

W uczeniu nie ma nic nielegalnego. W gruncie rzeczy państwo tego wymaga.

– A więc to jest szkoła? Dowodzenie oddziałem żołnierzy było szkołą? To nie było wojsko?

– Szacunek, który zwykle słyshać w twoim głosie, szybko zanika, żołnierzu. Proponuję, żebyś się przez moment zastanowił i przypomniawszy sobie, że rozmawiasz z przełożonym oficerem.

Bingwen na chwilę zamilkł.

– Tak jest, panie kapitanie. Przepraszam, panie kapitanie.

– To zawsze była szkoła, Bingwenie. Od chwili, w której ocalił cię Mazer Rackham. Te doświadczenia cię ukształtowały. Trudne doświadczenia, a nawet bolesne. Lecz to dzięki nim jesteś tym, kim jesteś.

Zaczęli się pojawiać inni pasażerowie, więc Li i Bingwen zamilkli. Chwilę przed startem na pokład weszła młoda kobieta w białych buddyjskich szatach i usiadła po drugiej stronie przejścia. Blisko siebie mieli puste miejsca. Bingwen spojrzał wzdłuż przejścia i zobaczył kilku dowódców i dygnitarzy siedzących w wygodniejszych fotelach na przodzie. Kapitan Li najwyraźniej też ich zauważył i tuż przed startem przesiadł się bliżej nich, żeby otrzeć się o wyższe szarże.

Prom uniósł się prosto w górę i kobieta obok Bingwena zesztywniała. Palce zacisnęła na podłokietnikach tak mocno, że zbielały jej kostki. Po kilku minutach szok wywołany startem zmalął i Bingwen poczuł, że się uspokaja, ale kobieta wyglądała na tak samo przerażoną.

– Pierwszy lot? – zapytał po angielsku.

– Przyleciałam tu z Tajlandii. Ale poza tym tak.

– Mój też. My tu przylecieliśmy z Chin.

– Radzisz sobie o wiele lepiej ode mnie – powiedziała kobieta.

– To naprawdę nic strasznego. Pani ciało już się przyzwyczaiło. Wkrótce znajdziemy się w stanie nieważkości i wtedy będzie łatwo. A przynajmniej tak słyszałem. Właściwie nie mogę się tego doczekać. Tyle się o tym słyszy, o nieustającym stanie nieważkości... Nie pomagam pani, tak?

– Po prostu nie mów „stan nieważkości”. Chociaż wiem, że takie

właśnie ma się wrażenie.

Sięgnął przez przejście.

– Mam na imię Bingwen.

Zawahała się, nie będąc przekonana, czy chce oderwać dłoń od fotela, by ucisnąć rękę chłopca. W końcu jednak to zrobiła.

– Wila – powiedziała.

– Lecisz na Lunę? – zapytał Bingwen.

– Nie. Do Pierścieni. To placówka badawcza otaczająca formidzki statek zwiadowczy.

– Jesteś przywódczynią religijną? Czcigodną buddyjską mniszką czy kimś takim?

Roześmiała się, co pozwoliło jej się trochę odprężyć.

– Wcale nie jestem mniszką. Nie w naszym zakonie. Jestem kobietą. Stąd białe szaty zamiast szafranowych. I nie, nie jestem przywódczynią religijną. Jestem tylko wierząca.

– Pracujesz więc dla Juke Limited? – zapytał Bingwen.

Spojrzała na niego, jakby zaskoczona, że ktoś tak młody wie, że placówkę prowadzi Juke.

– Zostałam niedawno zaangażowana – odparła.

– Dobra firma. Gratulacje.

– Zobaczymy. Mam nadzieję, że dokonałam właściwego wyboru.

– Lem Jukes ma wrogów i może sprawiać wrażenie narcyza, ale w rzeczywistości ma dobre zamiary. Sądzę, że jesteś w dobrych rękach.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– Mówisz, jakbyś go znał.

Bingwen wzruszył ramionami.

– Poznaliśmy się. Przez holo. Na pewno mnie nie pamięta.

Przez chwilę nie spuszczała z niego oczu, jakby nie była pewna, czy powinna mu uwierzyć.

– Domyślam się, że nie jesteś robotnicą. Powiedziałbym, że jakąś uczoną. Może fizykiem.

– Ciepło – powiedziała Wila. – Jestem biochemikiem. Badam kadłub formidzkiego statku zwiadowczego.

Bingwen wtedy sobie przypomniał. Trąbiła o tym cała prasa.

– A więc to ty wygrałaś konkurs na pomoc w rozwiązaniu zagadki poszycia?

– Właściwie to nie był konkurs. Po prostu szukają nowych pomysłów i punktów widzenia.

– A ty im go dałaś – rzekł Bingwen.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. Nie wiem jednak, czy mam rację.

– Ale uważasz, że masz. I ktoś w Juke Limited sądzi, że możesz ją mieć. Inaczej nie dołożyliby wszelkich starań, żeby wsadzić cię na następny prom z Azji.

– A ty dokąd lecisz? – zapytała Wila.

Kapitan Li nie wydał mu wyraźnego polecenia, by nie zdradzał celu podróży, a Bingwen był ciekawy reakcji Wili. Od tak dawna nie rozmawiał z nikim spoza wojska, a był pewien, że ta Wila nie pracuje dla MF.

– Najpierw na Lunę, a potem na stację kosmiczną w pobliżu Marsa, do siedziby Szkoły Aklimatyzacji do Zmiennej Grawitacji, czyli SAZG-u. Pospolicie jest znana jako Obóz Grawitacji, czyli ObGra, w skrócie Obra, a potocznie Obora. Ma wiele nazw...

– Brzmi jak placówka wojskowa.

– Bo nią jest.

Zerknęła na niego. Zgodnie z poleceniem Li Bingwen nie miał na sobie munduru.

– Będziesz tam mieszkał z ojcem? – zapytała.

Bingwen się roześmiał.

– Mówisz o kapitanie Li? On nie jest moim ojcem.

– Aha. Pomyślałam tak, ponieważ siedział z tobą.

– Nie. Mój ojciec został zabity podczas pierwszej wojny z Formidami. Był zupełnie niepodobny do Li.

Odwróciła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

– Przykro mi z powodu twojej straty, Bingwenie. Chciałabym ująć ci tę krzywdę i cierpienia.

Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdził, że mówi poważnie. Jeśli byłby na to jakiś sposób, gdyby można było to zrobić, wzięłaby na siebie jego smutek. Szczerść w jej głosie, powaga jej spojrzenia i łagodny wyraz twarzy tak go wzruszyły,

że musiał przełknąć ślinę, by się nie rozpłakać.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – udało mu się powiedzieć. Na chwilę zapanowało między nimi milczenie, a potem Bingwen zapytał: – Więc wymyśliłeś, co z tym poszyciem?

– Nie. Nadal nie mam pojęcia, jak je przebić, ale wysunęłam teorię, która chyba ich zaintrygowwała.

– To znaczy?

Zawahała się.

– Nie jestem jakimś dyrektorem w konkurencyjnej firmie, jeśli o to się martwisz.

– Nie chodzi o to. To przecież powszechnie znana inicjatywa... Tylko że... sądzę, że to cię znudzi. Większość ludzi w twoim wieku nie interesuje się takimi sprawami.

– Możesz mi wierzyć, że bardzo się interesuję wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Formidami – zapewnił ją Bingwen.

Wila spojrzała na niego dziwnie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Tak. To chyba prawda. – Odwróciła nieco fotel, żeby siedzieć twarzą do Bingwena. – Dobrze. Kiedy patrzymy na formidzki statek z odległości, widzimy idealnie gładki zaokrąglony kształt, tak?

– Tak.

– Powierzchnia sprawia wrażenie nieskazitelnej, wytworzonej bardzo precyzyjnie. Ale kiedy wchodzi się do środka, ściany tuneli są zupełnie inne. Metal wygląda na pośpiesznie przetworzony, prawie jak surowa ruda. Wszędzie widać niedoskonałości.

– To zawsze mnie niepokoiło – rzekł Bingwen. – Zewnątrz było doskonałe, a w środku jest tak, jakby to był zupełnie inny statek. Całkowita sprzeczność. Brzydki metal, brak dbałości o symetrię. Lądowniki, które znalazły się w Chinach, były takie same. Ich czubki wykonano z tego samego wypolerowanego materiału, co poszycie statku, lecz boki wydawały się niedopracowane i sklecone tak, jakby Formidzi nie mieli żadnego poczucia estetyki.

– Właśnie – zgodziła się Wila. – Mniejsze pojazdy Formidów były równie brzydkie, a metal, z którego je zbudowano, równie surowy. W niczym nie przypominał niezniszczalnego poszycia statku zwiadowczego.

– Zupełnie jakby poszycie zostało zbudowane przez kogoś innego – rzekł Bingwen.

Wila skinęła głową.

– Tak. Ty to mówisz nonszalancko, ale to jest właśnie moja teoria.

– Że poszycie zbudował ktoś inny? Nie Formidzi? Kto?

– Pozwól, że trochę się cofnę. Zawsze zakładaliśmy, że poszycie jest skonstruowane tak samo, jak my to robimy, czyli z płyt, dużych metalowych elementów dopasowywanych po kolei do siebie jak układanka i w końcu tworzących kształt statku. Wówczas każda płyta musi być wykonana z matematyczną dokładnością. Ich wymiary nie mogą odbiegać od projektu choćby na setną milimetra. Szerokość, grubość, krzywizna ich powierzchni muszą być doskonałe, bo inaczej płyta nie będzie pasować do sąsiednich i powstanie lawinowy efekt błędów. Na przykład jeśli płyta A jest wykonana niedokładnie, to płyta B będzie odrobinę przesunięta i nie będzie pasować idealnie do płyty C i tak dalej. Zrobiłby się bałagan. Nie zniósłby tego żaden konstruktor.

– To prawda – rzekł Bingwen. – Konstruktorzy dostaliby szau.

– Z daleka formidzki kadłub podobnie sprawia wrażenie doskonale symetrycznego, ale kiedy bardzo, ale to bardzo się zbliżymy do jego powierzchni, zaczynają być widoczne drobne niedoskonałości. Właściwie całe ich tysiące. Niedawno Juke Limited z jakiegoś zupełnie innego powodu po raz pierwszy zastosowało do oględzin powierzchni statku lasery i efekty były zdumiewające. Cała powierzchnia jest leciutko pofałdowana. Jest niedokładna. Nie mogli więc zastosować płyt. Bo gdyby je zastosowali i gdyby płyty miały te wszystkie niedoskonałości, to nie pasowałyby do siebie. Widzielibyśmy ich krawędzie w miejscach niedopasowania. Ale ich nie widzimy. Widzimy tylko te niewielkie, niemal niezauważalne pofałdowania. Prowadzi

mnie to do jedynego możliwego wniosku. Formidzki kadłub to jeden kawałek metalu.

– Jak to możliwe? – zapytał Bingwen. – Jak coś tak dużego mogłoby być jednym kawałkiem metalu? Jak mogłaby go wykuć maszyna?

– Najpierw pomyślałam, że został wykonany w formie pod wysokim ciśnieniem – powiedziała Wila. – Lecz gdyby tak było, to widzielibyśmy przynajmniej jedną spoinę, tę pochodzącą od formy. Ale jej też nie widzimy. A zresztą wytworzenie w przestrzeni kosmicznej wystarczającej ilości ciepła i wystarczająco wysokiego ciśnienia do połączenia takiej masy metalu byłoby niewiarygodnie trudne, zwłaszcza na tak wielką skalę. Ten kadłub jest ogromny.

– To, że kadłub jest pofałdowany i ma niedoskonałości, nie znaczy, że jest zrobiony z jednego kawałka metalu – powiedział Bingwen. – Może to pofałdowanie nie powstało w trakcie budowy. Może pojawiło się później, może to są maleńkie kratery powstałe w wyniku uderzeń mikrometeorytów, kiedy statek zmierzał w stronę naszego Układu Słonecznego z prędkością bliską prędkości światła...

Wila się uśmiechnęła.

– Bardzo słuszna uwaga. Jestem pod wrażeniem. Początkowo też tak myślałam. Ale to się nie zgadza. Po pierwsze, statek wytwarza osłonę, która chroni poszycie przed takimi zderzeniami. Po drugie, inżynierowie z Juke w żaden sposób nie zdołali zrobić podobnego śladu w powierzchni kadłuba, co sugeruje, że nie uszkodziły go żaden mikrometeoryt, nawet poruszający się z dużą prędkością. No i po trzecie: te pofałdowania nie wyglądają jak kratery po zderzeniach. A po czwarte, gdyby to był efekt zderzeń powstałych w wyniku poruszania się z wielką prędkością, to najwięcej uszkodzeń znajdowałoby się na dziobie statku, który jest najbardziej narażony na kontakt z częstkami. Lecz tak nie jest. Niedoskonałości znajdują się nawet na rufie. Co dziwniejsze, rozchodzą się w różnych kierunkach. Na przykład otaczają rozmaite otwory, zakrzywiają się wraz z nimi... Żadną miarą nie

mogą to być uszkodzenia spowodowane zderzeniami.

– A zatem te niedoskonałości powstały podczas budowy – rzekł Bingwen.

– Tak właśnie uważam. Musiało tak być.

– Ale to jest zagadnienie inżynierskie. A ty jesteś biochemikiem. Nie zaproponowano ci pracy tylko dlatego, że odczytałaś dane lepiej niż ktokolwiek inny. Kryje się za tym coś więcej. Uważasz, że wiesz, jak Formidzi tego dokonali, i twoim zdaniem to był proces biochemiczny.

– Co wiesz o teorii królowej roju? – zapytała Wila.

– Niewiele. Wiem, że przeważa pogląd, iż Formidzi mają jedną przywódczynię o telepatycznych zdolnościach. Potrafi dowodzić swoją armią z bezpiecznej odległości, wysyłając polecenia bezpośrednio do umysłów żołnierzy, a oni je wykonują bez wahania. Trochę mi to trąci mistycyzmem, ale potwierdzają to obserwacje dokonane w czasie wojny, więc nie bardzo mogę z tym dyskutować.

Wila uniosła brew.

– Ile ty masz lat? – zapytała.

– Tyle, żeby móc czytać wiadomości w sieciach. Uważasz, że królowa roju była w jakiś sposób zaangażowana w budowę statku?

– Uważam, że królowa roju jest sprawczynią wszystkiego, co się dzieje w formidzkim wszechświecie, i to nie tylko w odniesieniu do jej gatunku, ale także innych. My, ludzie, jesteśmy społeczeństwem mechanicznym. Budujemy maszyny, które wykonują dla nas rozmaite zadania. Maszyny budują nasze statki, nasze śmigacze, nasze domy, nasze piekarniki. Wszędzie dookoła są maszyny. Opieramy na nich łączność, rolnictwo, edukację, wytwarzanie – wszystko.

– Formidzi też je mają – zauważył Bingwen.

– Owszem, ale nie w takim stopniu jak my. Ich społeczeństwo jest głównie biochemiczne. Pomyśl o formidzkich piechociarzach, którzy maszerowali przez Chiny. Nie mieli przy sobie żadnych urządzeń łączności, żadnych aparatów radiowych, żadnych nadajników... Cała komunikacja odbywała się w sposób

biochemiczny. Jak to ująłeś, bezpośrednio między umysłami. Albo pomyśl o ich broni. Rozpylali gazy. To wojna chemiczna. A ich broń serwetkowa to nie lasery. To są żywe organizmy. Ich pociski to materia organiczna. A czy wewnątrz tego statku zwiadowczego mieli maszyny przemieszczające ładunek albo dokonujące napraw? Nie, mieli Formidów, którzy ciągnęli wózki. Według nas to archaiczny system, ale tak funkcjonują Formidzi. Ich pożywienie na statku stanowiły małe stworzenia hodowane w ich ogrodzie. Nazywamy te stworzenia zjadaczami porostów, bo zjadały porosty. Inne, większe stworzenia mieszkające w tym ogrodzie zbierały zjadaczy porostów i wrzucały ich do kadzi, gdzie byli roztapiani w maź, którą jedli Formidzi. Dlaczego te stworzenia to robiły? Czy były udomowione? Czy Formidzi nauczyli je zbierać zjadaczy porostów tak, jak my moglibyśmy nauczyć psa skakać przez obręcz? Chyba nie. One przejawiały pewną inteligencję. Zbieracze musieli wiedzieć, kiedy zabić i przynieść zjadacza porostów. Musieli pozwolić zjadaczom porostów rozwinąć się i osiągnąć dojrzałość...

– Co sugerujesz? – zapytał Bingwen. – Chcesz powiedzieć, że o tym wszystkim decyduje królowa roju? Że wysyła tym stworzeniom rozkazy z taką samą łatwością, jak wysyła rozkazy przedstawicielom własnego gatunku?

– Czemu nie? Jeśli królowa roju umie błyskawicznie porozumiewać się na wielkie odległości, przekazując polecenia bezpośrednio ze swojego umysłu do umysłu któregoś z Formidów, to dlaczego nie mogłaby tego robić w odniesieniu do innych istot? Zwłaszcza tych, które stworzyła dzięki bioinżynierii. Znowu pomyśl o serwetce. Podejrzewamy, że serwetka została stworzona dzięki bioinżynierii akcentującej polimer nadtlenu wodoru, co ma wywoływać takie gwałtowne reakcje. Kto mógłby tego dokonać, jeśli nie królowa roju? A jeśli tak jest i jeśli mechanizm jej porozumiewania się jest biochemiczny, to można założyć, że serwetka słyszy jej głos. Tak może być w wypadku wszystkich jej dzieł. Dała im mechanizm, który pozwala im komunikować się bezpośrednio z jej umysłem.

– Co by wyjaśniało, dlaczego nie potrafi porozumieć się z nami

– rzekł Bingwen. – Bo nas nie stworzyła. Nie wyposażyła nas w biologiczny mechanizm konieczny do nawiązania łączności z jej umysłem.

– Właśnie – zgodziła się Wila. – Tak w każdym razie głosi moja teoria. Wierzę jednak, że w końcu zdołamy się w jakiś sposób z nią porozumieć. A przynajmniej mam taką nadzieję.

– I co to wszystko ma wspólnego z poszyciem kadłuba? – zapytał Bingwen. – Myślisz, że królowa roju stworzyła za pomocą bioinżynierii organizm, który go zbudował?

– Sądzę, że z pewnością istnieje taka możliwość. My uznalibyśmy taki pomysł za absurdalny. Posłużylibyśmy się maszynami. Lecz w społeczeństwie, w którym do wykonywania zadań służą wytwory bioinżynierii, nie jest to założenie aż tak naciągane. I wyjaśniałoby, dlaczego poszycie statku tak się różni od jego wnętrza. Ten organizm został stworzony do zbudowania wyłącznie tego niezniszczalnego poszycia.

– I wyjaśniałoby też niedoskonałości w jego konstrukcji – rzekł Bingwen. – Ten organizm, jak wszystkie organizmy, popełniałby po drodze błędy. Nie działałby z precyzją maszyny.

– Właśnie. Stąd te maleńkie niedoskonałości.

– Ale zaprzeczasz sama sobie – stwierdził Bingwen. – Powiedziałas, że kadłub jest jednym kawałkiem metalu. Jak jeden organizm mógłby skonstruować taki duży kawał metalu? I w ogóle jak jeden organizm mógłby wytworzyć cokolwiek z metalu?

Wila zmarszczyła brwi.

– Nie wiem. Nie potrafię udowodnić żadnego z tych założeń. Dlatego zdziwiłam się, że zaproponowano mi pracę. Ale weź pod uwagę coś takiego: kiedy my drukujemy coś metalowego, używamy laserów do topienia kolejnych mikronowych warstw metalowego proszku na platformie roboczej. Może Formidzi zbudowali stworzenie, które potrafi robić coś podobnego. Musiałoby to być bardzo małe stworzenie, które dodaje do metalu cieniutkie warstwy pyłu albo proszku, powiększając go centymetr po centymetrze, aż powstanie kadłub. Jednak jak to stworzenie miałoby to robić, nie mam pojęcia. Podejrzewam

tylko, że byłby to proces biochemiczny. Przedstawiłam tę teorię firmie Juke Limited, wysłałam im mój doktorat na temat królowej roju i zaraz ktoś zapukał do moich drzwi.

Przez interkom rozległ się głos kapitana:

– Dzień dobry państwu. Za chwilę polecimy na gorąco. Proszę pozostać na swoich miejscach i sprawdzić, czy mają państwo zapięte pasy bezpieczeństwa i uprząż. Dziękuję.

Wila zmarszczyła brwi.

– Polecimy na gorąco? – zapytała Bingwena.

– Do czasu osiągnięcia pewnej wysokości lecimy jak samolot, a potem włączamy rakiety, żeby wyrwać się z ziemskiej studni grawitacyjnej. Dlatego mamy nieduży ładunek i małą kabinę pasażerską. Większość naszej wagi stanowi ogromny zapas paliwa.

– Chyba dobrze, że nie wiedziałam o tym, zanim wystartowaliśmy – powiedziała Wila i wcisnęła się głębiej w fotel, patrząc przed siebie.

– Nic nam nie będzie. Wczoraj dokładnie przestudiowałem schemat statku. To dobrze zaprojektowany pojazd.

– Przestudiowałeś schemat? Jak?

– Wszystko jest w sieciach, Wilu. Trzeba tylko wiedzieć, czego szukać i jak się tam dostać.

Bingwen spojrzał wzdłuż przejścia. Kapitan Li rozmawiał z kilkoma oficerami. Nie wrócił do rzędu Bingwena; pozostał na przodzie i zapiał pasy.

Minutę później włączyły się silniki, prom skoczył do przodu, a Bingwena wcisnęło w fotel. Zobaczył, że Wila z przerażoną miną kurczowo trzyma się podłokietników. Współczuł jej z całego serca, lecz na szczęście przyśpieszenie skończyło się po kilku minutach. Silniki ucichły i Bingwen poczuł, że lekko się unosi w fotelu.

– Chyba opuściliśmy studnię grawitacyjną Ziemi – powiedziała Wila, też wisząc w powietrzu na tyle, na ile pozwalały jej pasy.

Bingwen roześmiał się i poluzował pas bezpieczeństwa, by silniej poczuć lewitację.

– Widzisz? Nie jest tak źle – stwierdził.

Wila się uśmiechnęła.

– Nie, chyba nie. To lepsze od myślenia, że runiemy na Ziemię.

Kapitan Li, przedstawivszy się pozostałym oficerom, rozpiął swój pas, odwrócił się i popłynął w kierunku Bingwena.

– Wraca kapitan – powiedział chłopiec do Wili. – Nie spodoba mu się, że rozmawiamy. Powodzenia.

Spojrzała na niego uważnie i ściszyła głos:

– Potrzebujesz pomocy, Bingwenie? Jesteś tu wbrew swojej woli?

Pytanie zaskoczyło go i Bingwen się zawahał, ale po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Nie, Wilu, ale dziękuję.

Kapitan Li wcisnął się do fotela obok Bingwena i zajął się swoją nakładką na nadgarstek, nieświadomy, że Bingwen z kimś rozmawiał. Chłopiec patrzył przed siebie i milczał. Chciał zadać Wili jeszcze sto pytań, ale okno możliwości już się zamknęło. Czy ona ma rację? Czy Formidzi zbudowali stworzenia, które konstruują dla nich statki? Czy w Juke Limited wiedzą coś, co uzasadnia to przekonanie, i dlatego tak szybko ją zatrudnili? A może zarzucają sieć i wyławiają wszelkie teorie, nawet dziwaczne czy kontrowersyjne? I czy to prawda, że królowa roju potrafi przekazywać swoją wolę innym stworzeniom z taką siłą, że te inne stworzenia natychmiast ją wykonują? Jeśli tak, to nagle wydała się Bingwenowi o wiele bardziej przerażająca, niż ją sobie wyobrażał.

A potem przyszła mu do głowy inna myśl. A jeśli nie istnieje żadna królowa roju? A jeśli Formidzi nie różnią się od zjadaczy porostów, serwetek czy innych stworzeń, które wykonują niewidzialne rozkazy? Może oni wszyscy są niewolnikami innego, silniejszego stworzenia, które do zdobywania światów wykorzystuje ich zwierzęcą siłę?

Czy tym jestem? – zadał sobie pytanie Bingwen. Organizmem zbudowanym w jakimś celu? Może nie powstałem w wyniku jakiegoś bioinżynieryjnego procesu w celu wykonania mojego zadania, ale zostałem uformowany i udoskonalony w podobny sposób. Może ludzie i Formidzi są do siebie bardziej podobni, niż

chcemy to przyznać.

Z głośników rozległ się głos pilota: – Panie i panowie, prosimy o chwilę cierpliwości. Mamy drobne kłopoty z ustaleniem współrzędnych dokowania.

Bingwen zerknął na Li, który podniósł wzrok znad tabletu. Miał zaniepokojoną minę.

– Czy to coś złego? – zapytała Wila.

Bingwen znowu zerknął na Li, jakby pytał, czy może odpowiedzieć. Li skinął głową.

– Promem kieruje komputer – zaczął Bingwen. – Ten komputer prowadzi nas do doku w jednym z punktów Lagrange’a, gdzie wszyscy przesiądziemy się na o wiele większy i przestronniejszy prom księżycowy, którym polecimy na Lunę. Lecz wszystko jest w stałym ruchu. Musimy więc dokładnie skoordynować nasze podejście, biorąc pod uwagę dane orbitalne promu i jego prędkość oraz orbitę i prędkość doku. Gdybyśmy popełnili jakiś błąd, moglibyśmy rozminąć się z dokiem, co wywołałoby rozmaite problemy. Kiedy zatem pilot mówi, że mamy kłopoty z ustaleniem współrzędnych, to prawdopodobnie ma na myśli to, że chodzi o kwadrację.

– Kwadrację? – zapytała Wila.

– Skrót od kwadrangulacji.

– To mi nic nie wyjaśnia.

– Na Ziemi można się zlokalizować za pomocą triangulacji – rzekł Bingwen. – Aby znaleźć swoją dokładną pozycję na powierzchni, potrzeba trzech punktów odniesienia. W przestrzeni trójwymiarowej potrzebne są cztery punkty. Stąd kwadrangulacja. Ale nie wymawia się tego dobrze, więc piloci skracają to do „kwadracji”. Albo „kwacji”, jeśli im się śpieszy.

– Więc jeśli nie możemy kwacić, to co to znaczy? Że utknęliśmy? – zapytała Wila.

– Znaczy to, że lecimy na ślepo – wyjaśnił Bingwen. – Statek nie może obliczyć wymaganych kierunku i prędkości.

Z kokpitu wyszedł kapitan i zaczął rozmawiać z jednym z oficerów, którego Bingwen uznał za najwyższego rangą członka MF na pokładzie, jakby prosił go o radę co do dalszego

postępowania.

– Zostań tu – powiedział Li.

Rozpiął uprząż i chwytając się foteli w zerowej grawitacji, przemieścił się do przodu. Bingwen usiłował usłyszeć, o czym mówią wojskowi, lecz wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami. Po chwili Li obejrzał się na Bingwena i przywołał go ruchem ręki.

– Chodź tu, Bingwenie.

Chłopiec rozpiął uprząż i podpłynął do grupy. Wszyscy mężczyźni zgromadzili się w przejściu. Wśród nich znajdowało się kilku wyższych oficerów. Patrzyli na Bingwena ze zdumieniem, jakby zaskoczeni obecnością dziecka na pokładzie.

– Proszę wyjaśnić Bingwenowi to, co właśnie wyjaśnił pan mnie – powiedział Li do kapitana.

Kapitan się zawahał.

– Po co?

– Bo nikt łącznie z panem nie wie, jak rozwiązać ten problem, a możliwe, że on sobie z tym poradzi – rzekł Li.

– Temu nie może zaradzić chłopiec – stwierdził kapitan.

– Zna pan tego młodzieńca? – zapytał kapitan Li, pokazując na Bingwena.

– Nie, ale...

– Czy zna pan jego możliwości?

– To jest złożona sprawa.

– A to jest chiński statek – powiedział Li – a ja jestem pułkownikiem Międzynarodowej Floty i wydaję panu rozkaz. Nie obchodzi mnie, czy jest pan kapitanem tego statku, czy nie. Ten młody Chińczyk ma spośród tu obecnych najlepsze kwalifikacje do rozwiązania tego problemu. Proszę mu wszystko powiedzieć.

Kapitan wyglądał na urażonego, ale posłuchał.

– Dobrze. Jak mówiłem, mamy usterkę połączenia z systemem kwadrangulacji.

– Chodzi o wysyłanie czy odbiór? – zapytał Bingwen.

– Co on ma na myśli? – zapytał jeden z oficerów. – Wysyłanie czy odbiór czego?

– Jeśli przerywa im pan po to, żeby odpowiadali na pańskie głupie pytania, to opóźnia pan rozwiązanie problemu – skarcił go Li. – Pańska ciekawość jest mniej ważna od naszego dotarcia do punktu przeznaczenia, proszę się więc zamknąć.

Oficer mruknął coś pod nosem i wycofał się na swój fotel.

– Odbiór – powiedział kapitan. – Wygląda na to, że wszystkie nadajniki pracują prawidłowo.

Bingwen wiedział, że aby zadziałał system kwadrowania, prom musi uzyskać cztery punkty odniesienia. Nadawał się do tego każdy pobliski obiekt znajdujący się na swojej właściwej pozycji orbitalnej, jeśli tylko mógł odesłać sygnał promowi i potwierdzić swoją pozycję w stosunku do niego.

– Jeśli problemem jest odbiór, to może chodzić o punkt odniesienia. Próbował pan kilka obiektów?

Pilot był zaskoczony tym pytaniem.

– No tak. To było pierwsze, co zrobiliśmy. Spróbowaliśmy skontaktować się z czterema obiektami. Żaden nie odpowiedział.

– A zatem jest to jedno z dwojga – stwierdził Bingwen. – Albo nadajnik jest źle ukierunkowany, albo jest ukierunkowany dobrze, tylko jeden z naszych talerzy jest źle ustawiony i nie odbiera sygnału zwrotnego. Cała awionika w kokpicie jest sprawna?

– Na to wygląda.

– Czy przed startem skalibrował pan na nowo wszystkie cztery stacje? – zapytał Bingwen.

Pilot się zawahał.

– No...

– Miał pan je skalibrować na nowo? – wtrącił się Li.

– Proszę posłuchać, mam piętnaście lat doświadczenia w lataniu tą klasą promów i umiem...

– Nie obchodzi mnie, czy lata pan od czasów dinozaurów – przerwał mu Li, po czym zwrócił się do Bingwena: – Czy miał skalibrować stacje na nowo przed startem? Tak czy nie?

– To jest na liście kontrolnej, więc tak – odparł Bingwen.

– Podczas ostatniego lotu wszystkie cztery stacje działały prawidłowo – powiedział pilot.

– To nie jest ostatni lot – rzekł Li. – To jest ten lot. Co zrobimy?
– zapytał Bingwena.

– Która ze stacji nie działa? Z przodu czy z tyłu? Lewa czy prawa? – zapytał pilota Bingwen.

– Z tyłu. Po lewej. Ale, posłuchaj, można się do nich dostać tylko z zewnątrz. Ten prom nie ma sprzętu do spacerów w kosmosie.

– Jeśli jest się tak drobnym jak ja, można manipulować nimi od wewnątrz – powiedział Bingwen. – Musimy tylko usunąć kilka płyt. Ma pan jakieś narzędzia? Wkrętak? Klucz nasadowy? I będziemy też potrzebować kalibratora.

Pilot się zawahał.

– Jest pan głuchy? – zapytał Li. – Proszę przynieść chłopcu potrzebne mu narzędzia.

Pilot się ruszył. Pogrzebał w podręcznym schowku i znalazł to, czego potrzebował Bingwen. Następnie razem z nim i Li przesunęli się do tylnego lewego zakątka statku. Bingwen ustalił, co mają usunąć – półkę, schowek, okładzinę ścienną. Kiedy już znaleźli odpowiednie śruby, wszystko dało się łatwo zdjąć. Bingwen wyjął mały laser i zaczął przecinać ścianę.

– Co robisz?! – zawołał pilot z paniką w głosie. – Nie możesz tego przecinać!

Pułkownik Li odepchnął go siłą.

– On wie, co robi.

– Wszystko w porządku – powiedział Bingwen, wycinając duży kwadrat. – To nie jest kadłub, tylko izolacja.

Odgiał okładzinę, uważając, by nie skaleczyć się o jej poszarpane krawędzie, a następnie sięgnął do środka i zaczął wyciągać izolację.

– Może się tu zrobić trochę zimniej.

Reszta pasażerów zebrała się dookoła i obserwowała jego poczynania. Bingwen rozciął duży kanał kablowy, odsłaniając wiązkę kilkuset przewodów. Chwycił je i wyciągnął tak daleko, jak się dało, starając się żadnego nie przerwać. Przyjrzał się im, znalazł ten, którego potrzebował, i przeciął go.

– Co robisz? – zapytał pilot. – Nie możesz tego przecinać!

– Potrzebujemy przewodu – odparł Bingwen. – A ten zasila

oświetlenie w toalecie. Chyba możemy obyć się bez niego.

Zrobił dużo dalej w kanale kablowym kolejny otwór, przeciął ten sam przewód i wyciągnął trzy metry kabla. Jego koniec podał pilotowi.

– Proszę odsłonić końcówkę i podłączyć ją do kalibratora. Wyjmę skrzynkę stacji i najpierw sprawdzę nadajnik. Pan mi powie, czy jest skalibrowany.

W zestawie narzędziowym znajdowała się czołówka. Była przeznaczona dla dorosłego, więc zanim Bingwen ją włożył, zawiązał na opasce węzeł. Następnie schował do kieszeni kilka narzędzi, zawiązał drugi koniec przewodu wokół palca i wszedł do otworu w izolacji.

Było tak ciasno, że Bingwen właściwie nie mógł odwrócić głowy, ale gdyby nie stan nieważkości, obsunąłby się w przestrzeni między dwiema ścianami. Otaczający go metal był lodowaty, ale Bingwen wędrował powoli ku tylnej ścianie skrzynki stacji, w której, jak się okazało, znajdowały się cztery śruby. Lecz wkrętak okazał się za długi, żeby manewrować nim w ciasnej przestrzeni prostopadle do łebka śruby. Bingwen wyjął więc laser i znacznie skrócił plastikową rękojeść wkrętaka.

– Czuję swąd spalenizny – powiedział pilot.

– To ja – rzekł Bingwen. – Wszystko w porządku.

Podmuchał na kikut rękojeści, żeby ostygł i stwardniał, potem odkręcił śruby na tyle, na ile pozwalało mu miejsce, a następnie posłużył się palcami. Na szczęście najtrudniejsze okazało się odkręcenie śrub. Kiedy Bingwen zdjął obudowę, do nadajnika dostał się stosunkowo łatwo. Zębami i paznokciami zdjął izolację z końca przewodu, który wziął ze sobą, a następnie podłączył go do nadajnika.

– Proszę zrobić test – powiedział.

– W porządku, jest skalibrowany – odezwał się po chwili ciszy pilot.

Co oznaczało, że problem jest z talerzem. Była to zarazem dobra i zła wiadomość. Dobra, ponieważ talerz było łatwiej naprawić, ale zła, ponieważ dostęp do niego był trudniejszy. Bingwen musiał bardzo delikatnie usuwać za pomocą lasera

fragmenty ściany, by zrobić sobie miejsce na rękę i cienkie szczypce igłowe. Doprowadził przewód do talerza, ale podłączenie go zajęło mu dwadzieścia minut, ponieważ w ciasnocie musiał używać narzędzi z przedłużeniem. Przypominało to przeprowadzanie operacji chirurgicznej za pomocą marionetki. W końcu jednak umocował przewód.

– Proszę spróbować teraz! – zawołał.

Po chwili pilot powiedział:

– Kalibracja jest zła. Trzeba obrócić talerz o czternaście stopni.

– Proszę powiedzieć, kiedy mam przestać.

Bingwen wsunął szczypce do wąskiego tunelu i zaczął obracać talerz.

– Już! – krzyknął pilot. – Tak jest dobrze.

– Proszę mi podać kalibrator – polecił Bingwen. – Musimy utrzymać stałe połączenie, a talerz nie potrafi śledzić punktu odniesienia. Będę musiał to robić ręcznie.

– Ręcznie? W jaki sposób?

– Będę obserwował kalibrator i obracał talerz w trakcie lotu, żeby nie zgubić ustawienia.

– Czeka nas jeszcze ponad dzień lotu – rzekł pilot. – Nie możesz zostać wewnątrz ściany. Zamarzniesz na śmierć.

– Biegnie tu przewód grzewczy – odparł chłopiec. – Już wyciąłem w nim otwór, by wpuścić tu nieco powietrza. Będę jednak potrzebował jedzenia i butelki na mocz. Wiem, że to nic przyjemnego, ale to konieczne.

Podano mu to, czego potrzebował. Wila zaproponowała, że usiądzie przy otworze w ścianie i będzie go bawić rozmową, za co był jej wdzięczny. Słuchał opisu jej wychowania w Tajlandii. Nie widział twarzy Wili, lecz spokojna słodycz jej głosu pomogła mu zapomnieć o niewygodzie. Stwierdził, że to dobra dusza. Zadawała mu mnóstwo pytań, ale Bingwen unikał wszelkich wojskowych tematów, jako że wiedział, że prawdopodobnie podsłuchuje ich Li. Opowiadał jej za to o swojej rodzinie, a ona chłoneła każde jego słowo. Kiedy nadeszła pora snu, nalegał, by odpoczęła, a kiedy odmówiła, chcąc ulżyć jego niewygodzie, stwierdził, że wiedząc, że przez niego Wila nie śpi, będzie czuł się

jeszcze gorzej. Po wielu protestach w końcu uległa i poszła spać. Długie godziny ciszy, które nastąpiły potem, były najtrudniejsze z całej podróży. Bingwena bolały wszystkie mięśnie. Zesztywniała szyja sprawiała straszliwy ból, a w ciemnej, zimnej przestrzeni trudno było myśleć o czymś innym.

Kiedy dotarli do doku i prom zacumował, Bingwen w końcu wypełzł zza ściany. Szyję miał tak sztywną, że nie mógł nią kręcić. Pilot już wcześniej wysłał wiadomość i na chłopca czekał lekarz, który dał mu preparat na rozluźnienie mięśni i posłał w dalszą drogę. Bingwen znalazł Wilę przy bramce. Czekala na niego.

– Obolały? – zapytała.

Powoli rozmasowywał sztywne części ciała.

– Ani trochę. Od tej pory zawsze będę zabiegać o miejsce między ścianami. Pierwsza klasa nawet się do tego nie umywa.

Wila złożyła dłonie i się ukloniła.

– Żegnaj, Bingwenie. Oddaję cześć temu, co w tobie boskie. Pokój i szczęście na twojej ścieżce.

– I tobie na twojej – odparł. – Może kiedyś nasze ścieżki znowu się przetną.

– Mam taką nadzieję.

Kapitan Li już na niego czekał ze zniecierpliwioną miną. Ich prom na Lunę był gotów do startu. Wila miała polecieć do Pierścieni innym. Bingwen skłonił się, a potem ostatecznie pożegnał Tajkę skinieniem głowy i odbił się w stronę Li, który chwycił się liny holowniczej biegnącej wzdłuż ściany i pomagającej ludziom nieprzyzwyczajonym do zerowej grawitacji w dostaniu się do właściwej bramki.

Prom księżycowy był ogromny. Bingwen i Li dostali własną kabinę ze śpiworami. Bingwen zapiął się w swoim i nareszcie poczuł się wygodnie. Był wyczerpany, a środek na rozluźnienie mięśni przyprowadzał go o senność.

– Jednym z pasażerów na promie z Ziemi był podpułkownik z Dowództwa Sił Specjalnych w DoCent – odezwał się Li z uśmiechem. – Kiedy znajdowałeś się w ścianie, odbyliśmy długą rozmowę. Zaimponowałeś mu. Teraz z wielkim entuzjazmem

popiera naszą inicjatywę. Dobra robota.

W jednej chwili wszystko nabrało sensu. Bingwenowi zrobiło się głupio, że nie dostrzegł tego przedtem.

– Uszkodził pan talerz przed lotem. To pan to wszystko ukartował.

Li się uśmiechnął.

– Prześpij się, Bingwenie. Zasłużyłeś na to.

Rozdział 12

STATYSTYKA

Do: niebrzytwaockhama@anonim.net

Od: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Temat: Pancerz

Stary Żołnierzu

Załączam trójwymiarowy model egzozszkieletowego pancerza na mój górniczy skafander. Obawiam się, że powietrze pod skorupą otaczającą asteroidę może być łatwopalne, więc nie wybieram się tam bez grubej osłony przeciwogniowej. W miejscach połączeń jest mnóstwo zintegrowanych elementów dających elastyczność i oparcie. Powierzchnię skały stanowi głównie lód, stąd wysuwane raki w podeszwach butów. To samo w rękawicy, która obejmuje rękę od łokcia do dłoni. Raki na zewnętrznej krawędzi dłoni także się wysuwają. Zamierzam wydrukować i zahartować części pancerza tutaj, na statku. Materiał to stop oparty na niklu i chromie, dobrze znoszący bardzo wysoką temperaturę i ciśnienie. Po podgrzaniu tworzy grubą pasywną warstwę tlenku, chroniącą go przed dalszymi atakami. Gdyby zapaliło się powietrze, to bez pasywacji zostałbym rozerwany na kawałki i ugotowany żywcem. Tak że nie pójdę bez tej dodatkowej warstwy ochronnej.

Jak zwykle będę wdzięczny za wszelkie uwagi,

Vico

Victor znajdował się w ładowni i za pomocą spawarki przymocowywał do szybkoatku grube płyty, które Magoosa, przysiadłszy obok niego na wierzchu konstrukcji, przytrzymywał

w odpowiednim miejscu szczypcami o długich rękojeściach. Oprócz przyłbic spawalniczych obaj mieli na sobie górnicze skafandry, które chroniły ich przed wysoką temperaturą.

– Gotowy? – zapytał Victor.

– Gotowy – odparł Magoosa.

Victor powoli przeciągnął palnikiem po krawędzi płyty, topiąc ją i przyciskając do płyty znajdującej się poniżej, by powstał spaw. Metal przez chwilę jarzył się na pomarańczowo, po czym ostygł, uwalniając cienkie smużki dymu, które natychmiast prawie całkowicie wsysał oczyszczacz powietrza ustawiony w pobliżu przez Victora. Oczyszczacz nie wychwytywał jednak wszystkiego i gryzący zapach gorącego metalu pozostawiał w ustach Victora dymny posmak, od którego robiło mu się trochę niedobrze.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, odchylając się do tyłu, by przyjrzeć się swojemu dziełu. Głowę i plecy miał mokre od potu.

– Porządna robota – orzekł Magoosa. – Jednak cię nie zwolnię.

Victor się uśmiechnął. Magoosa dobrze się sprawił – najpierw zebrał zapasowe żelazo na płyty osłony, a potem zaprojektował kokpit szybkostatku. Początkowo projekt przewidywał jednego pasażera, ale Imala i Polemarcha odrzucili ten pomysł. To było zadanie dla dwóch osób. Z Victorem leciała Imala. Takie były rozkazy Polemarchy.

Victor cofnął się o krok i uniósł przyłbicę, żeby lepiej się przyjrzeć. Szybkostatek nie był tak idealny, jak by sobie tego życzył, ale nie było to konieczne. Lot będzie krótki i jeśli tylko polecą prosto i zapewni jemu oraz Imali ciepło i powietrze, Victor mógł wybaczyć Magoosie niedociągnięcia.

– Jesteśmy w odległości trzystu klików – powiedziała Imala, wpływając do ładowni i zatrzymując się obok nich. – Kiedy skończycie?

– Jeszcze kilka płyt i będziemy gotowi, pani kapitan – rzekł Magoosa.

Imala się skrzywiła.

– Proszę cię, nie nazywaj mnie tak.

– Jesteś kapitanem – stwierdził Goos. – Przynajmniej na razie.

Imala miała niepewną minę.

– Nazywaj mnie po prostu Imalą, dobrze?

Victor wsunął palnik do futerału i zwrócił się do niej:

– Goos ma rację, Imalo. Chociaż może ci się nie podobać oficjalność tego wszystkiego, ważne, by wszyscy pamiętali, że teraz ty tu rządysz. Nie jesteś członkinią załogi Imalą. Jesteś kapitanem. Wszyscy musimy to szanować, bo inaczej pojawią się problemy. Teraz to jest misja wojskowa.

– Arjuna nie kazał wszystkim tytułować się kapitanem – zauważyła Imala.

– Bo jego pozycja jako taka nigdy nie ulegała kwestii – rzekł Victor. – Ani nie podlegał wyższej instancji wojskowej.

Imala ze złością pokręciła głową.

– To idiotyczne. Mam o wiele mniej kwalifikacji od Arjuna.

– Postępowanie zgodne z rozkazami Międzynarodowej Floty jest najlepsze dla wszystkich – powiedział Victor. – Jej dowódcy kazały nam robić to, co i tak zamierzaliśmy zrobić, co pozwala im mieć wrażenie, że ty rządzą. A my dostajemy przyzwoite wynagrodzenie. Arjuna się na to zgadza. Myślę, że to rozwiązanie sprawiło mu niejaką ulgę. To, że MF mianowała cię kapitanem, stawia go w lepszej sytuacji wobec załogi. Gdyby MF wydawała rozkazy jemu, osłabiłoby to jego pozycję, zwłaszcza wśród mężczyzn. Widzieliby go w roli służebnej, a przecież zawsze był ich absolutnym przywódcą. Teraz nie straci ani odrobiny wiarygodności, ponieważ wszystkie rozkazy otrzymujesz ty. Arjuna zachowuje silną pozycję, a jeśli coś pójdzie źle, wina nie spadnie na niego.

– Świetnie – powiedziała Imala. – A więc całą winę wezmę na siebie ja.

– Tak. Ale co cię to obchodzi? To nie twoja załoga. A przynajmniej nie na długo. Arjuna odzyska dowodzenie. To dlatego ci odmówił, kiedy się upierałaś, żeby nadal był kapitanem.

Po rozmowie z Polemarchą Imala odciągnęła Arjunę na stronę i usiłowała prywatnie przekonać go, by mimo rozkazów MF zachował swoje stanowisko. Arjuna się na to nie zgodził.

Niektórym z Somalijszyków się to nie podobało. Koncepcja przyjmowania rozkazów od kobiety naruszała tradycję. Mogli tolerować Renę jako zastępcę dowódcy, ale kobiety jako kapitana nigdy. Te kilka słów na osobności od Arjuna zamknęło im usta i od tego czasu problem przestał istnieć.

– Flota znajduje się w trudnej sytuacji – powiedział Victor. – Musi jakoś zareagować na tę asteroidę, a ma do dyspozycji tylko nas. Jestem pewien, że oni też woliliby, żeby okoliczności były inne.

Imała chyba chciała jeszcze protestować, ale do ładowni wpłynęła zaniepokojona Edimar.

– Możemy mieć poważny problem.

Poprowadziła ich do stołu, gdzie zamocowała swój tablet i wyciągnęła jego cztery anteny, tworząc małe holopole. Magoosa też się zbliżył, żeby popatrzeć. Za pomocą rysiku Edimar wywołała holo Układu Słonecznego widzianego z dalekiego kosmosu. Wysoko z lewej strony nad układem narysowała nieduże kółko.

– Tu mniej więcej znajduje się flota Formidów.

Następnie nakreśliła kółko na obrzeżu Układu Słonecznego jak najbliższej tej floty.

– A tu znajdował się Kopernik.

Trzecie kółko pojawiło się w Pasie Kuipera, daleko na prawo od Kopernika, mniej więcej w jednej ósmej ekliptyki.

– A tu jest 2030CT.

Narysowała linię od formidzkiej floty do asteroidy.

– Gdyby formidzki ministatek, zakotwiczony do tej asteroidy, przybył bezpośrednio od wrogiej floty, pokonałby taką drogę. Wtedy, ze względu na odległość, musiałby odbyć ten lot przed zniszczeniem Kopernika. Zatem Formidzi weszli w pole widzenia satelity, ale on ich nie zauważył. MF udaje wielkie zaskoczenie, ale niepotrzebnie. Tak naprawdę Kopernik nadawał się do wykrywania dużych obiektów. Cały czas mijają go setki mniejszych, może tysiące. Ja to wiem. Wyśledziłam ich mnóstwo, a Kopernik nawet nie wiedział o ich istnieniu. Więc od chwili, kiedy odkryliśmy osłonę wokół tej asteroidy, zastanawiałam się,

dlaczego 2030CT. Dlaczego Formidzi mieliby wybrać tę skałę spośród miliardów innych? – Machnęła ręką w stronę linii, którą narysowała od floty do asteroidy. – Spójrzcie na tę odległość. Dlaczego formidzki statek miałby przebyć całą tę przestrzeń i minąć miliardy innych skał, by zakotwiczyć na 2030CT? W tej asteroidzie nie ma nic nadzwyczajnego. Nudna wielkość, nudna orbita i z tego, co wiadomo, nudny skład. Sondy górnicze przewidują żelazo, nikiel i trochę metali szlachetnych. To przeciętny kawał skały i lodu. Nie ma w niej nic wyjątkowego.

– Więc po co ona Formidom? – zapytała Imala.

– Myślimy o niej w niewłaściwy sposób, ponieważ bierzemy pod uwagę tylko to, co wiemy – odparła Edimar. – Patrzymy na drzewo, a powinniśmy patrzeć na las. Weźmy pod uwagę ten formidzki ministatek zacumowany do 2030CT. Pomyślmy o jego locie. Widzimy w wyobraźni, jak oddala się samotnie od floty, by przebyć miliardy klików w otwartej przestrzeni kosmicznej i dotrzeć do tej pozornie nic nieznaczącej asteroidy. I zadajemy sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego Formidzi zwrócili uwagę na pozbawioną znaczenia asteroidę w pozbawionym znaczenia sektorze przestrzeni z dala od utartych szlaków? W tych kategoriach to rzeczywiście dziwne. Ale jeśli ten sektor Pasa Kuipera wcale nie skupił na sobie specjalnej uwagi Formidów? Jeśli wszystkim sektorom Formidzi poświęcali podobną uwagę? Może oni wcale nie wybrali tylko tego sektora. Może wybrali je wszystkie.

Victor i Imala wymienili spojrzenia.

– Każdy statek górniczy ma obserwatora jak ja – ciągnęła Edimar. – A obserwatorzy mają swoje fora w sieciach. Wszyscy patrzymy na gwiazdne mapy i sporządzamy notatki na temat nowych obiektów oraz ewentualnych możliwości zderzeń. Śledzimy także ruchy znanych piratów i informujemy się wzajemnie o anomaliach. Wszystkie te dane umieszczamy w prowadzonej przez nas otwartej bazie. Wszędzie wokół nas odbywa się ruch i jeśli nie patrzymy w odpowiednią stronę, możemy go nie zauważyć. Jest po prostu zbyt dużo otwartej przestrzeni do obserwowania, a zbyt mało nas. Poprosiłam więc

wszystkich znanych mi obserwatorów, żeby przejrzeeli swoje zapisy. Do śledzenia ruchu wszyscy posługujemy się Okiem, ale Oko to tylko komputer. Widzi jedynie to, czego każemy mu szukać, i powiadamia nas tylko wtedy, gdy znajduje obiekt spełniający wskazane przez nas kryteria. Większość obserwatorów dookreśla te parametry precyzyjnie, bo inaczej otrzymywalibyśmy powiadomienia nieustannie, i to głównie o obiektach niestwarzających żadnego zagrożenia. Każemy więc Oku powiadamiać nas, jeśli obiekty pojawiają się w odległości na przykład do pół miliona klików od nas, a wszystkie inne pomijać. To oznacza, że każdy obserwator działa w niewielkiej bańce. Nie patrzymy na ogrom otaczającej nas przestrzeni i nie przetwarzamy wszystkiego. Patrzymy tylko na przestrzeń, która dotyczy nas i naszej rodziny. Na najbliższe sąsiedztwo.

– Stąd ta baza danych – powiedziała Imala. – Żebyście mogli się dzielić tym, co widzicie.

– Tak. Lecz ta baza nie stanowi pełnego zbioru, ponieważ obejmuje obiekty, które spełniają nasze zbiorowe warunki. Poprosiłam więc wszystkich obserwatorów, żeby sięgnęli do swoich zapisów do pół roku wstecz i poszukali ruchu według nowych parametrów. Po pierwsze: czy ich Oko wykryło jakieś obiekty przybywające z otwartej przestrzeni kosmicznej znad płaszczyzny ekliptyki? I po drugie: czy trajektoria któregośkolwiek z tych obiektów mogłaby się przeciąć z jakąś asteroidą? Zasadniczo chciałam się dowiedzieć, czy na skałach zaparkowały jakieś inne formidzkie statki. Dziś rano miałam kilkadziesiąt odpowiedzi.

Edimar przeciągnęła ręką przez holopole i w Układzie Słonecznym pojawiło się kilkadziesiąt czerwonych kropek. Prawie wszystkie znajdowały się od strony formidzkiej floty. Większość była w Pasie Kuipera, lecz kilka widniało też w pasie asteroid.

– To są tylko najświeższe odpowiedzi – zaznaczyła Edimar. – Większość pochodzi od dużych klanów z dużymi statkami, które mają mocne Oka i mocne nadajniki laselinii, czyli mogą dość szybko wymieniać wiadomości. Mam też kilka odpowiedzi

od małych statków, jak nasz, ale one wszystkie przebywają w Pasie Kuipera w odległości nie większej niż osiem miesięcy od nas, więc stosunkowo blisko. Podejrzewam, że za jakiś czas dostanę więcej informacji od mniejszych statków. W tej chwili ważne jest to, jak szybko przychodzą te wiadomości. Przez ostatnie pół roku wiele statków wykryło jakąś anomalię. I pamiętajcie, że to są tylko te anomalie, które zostały zauważone. Obiekty, których nikt nie widział albo które uniknęły wykrycia, oczywiście tu nie figurują.

– A zatem te kropki, chociaż sprawiają wrażenie licznych, mogą przedstawiać obraz dalece nieodpowiadający rzeczywistości – powiedziała Imala, pokazując na holopole.

Edimar skinęła głową.

– Uruchomiłam algorytm statystyczny. Niektóre liczby musiałam uzupełnić, bo nie dysponuję wszystkimi zmiennymi. W tym momencie to są tylko domysły, lecz zaskoczą was nawet moje ostrożne szacunki. Załóżmy, że tylko trzydzieści procent tych zidentyfikowanych anomalii to formidzkie statki. Chociaż moim zdaniem to o wiele za mało, zważywszy, że wszystkie te obiekty zmierzały w stronę asteroid, ale gwooli dyskusji zostawmy to, jak jest. Załóżmy także, że Formidzi wysłali statki do wszystkich sektorów po tej stronie Układu. Biorąc pod uwagę tutejsze rozłożenie znanych anomalii, sądzę, że jest to uzasadnione przypuszczenie. Załóżmy też, że Formidzi wysłali do każdego sektora taką samą liczbę statków. – Pokazała na skupisko asteroid w Pasie Kuipera. – Najwyższą liczbę anomalii zauważono w tym sektorze. Pięć. Przyjmijmy więc, że tyle jest zauważonych anomalii na sektor. Pięć. Załóżmy też, że te znane anomalie reprezentują tylko jedną piątą stanu faktycznego. Wiem, że to duże zaokrąglenie, ale zważywszy, że Kopernik nie wykrył statku, który go zaatakował, nie jest to chyba liczba zawyżona. W gruncie rzeczy jest prawdopodobnie wyższa. Prawdopodobnie wszystkie anomalie zauważyliśmy dzięki szczęśliwemu trafowi.

Imala machnęła ręką w stronę holopola.

– To o ilu formidzkich statkach mówimy?

Edimar przeciągnęła ręką przez holopole i ich strona Układu Słonecznego wypełniła się czerwonymi kropkami.

– O ponad tysiącu pięciuset.

Pozostała trójka wpatrywała się w holopole z niedowierzaniem. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Nie może ich być aż tyle – odezwała się w końcu Imala.

– To nie jest jeszcze najgorsze – powiedziała Edimar. – Potem zwróciłam się jeszcze raz do obserwatorów i poprosiłam, żeby po raz ostatni poszukali w zapisach ich Ok anomalii, które przybyły z dalekiego kosmosu i których trajektorie przecięły się z asteroidami, lecz które przybyły nie znad ekliptyki, lecz spod niej.

– Spod ekliptyki? – zapytała Imala. – Ale flota jest w górze.

– I jaki był wynik? – spytał Victor.

– Podali mi liczby, ja uruchomiłam mój algorytm. I stało się to.

Edimar stuknęła w Układ Słoneczny. Pojawiło się w nim drugie tyle czerwonych kropek.

– Z dołu przybyło z grubsza tyle samo obiektów, ile z góry. Na asteroidach w naszym Układzie Słonecznym siedzą trzy tysiące formidzkich statków. W tej chwili.

Zapadła długa cisza.

– Ale to są domysły – odezwał się Magoosa. – Ty po prostu wymyślasz liczby.

Victor był tak skupiony na hologramie, a Magoosa zachowywał się tak cicho, że zupełnie zapomniał o jego obecności.

– To nie są domysły, Gooso. To statystyka. Pojawienie się w Układzie kilku obiektów i zderzenie się ich z asteroidą stanowiłoby zdumiewający zbieg okoliczności. Lecz pojawienie się w Układzie dziesiątek obiektów i zderzenie się ich z asteroidami to inwazja.

– Ale także spod płaszczyzny ekliptyki? – zapytała Imala. – Mówisz, że ich flota przybywa z dwóch kierunków?

– Ich flota już się podzieliła – odparła Edimar. – Podzieliła się dawno temu. Przybywa znad i spod ekliptyki. Jestem tego pewna na sto procent. Pamiętasz tę linię? – Pokazała rysikiem na narysowaną przez siebie linię, prowadzącą od floty do asteroidy.

– Założyliśmy, że ten formidzki statek przybył stąd, gdzie według naszych wyobrażeń znajduje się flota. Ale ten statek nie przybył z tego kierunku. – Wymazała linię. – Zmieniłam parametry dla naszego Oka i kazałam mu szukać. Ten formidzki statek, który zaparkował na 2030CT, przybył spod ekliptyki.

Rozdział 13

LUNA

Do: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Od: niebrzytwaockhama@anonim.net

Temat: Dot: Pancierz

Victorze

Twój projekt pancierza jest dobry. Pamiętaj jednak, że Formidzi to kopacze tuneli. Podczas inwazji nie wybudowali żadnych siedlisk naziemnych, za to wykopali ogromny system tuneli pod lądownikami. Myślę, że to jest zachowanie specyficzne dla ich gatunku. Prawdopodobnie robią to samo na asteroidach.

Jeśli tak jest, to mamy kłopot. Takiej pozycji obronnej prawie nie można zająć. Tunele będą dopasowane do ich rozmiarów i ich sposobu poruszania się, a nie naszych. Formidzi będą znać ich rozkład – łącznie z ciasnymi zakrętami, ślepyimi uliczkami i zasadzkami – a my nie. Poza tym oni widzą w ciemności i mają wspólny umysł. My nie.

No i pył. Jeśli kopią tunele w asteroidzie wewnątrz zamkniętego środowiska, to wytwarzają dużo pyłu, który nie ma gdzie się podziać. Kiedy my kopujemy, nasz pył rozprasza się w przestrzeni kosmicznej, ale oni się od niej odgradzili. Tak więc w powietrzu może się unosić toksyczna ilość pyłu. Może być trudno oddychać. Będzie zła widoczność. Pył może zatkać nasz sprzęt albo uczynić go bezużytecznym. To warunki niemożliwe do walki. Musimy wiedzieć, czy tak jest. Udanie się tam bez rozpoznania środowiska może oznaczać samobójstwo.

Lecz poważniejszym pytaniem jest to, po co oni w ogóle budują tunele. Początkowo myślałem, że po prostu zmieniają tę skałę w obiekt grożący zderzeniem z Ziemią. To nadal możliwe. Lecz inna możliwość jest taka, że wydrążyli i natlenili to siedlisko

wewnątrz asteroidy w celu wyhodowania i stworzenia sobie armii. Niewiele wiemy o formidzkim cyklu życiowym. Może osiągając dojrzałość w ciągu kilku miesięcy. A jeśli ich umysłami kieruje królowa roju, to możliwe, że mogą dostać broń i rozkaz do walki po zaledwie krótkim szkoleniu. Może królowa potrafi błyskawicznie obdarzać ich umiejętnościami żołnierzy zaprawionych w boju.

Mam nadzieję, że się mylę. Bo jeśli mam rację, to Formidzi będą mogli uzupełniać swoje siły szybciej, niż my damy radę ich zabijać. To im zapewni zwycięstwo. Wygrają przez wyniszczenie, nękając nas ciągłymi atakami świeżych rekrutów, którym nie zdołamy dorównać liczebnością. Koniec gry. Przegrywamy.

Jedna uwaga co do pancerza: tunele będą wąskie. Nie możesz dopuścić, by pancerz zahaczał o ściany i przeszkadzał w posuwaniu się do przodu. Największe ryzyko stwarzają ramiona, kolana i łokcie. Może powinieneś zaokrąglić niektóre krawędzie. Poza tym powlecż cały pancerz elastyczną żywicą. Żadnego odłoniętego metalu. Mógłby uderzyć o skałę, a w atmosferze składającej się z czystego tlenu i wodoru nie chcemy iskiei!

Stary Żołnierz

Mazer wyszedł z lunarnego promu przez rękaw dokujący i zastał przy bramce czekającą na niego młodą panią porucznik. Stanęła na baczność i zasalutowała.

– Kapitanie Rackham. Jestem porucznik Prem Chamrajnagar. Zostałam wyznaczona na pańską obrończynię w sądzie wojskowym.

Mazer chwycił się poręczy, żeby zachować równowagę. Ciężenie wynosiło tu zaledwie jedną szóstą ciężenia ziemskiego, ale i tak było znacznie większe od tego, do czego był przyzwyczajony, i jego nogi sprawiały wrażenie ciężkich i słabych.

– Spokojnie – powiedziała kobieta i złapała plecak Mazera, który zsunął mu się z ramienia. – Jeszcze nie oswoił się pan

z ciężeniem, panie kapitanie. Nie ma pośpiechu. Dobrze jest odczekać chwilę przed wyruszeniem gdzieś dalej. Bardzo długo był pan w czerni.

Postawiła plecak na ziemi obok Mazera, dając mu czas na przyzwyczajenie się do nowych warunków.

– Dziękuję – powiedział Mazer, ściskając poręcz i rozstawiając nieco szerzej nogi. – Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, że jestem taki ciężki.

– Niech się pan cieszy, że nie zawieźli pana prosto na Ziemię – stwierdziła porucznik z uśmiechem.

Mazer przyjrzał się jej. Pojedyncza belka na mundurze świadczyła o tym, że ma młodszy stopień. Minę miała profesjonalną, ale nie była zaprawionym w bojach adwokatem, na jakiego liczył.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, pani porucznik, ale wygląda pani na młodszą ode mnie.

– Mam dwadzieścia lat, panie kapitanie. Zatem owszem, jestem młodsza. I drobna. I jestem kobietą. To chyba trzy okoliczności przemawiające przeciwko mnie.

– Nic podobnego, po prostu spodziewałem się kogoś starszego. Kiedy ukończyła pani studia prawnicze?

– Dwa lata temu, panie kapitanie. Z wyróżnieniem.

– Nie musi pani zwracać się do mnie per „kapitanie”. Wystarczy Mazer. Studia prawnicze trwają trzy lata. Kiedy je pani rozpoczęła?

– W wieku czternastu lat, panie kapitanie.

– To miała pani wesoły okres dojrzewania. Mogę więc jedynie założyć, że szkołę podstawową skończyła pani jeszcze w łonie matki, a zaczęła pani się w nim uczyć przed poczęciem.

– Jestem młoda, panie kapitanie, ale kompetentna.

Widział, że to prawda. Emanowała pewnością siebie, nie sprawiając jednocześnie wrażenia zadufanej w siebie. Po prostu wiedziała, że potrafi załatwić wiele spraw, ponieważ zawsze tak działała.

– Jeśli poprawi to panu samopoczucie, to przydzielenie adwokata, którego biuro prawne floty nie uznało za

kompetentnego, jest sprzeczne z prawem.

– Gdzie to jest zapisane?

– W artykule dwudziestym siódmym b ujednoliconego kodeksu wojskowego postępowania karnego. Jeśli pan chce, mogę przytoczyć odpowiedni ustęp.

– To nie będzie konieczne. Ile razy pełniła pani funkcję głównego obrońcy?

– Prokurator wojskowy przydzielił panu jednego adwokata, panie kapitanie.

– Jakie to wielkoduszne z jego strony. Dobrze. Ile razy pani kogoś broniła?

– Łącznie z pańską sprawą?

Mazer skinął głową.

– Raz.

– Nie wzbudza pani wielkiego zaufania, pani porucznik. Wydawało mi się, że powiedziała pani, że skończyła pani studia dwa lata temu.

– Tak jest, panie kapitanie. Zanim dostaniemy własne sprawy, przez dwa lata przyglądamy się pracy członków korpusu prawnego. Napisałam wiele streszczeń spraw sądowych, jeśli poprawi to panu samopoczucie.

– Nie bardzo.

– Może pan oficjalnie poprosić o innego adwokata, panie kapitanie. Mogę polecić kilku wyższych oficerów, którzy, być może, będą lepiej panu odpowiadać.

– Zrezygnowałaby pani tak łatwo?

– To jest pańska sprawa. Pański adwokat ma panu doradzać i pomagać, a nie nakazywać. Jeśli nie chce pan, bym panu pomagała, to owszem, moja rezygnacja jest w pańskim najlepszym interesie. Najgorszy adwokat to niechciany adwokat. Proszę jednak nie traktować mojej gotowości do rezygnacji jako oznaki braku zainteresowania pańską sprawą. Nic nie mogłoby być odleglejsze od prawdy. Nie zostałam panu przydzielona. Zgłosiłam się na ochotnika.

– Dlaczego?

– Ponieważ przez takie nadużywanie władzy, jakiego dopuścił

się pułkownik Waganow, przegramy tę wojnę, zwłaszcza jeżeli będą wyrzucani z floty dobrzy żołnierze, którzy powinni dowodzić.

– Dlaczego pani sądzi, że jestem dobrym żołnierzem? Albo dowódcą? Pani mnie nie zna.

– Wiem, że podczas pierwszej wojny walczył pan z żołnierzami POP-u wewnątrz formidzkiego statku zwiadowczego. Wiem, że walnie przyczynił się pan do wygrania tej wojny. Wiem, że zgodził się pan usunąć w cień, żeby całą zasługę można było przypisać POP-owi i w ten sposób udowodnić światu, że naszą najlepszą szansą na pokonanie Formidów jest międzynarodowy oddział wojskowy jak POP, a to utorowało drogę do powstania Międzynarodowej Floty.

– Kto przekazał pani te informacje? – zapytał Mazer. – Opis przebiegu mojej służby ich nie zawiera.

– W opisie przebiegu pańskiej służby są poważne luki – powiedziała Chamrajnagar. – MF bardzo dokładnie usunęła wszelkie ślady prawdy. Ale gdyby pułkownik Waganow poświęcił trochę czasu na poszukiwania, mógłby się domyślić, kim właściwie pan jest.

– Ma pani bardzo bujną wyobraźnię, pani porucznik.

– A zatem zaprzecza pan, że przyczynił się do wygrania wojny? Zaprzecza pan, że służył razem z żołnierzami POP-u? Nadal chroni pan flotę?

– Może zaprzeczam, bo to wszystko bzdury.

– Stanowcze zaprzeczenie to właściwie potwierdzenie.

– Nauczono tego panią na studiach?

Chamrajnagar się uśmiechnęła.

Mazer puścił poręcz. Jego nogi nadal sprawiały wrażenie słabych, ale czuł się już pewniej. Podniósł plecak i zaczął powoli iść w stronę bramki. Porucznik dotrzymywała mu kroku.

– Weźmiemy samojazd – powiedziała. – Do głównego wejścia jest kawałek drogi.

Wyprzedziła Mazera i usiadła za kierownicą jednego z zaparkowanych w pobliżu minisamojazdów. Mazer się zawahał.

– One służą do wożenia starszych ludzi. Mogę iść pieszo.

– To długi terminal, panie kapitanie. Jeśli w pańskim obecnym stanie będzie pan chodził, to co chwila będę się musiała zatrzymywać, żeby pomagać panu wstać. – Pokazała na puste miejsce obok siebie. – Skorzystanie z samojazdu zrobi dobrze nam obojgu.

Mazer popatrzył wzdłuż terminala. Odległość rzeczywiście była duża, a jego nogi nie nadawały się do dłuższego spaceru. Zmarszczył brwi i wrzucił plecak na tylne siedzenie, a potem usiadł obok porucznik, która ruszyła z miejsca, trzymając się ścieżki dla samojazdów.

– Co pani wie o mojej sprawie? – zapytał.

– Znam postawione panu zarzuty.

– Domyślam się, że jest ich długa lista.

– Tak długa, że aż śmieszna. Czy naprawdę uderzył pan żandarmeria wojskowego żelazną sztabą?

– Tak mówi Nardelli?

– Ma na głowie dwanaście szwów. Widziałam zdjęcia dołączone do raportu policyjnego. Okropny widok.

– Sam sobie to zrobił – rzekł Mazer.

– Uderzył się żelazną sztabą?

– Nie było żadnej sztaby. Żelaznej ani żadnej innej. Zranił się, atakując mnie. Z perspektywy czasu to jest dość humorystyczne. Rzucił się na mnie. Umieściłem coś na jego drodze. Nie miał kasku. Koniec. Nawet go nie dotknąłem. Trudno mu będzie dostarczyć jakieś dowody medyczne.

– Niech zgadnę – powiedziała Chamrajnagar. – Gdyby go pan tknął, potrzebowałby o wiele więcej niż dwanaście szwów.

Spojrzał na nią i zobaczył, że się uśmiecha.

– Kpi sobie pani ze mnie.

– Nie. Wydawało się to właściwym komentarzem w stylu macho. Ale widzę, że kapitan Mazer Rackham jest inny.

– Rozczarowana?

– W gruncie rzeczy uspokojona. I nie martwiłabym się o zeznanie Nardellego. Trochę pokopałam. On nie jest wiarygodnym świadkiem. Jeśli jego zeznanie zostanie włączone do dowodów w sprawie, zniszczymy go.

– Nie mam zastrzeżeń – rzekł Mazer.
– A więc zgadza się pan, bym go reprezentowała?
– Zgadzam się słuchać i brać udział w tej rozmowie. Utknąłem z panią w tym samojeździe. Nie mam wielkiego wyboru.

Chamrajnagar skinęła głową.

– Dobrze. Kwestia numer jeden: postawione panu zarzuty są dość poważne. Najpoważniejszy z nich to ujawnienie tajnej informacji.

Mazer parsknął śmiechem.

– Łatwo go obalić. Podzieliłem się prywatną informacją na forum MF. Ta informacja nie należała do MF. Nie była też tajna. MF nawet o niej nie wiedziała. Waganow był po prostu urażony, że nie mógł sobie przypisać zasługi za jej pozyskanie. Co nas prowadzi do kwestii numer dwa: oficer prowadzący mój proces jest znajomym pułkownika Waganowa.

Chamrajnagar zerknęła na niego z zaskoczeniem.

– Skąd pan wie?

– Waganow jest bystry – odparł Mazer. – Wie, że nie ma żadnych argumentów prawnych. Mimo to był całkowicie przekonany, że zostanie skazany. Do tego stopnia, że podczas mojego odosobnienia postępował dość brutalnie. Poza tym pierwszą kwestię określiła pani jako kwestię numer jeden, więc założyłem, że będą następne. Miałem nadzieję, że się mylę.

– No, trochę ma pan racji. Przewodniczącym sądu jest pułkownik Michio Soshi z Japonii. To jedyny oficer w składzie sędziowskim, który jest członkiem korpusu prawnego floty. Pozostali czterej członkowie sądu będą wyższymi oficerami. W sumie będzie ich pięciu. Soshi ma reputację bezlitosnego. Sprawy rozpatrywane przez niego kończą się zwolnieniem ze służby o wiele częściej niż w wypadku innych sędziów. Jest nazywany Siekierą.

– To pocieszające – stwierdził Mazer. – A Waganow jest blisko z tym pułkownikiem Soshim?

– Obracają się w tych samych kręgach, łączy ich przeszłość, ale nie nazwałabym ich bliskimi przyjaciółmi. Są raczej sojusznikami. Co nam szkodzi, bo trudniej nam będzie

udowodnić konflikt interesów. Mielibyśmy dobrą pozycję, gdyby na studiach dzielili pokój. Zamiast tego mamy domysły. Prawdopodobnie będą się wzajemnie chronić, ale trudno nam będzie to udowodnić.

– Mimo to ze względu na ich poprzednie powiązania powinniśmy wnieść o wyłączenie Soshiego z postępowania – rzekł Mazer.

Chamrajnagar skinęła głową.

– Już napisałam odpowiedni wniosek.

Mazer uniósł brew.

– Poświęciła pani temu dużo czasu. Kiedy wzięła pani moją sprawę?

– Kiedy tylko dowiedzieliśmy się o oskarżeniach. Pracowałam nad nią po godzinach.

– I robi to pani, ponieważ dokopała się pani do jakichś błędnych informacji, które pozwalają pani sądzić, że jestem bohaterem wojennym?

– Nie, panie kapitanie. Robię to, ponieważ uważam, że pozbawienie pana munduru zmniejszy nasze szanse w wojnie z Formidami.

– Czy to się uda? – zapytał Mazer. – Czy Soshi wycofa się ze składu sędziowskiego?

– Zapewne nie. Musi poprzeć taki wniosek, a jeśli oddaje przysługę pułkownikowi Waganowowi, to będzie chciał zachować kontrolę.

– A więc będę miał uprzedzonego do mnie sędziego... Co to za system prawny?

– Młody. MF istnieje zaledwie od kilku lat, a jej kraje członkowskie mają bardzo odmienne wyobrażenie sądownictwa wojskowego. Rosja, Indonezja, Stany Zjednoczone, Libia... Wszyscy mieli własne sposoby przeprowadzania procesów. A rosyjskiemu podejściu jest prawdopodobnie bardzo daleko do tego, co widział pan w Nowej Zelandii. Jeśli pomnożyć to przez liczbę krajów członkowskich, otrzyma się dość zawiły kodeks postępowania karnego. Stale jest uaktualniany. Niech się pan nie spodziewa, że sąd wojskowy MF będzie funkcjonował tak gładko,

jak powinien.

– Jest coś jeszcze – powiedział Mazer. – Waganow załatwił lekarza, który zalecił mi przejście do lekkiej służby. Zrobił to pewnie dlatego, żeby można było dowieść, że w ogóle nie powinienem być prowadzić testów polowych.

– Nasikał pan pułkownikowi do kawy? – zapytała Chamrajnagar. – On naprawdę chce się pana pozbyć.

– Martwi się, że nagłośnię sprawę lukratywnego układu, jaki ma z Zakładami Gungsu.

– A, to komplikuje sytuację – stwierdziła porucznik.

– Nadal chce pani wziąć moją sprawę?

– Odwołamy się od tego zalecenia lekarza. Poddamy pana badaniom u innego doktora, u kogoś, kto uzna pański stan fizyczny za idealny. Jeśli jest pan na to przygotowany, to nie musimy się martwić. Są jakieś inne pułapki, o których powinnam wiedzieć? Jako pański adwokat muszę wiedzieć o wszystkim, co mogłoby zostać użyte przeciwko nam.

– Jeszcze się nie zgodziłem, żeby została pani moim adwokatem.

– Nie, ale przekonuje się pan do mnie.

– A co z wnioskiem o oddalenie sprawy? – zapytał Mazer.

– Też go napisałam. Wątpię jednak, żeby Soshi go poparł, zwłaszcza gdy w tle są jakieś podejrzone umowy. Oni nie wypuszczą pana z rąk. Muszą pana uciszyć, co uczynią przez zdyskredytowanie pana. Stąd ten sąd wojskowy. Doprowadzą do tego, żeby pański głos nie miał żadnego znaczenia. Dlatego Waganow tak rozpaczliwie usiłuje zebrać dowody przeciwko panu.

– Nie ma przeciwko mnie żadnych dowodów. Sąd nie może udowodnić, że popełniłem przestępstwo. Przed wykonaniem misji złożyłem formalny sprzeciw. Waganow go usunął, ale muszę wierzyć, że da się go odzyskać. Poza tym mam filmowy zapis tego incydentu. I mam co najmniej kilka osób, które będą świadczyć na moją korzyść, w tym oficera, który stracił nogę. Nie da się założyć żadnej sprawy przeciwko mnie. Waganow wiedział o tym od początku. Wiedział, że sąd mnie uniewinni ze względu

na niewystarczające dowody. Musi tak postąpić. Robi to tylko dlatego, żeby Soshi mógł uciąć moją karierę, co może z łatwością uczynić. Bo nawet jeśli zostanę uniewinniony, sąd sporządzi oficjalną pisemną nagane, która na zawsze pozostanie w moich aktach. Stwierdzi w niej, że moje zachowanie, mimo że nie wypełniało znamion przestępstwa, mogło przynieść ujmę siłom zbrojnym i że dla dobra służby zaleca moje przeniesienie z obecnie zajmowanego stanowiska na bardziej odpowiadające moim umiejętnościom, gdzie dowódca mojej nowej jednostki wyznaczy mi inną karę niesądową.

– To na pewno jest możliwe – zgodziła się Chamrajnagar.

– Bardziej niż możliwe. Tak to się robi. Jeśli nie można zwolnić kogoś ze służby, niszczy mu się reputację tak dokładnie, że nigdy nie otrzyma awansu. Następnie wysyła się go do jakiejś zapadłej dziury jako zaopatrzeniowca i zostawia go na pastwę losu. W ten sposób i tak pozbywa się go z wojska, ale odchodzi on na własną prośbę. Kiedy kończy mu się kontrakt, nie zaciąga się ponownie. Bo i po co? Dostał się do najgorszego oddziału i nie ma możliwości ucieczki. Znalazł się w dziurze, z której nie może się wydostać. To jest powolna śmierć. Wygrywają oni.

– Wygląda na to, że zna pan system sprawiedliwości równie dobrze, jak ja – powiedziała Chamrajnagar.

– Nie ma w nim żadnej sprawiedliwości, pani porucznik. Przegraliśmy, zanim jeszcze zaczęliśmy.

Dotarli do końca terminala i Chamrajnagar zatrzymała samojazd pod ścianą. Wysiadając, Mazer chwycił swój plecak. Wciąż jeszcze trochę się chwiał na nogach, ale czuł się już znacznie pewniej.

– Nadal chce pani wziąć moją sprawę? – zapytał.

– Zdecydowanie, panie kapitanie. Nawet jeśli wydaje się, że wynik jest przesądzony, chcę pomóc, jak tylko zdołam.

Mazer skinął głową.

– Chcę, żeby poznała panią moja żona. Potrafi ocenić czyjś charakter lepiej ode mnie.

– Już się z pańską żoną poznałyśmy, kapitanie. Spotkałyśmy się trzy razy. Dwa razy na lunchu i raz poszłyśmy kupować buty.

Mazer uniósł brew.

– Kupowała pani z Kim buty?

– Pani Rackham ma ogromne wyczucie stylu, panie kapitanie. Potrzebowałam nowych butów.

– Trzeba pani przyznać, że jest pani przebojowa – stwierdził Mazer. – Czy to moja żona napełniła pani głowę opowieściami o moich działaniach w poprzedniej wojnie?

– Nie, panie kapitanie. Nic o nich nie mówi, chociaż podrzuciła mi kilka wątków do zbadania.

– Rozumiem. I co sądzi o pani moja żona?

– Żeby dokładnie ją zacytować: „Jeśli cię nie przyjmie, powiedz mu, że jest idiotą i że już nigdy więcej nie zrobię mu kurczaka z nerkowcami po chińsku”.

– A zatem ma pani pracę, pani porucznik. Potrafię znieść życie poza MF, ale nie potrafię znieść życia bez chińskiej kuchni mojej żony.

Kim czekała na niego na zewnątrz strefy bezpieczeństwa. Blżej doków MF cywilów nie dopuszczano. Miała na sobie strój szpitalny i wyglądała, jakby nie spała dobę. Mazer upuścił plecak i wziął ją w ramiona. Pachniała tak samo i obejmowała go tak samo jak zawsze. Wtuliła twarz w jego szyję i ścisnęła go tak mocno, że trudno mu było oddychać. Jak miałby ją znów opuścić?

Ucałowała go i ujęła jego twarz w dłonie. Za uśmiechem w jej oczach krył się głęboki smutek.

– Na jak długo cię mam? – zapytała.

Czytała wiadomości.

– MF przejdzie w tryb paniki – powiedział Mazer. – Nie jesteśmy gotowi do walki ani pod względem technicznym, ani pod względem szkoleniowym. Nawet nie zbudowaliśmy jeszcze floty. Sądziliśmy, że do wojny mamy przynajmniej dwa lata.

– A co z tobą? Gdzie w tym wszystkim jesteś ty?

Uśmiechnął się do niej i odgarnął włosy z jej twarzy. Wciąż do niego przywierała, jakby się bała, że mógłby odpłynąć.

– Nie mówmy o tym tutaj – poprosił.

– Głodny? – zapytała Kim.

– Jedyną rzeczą gorszą od jedzenia na promie jest jedzenie na promie wojskowym. Umieram z głodu.

Poszli na Stare Miasto na ich ulubiony makaron do maleńkiej rodzinnej knajpki z zaledwie kilkoma stolikami i niemodnym wystrojem. Kilka lat wcześniej Kim opiekowała się w szpitalu córką właścicieli, która miała wypadek ze śmigaczem, i uratowała dziewczynce życie. Japońskie małżeństwo traktowało od tego czasu Kim i Mazera jak swoją rodzinę. Kiedy więc weszli teraz do środka, Dakotsu na ich widok szeroko rozłożył ręce.

– Proszę, kto wraca na Lunę! – Podszedł do nich i nisko się uklonił. – Kim opowiada mi o wszystkich twoich przygodach, Mazerze. Słyszę, że jesteś w jakiejś tajnej grupie. Bardzo ważna praca.

– Ona jest gotowa powiedzieć ci wszystko, bylebyś tylko karmił ją swoim makaronem – powiedział Mazer.

Dakotsu roześmiał się, objął Mazera ramieniem i zwrócił się do czterech osób jedzących w restauracji:

– Uwaga, to jest Mazer Rackham, mój przyjaciel. Kapitan Międzynarodowej Floty. Zapamiętajcie to nazwisko. On pewnego dnia ocali świat.

Klienci spojrzeli na Mazera i Kim bez zainteresowania, po czym wrócili do swojego makaronu. Dakotsu roześmiał się i skinął na nowych gości ręką.

– Chodźcie. Dla was specjalne miejsce. Makaron na koszt firmy.

Specjalne miejsce okazało się stolikiem w głębi salki obok akwarium i neonu reklamującego jakieś chińskie piwo. Dakotsu szybko go wytarł i wsunął serwetki do uchwytów.

– Przyniosę to co zwykle, tak?

– Będziemy zachwyceni – powiedziała Kim. – Dziękujemy.

Właściciel uśmiechnął się i odszedł, szurając nogami, a Kim sięgnęła przez stół i ujęła dłoń Mazera.

– Chcesz mi opowiedzieć o tym sądzie wojskowym?

– Nie. To cię tylko rozżołości.

– Złości mnie wszystko, co robi MF. Dlaczego teraz miałoby być

inaczej?

Zanim Mazer skończył szczegółowe streszczenie wydarzeń, zjedli makaron, a ich talerze zostały sprzątnięte. Kim ciągle kręciła głową, a potem mocno zacisnęła usta.

– Jakże pocieszająca jest wiedza, że wojskiem rządzą oszuści – stwierdziła.

– Są w MF i dobrzy dowódcy, Kim. Kłopot polega na tym, że jest ich niewielu. Za dużo jest takich jak Waganow.

– To drastycznie zmniejsza nasze szanse w starciu z Formidami.

Mazer kiwnął głową i upił herbaty.

– To ich największa zbrodnia.

– To co zamierzasz z nim zrobić?

– Z Waganowem? Nic. To nie mój kłopot.

– Więc pozwolisz, żeby mu się upiekło to, co ci zrobił? Jeśli się go nie powstrzyma, zostanie prawdopodobnie awansowany na kontradmirała.

– Nie prowadzę wojny z Waganowem, tylko z Formidami. I taka wojna mi wystarczy.

Kim się zawahała.

– A więc odlećisz do Pasa.

– Chyba że zostanę zwolniony. Nie mam wyboru, Kim.

– Nie musisz mnie częstować przemową pod tytułem „Jestem żołnierzem”, Mazerze. Wiem, że do tego zostałeś stworzony. Wiedziałam to, kiedy brałś ślub. Wtedy to zaakceptowałam.

– To niczego nie ułatwia.

– Nie, ale wiedziałam, że ten dzień nadejdzie, i miałam dużo czasu, by się nad tym zastanowić. Na razie zamierzam się cieszyć tobą, dopóki będę cię tu miała. A w skrytości ducha będę się modlić, żeby cię zwolnili.

– Nie zrobią tego. Nie chcą, żebym był wolny i rozmawiał z prasą, bo mógłbym wyjawiać tajemnice, które powinny pozostać w ukryciu. Wyślą mnie do jakiegoś odległego zakątka Układu, gdzie nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi. Jeśli zamierzasz się modlić, to proś, żebym został oczyszczony z zarzutów i żeby wszystkie formidzkie okręty uległy samozniszczeniu.

– Jak długo potrwa proces? – zapytała Kim.

Mazer wzruszył ramionami.

– Może kilka tygodni, a może pięć minut. Nie wiem, jak bardzo sytuacja mi nie sprzyja.

Sięgnęła przez stół i znowu ujęła go za rękę.

– Więc póki tu jesteś, chcę znowu spróbować.

Miała na myśli poczęcie dziecka.

Chciała mieć dzieci od razu po zawarciu małżeństwa. Gdyby tylko mieli pięć lat przed przybyciem Formidów, a więc gdyby mieli jeszcze pięć lat życia, zasługiwali na doświadczenie sprowadzenia na świat dziecka, małego cudu, który w połowie był nim, a w połowie nią. Już od dzieciństwa planowała imiona: Gideon dla chłopca, a gdyby urodziła się dziewczynka – Margaret Elizabeth po jej babce. Lecz po ślubie z Mazerem Kim zamieniła je na imiona maoryskie: Pai Mahutanga dla dziewczynki i Pahu Rangi dla chłopca. Kiedy powiedziała mu o tym, kiedy Mazer zobaczył, jak Kim przyjmuje kulturę, w której się wychował, za własną, urosło mu serce. Ta kultura stanowiła jego część, a wszystko, co należało do niego, miało także należeć do Kim. A zatem próbowali. Pierwszym poronieniem Kim się nie przejęła. Owszem, było to druzgocące przeżycie, lecz lekarze zapewniali ich, że to się często zdarza, zwłaszcza w niskim ciążeniu Luny. Wzięli więc na barki ciężar tej straty i próbowali dalej. Ale po trzecim poronieniu Kim mogła już tylko rozpaczać. A tydzień później Mazer został wysłany do WYBABiM-u.

– Jesteś pewna, że tego chcesz, Kim? – zapytał łagodnie i ucisnął żonę za rękę. – Po tym wszystkim, przez co przeszedł ostatnim razem?

Skinęła głową.

– Miałam rok, żeby się nad tym zastanowić, Mazerze. Chcę tego. Chciałabym myśleć, że ty też.

– Wiesz, że tak jest. Tylko... poprzednio to było takie trudne. Te poronienia. Z bólem patrzyłem, jak cierpisz.

– Chcę podjąć to ryzyko.

– A Formidzi?

– Co: Formidzi? Dlaczego mieliby mieć coś do powiedzenia

w sprawach naszej rodziny?

– Oni właściwie już tu są, Kim. Czy naprawdę chcemy sprowadzić dziecko na świat teraz, kiedy wkrótce może już nie być świata, w którym mogłoby żyć? Formidzi zabijają na oślep. Nie obchodzi ich, czy ktoś jest starcem, czy niemowlęciem. Zagazują was i przejdą nad waszymi ciałami, nie oglądając się za siebie. Jeśli flota przegra, właśnie to będzie czekać ciebie i dziecko. Nie potrafię znieść tej myśli.

Zrobiła urażoną minę.

– Wzięliśmy ślub, żeby stworzyć rodzinę, Mazerze. Zgodziłeś się, żebyśmy spróbowali przedtem, a wiedzieliśmy, że zbliżają się Formidzi. Na czym polega różnica?

– Na wszystkim, Kim. Próbowaliśmy spłodzić dziecko, bo pozwoliłem sobie na przekonanie, że tego, co mamy, naszej rodziny, tego, co jest między nami, nie można zniszczyć. Wierzyłem, że w jakiś sposób ludzka rasa wygra, że uda nam się drugi cud. Ale spędziłem rok z dala od ciebie, Kim, i wiesz, co robiłem codziennie w WYBABiM-ie? Testowałem broń, pancerze, kombinezony, sprzęt, lądowniki i promy. A w nocy czytałem wszystko, co tylko mogłem znaleźć w sieciach, na temat wroga, wszystko, czego dowiedzieliśmy się o Formidach od czasu, kiedy się pojawili pierwszy raz. O ich taktyce, biologii, flocie, którą budują... I wiesz, czego się dowiedziałem? Wiesz, co ustaliłem po całym tym studiowaniu danych? Prawdopodobnie przegramy. Ziemia prawdopodobnie upadnie. Cały ten sprzęt i broń, które testowałem, zapewne nie wystarczą. Połowa wyposażenia, które otrzymaliśmy, nawet nie działała właściwie, a ta połowa, która działała, zostanie odrzucona. Formidzi budują flotę, poruszając się z prędkością bliską prędkości światła, wykorzystując jedynie fragmenty statku bazy. My nie potrafimy zbudować floty, nawet nigdzie się nie przemieszczając i mając do dyspozycji wszystkie zasoby Układu Słonecznego...

Kim wyglądała na zaskoczoną.

– Więc mówisz, że powinniśmy się poddać?

– Oczywiście, że nie.

– Bo to mi brzmi jak kapitulacja.

– To realizm, Kim. Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, ale takie są fakty. Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy – niebiosy wiedzą, że będę próbować – ale nasze szanse są tak marne, że nie możemy usiąść wygodnie i udawać, że jeśli tylko będziemy wierzyć w niezłomną wolę ludzkiego ducha, wszystko będzie dobrze. Jesteśmy gorsi technicznie i walczymy z wrogiem, którego nie rozumiemy.

– Którego już raz pokonaliśmy – zauważyła Kim.

Mazer pokręcił głową.

– Ta wojna będzie zupełnie inna. Okoliczności są zupełnie odmienne. Wróg jest o wiele liczniejszy. Nie możemy skoncentrować naszych sił, bo w ten sposób powstałyby potężne luki w naszej obronie. To jest przestrzeń kosmiczna, ona jest zbyt ogromna. Formidzi mogą nas z łatwością ominąć i skierować się prosto ku Ziemi. Nie możemy bronić całej tej przestrzeni. Spróbujemy, ale odsłonimy się gdzie indziej. A kiedy Formidzi w końcu zdecydują, gdzie zaatakują, reszta naszych sił nie będzie mogła popędzić z pomocą napadniętym, ponieważ odległości będą zbyt duże. Dotarcie do nich zajęłoby kilka miesięcy, a w tym czasie Formidzi i tak zmiażdżyliby nasze okręty i ruszyli ku Ziemi.

– A więc sytuacja jest beznadziejna – rzekła Kim ze zdenerwowaniem.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musisz być tak dosłowny, Mazerze. Rozumiem, o co ci chodzi. – Pokręciła głową z rozczarowaną miną. – Przykro mi, że miałeś złe doświadczenia w WYBABiM-ie. Przykro mi, że tylko połowa sprzętu działała albo że inni nie byli dość silni, albo że twój dowódca był samolubnym idiotą. I przykro mi, że jakiś nic nieznaczący lekarz zestawiał kilka liczb i uznał, że się nie nadajesz...

– Nie o to tu chodzi, Kim.

– Chodzi tu właśnie o to, Mazerze. Poddajeś się. Z jakiegoś powodu uznałeś, że tak to się skończy. A to boli. Bo nie w takim człowieku się zakochałam. Mężczyzna, którego poślubiłam, mówił: „Do diabła z wami wszystkimi. Nie ma bronii, którą można

by zatrzymać wroga? Świetnie, sam ją zrobię. Myślicie, że się nie nadaję? Co z tego? I tak wygram tę wojnę. Nie mamy floty wystarczająco silnej, by zniszczyć Formidów? Nie ma sprawy, sam to zrobię”.

– Spróbuję, Kim. Ale takie są fakty. Nie jestem nadczłowiekiem.

– Nie musisz nim być. Wystarczy tylko, że będziesz tym, kim jesteś. I o to proszę, żebyś był Mazerem Rackhamem. Mężczyzną, którego wybrałam na ojca moich dzieci. – Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go ruchem dłoni. – Małżeństwo istnieje po to, żeby mieć dzieci, stworzyć rodzinę. Tak robi nasz gatunek. Płodzimy dzieci, tworzymy rodziny bez względu na to, że usiłują nas zniszczyć jakieś zewnętrzne siły.

Patrzył na nią bez słowa.

– Chcę mieć dziecko, Mazerze, bo jeśli stracę ciebie, stracę nas – powiedziała cicho Kim.

Dopiero wtedy zrozumiał. Nie chciała mieć dziecka tylko po to, by budować rodzinę. Chciała mieć dziecko, żeby móc ją chronić, żeby zawsze mieć przy sobie jego część. Oboje wiedzieli – wiedzieli to wszyscy – że nawet jeśli jakimś cudem flota pokona Formidów, to nie obędzie się bez kosztów. Będą ciężkie straty. Najprawdopodobniej katastrofalne straty. Nikt nie udawał, że może być inaczej. Owszem, niektórzy żołnierze podchodzili do sytuacji ze ślepym optymizmem, lecz większość rekrutów rozumiała, na co się piszą. Nie udawali, że przeżyją. Po prostu chcieli zginąć, walcząc. Mimo to Kim wierzyła. Rodzina, którą stworzyła razem z nim, będzie trwać dalej, z nim czy bez niego.

Jak mógł jej tego odmówić, zwłaszcza kiedy sam rozpaczliwie tego pragnął, nie zważając na smutek, jakiego zazna Kim, jeśli flota zawiedzie?

– Spróbujemy – powiedział.

Zmrużyła oczy pytająco.

– Masz na myśli dziecko czy zwycięstwo?

– I jedno, i drugie – odrzekł.

Obeszła stolik, delikatnie ujęła jego twarz w dłonie i obdarzyła długim pocałunkiem z iskierką namiętności. Kiedy odsunęli się od siebie, Mazer uśmiechnął się do niej.

– Ale nie tutaj. Nie chcę począć dziecka w knajpie serwującej makaron. Bez względu na to, jak dobry jest ten ramen.

Rozdział 14

ANSIBL

Do: imala.bootstamp%ch@mfc.com.gov/flotacom/gagak

Od: ketkar%polemarcha@mfc.com.gov

Temat: Utnij to

Może rekwirując wasz statek, nie postawiliśmy sprawy jasno, ale proszę pozwolić zrobić mi to teraz. „Gagak” stanowi obecnie własność Międzynarodowej Floty, co oznacza, że sprzęt znajdujący się NA jego pokładzie także stanowi własność MF. Zatem wszelkie informacje poufnej natury pozyskane przez Panią albo któregoś z członków Pani załogi przy użyciu tego sprzętu także stanowią własność Międzynarodowej Floty.

Chociaż jesteśmy wdzięczni za przekazanie nam konkluzji Edimar na temat ruchów wrogiej floty, nie podoba nam się, że Edimar umieściła te informacje na publicznym forum bez naszego pozwolenia. O rozpowszechnianiu informacji decyduje MF i to dopiero po niezależnym zweryfikowaniu ich autentyczności.

Obecnie sieci są w stanie paniki, ponieważ dowiedziały się od grupy obserwatorów wolnych górników, że wroga flota wkracza do naszego Układu znad i spod płaszczyzny ekliptyki. Czy ma Pani pojęcie, jak to podkopuje zaufanie ludzi do MF?

Co gorsza, pozwoliła Pani, aby na tym samym forum Edimar rozważyła możliwość, że w naszym Układzie znajdują się już trzy tysiące formidzkich ministatków zakotwiczonych do asteroid. Jest to nie tylko domysł, lecz domysł znacznie przesadzony. Aby zdobyć wystarczającą do tego ilość materiału, Formidzi musieliby całkowicie rozebrać swój okręt i zbudować te trzy tysiące ministatków w trakcie lotu, co jest oczywiście niemożliwe. Edimar woła „Pali się!” w zatłoczonym teatrze, w którym pożar może być

bardzo mały albo w ogóle nie wybuchł.

Proszę ją uciszyć. Albo pozbawić ją dostępu do sieci. Proszę zastosować wszelkie środki dyscyplinarne, jakie uważa Pani za konieczne, jeśli tylko będą one na tyle surowe, by uświadomić jej powagę tego wykroczenia. Następnie proszę przeszkolić załogę w zakresie dysponowania poufnymi informacjami. Patrz załącznik. Podręcznik instrukcji wojskowych. Ustęp 27.3–27.7.

Ketkar

– Nazywają to ansiblem – powiedział Serge. – W natychmiastowy sposób przekazuje na każdą odległość wiadomości cyfrowe i audio. Mógłbyś rozmawiać z kimś w Pasie Kuipera tak, jak rozmawiamy teraz my. Żadnego opóźnienia. Jak normalna rozmowa. To brzmi jak coś niemożliwego, ale to pewna informacja.

Lem zerknął przez okno pustego magazynu, żeby upewnić się, że na zewnątrz nie ma nikogo, kto by podsłuchiwał albo obserwował tę rozmowę. Na długo przed przybyciem Serge'a sprawdził, czy w pomieszczeniu nie ma urządzeń podsłuchowych, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że nie są sami. Tamtego wieczoru ojciec tak gwałtownie opowiadał się za utrzymaniem tajemnicy, że Lem nie spodziewał się, by Serge cokolwiek wyśledził. Informacja o urzędzeniu była najwyraźniej dobrze chroniona. Lem odkrył jego istnienie tylko dlatego, że przypadkiem natknął się na zbiór wskazówek. Ale Serge'owi udało się ustalić nawet jego nazwę. I może coś więcej.

Magazyn mieścił się w południowej części Starego Miasta, przy wewnętrznej krawędzi kopuły, na najbardziej zaniedbanym obszarze dzielnicy. Większość budynków opustoszałych po wojnie została zajęta przez instytucje rządowe, ale Hegemonia nie bardzo potrzebowała rozpadającego się magazynu, który wymagał gruntownego remontu, więc budynek stał pusty od wielu lat. Wszędzie było pełno kurzu. Okna powybijane. Kilka ścian zdobiło graffiti. Lem czuł się brudny od samego stania

w tym pomieszczeniu. Tylko gdzie indziej mogliby się spotkać? Każde miejsce w firmie byłoby ryzykowne. Było tam zbyt wiele nasłuchujących uszu. W gruncie rzeczy Lem żałował, że przydzielił Serge'owi to zadanie w jego gabinecie. Wówczas nie uznał tego za lekkomyślność, ale teraz nie był już tak pewien.

– Powiedziałeś o tym komuś? – zapytał.

Nie zdradził jeszcze Serge'owi, czego sam się już dowiedział.

– Nikomu.

– Dobrze. I niech tak zostanie.

Tego ranka Lem otrzymał od Serge'a prośbę o spotkanie i zastanawiał się, czy ją spełnić. Właściwie chciał mu powiedzieć, żeby o wszystkim zapomniał. Ojciec zagroził mu oskarżeniami o zdradę i karą śmierci. Prawdopodobnie były to głównie czcze groźby, lecz ryzyko wciąż istniało i angażowanie w sprawę Serge'a bez poinformowania go o nim było nie w porządku. A jednak Lem stał w zakurzonej norze na Starym Mieście powodowany ciekawością.

– Masz jakieś pojęcie, jak działa ten ansibl? – zapytał.

– Działa poprzez sparowane cząsteczki subatomowe – rzekł Serge. – To dość skomplikowane, ale zasadniczo rzecz biorąc, ansibl tworzy pole, w którym cząsteczki są tak sparowane, że jedna tworzy się i rozpada równocześnie z tą drugą. Zatem kiedy jedna zmienia kształt, ta druga też to robi. Ten ruch może zostać odczytany przez pobliskie cząsteczki i tworzy on różnicę elektryczną. I to jest właśnie odczytywane, ta różnica elektryczna. W każdym takim zestawie istnieją oczywiście kwestie prędkości światła – no wiesz, odbiorca i nadawca – ale w obliczu tak małych odległości są one trywialne. Ważne jest to, że wysyła się sygnał i cząsteczka subatomowa zostaje sparowana.

– Nie rozumiem – stwierdził Lem.

– Trochę się cofnę. Wiemy, że Formidzi komunikują się błyskawicznie na wielkie odległości. Hegemonia łamie sobie nad tym głowę od zakończenia wojny. Istnieje przekonanie, że stosują oni tę samą zasadę działania, według której funkcjonuje ansibl, ale Formidzi robią to biochemicznie. Więc twój ojciec

próbuję sparować cząsteczki subatomowe. Początkowo Hegemonii udało się uzyskać jedno sparowanie. To było jak seryjna komunikacja – wysyłanie kolejno pojedynczych kawałków. Najwyższa uzyskana prędkość wynosiła trzysta bodów, jak przy pierwszych modemach. Udało się to zrobić pół roku po wojnie. Lecz przepustowość była niewiarygodnie niska. Mogli jedynie wysyłać bardzo krótkie teksty z prędkością wystukiwania ich na klawiaturze. I tylko jeden ansibl mógł być sparowany z innym ansiblem. Nie tworzyły sieci. Więc jeden ansibl znajdował się na Lunie, a drugi, jego odpowiednik, daleko w Pasie u Polemarchy. – Serge uśmiechnął się z rozbawieniem. – Ale wtedy ansibl zapragnął mieć Strategos. Prywatny ansibl chciał mieć Hegemon. Admirałowie i dowódcy Polemarchy też chcieli mieć ansibl. Problem polegał na tym, że do każdego sparowania trzeba było mieć osobny zestaw. To znaczy, że każda osoba, z którą chciało się komunikować, musiała mieć osobny ansibl. Zaczęto więc rozdzielać je między dowódców. Odkryto przy tym, że sparowane ansible mogą znajdować się tak daleko od siebie, jak to jest konieczne. Te odległości są po prostu cudowne. A komunikacja jest natychmiastowa, ale działa tylko wtedy, kiedy ma się odpowiedni zestaw. Więc Polemarcha musiał zabierać ze sobą czterdzieści ansibli, ponieważ musiał się kontaktować z dwudziestoma dowódcami na okrętach rozrzuconych po całym Pasiu i dwudziestoma biurokratami w Hegemonii. Nigdzie się więc nie ruszał bez wielkiej, nieporęcznej przyczepy pełnej ansibli.

A potem odkryto, że można parować jednocześnie wiele cząstek. Nie dwie, ale cały zestaw identycznych cząstek. Więc parowano pięćdziesiąt cząstek naraz. Co oznaczało, że było pięćdziesiąt zestawów komunikujących się między sobą z prędkością trzystu bodów. Potem zwiększono prędkość do tysiąca dwustu. Okazało się, że cząsteczki mogą pracować ze znacznie większą prędkością. Albo raczej wymyślono, jak nimi manipulować, by poruszały się szybciej. Zaczęto więc projektować coraz lepsze konstrukcje. Tak wygląda ewolucja wszystkich urządzeń, widzieliśmy to tysiące razy. Na kolejnych

etapach stają się one coraz szybsze i coraz mniejsze.

Tak więc Hegemonia stale ulepsza ansibl i rozsyła jego nowsze, lepsze modele. Rozdzielenie całego tego sprzętu między wszystkie okręty znajdujące się w Układzie kosztuje wiele czasu, wysiłku i pieniędzy, lecz Hegemonia wynalazła niewiarygodnie szybkie bezzałogowe statki przeznaczone wyłącznie do tego. Nazywane są świstatkami. Tak więc teraz Polemarcha nie ma już całego pomieszczenia wypełnionego zestawami ansibli – jego ansibl można nosić w walizce.

Lem patrzył na Serge'a z niedowierzaniem.

– Skąd masz te wszystkie informacje?

Serge roześmiał się, zadowolony z siebie.

– Z pubu. Sprawdziłem, dokąd chodzą inżynierowie Hegemonii po pracy. Zasadziłem się więc w środku z kuflem i słuchałem ich rozmów.

– I udało ci się? Przecież nie ujawnialiby tego wszystkiego w miejscu publicznym.

– O, nie. Ale była tam pewna kobieta, którą nikt się nie interesował.

– I zainteresowałeś się nią ty.

– Okazała się przemiła. Ale samotna. Więc rozmawialiśmy. Powiedziałem jej, że opracowuję tajne urządzenia dla Juke Limited, co nie jest całkowitym kłamstwem. A ona powiedziała, że opracowuje tajne urządzenia dla Hegemonii. Okazuje się, że oboje studiowaliśmy na Caltechu. Myślę, że w innych okolicznościach naprawdę moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

– Powiedz, że jej nie upiłeś.

Serge zrobił urażoną minę.

– Nic podobnego. To znaczy... Właściwie chyba nie odbiega to daleko od prawdy. Ale piła z własnej woli. Kiedy zaczęliśmy tańczyć, zdjęła swoją nakładkę i zostawiła ją z torebką przy stoliku. Jednak całe to tańczenie i picie ją zmogło, więc pobiegła do damskiej toalety, żeby wymiotować.

Lema nagle zdjęła złość.

– A ty włamałeś się do jej nakładki? Powiedz mi, że nie włamałeś się do hegemońskiej nakładki na nadgarstek.

– Wiem, że kazałeś mi to zrobić w legalny sposób, Lemie, ale ona tam po prostu leżała. Ta kobieta otrzymała w trakcie naszej rozmowy kilka wiadomości, więc widziałem, jak loguje się z pomocą swojego hasła. Technicznie rzecz biorąc, nie włamałem się. Po prostu wiedziałem, jak się dostać do środka.

Lem zaczął chodzić tam i z powrotem. Był wściekły.

– To było głupie, Serge. Głupie.

– Dlaczego tak się tym denerwujesz? Zdobyłem dla ciebie informacje, których żądałeś.

Lem właściwie krzyczał:

– Nie tego chciałem, Serge! Bynajmniej!

Jednocześnie otworzyło się troje drzwi i do magazynu wpadł oddział brygady antyterrorystycznej w bojowym rynsztunku z wymierzonymi w nich slaserami.

– Ręce do góry!

Lem i Serge zamarli. Unieśli ręce. Oddział SWAT otoczył ich ze wszystkich stron. Z przodu i z tyłu kamizelek żołnierze mieli wymalowane litery „MF”. Dowodziła nimi kobieta. Podeszła do Serge’a z opuszczoną bronią. Serge rozwarł szeroko oczy.

– Ty?

Jej twarz pozostała niewzruszona.

– Ja.

Chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu rękę za plecy, następnie zrobiła to samo z drugą i zatrzasknęła na nich ogranicznik.

– Aresztujesz mnie? – zapytał z rozpaczą Serge.

– Nie. Werbuję cię. Witaj w Międzynarodowej Flocie, Serge.

Chwyciła go za ramiona i poprowadziła szorstko do wyjścia. Serge obejrzał się gorączkowo na Lema, błagając bezgłośnie o pomoc. Lem się nie poruszył. Ręce wciąż trzymał w górze. Serce waliło mu jak młotem. Mierzyły w niego slasery gotowe przeciąć go na pół, gdyby choć drgnął. Kiedy Serge i kobieta wyszli z budynku, pozostali żołnierze zaczęli jednocześnie cofać się do drzwi, lecz nie opuszczali broni, wpatrzeni w Lema. Poruszali się jednak szybko i po kilku sekundach Lem został sam.

– Możesz już opuścić ręce – odezwał się jego ojciec.

Lem obrócił się na pięcie. W otwartych drzwiach stał ojciec, rysując się wyraźnie w fałszywym słonecznym blasku Starego Miasta. Lem opuścił ręce. Ojciec wszedł do środka.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak blisko byłeś od wstąpienia do Międzynarodowej Floty – powiedział. – Gdybyś zareagował inaczej, gdybyś się nie rozżłościł i go nie zganił, żołnierze skuliby i ciebie. Szczerze mówiąc, uważam, że nie przetrwałbyś w Międzynarodowej Flocie nawet tygodnia. To nie twój styl.

Lemowi kręciło się w głowie.

– Ta kobieta... To była ta z pubu. To wszystko było prowokacją.

– Kiedy mówiłem, że Hegemonia poważnie traktuje to urządzenie, mówiłem prawdę, Lemie. MF traktuje je jeszcze poważniej.

Nagle rozżłoszczony, Lem pokazał na drzwi, przez które wyszedł Serge.

– Nie możesz tak po prostu kogoś zabrać, ojcze. Serge jest cywilem. Jeśli popełnił jakieś przestępstwo, należy mu się proces. Tu chodzi o prawo.

– Serge był cywilem. A tego prawa zrzekł się w momencie, kiedy ukradł poufną informację, a następnie ją przekazał. I żeby nie rozdzielać włosa na czworo, ja go nie zabrałem. Zrobiła to Międzynarodowa Flota. Ja jestem tylko Hegemonem. Nie mam żadnej władzy nad tym, co robi flota.

– To co? Od tej pory będzie żołnierzem do końca życia? Spędzi je na służbie w wojsku?

– Myślę, że Serge będzie dobrym żołnierzem. I tak zastanawiał się nad zaciągnięciem. Nie mówił ci? Moim zdaniem poradzi sobie.

Lem nie wierzył własnym uszom.

– To jakiś żart? Tak nie można, ojcze. MF nie może tak po prostu porywać ludzi, żeby ich uciszyć. To nie jest dyktatura wojskowa. To nie w porządku.

– Nie w porządku jest wysyłanie własnego pracownika, by szpiegował Hegemonię, Lemie. To ty skazałeś Serge'a, a nie MF. Ansibl to najbardziej strzeżona tajemnica floty, a ta robi

wszystko, by tej tajemnicy strzec.

– A więc wszystko, co powiedział mi Serge, to prawda?

– Zasadniczo tak.

– To dlaczego w ogóle podsunęto mu te informacje? Jeśli MF ukartowała tę prowokację, to dlaczego podała mu prawdziwe dane?

– MF chciała go obserwować. Gdyby nie ruszył tej nakładki na nadgarstek i wybrał ścieżkę zgodną z prawem, mógłby radośnie robić swoje i nikt by się o tym nie dowiedział. Ale żeby popełnić przestępstwo, informacje musiały być prawdziwe. Podzielenie się nimi z tobą było jeszcze większym przestępstwem. Pozwolili mu na to, żeby przypieczętować jego los. Chcieli też zaaresztować ciebie, ale przekonałem ich, żeby poczekali na twoją reakcję. Oczywiście oznacza to teraz, że znasz tajemnice stanu, co gwarantuje ci miejsce na liście osób obserwowanych przez MF. Szepnij tylko słowo „ansibl” przez sen, a znajdziesz się na krążowniku gdzieś w Pasie jako trep od nawigacji i nie zdejmiesz munduru do końca życia.

Lem nie odpowiedział.

– Ja oczywiście też znajduję się na liście osób obserwowanych – ciągnął ojciec. – Muszę trzymać język za zębami bardziej niż ktokolwiek inny. Dlatego twoje szperanie zagraża mojemu dobru tak samo jak twojemu.

– A zatem Międzynarodowa Flota to jednak jest dyktatura wojskowa – stwierdził Lem.

– Nie bądź niemądry, Lemie. Czy widzisz, żeby sprawowała rządy? Czy przyjmuje ustawy, patroluje ulice Starego Miasta? Jej zadanie to ochrona Ziemi przed zniszczeniem. To jej jedyna misja. Jeśli ludzie, jak Serge, przeszkadzają w jej wykonaniu, to Flota podejmuje odpowiednie działania.

– Po co wkładać tyle wysiłku w utrzymanie ansibla w tajemnicy? To urządzenie do komunikacji.

– To jest szczytowe osiągnięcie w dziedzinie urządzeń komunikacyjnych, Lemie. Nie można się do niego włamać ani do niego podłączyć. Działa między sparowanymi częsteczkami. Jeśli nie masz odpowiedniego zestawu częsteczek, nie usłyszysz

przekazu. Nie ma tu do przejścia promieni światła czy fal radiowych w powietrzu. Wiadomość w magiczny sposób wędruje z jednego ansibla do odpowiadającego mu ansibla. Gdyby tę technologię mieli terroryści, to nie moglibyśmy śledzić ich przekazów. Byłyby dla nas niewidoczne. Nie moglibyśmy nic poradzić na rewolucje albo działalność wywrotową. Terroryści zawsze uderzaliby z zaskoczenia. Tak więc mając na uwadze samą zdolność do dalszego rządzenia Ziemią, Hegemonia nalega, by była to ściśle strzeżona tajemnica.

– Innymi słowy, gdyby ludzie mieli ansible, nie moglibyście ich śledzić i rejestrować każdego wypowiedzanego przez nich słowa, by mieć pewność, że nie popełniają wykroczenia przeciwko wam.

Ojciec przewrócił oczami.

– Proszę cię, Lemie. Twoja moralna wyższość opiera się na pretensjonalnej naiwności. Czytaj wiadomości. Na świecie istnieją ludzie o wiele gorsi od Formidów. Pragną jedynie rozplatać ci gardło i rozerwać cię na miliony krwawych kawałeczków. Dlaczego? Bo nie modlisz się tak jak oni albo nie głosujesz czy nie wychowujesz dzieci tak jak oni. Chcesz mnie ścigać sądownie za to, że mam ich na oku? Co byś wołał? Żebyś dał im broń do ręki? Nie. Nie uwolnię tej technologii i nie dam naszym wrogom narzędzia, którym mogliby nas zniszczyć. Wbrew temu, co być może myślisz, Lemie, ludzie na Ziemi jednak mnie obchodzą.

Lem nie odpowiedział.

– Więc nie praw mi kazań, synu. Zwłaszcza kiedy sam ich nie rozumiesz.

Lem przez długą chwilę milczał.

– Dobrze. Co teraz?

– Teraz zachowasz absolutne milczenie na temat ansibla i udowodnisz Hegemonii i Międzynarodowej Flocie, że potrafisz być dobrym i posłusznym obywatelem. A zapewniam cię, że ktoś będzie słuchał.

– A Serge? Jak zamierzasz wyjaśnić światu jego nagłe zniknięcie?

– Nie będziemy musieli tego robić. On robi to za nas.

Poruszony niedawnym odkryciem obecności Formidów w naszym Układzie Słonecznym poczuł się zobowiązany do obrony swoich bliskich i znajomych. Nakręci filmik, opowie o zaciągnięciu się do wojska. To będzie bardzo przekonujące. Po kilku dublach i przeszkoleniu przez MF prawdopodobnie sam w to uwierzy. Jego droga matka będzie tak dumna, że uroni kilka łez. MF może nawet użyje tego filmiku w swoich materiałach werbunkowych. Szlachetny człowiek może stanowić inspirujący widok. Kto wie? Mógłby przekonać kilku innych do włożenia munduru. – Ojciec obrzucił magazyn ostatnim zde gustowanym spojrzeniem. – Przestań kryć się w cieniu, Lemie. Nosisz nazwisko Jukes. Jak ludzie mają nas uwielbiać, jeśli się im nie pokazujemy?

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Czy oni by mnie aresztowali, ojcze?! – zawołał za nim Lem. – Albo zwerbowali? Jakkolwiek to nazwać...

Ojciec przystanął i spojrzał na niego.

– Gdybym nie był twoim synem, a ty nie byłbyś moim ojcem, to czy zabraliby mnie ze sobą?

– Masz jedną szansę, Lemie. Nie zawał znowu sprawy.

Wyszedł, zostawiając Lema pośród kurzu i graffiti.

Rozdział 15

SĘPY

Ożywienie w gospodarce kosmicznej poprzedzające drugą wojnę z Formidami było zarówno przyczyną, jak i skutkiem dużego wzrostu ruchu handlowego w całym Układzie Słonecznym. Według danych Biura Hegemonii liczba statków towarowych zarejestrowanych w trzech latach następujących bezpośrednio po pierwszej wojnie z Formidami ponadczterokrotnie przekroczyła liczbę statków towarowych eksploatowanych przed nią. Korporacje jak Juke Limited, Galaktyczna Obrona i Lockson & Meade zbudowały w Pasie stocznie, które wymagały stałego dopływu surowców, robotników oraz sprzętu podtrzymującego życie, a wszystko to trzeba było sprowadzać z odległych źródeł w Pasie Kuipera, ponieważ zasoby znajdujące się bliżej były potrzebne do budowy okrętów.

W efekcie wolni górnicy z najodleglejszych miejsc doznali nieoczekiwanego przyływu gotówki, co oznaczało, że oni też mieli za co kupić wyposażenie, którego od dawna potrzebowali lub chcieli – łącznie z nowymi statkami, dzięki czemu rodziny posiadające do tej pory jeden statek teraz miały dwie, trzy lub cztery jednostki. I oczywiście nie można zapominać o nowych okrętach floty, które od chwili wyjścia ze stoczni przeprowadzały nieustanne ćwiczenia, a patrolowce zmuszały inne statki do zmiany kursu w rejonach manewrów, co sprawiało, że w Układzie Słonecznym wrzało jak w ulu.

Wzrost aktywności pirackiej w tym okresie nie powinien dziwić, zważywszy na liczbę statków przewożących cenne i poszukiwane towary między bliską Ziemią przestrzenią i Pasem Kuipera. Stanowiły przecież łatwą zdobycz. Statki transportowe były ogólnie źle uzbrojone i wyposażone niewłaściwie do odparcia ataku, więc rabunki na najbardziej odległych trasach zdarzały się

często. Zaczęto powszechnie praktykować łączenie przewozów, co polegało na tym, że kilka statków tworzyło grupę i leciało w ciasnym szyku, żeby zniechęcić piratów do ataku, lecz niektórzy utrzymywali, że konwoje bez wojskowej eskorty po prostu tworzą bardziej atrakcyjny cel.

Wielu piratów zachowywało się stosunkowo przyzwoicie, zostawiając zaatakowanym załogom dość jedzenia i nie wyrządzając ich członkom krzywdy. Nie można tego powiedzieć o szczególnie gwałtownej grupie złodziei i morderców zwanych sępami.

Demostenes, *Historia wojen z Formidami*, t. 3

Statek górniczy był tak mały, załosny i źle wyposażony, że Khalid nie chciał marnować na niego czasu. Stał na mostku „Shimbira” i wpatrywał się w obraz widniejący w holopolu, rozważając różne możliwości. Zapłacił się do tego sektora Pasa Kuipera, ponieważ słyszał pogłoski o drogim statku górniczym klasy A zakotwiczonym do znajdującej się tu asteroidy. O statku, który mógłby mu przynieść gotówkę. O statku, który Khalid mógłby rozebrać na kawałki i sprzedać na czarnym rynku. O statku wartym jego zachodu. Lecz ten statek w holopolu – kanciasty, przestarzały, byle jak sklecony kawałek *digada* – w niczym nie przypominał statku górniczego klasy A.

– Jak daleko jesteście? – zapytał Khalid.

Gut, nawigator, sprawdził odczyt.

– Dwie godziny pięćdziesiąt siedem minut.

Właściwie już na nim siedzieli. Szkoda by było pokonać całą tę drogę i teraz zawrócić z pustymi rękami. Chociaż gdyby zaatakowali, to ryzykowaliby w imię czego? Kilku paczek makaronu i paru sztuk przestarzałego, bezwartościowego sprzętu wydobywczego? Khalid podrapał się po zarosniętym policzku. Obserwowała go załoga zgromadzona wokół niego, piętnastu silnych, uzbrojonych i gotowych do akcji ludzi,

czekających na jego decyzję. Większość z nich już się podkręciła alkoholem; mieli czerwone głodne oczy i twarze skąpane w niebieskawym świetle holopola. Gdyby Khalid odwołał teraz atak, nikt by nie narzekał – wszyscy widzieli, że nie ma tu wiele do zdobycia. Uznaliby jednak, że cała ta wyprawa była błędem, za który odpowiedzialność ponosi wyłącznie Khalid. Ogromną stratą czasu, zapasów i paliwa. Może nie podejmą natychmiast żadnych buntowniczych działań, lecz w ich sercach zagnieździ się ziarno buntu. A za kilka miesięcy zaczną się szept i spiskowanie i zanim Khalid się zorientuje, obudzi się z poderżniętym gardłem wśród unoszących się w powietrzu kuleczek krwi.

Nie, odwołanie ataku nie wchodziło w rachubę. Jak głosiło porzekadło, sztuką była zamiana ołowiu w złoto – zanim złoto pozyskiwane z asteroid tak nasyci rynek, że jego wartość gwałtownie spadnie. Khalid wiedział, że tego właśnie brakło jego załodze. Mądrości. Świadomości momentu dziejowego. Intelktu. Nie byli to ludzie nieinteligentni, bo Khalid nie tolerował głupoty, ale w ich rozumowaniu nie było głębi. Nie byli analfabetami w tym sensie, że umieli czytać, lecz zupełnie nie interesowały ich książki, nauka ani poszerzanie własnych horyzontów. Rozmowy z jego załogą były boleśnie nudne i jałowe. Oczywiście istniały wyjątki. Maja miała dobrą głowę, dzięki czemu tak długo przetrwała wśród męskiej załogi. Ale pomocny okazał się w tym względzie też jej sztylet Srebrna Dama.

Khalid sięgnął w holopole i rozłożył dłonie, powiększając obraz nędznego statku. Teraz widział szczegóły, łącznie z nazwą wymalowaną na kadłubie z laserowym wiertłem, prowizorycznie zamontowanym z boku. W powiększeniu statek wyglądał jeszcze gorzej. Nawet asteroida, do której zakotwiczył, sprawiała żałosne wrażenie.

Khalid zaklął pod nosem. Miesiąc podróży do czegoś takiego. Paliwo, które zużył, by tu przylecieć, i paliwo, które będzie musiał zużyć, wracając na trasę, zostanie zmarnowane. Wewnątrz tego statku nie znajdzie nic wartościowego. Może jakieś błyskotki, ale nic, co pokryłoby koszty całej tej podróży.

Odwrócił się do załogi i pokazał na statek z radosną miną.

– I jak? Oto on w całej krasie. Zajmujemy go czy nie?

Kilku członków załogi wymieniło spojrzenia, bojąc się odezwać.

– Jest ledwie wart zachodu, bracie – odezwał się pogardliwym tonem Ibrahim, młodszy brat Khalida. – Spójrz na to wiertło. To relik. Nic za nie nie dostaniemy. Nie zawracałbym sobie głowy braniem go do ładowni. To złom. I wątpię, czy w środku jest coś wartościowego. Ci ludzie to kosmiczne szczury. W jakim języku jest ten napis? W rosyjskim? Nie znoszę Rosjan.

– Wątpię, czy to Rosjanie – rzekła Maja. – Statek mógł mieć kiedyś rosyjską załogę, ale potem przechodził z rąk do rąk. Nie wiadomo, kto jest w środku.

Khalid pomyślał, że Maja prawdopodobnie ma rację. Wewnątrz mógł być każdy.

– Bez względu na to, kim są, nie będą za bardzo się bronić – uznał.

– Ale po co zadawać sobie taki trud? – zapytał Ibrahim. – Co my tam znajdziemy? Trochę starych brudnych ubrań? Kilka puszek mięsa? To nie jakaś gra, bracie. Prędzej złapiemy od tych ludzi jakąś chorobę, niż zdobędziemy coś wartościowego.

Kilku członków załogi wymieniło spojrzenia. Widzieli już choroby – gorączkę, pęcherze, skutki działania wirusów. Takie choroby zabrały kilku ich towarzyszy.

Glupio powiedziałeś, Ibrahimie, pomyślał Khalid. Gdybyś tylko trzymał język za zębami, jak ci tyle razy kazałem... Jeśli się teraz wycofam, niektórzy uznają mnie za tchórza.

Maja chyba wyczuła frustrację Khalida, bo odezwała się w jego imieniu:

– Za dużo gadasz, Ibrahimie. To, że boisz się paru niedołącznych babć, nie znaczy, że powinniśmy odwołać akcję.

To wywołało śmiech kilku mężczyzn i wściekłe spojrzenie Ibrahima, ale zagwarantowało też efekt potrzebny Khalidowi.

– Mój młody brat słusznie jest ostrożny. Lecz śmiecie jednego człowieka to skarb innego. To prawda, że zawartość tego statku jest bezwartościowa, lecz sam statek mógłby przynieść nam fortunę.

Ibrahim miał czelność się na to roześmiać.

– Nigdy w ciebie nie wątpiłem, bracie. – Pokazał na hologram. – Ale jakim cudem zdołasz zmienić to w choćby jeden kredyt?

Khalid zmusił się do uśmiechu, chociaż wolałby ścisnąć bratu nos do krwi.

– Zadajesz dobre pytania, braciszku.

We wzroku Ibrahima znowu pojawiła się wściekłość. Nie znosił, kiedy go tak nazywano, kiedy traktowano go przy innych bez szacunku. Ostrożnie, pomyślał Khalid, bo gardło ci rozpląta nóż Ibrahima. Roześmiał się i objął brata ramieniem.

– Ty patrzysz na ten statek i widzisz wiadro nitów. Ja na niego patrzę i widzę coś o wiele wspanialszego. O wiele mocniejszego. O wiele cenniejszego. Bo ten statek, drogi bracie, to nie ryba, lecz robak.

Mężczyźni znowu wymienili spojrzenia, a Khalid prawie przewrócił oczami na ten ich brak wizji. Jak oni mogą być tak ograniczeni? Tak bezmyślni? Nawet Maja miała nieco niepewną minę.

Khalid odwrócił się do swojego nawigatora.

– Gucie, jestem ciekaw, czy w pobliżu są jakieś inne statki.

Gut postukał w swój terminal.

– Jest okręt desantowy MF w odległości miesiąca.

– Okręt desantowy MF, powiadasz? – rzekł Khalid z uśmiechem.

– Jeden z tych nowszych modeli, jeśli się nie mylę, tak? LX-40?

Gut sprawdził na swoim ekranie.

– Na to wygląda.

– LX-40 – powtórzył Khalid nieco teatralnie, jakby to było coś cudownego, jakby nie wymawiał nazwy okrętu, lecz oznajmiał jego wartość. – Oto zdobycz, bracia.

Prostacy znowu spojrzeli po sobie, tylko Ibrahim znalazł w sobie dość odwagi, żeby się odezwać:

– Proponujesz, bracie, żebyśmy zajęli LX-40? To by było samobójstwo.

Khalid się uśmiechnął. Teraz jego plan zyskał ostateczną postać. Owszem, był ryzykowny, a niektórzy mogliby go nawet nazwać głupim, lecz to był plan, który zmieniał ołów w złoto, plan, który uciszy każdego, kto by go kwestionował, plan, który

sprawi, że jego imię już zawsze będzie wywoływać w innych strach albo szacunek, albo podziw.

– Wyjaśnię później, bracia. Lecz najpierw zejdźmy na asteroidę i weźmy sobie tę cynową puszkę. Nie przebyliśmy tej całej drogi na darmo.

Załoga się nie sprzeciwiła. Wszyscy byli ciekawi, co tam mogą znaleźć.

„Shimbir”, złomiarz statek Khalida – pomalowany na czarno, by pochłaniał wszelkie błyski, z wygaszonymi wszystkimi własnymi światłami – zbliżył się do asteroidy od strony przeciwnej do zakotwiczonego statku górniczego. Następnie Khalid wysłał sondę szpiegową i zaczął czekać, aż górnicy wyłączyli wiertło i zgasili niektóre z zewnętrznych światła, co było sygnałem, że przygotowują się do snu. Potem odczekał jeszcze trzy godziny, by zyskać pewność, że górnicy śpią. Przeprowadzenie ataku okazało się łatwiejsze, niż sądził. Załoga nie była rosyjska. Górnicy mówili po portugalsku i prawdopodobnie pochodzili z Brazylii. Było ich tylko trzech. Jeden nawet nie miał ręki. Khalid pomyślał, że są dość żałośni, właściwie niewarci zachodu, i pozwolił swoim ludziom ich zabić. Szybko im poszło i żadnemu nie sprawiło to przyjemności – to był jeden z powodów, dla których Khalid dobrał sobie właśnie taką załogę. Ludzie, którzy lubią zabijać, są nie zrównoważeni, niebezpieczni i mają buntownicze zapędy. Najlepsze obsady były żadne łupów, a nie krwi. Następnie Khalid wyjaśnił swój plan. Zamierzał odlecieć tą puszką od asteroidy i wysłać sygnał wzywający pomocy. Wtedy zjawi się MF i go uratuje, a on zabije załogę i zawładnie modelem LX-40.

– Chyba nie mówisz poważnie – stwierdził Ibrahim. – Na tym statku będzie ze czterdziestu żołnierzy.

– Zapewne – odparł Khalid i wzruszył ramionami, jakby ta liczba nic dla niego nie znaczyła.

Ibrahim się roześmiał.

– I sam się na nich rzucisz?

– Jestem Khalid – rzekł Khalid, jakby to była wystarczająca odpowiedź.

Ibrahim czekał na zakończenie dowcipu. Kiedy się nie doczekał, stwierdził:

– Myślę, że to nie jest mądre, bracie.

– Nic dziwnego. Pod moją nieobecność podzielicie się z Mają dowództwem. Zostaniecie na asteroidzie przykryci plandekami. Ja będę dryfował w przestrzeni w odległości zaledwie tygodnia.

Plandeki były olbrzymimi płachtami w barwach ochronnych dopasowanych do skały i ukrywały statek przed obcym wzrokiem.

Khalid widział powątpiewanie nawet w oczach Mai, ale wiedział, że jeśli odda dowództwo i jej, i Ibrahimowi, to załoga go nie porzuci. Wzajemny strach przed sobą powstrzyma tych dwoje przed jakimkolwiek knuciem. Poza tym obietnica wielkiej zdobyczy była zbyt kusząca, by ją zlekceważyć.

Khalid nie marnował czasu. Załadował brazylijską puszkę żywnością i odleciał nią od asteroidy. Łatwo było uszkodzić statek w taki sposób, by nie zagrażało to układom podtrzymywania życia. Wywołał tylko usterkę głównych silników i wysłał wezwanie o pomoc. Miesiąc czekania się dłużył, ale w końcu LX-40 przybył i połączył się z puszką. Na jej pokład ostrożnie weszli uzbrojeni żołnierze Międzynarodowej Floty. Khalid miał mnóstwo czasu, by poznać brazylijski statek, zbadać jego dokumenty i historię i wymyślić swoją bajeczkę.

Kapitan LX-40 był Amerykaninem. Skrzyżował ramiona i patrzył nieufnie, ale Khalid grał rolę tchórza, którą, był pewien, kapitan kupi. Powiedział żołnierzom, że statek zaatakowały sępy i zabiły pozostałych dwóch członków załogi. Khalid z nimi nie walczył. Schował się z zapasami jedzenia w kanałach wentylacyjnych. Chciał wyjść i pomóc ich uratować, ale był słaby. Ma w Somalii rodzinę, pięcioro dzieci. Musi dla nich przeżyć. Musi wysyłać im pieniądze. Jeśli zginie, zginą i oni.

Amerykański kapitan zmarszczył brwi z obrzydzenia wobec takiego tchórzostwa. Khalid powiedział, że na statku nie ma nic wartościowego. Sępy wszystko zabrały i go uszkodziły. Kiedy odleciały, Khalid wypełził z kryjóWKi, odczekał tydzień i wezwał pomoc.

– Zostawimy cię w najbliższym składzie – oznajmił kapitan. – A przebywając na moim statku, będziesz płacił za jedzenie pracą i stosował się do moich zasad.

Khalid uklonił się i niemal rozpłakał z wdzięczności.

– Tak, panie kapitanie. Będę pracować, panie kapitanie, tak. Bardzo ciężko.

Amerykanin zmarszczył nos.

– Kiedy się umyje, dajcie mu jakieś inne ubranie. Nie kąpał się od miesiąca.

Zaprowadzono Khalida do kolumny prysznicowej, a kiedy się umył, dostał niebieski kombinezon MF. Później szturchał go i opukiwał lekarz, pobrał też krew, słuchał bicia serca Khalida i sprawdził gęstość jego kości. Khalid był gibki i szczupły jak większość Somalijszczyków, lecz w doskonałej kondycji fizycznej. Nakarmiono go i przydzielono mu koję w składziku. Khalid udawał uległego i wdzięcznego i wszystkich przepraszał za sprawiany przez siebie kłopot.

Zauważył, że statek jest cudem techniki. Został zbudowany nie tak dawno temu. Ściany i podłogi były nieskazitelnie czyste, okucia lśniły, wszystko pachniało nowością i świeżością. Nic dziwnego, że kapitan kręcił na Khalida nosem. Amerykanin miał życie usłane płatkami róż.

Khalid nie dowierzał swojemu szczęściu – został umieszczony w składziku z zapasami! Były tam żywność, woda, narzędzia.

Tej nocy wypełził ze śpiwora, który mu dano, uchylił drzwi i zobaczył tuż przy nich strażnika. A więc nie ufają mi w pełni, pomyślał. Nie są kompletnymi durniami.

Lecz strażnik nie przedstawiał żadnego problemu. Jeśli chwycić od tyłu ludzką szyję, łatwo ją wykręcić i złamać.

Khalid wciągnął ciało strażnika do składziku i wziął sobie jego identyfikator oraz broń.

Światła były wygaszone, a korytarz pusty. Większość załogi spała. Khalid załadował do worka wodę i jedzenie i przemieścił się na mostek. Identyfikator strażnika okazał się dobrą przepustką. Na służbie był tylko jeden żołnierz; stał przy holostole odwrócony plecami do wejścia. Co za lekkomyślność,

pomyślał Khalid. Co za arogancja.

Zastrzelił żołnierza ze slasera strażnika. Szybka i cicha śmierć. Następnie wyłączył magnetyczne buty trupa i odepchnął go na bok. Holostół z jego oknami danych, mapami, trajektoriami i ruchami statków wyświetlanymi w powietrzu nad nim spełnił wszystkie nadzieje Khalida. Skarbnica informacji.

Znalezienie potrzebnych komend zajęło mu chwilę. Do stacji, do której zmierzał okręt, przekazał laseliną opis usterki jednego z systemów pokładowych oraz informację, że mechanicy nad nią pracują. Następnie przerwał łączność i wyłączył układ podtrzymywania życia. Szum maszyn umieszczonych w ścianach ucichł z piskiem. Następnie rozległy się alarmy. Błyskały światła. Khalid uszczelnił drzwi mostka i obserwował ekrany nad holostółem, ukazujące rozmaite korytarze statku. Ze swoich kwater wychodzili chwiejnym krokiem zdeorientowani, wyrwani ze snu mężczyźni i kobiety. Większość miała na twarzach maski tlenowe, które byli nauczeni wkładać w takich sytuacjach. Lecz twarze części nie były niczym osłonięte. Potem poszło łatwo. Khalid po prostu zdalnie otworzył śluzy powietrzne i patrzył, jak załogę wysysa czerń przestrzeni kosmicznej.

Wszystko skończyło się w niecałą minutę. Niektórzy dzielnie walczyli, czepiając się czegokolwiek, zmagając się z tym, co nieuchronne, lecz przestrzeń kosmiczna nie ma litości i wkrótce korytarzem zawładnęła próżnia.

Nie zabił jednak wszystkich. Część żołnierzy nie opuściła swoich kwater i utknęła w środku. Ale na tę grupę nie zwracał uwagi. Wkrótce i tak się uduszą. Niepokoili go żołnierze ocaleni przez drzwi awaryjne, które odcięły pewne rejony okrętu. Już się organizowali i wybierali spośród siebie przywódcę. Trzej z nich mieli broń. Prawdziwi wojownicy.

Khalid obserwował ich, zastanawiając się, czy warto by któregoś sobie zatrzymać. Ale nie. Jak mógłby im zaufać? Jak mógł mieć pewność, że nie uduszą go w nocy? Byli żołnierzami z powołania. Nie można było ich przekabacić. A nawet gdyby dało się to zrobić, nie było to warte ryzyka pomyłki.

Sprawdził swój slaser, poszukał w worku noża, który wyniósł ze składziku, a potem opuścił mostek i zaczął brudną robotę. Zajęła mu ponad godzinę i nie podobała się mu. Było głośno, ślisko i podniosło mu się ciśnienie. Ostatni był amerykański kapitan. Tylko przypadkiem przeżył do końca. Szlochał i błagał, i tylko jego śmierć dała Khalidowi niejake poczucie zadowolenia, bo taki człowiek nie zasługiwał na noszenie żadnego munduru.

Wrócił na mostek, usiadł i otworzył puszkę brzoskwiń wyjętą z worka; syrop był tak słodki, że niemal przyprawił go o ból głowy. Następnie uruchomił łączność i wysłał laselinę do MF z wyjaśnieniem, że okręt potrzebuje części, których nie ma na pokładzie, i że on, kapitan, kieruje go do innego portu, żeby dokonać napraw. Następnie zmienił kurs i cofnął się do asteroidy.

Ze swoją załogą spotkał się dwa dni później. Statki się połączyły i Ibrahim przywitał go przy rękawie, chwytając zgodnie ze zwyczajem jego przedramię.

– Nosisz teraz błękit, bracie?

– I trochę czerwieni, jak widzę – dodała Maja.

Pojawiła się przy Ibrahimie i powiodła palcem po już wyschniętym rdzawobrazowym rozbryzgu krwi na piersi Khalida.

– Mam nadzieję, że nie uszkodziłeś mojego statku – zwrócił się do Ibrahima.

Ibrahim wyjął słuchawkę z ucha i z uśmiechem podał ją swojemu kapitanowi.

– Nie wygląda gorzej, niż wyglądał.

Ibrahim przepłynął rękawem i przyjrzał się wnętrzu okrętu, gwizdząc z podziwu.

– Prawdziwy liniowiec, bracie. Powiedziałbym, że prosto ze stoczni. – Odetchnął głęboko. – Nawet pachnie nowością. – Postukał w gródź, która odezwała się głębokim metalicznym brzmieniem. – Zbudowany na wojnę. Wytrzyma mocny ogień. I podobno jest szybszy od słońca.

– Nawet nie zbliża się do prędkości światła – rzekł Khalid – ale jest szybszy od większości statków, jakie można tu spotkać. I ma

osłony.

Ibrahim klasnął dwa razy z radości i się roześmiał.

– Mówiłem ci, że jesteś szalony, bracie. Powiedziałem, że poślą cię prosto do grobu. Bez sędziego, bez ławy przysięgłych, tylko igła w ramię i śmiertelny koktajl. Żadnym sposobem nie pozwolą ci nosić błękitu. Potrafią wyczuć sępa z odległości miliona klików. A tu patrzcie na niego, odstawiony jak sam Polemarcha. – Znowu klasnął i spojrzał wzdłuż korytarza, zacierając ręce jak dziecko, które nie może się doczekać otwierania prezentów. – Który jest mój pokój? Mam nadzieję, że najbliższy kuchni. A może po prostu powieszę mój hamak tutaj. Mogę się założyć, że kapitan takiego okrętu ma czekoladę.

– Nie zajmujemy tego okrętu – oznajmił Khalid.

Uśmiech Ibrahima zniknął w mgnieniu oka.

– Ale...

– Okręt zostawia ślad. Wyśledzą nas.

– Proszę bardzo! Niech przyleci cała flota. Uciekniemy im.

– Mają okręty równie szybkie jak ten – rzekł Khalid. – A jeśli go zajmiemy, będą wiedzieć, czego mają szukać. Złapaliby nas przed upływem pół roku. Nie, ogołocimy go, wyczyścimy do kości i zostawimy dryfującego w przestrzeni. A potem z powrotem znikniemy w czerni, a oni nie będą mieli żadnego tropu. Zadekujemy się gdzieś i zamontujemy na „Shimbira” napęd i generator osłon.

– Ale... – Ibrahim rozłożył szeroko ręce, pokazując na otaczające go ściany. – Spójrz na to, bracie. To jest pałac, pałac zbudowany z wysokich podatków, które ściskają nasz kraj jak imadło. Chcesz to wybaczyć? Chcesz to odrzucić?

Khalid zdjął mundur MF, bo z rękawa dokującego wyszła Maja z jednym z jego kombinezonów. Pozwolił jej, by pomogła mu go włożyć, podczas gdy on odpowiadał Ibrahimowi:

– Jesteś jak małpka, która sięga przez mały otwór w ścianie pudełka, by chwycić orzech. Jej dłoń zaciśnięta na orzechu jest za gruba, żeby wyjąć ją z pudełka. Małpka skrzeczy, miota się i wpada w panikę, ponieważ słyszy, jak przez zarośla przedzierają się łowcy małp z ciężkimi pałkami. Gdyby małpka

upuściła orzech, mogłaby wyciągnąć dłoń i z łatwością uciec. Ale głupia małpka nie chce zrezygnować ze zdobyczy i łowcy rozbijają jej głowę i mózg na miazgę. Ja lubię swój mózg, Ibrahimie. Nawet mógłbym polubić twój, gdybyś od czasu do czasu go użył.

– No to po co to zrobiliśmy? – zapytał Ibrahim. – Powiedziałeś, że bierzemy ten statek, bracie.

– Bierzemy to, co ma jakąś wartość. Układ napędu, holostół, układ podtrzymywania życia i generatory osłon. Zainstalujemy to wszystko w „Shimbirze”.

– Ale w porównaniu z tym okrętem „Shimbir” to złom.

Khalid uderzył go na odlew. Cios nie był tak mocny, jak mógłby być, ale ponieważ Ibrahim nie miał włączonych magnesów w butach, zakręcił się i odpłynął w stronę przeciwległej ściany, odbił się od niej i wreszcie chwycił się niezdarnie któregoś z uchwyty. Dotknął kącika ust i przyjrzał się czerwonym opuszkom palców.

– „Shimbir” to twój dom – rzekł Khalid. – Masz go szanować. A teraz zbierz ludzi i opróżnijcie ładownię „Shimbira”. Wyrzucicie wszystko, co można. Zróbcie miejsce. A potem zorganizuj zespół i wróć tutaj, żeby zacząć demontaż wszystkiego, co się da. Ale ostrożnie. Niczego nie uszkudźcie. Ten łup nie jest dla właścicieli lombardów ani zbieraczy złomu. Jest dla nas. Czy proszę o zbyt wiele, braciszku?

Ibrahim znowu wytarł usta i zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że nie, bracie. Wszystko dla mądrego i potężnego Khalida.

Odbił się w stronę rękawa dokującego i zniknął w jego wnętrzu.

– Jesteś dla niego zbyt surowy – odezwała się Maja. – Moim zdaniem to niemądre.

– Tak? A dlaczegoż to?

– Nawet mali bracia mają granice wytrzymałości.

Khalid bez słowa zapiął kombinezon. Maja przysunęła się do niego i powiodła palcem po jego podbródku.

– Miesiąc nieobecności to dużo, Khalidzie. Było ci smutno i zimno w tej puszczy? Czy twoje ciało tęskniło za ciepłem?

Khalid poczuł budzące się pożądanie, ale wołał go nie słuchać.

– Było cicho – odparł i delikatnie odsunął rękę Mai. – Zapomniałem, jakim rzadkim darem może być cisza.

Maja spojrzała na niego z rozczarowaniem, a potem odwróciła się i dołączyła do załogi opróżniającej ładownię. Khalid uśmiechnął się do siebie. Uświadomił sobie, że ma teraz w sobie moc, że wzbudza szacunek. Wyczuwała to nawet zimna Maja. Przepełniło ją to pożądaniem, a Khalid ją odrzucił. Odrzucił kobietę, która chciała mu się oddać. O mały włos się nie roześmiał na tę myśl. Dawny Khalid poddałby się w jednej sekundzie, lecz ten nowy – nie. Prawdziwy Khalid był silniejszy niż rozpaczliwe wołanie ciała. Nie, teraz nic nie może osłabić jego woli.

Cztery dni później okręt MF został ogołocony z całego podstawowego wyposażenia i porzucony. Khalid i Ibrahim zaszyli się w kajucie Khalida, gdzie został zainstalowany holostół MF. W powietrzu nad nim unosiły się mapy gwiazd i odczyty danych. Kopalnia informacji. Cała Międzynarodowa Flota na zawołanie Khalida. Ibrahim nie posiadał się z zachwytu.

– Spójrz na to, bracie. To żyła złota. Dzięki tym danym możemy unikać ich okrętów. Możemy uderzać w najsłabsze punkty ich linii zaopatrzenia. Teraz to będzie łatwe.

Khalid poklepał brata po policzku, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

– Oczywiście, że będzie to łatwe, bracie. Jestem Khalid.

Rozdział 16

PANCERZ

Do: imala.bootstamp%ch@mfc.com.gov/flotacom/gagak

Od: ketkar%polemarcha@mfc.com.gov

Temat: Pani rozkazy

Zostałem poinformowany, że odkrycia Edimar Querales związane z ruchami wroga mogą być dokładne. Wykorzystaliśmy dostarczone przez nią informacje i podejrzewamy, że zbliża się osiem statków baz – cztery znad i cztery spod płaszczyzny ekliptyki.

Jeszcze nie potwierdziliśmy, ile formidzkich ministatków zajęło asteroidy w Układzie, lecz mamy pewność co do przynajmniej jednej poza 2030CT. Sonda MF znajdująca się w pobliżu jednej z asteroid wspomnianej w raporcie Edimar zapewniła wizualne potwierdzenie. Wysłaliśmy dodatkowe sondy i załogowe statki, by zbadały inne asteroidy, lecz żadna z tych jednostek nie znajduje się tak blisko swojego celu jak wy. Nakazuję zatem wysłanie Victora Delgado w zmodyfikowanym szybkostatku do asteroidy 2030CT. Ma przebić się przez skorupę i przeprowadzić rozpoznanie, zbierając informacje na temat warunków panujących na asteroidzie oraz liczebności i uzbrojeniu wroga. Ma przekazywać obraz na żywo, który Pani załoga ma mi natychmiast przysyłać.

Ponieważ nie możemy wysłać we wrogie środowisko cywila, Victor Delgado zostaje powołany do Międzynarodowej Floty ze skutkiem natychmiastowym. Stopień: E2. Wrazie wydania przeze mnie odpowiedniego rozkazu Pani załoga powinna być przygotowana do otworzenia ognia do asteroidy z wszelkiej osiągalnej broni. Proszę poczynić konieczne przygotowania.

Ketkar

Victor zderzył się ramieniem ze ścianą i stęknął z bólu. Odbił się i popłynął z powrotem w stronę środka ładowni, zdezorientowany i do góry nogami. Poruszył na próbę ramieniem. Na szczęście nie poczuł przeszywającego bólu ani tarcia złamanej kości, tylko lekkie odrętwienie po uderzeniu. Wydawało się, że pancerz chyba jednak działa.

Przyciągnął ręce do ciała i musnął kciukiem regulator prędkości. Małe silniki na plecach pancerza uwolniły akurat tyle mocy, żeby go ustawić w pozycji pionowej i pchnąć w stronę najbliższej ściany. Victor chwycił się rączki i złapał oddech.

– Nie krzyczysz z bólu – rzekł Magoosa. – To dobry znak. – Stał na podłodze i obserwował Victora z dołu. – Ale nie jestem pewien, czy to najlepszy sposób testowania tego pancerza.

– Nie zderzyłem się ze ścianą celowo, Gooso – odparł Victor. – Tak naprawdę usiłowałem wylądować.

– W takim razie zaliczam ci lądowanie na zero. To i tak ocena na wyrost.

– Cóż, chciałbym zobaczyć, jak ty w tym skaczesz.

– Nie mogę – powiedział Magoosa. – Pancerz jest dopasowany do twojego ciała. Chociaż zaczynam myśleć, że bardziej się nadaje do łamania ci kości niż ich ochrony.

– W gruncie rzeczy spisał się dość dobrze – stwierdził Victor. – Bez niego prawdopodobnie bym sobie coś złamał.

– Gdybyś nie miał go na sobie, nie wpadłbyś na ścianę.

To prawda, pomyślał Victor. Zewnętrzny pancerz idealnie pasował nałożony na górniczy skafander, ale trzeba się było do niego przyzwyczaić. Była to duża dodatkowa masa i odbijanie się w nim oraz lądowanie wymagało od nóg Victora sporo siły. Skakał między ścianami dopiero kwadrans, ale mięśnie czworogłowe, ścięgna skokowe i łydki paliły go jak ogniem. Szło mu jednak coraz lepiej. Jego pierwsze skoki były śmiechu warte, ale teraz już przynajmniej potrafił obracać ciało tak, jak zamierzał. Nie robił tego tylko wystarczająco swobodnie.

Kiedy ustawiał się do kolejnego odbicia, w ładowni pojawiła się

Imała i z wściekłą miną podała mu swoją nakładkę na nadgarstek.

– Nasze rozkazy – powiedziała.

Przeczytał e-mail wyświetlony na ekranie. Dowiedział się z niego, że został powołany do Międzynarodowej Floty. Oddał Imali urządzenie.

– Spodziewałem się tego.

– Tak?

– Gdyby wysłali cywila we wrogie środowisko, MF mogłaby zostać obciążona odpowiedzialnością za wszystko, co się tam wydarzy. Naraziłaby się na rozmaite cywilne sprawy sądowe. A czyniąc ze mnie żołnierza, zmienia wszystko w rutynowe działania. Mogą ze mną zrobić, co zechcą.

– Nie jesteś zły?

– Nie mam na to żadnego wpływu, Imało. Wpadanie w złość mi nie pomoże. Bardziej się martwię o załogę. Wie o tym?

– Najpierw przyszedł do ciebie. Nikomu się nie spodoba, że zostałeś wcielony do floty. Ludzie będą się martwić, że potem przyjdzie kolej na nich, że MF oderwie ich od dzieci. Powinniśmy zebrać wszystkich na mostku i wysłuchać ich zastrzeżeń, bo inaczej będą burczeć za naszymi plecami.

– A możesz mieć im to za złe? – zapytał Victor. – Polemarcha ma tyle taktu co puma. Nie ma dobrego kontaktu z cywilami. Wydaje się bezduszny, obojętny i trochę despotyczny. Po prostu wydaje rozkazy i spodziewa się, że zostaną wykonane.

– Tak działa wojsko, Vico. To jego świat.

– Wiem. Ale nie zaszkodziłoby mu, gdyby był nieco bardziej wrażliwy. Na statku jest sporo kobiet i dzieci. Co zamierzasz zrobić?

– Poproszę Arjunę, żeby przeczytał wszystkim te rozkazy. Załoga jest już nastawiona do mnie trochę wrogo. Ilekroć wydaję na mostku jakieś polecenie, ludzie gderają i przewracają oczami. Jeśli te rozkazy przeczyta Arjuna, może nie będą wydziwiał tak głośno.

– Dobry pomysł – stwierdził Victor.

– Kiedy możemy polecieć? – zapytała Imała.

– Szybkość jest gotowy. Będzie ciasno, ale powinniśmy się zmieścić oboje. Będziesz jednak potrzebowała pancerza, nawet jeśli zostaniesz w szybkości. Nikt nie powinien zbliżyć się do skorupy bez całkowitej ochrony. Będę na to potrzebował przynajmniej trzech dni. Czy MF zaczeka tak długo?

– MF nie ma wyboru – odparła Imala. – Jeśli nie jesteśmy gotowi, to nie jesteśmy gotowi. Bardziej martwię się o załogę. Ludziom nie podoba się, że są tak blisko wroga. Wszyscy czują się odsłonięci i bezbronni.

– Porozmawiaj z Arjuną – zasugerował Victor. – Poproś, żeby przeczytał te rozkazy i pomógł ci zapanować nad załogą.

– Nie będziesz próbował odwieść mnie od zamiaru wylotu z tobą?

– Próbowałem. Nie pomogło. Poza tym jestem teraz we flocie. Nie mogę się sprzeczać z moim dowódcą.

– Technicznie mamy tę samą szarżę.

– Tak, ale ty jesteś kapitanem, więc masz nade mną władzę. – Victor się uśmiechnął. – Miło jednak mieć tę samą szarżę. To oznacza, że nadal możemy legalnie umawiać się na randki.

Zgromadzili wszystkich na mostku. Arjuna jeszcze nie skończył czytać rozkazów, kiedy rozległy się sprzeciwy.

– Powołany? – powiedziała Sabad. – Więc teraz mogą wziąć kogo chcą? Nie mamy nawet wyboru? To tak to działa? Najpierw zabierają nasz statek, a teraz kradną nam załogę? Kogo zabiorą w następnej kolejności? Arjunę? Mnie? Cojo? – Pokazała na niemowlę śpiące w uprząży przy jej piersi.

– MF nie zabierze naszych dzieci – rzekł Victor.

– Może nasze dzieci nie, ale co ich powstrzyma przed odebraniem naszym dzieciom nas? – zapytała Julexi.

– Gdyby zamierzali to zrobić, już by do tego doszło – powiedział Victor. – Mogliby powołać wszystkich, którzy ukończyli osiemnaście lat, ale tego nie zrobili. Powołali tylko jednego z nas i moim zdaniem to nie jest przypadek, że wybrana przez nich osoba jest jednym z samotnych dorosłych członków załogi. Ja nie

mam dzieci. Nie mam żony. Jestem w wieku większości rekrutów. Poprosili mnie, ponieważ jestem najmniej uwiązany.

– Poprosili cię, ponieważ masz doświadczenie w walce z Formidami – sprostował Naishihi. – Już to z powodzeniem robiłeś.

– Tak, ale chodzi mi o to, że poprosili tylko jednego z nas – rzekł Victor. – Gdyby nie obchodziły ich nasze dzieci albo nasze obowiązki jako rodziców, powołaliby cały pluton i wysłaliby tam nas wszystkich razem. Pod względem strategicznym byłoby to lepsze wyjście, ponieważ gwarantowałoby o wiele lepsze rozpoznanie niż w wypadku pojedynczego żołnierza. Lecz nie zrobili tego. W tej chwili szczególnie dbają o opinię publiczną, a wcielanie do wojska rodziców małych dzieci nie zapewni im popularności na Ziemi.

Nikt się temu nie sprzeciwił.

– On ma rację – rzekł Arjuna. – A z rozważania, co robi albo czego nie robi MF, nic nam nie przyjdzie. Otrzymaliśmy rozkazy. I tak po to tu przylecieliśmy.

– Ale nie robimy tego po swojemu – odezwała się Julexi. – Rozkazy wydaje MF.

– Zasadniczo i tak zamierzaliśmy to zrobić – powiedział Victor. – Moim zdaniem dobrze się składa, że się w to zaangażowali. I tak zbieralibyśmy dla nich informacje.

Sabad spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Nie możesz mówić „oni”, jakbyś do nich nie należał. Teraz jesteś jednym z nich.

– MF nie jest naszym wrogiem, Sabad – zauważył Arjuna. – Jest tylko jeden wróg – Formidzi. Rasa ludzka musi współpracować, bo inaczej nie będziemy mieli szans.

– I tak ich nie mamy.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk zgody.

– Jeżeli MF chce współpracować, to może to robić bez dyrygowania nami – odezwała się Ubox. – Wydawanie rozkazów nie jest jedynym sposobem współpracy.

Kolejne pomruki zgody.

– Dlaczego mamy się godzić na to, by zawładnęli naszym

statkiem i mówili nam, jak mamy go używać? – zapytał Naishihi.
– Wiemy to lepiej od nich.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, wylewając nagle wszystkie swoje zale i całą irytację. Arjuna zamachał rękami.

– Dosyć!

Tłum się uspokoił.

– Otrzymaliśmy rozkazy – powiedział Arjuna. – Imala wiele razy proponowała, że odda mi stanowisko kapitana. Wszyscy o tym wiecie. Odmówiłem. Musimy współpracować z flotą. Zapomnieliście, po co ona istnieje? Jej jedynym celem jest chronienie nas. Możecie się nie zgadzać z niektórymi jej decyzjami, może wam się nie podobać, że wygląda na to, jakby traktowali nas z góry, ale bylibyśmy głupcami, gdybyśmy odtrącili ludzi, którzy chcą oddać życie, by uratować nasz dom. Nie będę tolerować u nikogo takiej postawy. Widzę, jak patrzycie na Imalę, narzekacie na jej rozkazy, rzucacie spojrzenia z ukosa i szepczecie za jej plecami. Zanim objęła to stanowisko, była najbardziej lubianą osobą w tej załodze. Nikt z was nie kwestionował jej lojalności wobec tej rodziny. Teraz traktujecie ją jak jakiegoś pariasa. A wszystko dlatego, że została postawiona w sytuacji, na którą nie miała wpływu. Czy tak szybko odwracamy się plecami do kogoś z naszych? Od kiedy tu przybyła, Imala pracowała tak ciężko jak każdy z nas, jeśli nie ciężiej. Kilka razy ocaliła nam skórę podczas negocjacji finansowych i zawiaduje naszymi kredytami o wiele lepiej ode mnie. Traktuje wszystkich was jak swoją rodzinę. A to, co teraz widzę, wygląda mi na początki buntu. To się musi natychmiast skończyć. W tej chwili. To jest statek Międzynarodowej Floty. Może się to wam nie podobać, ale takie są fakty, i dlatego będziemy traktować naszego dowódcę z szacunkiem, bo inaczej będziemy musieli się liczyć z konsekwencjami. Nie wygramy tej wojny. Wygra ją Międzynarodowa Flota. A jeśli potrzebuje do tego naszej pomocy, to ten statek jej udzieli.

Zapadła cisza. Nikt się nie odzywał. W tłumie było widać kilka upartych twarzy, lecz stanowiły one zdecydowaną mniejszość.

Do przodu wystąpiła Imala.

– Victor potrzebuje trzech dni na przygotowanie sprzętu. Wtedy wystartujemy. Do tego czasu nadal będziemy prowadzić ćwiczenia z laserem. Jeśli MF rozkaże nam zaatakować, będziemy gotowi. Rozejść się.

Ludzie wrócili do swoich zajęć, a Victor zbliżył się do Imali, która tkwiła przy holostole.

– Dziękuję – powiedziała Imala do Arjuna. – Jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie.

– Świetnie sobie radzisz – rzekł Arjuna. – Problem stanowi załoga. Nigdy przedtem nie znajdowała się w takiej sytuacji, a niewiadoma prowadzi do strachu. Zapewnij bezpieczeństwo Victorowi. My będziemy gotowi z laserem.

Uścisnął uspokajająco jej ramię i odpłynął.

– Dobrze, że Arjuna zajął takie stanowisko – powiedział Victor. – Zaczęły się pojawiać widły i pochodnie.

– Nie rozumiem, dlaczego MF nie mianowała kapitanem jego – stwierdziła z goryczą Imala. – Ja nie mam odpowiednich kwalifikacji.

– Owszem, masz – odparł Victor. – Sprawdziłaś się już w walce z Formidami. Jesteś doskonałą negocjatorką oraz najlepszym pilotem, jakiego widziałem. MF ceni wszystkie te cechy.

– Tak, ale nie jestem dowódcą. Nie jestem naturalnym przywódcą jak Arjuna. A to ma tu znaczenie.

– Uczysz się tego. Arjuna zaś jest dobrym nauczycielem. Trochę żałuję, że to nie on jest Polemarchą.

– A ja tego żałuję z całego serca. – Imala odwróciła się do holostolu i zaczęła wystukiwać odpowiedź do Ketkara. – Powiem mu, że potrzebujemy kilku dni na przygotowania.

– Jak skończysz, zejdź do warsztatu. Muszę zdjąć formę z twojego ciała, żeby zrobić dla ciebie pancerz.

Spojrzała na niego sceptycznie.

– Spokojnie. Będiesz miała na sobie górniczy skafander. Niestety.

Victor mrugnął do Imali i opuścił mostek.

Na korytarzu czekała na niego matka.

– Vico...

Chwycił się poręczy i odwrócił do niej.

– A więc zostałeś powołany do wojska – powiedziała.

– Wiesz, dlaczego to zrobili, matko.

– Owszem, wiem, ale nie zgadzam się z Arjuną. Nie zamierzam o tym szeptać po kątach, lecz rozumiem, dlaczego inni są wściekli. Nie musimy akceptować wszystkich decyzji MF.

– Czy tak samo by się czuli, gdyby powołano kogoś innego? – zapytał Victor. – Może Arjunę? Albo Naishihiego?

– Jesteś moim synem. To oczywiste, że to przede wszystkim ja sprzeciwiam się powołaniu cię do wojska. Ale to nie zmienia faktu, że flota traktuje nas jak wosk. Zawsze działaliśmy z dala od świata, Vico. Dlatego nazywamy się wolnymi górnikiem, bo jesteśmy niezależni od jakiegokolwiek narodu, rządu czy organizacji. To my określamy, kim i czym jesteśmy. Rządzimy się sami. Jakże MF ma prawo do przejęcia tego statku? Czy cały Układ Słoneczny i wszystko, co się w nim znajduje, jest jej własnością, żeby MF mogła sobie brać, co jej się żywnie podoba? – Victor otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz matka nie dopuściła go do głosu: – I nie cytuj mi jakiejs ustawy handlowej, dokumentu czy statutu. One nic nie znaczą. Zostały wymyślone przez ludzi po to, by sprawować nad nami kontrolę. Kto w ogóle dał im prawo do sporządzania takich dokumentów? Na pewno nie my. To, że mówią, że mają nad nami władzę, nie czyni tych słów prawdziwymi. Jeśli napiszę, że wszyscy włoscy wolni górnicy muszą płacić nałożony przeze mnie podatek, to naprawdę spodziewałbyś się, że go zapłacą?

– To co innego, matko. Zbliża się flota Formidów. Możliwe, że inna ich flota już tu jest. Zjednoczenie naszych wysiłków sprawia wrażenie mądrego posunięcia.

– A kiedy to wszystko się skończy, kiedy Formidzi zostaną pokonani, to co będzie dalej? Myślisz, że MF tak po prostu się rozwiąże i dobrowolnie odda całą władzę, jaką zdobyła?

– Nie bardzo się nad tym zastanawiałem. W tej chwili wszyscy staramy się przede wszystkim przeżyć.

– Powiem ci, co się stanie. MF nadal będzie uzasadniać swoje istnienie. Będzie umacniać swoją władzę i zachowywać się jak

ciało rządzące przestrzenią kosmiczną. A z nami, z jej wolnymi obywatelami, będzie postępować wedle swojego widzimisie. W najlepszym razie będzie nas traktować z pogardą, a w najgorszym – wcieli nas do swoich szeregów.

– Czy byłeś taka zła, matko, zanim wcieliła do swoich szeregów twojego syna?

Matka westchnęła i przez chwilę milczała.

– Straciłam twojego ojca, Vico. A podczas ostatniej wojny, kiedy toczyła się ostateczna bitwa, w której brałeś udział, wymiotowałam. Nie miałam pojęcia, co się z tobą dzieje ani czy nawet żyjesz. Nie spałam. I nie miałam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać lub u kogo mogłabym poszukać pociechy. Teraz dwie najważniejsze osoby w moim życiu wstąpiły do armii, a ja nie wiem, jak to wpłynie na ich przyszłość. Oboje zamierzacie stawić czoło statkowi pełnemu Formidów, a ja nic nie mogę na to poradzić.

– Po to tu przybyliśmy, matko.

– Nie, przybyliśmy tu po to, żeby umieścić tam kilka kamer. Prowadzenie rozpoznania to zadanie dla żołnierzy. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy tam po prostu posłać sondy.

– Sondy nie są konstruowane do takich działań. To są rakiety. Mają przebywać wielkie odległości przed statkami i prowadzić rozpoznanie. Nie są zaprojektowane do przeciskania się przez wąskie, skaliste, kręte przesmyki. I pewnie sonda nie zmieściłaby się w tych tunelach. Zakładając, że one tam są.

– To zbuduj coś, co będzie działało. Może jakiegoś małego drona... Nie ma potrzeby narażać się na niebezpieczeństwo.

– Będę miał pancerz, matko. W szybkostatku będzie czekać Imala. Cenię swoje życie tak samo jak ty. Nie będę podejmował niepotrzebnego ryzyka. To potrwa tylko kilka godzin.

– A potem co? Ty i Imala przyłączycie się do floty?

– Nie wiem. Na przemyślenie tego wszystkiego miałem jakieś trzynaście minut.

Ujęła go za ręce i delikatnie je ucisnęła. Na jej twarzy malowała się troska.

– Nic mi się nie stanie, matko. Będę miał Imalę. Czy wolałabyś,

żeby chronił mnie ktoś inny?

– Ale to rozpoznanie, Vico... Tunele...

– Nie mamy pewności, czy tam są tunele. To tylko domysły. Będę uzbrojony. Jeśli powietrze nie będzie palne, posłużę się laserem. Na bliską odległość będzie bardzo przydatny.

– A jeśli powietrze będzie palne?

Pocałował ją w policzek.

– Miej wiarę, matko.

– Ale nie ślepą wiarę, synu. Wiara to działanie. To robienie czegoś. Tworzenie tego, czego potrzebujemy, i wierzenie, że Bóg będzie na tyle miłosierny, i nam to kiedyś da.

– I to właśnie robimy. Działamy.

Victor uścisnął dłonie matki i odbił się w stronę warsztatu.

Trzy dni później, w przeddzień startu, Victor i Imala spotkali się w ładowni, by przymierzyć pancerze i zrobić ostateczne poprawki. Najpierw włożyli górnicze skafandry, a potem osłony.

– Czuję się jak latający czołg – stwierdziła Imala.

– Wyglądasz, jakbyś wybierała się na wybieg – rzekł Victor. – Na pani, kapitan Bootstamp, dobrze leży nawet sprzęt bojowy – dodał i zagwizdał.

Imala przewróciła oczami.

– To jest frywolne zachowanie, panie chorąży Delgado. Czy muszę zacytować przepisy MF dotyczące tego, jak podwładny ma się zwracać do swojej przełożonej?

– Jeśli pozwoli mi to wpatrywać się w twoją twarz, to możesz wyrecytować cały regulamin.

– Skup się, urodzony w kosmosie.

Victor skinął głową.

– Pancerz nie krępuje ruchów. Sprawia takie wrażenie, ponieważ ma sporą masę. Ale projekt jest zgrabny i funkcjonalny.

Imala poruszyła rękami, jakby była ptakiem, starając się przyzwyczaić do osłony.

– Chciałabym mieć kilka miesięcy na trening. Nie powinno się dawać żołnierzowi nowego sprzętu w przeddzień misji. Nie

przeszłam podstawowego szkolenia, ale tyle wiem. W ten sposób popełnia się błędy. Mazerowi to by się nie podobało.

– Nie mamy wielkiego wyboru. Proszę, to jest hełm.

Sięgnął w bok i odczepił hełm od stołu. Był zrobiony z tego samego stopu co pancerz.

– Jak mam w nim cokolwiek widzieć? – zapytała Imala. – Jest z litego materiału. Nie ma przyłbicy.

– Lity hełm daje najlepszą ochronę przed wysoką temperaturą. Z przodu, gdzie powinna się znajdować przyłbica, są wbudowane bardzo małe kamery. Przekazują obraz otoczenia do panoramicznego wyświetlacza wewnątrzhełmowego. Będziesz prawie miała wrażenie, że w ogóle nie masz na sobie hełmu.

– Skąd wzięłeś te kamery?

– Ze skanerów. Nie mów Arjunie.

Włożył jej hełm na głowę i zespolił go ze skafandrem. Imala pokręciła na próbę głową i zwróciła ją przodem do Victora, który włożył i zamocował własny hełm. Przed jego oczyma ożył wyświetlacz i interfejs.

– Słyszysz mnie? – zapytał.

– Tak.

– Dobrze. Najpierw spróbujemy kilka prostych odbić.

Pokazał na drugi koniec pomieszczenia, gdzie na ścianie tuż pod uchwytem dla rąk umocował kilka piankowych mat.

– Twoim celem są te maty. Podziękujesz mi, że je tam zamontowałem. Do odbijania trzeba się przyzwyczaić. Lądowanie jest jeszcze trudniejsze.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że na asteroidzie nie będzie żadnych pianek – powiedziała Imala. – Będą tam tylko bezlitosny lód i skała.

– Gdy próbuję tłumaczyć, wszystko się wydaje trudniejsze niż w rzeczywistości. Chodzi o to, żeby używać nóg z większą siłą niż zwykle. Załapiesz pewnie dopiero po kilku próbach, więc się nie zniechęcaj.

Oczywiście Imala zrobiła to idealnie za pierwszym razem. Przykucnęła, odbiła się i wylądowała miękko na piance, z łatwością chwytając się poręczy. Odwróciła się do Victora.

– I jak?

Victor roześmiał się do siebie.

– Powiedziałbym, że głupim szczęście sprzyja, ale za dobrze cię znam. Możesz skoczyć z powrotem?

Wylądowała zwinnie obok niego.

– To powinno być dla ciebie trudniejsze – stwierdził Victor.

– Jesteś dobrym nauczycielem – odparła Imala, klepiąc go delikatnie w czubek hełmu.

– Tobie się to podoba, tak?

– Ogromnie – przyznała i jeszcze raz poklepała go protekcyjnie po hełmie.

Po dziesięciu minutach bezbłędnego skakania tam i z powrotem przeszła do pełnych obrotów ciała, posługując się napędem umieszczonym na plecach skafandra. Skoczyła, obróciła się, wylądowała stopami na przeciwległej ścianie i, wykorzystując swój impet, przykucnęła i natychmiast znowu się odbiła. Po godzinie oboje śmiali się radośnie, bo trafiali w każdy wyznaczony sobie cel i lądowali na nim stopami. W końcu zdjęli hełmy i stanęli na podłodze, żeby złapać oddech.

– Jutro nie podejmuj żadnego ryzyka – powiedziała Imala. – Na widok wroga masz wyjść. Mówię poważnie, Vico. Jeśli rozkażę ci się wycofać, masz się wycofać. Masz mi dać na to słowo.

– Nie śmiałybym nie posłuchać mojego dowódcy – zapewnił Victor z uśmiechem.

Imala zmarszczyła brwi.

– Ja nie żartuję, Victorze. Jeśli zależy ci na moim szczęściu, to będziesz na siebie uważał.

– Wrócimy oboje, Imalo. Obiecuję ci to.

Pocałował ją delikatnie w czoło, po czym każde z nich udało się pod prysznic i na nocny spoczynek.

Victor nie spał dobrze. Był źle przygotowany i miał tego świadomość. Ale cóż więcej mógłby zrobić? Gdyby wiedział, co się znajduje pod skorupą, mógłby wymyślić jakąś strategię, zbudować broń odpowiednią do sytuacji, spakować przydatny sprzęt... A tak szedł na ślepo. Choć wielkość asteroidy przemawiała na jego korzyść. Formidzki ministatek też

przywiózł zapewne niewielką załogę, bo w środku prawdopodobnie nie mieściło się wielu obcych. Czyli szanse na natknięcie się na jakiegoś Formidę miał małe.

Kiedy w końcu zasnął, znalazł się w ciemnych, wąskich tunelach formidzkiego statku zwiadowczego. Przed sobą widział światło. Wiedział, dokąd go zaprowadzi. Nie. Nie chce tam iść. Nie chce zobaczyć. Ale mimo wzbierającej w nim paniki brnął do przodu.

Rozległa ładownia była taka, jak ją pamiętał, tak długa i szeroka, że z łatwością zmieściłby się w niej „Gagak”. Wiedział to, bo znajdowały się w niej statki podobnych rozmiarów, a raczej ich fragmenty. Formidzi zniszczyli wszystkie jednostki, które ich atakowały, i – motywowani być może ciekawością – wciągnęli ich szczątki do własnego statku, by je przeanalizować. Unosiły się one w tej ogromnej przestrzeni jak poskręcany, osmalony złom. A pośrodku tego wszystkiego znajdował się kokpit amerykańskiego myśliwca z ciałem martwego pilota. Victor wiedział, co się zaraz stanie, ponieważ to nie był sen, lecz wspomnienie. Dwaj Formidzi oderwali osłonę kokpitu, odpięli ciało pilota i wysunęli je z uprząży. Nie działali delikatnie. Zerwali mu z głowy hełm, nie zważając, że przy kolejnych szarpnięciach rozrywały się lub poluzowywały rozmaite paski. Następnie zajęli się skafandrem kosmicznym i kurtką, aż wreszcie odsłoniли bladą, prawie bezbarwną pierś mężczyzny.

Nie. Dlaczego oczy Victora nie chcą się zamknąć? Dlaczego jego stopy nie chcą się poruszać, głowa odwrócić? Formidzi rozcięli brzuch pilota i sięgnęli do jego wnętrza, szukając czegoś, czego, jak wiedział Victor, nie mają.

Następnego ranka Victor spotkał się z Magoosą i Imalą w szatni, gdzie Magoosa pomógł im włożyć pancerze. Victor wetknął sobie hełm pod pachę i odwrócił się do swojego młodego praktykanta.

– Jakież ostatnie rady?

– Rady? Nie. Ale zrobiłem coś dla ciebie.

Magoosa sięgnął do jednej z szafek i wyjął z niej

półtorametrowej długości włócznię. Czarny trzonek i grot w kształcie liścia były zrobione z jednego kawałka twardego polimeru. W dwóch miejscach trzonek był owinięty czarną taśmą ułatwiającą chwyt, a do podstawy włóczni i jej końca tuż pod grotem był przymocowany regulowany pas z tkaniny.

– Może ci się przydać w tunelach – rzekł Magoosa, podając włócznię Victorowi. – Kiedy nie będziesz jej używał, przewieś ją sobie przez plecy.

Victor zważył ją w rękę i przyjrzał się grotowi.

– Nie jest niewiarygodnie ostra – ciągnął Magoosa – ale ten polimer jest prawie niezniszczalny, a jeśli uderzysz nim o skałę, to nie skrzese iskry.

– Ty ją zaprojektowałeś? – zapytał Victor.

Magoosa miał lekko zażenowaną minę.

– Nie, ściągnąłem ją od jednej z tych grup na Ziemi, które przebierają się i odgrywają różne przygody w lasach.

Victor się uśmiechnął.

– Dzięki, Gooso.

Poszli do śluzy, gdzie zgromadziła się większa część załogi, by ich odprowadzić. Przy włączu stała matka. Miała suche oczy i zachowywała stoicki spokój, starając się być dla niego silna, co dodało Victorowi odwagi. Na widok włóczni w jego ręce spojrzała na niego pytająco. Victor mrugnął do niej, otworzył właz śluzy i wszedł za Imalą do środka.

Kiedy zamknął właz, włożyli z Imalą hełmy i sprawdzili nawzajem swoje skafandry, czy są szczelne i gotowe. Następnie Victor otworzył zewnętrzny właz i ostrożnie wydostał się ze statku. Szybkostatek był zacumowany do kadłuba „Gagaka” przy włączu. Victor wpiął się do uprząży ochronnej, podał drugą Imali i odsunął się, żeby mogła wydostać się na zewnątrz. Następnie zamknął właz „Gagaka” i przemieścił się w stronę szybkostatku, uruchamiając kciukiem krótki impuls silniczka.

Wpełzli z Imalą do kokpitu. Victor umieścił włócznię pod konsolą i włączył główne zasilanie. Prowizoryczne kontrolki ożyły, ekrany zaświeciły nikłym blaskiem. W kokpicie było bardzo ciasno. Victor i Imala praktycznie leżeli na sobie.

– Szkoda, że jesteście ubrani w te pancerze – zauważył Victor. – Mogłbym się przyzwyczaić do ciasnoty z tobą.

– Ściśnięci, lecz na zawsze rozdzieleni – odrzekła Imala.

Chodziło jej o skafandry, ale Victor nie mógł się uwolnić od myśli, że to stwierdzenie opisuje także ich związek. Od początku zostali sobie narzuceni. Imala została przydzielona mu jako opiekunka na Lunie, kiedy wszyscy myśleli, że zwariował; polecieli wtedy do Pasa i z powrotem, ściśnięci w małym statku towarowym, gdzie ledwie starczyło dla nich miejsca. Potem wcisnęli się na statek jeszcze mniejszy od tego, żeby zbliżyć się do formidzkiej jednostki zwiadowczej, i spali w jednej koi na frachtowcu, który zawiózł ich do Pasa Kuipera. Przez ostatnie dwa lata dzielili maleńką kwaterę z dwunastoma innymi dorosłymi, a teraz znowu wcisnęli się do miejsca, które tak naprawdę mogło pomieścić najwyżej jedną osobę. Mimo to między nimi utrzymywał się dystans.

Victor zmuszał się do optymizmu w kwestii czekającej go misji. Teraz jednak, kiedy miał obok siebie Imalę, gotową do odlotu, wciąż myślał tylko o tym, jaka jest bezbronna, jacy oboje są bezbronni.

Odepchnął od siebie tę myśl i wrócił do pracy. Wydał mrugnięciem polecenie i jego kamera zaczęła przekazywać obraz.

– Kamery są włączone. Arjuno, odbierasz mój przekaz?

– Odbieram. Obraz i dźwięk są wyraźne.

– Sprawdź mój przekaz – odezwała się Imala.

– Potwierdzam odbiór przekazu Imali. Ale kiedy się już odłączycie, będziemy zachowywać ciszę radiową, chyba że dojdzie do sytuacji kryzysowej – powiedział Arjuna.

– Potwierdzam – rzekł Victor. – Jesteśmy gotowi do odłączenia.

W radiu zatrzeszczał głos Arjuny:

– Odłączam was. Lećcie bezpiecznie.

Uchwyty przytrzymujące szybkostatek zostały zwolnione, a Victor poczuł tarcie metalu o metal – ich jednostka odłączyła się od „Gagaka”. Za pomocą silników hamujących Imala odsunęła ich jeszcze dalej i obróciła w stronę 2030CT, a następnie włączyła całą naprzód. Przyśpieszali tylko przez kilka sekund,

potem Imala wyłączyła silniki, żeby dzieła dokończyła siłą bezwładności. Uznali, że najlepiej będzie, jak zbliżą się z niewielką prędkością, nie wydzielając ciepła. Nie wiedzieli, z jakiego systemu unikania kolizji korzystają Formidzi – jeśli w ogóle jakiś mają. Byłoby wielkim rozczarowaniem, gdyby zadali sobie tak wiele trudu tylko po to, by zginąć podczas podejścia.

Kiedy znaleźli się w odległości dziesięciu kilometrów od asteroidy, Imala uruchomiła przednie silniki hamujące i zwolniła do niezauważalnej prędkości. Przebycie pozostałej odległości zajęło im ponad cztery godziny. Asteroida robiła się coraz większa i teraz oboje zdali sobie sprawę z jej rozmiarów. Była ponad dwa razy większa od statku zwiadowczego i mimo że Victor wiedział o tym cały czas, dopiero teraz w pełni pojął niezwykłość osłony otaczającej skałę. Nie, nie osłony, raczej kokonu. Był oczywiście większy od samej asteroidy, która z bliska wyglądała jak obce jajo z ciemnokarmelowego szkła. Szybkostatek prezentował się na jej tle jak drobinka. Victor czuł się jak owad zbliżający się do głazu. Jakim cudem zdoła przeprowadzić rozpoznanie czegoś tak dużego?

– Jak oni to zbudowali, Imalo? Skąd się wziął ten materiał?

– Nikt do nas nie strzela. W tej chwili interesuje mnie tylko to. Co teraz?

– Bardzo chciałbym oblecieć to dookoła i przyjrzeć się temu ze wszystkich stron, ale to tylko zwiększyłoby ryzyko, że zostaniemy zauważeni. Leć prosto, lecz nie na kursie kolizyjnym, tylko miń blisko asteroidę. Wskoczę, kiedy będę mógł, a ty wycofaj szybkostatek. Masz obraz z mojej kamery. Kiedy będę gotowy do powrotu, uniosę do twarzy otwartą dłoń, a potem wyskoczę przez dziurę w kokonie. Zaczekaj, aż się nieco oddalę, a potem mnie podejmij.

– Nie podoba mi się pomysł, że będziesz się unosił w przestrzeni kosmicznej bez uwięzi – rzekła Imala. – A jeśli cię nie znajdę? Albo jeśli twój sygnał z jakiegoś powodu zaniknie? Odpłyniesz w nicość.

– Znajdziesz mnie. O to się nie martwię.

Przymocował do pleców skafandra kilka dodatkowych pojemników z tlenem, odłączył kabel audio, chwycił włócznie od Magoosy, pokazał Imali uniesiony kciuk i trzymając się kadłuba, wysunął się z szybkościanki. Przerzucił sobie włócznie przez plecy i popęzł na przód jednostki. Pochylił się nisko, trzymając się sztaby na dziobie. Kokon w polu jego widzenia robił się coraz większy. Victor nie mógł nie trafić w cel. Gdyby skoczył teraz, na pewno by mu się to udało. Mimo to się zawahał. Będzie leciał bez uwięzi, całkowicie swobodnie, zupełnie odsłonięty. To było szaleństwo. Dlaczego uznał to za dobry pomysł? Nagle ucieszył się, że ma pancerz, choć on i tak sprawiał wrażenie niewystarczającej ochrony.

Szybkościanka miała o wiele większą masę od niego, lecz siła odbicia się Victora mimo to zmieniałaby nieco jego kurs. Sam skok zaś nie będzie taki daleki, jaki mógłby być, gdyby szybkościanka był do czegoś zamocowany. Powinien skoczyć już. Im dłużej będzie zwlekał, tym bardziej Imala przybliży się do asteroidy i tym trudniej będzie jej bezpiecznie odlecieć.

Ale nadal się wahał. Formidzi rozciąli ciało pilota i sięgnęli do jego wnętrza. Robili to z tysiącami ciał w całych Chinach. Wciąż to powtarzali. Sięgali, szukali i wyciągali puste zakrwawione dłonie.

Powinien już skoczyć. Narażał Imalę na niebezpieczeństwo. Zderzy się z kokonem. Narażał na niebezpieczeństwo całą załogę. Skoczył.

Dziób szybkościanki oddalił się od Victora, a siła jego skoku okazała się o wiele mniejsza, niż się spodziewał. Miał przeciwko sobie fizykę.

Żył nadzieję na szybkie przebycie odległości dzielącej go od asteroidy, lecz poruszał się zaledwie nieco szybciej niż wtedy, kiedy kucał na dziobie statku. Uświadomił sobie jednak, że tak jest najlepiej. Gdyby miał za dużą prędkość, odbiłby się od kokonu.

Wydał mrugnięciem polecenie i wywołał na wyświetlacz obraz z kamery Imali. Czy uda jej się bezpiecznie odlecieć, czy zwlekał zbyt długo? Nie umiał tego stwierdzić. Widział tylko konsolę

w kokpicie.

Zbliżał się do powierzchni kokonu i ciągle jeszcze nie wiedział, jak jest twarda, ale wydawało mu się, że ma pewną gęstość. Nie była sprężysta jak powierzchnia balonu, ale czy tak cienka jak kruche szkło? Czy uda mu się ją rozbić i dostać do środka? Nie, musi mieć pewną wytrzymałość, bo inaczej rozerwałyby ją na strzępy mikrometeoryty.

Wydał mrugnięciem kolejne polecenie i z czubków jego butów wysunęły się raki. Następne mrugnięcie sprawiło, że podobne kolce wysunęły się z jego rękawic. Zbudował je do poruszania się na lodzie, ale tutaj spiszą się równie dobrze. Uniósł ręce i cofnął nogi. Na jego spotkanie pędziła powierzchnia kokonu. Victor nagle uświadomił sobie, że jednak porusza się za szybko; odbije się i odpłynie w przestrzeń kosmiczną.

Kiedy uderzył w powierzchnię, opuścił gwałtownie ręce i wyrzucił nogi do przodu, co było dość łatwe, jako że siła bezwładności i tak pchnęła je w tym kierunku. Kolce i raki zatopiły się w powierzchni kokonu i mocno trzymały. Był twardy, ale sprężysty. Jak kilkutygodniowy miód.

Victor odwrócił się i spojrzał za siebie, szukając szybkostrzałki. Na chwilę uległ panice, bo go nie dostrzegł, ale nie, był daleko pod nim, plamka w morzu czerni. Gdyby go nie szukał, nie zauważyłby go, co poprawiło mu nastrój. Może Formidzi też go nie dostrzegli. Co ważniejsze, Imala bezpiecznie odleciała.

Teraz jednak bardziej przerażał go skok po zakończeniu misji. Jeśli skok na asteroidę, w którą nie mógł nie trafić, przyprawił go o paraliż ze strachu, to jak zdoła skoczyć w nicość?

Schował tę myśl głęboko i zajął się tym, co miał przed sobą. Kokonem. MF będzie studiować każdy kadr tego filmiku, więc każda spędzona tu chwila to szansa na zebranie i przekazanie cennych informacji.

Uwolnił jedną rękawicę, zostawiając na powierzchni kokonu trzy głębokie ślady po kłaczach.

– Powierzchnia jest wytrzymała – powiedział, komentując obraz. – Twarda, lecz elastyczna. Jak żywica.

Zaryzykował i włączył lampę hełmu, ustawiając najniższą

jasność. Nie wiedział, czy jej światło jest widoczne z drugiej strony, ale musiał to zrobić, żeby kamera mogła zarejestrować wyraźny obraz. Włókna w żywicy stały się wyraźniejsze, tak jak na zdjęciach sondy, która zrobiła zbliżenie.

– Włókna są wąskie, może szerokości połowy mojego palca. Przecinają się chaotycznie wewnątrz żywicy, nadając kształt całej strukturze.

Powiódł dłonią po kokonie.

– Powierzchnia jest zaskakująco gładka. I w przeciwieństwie do tego, czego się spodziewałem, nie jest w najmniejszym stopniu lepka. Membrany między włóknami sprawiają wrażenie mniej trwałych od włókien. Kiedy na nie naciskam, czuję, że lekko ustępują, chociaż nie wiem, czy zdołałbym je w ten sposób przebić. Tu, gdzie jestem, nie czuję się bezpiecznie, więc nie chcę naciskać mocniej. Możliwe, że materiał ten jest półprzezroczysty. Nie widzę jednak... – Nagle przerwał. – Chwileczkę. Wgłębienia, które zrobiłem przed chwilą kolcami rękawic, zniknęły. – Rozejrzał się dookoła, oświetlając większą przestrzeń i szukając tych wgłębień na wypadek, gdyby źle zapamiętał, gdzie powinny być. – Jestem tego pewien. Te wgłębienia były gdzieś tutaj, ale nie ma po nich śladu. Powierzchnia kokonu znowu jest całkowicie gładka. Potrafi się regenerować.

Jeszcze raz wysunął kolce rękawicy i wbił je w kokon, zostawiając świeże ślady. Następnie zrobił zbliżenie i patrzył, jak wgłębienia wypełniają się i znikają. W jaki sposób? Dzięki nanotechnice?

Sięgnął do kieszeni na biodrze i wyjął z niej scyzoryk. Kiedy ostrze wyskoczyło z oprawki, Victor delikatnie wepchnął je w żywicę. Miało tylko kilkanaście centymetrów, ale Victor poczuł, że prawie natychmiast przebiło się na drugą stronę. Żywica miała około dwóch centymetrów grubości. Powoli przeciągnął ostrzem w dół, stosunkowo łatwo przecinając żywicę i włókna, a potem schował je automatycznie; następnie wyjął z kieszeni niewielki analizator powietrza i wsunął go przez wycięty przez siebie otwór pod powierzchnię kokonu. Po chwili odczyt z analizatora pojawił się na jego wyświetlaczu wewnętrznełmowym i Victor

zesztywniał.

– Powietrze wewnątrz kokonu składa się mniej więcej w siedemdziesięciu procentach z wodoru i dwudziestu procentach z tlenu.

– Co oznacza, że jest nadzwyczaj wybuchowe – odezwała się Imalo. – Siedzisz na bombie. Wracam po ciebie.

Wyciągnął dłoń z analizatorem powietrza z otworu w chwili, kiedy rozcięcie zaczęło zarastać. Gdy się oddalą, będą mogli to wysadzić. Łatwo im pójdzie. Jeden strzał z lasera wielkiej mocy i kokon stanie w płomieniach jak „Hindenburg”. Ale jeśli go zniszczą, to czego się dowiedzą?

– Zaczekaj, Imalo.

– Nie ma mowy, Vico. Lecę po ciebie.

Mówiła z taką złością, jak się spodziewał.

– Zastanówmy się nad tym przez chwilę – powiedział.

– Nie ma się tu nad czym zastanawiać, Vico. Nie możesz wejść do środka. To jest mieszanka wybuchowa. Jedna iskierka i jesteś ugotowany. Wszystko wybuchnie. Lecę po ciebie. – Właściwie krzyczała.

– Pomyśl o formidzkim statku zwiadowczym, Imalo. Zrobiliśmy w nim dziurę i zalaliśmy go promieniowaniem, zabijając wszystko, co znajdowało się w środku. Wszystkie rośliny i te inne stworzenia, zniszczyliśmy też większość sprzętu. Tyle moglibyśmy się z tego nauczyć.

– Zrobiliśmy to, co było konieczne do zakończenia tamtej wojny, Vico. Nie jesteś na jakiejś wyprawie naukowej. Tu chodzi o twoje życie. Rozkazuję ci, żebyś pozostał na zewnątrz.

– Tak, ale czy tego chce Polemarcha?

– Do diabła z zachciankami Polemarchy, Vico. Nie obchodzisz go, a mnie tak.

– Myśl obiektywnie, Imalo. Rozkazał mi przeprowadzić rozpoznanie. Jeżeli są trzy tysiące takich asteroid, to musimy wiedzieć, co się w nich dzieje.

– Mogą to zrobić inni, Vico. Są inne asteroidy, które można zbadać. Niech to rozwiąże MF.

– To my jesteśmy MF, Imalo. I w tej chwili jesteśmy jej jedynym

wyjdęciem.

Wysunął ostrze i pewnym ruchem zrobił nacięcie ponad-metrowej długości. Głos Imali brzmiał teraz cicho i niemal rozpaczliwie:

– Proszę cię, Vico. Proszę. Jeśli mnie kochasz...

– Ale właśnie dlatego muszę to zrobić, Imalo.

Wyciszył jej głos i zrobił drugie nacięcie pod kątem prostym do pierwszego, tworząc klapę na tyle dużą, by wciągnąć się do środka. Klapa wydeła się na zewnątrz, co świadczyło o tym, że z otworu wydobywa się gaz.

Szybko, lecz na tyle ostrożnie, by nie skrzesać iskry, Victor schował scyzoryk do kieszeni, chwycił delikatną krawędź rozciętej żywicy obiema dłońmi i delikatnie wciągnął się do otworu głową do przodu. Powietrze buchnęło na zewnątrz jak z fłaczejącego balonu, napierając na Victora, który mocniej uchwycił się żywicy. Przez przerażającą chwilę bał się, że urwie mu się w rękach, a on odleci w przestrzeń kosmiczną. Lecz ku jego zaskoczeniu żywica wytrzymała. Czymkolwiek był ten materiał, okazał się mocniejszy, niż Victor się spodziewał.

Gdy górną połowę ciała znalazł się w środku, potem było już łatwo, bo zgiął się w pasie i właściwie wydostał ze strumienia powietrza. Zaraz wciągnął do środka też nogi, przekręcił się i przylgnął do wewnętrznej ściany. Nadal czuł napór powietrza, ale nie był już on tak silny. Sięgnął ręką w górę, chwycił luźny płat żywicy i przyciągnął ją w dół, do powierzchni kokonu. Powietrze nadal wypływało na zewnątrz, ale rozcięcie zaczęło powoli się regenerować. Luki w żywicy wypełniały się nowym błoniastym materiałem, jakby wyrastał on z powietrza, jakby brzegi rozcięcia przyciągał do siebie jakiś niewidzialny zamek błyskawiczny. Victor uważnie to obserwował, usiłując określić mechanikę tego pozornie magicznego procesu, ale nawet z bliska niczego nie zauważył. Regeneracji nie przeszkodził nawet pęd powietrza i po kilku chwilach oba rozcięcia zniknęły. Ściana od środka znów była gładka i Victor znalazł się w całkowitej ciemności.

Nic nie widział. Gdzieś poniżej znajdowała się skała, ale nie

miał pojęcia, jak daleko. Cztery metry od niego? Czterdzieści? Nie widział nawet cieni ani żadnych kształtów.

Odblokował głos w radiu i usłyszał gorączkowy głos Imali, wołającej go po imieniu.

– Jestem – przerwał jej. – Jestem w środku.

– Dlaczego nie odpowiadałeś?

– Wyciszyłem cię, żeby móc się skupić. Po powrocie na „Gagaka” możesz mi wygłosić surowe kazanie. Na razie mamy zadanie do wykonania.

Przez chwilę milczała.

– Nie otrzymuję obrazu z twojej kamery.

– Bo nie ma żadnego obrazu. Tu jest zupełnie ciemno. Zaryzykuję światło.

Zanim Imala zdążyła zaprotestować, włączył dwa źródła światła umieszczone na nadgarstkach. Skupione promienie rozjaśniły powierzchnię asteroidy znajdującą się mniej więcej siedem metrów niżej. Była to nierówna, pozbawiona lodu porowata skała z dziesiątkami wejść do tuneli. Wejścia te nie były idealnie okrągłe, jak wtedy, gdyby zrobiły je laser albo wiertło. Były owalne i lekko zniekształcone, jakby bezskutecznie usiłował je zaokrąglić ktoś pozbawiony zmysłu symetrii. Także tunele nie schodziły prosto w głąb skały. Przed zniknięciem w ciemności wiły się i zakręcały, a nawet przecinały. Wyglądały jak jakieś formacje naturalne, jak porowaty koral albo kość z osteoporozą, ale to było niemożliwe. Te korytarze zostały wykopane. Victor nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób, ale nie było innego wyjaśnienia. Co dziwniejsze, wiele z nich miało średnicę jego głowy, a więc były zbyt małe, by zmieścić się do nich nawet Formida. Zmierzały jednak w dół skrętami, jakich nie mogłaby wykopać żadna maszyna.

Victor zwrócił uwagę na drobne poruszenie w jednym z nich i odruchowo oświecił jego wylot. Stworzenie cofnęło się przed światłem i zniknęło w mroku. Było okrągłe, bezwłose i zdecydowanie nie było Formidą.

Rozdział 17

OSKARŻONY

Rozmowa między Hegemonem i Polemarchą, przeprowadzona za pomocą ansibla

Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna, 2118

UKKO: Każdy okręt tej floty będzie miał wymienne części albo w ogóle nie zostanie zbudowany. Koniec, kropka. Jeśli jakaś część zostanie wykonana w Polsce i wysłana w przestrzeń kosmiczną, to będzie pasować do oprawy zbudowanej w Chinach i wysłanej w przestrzeń kosmiczną. Nie pozwolę ci stworzyć wyjątkowych okrętów niemających wymiennych części. Nie obchodzi mnie, jak duży jest to okręt ani do czego ma służyć. Wszędzie używamy standardowych części. W ten sposób mechanicy będą mogli podczas bitwy naprawiać uszkodzone okręty, dysponując tym samym podstawowym zestawem części, i jak najszybciej posyłać je do walki.

KETKAR: Zasadniczo zgadzam się z tobą, ale jest miejsce dla wyjątków, jeśli chodzi o okręty specjalnego przeznaczenia lub...

UKKO: Nie. Nie ma żadnych wyjątków. Zbudujemy te okręty według moich zasad. Nie sfinansuję żadnych okrętów skonstruowanych z wyjątkowych części, których nie można wymienić na inne. A jeśli twoje zasady projektowania tego nie uwzględnią, to stracisz pracę. Przestaną współpracować z każdym admirałem, który przyniesie mi takie bzdury jak te plany konstrukcyjne.

KETKAR: Nie słuchasz głosu rozsądku. Są na przykład pewne rodzaje broni, które wymagają wyjątków.

UKKO: Mylisz się. Jeśli jakiejś broni nie można użyć na wszystkich okrętach, to nie będzie wytwarzana. Broń musi być taka, żeby można było jej używać na wszystkich okrętach. Co pewien czas wyprodukujemy coś tak dużego, że będzie tego można używać tylko na dużych okrętach, ale wtedy będą musiały tego używać wszystkie duże okręty. Żadnych wyjątków.

KETKAR: Ale to jest marnotrawstwo. To doprowadzi do nadprodukcji.

UKKO: W walce z wrogiem mającym przewagę technologiczną nie ma czegoś takiego jak nadprodukcja broni, ponieważ nasze zapasy będą stale uszczuplane. Bez względu na to, jak bardzo zostanie uszkodzony nasz okręt, zawsze będziemy mogli go naprawić. Jeśli ulegnie zniszczeniu cenna broń albo okręt, od razu będziemy mieli drugi taki sam. Nie zapominajmy, kto tu jest specjalistą od wytwarzania. Twoim zadaniem jest kierowanie flotą, moim – jest jej zbudowanie.

KETKAR: Dlatego takich decyzji nie powinien podejmować cywil.

UKKO: Chcesz udać się na dół i poprosić o pieniądze Ziemię? Nie? Ja ustanawiam podatki. Dostaję pieniądze – oraz całą niechęć z powodu tych podatków. Wy będziecie bohaterami, którzy wygrają wojnę.

Zanim Mazer dotarł do biur korpusu prawnego we wschodnim skrzydle siedziby Dowództwa Centralnego, mieszczącej się trzy poziomy pod powierzchnią Luny, musiał przejść przez trzy punkty kontroli bezpieczeństwa. W holu czekała na niego porucznik Prem Chamrajnagar w białym galowym mundurze z jedną belką w klapie i małą aktówką w ręce. Na widok Mazera się uśmiechnęła.

– Gotowy pan? – zapytała.

– Gotowy na zakończenie sprawy – stwierdził Mazer.

Też włożył mundur galowy. Błękitny wełniany materiał sprawiał wrażenie sztywnego i ciężkiego, nawet w niższym ciężeniu Luny. Mimo że powiedział Kim, żeby nie zawracała sobie tym głowy, rano wypolerowała guziki i inne metalowe elementy

marynarki i teraz Mazer był z tego zadowolony. Musiał się prezentować nienagannie.

– To będzie tylko postawienie w stan oskarżenia – rzekła Chamrajnagar. – Odczytają zarzuty, my nie przyznamy się do winy. Kilka uderzeń młotka i koniec. Będzie pan tylko musiał tam stać i robić wrażenie niewinnego. Proszę zachowywać kamienny wyraz twarzy. Nie uśmiechać się. Uśmiech sprawia, że człowiek wygląda, jakby nie był skruszony i lekceważył całą procedurę. W sądzie uśmiecha się tylko osioł. A osły idą do więzienia.

– Ja się i tak rzadko uśmiecham. Powinno nam pójść dobrze.

– To prawda. Ogólnie sprawia pan wrażenie gburowatego. Tego też proszę się wystrzegać.

– Nie sprawiam wrażenia gburowatego – powiedział Mazer z lekką pretensją w głosie.

– Proszę mi wierzyć, pańska obojętna mina jest przerażająca. Zupełnie jakby się pan zastanawiał, jak połamać komuś palce za pomocą księżycowego kamienia. Marszczy pan czoło w ten sposób. – Pokazała mu, jak to wygląda.

– To nie jest oznaka gburowatości, tylko namysłu. To oznacza, że myślę.

– Może o zabiciu kogoś. Proszę mi uwierzyć na słowo, to nie jest mina dobra w sądzie. Zwłaszcza kiedy stoi się przed pułkownikiem Michio „Siekierą” Soshim i chce się zachować pracę oraz mundur.

Mazer skinął głową.

– Żadnych gburowatych min, marszczenia się, warczenia ani uśmieszków skierowanych do przewodniczącego składu. Pewnie nie mogą też w niego rzucać kulkami. Chyba mówiła pani, że to będzie dobra zabawa.

Podawała mu swój tablet.

– Dobra wiadomość.

Mazer spojrzał na ekran.

– Co to jest?

– Doskonałe świadectwo zdrowia wystawione przez doktor Amelie Renoir, która stwierdza, że jest pan gotów do walki.

– Zabawne. Nie pamiętam badania przez żadną doktor Renoir.

– Obejrzała pańskie pełne akta medyczne oraz wyniki ostatniego badania sprawności fizycznej. Nie potrzebowała nic więcej. Jest pan idealnie zdrowy.

– To miło z jej strony. Czy to będzie ważne w sądzie?

Chamrajnagar przesunęła ręką nad ekranem; pojawiła się na nim nowa strona.

– A to jest zaświadczenie o doskonałym stanie zdrowia wystawione przez doktora Jorge Gonzaleza.

– Byłem ostatnio u wielu lekarzy...

– Mam pięć zaświadczeń od pięciorga lekarzy wojskowych. Jest pan kryty. Tę bitwę wygramy.

– Świetnie. Ale czy wygramy wojnę?

– Wszystko po kolei. Najpierw oskarżenie. A skoro już o nim mówimy, muszę pana ostrzec. Będzie tam też komandor porucznik Reginald Ravenshaw, prokurator. To waż. Uważa się za jakiegoś superprokuratora okręgowego odgrywającego rolę w wojskowym dramacie sądowym. Wygrywa sprawy i gra w wirtualnego golfa z niektórymi sędziami, ale nie wiem, dlaczego korpus prawny go toleruje. Jest dobry, lecz ma wycucie hipopotama. Wszyscy wiedzą, że poza tym jest fagasem pułkownika Soshiego. Tak czy owak, będzie się starał pana zastraszyć. Będzie chciał zmusić pana do pojedynku na spojrzenia. Proszę nie zwracać na niego uwagi. Będzie się starał pana rozzłościć.

– Czy mogę połamać mu palce za pomocą księżycowego kamienia?

– Po rozprawie.

– Jeśli Soshi i Waganow chcą mieć pewność wygranej, to sprowadzają własnych ludzi. Spotkała się pani z Ravenshawem?

– Dziś rano. Chce pójść na ugodę. Mówi, że wycofa wszystkie inne zarzuty, jeśli przyzna się pan do szpiegostwa i zgodzi się na siedem lat.

Mazer się roześmiał.

– Jak to ładnie z jego strony. Oczywiście obrażał pani inteligencję.

– Starał się mnie zastraszyć. Jestem młoda i niedoświadczona.

On jest szkolnym zabijaką, który grozi mi rozbiciem nosa, jeśli nie dam mu kredytów na drugie śniadanie. Moim zdaniem miał nadzieję, że z rozpaczy zaproponuję łagodniejszy zarzut. Może odpuściłby szpiegostwo i napaść i zgodziłby się na niestosowne zachowanie. Nie poszedłby pan wtedy do więzienia, ale pańskie życie w MF zamieniłoby się w piekło. Powiedziałam mu, że nie ma dowodów na szpiegostwo. Tylko uśmiechnął się szyderczo, jakby wiedział coś, o czym ja nie wiem.

– A wie?

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Proszę pójść ze mną.

Weszli do bufetu. Była pora między śniadaniem a lunchem, więc większość stolików była wolna. Mimo to Chamrajnagar poprowadziła Mazera do stolika w głębi sali, położonego jak najdalej od korytarza i poza zasięgiem słuchu innych klientów. Usiadła plecami do ściany, mając widok na cały bufet. Odruch żołnierza, pomyślał Mazer. Miej na oku wszystkie wejścia i wyjścia. Chroń tyły.

Mazer usiadł naprzeciwko niej.

– Oskarżenie o szpiegostwo to żart – zaczęła Chamrajnagar. – Artykuł siedemset dziewięćdziesiąty trzeci stanowi, że osobom nieupoważnionym nie wolno pozyskiwać informacji na temat globalnej obrony i zachowywać ich dla siebie ani przekazywać osobom nieupoważnionym do ich otrzymywania. Pan tego nie zrobił. Mogę wykazać, że w ich argumentacji są dziury na tyle duże, że mógłby przez nie przelecieć okręt wojenny. Victor wysłał informację na temat tej asteroidy na pański adres mailowy. Mogliby dowieść, że była to sprawa globalnej obrony i że oficerowie, którym pan przekazał tę informację, to osoby nieupoważnione do jej otrzymania, ale najpierw MF musi zostać właścicielem takiej informacji i uznać ją za tajną. Wedle tej logiki można by aresztować każdego, kto przekazuje codzienne wiadomości. To niedorzeczne.

– To dlaczego oskarżyciel nie wycofał tego zarzutu? Przeprowadził dochodzenie. Wie, że zarzut jest fałszywy. Jeśli przedstawi swoje dowody w sądzie, wyjdzie na idiotę.

– Chcą mnie przestraszyć, żebym wymogła na pana przyznanie się do winy. Innego wyjaśnienia nie widzę. Są przekonani, że jeśli przypuszczą zmasowany atak, to pan się ugnie i przyzna do mniejszego zarzutu. Widziałam ich zeznanie i listę świadków. Nic nie mają. Jeśli przejdzie to całą drogę do sądu wojskowego, Ravenshaw wycofa zarzut szpiegostwa, zanim wszystko się zacznie. On blefuje.

– Jest pani pewna?

– Prawie.

– A co z innymi zarzutami?

– Jest zarzut napadu z bronią w rękę na Nardellego. Wszyscy wiedzą, że ten zarzut też jest fałszywy. Nie było żadnych świadków. To kwestia pańskiego słowa przeciwko jego słowu. Mam trzy zeznania dokerów z WYBABiM-u, którzy twierdzą, że Nardelli rozkazał im opuścić dok w dniu, w którym był pan wywożony, o tej samej godzinie, o której ukartował swój atak. Zagroził dokerom obrażeniami fizycznymi, jeśli go nie posłuchają.

– Nardelli nie poraża intelektem – stwierdził Mazer.

– To idiota. I proszę mi wierzyć, pańskie akta nie mogłyby się bardziej różnić od jego akt. Popęłnił liczne wykroczenia i dostał ze sto drugich szans. Nie pojmuję, jakim cudem wciąż nosi mundur. Domyślam się, że Waganow trzyma go jako mięśniaka. Ale i tak Nardelli nie zagrzeje już długo miejsca w MF. Podpisał fałszywe zeznanie. Korpus prawny go dopadnie. Sama to zrobię, jeśli nie będzie nikogo innego. Chodzi mi o to, że żaden sąd nie uwierzy jemu zamiast panu.

– Naprawdę jest pani dobra. Odszukanie dokerów było sprytnym posunięciem. A co z niewykonaniem legalnego rozkazu?

Chamrajnagar lekko się skrzywiła.

– Ten zarzut jest najtrudniejszy, ale jest w prawie dość miejsca na manewry, żeby i od niego pana uniewinnić. Tak mi się wydaje. Kilka spraw przemawia przeciwko panu. Po pierwsze, za każdym razem, kiedy nie wykonał pan wyznaczonej panu pracy przekraczającej pana możliwości, Waganow zgłaszał popełnienie

przestępstwa. To kompletna bzdura. Nie ma mowy, żeby ława przysięgłych wzięła tu stronę Waganowa. Mam wykaz tych zadań i jest on nie do obrony.

– A więc jesteśmy czyści – powiedział Mazer.

– Możliwe. Ale ławie przysięgłych się nie spodoba, że pominął pan hierarchię służbową i umieścił tę informację na forum.

– Podałem ją Waganowowi. To pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. Dopiero gdy zorientowałem się, że nie przejawia chęci do działania, umieściłem informację na forum. Możemy dowieść, że nie pominąłem hierarchii służbowej.

– Tak zrobimy – zapewniła Chamrajnagar. – Ława przysięgłych może jednak uznać, że było inaczej. Musi pan zrozumieć, że ci goście są jak Waganow. Wszyscy są wyższymi oficerami, wszyscy mają pod sobą ludzi, którzy są bystrzejsi od nich, tak jak pan. Kiedy zobaczą pana, zobaczą własnych podwładnych. To ich przerazi. Uważają was za swoje wybawienie i najgorszy koszmar. Szukają u was najlepszych pomysłów, ale stale się martwią, że przejmiecie ich stanowiska. Wypisz wymaluj Waganow. I ci ławnicy dostrzegą w nim jednego z nich. Nie spodobają im się jego metody, publicznie potępiają jego działania i postawę, ale nie mogą sobie pozwolić na poparcie pana. Nie mogą akceptować kogoś, kto pomija hierarchię służbową. To by wysłało niewłaściwy sygnał do wszystkich znajdujących się w hierarchii poniżej nich.

– Więc jak to się ułoży? – zapytał Mazer.

Wzruszyła ramionami.

– Szczerze? Na dwoje babka wróżyła. Stąpamy tu po ostrzu brzytwy. Dla zwiększenia naszych szans możemy jednak przyjąć pewną taktykę. Taktykę, która się panu nie spodoba.

– A mianowicie?

– Musimy im pokazać, dlaczego pański mózg pracuje w ten sposób. Pokazać im, że jest pan kimś szczególnym. Że ufa panu Strategos.

– Chce pani wykorzystać moje tajne akta? Pokazać, co się stało podczas pierwszej wojny z Formidami? Moje zaangażowanie?

– Jest pan bohaterem, panie kapitanie. Działa pan skutecznie.

Waganow groził, że zatrzyma tę informację dla siebie. To, co pan zrobił, zrobił pan w najlepszym interesie globalnego bezpieczeństwa. Musimy sprawić, by prawnicy to zrozumieli. Pańskie akta stanowią dowód na to, że...

– Nie możemy tego zrobić – rzekł Mazer.

– To jest rozprawa bez udziału publiczności. To, co przedstawimy jako dowód, nie może być omawiane poza salą rozpraw. Soshi może utajnić postępowanie sądowe. Wszystko byłoby poufne.

– Nie czułbym się dobrze w takiej sytuacji. Przyrzekłem Robinowowi, Strategosowi, że zachowam moje ówczesne zaangażowanie dla siebie. W gruncie rzeczy on mi wydał taki rozkaz. Jeżeli nie dotrzymam tej obietnicy, to go złamię. Nie mogę złamać jednego rozkazu, by w ten sposób usprawiedliwić złamanie innego.

Chamrajnagar westchnęła.

– Rozumiem pański dylemat, panie kapitanie. Szanuję także pańskie poczucie honoru, ale jako pańska adwokat...

– Nie chcę twojej rady jako adwokata, Prem. Chcę twojej rady jako przyjaciela. Jako oficera tej samej floty.

Przez chwilę milczała.

– Bez tych utajnionych akt istnieje duża szansa, że jeśli chodzi o ten jeden zarzut, przegramy i zostaniesz oskarżony o niestosowne zachowanie. To najsłabszy z zarzutów, ale akurat ten może się utrzymać.

– A jeśli tak się stanie, to mnie zwolnią ze służby?

– Albo gdzieś cię upchną. Chcą, żebyś zniknął, Mazerze. Jeśli uzyskają wyrok skazujący, Soshi nałoży maksymalną karę. Nie trafisz do więzienia, ale nie wejdiesz też na pokład żadnego okrętu.

– Oglądałaś rano wiadomości, Prem?

Skinęła poważnie głowę.

– Mamy teraz potwierdzenie, że Formidzi przybywają spod i znad płaszczyzny ekliptyki – rzekł Mazer. – W Pasie Kuipera jest asteroida zajęta i odizolowana przez Formidów, którzy być może przekształcają ją w broń. Nie mamy tu czasu na przewlekły

proces. Musimy zakończyć go jak najszybciej, żebyśmy mógł wrócić w teren.

– Można przyśpieszyć sprawę tylko na dwa sposoby – stwierdziła Chamrajnagar. – Idziemy na ugodę z oskarżycielem, co ci nie posłuży, albo przekonujemy sędziego i oskarżyciela, żeby wszystko umorzyli, czego najwyraźniej nie chcą zrobić. W tej chwili twoim jedynym wyjściem jest to przetrwać.

Sprawdziła godzinę na jego nakładce i wstała, zapinając guzik marynarki.

– Już czas. Pokaż mi swoją minę „nie jestem gburowaty, jestem niewinny”.

Mazer zmarszczył mocno czoło, a potem przesunął otwartą dłoń w dół twarzy, zmieniając jej komicznie smutny wyraz w obojętny.

– Wyglądasz, jakbyś cierpiał na zaparcie, ale, jak widzę, lepiej nie będzie. Chodźmy.

Wyszła z bufetu i poprowadziła Mazera do jednej z sal rozpraw. Przy drzwiach trzymał wartę strażnik sądowy. Zasalutował, przeskanował nakładkę na nadgarstek Chamrajnagar, a po usłyszeniu sygnału potwierdzającego jej prawidłowość otworzył przed przybyłymi drzwi.

Pomieszczenie nie przypominało historycznych sal sądowych na Ziemi z ciężkimi dębowymi stołami i wyłożonym boazerią podwyższeniem dla sędziego. Miało wojskowy charakter, co oznaczało, że jest funkcjonalne i znajdujące się w nim stoły są dokładnie takie same jak wszystkie inne stoły w DoCent. Jedynym przedmiotem godnym uwagi była duża pieczęć Międzynarodowej Floty umieszczona na ścianie za fotelem sędziego, między dwiema identycznymi flagami Hegemonii.

Kiedy Mazer i Chamrajnagar zajęli miejsca za stołem dla oskarżonego, do sali wszedł Ravenshaw, oskarżyciel. Podszedł prosto do nich i postawił swoją aktówkę między nimi, jakby wznosił między nimi mur. Następnie usiadł plecami do Mazera na krawędzi stołu blisko Chamrajnagar i praktycznie zawisł nad nią. Traktował Mazera, jakby ten nie był godny jego uwagi. Uśmiechnął się i wykonał szeroki gest ręką.

– Sala rozpraw, Prem. Czy spełniła wszystkie twoje nadzieje? Znajdujesz się w niej po raz pierwszy, prawda? Chyba że liczysz wycieczkę szkolną. Kiedy to było? Dwa lata temu? Trzy?

– Siedzisz na moim stole, Reginaldzie. Może zapomniałeś, że masz własny.

– Większość ludzi spodziewa się czegoś trochę bardziej okazałego – ciągnął Ravenshaw, nie zwracając uwagi na słowa Chamrajnagar. – Czegoś klasycznego. Wysokiego sklepionego sufitu, może popiersia jakiegoś premiera albo dawno zapomnianego sędziego. Albo może wyrytej gdzieś w brązie łacińskiej sentencji *E pluribus gluteus maximus*. Czy czegoś takiego. A zamiast tego otrzymujemy to. To rozczarowujące, prawda? Tak, takiego słowa bym użył. Rozczarowujące. Takie właśnie zapewne doświadczenie będzie się wiązało dla ciebie z tą salą, Prem. Rozczarowujące. Od początku do końca.

Mazer wstał.

– Pani porucznik uprzejmie poprosiła, by wstał pan z jej stołu. Ravenshaw się uśmiechnął.

– Lepiej załóż swojemu klientowi smycz, Prem. Słyszałem, że ci maoryscy chłopcy zawsze uważają, że są na wojnie. – Po raz pierwszy spojrzał na Mazera, przyglądając się mu, jakby był jakimś dziwnym eksponatem w muzeum. – Jeżeli zamierzasz mnie zaatakować, Mazerze, to mam nadzieję, że najpierw zobaczę, jak tańczysz *haka*. Chcę mieć i kolację, i przedstawienie. – Zmarszczył brwi. – Myślałem też, że będziesz wyższy.

Podniósł się i wziął swoją aktówkę, a do sali wszedł strażnik sądowy i stanął pod ścianą na baczność.

– Baaa-czność!

Wszyscy już stali, a kiedy otworzyły się drzwi z tyłu i do sali wszedł pułkownik Michio Soshi, wyprężyli się na baczność. Sędzia usiadł przy swoim stole i raz uderzył młotkiem.

– Zaczynamy.

Mazer mu się przyjrzał. Shoshi sprawiał wrażenie zajętego swoim tabletem, a nawet znudzonego – kolejny dzień w kieracie. Nawet nie popatrzył na Mazera.

Strażnik sądowy zerknął na swoją nakładkę.

– Sprawa numer trzy tysiące sześćset dwadzieścia siedem. Proces z powództwa Międzynarodowej Floty przeciwko kapitanowi Mazerowi Rackhamowi. Oskarżonemu postawiono jeden zarzut szpiegostwa, jeden zarzut napadu z bronią w rękę, osiem zarzutów niewykonania legalnego rozkazu oraz jeden zarzut zachowania niestosownego dla oficera floty.

Soshi spojrzał na stół oskarżonego z niezmiennym wyrazem twarzy, jakby oskarżenie o szpiegostwo było tu chlebem powszednim.

– A obrona? – zapytał.

– Chamrajnagar – powiedziała Prem, patrząc prosto przed siebie. – Porucznik. Młodszy stopień. Prem. Korpus prawny floty. Zaprzysiężona i uwierzytelniona zgodnie z artykułami dwudziestym ósmym c i czterdziestym siódmym b ujednoliconego kodeksu wojskowego postępowania karnego Międzynarodowej Floty.

Soshi machnął ręką, jakby formalności go nie interesowały.

– Dobrze, dobrze. Czy obrona pragnie złożyć oświadczenie co do winy?

– Tak, wysoki sędzie – powiedziała Chamrajnagar. – Oskarżony nie przyznaje się do winy, wysoki sędzie.

Soshi skinął głową.

– Proszę zanotować, że oskarżony nie przyznaje się do winy. Odraczam rozprawę przed sądem wojskowym do godziny dziewiętej za trzy tygodnie od dziś.

Uderzył młotkiem w stół, a strażnik sądowy zawołał jeszcze raz:

– Baaa-czność!

Nikt się nie poruszył. Soshi wstał i zniknął w swoim pokoju. Od początku do końca cała procedura trwała półtorej minuty. Ravenshaw chwycił swoją aktówkę i uśmiechnął się szeroko do Prem.

– Kiedy odzyskasz rozsądek i będziesz chciała pójść na ugodę, to wiesz, gdzie mnie znaleźć, Prem. – Już miał odejść, ale jeszcze się odwrócił. – No i przyzwyczaj się do tego rozczarowującego uczucia w żołądku. Kiedy to się skończy, będziesz go

doświadczać za każdym razem po wejściu do tej sali. Jak pies Pawłowa. Dzyń, dzyń, dzyń.

Mrugnął, a następnie wycelował w Mazera palec i udał, że strzela z wymagowanego pistoletu.

Prem odprowadziła go wzrokiem, a potem zwróciła się do Mazera:

– Czy w siłach specjalnych nauczyli cię, jak wypatroszyć człowieka gołymi rękami? W tej chwili oddałabym wszystko za tę umiejętność.

– Za duży bałagan – odparł Mazer. – Zwłaszcza w tym wypadku. Po co czekać trzy tygodnie na rozpoczęcie rozprawy przed sądem wojskowym?

– Chyba próbują wykończyć cię nerwowo. Albo grają na zwłokę.

– Nie mamy trzech tygodni, Prem. Musimy to zakończyć teraz. Masz jakieś plany na lunch?

– Mam tylko twoją sprawę. Ale pamiętaj, nie masz swobody poruszania się. Masz przebywać w tym biurze, które ci dali.

Do czasu rozprawy przed sądem wojskowym Międzynarodowa Flota umieściła Mazera w odosobnionym biurze w DoCent. Szeregowy postawiony w stan oskarżenia pod takimi samymi zarzutami zostałby prawdopodobnie wsadzony do paki, ale z szacunku dla jego stopnia oraz ze względu na przebieg służby Mazer dostał nieco wygodniejszą kwaterę. Miał w niej pozostawać w ciągu dnia, a wieczorem – w swoim mieszkaniu z Kim. Nie wolno mu było chodzić nigdzie indziej.

– Pójdę do biura, ale okrężną drogą – powiedział.

Wyprowadził Prem korytarzami na powierzchnię Starego Miasta. Gdy byli już na górze, stuknął w nakładkę i wezwał taksówkę.

– Wolno mi zapytać, dokąd dokładnie się udajemy? – nie wytrzymała Prem.

– Co wiesz o prawie patentowym?

– Prawie patentowym? – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Coś niecoś. Nie tyle, żeby wygrać sprawę, jeśli o to pytasz. W wojsku nieczęsto ma się do czynienia z prawem własności intelektualnej. Czemu pytasz?

– A umiałybyś sporządzić dokumenty konieczne do złożenia wniosku patentowego?

– Może. Chyba tak. Musiałabym o tym poczytać. To zależałoby od tego, gdzie chcesz go złożyć.

Podjechała automatyczna taksówka. Wsiedli do niej i Mazer kazał się zawieźć do biur Zakładów Gungsu.

– Dlaczego jedziemy do Gungsu? – zapytała Prem.

– Razem z moimi ludźmi zaprojektowaliśmy nanotarczę dla żołnierzy piechoty. Pułkownik Waganow dał ją bez naszej zgody Gungsu, żeby ją tam dopracowano. Żołnierz, który miał największy wkład w ten projekt, to porucznik Mustafa Shambhani.

– Ten, który stracił nogę.

Mazer skinął głową.

– Odzyskuje siły tu, na Lunie. Kim go odwiedziła. Jego proteza działa dobrze, ale czeka go długa i wyczerpująca fizycznie terapia. Gungsu musi go wynagrodzić za ten pomysł. Jego rodzinie przyda się wsparcie finansowe.

Taksówka mknęła miejskim torem wraz z całym ruchem.

– Mazerze, z całym szacunkiem... Uważam, że to bardzo szlachetne z twojej strony, że chcesz pomóc przyjacielowi. Naprawdę tak sądzę. Spotkała go tragedia... Ale masz ważniejsze problemy, a mianowicie rozprawę przed sądem wojskowym i uniknięcie więzienia. Zboczenie do Gungsu i pogwałcenie przywilejów związanych z poruszaniem się też ci nie pomoże. I przypominam ci, że Gungsu śpi w jednym łóżku z Waganowem i sędzią Soshim. Nie nazwałabym zakładów naszym sprzymierzeńcem.

– U podłoża tego wszystkiego leży Gungsu, Prem. Oni kontrolują Waganową, Soshiego, Ravenshawa. Oni tym wszystkim rządzą, chociaż nie bezpośrednio. Wszystko zaczęło się od nich.

– To jaki masz plan? Zagroziś im procesem o pogwałcenie własności intelektualnej? To zły pomysł. Ja pracuję dla korpusu prawnego, Mazerze. Nie mogę pozwać cywila do sądu wojskowego. Nie pozwalają mi na to przepisy. Po drugie, i tak nie

masz wystarczających dowodów. Spór sądowy o własność intelektualną nie jest tak rutynowy, jak mógłbyś się spodziewać. Przede wszystkim nie mamy patentu ani nie złożyliśmy wniosku patentowego. Technicznie zatem Gungsu nie narusza prawa. Nie możemy ich nawet zawiadomić o wszczęciu postępowania, ponieważ nie ma dowodu, że wzięli ten pomysł od Shambhaniego. Z łatwością mogliby stwierdzić, że wpadł na niego wcześniej któryś z ich inżynierów. Albo – i to jest bardziej prawdopodobne – mogliby stwierdzić, że jako żołnierz i członek WYBABiM-u Shambhani stworzył projekt dla wojska. Projekt należy zatem do armii, a Waganow, jako jej przedstawiciel, może go dać, komu chce. Wynagrodzeniem Shambhaniego jest jego pensja. On należy do wojska. Wszystko, co robi w pracy, jest własnością intelektualną wojska. Przykro mi, Mazerze. I przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale masz bardzo słabe dowody. A nawet gdyby były mocniejsze, prawa dotyczące odszkodowań sprzyjają pozwanemu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Prem. Gungsu też to sobie uświadomi. Nie pozwimy ich. Ani nawet nie zagrozimy im procesem. Po prostu damy im do zrozumienia, że warunkiem robienia z nami interesów jest jakieś odszkodowanie wypłacone Shambhaniemu w geście dobrej woli.

Prem zamrugała z niepewną miną.

– Przepraszam. Powiedziałaś „robienia z nami interesów”?

– W pewnym sensie. I z Lemem Jukesem. Nie możemy pracować wyłącznie z Gungsu. Będziemy pracować z obiema firmami.

Prem przerwała mu machnięciem ręki.

– Mazerze, twój umysł pędzi z prędkością stu kilometrów na godzinę, a ja idę piechotą. Czeka cię sąd wojskowy. Co do tego możemy się zgodzić, tak?

– Oboje wiemy, jak to się rozegra, Prem. W najlepszym razie możemy mieć nadzieję na uniewinnienie z formalną naganą na piśmie i zaleceniem niesądowej kary. Taki będzie rezultat, nawet jeśli wygramy w sądzie. Soshi nie zgodzi się na mniej. Odejdę z krechą, która położy się cieniem na całej mojej karierze. Będę

pomijany przy awansach i różnych okazjach. To jest nieuchronne. Mylę się?

Przez chwilę milczała.

– Nie mylisz się. I to jest niesprawiedliwe.

– Wojna nigdy nie jest sprawiedliwa, Prem. A to jest wojna. I jak w każdej wojnie używamy broni, jaką dysponujemy.

– A jaką właściwie broń mamy? Chyba to mi umknęło.

– Victor Delgado przysłał mi od roku różne pomysły techniczne. Głównie szkice. Pomogłem mu określić, które pomysły są dobre i warte rozwinięcia. Następnie Victor przekształcił je w szczegółowe trójwymiarowe modele zbudowane z warstw, które można odsłonić, by ukazać wewnętrzne elementy złożonej konstrukcji. Tylko piętnaście procent jego pomysłów było warte rozwinięcia, ale to były bardzo dobre pomysły. Inne były mądre, ale niepraktyczne, zwykle ze względów, które znałby tylko doświadczony żołnierz. Chodzi o to, że te piętnaście procent to bardzo inteligentne urządzenia. Sprzęt, który mógłby uratować żołnierzowi życie i stanowić o powodzeniu danej misji.

– A więc zamierzamy sprzedać pomysły Victora Gungsu za pieniądze dla Shambhaniego i wolność dla ciebie?

– Wszystkie pieniądze za pomysły Victora otrzyma on sam. To przecież jego pomysły. Moim wynagrodzeniem będzie wolność.

– To szaleństwo.

– Zapewne. Podobnie jak atak na dobrze bronioną fortyfikację wroga. Żołnierze wykonują trudne zadania.

– A z kim mamy rozmawiać w Gungsu?

– Z Heą Woo Han, dyrektor działu badań i rozwoju. Poznałem ją w WYBAbiM-ie. Chyba mnie zapamiętała.

Chamrajnagar wyprostowała się w fotelu i pokręciła głową.

– Przez ciebie oboje zostaniemy aresztowani.

– Nie ma się czym martwić. Już bywałem aresztowany. To zwykle nie boli.

– To nie jest śmieszne.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed dużym szklanym sześcianem o boku mniej więcej siedmiu metrów. Nad

drzwiami wisały srebrny znak firmowy przedstawiający łucznika napinającego łuk oraz napis „Zakłady Gungsu”. Mazer zapłacił za kurs i razem z Chamrajnagar stanął na chodniku.

– Nie zmuszam cię, żebyś weszła tam ze mną, Prem. Jeśli odejdiesz, nie zmienię mojego pochlebnego zdania o tobie.

Zawahała się, a potem westchnęła.

– Rozpaczliwe czasy, rozpaczliwe środki. Miejmy to z głowy.

Mazer otworzył drzwi i znaleźli się w niewielkim, lecz eleganckim holu. Posadzka z białego marmuru, ozdobne oświetlenie, meble pokryte białą skórą... Na ścianie za stanowiskiem recepcjonistki świecił ten sam znak z łucznikiem. Koreanka siedząca za biurkiem uśmiechnęła się do nich – idealne białe zęby, wszystkie włosy na swoim miejscu, głowa lekko przechylona na bok – wcielenie gościnności.

– Witam w Gungsu. Czym mogę służyć?

– Chcę się zobaczyć z panią Heą Woo Han. Nazywam się Mazer Rackham i jestem kapitanem Międzynarodowej Floty. To jest porucznik Prem Chamrajnagar z korpusu prawnego. Moja adwokat. Nie jesteście umówieni.

Recepcjonistka przez chwilę słuchała, a potem zmarszczyła przepraszająco brwi.

– Przykro mi, panie kapitanie. Asystent pani Woo Han mówi, że jej dzisiejszy plan spotkań jest wypełniony. Będzie pan musiał się umówić.

– Proszę powiedzieć asystentowi, że przybyłem aż z WYBABiM-u.

Recepcjonistka zawahała się, ale przekazała tę wiadomość. Już po chwili podawała Mazerowi i Prem bransoletki dla gości i pokazywała na windę.

– Czwartą poziom od góry. Ktoś odbierze państwa przy windzie.

– Dziękuję – powiedział Mazer.

Drzwi windy się otworzyły. Mazer i Prem weszli do środka i ruszyli w dół.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – odezwała się Prem.

– Nie wiem. Improvizuję.

Rozdział 18

TUNELE

Rozmowa między Hegemonem i Polemarchą przeprowadzona za pomocą ansibla

Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna, 2118

UKKO: Posłałeś statek wolnych górników z kobietami i dziećmi na pokładzie w rejon możliwych działań wojennych. Masz pojęcie, jakie to skrajnie głupie?

KETKAR: Ponieważ nigdy nie dowodziłeś żadnym oddziałem wojskowym i najwyraźniej nie pojmujesz, jak pilne jest nasze zadanie, to nie oczekuję, że to zrozumiesz.

UKKO: Od czasu ostatniej wojny Victor Delgado jest na Ziemi bohaterem. Podobnie Imala Bootstamp. Oraz Edimar Querales. Doprowadzenie do ich śmierci nie przekona wolnych obywateli Ziemi do naszej sprawy.

KETKAR: Jeśli pamiętasz, kiedyś byliśmy sojusznikami.

UKKO: Tak było, zanim odkryłem, że jesteś politycznym idiotą.

KETKAR: Ta walka wykracza poza politykę.

UKKO: Twoje lekkomyślne działanie może spowodować taki wybuch gniewu, że narodowe rządy będą musiały zażądać całkowitej zmiany naczelnego dowództwa MF jako warunku dalszego finansowego wspierania Hegemonii. Nic nigdy nie wykracza poza politykę.

Victor uwolnił ruchem kciuka nieco sprężonego powietrza z pojemnika na plecach, które pchnęło go w dół ku powierzchni

skąły. Kierował się do tunelu, w którym widział tego stworka, podobne do robaka zwierzę nie większe od jego głowy. Poruszał się powoli i z wahaniem, bojąc się, że z jednego z mniejszych tuneli wystrzeli jakaś ręka czy macka i pociągnie go w dół. Sięgnął do tyłu i przełożył przez ramię włócznię od Magoosy, żeby móc nią swobodnie operować. Kiedy znalazł się metr od tunelu, ustawił się dokładnie nad nim i poświecił do środka. Stworzenia nie było widać, tunel nie był jednak całkowicie pusty. W pobliżu wejścia znajdowała się starannie ułożona sterta niewielkich kulek.

- Odbierasz to, Imalo?
- Co to jest?
- Wygląda jak odchody robaków.

Przybliżył się. Kulki były ułożone po jednej stronie tunelu w trzech warstwach i pokryte cienką śluzową błoną, która nie pozwalała im odlecieć w zerowej grawitacji. Victor wziął jedną z nich w palce osłonięte rękawicą. Ścisnął kulkę, lecz jej powierzchnia się nie ugięła.

– To nie są odchody, Imalo. To jest twarde jak metal. Właściwie uważam, że to metal.

- Metal? Jakim cudem?
- Nie wiem, ale zamierzam wziąć parę próbek.

Wyjął z kieszeni na biodrze mały pojemnik i wrzucił do niego kilka kulek. Metal wyglądał na czysty i nieskorodowany. Żadnych pierwiastków śladowych. Żadnych skaz. Uświadomił sobie, że Formidzi go wydobywają. Ale jak go przetwarzają? Jak oczyszczają? I w ogóle jak kopią? Na powierzchni nie widział żadnych maszyn. Poświecił dookoła lampą, rozglądając się we wszystkich kierunkach, ale niczego nie zauważył. Żadnych laserów, wiertel, urządzeń do drążenia dziur.

Przemieścił się do innego tunelu i znalazł tak samo zorganizowane sterty kulek. Każda z nich była wysoka na trzy kulki, szeroka mniej więcej na sto kulek i tak samo długa. Były ułożone pod jedną ścianą co pół metra i okryte wystarczającą ilością śluzu, by utrzymały się na miejscu. Victor poświecił w głąb tunelu. Ten był wydrążony prosto w dół jak studnia. Sterty kulek

były widoczne tak daleko, jak sięgało światło. Victor pociągnął najbliższą stertę do siebie, żeby stwierdzić, jak łatwo byłoby je zbierać. Kulki oderwał od ściany prawie bez przyłożenia siły. Rozproszyły się wokół niego i odpłynęły, czasami połączone śluzem w niewielkie skupiska.

– Co to oznacza, Vico? – zapytała Imalo.

Victor przesunął się do następnego tunelu. W dół ciągnęły się kolejne sterty kulek. Uniósł głowę i rozejrzał się po powierzchni asteroidy. Tych wąskich tuneli wypełnionych kulkami były setki. Tysiące.

– Nie wiem, Imalo. Formidzi wydobywają metal, ale nie widzę, w jaki sposób ani po co.

Ruszył dalej, przemieszczając się do przodu dzięki uwalnianiu chmur powietrza. Zatrzymał się przy innym tunelu, gdzie kulki były odrobinę większe i miały nieco inny kolor.

– Wygląda jak jakiś inny metal – rzekła Imalo.

– Też tak uważam.

Victor wyjął z kieszeni inny pojemnik i zebrał kilka próbek. Trochę dalej znalazł sterty trzeciego metalu, a potem czwartego. Schował kolejne próbki i ruszył dalej. Zastanawiał się, jak długo Formidzi tu przebywają. Było tyle tuneli, lecz statek, którym przybyli, był tak mały, że zmieściłoby się w nim zaledwie kilku, najwyżej pięciu. Jak taka mała załoga mogła przeprowadzić tak rozległe prace górnicze?

Dotarł do tunelu na tyle dużego, że mógł do niego wpełznąć, chociaż z niejakim trudem. Zatrzymał się przy wejściu i przyjrzał się wnętrzu w świetle lampy na nadgarstku.

– Nie możesz tam wejść – powiedziała Imalo, jakby czytała mu w myślach. – Jest za mało miejsca. Nie będziesz mógł zawrócić. I nie wiesz, dokąd on prowadzi. Może się nagle zwęzić i wtedy utkniesz. Mamy to, po co przybyliśmy, Vico. Wyjdź na zewnątrz, kažemy przebadać te próbki. To wystarczy, by uszczęśliwić Polemarchę.

Coś błysnęło w tunelu przed Victorem, odbijając światło jego lampy. To była sterta kulek na ścianie pięć metrów od wejścia.

– Widziałaś, Imalo?

– Zostaw to, Vico. Wytnij sobie otwór w żywicy, a ja podlecę po ciebie. Proszono nas o przeprowadzenie zwiadu i właśnie to zrobiliśmy.

– Chcę też wziąć próbkę tego, bez względu na to, co to jest. To może być coś ważnego.

Znowu przewiesił sobie włócznię przez plecy i wśliznął się do tunelu. Miał trochę miejsca ze wszystkich stron, ale niedużo. Kiedy sunął do przodu, wciąż wpadał na ścianę, szorując stopami i pancerzem o skałę. Był zadowolony, że za radą Magoosy pokrył wszystko mocnym materiałem, eliminując możliwość skrzescania iskry. W końcu dotarł do kulek i ze zdziwieniem zobaczył, że są przezroczyste. Wziął jedną z nich i ścisnął palcami. Rozpadła się.

– To jest lód, Imalo. Kulki z czystego lodu. Jakim sposobem? To nie ma sensu. Ta asteroida miała być pokryta lodem, a jedyny lód, jaki tu znajduję, występuje w formie kulek przyklejonych do ściany.

Dostrzegł jakiś ruch nad głową; krzyknął i rzucił się do tyłu. Uderzył o ścianę i odbił się od niej jeszcze kilka razy, zanim zdał sobie sprawę, że z tak ciasnego miejsca nie uda mu się szybko wydostać. Zatrzymał się i odzyskał równowagę. Było to małe stworzenie podobne do ślimaka. Znajdowało się tuż przy hełmie Victora, ale zupełnie nie zwracało na niego uwagi. Chyba nawet nie przeszkadzało mu światło. Stworzenie posuwało się po ścianie, gdzie znajdowała się ścieżka z grubej warstwy śluzu, której przedtem Victor nie zauważył, a potem zbliżyło się do sterty lodowych kulek i wydaliło trzy takie same, pokryte taką samą śluzową substancją. Kulki zajęły swoje miejsce w idealnie uformowanej stercie, a ślimak oddalił się w kierunku, z którego przypełzł.

Victor go oświecił. Ślimak nie zareagował. Dotarł do otworu w ścianie tylko odrobinę większego od niego samego i wcisnął się do niego. Victor podpełzł bliżej, by mu się przyjrzeć. Stworzenie zatrzymało się o niecały metr od wejścia i Victor nie widział, co znajduje się dalej. Ślimak trwał bez ruchu przez dwie minuty, a potem jakby włączył wsteczny bieg – wycofał się z dziury i ruszył w stronę kulek. Victor zaświecił do środka

i zobaczyć bryłę mlecznego lodu.

– On zjada i pozyskuje lód – powiedziała Imalo.

– Nie tylko pozyskuje. On ten lód oczyszcza. Usuwa wszystkie cząstki stałe. Zobacz, jaki brudny jest lód w tunelu, a jak nieskazitelne są kulki w stercie. To układ filtrowania wody, Imalo. To biologiczny układ filtrowania wody. Ślimak połyka brudny lód, jakoś go oczyszcza, a następnie układa czysty na stertę.

– Jak to możliwe? – zapytała Imalo. – Nie można wysysać zanieczyszczeń z lodu. Lód jest ciałem stałym. Nie można go odcedzić.

– Ale to właśnie robi ślimak – rzekł Victor. – Może w jakiś sposób topi go w sobie, oddziela zanieczyszczenia od wody, a następnie ponownie zamraża wodę i odrzuca zanieczyszczenia.

– Zwierzę, które potrafi zamrozić w sobie płyn? – zapytała z niedowierzaniem Imalo.

Nie było jednak innego wyjaśnienia. Jak inaczej te stworzenia mogłyby usunąć wszelkie brudy? Victor przybliżył się do śluzowatej ścieżki na ścianie i zobaczył w lepkiej mazi różne drobne cząstki. A więc ślimak wydalał nieczystości po drodze do sterty, rozsmarowywał je ciałem... Victor się rozejrzał. Teraz dostrzegł wszędzie na ścianach tunelu ścieżki z odrzuconych cząstek. Nie były rozprowadzone równo po powierzchni ścian, lecz skupione w grubych wstęgach wijących się i zakręcających wraz z korytarzem. Zupełnie jakby ślimaki utworzyły śluzowe szlaki do gromadzenia zanieczyszczeń. Z czasem, może kiedy zanieczyszczenia tak zagęszczały śluz, że trudno się było po nim poruszać, porzucały starą wstęgę i zaczynały budować nową, a stary śluz wysychał, tworząc coś w rodzaju cienkiej zaprawy.

Victor potarł palcem jeden ze starych szlaków, ale oderwało się od niego i odpłynęło w zerowej grawitacji o wiele mniej cząsteczek, niż się spodziewał. Osad był zaskakująco twardy. Powiódł światłem po jednej z takich zaschniętych linii. Wiła się chyba w przypadkowy sposób, znikając w głębi tunelu.

– To nie ma sensu, Imalo. Widzisz te wstęgi osadów pozostawiane przez ślimaki? Wiją się przypadkowo we wszystkie

strony. To nie pasuje do uporządkowanego funkcjonowania tych stworzeń i zorganizowanego składowania kulek. Kulki są ułożone idealnie, a szlaki śluzu tak nieregularne, jak szczeliny w skale.

Uświadomił sobie, że w tym leży odpowiedź. Szlaki wiją się jak szczeliny w skale, bo pokrywają szczeliny w skale. Osad wydawał się twardy jak zaprawa, bo to była zaprawa. Te wstęgi nie wiły się przypadkowo. To było celowe działanie ślimaków. Stworzenia te zasklepiały pęknięcia. Oczyszczają lód, owszem, ale miały też drugą misję. Całe to drażnienie, wszystkie te znajdujące się tak blisko siebie tunele zwyczajnie osłabiały spójność asteroidy. Jeśli wywierci się w skale zbyt dużo otworów, to skała wreszcie się rozpadnie. Ten maluch i jego pobratymcy utrzymywali asteroidę w jednym kawałku.

Jakaś dłoń chwyciła Victora za kostkę i szarpnęła do tyłu w stronę wyjścia z tunelu. Wrzasnął, obijając się hełmem i rękami o ściany tunelu.

– Vico! – W jego hełmie rozległ się pełen paniki głos Imali.

Victor nic nie widział. Było za ciasno. Cokolwiek go złapało, trzymało go bardzo mocno. Victor spróbował kopnąć wolną nogą stwora, który go wyciągał, ale wtedy jego wolną stopę chwyciła druga ręka. Ściany wokół niego rozmyły się i po chwili trzymany za kostki Victor zataczał nad tunelem łuk, jakby był wahadłem.

Uderzył bokiem o powierzchnię asteroidy tak mocno, że na chwilę go zamroczyło. Ciało miał bezwładne i zaczął unosić się nad powierzchnią, lecz wtedy coś go przygniotło, trzymając się mocnymi rękami podłoża. Formida. Z kamieniem w ręce. Victor usiłował obrócić się na plecy i unieść rękę, żeby zablokować uderzenie, ale wtedy otrzymał cios kamieniem w bok hełmu. Potężny cios. Zadany z niehumanitarną siłą. Victor uderzył twarzą o wnętrze hełmu. Przekaz z prawej kamery się urwał. Zupełnie jakby stracił jedno oko. Pozostał mu tylko widok z lewej strony. Obrócił głowę i zobaczył, że Formida znowu opuszcza kamień. Uderzył w hełm tak mocno, że przez ułamek sekundy Victor był pewien, że go rozbił. Ale nie, pancerz wytrzymał.

Kolejny cios. I jeszcze jeden.

Nie mógł się wyswobodzić. Nie mógł osłaniać głowy. Umrę, pomyślał. On mnie pobije na śmierć.

Nie słyszał już Imali. Radio zamilkło, rozbite, rozregulowane albo rozłączone.

Kolejny cios. Obraz z lewej kamery zamigotał, grożąc zniknięciem. Nie mógł go stracić. Byłby wtedy ślepy.

Formida znowu uniósł kamień. Ale Victor stuknął w bok rękawicy i wysunął się z niej kolec do utrzymywania się na lodzie. Przyciągnął raptownie rękę do siebie i w momencie, kiedy kamień znów trafił w jego hełm, zatopił kolec w boku Formidy.

Wydarzyło się naraz kilka rzeczy. Stwór wygiął się i cofnął, puszczając Victora. Kolec wysunął się z jego ciała, rozrywając po drodze mięśnie. Lewa kamera Victora zgasła, czyniąc go ślepym. Rozległ się syk powietrza i dźwięk alarmu. Victor pomacał hełm. Rozszczelniło się jego spojenie ze skafandrem, wgniecionie od uderzenia kamieniem. Uciekało z niego powietrze. Wyciekał tlen. Hełm został uszkodzony.

W bok hełmu uderzył ciężki tępy przedmiot, odrzucając Victora od powierzchni. Uderzył bokiem głowy we wnętrze hełmu, co wywołało eksplozję bólu. Alarm skafandra wył. Na interfejsie błyskało ostrzeżenie: „Wyciek tlenu. Zagrożenie życia”. Victor nie miał jak zatrzymać wycieku. Odpływał od powierzchni asteroidy na ślepo.

Formida zderzył się z nim w rzadkim powietrzu, wprawiając ich obu w ruch wirowy. Victor był całkowicie zdezorientowany. Poczuł następne uderzenie w głowę i zaraz potem jeszcze jedno. Formida trzymał się go w pasie i walił w jego hełm. Victor stracił wszelkie poczucie kierunku. Kolejny cios. Uderzyli w jakąś powierzchnię, która lekko się ugięła i naciągnęła – wewnętrzna ściana kokonu. Odbili się od niej, wciąż wirując, ale już wolniej. Jeszcze jedno uderzenie. Victor odruchowo uniósł rękę, żeby osłonić twarz, i przypomniał sobie o kolcu sterczącym z rękawicy. Zamachnął się, trafił pod kąt, ale poczuł, że kolec zagłębia się i coś rozdziera. Oszołomiony stwór przerwał na chwilę atak, lecz zaraz go ponowił. Victor uświadomił sobie, że Formida się nie podda. Nie puści go.

Był silny, nienaturalnie silny jak na swoje rozmiary, i walił w Victora jak goryl.

Alarm wciąż wył. Tlen wyciekał. Kolejny cios w głowę. Jeszcze jeden. Victor objął drugim ramieniem Formidę i przyciągnął go do siebie, unieruchamiając mu ręce. A potem wbił kolec w jego plecy.

Stwór natychmiast zwiotczał i rozluźnił chwyt. Był martwy.

Victor wyszarpnął kolec z jego ciała i odepchnął je od siebie. Wciąż wirował w niekontrolowany sposób.

Uderzył stopami w skałę, a zaraz potem z powierzchnią asteroidy zetknęła się reszta jego ciała. Macał na ślepo, chcąc się czegoś złapać. Chwycił jakiś kamień na krawędzi tunelu. To wystarczyło, by się zatrzymał. Nic nie widział. Skończył mu się tlen. Powinien się jakoś umocować i pomyśleć. Obrócił ciało. Tunel był wąski. Wsunął do niego stopę na tyle, by się przytrzymać. Alarm hełmu wwiercał mu się w ucho.

– Wyłącz alarm.

Hełm zamilkł. Nadal błyskało ostrzeżenie o braku tlenu.

– Imalo, jesteś tam? Słyszysz mnie? Odbiór?

Nie było odpowiedzi.

– Imalo, czy mnie słyszysz?

Nic.

Formida nie miał na sobie skafandra kosmicznego. Oddychał tlenem z powietrza, owszem, ale poziom wodoru był dla Victora niebezpieczny. Pierwiastek mógł się przedostać do krwiobiegu i spowodować uwodornienie tłuszczów i innych cząsteczek organicznych. Niedobrze... Victor sięgnął w dół, rozpiął opakowanie zestawu awaryjnego, który miał na biodrze, i wyjął z niego maskę tlenową. Wężyk podłączało się do rezerwy tlenu w kombinezonie. Starczyło go na dwadzieścia minut.

– Imalo, nie wiem, czy mnie słyszysz, ale nie mogę wyjść na zewnątrz. Mam uszkodzony hełm. Nie daje się uszczelnić. Spróbuję go naprawić, ale nie wiem, czy mi się to uda. Nie przylatuj po mnie. Jeśli nie naprawię hełmu, udam się do formidzkiego statku, zamknę się w nim i tam zaczekam. Powtarzam, nie przylatuj po mnie.

Czy go usłyszała? Czy jego nadajnik działał? Prawdopodobnie nie. Imala pewnie szalała z niepokoju.

Zdjął hełm. Zalała go fala gorąca, kurzu i zapachów. Organicznych zapachów. Słabych, lecz nieprzyjemnych, przywodzących na myśl jedzenie zestawione w lodówce na kilka dni. Nałożył małą maskę tlenową i naciągnął cienkie gumowe paski. Dopływ tlenu regulowało się ręcznym pokrętełłem znajdującym się wewnątrz zestawu. Victor przekręcił je o jedną czwartą i tlen napłynął do maski. Była mała i cienka, zakrywała tylko usta i nos. Głowę miał całkowicie odsłoniętą, co sprawiało, że czuł się bezbronny. Poświecił w górę i zobaczył martwego Formidę unoszącego się w powietrzu dwadzieścia metrów dalej. Ciągnął się za nim ślad złożony z kuleczek krwi.

Wspólny umysł. Victor napomniął się, że co widzi jeden z nich, widzą wszyscy inni. Jeśli jest tu więcej Formidów, przyjdą po niego. Już wiedzą, że tu jest. Powinien się przemieścić. Powinien był posłuchać Imali. Nie powinien był wchodzić do środka. Ale MF potrzebowała tej wiedzy.

Hełm. Obracał go w rękach. Mocno oberwał, ale wytrzymał. Z wyjątkiem miejsca na dole. Metal był wgięty do środka od uderzenia w samą krawędź. Deformacja była mała, ale wystarczająca, by hełm rozhermetyzował jego skafander. Victor spróbował wyprostować metal, ale bez skutku. Tak bardzo się starał, by stop był wytrzymały, i teraz ta wytrzymałość działała na jego niekorzyść.

Jedynym wyjściem był statek, ale Victor nawet nie wiedział, czy uda mu się dostać do środka. Albo czy jest tam tlen. Ale nawet gdyby dostał się na statek, to Imala nie mogłaby go z niego odebrać. Szybkostatek nie miał rękawa dokującego, żadnego sposobu na przywarcie do formidzkiej jednostki. To jednak i tak nie miało znaczenia. Victor nie mógł lecieć szybkostatekiem bez sprawnego kombinezonu. Nie miał jak wrócić na „Gagaka”... Był już martwy...

Ale musiał spróbować. Nie wiedział, czego dokładnie musi spróbować, ale nie mógł się poddać.

Poświecił chwilę na zorientowanie się w sytuacji. Gdzie się

znajduje w stosunku do miejsca, w którym przebił kokon? Zaczął szukać wzrokiem blizny po swoim cięciu i... zamarło mu serce. Po drugiej stronie zobaczył światło.

Imala. Nie usłyszała go. Przybyła po niego.

Nie, Imalo. Nawet nie próbuj.

Promień światła był szeroki. To dobrze. Oznaczało to, że Imala wciąż znajduje się w szybkostatku i że podprowadziła go blisko kokonu. Nie próbowała opuścić jednostki, co równałoby się samobójstwu. Jeśli jednak Victor jej się nie pokaże, może spróbować wyjść na zewnątrz.

Powinien ją powstrzymać, w jakiś sposób przekazać jej swój plan. Ugiął lekko nogi i skoczył w górę do światła. Żywica na pewno wytrzyma, ale Victor bał się, że się od niej odbije. Wewnętrzna ściana była sklepiona i nie było się czego przytrzymać. Odwiódł rękę i w momencie, kiedy uderzył o żywicę, zatopił w niej rękawicy. Jego ciało odbiło się od kokonu, lecz rękawica wytrzymała.

Ale światło Imali przesunęło się, kiedy wylądował, i już na niego nie padało.

Przytknął lampę na nadgarstku do żywicy. Czy Imala zna alfabet Morse'a? Znał go każdy wolny górnik, bo na statku zdarzały się chwile, kiedy był użyteczny. Więc nawet jeśli Imala go nie знаła, przekazywała obraz ze swoich kamer na „Gagaka”, a tam mogli odczytać tekst. Victor zaczął błyskać latarką:

H-E-Ł-M-U-S-Z-K-O-D-Z-O-N-Y-
I-D-Ę-D-O-S-T-A-T-K-U-
F-O-R-M-I-D-Ó-W

Powtórzył to dwa razy. Podczas pierwszego powtórzenia poruszające się światło Imali zgasło. Dobry znak. Świadczył o tym, że zauważyła jego sygnał i obserwuje. Albo przemieściła się dalej i niczego nie dostrzegła.

Powtórzył sekwencję błysków jeszcze raz i czekał. Minęła minuta. Żadnej odpowiedzi.

Wtem żywica przed nim rozjaśniła się błyskami reflektora

Imali, która przekazywała krótką dwuliterową komendę specjalną oznaczającą: Zrozumiano.

Victor poczuł przyływ ulgi. Imala odebrała jego wiadomość. Przynajmniej wiedziała, że ma nie próbować go ratować. Teraz jego błąd jej nie zabije.

Musiał jednak ruszać. Zużył już jedną czwartą swojego tlenu, a statek Formidów znajdował się po przeciwnej stronie asteroidy. Victor zgasił światła. Formidzi widzieli w ciemności, ale ze światłami byłby jeszcze łatwiejszy do zlokalizowania. Tracił regulator napędu i przesunął się w prawo, nie odrywając ciała od żywicy. Starał się spowolnić oddech, żeby tlenu starczyło mu na dłużej, ale wiedział, że prawdopodobnie niewiele to pomoże.

Przed sobą miał całkowitą ciemność. Oczy musiały mu się już do niej przystosować, ale i tak nic nie widział. Jeśli palce traciły kontakt ze ścianą, szybko korygował kurs, uwalniając obłoczek powietrza. Nie miał jednak pojęcia, czy zmierza we właściwym kierunku. Ogólnie rzecz biorąc, to była droga do statku, ale wcześniej czy później będzie musiał włączyć światła, żeby go odnaleźć. Przemieszczał się dalej przez kilka minut, zastanawiając się, czy już ma to zrobić. Czy znajduje się blisko? A może już minął formidzką jednostkę? Nasłuchiwał odgłosów ruchu na powierzchni skały, ale nic nie słyszał. Krótkie syczenie powietrza uwalnianego z pojemnika na plecach wydawało mu się straszliwie głośne. Jak trąbka oznajmająca, gdzie się znajduje, i zapraszająca do ataku.

Ale może załoga z asteroidy nie liczyła pięciu członków. Może był tylko jeden. Może nie trzeba martwić się atakiem...

Victorowi wydało się, że usłyszał poniżej siebie jakiś cichy dźwięk. Szelest albo zgrzyt skały. Zatrzymał się, nasłuchując. Czy to jeden z tych ślimaków, czy może coś innego?

Zderzył się z nim Formida i pchnął na żywicę w płataninie rąk i nóg. Nie odbili się od ściany. Coś ich przy niej trzymało. Victor machał rękami, chroniąc głowę. Jedno uderzenie kamieniem i byłoby po wszystkim. Formida przywierał do niego, lecz nie zadawał ciosów. Przytrzymał go tylnymi odnóżami i sięgał do

żywicy. Victor włączył światła i ku swojemu przerażeniu zobaczył, że przy ścianie utrzymuje ich jakieś ostre narzędzie albo nóż w dłoni Formidy. Stwór zamierzał wyciąć otwór. Zamierzał się poświęcić i wyciągnąć Victora w przestrzeń kosmiczną.

Nóż przebił żywicę. Rozległ się głośny szum powietrza. Victor wyrzucił rękę w bok i wbił kolec rękawicy w ścianę. Jego ciało zesztyniało z nogami skierowanymi ku dziurze. Zdał sobie sprawę, że zostanie wyspany na zewnątrz. Kolec go nie utrzyma. Już wysuwał się z żywicy. Kokon za chwilę się zregeneruje, ale Formida znowu go rozetnie. Victora czekała śmierć. Zostanie wyspany w przestrzeń kosmiczną bez hełmu, za to z trzymającym się go, zadającym mu ciosy Formidą.

Victor zobaczył zbliżający się z góry nóż i uniósł wolną rękę przed twarz, żeby zablokować uderzenie. Metalowy ułomek, a nie nóż, znajdował się o kilka centymetrów od jego oczu. Formida napierał nadgarstkiem na rękę Victora, usiłując wbić ostrze w jego oko.

Kolec rękawicy wysuwał się z kokonu. Powietrze otaczające Victora sprawiało wrażenie setki rąk ciągnących go w stronę otworu. Ręka utrzymująca jego ciało drętwiała z wysiłku; Victorowi wydawało się, że zaraz wyskoczy mu ze stawu. Formida naciskał, całą siłą ramienia pchając metalowy ułomek w dół. Jego czubek odrobinę się przesunął, ale zarazem przybliżył i dotykał już maski tlenowej Victora, grożąc jej przebicciem. Victor odpychał jego rękę, wkładając w to resztki energii, jakie mu zostały, krzycząc i naprężając całe ciało. Gdyby choć trochę osłabł, ułomek zakończyłby jego życie w jednej chwili.

Maska tlenowa zaczęła ustępować pod naciskiem metalu. Victor nie mógł odeprzeć ataku. Nie mógł strząsnąć z siebie agresora. Blokując Formidę ręka zaczynała słabnąć i drżeć z wysiłku. Mogła zawieść Victora w każdej chwili. Jego jedyną nadzieją była dziura i magia, która ją zamykała.

W chwili, kiedy to sobie uświadomił, pęd i świst powietrza zaczęły maleć. Dziura się zmniejszała.

Formida też to zauważył. Odsunął ostrze od twarzy Victora i ponownie skupił się na ścianie. Zamierzał ją rozciąć raz jeszcze, choć pierwsze rozdarcie jeszcze nie zasklepiło się do końca. Gdyby mu się to udało, Victor by zginął. Nie miał już siły dalej się trzymać albo walczyć. Wiedział, że zostanie wyciągnięty na zewnątrz kokonu.

Wyszarpnął kolec, co właściwie nie kosztowało go wiele, bo kolec sam się już wysuwał z żywicy, i uciekające powietrze natychmiast pociągnęło go do otworu. Formida, który wciąż przywierał do niego, poruszył się z zaskoczeniem, usiłując odzyskać równowagę.

Victor uniósł nogi i obrócił się plecami w stronę dziury, bojąc się, że zostanie wyssany stopami do przodu. Na szczęście otwór okazał się mały i włócznie, którą miał przewieszoną przez plecy, wcisnęła się w żywicę tak, że Victor przez chwilę bał się, że grot ją przetnie.

Wciąż owiewało go powietrze, ale słabiej. Victor zatykał plecami niewielki już otwór jak korek w wannie. Formida nadal się go trzymał, zdeorientowany po obrocie. Victor się nie wahał. Wbił w niego kolec i napastnik znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w niego. Metalowy ułomek wysunął mu się z dłoni i odpłynął, uścisk formidzkich rąk zelżał.

Victor odepchnął stwora od siebie. Trącił regulator napędu, ale sprężone powietrze z jego pojemnika nie zdołało przezwyciężyć siły powietrza przypierającego go do ściany. Czy jego plecy nie pozwalają żywicy się zasklepić? Czy włócznie rozpycha krawędzie otworu?

Spróbował się przekręcić, ale bez skutku. Nie miał się o co zaprzeć. I wtedy napór powietrza osłabł jeszcze bardziej, aż zupełnie ustał.

Dziura pod nim się zamknęła.

Victor unosił się w powietrzu, ciężko dysząc i z mocno bijącym sercem, wyczerpany, ale żywy.

Tlen. W walce pewnie zużył większość jego zapasu. Musi

natychmiast znaleźć statek. Wciąż miał zapalone światła na nadgarstkach, ale już się tym nie przejmował. Będzie ich potrzebować. A jeśli zwabią kolejnych Formidów, to trudno. Musi wiedzieć.

Włączył napęd, odepchnął się od ściany i zdjął włócznie z pleców. Poświecił do przodu. Widział tylko wygiętą ścianę z żywicy. Pod sobą miał asteroidę i setki tuneli. Teraz roilo się w nich od robaków. Victor widział ruch w co najmniej dziesięciu tunelach – drobne stworzenia poruszające się pomiędzy stertami kulek.

Nie został, by to zbadać. Rozpoznanie się skończyło.

Poruszał się dalej w stronę miejsca, w którym według niego znajdował się statek. Nie mógł jednak mieć co do tego żadnej pewności. Poczucie kierunku miał zupełnie rozregulowane. Posuwa się wokół asteroidy czy ponad nią?

Dotknął regulatora napędu i z pojemnika na plecach wydostała się ze słabym sykiem ostatnia porcja powietrza. Skończył mu się napęd. Nacisnął regulator ponownie i tym razem nie usłyszał niczego – pojemnik był pusty. Formidzkiego statku nigdzie nie było widać, a Victor nie miał żadnej możliwości kierowania swoim ruchem. Przemieścił się powoli do ściany i jeszcze wolniej się po niej obsunął.

Nabrał tchu i stwierdził, że w masce nie ma już tlenu. Sięgnął do kieszeni i przekręcił regulator o kolejne ćwierć obrotu. Nic się nie stało. Przekręcił regulator do oporu. Nic. Tlen też mu się skończył.

Poczucie wyczerpania i porażki przygniotło go fizycznie. Próbował, walczył, starał się, zmagał i nie ustawał w wysiłkach, ale to nie wystarczyło. Nie był na to przygotowany. Naiwnie dostał się do środka, a teraz umrze jak głupi. I po co? Co zyskał dla dobra MF? Kilka próbek metalowych kulek, które nigdy nie zostaną zbadane? Minutowy filmik z grubym ślimakiem sunącym przez śluz? Och, jakie to wspańiałe. Jakże ważna musi być ta wiadomość. Gratulacje, Victorze, nie umarłeś na próżno. Dzięki tobie świat dowiedział się, jak dokładnie wygląda formidzki ślimak. Członkowie Komitetu Noblowskiego, prosimy przerwać

liczenie głosów, mamy późne zgłoszenie w kategoriach biologii oraz głupoty. To pewny zwycięzca.

Victor pokręcił głową. Był głupi, nadgorliwy i zmarnował życie.

Sięgnął do kolejnej kieszeni na biodrze i wyjął z niej zapalniczkę. Była mała, nie większa od połowy jego kciuka. Zabrał ją na pokład szybkostatku, wiedząc, że powietrze może być wybuchowe, wiedząc, że może zostać schwytany przez wroga, wiedząc, że jej użycie może być konieczne. Lepiej wszystko wysadzić, niż pozwolić, żeby go rozciąli i grzebali mu w środku.

Tak naprawdę to było zabawne. Taka mała zapalniczka mogła spowodować tak wielkie zniszczenia. Wystarczyłoby, że pstryknęłyby przełącznikami, by powstał płomyk – i to wszystko.

Czy na sekundę przed zapaleniem się wodoru zawartego w powietrzu zdawałby sobie sprawę, co się dzieje? Czyby to widział, słyszał, czuł? A może wybuch nastąpiłby tak szybko, że zginąłby, zanim jego mózg zdołałby przetrwać to zdarzenie?

A co z Imalą? Czy znajdowała się w bezpiecznej odległości? A może zaparkowała szybkostatek tuż przy kokonie? Jeśli doprowadzi do wybuchu, mógłby nieumyślnie zrobić jej krzywdę?

Uniósł zapalniczkę do twarzy. Przyglądał się jej i zastanawiał. I wtedy w dali za nią dostrzegł ciemniejszy odcień czerni. Uniósł światło.

To był statek. Znajdował się może sześćdziesiąt metrów od niego, tuż za horyzontem asteroidy. Silniki przebijały ścianę z żywicy, a dziób był przymocowany do skały kilkoma długimi nogami jak pająk.

Uda mu się. Dotrze tam. Victor nie wiedział, czy w końcu wyjdzie mu to na dobre, ale wiedział, że mu się uda.

Pytanie jak.

Dryfował, posuwając się powoli do przodu, ocierając się o kokon. Wkrótce tarcie całkowicie zatrzyma jego ruch. Czy może odepchnąć się od żywicy w dół do asteroidy? Jest sprężysta, więc czy tylko ugnie się od siły jego odbicia? I czy wytrzyma? A może się rozerwie? A nawet jeśli dotrze do powierzchni asteroidy, to

jak będzie się po niej poruszać? A w ogóle jak się na niej utrzyma? Nie mógł o nic zaczepić stóp. To była lita skała. Myślał, że zastanie tam lód, ale Formidzi go stopili, żeby wytworzyć atmosferę. Nie było do czego przywrzeć. Więc kiedy dotrze do powierzchni, co ma robić dalej? Pełzać na rękach?

Nie miał wyboru. Będzie musiał zaufać sile żywicy. I będzie musiał oddychać tą atmosferą.

Obrócił się i rozstawił szeroko stopy przy ścianie, żeby jak najbardziej rozłożyć siłę odbicia i zminimalizować ryzyko przedziurawienia ściany. Ustawił się na najgrubszym skupisku włókien, a nie na samej membranie. Odbił się. Choć przez chwilę miał wrażenie, jakby tylko odepchnął od siebie kokon.

Ale nadał sobie niewielki pęd do przodu, prawie niezauważalny. W tym tempie dotarłby do powierzchni asteroidy za kilka minut, co oznaczało, że mógł go zaatakować kolejny Formida. Victor dostał zadyszki i ściągnął maskę z twarzy. W powietrzu znajdował się tlen, ale z powodu wodoru każdy oddech smakował jak trucizna. Jak mógł przyspieszyć swój ruch?

Pancerz. Ma dużą masę. Gdyby go zdjął i odepchnął od siebie, pancerz zadziałałby z równą siłą o przeciwnym zwrocie.

Victor rozpiął klamry na biodrze, następnie sięgnął do tyłu i zrobił to samo z klamrą na krzyżu. Wymagało to trochę gimnastyki i musiał przekładać włócznię z ręki do ręki, ale w końcu zdjął pancerz okrywający mu tułów i ręce. Musi jednak odepchnąć go od siebie we właściwy sposób. Będzie musiał skierować ciało ku powierzchni asteroidy i ustawić kręgosłup zgodnie z wektorem działania siły. Jeśli choć trochę zmieni kąt, to ta siła wprowi go w ruch obrotowy.

Znowu przewiesił sobie włócznię przez plecy i przyciągnął kolana do piersi. Ostrożnie manewrując pancerzem, wsunął go na płask pod stopy, przyjął pozycję i się odepchnął.

Pancerz odskoczył w dal, a Victor poczuł, że nabiera prędkości. Niezbyt dużej, ale jednak na tyle wystarczającej, by uznał, że wysiłek się opłacił. Pozostałą odległość przebył w kilka sekund i łagodnie opuszczył się na skałę.

Bez nieporęcznych zewnętrznych rękawic jego palce były

sprawniejsze, a rękawice górnicze zapewniały dodatkowo większą siłę chwytu. Mimo to Victor przez chwilę rozpaczliwie szukał czegoś, czego mógłby się złapać. W końcu palce wymacały krawędź wejścia do wąskiego tunelu, a czubki butów wetknął do dwóch niewielkich wgłębień. Teraz mocno trzymał się powierzchni, nie widział już jednak statku. Będzie musiał wspinać się po asteroidzie jak po ścianie urwiska. Ale wszędzie na powierzchni znajdowało się dość małych otworów, by mogło mu się to udać.

Zmienił w myślach swoje ustawienie. Asteroida nie znajdowała się już na dole. Statek był na górze, a jego stopy w dole. Wysunął z butów raki, a następnie wbił buty w skałę, sięgnął ręką do góry i chwycił się krawędzi tunelu.

Wspinał się po jednym kroku, a przed zrobieniem następnego znajdował bezpieczny uchwyt dla rąk i nóg. Martwił się, że w każdej chwili może zostać zaatakowany, lecz nie pojawił się żaden wróg. Po minucie wędrówki natknął się na największe wejście do tunelu, jakie widział do tej pory. Było na tyle duże, że mógł do niego wpełznąć. Poświecił do środka i zobaczył, że na sporym odcinku tunel ciągnie się prosto, a potem skręca w dół. Z łatwością zmieściłby się w nim Formida.

Obszedł wejście i dalej podążał w górę. Zastanawiał się, ile ma już w płucach wodoru, ale odepchnął od siebie tę myśl. Mógł się jedynie pośpieszyć.

Po kolejnych pięciu minutach wysiłków zobaczył statek. Wspiął się jeszcze trochę, aż nabrał pewności, że po odbiciu się dotrze do niego. Schował wtedy szpikulce w butach, zaczął się nogami o nierówności terenu, pochylił się nisko, wycelował ciało i się odbił.

Popłynął przez powietrze szybciej, niż zamierzał, ponieważ zapomniał, że pozbył się górnej części skafandra, ale i tak kontrolował swój ruch. Skulił się i obrócił tak, jak ćwiczyli to z Imalą, i z głośnym stuknięciem wylądował nogami do przodu na wierzchu statku. Poszycie było jednak gładkie, pozbawione wszelkich dziur czy wypustków, których mógłby się chwycić, i zanim siła inercji zdołała postać go gdzieś dalej, Victor obrócił

się i natychmiast odbił w stronę jednej z pajęczych nóg na dziobie jednostki. Uderzył w twardy metal i objął konstrukcję rękami; trzymał się jej kurczowo.

Najpierw poczuł ból w trzech miejscach, a potem krew w ustach i jej strużkę sączącą się z rozcięcia nad okiem. Wytarł czoło i oczywiście pobrudził rękawicę. Poświecił na pajęczą nogę i spostrzegł, że składa się ona z sześciu segmentów połączonych przewodami, bloczkami i zawiasami. Nogi były zaprojektowane tak, by rozkładały się na zewnątrz i utrzymywały statek prostopadle do asteroidy. Układ bloczków wyglądał na bardzo stary, a metal był chropowaty i odbarwiony.

Victor poświecił na statek, szukając wjazdu, drzwi albo innej możliwości wejścia do środka. Niczego takiego nie było. Bok statku był idealnie gładki. Poświecił na dziób i zobaczył, że jest on tępy i przylega do powierzchni asteroidy. Musiało być jakieś wejście. Drzwi prowadzące bezpośrednio do tuneli wydrążonych w skałę. Ale jak do nich trafić?

Trzymając się nogi, Victor wodził światłem wokół podstawy statku, aż znalazł duże wejście do tunelu, który skręcał w lewo w stronę dziobu statku. Tędy zapewne Formidzi wchodziłi do środka.

Victor zaczął przemieszczać się po nodze tak, by znaleźć się po jej stronie najbliższej tunelowi, skąd mógłby się odbić, ale właśnie wtedy z podziemnego korytarza wypełził Formida i rzucił się prosto na niego. Victor wycofał się na przeciwną stronę nogi, a Formida uderzył w nią z drugiej strony. Miotał się, chcąc złapać równowagę, sięgał do Victora i zaczął przemieszczać się wokół nogi, rozpaczliwie chcąc zaatakować intruza. Victor uciekał w przeciwną stronę, odgradzając się od Formidy konstrukcją. Kiedy zamienili się miejscami i Victor znalazł się najbliżej tunelu, odwrócił się i odbił w jego stronę, a zmierzając ku niemu, sięgnął za plecy i chwycił włócznie.

Obrócił się w powietrzu i uderzył plecami w powierzchnię asteroidy tuż obok wejścia do tunelu tak mocno, że na chwilę stracił oddech, a od uderzenia potylicą o skałę prawie stracił przytomność. W głowie mu huczało, a spojrzenie mąciły mu

jakieś plamki. W dłoni trzymał jednak włócznie, opartą jak pika tępy końcem o skałę, gotowy na spotkanie z Formidą, który już szybował w powietrzu jego śladem z wyciągniętymi rękami i otwartą paszczą, chcąc go zaatakować.

Formida nabił się na włócznie i zderzył z Victorem w wirze machających kończyn. Victor odepchnął włócznie, a kiedy stwór wydał ostatnie chrapliwe tchnienie i znieruchomiał, wpłynął do tunelu. Tuż za zakrętem znajdowało się wejście do statku – szerokie okrągłe drzwi na tyle wysokie, że nawet nie musiał się schylać.

Victor wciągnął się na pokład. Na ścianie po prawej stronie znajdowała się korba. Zastanawiając się, czy można dzięki niej zamknąć luk, przekręcił ją w prawo i rzeczywiście wysunęły się listki otworu irysowego zamykające wejście.

Z tunelu dobiegł tupot stóp. Victor przestał kręcić korbą, by poświecić w głąb głównego korytarza, który na dość dużym odcinku biegł prosto. Pędziła nim w jego stronę dwójka Formidów. Odpychali się od ścian różnymi stopami, tyleż biegnąc, ile lewitując w zerowej grawitacji. Gdyby dostali się do środka, Victor by przegrał – był nieuzbrojony i wyczerpany. Zaczął więc kręcić korbą jak najszybciej. Listki sprawiały wrażenie starych, zardzewiałych i przeraźliwie powolnych, a im bardziej się wysuwały, tym ciężiej musiał pracować. Kiedy uderzyli w nie Formidzi, niemal się stykały. Przy wtórze wściekłego drapania i walenia w drzwi Victor natężył się i nie zwalniał, aż w końcu udało mu się zamknąć otwór. Ręce paliły go z wysiłku i chciało mu się wymiotować. Uświadomił sobie, że za pierwszymi są drugie drzwi. Znalazł drugą korbę i kiedy nią poruszył, z podłogi i sufitu wyłoniły się dwie płyty, zetknęły pośrodku i zaskoczyły.

Znalazł się wewnątrz statku.

Odwrócił się i oświetlił ciemną przestrzeń. Statek był mały i dość wąski. Miał ledwie dziesięć metrów długości. Przykry zapach organicznego rozkładu, który Victor ledwie czuł na zewnątrz, tutaj był bardzo mocny. Przywodził na myśl gnijące rośliny zmieszane z odchodami. Środkiem statku biegło przejście

z dziwnymi półkami po obu stronach. Na półkach znajdowały się całe rzędy okrągłych pojemników z wyschniętego błota albo kamienia. Dla ślimaków, uświadomił sobie Victor. Formidzi przywieźli je ze sobą. W tunelach widział jednak więcej osobników, niż mogło się pomieścić w pojemnikach, co oznaczało, że Formidzi rozmnożyli je po przybyciu.

Ale po co w ogóle przywieźli tu te ślimaki? Jakie było ich zadanie? I po co Formidom te metalowe kulki? Dlaczego stworzyli ten habitat wokół skały? Victor włożył w to rozpoznanie tyle wysiłku, walczył i niemal zginął, lecz nadal nie miał żadnych odpowiedzi dla MF.

Przemieszczał się wzdłuż półek i świecił do środka każdego pojemnika. Z ulgą stwierdził, że wszystkie są puste.

Na ścianie po prawej stronie znalazł kolejną korbę, trzykrotnie większą od tych przy drzwiach. Pomyślał, że porusza zapewne pajęczymi nogami statku. Chwycił ją i chciał przekręcić. Obracała się tylko w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Po całym statku rozniosły się zgrzyty i piski niewidocznych przekładni, a Victor poczuł, że statek nieco zmienił położenie. Tak, chował nogi. Nagle konstrukcja się zachwiała, lecz Victor nie przerywał pracy. W końcu rozległ się trzask i korba się zablokowała.

Obecnie statek utrzymywała na miejscu tylko żywica, która narosła wokół silników, tworząc szczelny kołnierz. I co Victor mógł teraz zrobić? Nie dostrzegł żadnej konsoli, żadnych przyrządów pilotażowych – tylko trzy korby i rzędy kamiennych pojemników. A jednak Formidzi tym statkiem jakoś kierowali. Dokładnie namierzili asteroidę i do niej dotarli, pokonując dzięki potężnym silnikom miliardy kilometrów. Gdzie więc są ich gwiazdne mapy, komputery nawigacyjne, terminale?

Victor wisiał pośrodku przejścia i rozglądał się, rozpaczliwie pragnąc znaleźć przepustnicę, kierownicę albo przycisk zapłonu silników hamujących. Muszą być silniki hamujące. Statek sprawiał wrażenie delikatnej konstrukcji, a usiadł na skale pędzącej w przestrzeni kosmicznej. I zrobił to łagodnie, z chirurgiczną precyzją. Jak tego dokonał?

Victor obrócił się w powietrzu. Nadal słyszał głuchoe odgłosy walenia pięściami w drzwi. Dwaj Formidzi bardzo chcieli dostać się do środka.

Myślę jak człowiek, uświadomił sobie Victor. Muszę myśleć jak Formida.

Chwycił się najniższej półki i zbliżył do powierzchni, którą wcześniej nazwał podłogą. Była brudna, lepka i śmierdziała odchodami. Uchwycił się podpór półek i zawisł poziomo nad podłogą, na takiej wysokości jak Formida. Pod najniższą półką znajdowała się wąska wolna przestrzeń, ciągnąca się przez całą długość statku. Formida mógł tam wpełznąć z łatwością. Victor nie zmieściłby się ani w tych resztkach pancerza, ani w górniczym skafandrze. Był w nich za szeroki. Zdjął więc pancerz i skafander i został tylko w przylegającym do ciała kombinezonie, stanowiącym bieliznę. Teraz był wystarczająco szczupły, by wpełznąć pod półkę, chociaż i tak zrobił to z trudem. Podciągnął się do przodu i znalazł dźwignię i przycisk umieszczone pod ruchomą klapką. Przesunął ją w górę i odsłonił niewielki iluminator. Oznaczało to, że wpełzał tu Formida i wyglądał na zewnątrz. Ale po co? Victor na próbę poruszył dźwignię i usłyszał pod sobą zgrzyt przekładni. Wcisnął guzik i usłyszał syk środka napędowego. Statek uniósł się odrobinę i przesunął do tyłu.

Dźwignia i przycisk uruchamiały jeden z silników hamujących. Victor odepchnął się od ściany i prześliznął nad podłogą na drugą stronę, gdzie znalazł identyczne klapkę, dźwignię i przycisk. Wcisnął guzik – statek przesunął się odrobinę w górę i cofnął. Załoga składała się z pięciu Formidów, ponieważ trzeba było ich pięciu, by wylądować.

Victor wydostał się spod półki i wspiął do tego, co uważał za sufit, i tak jak się spodziewał, znalazł tam podobne stanowiska.

Wcisnął guzik i uruchomił silnik. Statek zachwiał się i Victor poczuł, że odrywa się od żywicy. Przemieścił się do czwartego silnika i też go uruchomił, co poskutkowało wyraźniejszym przechyleniem się statku. Było to mało precyzyjne działanie oparte na domysłach, ale jednostka odrywała się od asteroidy.

Gdy wszyscy Formidzi współpracowali ze sobą sprzężeni umysłami, to nawigacja musiała być o wiele łatwiejsza. W wykonaniu samego Victora była katastrofą.

Ale coś osiągnął. A przynajmniej tak mu się wydawało. Krążył między czterema silnikami hamującymi i uruchamiał je na tyle, by popychały statek do tyłu. A ten szarpał, pochyłał się i wirował, podczas gdy Victor dwoił się i troił, by poruszał się we właściwym kierunku.

Wyjrzał przez iluminator i spostrzegł, że jest wolny. Statek oddalał się od skały, zostawiwszy po sobie olbrzymią dziurę w żywicy. Na pewno uciekało przez nią powietrze, z powrotem oddając całe tamtejsze środowisko we władanie próżni. Ślimaki i pozostali Formidzi zostali wyssani w przestrzeń kosmiczną i się udusili.

Victor nie widział szybkostatku, chociaż wiedział, że Imala gdzieś tam jest. Czekala na niego, śledziła go, leciała za nim.

„Gagak” przybył po kilku godzinach i chwycił statek jednym ze swoich ramion dokujących. Minęła jeszcze jedna, zanim do kadłuba formidzkiego statku został przytwierdzony rękaw. Laser wypalił otwór w suficie i ktoś odsunął wycięty fragment.

Victor spojrzał w górę i zobaczył zatroskaną twarz Arjuna.

– Żyje! – zawołał Somalijczyk przez ramię.

Victor usłyszał chór radosnych okrzyków.

– Jesteś ranny? – zapytał Arjuna.

– Mam w płucach niebezpieczne stężenie wodoru i może potrzebuję kilku szwów. Poza tym nic mi nie jest. Imali nic nie grozi?

– Jest w środku. Bezpieczna. Ale jest w strasznym stanie, Vico. Zgotowałeś jej piekło. Twojej matce też. Rena chciała, żebyśmy tam polecieli i cię wydostali. Prawie musiałem ją związać.

– Nie powinienem był tam wchodzić przy tak wybuchowej mieszance powietrza. To było głupie.

Arjuna westchnął.

– Żyjesz, i to się liczy. No i przywiozłeś pamiątkę. – Wetknął głowę do formidzkiego ministatku i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Ale śmierdzi jak kubeł pomyj.

- Sam nie pachnę lepiej.
- Przyniosę ci środek dezynfekujący i czyste ubranie. Chcemy, żeby twoja rodzina cię przywitała, a nie wyrzuciła w przestrzeń kosmiczną.

Rozdział 19

UMYSŁ ŻOŁNIERZA

Technika formidzka jest u swego podłoża biologiczna. Królowa roju nie używa maszyn, lecz tworzy zwierzęta i panuje nad nimi za pomocą umysłu, by wykonywały pewne zadania. Stopień, w jakim nad nimi panuje, jest przedmiotem wielu dyskusji, lecz dominująca teoria głosi, że nie wszystkie stworzenia podlegają kontroli na tym samym zintegrowanym poziomie. Niektórym stworzeniom, jak górniczym robakom, królowa roju tylko nadaje impuls, by robiły to, do czego są genetycznie predysponowane. Potem robaki działają niezależnie, a królowa roju sprawdza tylko okresowo, czy jej stworzenia nadal postępują zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

Innym, bardziej złożonym organizmom, jak formidzcy żołnierze, królowa roju wydaje bardziej konkretne instrukcje. Analizy bitew zarówno z pierwszej, jak i z drugiej wojny z Formidami wskazują, że czasami ogranicza się tylko do rozkazu ataku. W takich wypadkach stworzenia te działają jak niezależne organizmy, strzelając, skacząc i walcząc jak indywidualni żołnierze, nieustraszeni, lecz pozbawieni pomysłowości. W innych sytuacjach wydaje się, że królowa roju przejmuje całkowitą kontrolę umysłową, grupa bowiem przestaje działać jako zbiór jednostek i zaczyna poruszać się jak jeden organizm.

Demostenes, *Historia wojen z Formidami*, t. 3

Mazer i Prem wysiedli z windy cztery poziomy poniżej powierzchni Luny w kompleksie biur Zakładów Gungsu. Przywitał ich uprzejmym uśmiechem i ukłonem elegancki młody Koreańczyk ze starannie ułożonymi włosami.

– Kapitanie Rackham, porucznik Chamrajnagar, jestem asystentem pani Woo Han. Witam. Proszę wybaczyć, że jesteśmy tak nieprzygotowani na państwa wizytę.

– Nie powiedzieliśmy, że przyjdziemy. To zrozumiałe – rzekł Mazer. – Mam nadzieję, że nie sprawiamy kłopotu.

Uśmiech asystenta nie osłabł ani trochę.

– Wszyscy przedstawiciele WYBABiM-u oraz Międzynarodowej Floty są w naszych biurach zawsze mile widziani. Zasadniczo lubimy umawiać się z dużym wyprzedzeniem, żebyśmy mogli znaleźć w naszych rozkładach zajęć czas na spotkanie. Lecz nadeszły trudne czasy i wydaje się, że co chwila pojawia się jakieś nowe zagrożenie. Zakłady Gungsu są zawsze gotowe do pomocy. Czy mogę zapytać o charakter państwa wizyty?

– Mamy propozycję dla pani Woo Han – powiedział Mazer.

Asystent czekał na więcej informacji, lecz kiedy Mazer ich nie dostarczył, zapytał:

– Czy mógłbym podzielić się z panią Woo Han jakimiś szczegółami związanymi z tą propozycją, żeby mogła się przygotować do powitania państwa?

Asystent został ewidentnie wysłany po to, by wydobyć od gości informacje, i Mazer dostrzegł w jego oczach ledwie skrywaną panikę. Wyraźnie nie chciał wrócić do Hei Woo Han z niczym.

– Proszę powiedzieć pani Woo Han, że Międzynarodowa Flota formuje oddział specjalny do ataków na asteroidy – rzekł Mazer – i że mamy kilka projektów urządzeń, które chcielibyśmy jej pokazać. Misja ta ma się odbyć niedługo, a nasze doświadczenia z Gungsu pozwalają nam sądzić, że wasza korporacja może być idealnym partnerem w tym przedsięwzięciu.

Uśmiech asystenta się poszerzył.

– Oczywiście. – Pokazał ręką na poczekalnię po prawej stronie, zwracając uwagę bogatym wystrojem. – Zechcą państwo spocząć? Poinformuję panią Woo Han o państwa przybyciu.

– Dziękuję – powiedział Mazer.

Usiedli z Prem w wygodnych fotelach, a asystent popędził do swojej szefowej.

– Oddział do ataków na asteroidy? – zapytała Prem. – To

zabrzmiało oficjalnie.

– Taką miałem nadzieję.

– Wyglądało na to, że ten asystent się rozpłaczę, jeśli nie damy mu czegoś, co mógłby przekazać Woo Han. To musi być straszna kobieta. Co o niej wiesz?

– Prawie nic poza tym, że jest bezpośrednim łącznikiem Waganowa z Gungsu – odparł Mazer. – Sądzę, że można bezpiecznie założyć, że to ona doprowadziła do zawarcia umowy z pułkownikiem.

– To dlaczego rozmawiamy z nią? Czy to nie ona jest tu wrogiem?

– Jest koniunkturalistką. I odpowiada za umowy. Jeśli mamy rację co do jej wpływów, prawdopodobnie może wycofać oskarżenie.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że nie mamy żadnego upoważnienia, by występować w imieniu Międzynarodowej Floty, oraz że wchodząc do gabinetu tej kobiety i udając przedstawicieli MF, narażamy się na prawdziwą rozprawę przed sądem wojskowym...

– Jeśli będziesz mnie reprezentować w sądzie, to ja będę reprezentować ciebie – obiecał Mazer.

– Ja mówię poważnie, Mazerze. W najlepszym razie zostaną pozbawiona uprawnień adwokackich, w najgorszym – pójdziemy do więzienia.

– Powiem funkcjonariuszom, którzy przyjdą nas aresztować, że usiłowałaś mnie od tego odwieść, że opisałaś wszystkie konsekwencje i powiedziałaś, że to jest bardzo zły pomysł.

– To jest bardzo zły pomysł.

– Chodzi mi o to, że jeśli się nie uda, to nie ma powodu, żebyśmy oboje za to oberwali. To mój pomysł. Pójdę sam. Wsiądź do windy i spotkamy się potem w twoim biurze. Jeśli oddadzą mnie pod sąd wojskowy, będziesz mogła mnie reprezentować. Czy mógłbym dostać zniżkę za hurt?

– Ty mi nie płacisz. Nie pamiętasz? Zostałam wyznaczona z urzędu.

– Jeszcze lepiej.

Chamrajnagar zastanawiała się przez chwilę, a potem westchnęła.

– Będzie lepiej, jeśli pójdziemy oboje. Sam wyglądasz jak wariat. Ze mną...

– ...wyglądam jak wariat z inteligentną prawniczką.

– Może powinniśmy przynajmniej zawczasu uzgodnić, co przedstawimy tej kobiecie? Nie znoszę improwizacji.

Mazer nie zdążył odpowiedzieć, bo wrócił asystent i skinął na nich ręką. Ruszyli za nim jednym z korytarzy i we trójkę weszli do gabinetu Hei Woo Han, dużego pomieszczenia z holostosem po lewej stronie i kręgiem nowoczesnych foteli po prawej. Hea Woo Han wstała na ich powitanie. Sprawiała dokładnie takie wrażenie, jak to zapamiętał Mazer: pewna siebie, elegancka i bardzo fachowa. Jej mina, chociaż uprzejma, świadczyła o tym, że Woo Han całkowicie nad wszystkim panuje.

Po serii ukłonów i oficjalnych prezentacji asystent wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Zechcą państwo usiąść? – zaprosiła ich Hea Woo Han, pokazując na fotele. Na stoliku przed nimi znajdował się ozdobny koreański serwis do herbaty. Gospodyni uniosła dzbanek. – Mogę zaproponować państwu czarkę *omija cha*, koreańskiej herbatki ziołowej z jagód schizandry? Podobno uspokaja ducha oraz oczyszcza serce i nerki. A ja po prostu lubię jej smak.

– Dziękuję – powiedział Mazer.

Prem poszła w jego ślady, więc Hea Woo Han napełniła parującym płynem trzy czarki.

– Dobrze pana pamiętam, kapitanie Rackham – stwierdziła, upiwszy łyk napoju. – Widzieliśmy się krótko w WYBABiM-ie, ale ja nigdy nie zapominam twarzy. Pomagał pan przeprowadzić testy zakłócacza grawitacji. Jeśli się nie mylę, podczas jednej z prób odniósł obrażenia członek pańskiego zespołu. Mam nadzieję, że odzyskał zdrowie.

– Stracił dolną część nogi i uczy się chodzić z protezą.

Hea Woo Han wyglądała na szczerze zaskoczona.

– Przykro mi to słyszeć. Przy następnym spotkaniu zechce pan przekazać wyrazy współczucia jemu i jego rodzinie. My

w Gungsu nie jesteśmy obojętni na takie tragedie. Wielu z nas to byli żołnierze. Łącznie ze mną. Jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu jednego żołnierza jest uszczerbkiem na zdrowiu nas wszystkich.

– Ma pani wojskową postawę – rzekł Mazer. – Nie jestem zdziwiony, że służyła pani w armii. W których siłach? MWRK? – Miał na myśli Marynarkę Wojenną Republiki Korei.

Hea Woo Han się uśmiechnęła.

– Po czym pan poznał? Po tym, jak nalewam herbatę?

– Zakłady Gungsu musiały zatrudnić kogoś, kto doskonale zna się na procesie zdobywania kontraktów na duże samowystarczalne okręty oraz ich wyposażenie. To oznacza marynarkę wojenną.

– Tak. Byłam oficerem administracyjnym od zawierania umów. Przejście do Gungsu wydawało się naturalne.

– Jaki miała pani stopień? – zapytał Mazer. – Majora?

Hea Woo Han się uśmiechnęła.

– Niezupełnie. Byłam *daewi*, co jest odpowiednikiem waszego stopnia kapitana.

– Kiedy odeszła pani ze służby?

– Trzy lata temu, kiedy formowała się MF.

– To powinna była pani otrzymać awans na majora. Była pani w odpowiednim wieku, a do tego ma pani osobowość i odpowiednie umiejętności.

Hea Woo Han skłoniła lekko głowę.

– Jest pan bardzo uprzejmy, kapitanie Rackham, ale w koreańskim wojsku jest bardzo mało kobiet w stopniu majora. W tych okolicznościach moja ranga i tak była znacznym osiągnięciem. Ale nie przyszli tu państwo omawiać mojej służby wojskowej. Jak możemy tu w Gungsu państwu pomóc?

Mazer upił naparu. Był gorący, słodki i ogrzał mu przełyk.

– Co według pani jest w tej chwili najsłabszym punktem MF?

Hea Woo Han się zamyśliła.

– Ciekawe pytanie, panie kapitanie, wymagające dłuższej odpowiedzi. W tej chwili flota ma kilka słabych punktów. Po pierwsze, mamy za mało okrętów wojennych i za mało

doświadczonych załóg do ich obsady. Po drugie, od ostatniej wojny poczyniliśmy ogromne postępy w obronności, ale jeśli chcemy mieć nadzieję na pokonanie wroga, musimy kontynuować wprowadzanie innowacji – w jednostkach zwiadowczych, w dziedzinie łączności, w uzbrojeniu i obronie. Silna obrona ma korzenie w zaawansowanej technice. Nie możemy zmniejszyć tempa naszych badań i dalszego rozwoju.

– Czy nie jest to podstawowe stanowisko każdego dostawcy sprzętu dla wojska? – zapytał Mazer. – Wojsko jest słabe – musimy być silniejsi – potrzebujemy więcej sprzętu i tak dalej. Gdyby mówiła pani inaczej, zbankrutowałyby pani.

Wyras twarzą Hei Woo Han pozostawał niewzruszony.

– Kwestionuje pan moją szczerość, kapitanie Rackham?

– Bynajmniej. Nie chciałem pani urazić. I proszę mówić mi po imieniu. Prem i ja nie jesteśmy tu jako przedstawiciele MF. Reprezentujemy samych siebie. Możemy sobie darować formalności.

– Rozumiem. Wygląda na to, że zostałam wprowadzona w błąd. Miałam powody sądzić, że chodzi o oddział do ataków na asteroidy.

– Zgadza się – rzekł Mazer. – Ale najpierw to pytanie o największą słabość MF. Zakładam, że pani, ktoś doskonale obznajomiony z zawiłościami wojskowej biurokracji, wie, jaki jest nasz prawdziwy problem.

Hea Woo Han odstawiła pustą czarękę na stół.

– Może nie jestem taka mądra, jak pan sądzi, panie kapitanie. Najwyraźniej ma pan coś na myśli. Proszę mnie oświecić.

– Ile razy została pani pominięta przy awansach w marynarce wojennej? Cztery? Sześć? Nie musi pani odpowiadać. Bez względu na tę liczbę działo się tak nie tylko dlatego, że była pani kobietą w instytucji zdominowanej przez mężczyzn, ale także dlatego, że jest pani inteligentna, a oni się pani bali. Ale gdyby wniosła pani skargę na dyskryminację, do czego miała pani pełne prawo, to właściwie zniszczyłaby pani swoją karierę. Zostałaby pani poddana ostracyzmowi, była ignorowana i wciągnięta na czarną listę. Mianowano by panią kwatermistrzem w prowincji

Gangwon, gdzie mieszkałaby pani z rybakami lodowymi.

Hea Woo Han się nie odzywała.

– Milczała więc pani – ciągnął Mazer – wypełniała swoje obowiązki i patrzyła, jak wciąż awansuje się mniej kompetentnych karierowiczów, którzy umieli wykorzystać system. Przypisywali sobie zasługi za wszystkie sukcesy i przerzucali na innych winę za każdą porażkę. Biurokraci. Ludzie, którzy pragną stanowisk dowódczych, ale którzy nie mają pojęcia o dowodzeniu. Ludzie, którzy unikają zaangażowania swoich sił, zanim nie uzyskają pewności, że zbliża się zwycięstwo. Ludzie, którzy chcą, by ryzyko podejmował ktoś inny. Ludzie, którzy przegrywają wojny.

Hea Woo Han nie odpowiedziała.

– Ale wtedy pojawia się Gungsu. Korporacja, która nagradza za inteligencję i awansuje za skuteczność. Potrzebuje kogoś właśnie takiego jak pani, znającego się na operacjach wojskowych, potrafiącego rozmawiać z oficerami wyższych rang bez unізoności. Kogoś, kto się zna na procesie zdobywania kontraktów i kto mimo uprzedzeń otoczenia zdobył wysoką rangę. Przedstawiono więc pani ofertę akurat w chwili, kiedy uświadomiła sobie pani, że po wstąpieniu do MF nie miałyby pani perspektyw. Nie awansowałyby pani. Nie w środowisku, w którym biurokracja została wyniesiona na całkiem nowy poziom, w którym karierowicze z niemal wszystkich armii Ziemi wszelkimi sposobami walczyli o pierwszeństwo i pięli się w górę po trupach. Pani tak nigdy nie postępowała i na pewno nie chciała tak postępować, przeszła więc pani do Gungsu. Uwielbia pani swoją pracę, bo czuje się pani doceniana. Ale zarazem jej pani nie znosi, bo musi zawierać umowy z dokładnie takimi biurokratami, jakimi pani od początku gardziła. Proszę mi powiedzieć, czy mam rację.

– Biurokracji nie da się pokonać – powiedziała Hea Woo Han. – Może ona być naszym najsłabszym punktem, lecz jest niezniszczalna. Ona określa MF. Nie mogę panu pomóc.

– Myślę, że jednak pani może. Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Rozpiął mankiet i podwinął rękaw, odsłaniając swoją nakładkę na nadgarstek.

– MF przygotowuje się do działań wojennych, w których okręty będą walczyć z okrętami – rzekł Mazer. – Przewiduje wielkie bitwy kosmiczne. I prawie na pewno będziemy z czasem ich świadkami. Ale ważniejszym polem walk mogą się okazać asteroidy. Uważa się, że Formidzi zajęli ich już tysiące w naszym Układzie Słonecznym. Pokrywają je oni wytrzymałą osłoną, która nie pozwala uciec atmosferze. Moim zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że Formidzi budują w tych asteroidach tunele i tworzą siedliska, a może nawet wydobywają surowce. Nie wiemy jeszcze, w jakim celu, ale żołnierze MF będą musieli te asteroidy zająć. Niepowodzenie w tym względzie może nas kosztować przegraną w wojnie.

Wysunął ze swojej nakładki na nadgarstek cztery antenki i włączył holoprojektor. W holopolu pojawił się obraz pajęczy uprząży stworzonej przez Victora.

– To jest uprząż tunelowa – wyjaśnił Mazer. – Zaprojektował ją Victor Delgado, wolny górnik, którego umiejętności inżynierskie pomogły nam wygrać pierwszą wojnę z Formidami. Uprząż była pierwotnie przeznaczona do użytku w metalowych tunelach wewnątrz formidzkiego okrętu wojennego, ale mogłaby się spisywać równie dobrze w tunelach wydrążonych w asteroidach. Odnóża uprząży zapierają się o wszystkie strony tunelu, utrzymując w ten sposób żołnierza zawieszzonego pośrodku z dala od ścian. W razie konieczności żołnierz może w jednej chwili złożyć odnóża z jednej strony i przylgnąć do ściany tunelu. Jednak zasadniczą funkcją odnóży jest chodzenie, co pozwala żołnierzowi celować z broni podczas posuwania się naprzód lub wycofywania.

– Rozumiem – powiedziała Hea Woo Han. – I co pan proponuje Gungsu?

– W celu zażegnania tego zagrożenia zostanie sformowany oddział szturmowy, który poleci do Pasa. Weźmie ze sobą sprzęt do budowy tych uprząży. Lot potrwa kilka miesięcy, kiedy to żołnierze będą się szkolić w użytkowaniu tych uprząży i w razie

konieczności będą modyfikować projekt. Jeśli uprzedze okażą się skuteczne i zyskają aprobatę Hegemonii, Victor Delgado i ja proponujemy Gungsu kontrakt na ich opracowanie i produkcję. Jeśli nie będziecie zainteresowani, pokażemy ten projekt oraz inne, które mamy, firmie Juke Limited.

Hea Woo Han odpowiedziała po chwili zastanowienia:

– Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że pomija pan hierarchię służbową. Pańskim dowódcą nadal jest pułkownik Waganow. Zawieranie takich umów to jego prerogatywa.

– Pułkownik Waganow nie jest dowódcą Victora Delgado, którego reprezentujemy – odezwała się Prem. – Twierdziłabym, że wcale nie pomijamy hierarchii służbowej. Po prostu obchodzimy biurokrację.

Hea Woo Han zacisnęła usta i chwilę się zastanawiała.

– A o co państwo proszą w zamian?

– Waganow przekazał pani pomysł na nanotarczę – powiedział Mazer. – Jego autorem jest żołnierz z mojego oddziału, który stracił nogę, Shambhani. Rozumiemy, że nie jest pani do tego zobowiązana prawnie, ale chcielibyśmy prosić, by Zakłady Gungsu ofiarowały rodzinie Shambhaniego hojny datek.

Hea Woo Han uniosła brew.

– Jeśli tylko Shambhani zgodzi się podpisać dokument, w którym zrzeka się prawa podjęcia przeciwko nam jakichkolwiek kroków prawnych, to jestem pewna, że da się to załatwić. Nasi prawnicy mogą dopiąć szczegóły z porucznik Chamrajnagar. Coś jeszcze?

– Stosowna rekompensata finansowa dla Victora Delgado i jego rodziny – rzekł Mazer.

– Oczywiście, zakładając, że nasi inżynierowie będą mogli ocenić to holo i zgodzą się, że urządzenie jest wykonalne. A pan, panie kapitanie? Robi to pan z dobroci serca? Czy może też pragnie pan rekompensaty?

– Ma pani umowę z pułkownikiem Waganowem. Nie wiem, co dokładnie jest jej przedmiotem, ale chciałbym prosić, by użyła pani wszelkich swoich wpływów i namówiła go oraz jego współpracowników do zakończenia mojego procesu przed

sądem wojskowym i uniewinnienia mnie od wszystkich zarzutów.

– Rozumiem – powiedziała Koreanka.

– Te zarzuty są fałszywe – odezwała się Prem. – Z łatwością wygramy apelację, ale to będzie trwało miesiącami i opóźni powstanie oddziału do ataków na asteroidy.

– Przykro mi, panie kapitanie, ale nie mogę panu pomóc – stwierdziła Hea Woo Han. – Wyraźnie sądzi pan, że Zakłady Gungsu dysponują większymi wpływami, niż to ma miejsce w rzeczywistości. Ich jedyny związek z pułkownikiem Waganowem jest wyłącznie zawodowej natury. Jakikolwiek inne porozumienie z nim lub z jego współpracownikami byłoby w najwyższym stopniu nieetyczne i zagrażałoby przejrzystości zawierania kontraktów z Międzynarodową Flotą. Gungsu nie może także ingerować w przebieg wojskowego postępowania sądowego. Leży ono wyłącznie w gestii korpusu prawnego floty i nie śmielibyśmy utrudniać mu wykonywania obowiązków. Ta sprawa jest zdecydowanie poza zasięgiem tej korporacji i tu nie mogę panu udzielić żadnej pomocy. Obawiam się, że został pan wprowadzony w błąd. Jestem przekonana, że pan mnie rozumie.

– Rozumiem całkowicie – powiedział Mazer. – Moja propozycja była niemądra. Jeśli po zakończeniu procesu przed sądem wojskowym pozostanę w Międzynarodowej Flocie, to może moglibyśmy się spotkać ponownie w celu omówienia ewentualnego partnerstwa.

Mazer wstał i wyciągnął rękę. Hea Woo Han także wstała i podała mu swoją.

– Może – zakończyła.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani tyle czasu.

Uklonili się, a asystent Hei Woo Han pojechał z nimi windą na górę i odprowadził ich do głównego wejścia, gdzie fałszywy słoneczny blask ze sklepionych kopuł Starego Miasta padał na zatłoczony chodnik.

– No to zmarnowaliśmy sporo czasu – stwierdziła Prem.

Mazer wezwał taksówkę, a kiedy przyjechała, wsiedli do niej i włączyli się do ruchu.

– Ta rozmowa była nagrywana – powiedział Mazer. – Woo Han odmówiła zbyt stanowczo. Nie mogła powiedzieć niczego, co by obciążało firmę. Ale domyślam się, że w tej chwili rozmawia z pułkownikiem Waganowem i prosi go, żeby odwołał oskarżenia.

– Albo może była niewzruszona, bo naprawdę nie może nam pomóc.

– Może, ale jej oczy mówiły co innego.

– Ach. Jej oczy. Oczywiście. Ależ jestem niemądra, że większą wagę przykładam do słów niż do tego subtelного, jakże wymownego błysku w jej oku. Czy jej oczy powiedziały ci także, że zadeklarowaliśmy związek z oddziałem szturmowym do walk na asteroidach, który nawet nie istnieje? Bo taka paniczna myśl przebiegła mi przez głowę. Nie jesteś władny formować oddziałów sił specjalnych, Mazerze. Nie możesz także wstąpić do takiego oddziału ani nie masz środków, by wysłać go do Pasa. Nie mamy pieniędzy, broni, żołnierzy, statku ani planu. Składałeś obietnice, których nie możesz dotrzymać, i nie masz żadnego upoważnienia do zawierania umów z dużym dostawcą sprzętu. Oczywiście podziwiam twoją ambicję. I zasadniczo się z tobą zgadzam. Ale jesteś kapitanem. Nie możesz inicjować misji o takiej skali. Coś takiego mogą proponować tylko pułkownicy albo oficerowie wyższego stopnia, i to dopiero po zgromadzeniu góry danych na temat danej misji, jej logistyki, personelu, uzbrojenia, wyposażenia, transportu... Poza tym mają drugą górę danych określających, kim jest wróg i jak zostanie pokonany. Mapy, cele, indywidualne zadania, zagrożenia, ryzyko, możliwe środki zaradcze i tak dalej, i tak dalej... My nic takiego nie mamy. Nie jesteśmy nawet pewni, które asteroidy mogą być zajęte i ile ich jest. Ile czasu zajmie Hei Woo Han uzyskanie od jej źródeł w MF potwierdzenia, że blefowaliśmy i że w sprawie oddziału szturmowego do walk na asteroidach nic się nie dzieje?

– Wyliczasz, Prem, to, czego nie dokonaliśmy, zamiast pomóc mi określić to, co możemy zrobić. Chcę, żebyś na chwilę wyłączyła swój umysł adwokacki i włączyła umysł żołnierski, tę część twojego mózgu, która pozwala ci dokonywać rzeczy

pozornie niemożliwych. W MF jest mnóstwo bystrych ludzi. Na pewno nie jesteśmy jedynymi osobami, które myślą o tych asteroidach. Po prostu musimy się dowiedzieć, kim są ci ludzie, i dołączyć do nich.

– Istnieje hierarchia służbowa, Mazerze. Do czasu twojego przeniesienia twoim dowódcą nadal jest pułkownik Waganow. Nie możesz tak po prostu zmienić oddziału. Nie jesteś wolnym strzelcem.

– Twój umysł żołnierza, Prem. To jego musisz użyć. Kiedy się dowiemy, kto myśli o asteroidach, poproszę o przeniesienie do tego oddziału. Waganow się nie sprzeciwi. I tak chce się mnie pozbyć.

– A jak znajdziemy tę informację?

– W taki sam sposób, w jaki w wojsku krążą wszystkie ważne informacje – poprzez kanały nieoficjalne. Sprawdzę moje forum. I zapytam Lema Jukesa. Jego ojciec jest Hegemonem. Może Ukko będzie mógł nas skontaktować z tymi ludźmi.

Taksówka wjechała do tunelu i zapaliły się jej wewnętrzne światła. Kopuły Starego Miasta zostały daleko z tyłu.

– Rozumiem, że nie wracamy do biura – powiedziała Prem. – Kolejne naruszenie ograniczeń twojego poruszania się. Wyjeżdżamy z miasta i zmierzamy do biur Lema Jukesa? Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że nie możesz tak po prostu zjawiać się w gabinetach dyrektorów korporacji i oczekiwać, że przyjmą cię z otwartymi rękami...

– Staramy się ocalić świat, Prem. Możesz wygłosić mi tyle kazań o etykiecie, ile chcesz, kiedy to się skończy, a królowa roju będzie martwa.

Rozdział 20

PRZERWY

Do: lem.jukes@juke.net

Od: obserwator_komet75@pocztawolnegopasa.net

Temat: Co znalazł Victor

Lemie

Nie znasz mnie. Nazywam się Edimar, jestem kuzynką Victora Delgado i mieszkam na pokładzie „Gagaka”. Victor sam by do ciebie napisał, ale został powołany do MF i zakazano mu dzielić się wojskowymi informacjami z kimkolwiek spoza MF. A najwyraźniej wszystko, co znajduje, widzi, słyszy albo odkrywa Victor, staje się automatycznie informacją wojskową. Błyskotliwa taktyka, nie sądzisz? Tak więc zamiast pozwolić Victorowi, by dzielił się informacjami, które mogłyby przynieść korzyść wszystkim, łącznie z wolnymi obywatelami przestrzeni kosmicznej, Ziemi i Luny – co prawdopodobnie doprowadziłoby do zbierania większej ilości informacji przez innych – ten wojskowy geniusz Polemarcha upiera się, by informacje otrzymywał wyłącznie on. W ten sposób może się nimi dzielić tylko z tymi osobami, które sobie wybierze, co oznacza tylko tych, którzy podzielają jego głupkowane opinie.

Zastanawiam się nad napisaniem do Pupymarchy, że to nie jest wojna między narodami. To wojna między dwoma gatunkami o bardzo odmiennych drogach ewolucji. Nie musimy się martwić o zachowanie tajemnicy, szpiegostwo i o to, że bardzo ważne informacje mogą wpaść w czworo rąk wroga. Formidzi nie posługują się wspólnym językiem – ani w ogóle nie używają żadnego języka. Nie mają urzędzeń, które mogą przechwycić tekst pisany i przetłumaczyć go na wiadomość przekazywaną z umysłu do umysłu, którą by zrozumieli. Nie mogą też się przebrać za ludzi

i jako tajni agenci nas szpiegować. Dlaczego więc powinniśmy zachowywać całkowitą tajemnicę, skoro zyskalibyśmy o wiele więcej, dzieląc się informacjami?

I tak na wypadek, gdyby nasz błyskotliwy „kontroluję wszelkie informacje, nawet gdyby miało to nas wszystkich zabić” podsłuchiwał, Victor absolutnie nie prosił mnie o przekazanie ci tej informacji. Victor jest dobrym żołnierzem i nigdy nie złamałby głupich rozkazów głupich dowódców. Możesz zapytać, skąd w takim razie wzięłam Twój adres e-mailowy. Victor nie jest moim jedynym źródłem informacji. Adres dostałam od wróżki.

A teraz do rzeczy. Victor znalazł na 2030CT próbki sześciu metali, które zostały wydalone przez podobne do robaków stworzenia zjadające skałę. Do wydobywania metali Formidzi nie używają mechanicznych narzędzi wiertniczych, lecz specjalnie wyhodowane stworzenia. Przeprowadziliśmy dokładne analizy próbek metali; załączam wyniki. Załączam też ten link do czarnej strony z setkami zdjęć i transmisji na żywo z hełmu Victora przekazywanej w trakcie tej operacji. Link jest samopowielający się, więc za każdym razem, kiedy MF będzie próbować go zamknąć, pojawi się gdzie indziej. Zakładam jednak, że ich technicy mają lepsze narzędzia niż ja, więc pośpiesz się i ściągnij materiały, zanim je zniszczą.

Tę informację otrzymuje też pewien oficer w MF. Wierzę, że okażesz mądrość i zadziałasz w imię najlepszych interesów rasy ludzkiej, czyli przekażesz je tacie Hegemonowi oraz prasie. Vico mówi, że nie jesteś tą samolubną, egotyczną osobą, jaką byłeś kiedyś, a ponieważ ufam mojemu drogiemu kuzynowi, obdarzę zaufaniem także i Ciebie. Proszę, żebyś dowiódł, że Vico ma rację.

Edimar

Kiedy jego nakładka na nadgarstek zasygnalizowała, że pojawiła się nowa wiadomość, Lem jadł lunch z kilkorgiem dygnitarzy z Ziemi i Luny. Dyskretnie wyłączył dźwięk, ale czuł niepokój. Ustawił urządzenie tak, by powiadamiało go

o wiadomościach pochodzących tylko od garstki ludzi i tylko wtedy, gdy były bardzo ważne. Lem nie mógł jednak przeprosić i odejść od stołu. Siedzące obok osoby były bardzo ważne – ambasadorowie, ministrowie, sekretarze stanu... Zachowałby się bardzo nieuprzejmie, opuszczając rozmówców, skoro tylu z nich zwracało się do niego.

Norja Ramdakan organizował ten lunch kilka miesięcy, co łączyło się z wyjazdem do dwóch zakładów produkcyjnych Juke Limited oraz kolacją w wyśmienitej restauracji firmy. Ustawy proponowane przez biuro Hegemonii znacznie podwyższyłyby podatki i cła, a osoby siedzące przy stole dysponowały odpowiednią władzą i wpływami, by odrzucić te ustawy lub ograniczyć sugerowane podwyżki.

– Jest pan synem Hegemona – powiedziała ambasador Francji. – Mogłabym sądzić, że ma pan większy wpływ na swojego ojca niż my.

Uwaga ta została wygłoszona poniekąd jako żart i wywołała kilka uprzejmych uśmiechów.

– Mój ojciec jest bardzo praktycznym człowiekiem, pani ambasador – zaczął Lem dobrodusznie. – Bardzo bym chciał, by przypisywał wagę wszystkiemu, co mówię, lecz zapewniam panią, że tak nie jest. W gruncie rzeczy ojciec tak się przejmuje nawet pozorami nepotyzmu, że aby wygrać jakikolwiek przetarg, my w Juke Limited musimy pracować dziesięć razy ciężiej niż inni dostawcy sprzętu dla wojska. Prawda, Norjo?

Norja, który siedział przy przeciwnym końcu stołu, roześmiał się.

– Stary daje nam wycisk.

Kolejne uprzejme uśmiechy uczestników lunchu.

– W tym względzie wystarczy nawet pobieżnie sprawdzić, w jaki sposób Hegemonia rozdzielala swoje fundusze w ostatnich latach – rzekł Lem. – To prawda, że firma Juke Limited otrzymała swoją porcję kontraktów. Lecz my na nie zasłużyliśmy. Stawaliśmy do przetargów jako kandydat o najlepszych kwalifikacjach do jak najlepszego i jak najszybszego wykonania zadania. Jeśli jednak jakaś inna firma miała choć odrobinę

podobne kwalifikacje i była choć w najmniejszym stopniu obiecująca, to mój ojciec zawsze z nią podpisywał kontrakt. Straciliśmy wiele zleceń, ponieważ ojciec chce, by rozwijały się inne przedsiębiorstwa, i rozsiewa po całym świecie iskry innowacji. I ma rację. Wprawdzie szkodzi to mojemu działowi finansowemu, ale słusznie różnicuje klientów MF i promuje wzrost gospodarczy na całym świecie. – Lem uśmiechnął się do ambasador. – Innymi słowy, mojego ojca tak naprawdę nie obchodzi, co ja myślę, pani ambasador. Jego interesuje głównie bezpieczeństwo obywateli Ziemi, a nie finansowa stabilność firmy jego syna.

– Firmy, która kiedyś należała do niego.

– Owszem, kiedyś. Ale ojciec pozbył się wszelkich powiązań z tą korporacją, a ci, którzy dobrze go znają, wiedzą, że mówię prawdę.

Kilka osób siedzących wokół stołu nieznacznie skinęło głowami.

– Ale moim zdaniem Hegemonia myli się co do tych proponowanych podatków i ceł – ciągnął Lem. – Niewątpliwie przyniosą one jej dochód, a zatem i Międzynarodowej Flocie, ale zarazem sparaliżują innowacje i zablokują swobodny przepływ pomysłów. Mogą państwo sądzić, że nasze pobudki są czysto samolubne, lecz najbardziej na tym ucierpią firmy średnie, które z trudem utrzymują się w tej branży. Ja widzę w tym wielką ironię. Mój ojciec niestrudzenie pracował na rzecz rozwoju tych przedsiębiorstw, a teraz – poprzez nałożenie nowych podatków – utrudnia im działanie. Ten spór trwa od wielu lat. Hegemonia ma przychody, których potrzebuje. Wystarczy, że obetnie niepoważne wydatki.

– Czy część tych niepoważnych wydatków idzie do Juke Limited? – zapytała Daijina, minister handlu Unii Afrykańskiej. – Czy jest pan gotów oddać kontrakty uznane za zbędne? Zgadzam się, że Hegemonia sporo zainwestowała w projekty bez perspektyw. Straciliśmy setki milionów kredytów na tandetne urządzenia, które nie mają żadnej przyszłości. Może nawet miliardy. I mnóstwo tych pieniędzy zostało wypłaconych tej

firmie. Mogłabym podać kilka przykładów.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, lecz Lem rozbroił ją uśmiechem:

– Wszyscy moglibyśmy podać przykłady, pani minister. Prawdopodobnie mógłbym ich podać więcej od pani. I pierwszy przyznam, że niektóre z prototypów opracowanych w Juke Limited nie osiągnęły pełni swoich możliwości. Na szczęście dla nas te trudne projekty stanowią jedynie drobny ułamek całej produkcji Juke dla Międzynarodowej Floty. W rzeczywistości Juke Limited ma największe osiągnięcia w tym biznesie. Ma pani jednak rację. Czasami efekt końcowy nie spełnia oczekiwań MF. Częściowo jest to związane z szaleńczym tempem, w którym musimy pracować. Zbliża się wróg. Nie mamy luksusu długiego terminu. Wszyscy gorączkowo pracują. A przy wysokich wymaganiach i braku czasu błędy są nieuniknione. Ale to nie znaczy, że powinniśmy na nie łożyć. Po co podnosić podatki i cła, jeśli wciąż marnujemy tak dużą część obecnych nakładów? Norjo, jak się nazywa to niemądre urządzenie, które właśnie wypuściły Zakłady Gungsu? – Lem pstryknął palcami, jakby usiłując sobie przypomnieć.

– Zakłócacz grawitacji – powiedział Norja.

Lem się uśmiechnął.

– Właśnie, zakłócacz grawitacji. Oto urządzenie, które kosztowało MF kilkaset milionów kredytów, ale nie działa na kadłuby formidzkich statków. To, proszę państwa, nie jest mądre wydawanie pieniędzy. To jest wyrzucanie ciężko zarobionych przychodów obywateli Ziemi i Luny. I kto zapłaci za ten błąd? Gungsu? Nie, wszystkie inne korporacje, które muszą teraz wziąć na swoje barki wysoki podatek, żeby pokryć te wydatki.

Znowu się odezwała nakładka na nadgarstek Lema i tym razem wszyscy na nią spojrzeli. Lem nie mógł już ignorować tego sygnału.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć, ale ten dźwięk oznacza, że ta wiadomość nie może czekać.

Wstał od stołu, nie zważając na ponure spojrzenie Norji. Właśnie dotarli do momentu z Gungsu i zakłócaczem grawitacji,

który sobie przećwiczyli, a Lem wychodził. Norja mu potem natrze za to uszu.

Wszedł do kuchni i otworzył wiadomość. Ku jego zdumieniu pochodziła od ojca i brzmiała: „Właśnie się dowiedziałem, że jednocześnie zostały zniszczone wszystkie pozostałe satelity Paralaksy. Jeszcze tego nie ogłosiliśmy, ale chciałem, żebyś to wiedział. Przed nami mroczne czasy, synu. Uważaj na siebie”. Lem wpatrywał się w te słowa, a w głowie wirowały mu pytania. Spróbował połączyć się z ojcem, ale oczywiście bez skutku. Ojciec na pewno był na pilnym spotkaniu z MF. W DoCent pewnie panuje chaos.

Ale kiedy to się stało? Czy ojciec dowiedział się o tym przez ansibl? Czy to się dzieje teraz? Czy to właśnie teraz się stało?

Hegemonia jeszcze nie podała tego do wiadomości. Mądra decyzja. Słusznie zachowali ostrożność. Jeśli zostało zniszczonych siedem satelitów, oznaczało to, że Ziemia została oślepią, a Formidzi mają już dostęp do wszystkich zakątków Układu Słonecznego. Wiele satelitów Paralaksy było umieszczonych po jego drugiej stronie, przeciwnie do kierunku, z którego zbliżali się Formidzi. Mimo to ich sondy już do nich dotarły i nie zostały wykryte. Oznaczało to, że wszystkie argumenty przeciwko teorii Edimar padły. Ich przeciwnicy twierdzili, że Formidzi żadną miarą nie mogli przeniknąć przez Pas Kuipera bez naszej wiedzy. A jednak istniał niepodważalny dowód, że obcy mogą latać, dokąd chcą, z jednego końca Układu Słonecznego na drugi.

No i jest wynik tego wszystkiego: jednoczesne zniszczenie wszystkich siedmiu satelitów. To nie był przypadek. To świadczyło o inteligencji, planowaniu, myśleniu strategicznym. To oznaczało, że Formidzi są bardzo dobrze poinformowani. Dokładnie wiedzieli, gdzie się znajdują satelity oraz jak uniknąć wykrycia w drodze do nich.

Nie, to oznaczało coś więcej. Ponieważ formidzkie sondy, które przeprowadziły to skoordynowane uderzenie, musiały opuścić statek bazę przed wielu laty. Musiały wyruszyć o wiele wcześniej, znając orbity satelitów... Musiały znać nie tylko ich liczbę, ale też

przyszłe ich położenie i dostosować do niego swoje kursy. Oznaczało to także, że Formidzi orientowali się, że satelity są ważne, nawet jeśli nie w pełni rozumieli dlaczego.

Ale w takim razie z jakiego powodu Formidzi zniszczyli najpierw tylko Kopernika? W ramach testu? Aby ocenić siłę naszego ognia? Zobaczyć, jak zareagujemy? Zobaczyć, czy można będzie unicestwić pozostałe? To by wyjaśniało, dlaczego statek, który unieszkodliwił Kopernika, nie stawiał żadnego oporu, kiedy przybyły myśliwce Międzynarodowej Floty. Miał wyeliminować Kopernika, a potem dać się wyeliminować nam.

Czy Formidzi rozumieli, czym był Kopernik? Czy wiedzieli, że używamy tych satelitów do obserwacji, czy może uznali je za broń, za zagrożenie, które trzeba usunąć przed rozpoczęciem walki? Bo teraz widać to wyraźnie, że było to tylko posunięcie wstępne. Formidzi przygotowywali Układ do pełnej inwazji.

Lemowi zrobiło się niedobrze. Jakby pękła bańka ochronna, ujawniając stojącego tuż przed nim potwora.

Przybrał spokojną minę i wrócił do restauracji. Tocząca się wokół stołu rozmowa na chwilę przycichła. Lem uśmiechnął się i powiedział:

– Proszę o wybaczenie, ale muszę na chwilę pożyczyć mojego głównego doradcę finansowego.

Norja położył na stole serwetkę, roześmiał się krótko i wstał.

– Widzą państwo? To jest to szalone, przyśpieszone tempo, o którym mówił Lem. Nie możemy nawet zrobić sobie chwili przerwy na porządny posiłek. Przepraszam.

Wyszedł za Lemem z sali, ale kiedy tylko znaleźli się sami w korytarzu, zniknęła jego spokojna mina.

– Zakładam, że jest to sprawa życia i śmierci, bo nie umiem sobie wyobrazić niczego ważniejszego od rozmowy, jaką tam prowadzimy.

– To była wiadomość od mojego ojca.

Wyraz twarzy Norji zmienił się błyskawicznie. Nagle bardzo się zdenerwował, co zaniepokoiło Lema. To oznaczało, że nawet Norja jest zaskoczony posunięciem ojca.

Lem przeczytał wiadomość na głos. Norja przez chwilę nic nie

mówił, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Zniszczyli te satelity jednocześnie, Norjo. Są zorganizowani. Mają dostęp do całego cholernego Układu.

– Jest jeszcze gorzej – rzekł Norja. – To oznacza, że nie możemy śledzić żadnej z asteroid.

Lem o tym nie pomyślał, ale oczywiście to miało największe znaczenie. Jeśli Formidzi rzeczywiście skonfiskowali tysiące asteroid i zamierzali wepchnąć je gdzieś do Układu, to jak się dowiemy bez Paralaksy, czy one się poruszają i dokąd zmierzają?

– Teraz naszą jedyną metodą obserwacji są statki już znajdujące się w przestrzeni kosmicznej – rzekł Norja. – A to ani trochę nie wystarczy. Ile ich jest? Tak z grubszą?

Lem wzruszył ramionami.

– Licząc korporacje, wolnych górników i MF? Nie wiem. Dwieście pięćdziesiąt? Ale to i tak chyba za dużo.

– Jak dwieście pięćdziesiąt statków ma śledzić trzy tysiące asteroid? To niemożliwe.

– Nie wiemy, czy jest ich trzy tysiące – powiedział Lem. – Tyle według Edimar może ich być.

– Ta wolna górniczka miała rację we wszystkich innych sytuacjach. Nie założę, że teraz jej nie ma. – Norja pokręcił głową.

– Dwieście pięćdziesiąt statków. To jest nic, Lemie. I prawdopodobnie jedna czwarta z nich i tak trzyma się razem – przy składach, stacjach, gdzie robią naprawy, ładują zaopatrzenie. Albo się tam kierują... Nie mamy ich rozmieszczonych równo w całym Układzie z ich Okami wycelowanymi w poszczególne obiekty. Nawet nie wiemy, na które asteroidy powinniśmy patrzeć. Po to mieliśmy Paralaksę. Teraz nie mamy nawet tego. Zupełnie jakby Ziemia stała na strzelnicy z przepaską na oczach.

– Musimy zaatakować ich duże okręty wojenne – stwierdził Lem.

Norja spojrzał na niego, jakby Lem postradał zmysły.

– Okręty wojenne? Być może mamy przeciwko sobie armię kontrolowanych przez Formidów asteroid, a ty chcesz przyspieszyć naszą śmierć samobójczą misją? Każdy z tych

okrętów jest tak duży jak statek zwiadowczy z pierwszej wojny, a może większy.

– No to co byś zaproponował, Norjo? Właśnie powiedziałaś, że nie możemy śledzić wszystkich asteroid w Układzie i że nie wiemy, które z nich powinniśmy monitorować. O okrętach wojennych wiemy. Mamy sto procent pewności, że istnieją i że tam są. Z tym celem możemy się zmierzyć.

– Opuścić ekliptykę? – zapytał Norja. – Odśłonić się?

– To jest przestrzeń kosmiczna, Norjo. Odślaniamy się w chwili, kiedy opuszczamy ziemską studnię grawitacyjną. Nie będziemy mieli żadnej asteroidy, do której moglibyśmy się wycofać, ale skoro i tak są na niej Formidzi, to moim zdaniem nie robi to wielkiej różnicy.

– To nie pora na żarty, Lemie.

– A kto tu żartuje? Te okręty to jedyne cele, które możemy zidentyfikować. Czy jest jakiś najwyższy władca Formidów? Królowa roju? A jeśli jest, to czy nie tam powinna być ukryta i chroniona?

– Zbliżają się do nas z obu stron – powiedział Norja. – Jeśli ruszymy w pościg za okrętami, będziemy musieli podzielić naszą flotę, a ona i tak jest bardzo nieliczna.

– Nie możemy tu siedzieć i zdać się na obronę bierną – stwierdził Lem. – Musimy działać. Uderzmy na nich, zanim się przygotują. Przybyli, budując swoją flotę, tak? Może jeszcze nie skończyli? Może zaparkowali powyżej i poniżej ekliptyki i ostrzą noże? Jeśli uderzymy, zanim będą gotowi, możemy mieć jakąś szansę.

– A jeśli te okręty mają niezniszczalne poszycia? Na to nie mamy jeszcze broni. Mówisz o uderzeniu na Formidów, zanim będą gotowi, ale my też gotowi nie jesteśmy.

– Gdzie jest Benyawę z nanochmurą? – zapytał Lem.

Norja wzruszył ramionami.

– Przygotowują się do prezentacji dla Hegemonii. Modyfikują prototyp. Jeszcze niczego nie wyprodukowaliśmy. Nie jesteśmy gotowi do użycia nanochmury w walce. Dopiero za rok czy dwa. Ale nawet kiedy już będziemy wytwarzać je na skalę masową, to

nadal nie będziemy znali zawłości tych formidzkich okrętów, żebyśmy mogli powiedzieć nanomateriałowi, gdzie ma się udać po przeniknięciu przez kadłub.

Lem pokręcił głową.

– To nie do przyjęcia, Norjo. Podajesz mi niemożliwy scenariusz. Nie mamy dwóch lat. Zwykły tok produkcji tu nie ma zastosowania. Jeśli będziemy działać jak zwykle, to zanim nanochmura będzie gotowa, Ziemia zamieni się w brykiet węglowy.

– To co mam zrobić, Lemie? Oddać ją do produkcji, zanim zostanie zaaprobowana? Zanim będziemy mieli na to fundusze? Masz pojęcie, jaka jest kosztowna? Im coś jest mniejsze, tym droższe, Lemie.

– Orientuję się w zagadnieniach ekonomicznych, Norjo.

– A zatem wiesz, że jeśli zaczniemy, zanim zapewnimy sobie finansowanie z Hegemonii, to ryzykujemy wysadzenie firmy z rynku. A nie mamy nawet pewności, czy to cholerstwo będzie działać.

– Widziałem pokaz, Norjo. Nanochmura działa.

– Widziałeś, jak Benyawe machała różdżką w kontrolowanym środowisku. Laboratorium to nie strefa wojenna, Lemie. Nie wypróbowaliśmy jeszcze nanochmury w warunkach polowych.

– A więc poproś Benyawe, żeby natychmiast przeniosła swój zespół do formidzkiego statku zwiadowczego i zaczęła to robić. A my umówmy się z Hegemonią na prezentację. Albo nie, pójdę z tym bezpośrednio do ojca. Bo jeśli nasza flota ruszy do ataku wyprzedzającego bez nanochmury, to poniesiemy klęskę.

– Nie będzie żadnego ataku wyprzedzającego, Lemie. Taki atak leży w gestii Polemarchy. A to tchórz. Jest jak McClellan. O wiele za ostrożny. Nie skieruje do walki żadnych okrętów, dopóki nie będzie przekonany, że wygramy bitwę.

– A do tego nigdy nie dojdzie – rzekł Lem. – W tej wojnie nigdy nie pojawi się scenariusz gwarantujący nam przewagę. Powinien o tym wiedzieć.

– Wiem.

– To dlaczego Polemarchą jest Ketkar? Jeżeli jest niekompetentny, to co robi na tym stanowisku?

Norja zawahał się, zmieszany.

– To skomplikowane – powiedział.

– Co to znaczy? Co wiesz?

– Posłuchaj, to nie jest ani miejsce, ani czas na taką rozmowę. Mamy salę pełną dygnitarzy, których trzeba zabawiać.

– Myślisz, że chcę usiąść i dokończyć groszek, prowadząc polityczne pogawarki? Ja już skończyłem ten posiłek, Norjo. Jeżeli ty chcesz się bawić w gospodarza, świetnie. Ale ja muszę coś zrobić.

– W tej chwili nie możesz zrobić nic, Lemie. Ruch należy do ludzi w DoCent. Niech się tym zajmie MF. Po to istnieje. Wróć do sali i udawaj, że interesują cię ci nudni ludzie. Zostało nam najwyżej dwadzieścia minut. Uśmiechaj się, opowiedz jakąś zabawną anegdotkę, bądź czarujący. Tego nam trzeba. Zrób to, a wspomogiesz działania na rzecz wojny. Bo jeśli ci ludzie pomogą nam zlikwidować ten podatek, to będzie więcej funduszy na takie projekty jak nanochmura.

Odstąpił na bok i pokazał ręką, żeby Lem wszedł do sali.

– Pogadamy później, Norjo. W tej chwili mam robotę do wykonania, ale nie tutaj.

Odwrócił się i odszedł. Norja nie próbował go zatrzymać. Lem pojechał jednym z podziemnych samochodów do swojego biura, choć nie bardzo wiedział, co robi, kiedy już tam się znajdzie.

Kiedy tylko otworzył drzwi, zerwała się na nogi jedna z jego asystentek, Xianxo.

– Panie Jukes, usiłuję się z panem skontaktować od godziny, ale nie przebijały się żadne wiadomości.

– Byłem na spotkaniu. Miałem wyłączoną nakładkę. – A ty nie jesteś jedną z tych osób, od których wiadomości są dla mnie ważne, pomyślał.

– Przyszła do pana wiadomość wideo od kapitana Nikuli z Pasa Kuipera. Była oznaczona jako bardzo ważna.

– Kto to jest kapitan Nikula? – zapytał Lem.

– Kapitan jednego z naszych statków górniczych, panie dyrektorze. Dowodzi „Gungnirem”, statkiem klasy A. Pan Ramdakan rozkazał kapitanowi Nikuli zbadać OwPK, który być

może jest celem Formidów.

OwPK. Obiekt w Pasie Kuipera. Zasadniczo asteroida. Norja mówił, że kilka naszych statków znajduje się w pobliżu planetoid, które według Edimar mogli przejąć Formidzi.

Lem skreślił w prawo.

– Prześlij to wideo do sali holo.

– Tak jest.

Kiedy Lem wszedł do pomieszczenia, zdjął marynarkę i powiesił ją na haczyku przy drzwiach. Na przeciwległej ścianie pojawił się duży obraz mężczyzny w średnim wieku, patrzącego w kamerę z mostku swojego statku. Kapitan Nikula miał na sobie kombinezon lotniczy, podobny do tego, jaki nosił Lem, kiedy dowodził firmowym statkiem. Lem machnął ręką i filmik zaczął się odtwarzać.

– Mówi kapitan Franz Nikula z „Gungnira”, rejestracja 450081, własność Juke Limited. Przybyliśmy do rejonu określonego na naszej mapie gwiazdnej jako miejsce położenia 2045LJ78, skalnego OwPK mierzącego jeden kilometr średnicy i pokrytego lodem z wody i z amoniaku. Ale asteroidy tam nie było. Po dokładnym przeszukaniu sektora znaleźliśmy duży fragment skały nieodnotowany na mapie gwiazdnej. Obiekt ten znajdował się w odległości kilkuset tysięcy klików i miał średnicę trzystu metrów. Podeszliśmy bliżej i zbadaliśmy obiekt przedstawiony tutaj.

Kapitana zastąpił filmik zarejestrowany przez zewnętrzne kamery statku. Pokazywał oświetloną reflektorami statku asteroidę w kształcie dysku z setkami małych otworów i tuneli.

– Uważamy, że ten mniejszy OwPK jest fragmentem pierwotnej 2045LJ78. Proszę zauważyć dziury na całej powierzchni. Początkowo sądziliśmy, że fragment ten został odłupany od asteroidy w wyniku zderzenia, lecz w zapisach Oka nie znaleźliśmy żadnych dowodów na poparcie tej teorii. Nie było żadnego obiektu o znacznej wielkości, który mógłby się zderzyć z tą asteroidą. Dalsza analiza sektora ujawniła inne nieznanne obiekty. Kiedy poddaliśmy kwadrangulacji ich trajektorie, odkryliśmy, że wszystkie mają swój początek w punkcie

znajdującym się na orbicie asteroidy, o której mowa. To potwierdziło nasze podejrzenia, że te inne drobne obiekty to także fragmenty 2045LJ78. Asteroida rozpadła się mniej więcej dwa tygodnie przed naszym przybyciem, a jej fragmenty rozprzestrzeniły się w różnych kierunkach. Wówczas jeszcze raz zbadaliśmy zapisy Oka, żeby sprawdzić, kiedy pojawił się ślad termiczny. To by wskazało, kiedy formidzki miniaterek opuścił asteroidę. Gdybyśmy mieli szczęście, ślad termiczny pozwoliłby nam też określić trajektorię tego statku, który mieliśmy nadzieję wykryć i śledzić. Rzeczywiście, znaleźliśmy w zapisach ślad termiczny, ale nie taki, jakiego się spodziewaliśmy. W chwili rozpadu asteroidy nastąpił jasny rozbłysk gorąca, co prowadzi nas do wniosku, że Formidzi nie rozłupali jej, lecz rozsadzili materiałami wybuchowymi. Po poddaniu analizie fragmentu asteroidy gęsto poprzecinanego tunelami nie znaleźliśmy żadnych obcych śladów. Żadnych Formidów, narzędzi, małego statku. Lecz coś musiało wydrążyć te otwory i tunele w skale. Nie mogły powstać w sposób naturalny. Przygotujemy pełny pisemny raport i wyślemy go bezpośrednio do Lema Jukesa. Bez odbioru.

Transmisja się skończyła. Lem wpatrywał się w ścianę. Dawno nie był tak zdezorientowany. Po co Formidzi wydobywali surowce z asteroidy, a potem ją wysadzali? Żeby zatrzeć ślady? Żeby ludzie nie zdołali odkryć, co tam robili?

To było takie frustrujące. Właśnie kiedy czuł, że zaczynają się pojawiać odpowiedzi, zwałała się na niego góra nowych niejasności. Walczymy z wrogiem, którego nie rozumiemy, pomyślał. Co takiego powiedział Sun Tzu? „Ten, kto zna swojego wroga i samego siebie, nie będzie zagrożony choćby w stu potyczkach. Lecz ten, kto nie zna ani wroga, ani samego siebie, zostanie nieuchronnie pokonany w każdej potyczce”? To o nas, pomyślał Lem. Nie znamy ani siebie, ani wroga. Formidzi są doskonale zjednoczeni w zbiorowym umyśle, którego żadną miarą nie umiemy pojąć, a my jesteśmy podzieloną, skłóconą bandą egoistów mających więcej opinii niż zdrowego rozsądku.

Lem otworzył pocztę, żeby sprawdzić, czy przyszedł już

pisemny raport kapitana Nikuli. Zamiast niego znalazł ku swemu zaskoczeniu raport Edimar. Otworzył go i przeczytał. Victor dostał się pod skorupę i odkrył kulki czystego metalu wydobytego z asteroidy... Potem otworzył załączniki, przejrzał obrazy i z przerażeniem i fascynacją obejrzał filmik Victora, na którym podobne do robaków stworzenia przekopują się przez skałę. Następnie otworzył analizę kulek. Victor znalazł żelazo, magnez, aluminium, nikiel, krzem i czysty lód. Mogły tam też być inne metale, ale Victor, pragnąc jak najszybciej stamtąd uciec, nie zebrał więcej próbek.

Lem wrócił do e-maila Edimar. Napisała, że te same informacje wysłała do „pewnego oficera MF”. Nie wymieniła go z nazwiska, by ochronić jego tożsamość, ale wyraźnie spodziewała się, że Lem będzie wiedział, kto to jest. To musiał być Mazer Rackham. Ale Rackham był w WYBABiM-ie... Co mógł tam zrobić z tymi informacjami?

Otworzyły się drzwi do sali holo i pojawiła się w nich głowa Xianxo.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale chce się z panem zobaczyć niejaki kapitan Mazer Rackham.

Lem wpatrywał się w nią przez chwilę, zbyt zaskoczony, by coś powiedzieć.

– Wpuść go – powiedział w końcu.

Xianxo zniknęła, a do sali wszedł Mazer w towarzystwie jakiejś oficer. Kobieta o oliwkowej skórze i ciemnych włosach była młoda i atrakcyjna. Może to Hinduska. A Mazer nic się nie zmienił, wyglądał dokładnie tak samo jak trzy lata wcześniej, chociaż teraz miał na sobie galowy mundur.

– Zaproponowałbym państwu fotele, ale tu ich nie ma – odezwał się Lem, ale Mazerowi to w niczym nie przeszkadzało.

– Panie Jukes, chciałbym panu przedstawić porucznik Prem Chamrajnagar z korpusu prawnego floty.

Lem podał jej rękę.

– Adwokat... To z każdą chwilą staje się coraz bardziej interesujące.

– Powinien pan otrzymać e-mail od Edimar – rzekł Mazer.

– Właśnie skończyłem go czytać. Może więc pan sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy wszedł pan dokładnie w momencie, w którym uświadomiłem sobie, że Edimar prawdopodobnie ma na myśli pana.

– Dostałem jej e-mail w drodze tutaj – powiedział Mazer.

Lem był zaskoczony.

– A więc to nie wiadomość od niej pana tu sprowadziła? Teraz jestem zdezorientowany jeszcze bardziej.

– Przyszedłem, by podzielić się informacjami, zdobyć informacje i może dobić targu – wyjaśnił Mazer.

– Jakiego targu?

Mazer wydobyl ze swojej nakładki na nadgarstek kostkę z danymi.

– Ma pan holoprojektor?

– Ta cała sala to holoprojektor.

Mazer podał mu kostkę.

– To jest egzoskop, który Victor miał na sobie na filmiku.

Lem wsunął kostkę do otworu w ścianie. Pośrodku pomieszczenia pojawiła się holokolumna z trójwymiarowym modelem skafandra leniwie obracającym się w powietrzu.

– Hełm wyraźnie potrzebuje lepszego uszczelnienia – stwierdził Mazer – ale Victor może nad tym popracować, podobnie jak pańscy inżynierowie. Poza tym to dobry projekt. Victor stworzył też inne. Do produkcji potrzebujemy dobrych inżynierów i mobilnych zakładów.

– Mobilnych? – zapytał Lem.

– Żebyśmy mogli robić nowe skafandry i na żądanie modyfikować projekt, kiedy żołnierze będą zmierzać w stronę asteroid. Przygotowuję propozycję powołania oddziału szturmowego sił specjalnych, którego zadaniem będzie ustalenie, co Formidzi robią z asteroidami, i nauczanie się, jak ich wyeliminować. Mam nadzieję, że firma Juke Limited będzie miała w tej misji swój udział. Zapewniliśmy już sobie wsparcie Gungsu.

Lem zmarszczył brwi.

– Gungsu? Dlaczego?

– Krótko mówiąc, niektóre z ich urządzeń działają bardzo

dobrze – rzekł Mazer.

– A niektóre wcale – skontrował Lem. – Są katastrofalnie nieskuteczne.

– Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Głównym inżynierem jest tu Victor. Ufam jego projektom. Gungsu oferują ekspertyzy i wykonawstwo. Jestem pewien, że wywiążą się z obietnic. Tak jak jestem pewien, że z obietnic może się wywiązać Juke Limited. Victor miał dobry pomysł, jeśli chodzi o wejście pod skorupę, ale oddział współpracujących ze sobą wyszkolonych żołnierzy ma większą szansę na osiągnięcie celu.

– Powiedział pan, że to jest propozycja?

Mazer i Chamrajnagar wymienili spojrzenia.

– Będę szczery – rzekł Mazer. – Przekraczamy tu nasze uprawnienia. Ani Prem, ani ja nie mamy siły przebicia, by uruchomić takie przedsięwzięcie. Nie mamy żadnego wsparcia na wyższych szczeblach. Nie mamy też żadnych funduszy. Nie jesteśmy nawet pewni, czy MF wdraża jakiś plan związany z asteroidami. Ale zważywszy na wyraźną pogardę, jaką Edimar żywi wobec Polemarchy, nie liczymy na to. Zasadniczo po prostu nie możemy siedzieć bezczynnie. A włączyliśmy do sprawy Gungsu po części dlatego, że chcieliśmy zakończyć fingowany proces wytoczony przeciwko mnie przed sądem wojskowym.

– Sąd wojskowy? – zapytał Lem. – Wzbudził pan moje zainteresowanie. Jeżeli MF stawia pana przed sądem wojskowym, to źle się dzieje w państwie duńskim. Ale widział pan filmik Victora, te asteroidy są wypełnione wodorem. Rozsadzenie ich będzie łatwe. To są bomby.

– Mimo to musimy się dowiedzieć, do czego są potrzebne Formidom. Po co pozyskują z nich i przerabiają metal i lód? I dokąd chcą pchnąć te asteroidy? Znalezienie odpowiedzi na te pytania będzie wymagało posłania w przestrzeń dobrze wyposażonego oddziału. A oddział będzie potrzebował skafandrów.

Lem zastanowił się, jeszcze raz przyjrzał się hologramowi i skinął głową.

– Juke Limited zgodzi się produkować te skafandry, jeśli

zdobędziemy aprobatę Hegemonii. Przypuszczam, że chce pan otrzymać sowitą zapłatę za ten projekt.

– Pracę wykonał Victor, nie ja. To on powinien otrzymać sowitą zapłatę.

– A więc pan nie chce niczego w zamian?

– Porozmawiaj ze swoim ojcem, Lemie. Zdobądź fundusze od Hegemonii. Jeśli pójdą za tym pieniądze, MF to zrealizuje. Wystartują. Ja tylko proszę o to, żebym się wtedy znalazł na tym statku. Może twój ojciec mógłby wstawić się za mną u Strategosa.

– Strategos wie, kim jesteś, Mazerze. Jeśli to on będzie wybierał ludzi, na pewno znajdziesz się na początku jego listy.

Rozdział 21

KRZEM

*Oby ujrzała na własne oczy smutek zniszczenia.
Oby usłyszała na własne uszy krzyki niewinnych.
Oby udźwignęła własnymi rękami brzemień obciążonych.
Oby zniszczyła swoją siłą wojenną broń.
Oby wybaczyła swoim sercem przemoc skierowaną ku niej.
Oby uchwyciła swoim umysłem dobroć człowieka.
Oby znalazła swoją duszą ścieżkę do pokoju.*

Modlitwa za królową roju
z modlitewnika Wilasane Saowaluk,
Archiwa Hegemonii, 2118

Wila siedziała w półmroku w bufecie i samotnie jadła owsiankę o smaku brzoskwiniowym. Jedzenie w Pierścieniach było doskonałe; w jadłospisie znajdowały się dania z całego świata i desery tak smaczne, że każdy kęs był jak marzenie. Lecz stanowiska wydawania śniadań otwierały się dopiero za dwie godziny, więc Wila zadowoliliła się jedną z samoobsługowych torebek z owsianką, trzymanyh w pojemnikach w pobliżu stanowisk. Był to kiepski substytut omletów z szynką i serem, które kuchnia miała podać później, ale danie nie gorsze od tego, co Wila jadła w domu.

W gruncie rzeczy, kiedy zapamiętała pracowała nad swoim doktoratem, zdarzały się jej dni, że nie jadła wcale. Jej szafki były puste nie dlatego, że nie miała pieniędzy na jedzenie, ale dlatego, że nie chciała zawracać sobie głowy robieniem zakupów. Czas był zbyt cenny. Było zbyt wiele do napisania. Tak więc, zamiast ubrać się i wyjść, żeby kupić coś do jedzenia, Wila pracowała

w piżamie i mówiła sobie, że pości.

Pokręciła z uśmiechem głową na to wspomnienie. Teraz mogła się z tego śmiać, lecz w zasadzie to nie było tak dawno temu. Praca nad doktoratem pochłonięła część jej życia. Zbieranie materiałów, pisanie, redagowanie, wycinanie... I w końcu cały ten wysiłek poszedł na marne.

Nie, to nieprawda. Jej badania zaprowadziły ją tutaj. Nie była to uczelnia, na co zawsze miała nadzieję, lecz jej praca była ważna. Nie, więcej niż ważna. To była jedyna praca, która tak naprawdę miała jakieś znaczenie, a ona znajdowała się w jej centrum.

Nadal nie mogła uwierzyć, że znajduje się tutaj, mieszka w Pierścieniach wirujących wokół formidzkiego statku zwiadowczego. Tyle jej badań skupiało się na stworzeniach i życiu roślin, które kwitły w ogrodzie produkującym tlen na tym statku, a teraz ma okazję działać zaledwie kilka metrów od niego.

Jeszcze nie była na statku, ale koledzy zapewniali ją, że wkrótce nadarzy się sposobność. Dużo czasu spędzała na patrzeniu w górę przez iluminatory umieszczone w suficie na górnym poziomie modułu badawczego, poziomie, który znajdował się najbliżej statku. Patrzyła na rozpędzony statek, jakby wirował wokół swojej osi niczym bączek, błyskając czasem w słońcu czerwoną powierzchnią. Lecz oczywiście statek zwiadowczy tkwił w bezruchu na geosynchronicznej orbicie, a to Wila poruszała się wokół niego.

Jego wielkość. To było najbardziej niepokojące. Oczywiście już wcześniej dokładnie знаła jego rozmiary, ale liczby na ekranie nie oddawały skali rzeczywistego obiektu. Czy miała rację co do jego konstrukcji?

– Nie możesz spać?

Głos ją zaskoczył. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach za sobą doktora Dublina. Wciąż był w laboratoryjnym fartuchu i ubraniu z poprzedniego dnia. Rzadkie włosy miał w nieładzie, a jego spodnie były pogniecione, jakby znowu zasnął w laboratorium i właśnie dopiero się obudził.

Wila uśmiechnęła się do siebie. Dublin był ekscentrykiem, ale go lubiła. Podziwiała go za to, jak umiał się skupić. Ilekroć

wchodził do laboratorium i zaczynał nad czymś pracować, czas dla niego jakby się zatrzymywał, a reszta świata przestawała istnieć. Przez to notorycznie spóźniał się na spotkania – jeśli w ogóle się na nich pojawiał – czym zasłużył sobie na dowcipne docinki kolegów. A przynajmniej oni za takie je uważali. Dublin się nimi nie przejmował i kwitował komentarze dobrodusznym śmiechem, ale Wila widziała w jego oczach zażenowanie, smutek, a może nawet trochę wstydu.

Wyobrażała go sobie jako dziecko wśród innych uczniów w szkole. Niezdarne, spokojne, samotne, zapewne tyranizowane. Otoczone przez fałszywych przyjaciół, którzy je porzucali, kiedy tylko znajomość z nim zaczynała grozić ich pozycji w grupie. Jak nasiona dmuchawców na wietrze, przenoszone przez najsłabszy podmuch wiatru, kiedy człowiek już myśli, że je złapał.

– Co jest w jądłospisie? – zapytał Dublin, pochylając się, by przyjrzeć się miseczce Wili.

– Owsianka z tych pojemników na przodzie – powiedziała i pokazała ręką.

– Hm. Nie wiedziałem, że je mamy.

Odszedł, szurając nogami, i po minucie wrócił z pełną miseczką.

– Nie podgrzał jej pan – zauważyła Wila. – Dolał pan tylko wody. Mamy minipiekarniki.

Spojrzał w stronę piekarników, jakby właśnie sobie o nich przypomniał, a potem machnął ręką.

– Ciepła czy zimna, i tak trafi do żołądka. – Zjadł trochę. – Zawsze wstajesz tak wcześnie?

– Zmiana stref czasowych – odparła. – Moje ciało jeszcze się nie dostosowało.

Ale prawdę mówiąc, zawsze wcześnie wstawała, zmiana rytmu dobowego nie miała tu nic do rzeczy.

Dublin pokazał na książeczkę leżącą na stole obok Wili.

– Twój dziennik? – zapytał.

– To mój modlitewnik – wyjaśniła.

Wyciągnęła rękę z zaciekawieniem w oczach.

– Mogę?

– Jak najbardziej. – Podała mu go. – Im więcej nas będzie szukać

pokoju, z tym większym prawdopodobieństwem go znajdziemy.

Dublin przerzucał kartki.

– Sama je wszystkie napisałaś?

Modlitwy były napisane odręcznie, jedne szybko, inne stylowo, a jeszcze inne z małymi ozdobnikami na marginesach.

– Niektóre. Inne znalazłam w książkach. Kilka jest autorstwa mistrza Arjo. To mistrz świątyni w Tajlandii, do której chodziłam od dzieciństwa. Zawsze modlił się w samotności, ale jeśli go prosiłam, potem mi te modlitwy przekazywał.

– Masz piękny charakter pisma. Litery są takie małe, a zarazem tak precyzyjne, że wyglądają jak drukowane.

Wila się uśmiechnęła.

– Jest pan uprzejmy. Czy w pańskiej religii są modlitwy, panie doktorze?

Roześmiał się.

– Zostałem wychowany jako katolik. Moja matka modliła się tak często, jak oddychała. Chodziliśmy na mszę trzy razy w tygodniu, ona i ja. Myślę, że właśnie to w końcu mnie zraziło. Ta gorliwość i to, że modlitwy mojej matki jakoś nie na wiele się zdawały.

– Tak?

– Bez względu na to, ilu świętych błagała, ojciec nadal odnosił się do niej obelżywie i był jej niewierny. Myślę, że wierzyła, że Bóg wszystko załatwi. Zmarła przed ojcem i nie opuściła go. Szczerze mówiąc, uważam to za bardzo smutne.

– Przykro mi z powodu pańskiego smutku. I jej. W mojej wierze wyznajemy przekonanie, że ci, którzy są współczujący i łagodni w tym życiu, w następnym znajdą się w lepszej sytuacji. Wedle tej zasady pańska matka jest teraz szczęśliwsza.

– A mój ojciec? Co z nim? Pewnie jest mułem w jakimś gospodarstwie.

Wila zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Obraziłam pana. Nie taki miałam zamiar.

Parsknął śmiechem, nadal przeglądając notatnik.

– Nie obraziłaś mnie, Wilu. Uważam, że twoja wiara jest fascynująca. Widzę jednak, że twoje modlitwy nie zwracają się do żadnego konkretnego Boga czy jakiegoś najwyższego bytu. Do

kogo dokładnie się modlisz?

– Do nikogo. Buddyjskie modlitwy nie są kierowane do żadnej oświeconej istoty. Nawet nie do Buddy. Odmawiam je do siebie, by wzmocnić moje postanowienie zakończenia cierpienia i zadbania o dobrobyt wszystkich istot.

Dublin zamknął notes i go odłożył.

– Mówiąc o wszystkich istotach, masz na myśli także Formidów? Modlisz się o ich dobrobyt?

Wila się zawahała.

– To trudne pytanie, panie doktorze, ale kwestia jest godna rozważenia. Od czasu pierwszej wojny z Formidami buddyści wiele się nad nim zastanawiali, a i ja dużo medytowałam na ten temat w samotności. Buddysta dąży do oświecenia, by osiągnąć pełny potencjał umysłu, wspiąć się na najwyższy szczebel mądrości i współczucia. To wymaga starań o złagodzenie otaczającego nas cierpienia, okazywania czułości wszystkim stworzeniom istniejącym w milionach form w całym wszechświecie, nie tylko stworzeniom wywodzącym się z naszej społeczności, ale wszystkim.

Dublin uniósł brew.

– Więc uważasz, że powinniśmy traktować Formidów łagodnie? Mimo że chcą nas zgładzić?

– Jak powiedziałam, to skomplikowane pytanie i odpowiedź na nie jest skomplikowana. Kim są Formidzi? Dlaczego tu przybyli? Czy naprawdę rozumiemy ich sposób myślenia? Czy nasz świadomy umysł w pełni ogarnia ten temat? Mówi pan, że chcą nas zgładzić. Ale czy rzeczywiście taki mają cel?

– W Chinach zabili czterdzieści milionów ludzi. Mordowali wszystkich – dzieci, całe rodziny. Nie przestaliby, gdybyśmy ich nie powstrzymali. Ich zamiary wydają mi się dość oczywiste.

– Tak, panu. Ale czy Formidzi zgodziliby się z pańską oceną? Czy uznaliby pańską interpretację ich motywacji za poprawną? Nie próbuję bronić ich działania ani popierać potworności, które popełnili. Chcę tylko postawić tezę, że nie rozumiemy formidzkiego umysłu. A dopóki nie zrozumie się umysłu, nie rozumie się niczego.

Dublin zmarszczył brwi i podrapał się w kącik ust.

– Znowu pana zdenerwowałam. Przepraszam.

– Przestań przeproszać. Nie zdenerwowałaś mnie. Jestem po prostu zaskoczony. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś, kto bierze stronę Formidów.

– Nie to miałam na myśli, panie doktorze. Nie biorę strony żadnego stworzenia. Ja jedynie dążę do zrozumienia go. Nie mogę użyć cierpieniu czegoś, czego nie rozumiem.

Dublin wzruszył ramionami.

– Cóż, nikt tu nie sprzeciwia się zgłębianiu życia Formidów albo próbom zrozumienia ich. To jeden z celów tej placówki. Ale trudno ci będzie znaleźć na pokładzie kogoś, kto zechce okazać Formidom jakiegokolwiek współczucie.

– Zdaję sobie sprawę, że mój punkt widzenia jest wyjątkowy, panie doktorze. Dlatego zwykle nie mówię o nim otwarcie.

– Przeczytałem twój doktorat, a w każdym razie jego dużą część. Było w nim kilka nieciekawych miejsc, które pominąłem...

Wila stłumiła uśmiech. Dublin nie miał pojęcia, że jego szczerość może kogoś obrazić.

– Nie pan jeden widzi w moim doktoracie niedociągnięcia. Nie obroniłam go.

Dublin wzruszył ramionami.

– Czym jest kawałek papieru? Jak powiedziałaś, liczy się umysł. Jeśli osiągnęłaś większe oświecenie, to co kogo obchodzi, co uważają palanci z uczelni?

Wila zamrugnęła, lekko zaskoczona.

– Nigdy nie patrzyłam na to z tej perspektywy. I powinnam się wstydzić, bo jest to oczywiście perspektywa buddyjska. Ma pan rację. Widzę teraz, że pozwoliłam, by przed dojściem do tego samego wniosku powstrzymywała mnie duma.

Dublin zbył te słowa wdzięczności machnięciem ręki.

– Jeśli chodzi o twoje teorie na temat królowej roju, to niektóre z nich były fascynujące, a niektóre po prostu dziwne.

– Powinny wydawać się dziwne. Królowa roju jest obca z definicji. Wyewoluowała z całkowicie odmiennej struktury białkowej. Każdy aspekt jej życia – fizyczny, emocjonalny,

psychologiczny, biologiczny – powinien sprawiać wrażenie sprzecznego z naszym.

– Mówisz, jakby jej istnienie było niepodważalnym faktem.

– Wcale nie. Ona jest teorią. Mamy jednak dane pochodzące z obserwacji, które sugerują, że taka istota prawdopodobnie istnieje. Jest to stworzenie o zdolnościach umysłowych i wpływie niepodobnych do niczego, co rozwinęło się na naszej planecie. Jej umysł potrafi błyskawicznie sięgnąć na ogromną odległość i rozkazywać armii Formidów. A siła tego rozkazu jest tak wielka, że wszyscy Formidzi wykonują go bez wahania czy oporu. Oczywiście królowa roju mogłaby być przedstawicielką innego gatunku, lecz prawdopodobniejsze jest to, że jest osobnikiem alfa tego samego gatunku. Czymś w rodzaju super-Formidy, genetycznie prawie identycznym ze swoim potomstwem, lecz obdarzonym podwyższoną świadomością umysłową i zdolnością nawiązywania kontaktu. Królowa roju musi umieć myśleć za dziesiątki tysięcy swoich dzieci naraz. Widzi to, co widzi każdy Formida, i wszystkie dane przetwarza jednocześnie.

– A więc Formidzi są jej marionetkami.

– „Marionetka” może być za mocnym słowem, bo oznaczałoby absolutną i całkowitą kontrolę. Moim zdaniem jest bardziej prawdopodobne, że każdy Formida ma własne zdolności umysłowe. Zatem królowa rozkazuje im atakować, lecz nie narzuca każdego ruchu bronią czy uniku.

– Może oni po prostu mają wspólny samorządny umysł – zasugerował doktor Dublin. – Może istnieje tylko ich zbiorowa świadomość. Są świadomi siebie nawzajem i zawsze działają w interesie roju.

– Możliwe. Ale potrafiłabym wskazać inne oznaki, mogące świadczyć o istnieniu królowej roju. Zna pan rytuał patroszenia, który Formidzi przeprowadzali na zabitych ludziach?

– Zwykle nie omawiam go przy miseczce owsianki, ale tak. Masz na myśli to, że kiedy Formida znajduje ludzkie zwłoki, rozcina brzuch, a potem sięga do wnętrza klatki piersiowej?

– Ma pan jakiś pomysł co do tego, dlaczego tak robią?

– Słyszałem różne teorie, ale, szczerze mówiąc, żadna z nich nie

była zbyt przekonująca. Jedna z nich mówi, że Formidzi szukają ludzkiego serca, żeby móc je ścisnąć w geście szacunku. Że to rytuał wojownika doceniającego odwagę zabitego wroga. Inna głosi coś wręcz przeciwnego – że bezczeszczą naszych zabitych i z nas szydzą. Według trzeciej teorii umieszczają coś wewnątrz zwłok, lecz przeprowadzone po wojnie badania wypatroszonych ludzi tego nie potwierdzają. – Wzruszył ramionami. – A ty masz jakąś koncepcję?

– Co jest największym skarbem każdej społeczności? – zapytała Wila. – A zwłaszcza w kulturze wojowników? Czego muszą strzec najbardziej?

Dublin wzruszył ramionami.

– Zapasów żywności?

– Macicy. Jeśli ich kobiety nie będą mogły rodzić dzieci, ich kultura zginie.

– Myślisz, że Formidzi rozcinają ludzi, bo szukają macic? Kobiety patroszyli równie często jak mężczyzn. Znajdowali macice, mimo to szukali dalej. Grzebanie w kobietach nie spowalniało ich poszukiwań.

– Aha, więc zgadza się pan, że czegoś szukali.

– Na to wyglądało. A przynajmniej wyglądało bardziej na przeszukiwanie niż rytuał wojownika.

– Zgodzi się pan, że jeżeli królowa roju istnieje i jeżeli jest osobnikiem alfa swojego gatunku, kimś, kto panuje nad wszystkimi innymi w jej społeczności, to, zasadniczo rzecz biorąc, jest głosem swojego ludu?

Dublin skinął głową.

– Chyba tak.

– I jeżeli natyka się na gatunek, który gwałtownie się opiera jej pragnieniom i tysiącami zabija jej potomstwo, jest zrozumiałe, że chciałaby się z tym gatunkiem porozumieć. Na przykład po to, żeby zażądać kapitulacji. Albo zagrozić jeszcze większymi zniszczeniami. Albo wynegocjować rozejm. Albo może nawet wysłać przedstawicielom tego gatunku rozkaz, jak robi w wypadku własnych żołnierzy. Czy gdyby mogła nam po prostu wysłać rozkaz, który wszyscy byśmy wypełnili, nie ułatwiłoby to

jej życia? „Ludzie, złóżcie broń. Przerwijcie opór. Odbierzcie sobie życie. Ucieknijcie z rejonu, który zajmujemy”. Cokolwiek. Podczas wojny wielu ludzi doświadczyło czegoś, co później zostało nazwane spojrzeniem. Kiedy Formidzi już osaczyli człowieka, często na chwilę nieruchomieli i przed zadaniem ostatecznego ciosu wbijali w niego spojrzenie. Nikt nie wie dlaczego. Ja uważam, że wtedy z danym człowiekiem usiłowała się skontaktować królowa roju. Wysyłała mu umysłowy rozkaz albo wiadomość. Ale oczywiście nasze umysły nie są zbudowane do ich przyjmowania. Ona do nas krzyczy, a my jesteśmy na jej krzyki głusi.

– Możliwe – zgodził się Dublin.

– Królową roju to by rozwścieczało i zbijało z tropu. „Dlaczego nie chcą odpowiedzieć? Dlaczego nie reagują?”. Może nawet uważa nasze zachowanie za gest nieposłuszeństwa. Może jest przekonana, że ją słyszymy, ale odmawiamy odpowiedzi. Lecz w końcu zaczniesz się nad tym zastanawiać: „Czy oni odbierają moje rozkazy?”. Być może dlatego każe swojemu potomstwu szukać formidzkiego organu, który otrzymuje umysłowe rozkazy. Organu znajdującego się w każdym Formidzie. Organu, który dzięki jakiemuś procesowi biochemicznemu przekazuje informacje do formidzkiego umysłu. Tak jak nasze oczy wchłaniają światło i wysyłają informacje do naszego mózgu.

– Ale jeśli to prawda, to dlaczego Formidzi wciąż tego szukają? Po pierwszym przeszukaniu zwłok powinni wiedzieć, że tego organu nie mamy. Jeśli wszyscy dzielą tę samą inteligencję, to kiedy tylko pierwszemu Formidzie nie udało się go znaleźć, wszyscy powinni wiedzieć, że tego organu nie mamy. Nie ma powodu, by go ciągle szukali.

Wila się uśmiechnęła.

– Ależ taki powód istnieje. Jeżeli bierzemy pod uwagę, że królowa roju jest osobnikiem alfa swojego gatunku posiadającym umiejętności niedostępne jej dzieciom, to jej anatomia różni się od anatomii jej dzieci. Tak jak anatomia królowej pszczoł, os czy mrówek różni się od budowy robotnic.

– A więc Formidzi nie szukają organu do odbierania rozkazów,

tylko organu, który potrafi je przekazywać – rzekł Dublin. – Szukają naszej królowej roju.

– Tak właśnie uważam. Królowa roju jest królową swojego roju. Nie jest królową całego gatunku. W jej świecie prawdopodobnie żyje wiele królowych. Byłaby więc przyzwyczajona do komunikowania się z osobnikami alfa jak ona. Negocjowałaby z nimi, razem z nimi rządziła, może nawet prowadziłaby przeciwko nim wojny. Istniałaby między nimi łączność. Ale z nami nie ma nic. A jedynym wyjaśnieniem tego milczenia jest to, że nasza królowa roju nie żyje. Szuka więc potwierdzenia. „Znajdźcie mi królową roju”, mówi. „Musi się różnić od innych tak, jak ja się różnię od was. Znajdźcie ją, żebym mogła ją zbadać, dowiedzieć się czegoś o niej i zrozumieć ten gatunek”.

Dublin skończył jeść owsiankę i odchylił się na oparcie krzesła.

– Interesująca teoria, ale oczywiście nie można jej udowodnić.

– Nie można udowodnić większości tego, co zakładamy na temat Formidów – rzekła Wila. – Ale to nie powinno nas powstrzymywać przed stawianiem hipotez i testowaniem tego, co możemy testować.

– Dostałaś tę pracę, Wilu, ze względu na twoje teorie na temat konstrukcji poszycia oraz wykorzystywania przez królową roju rzesz stworzeń do wykonywania jej rozkazów i budowy jej okrętów. Doktor Benyawe bardziej wierzyła w twoją koncepcję niż ja, ale ostatnie godziny spędziłem na holorozmowie z Lemem Jukesem i myślę, że może na coś trafiłaś. Lem zebrał nowe informacje o asteroidach przejętych przez Formidów. Kiedy tylko wszyscy się obudzą, mam zwołać zebranie i polecić całemu personelowi, by się nad tym skupił. Uważam jednak, że włączanie do pracy wszystkich jest stratą czasu, bo jeśli ktoś zdoła to zrozumieć i rozpracować, to tym kimś jesteś ty. – Wyjął z nakładki na nadgarstek kostkę z danymi i położył ją na stole przed Wilą. – Przejrzyj to i powiedz mi, co myślisz. Jak mamy to rozumieć? Co robią Formidzi? Co planuje królowa roju? – Dublin wstał. – To zabawne. Kiedy tylko skończyłem holokonferencję z Lemem, wiedziałem, że muszę cię znaleźć. Ale poszedłem do mojej kajuty inną trasą niż zwykle i gdy mijałem bufet,

zobaczyłem ciebie siedzącą samotnie pod jednym reflektorkiem. – Uśmiechnął się i włożył ręce do kieszeni laboratoryjnego fartucha. – Nie mogę się nie zastanawiać, czy może jednak Bóg nie jest całkowicie obojętny. – Ruszył w stronę drzwi. – Zobaczmy się na spotkaniu. Zapoznaj się z tym przed innymi, jeśli możesz.

Kiedy odszedł, Wila wzięła do ręki kostkę. Nie powinna była przyjąć tej pracy. Uważano ją za bardziej kompetentną, niż jest w rzeczywistości. Nie jest ekspertem. Jest konsumentką i przeżuwaczką teorii. Owszem, rozumie biochemię, ale przecież nie jest światowym autorytetem w tej dziedzinie. No i pod swoim mikroskopem nie ma niczego biochemicznego, co mogłaby zbadać.

Schowała kostkę z danymi do kieszeni, wyrzuciła miseczkę do śmieci, wetknęła modlitewnik i tablet pod pachę i pośpiesznie udała się na najwyższy poziom stacji. Iluminator, który tak często odwiedzała, znajdował się w niewielkiej niszy z wyściełaną ławą i kilkoma poduszkami. Mogłoby się tu uczyć lub medytować nawet osiem albo dziewięć osób jednocześnie, ale Wila nigdy tu nikogo nie widziała, jakby to było jej sekretne miejsce. Wsunęła kostkę z danymi do tabletu i przejrzała wszystkie filmiki, e-maile, raporty i dane. Na widok robaków jedzących lód, a następnie wydających nieskazitelne kulki zamrożonej wody mocniej zabiło jej serce. Oglądała ten fragment raz po raz, zastanawiając się, jak jakieś stworzenie mogło oczyścić substancję na poziomie molekularnym, a następnie ponownie zamrozić oczyszczoną porcję w powtarzalny kształt. To graniczyło z cudem! To, że istniało takie stworzenie, było cudem. To, że funkcjonowało w tak zorganizowany sposób, prawie zaparło Wili dech w piersiach. Czy Formidzi gdzieś to stworzenie znaleźli? Nie. To niemożliwe. Ono zostało stworzone przez królową roju. Tak jak my moglibyśmy zaprojektować i zbudować maszynę do wykonania jakiegoś zadania. Królowa roju zbudowała po prostu biologiczną fabrykę.

I nie tylko to. Istniały dalsze dowody na międzygatunkową łączność filotyczną. Bo któż mógł wątpić, że królowa roju wysyła

tym stworzeniom rozkazy?! Przeżuwasz! Rozbijaj! Izoluj pierwiastki! Zamrażaj wodę! Gromadź!

Kiedy jednak Wila zapoznała się z analizą metalowych kulek, przerwała czytanie. Jedna z kulek składała się z czystego krzemu, co było dziwne. Krzem prawie nigdy nie występował w czystej formie, zwłaszcza na asteroidach. Można go było znaleźć w rozmaitych formach tlenku krzemu albo krzemianów. Kamienne asteroidy składały się głównie z minerałów krzemianowych – oliwinów, piroksenów, enstatytów i setek innych. Zatem na asteroidzie krzem z pewnością występowałby w dużych ilościach. Tylko do czego byłby potrzebny Formidom?

Wila odłożyła tablet i wyciągnęła się na ławie, wpatrując się w przemykający w iluminatorze formidzki kadłub. Dlaczego krzem? Formidzi nie wytwarzali półprzewodników ani układów scalonych, do których my byśmy go użyli. Po wojnie przebadaliśmy ich przechwycone statki i nie znaleźliśmy żadnych dowodów na obecność jakichkolwiek komputerów na ich pokładach. Formidzkie statki były bardziej oparte na mechanice, a czasami wręcz bardzo. Mimo to filmik Victora ukazywał Formidów pozyskujących wielkie ilości krzemu. Wydawało się, że jest go więcej niż jakiegokolwiek innego metalu. A królowa roju nie pozyskiwałaby czegoś, czego nie zamierzała użyć. Królowa roju na pewno nie marnowała surowców.

Wila zastanowiła się, co wie o krzemie. Był to czterowartościowy półmetal. Podobnie jak węgiel tworzył zwykle cztery wiązania, lecz w przeciwieństwie do niego mógł przyjąć dodatkowe elektrony i utworzyć pięć lub sześć wiązań. Czworowiązaniowa struktura umożliwiawała mu łączenie się z wszelkimi rodzajami pierwiastków i związków. Najczęstszym jego partnerem był prawdopodobnie tlen, tworzący z nim tlenek krzemu albo krzemionkę, krystaliczne ciało stałe mogące niezależnie od orientacji czworościanów budować rozmaite struktury – piasek, kwarc, szkło, silikozele, ceramikę i wiele innych.

Krzem był także składnikiem niektórych superstopów,

niewiarygodnie twardych metali odpornych na pękanie w wysokich temperaturach, korozję czy utlenianie. Od czasów pierwszej wojny z Formidami dzięki syntezie nanocząstek powstało szerokie spektrum takich nowych superstopów, z których wiele było używanych przez Juke Limited do budowy floty.

I oczywiście była biogeniczna krzemionka, wydzielana przez morskie gąbki krzemionkowe.

Wila zatrzymała się przy tej myśli. Morskie gąbki... Jeżeli istniało na ziemi zwierzę sprawiające tak obce wrażenie jak Formidzi, to była nim morska gąbka. Jej komórki mogły się przekształcać w inne typy i przemieszczać się między zewnętrzną ich warstwą a mezohylem. Gąbki pozyskiwały pożywienie i tlen z wody przepływającej przez jamę wewnętrzną. Co najważniejsze, ich szkielety często były zbudowane z igieł tlenu krzemu. Te maleńkie spikule w kształcie gwiazdek łączyły się ze sobą w ciasno splecione struktury, wyrastające w górę z morskiego dna.

Wila zastanowiła się: zwierzęta, które budują z krzemionki.

Wróciła do kulek, które znalazł Victor. Czystość krzemu była zaskakująco wysoka. Zwykle taki czysty pierwiastek można było osiągnąć dopiero po kilkukrotnej rafinacji. Victor nie znalazł jednak na asteroidzie żadnego dowodu na zastosowanie tego procesu. Żadnych narzędzi, maszyn, tylko te stworzone dzięki bioinżynierii robaki – co doprowadziło Wilę do wniosku, że ten krzem był formowany w taki sam sposób jak czysty lód. Tyle że zamiast zjadać brudny lód, by wydalić czysty lód, robaki produkujące krzem zjadały skałę, rozdzielały w przewodzie pokarmowym rozmaite minerały i pierwiastki, izolowały krzem, stapiały go w kulkę i wydalały kulkę na stertę. Ten proces, jeśli tak przebiegał, był jeszcze bardziej zdumiewający od tego, co robiły robaki oczyszczające lód. Jak można było taki proces przetrwać? Stworzone przez ludzi sposoby rafinacji krzemu wymagały elektryczności, wysokiej temperatury i skomplikowanych urządzeń. A Formidzi robili to za pomocą robaków. Maleńkiego samodzielnego systemu biochemicznego.

To było nie do pojęcia.

Wila jeszcze raz zastanowiła się nad geniuszem i potęgą królowej roju. Ona nie tylko posiadała ogromną wiedzę na temat chemii i struktur molekularnych, ale wyraźnie umiała także manipulować tymi strukturami, by doprowadzić je do pożądanego stanu. I to robiło nawet większe wrażenie od tego, w jaki sposób to osiągała. Nie pracowała w laboratorium i nie polegała na superczułych komputerach, które potrafią wykryć makromolekuły i nimi manipulować; ona budowała w tym celu inteligentne żywe organizmy... Na samą tę myśl Wili kręciło się w głowie. Nic nie było bardziej złożonego, skomplikowanego i potężnego w swoim zakresie niż genetyczna struktura żywego organizmu. Z cudem graniczyło to, że królowa roju potrafiła zidentyfikować i zrozumieć makromolekuły bez pomocy komputerów, a także tak manipulować kwasami nukleinowymi, białkami i węglowodanami, że powstawało nie tylko zwierzę, ale zwierzę, które umie przeprowadzić niezwykle skomplikowany proces chemiczny. Ona nie stworzyła tylko robaka – co samo w sobie byłoby wielkim osiągnięciem. Ona stworzyła robaka, który potrafi robić to, co niemożliwe.

Wila doszła do wniosku, że to kolejny dowód, że teoria filot może być słuszna. W jakiś sposób królowa roju była połączona ze swoim potomstwem na subatomowym poziomie. Jej filoty były połączone lub splątane z filotami jej dzieci, co pozwalało jej błyskawicznie się z nimi komunikować, wysyłać im impulsy i myśli, które one rozumiały. A jeśli to prawda, jeśli królowa roju potrafiła stworzyć takie połączenie z tymi, których urodziła, to jest zrozumiałe, że potrafi także stworzyć takie samo połączenie z organizmem, który stworzyła dzięki bioinżynierii. Krótko mówiąc, potrafiła wbudować mu mechanizm łączności. Dlaczego nie? Jeśli umiała stworzyć robaka, który przetwarza krzem, to dlaczego nie miałyby go przygotować do słyszenia jej myśli?

To zrodziło nowe pytanie: czy robaki produkujące krzem są genetycznymi pochodnymi Formidów? Czy królowa roju mogła je stworzyć z taką łatwością, bo są do niej genetycznie podobne? Czy wszystkie tworzone przez nią istoty pochodzą od Formidów?

To interesująca kwestia, którą Wila będzie musiała się zająć kiedy indziej. W tej chwili najważniejsze były robaki produkujące krzem.

Wróciła myślami do gąbki, która buduje konstrukcję z tlenku krzemu. Czy jest wyobrażalne, żeby królowa roju stworzyła organizm zasadniczo działający tak samo? Robaka albo jakieś inne stworzenie, które może jeść czysty krzem, a następnie budować z niego jakąś konstrukcję, wydalając ją drugim końcem w nieprzerwanej wstędzie? Czy dlatego metal był organizowany w kulki, żeby je przygotować do zjedzenia? Żeby jakiemuś stworzeniu łatwiej było je połknąć?

A potem przyszło jej do głowy jeszcze jedno. Jeśli robaki umieją rozłożyć w swoim przewodzie pokarmowym minerały i oddzielić rozmaite pierwiastki, to czy jest także wyobrażalne, by jakaś inna istota potrafiła robić coś wręcz przeciwnego? Czy jakaś inna istota mogłaby zjeść krzem i kulki innego metalu, a potem połączyć wszystko w jakiś wyjątkowy związek albo superstop? Jeśli jeden robak potrafi niszczyć i rozbijać, to czy można stworzyć innego robaka, który by łączył i budował?

Jeszcze pięć minut wcześniej Wila uznałaby taki pomysł za niedorzeczny. Teraz coś takiego wydawało jej się możliwe. Może nawet prawdopodobne. Formidzkie ministatki, które dotarły do tych asteroid, mogły pomieścić tylko pięciu Formidów i zapasy żywności dla nich. Nie było w nich miejsca na maszyny wiertnicze i budowlane. Byli tylko Formidzi i te robaki. A zatem pytanie wymagające odpowiedzi brzmiało: Co takiego mogli osiągnąć Formidzi, mając tak mało personelu i zapasów?

Wila miała pewność, że zna odpowiedź. Albo że przynajmniej ma prawdopodobną teorię. Im bardziej się nad nią zastanawiała, tym bardziej się ona wydawała prawdziwa. Zawartość ministatku stanowiły wszystkie zasoby potrzebne do przekształcenia asteroidy w fabrykę. Było tam wszystko: surowce, narzędzia do ich pozyskania i może stworzenia, które te surowce w coś przekształcają. Ale jeśli to prawda, pomyślała Wila, jeśli Formidzi używają tych materiałów do budowy, to dlaczego Victor nie znalazł przy asteroidzie żadnej konstrukcji?

A w ogóle jak te stworzenia mogłyby cokolwiek budować w kosmicznej próżni? Bo one nie budują na zewnątrz asteroidy, pomyślała Wila. Budują wewnątrz niej. Formidzi to kopacze tuneli. Drążyliby tunele. A te tunele dokądś by prowadziły. Do jakiegoś centralnego miejsca. Do jądra. Ale co by było budowane? Siedlisko? Stacja kosmiczna? Wylęgarnia?

Wila usiadła na ławie w pozycji lotosu, złożyła dłonie na podołku, zamknęła oczy i pogрузzyła się w głębokiej medytacji. Czy to była ścieżka prowadząca do oświecenia królowej roju? Czy tak miała nadzieję osiągnąć w pełni świadomy umysł i połączyć się ze wszystkimi stworzeniami wszechświata? Tworząc je za pomocą bioinżynierii? Montując je zgodnie z własnymi wymogami? Bawiąc się w Boga?

Wila nie wiedziała, czy jako buddystka powinna uznać to za fascynujące, czy odrażające. Z jednej strony zgadzało się to z doktryną buddyzmu, ale z drugiej strony ją wypaczało. W pełni świadomy umysł jest wszechmocny, owszem, i może bez wysiłku robić wszystko, co trzeba, by skorzystało na tym całe życie we wszechświecie. Lecz jakie są granice tego dążenia? Kiedy słuszne poszukiwanie oświecenia przechodzi w coś złego? Wydawało się, że królowa roju łączy się ze wszystkimi stworzeniami we wszechświecie, ale tylko dlatego, że likwidowała wszystkich, którzy nie mogli usłyszeć jej głosu. Czy taki miała cel? Czy zamierzała zastąpić wszystkie stworzenia tylko tymi, które były połączone z nią filotycznie, co pozwoliłoby jej z definicji osiągnąć wszechmocny umysł?

To było złe. To było fanatyczne. To było zepsute, wypaczone i bluźniercze, i Wila chciała wierzyć, że królowa roju po prostu nie rozumie, iż jej obcy umysł widzi coś, czego Wila jeszcze nie umie dostrzec.

Ale nie istniało usprawiedliwienie dla zniszczeń wywołanych przez królową. Jak mogła znaleźć się tak blisko oświecenia, jednocześnie naruszając jego podstawową zasadę szerzenia pokoju, współczucia i harmonii wśród wszystkich gatunków? Zupełnie jakby znajdowała się na obu końcach spektrum. Na jednym stanowiła największy przykład rozbudzonego, w pełni

świadomego umysłu, a na drugim była najbardziej beznamietną, bezduszną morderczynią, jaka kiedykolwiek istniała.

Wila nie wiedziała, jak długo siedziała pogrążona w medytacji. Dwie godziny? Trzy? Nie poszła na spotkanie personelu z doktorem Dublinem, ale chciała mieć pewność, dokąd ją zaprowadził jej umysł. Chciała czuć spokój. Tak więc rozważała swoje teorie ze wszystkich punktów widzenia i zastanawiała się nad wszystkimi możliwościami, rozkładała je na części i analizowała każdą z nich. Odtworzyła w pamięci filmik Victora. Wyobraziła sobie lodowego ślimaka. Czy ślimak, który przetwarza krzem, wyglądałby tak samo? A co ze stworzeniami, które używały tego krzemu? Co mogły z niego zbudować? Siedlisko? Wylęgarnię? Tron dla królowej?

A potem wyobraziła sobie królową roju, osobnika alfa jej gatunku. Byłaby piękna i straszna, majestatyczna i przerażająca, wspaniała i koszmarna. „Słyszysz mnie? – zapytała ją Wila swoim umysłem. – Pani. Władczyni. Królowo swoich współbraci. Czujesz, jak do ciebie sięgam? Czy moje filoty splatają się z twoimi? Czy istnieje między nami chociaż pojedyncza nić? Jeśli tak, to poczuj moje pragnienie pokoju”.

Wila czekała, lecz niczego nie usłyszała. Niczego nie poczuła.

Wzięła do ręki tablet, poprawiła ubranie i poszła korytarzem do gabinetu doktora Dublina, kłaniając się wszystkim napotkanym po drodze.

Rozdział 22

TAPOS

Rozmowa między Hegemonem i Polemarchą przeprowadzona za pomocą ansibla,

Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna, 2118

KETKAR: Podział floty to błąd. Przesunięcie naszych okrętów poza ekliptykę to jeszcze większy błąd. Twoja propozycja to samobójstwo.

UKKO: Istnieją liczne powody, dla których powinniśmy uderzyć teraz. Rozmawialiśmy o tym już wiele razy. Nie jestem osamotniony w mojej opinii. Zgadza się ze mną większość wyższych oficerów w DoCent.

KETKAR: Większość wyższych oficerów w DoCent to biurokratyczne ciołki. Zgodziliby się z tobą, że świat jest płaski. Oto, czym jest MF na tym poziomie. A ja cię zapewniam, że jeśli wyprowadzimy przeciwko tym okrętom atak wyprzedzający, to poniesiemy klęskę. Nie mamy siły ognia ani liczebności, które pozwoliłyby nam zwyciężyć, zwłaszcza jeżeli podzielimy flotę. Zostalibyśmy unicestwieni. I co potem? Te nieliczne okręty niewłączone do walki odeprą całą formidzką flotę?

UKKO: Jeśli nie podzielisz floty, to mam obowiązek znaleźć kogoś, kto to robi.

KETKAR: Kogo? Rosjan? Chcesz się dać im zastraszyć i pozwolić im dyktować, kto ma dowodzić tą flotą? Nie potrzebujesz dowódcy, tylko fagasa.

UKKO: Potrzebuję zwycięstwa.

Niecały tydzień po postawieniu w stan oskarżenia Mazer wrócił na salę sądową, by wziąć udział w procesie. Po jego lewej stronie siedziało pięciu przysięgłych i patrzyło na niego takim wzrokiem, jakby już uznali go za winnego. Pod ścianą z pieczęcią Międzynarodowej Floty siedział sędzia Soshi odziany w togę. Po jego minie było widać, że jest zirytowany.

– Panie komandorze poruczniku, ze względu na nałożenie się terminów zostaliśmy zmuszeni do przełożenia tej rozprawy na wcześniejszy termin. – Zwrócił się do Ravenshawa: – Czy zgłasza pan sprzeciw?

Ravenshaw stał przy stole oskarżyciela z miną o wiele mniej wzgardliwą niż przed tygodniem.

– Nie, wysoki sędzie.

– Doskonale – rzekł Soshi. Odwrócił się do ławy przysięgłych. – Pragnę szczególnie przeprosić członków ławy przysięgłych, którzy zostali tak późno poinformowani o terminie tej rozprawy i mimo to tak chętnie się na niej stawili. Bardzo panom dziękuję za okazaną cierpliwość.

Mazer uznał to za dość zabawny komentarz, ponieważ przysięgli znaleźli się tu tylko dlatego, że im to nakazano, a nie dlatego, że mieli na to ochotę.

Soshi ponownie odwrócił się do uczestników rozprawy.

– Mamy do załatwienia przed rozpoczęciem jakieś sprawy porządkowe?

– Tak, wysoki sędzie – powiedział Ravenshaw. – Proszę o pozwolenie podejścia do stołu sędziowskiego.

Pułkownik Soshi przyzwał Ravenshawa do siebie, po czym przez chwilę rozmawiał z nim szeptem. Mazer i Chamrajnagar wymienili spojrzenia. Oficerowie pełniący funkcję przysięgłych mieli znudzone miny. W końcu Ravenshaw wycofał się do swojego stołu, a pułkownik Soshi ponownie zwrócił się do ławy przysięgłych:

– Panowie, jestem wam winien drugie przeprosiny. Oskarżyciel poinformował mnie, że z powodu domniemanych gróźb skierowanych pod adresem jego świadków odmówili oni

złożenia zeznań w sądzie i odwołali wcześniejsze zeznania złożone pod przysięgą. Międzynarodowa Flota nie ma zatem żadnych dowodów, które mogłaby przedstawić w tym procesie. W rezultacie sąd nie ma innego wyjścia, jak uniewinnić kapitana Rackhama od wszystkich zarzutów. – Soshi zmrużył oczy i zwrócił się do Mazera: – Jednakże, panie kapitanie, włączam do pańskich dokumentów formalną pisemną naganę i zachęcę pańskiego dowódcę do nałożenia na pana takiej pozasądowej kary, jaką uzna za stosowną. Może pan grozić ludziom poza tą salą sądową, ale nie dam się zastraszyć jakiemuś niesubordynowanemu zbirowi, który urządza sobie kpiny z naszego wojskowego systemu prawnego.

Prem natychmiast zerwała się na nogi.

– Wysoki sąd wydaje wyrok w sprawie kapitana Rackhama w obecności ławy przysięgłych, twierdząc, że groził świadkom i popełnił poważne przestępstwo, co jest całkowicie fałszywym i bezpodstawnym oskarżeniem...

– Proszę usiąść, pani porucznik – rzekł Soshi.

– ...niepopartym ani jednym dowodem.

– Poleciałem pani usiąść!

– Przede wszystkim oskarżyciel nie ma ani jednego świadka. I nigdy go nie miał.

Soshi uderzył młotkiem w podkładkę.

– Jeśli pani nie usiądzie, ukarzę panią za obrazę sądu.

Mazer położył delikatnie dłoń na ręce Prem i adwokat z ociąganiem usiadła.

– Przypominam także, pani porucznik – ciągnął Soshi – że jestem pułkownikiem Międzynarodowej Floty. Pani wybuch i rażące lekceważenie władzy także zasłużyły na pisemną naganę. Widzę, że pani i kapitan Rackham doskonale do siebie pasujecie. Sporządzenie tych nagan nie sprawi mi żadnej przyjemności, lecz uważam, iż moim obowiązkiem jest piętnowanie tych spośród nas, którzy nie szanują naszego porządku i utrudniają nam postęp, zagrażając w ten sposób bezpieczeństwu wolnych ludzi Ziemi. – Wziął do ręki tablet i odczytał orzeczenie: – Jeśli chodzi o zarzuty przeciwko

kapitanowi Mazerowi Rackhamowi, a mianowicie szpiegostwo, napad z bronią w rękę, niewykonanie legalnego rozkazu i zachowanie niestosowne dla oficera, sąd uznaje oskarżonego za niewinnego. – Uderzył młotkiem w podkładkę. – Panie sierżancie, proszę wyprowadzić przysięgłych. Mogą opuścić salę rozpraw. Dziękuję, że poświęcili panowie swój czas. Przepraszamy za kłopot, który sprawili panom kapitan Rackham i porucznik Chamrajnagar.

Strażnik sądowy wystąpił do przodu i poprosił obecnych o powstanie, a kiedy będzie wyprowadzał przysięgłych, o stanięcie na baczność. Kiedy wszyscy wyszli, Soshi i Ravenshaw bez słowa opuścili zamasytym krokiem salę, zostawiając w niej Prem i Mazera. Prem pokręciła z wściekłością głową.

– Ale żart.

– Możesz swoją naganę unieważnić – rzekł Mazer. – Istnieje zapis tej rozprawy. Napiszę list polecający. To niemożliwe, by wszyscy w korpusie prawnym byli tak skorumpowani jak Soshi.

– Nie martwię się tą naganą, tylko jestem wściekła na ten obraźliwy pokaz ludzkiej głupoty.

– Takiego wyniku chcieliśmy – rzekł Mazer. – Kogo obchodzi, że zrobili z tego cyrk?

– Mnie. I zrobili z tego coś więcej niż cyrk, Mazerze. Dali do zrozumienia, że popełniłeś przestępstwo, a potem w obecności pięciu wyższych oficerów właściwie stwierdzili, że jesteś winny. To jest mylące i stanowi kpinę z sądu. Nie mieli żadnych świadków poza Nardellim, a on i tak nie zamierzał zeznawać. Wiedzieli, że przepadnie, gdy zacznę zadawać mu pytania. Mogli w każdej chwili wycofać zarzuty, ale nie, musieli przeprowadzić rozprawę przed sądem wojskowym, żeby położyło się to plamą na twoich aktach. Zrobili to ze złośliwości. A potem Soshi ma czelność przepraszać przysięgłych za kłopot, jaki im sprawiliśmy? Nie do wiary.

– Już po wszystkim, Prem. Liczy się tylko to.

– Gdyby ci wyżsi oficerowie choć trochę znali się na prawie, to wiedzieliby, że właśnie byli świadkami farsy. Ravenshaw mógł poprosić o odroczenie sprawy. Mógł porozmawiać z Soshim

przed rozprawą. Mógł zrobić wiele rzeczy. I co? Udaje, że grożono jego świadkom, i zachowuje się jak ranne zwierzę, a wszystko to po to, żeby razem z Soshim mimo uniewinnienia mogli cię pogrążyć. Nie mogą przyznać, że są pacholkami i narzędziami innych, więc upokarzają cię w obecności pięciu wyższych oficerów. To nie była sprawiedliwość, Mazerze. I z pewnością nie dlatego wstąpiłam do korpusu prawnego.

– No to coś z tym zrób.

Prem wzruszyła ramionami.

– Jak? Nie mogę z nimi walczyć.

– Nie musisz. To nie twoje zadanie. Zadaniem żołnierza jest dowiedzieć się, co jest jego obowiązkiem, i wykonać go najlepiej, jak umie. Chcesz zamknąć im usta? To bądź takim adwokatem, jakim możesz być. Ravenshaw i Soshi będą usiłovali zamienić twoje życie w piekło, a ja czuję się za to odpowiedzialny, ale energia, jakiej użyjesz przeciwko nim, to energia zmarnowana. Oni nie są warci twojego czasu ani uwagi. Jedynym wrogiem są Formidzi. Soshi i Ravenshaw to robaki, a prędzej czy później wszystkie robaki są rozdeptywane. Nie zwracaj na nich uwagi.

– Nie jesteś zły?

– Jestem wściekły. Ale nadal mam moją sądową minę.

Pokazał na swoją pozbawioną emocji twarz. Uśmiechnęła się, pokręciła głową i zaczęła pakować rzeczy.

– Niezłą się okazałam prawniczką.

– Wygraliśmy – rzekł Mazer. – Jesteś prawdopodobnie jedynym adwokatem w korpusie, który wygrał wszystkie swoje sprawy.

– Ty ją wygrałeś. I nie dzięki kanałom prawnym, lecz nieoficjalnym.

– Żaden żołnierz nie działa sam, Prem. Zrobiliśmy to razem. Jestem ci winien podziękowania.

Prem uścisnęła wyciągniętą do niej rękę.

– A zatem to jest pożegnanie? – zapytała.

– Na razie. Mam jednak nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy, jeszcze raz zjesz ze mną i Kim kolację.

– Tylko jeśli będzie ten kurczak po chińsku. I rozglądaj się za moją rodziną. Mam w MF mnóstwo braci i wujów.

– Powiem im, że wyratowałaś mnie z opresji.

Zasalutował jej, a ona odpowiedziała mu tym samym.

Rozstali się. Mazer udał się do szpitala. Z holu wysłał Kim wiadomość i spotkali się dziesięć minut później przy dużej fontannie. Kim właśnie kończyła nocną zmianę na ostrym dyżurze i wyglądała na wyczerpaną.

– Spodziewałam się ciebie dopiero za kilka godzin – powiedziała. – Już robią sobie przerwę na lunch?

– Zrobili sobie przerwę na stałe. Zostałem uniewinniony.

Kim westchnęła z ulgą i objęła Mazera. Kiedy go puściła, ujrzał w jej uśmiechu cień rozczarowania.

– Nie cieszysz się – stwierdził. – Chciałaś, żeby mnie zwolnili z wojska.

– Czy to źle, że chcę mieć męża przy sobie? Że chcę, żeby był bezpieczny? Żeby miał normalną pracę, żeby nie tkwił w tym pasztecie?

– Wszyscy w nim tkwimy, Kim. Nie tylko ludzie z MF. Po prostu mamy różne obowiązki.

Zapadło między nimi milczenie.

– Jak się czujesz? – zapytał w końcu Mazer. – Masz jeszcze te bóle głowy?

Na początku każdej ciąży Kim miała migrenę. Przed kilkoma dniami pojawił się u niej dokuczliwy ból głowy i oboje potraktowali to jako dobry znak.

Pokręciła głową.

– Dziś zaczął mi się cykl, Mazerze. Zdecydowanie nie jestem w ciąży.

Przytulił ją. „Nie jestem w ciąży”. Słowa te tłukły mu się w głowie, ale mimowolnie czuł także niejaką ulgę. Rozpaczliwie pragnął dziecka, ale wizja Kim wychowującej je samotnie wśród atakujących Formidów napełniała go przerażeniem.

Dlaczego tak bardzo starał się przyspieszyć termin rozprawy? Dlaczego tak mu było śpieszno to zakończyć? Wcześniej wydawało mu się to logicznym działaniem. Przemawiał przez niego żołnierz: jeżeli pojawia się problem, to jak najszybciej się go rozwiązuje, rozbija się przeszkodę i dąży do celu. Lecz teraz

takie postępowanie wydało mu się krótkowzroczne, ponieważ nie miał już żadnego legalnego powodu, by zostać na Lunie z Kim. Spędzili razem tak mało czasu, a teraz, kiedy najbardziej potrzebowała jego wsparcia, nagle mógł zostać przeniesiony gdzie indziej.

– Powinienem był pozwolić im to przeciągać – powiedział. – Powinienem był pozwolić im grać na zwłokę. Spędzilibyśmy więcej czasu razem.

Odsunęła się od niego, wytarła oczy i głęboko odetchnęła, starając się uśmiechnąć.

– To nie leży w twojej naturze, Maze. Zrobiłeś to, co trzeba. Nic mi nie jest. Naprawdę. Jestem po prostu zmęczona. To była ciężka noc. – Przerwała i uważnie mu się przyjrzała. – Kiedy zameldujesz się w DoCent?

Skoro proces się skończył, Mazer powinien stawić się w kwaterze głównej, gdzie albo dostanie rozkaz powrotu do WYBABiM-u, albo nowy przydział.

– Miałem się tam udać natychmiast, ale przyszedłem tutaj.

Oboje wiedzieli, że może się zdarzyć wszystko. Ich los, los ich rodziny zostanie określony przez kaprys kogoś w mundurze.

– Może dostaniesz przydział tutaj.

– Wątpię.

– Dlaczego nie? Mógłbyś szkolić żołnierzy. Masz doświadczenie. Walczyłeś z Formidami w rozmaitych okolicznościach. Niewielu ludzi może to powiedzieć o sobie. Może zatrzymają cię w DoCent, żebyś uczył rekrutów. Czy najlepsi żołnierze nie dostają właśnie stanowisk instruktorskich?

– Stanowiska instruktorskie dostają odznaczeni oficerowie zbliżający się do emerytury, Kim. Ja jestem młodym oficerem po rozprawie przed sądem wojskowym i z jadowitą naganą w aktach. Ostatnią rzeczą, jakiej chce MF, jest to, żebym demoralizował młodych żołnierzy.

Kim mocno zacisnęła usta.

– To niesprawiedliwe, Mazerze. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłeś, co poświęciłeś. Gdyby nie ty, Ziemia mogłaby już należeć do Formidów. A oni traktują cię jak przestępcę? Gardzą

tobą, choć ty byłeś wobec nich całkowicie lojalny? Dlaczego tolerujesz tych ludzi?

Podniosła głos, a w holu pojawiło się teraz sporo osób. Kilkoro z nich popatrzyło w ich stronę. Mazer wziął Kim delikatnie za rękę i poprowadził ją do drzwi po prawej stronie. Znajdowała się za nimi niewielka kaplica z trzema rzędami ławek i przejściem pośrodku. Jej tylną ścianę zdobił duży podświetlony witraż przedstawiający kwiaty i inne rośliny, których kolory kładły się na ścianach plamkami zieleni, żółci i czerwieni. Ławki były puste. Mazer usiadł w ostatniej po lewej stronie, przesunął się ku ścianie i poklepał miejsce obok siebie.

Kim się zawahała.

– Ludzie przychodzą tu się modlić.

– Jeśli ktoś przyjdzie, będziemy udawać, że się modlimy, aż wyjdzie.

Usiadła obok niego.

– Zostanę dokąds wysłany, Kim. Oboje to wiemy. Prawdopodobnie do Pasa. Waganow nie będzie mnie chciał z powrotem w WYBABiM-ie. Jestem mu solą w oku. Nie będzie chciał mnie widywać. To by tylko podrażniało ranę.

Kim nie patrzyła na niego.

– Co to oznacza? Ten twój oddział do walk na asteroidach?

– Może. Nie wiem. To nie ja podejmuję decyzje.

Spojrzała na niego.

– A gdybyś mógł je podejmować? Co wtedy? Postanowiłbyś zostać?

– Oczywiście, że bym został, Kim. Musisz mnie o to pytać? Mogę tu zrobić wiele dobrego. Administracja nie jest moją mocną stroną, ale mogę w niej pracować jak każdy inny. Poproszę o to. Ale to nie będzie miało znaczenia. Jestem żołnierzem sił specjalnych. Wyślą mnie na pole walki. W tej sprawie nie będę miał wyboru. Jestem ich własnością.

– I dlatego ich nienawidzę.

– Flota istnieje, bo musi, Kim. Jeśli musisz kogoś nienawidzić, skieruj nienawiść na Formidów. Gdyby nie oni, byłibyśmy teraz w Nowej Zelandii i mielibyśmy trójkę dzieci.

Roześmiała się.

– Trójkę? Jesteś ambitny, zważywszy, jak długo jesteście małżeństwem. Musiałabym je rodzić jedno po drugim. Karmić piersią dwoje naraz, zmieniać osiem pieluch dziennie...

– Z precyzją chirurga – powiedział Mazer.

– To ty byś zmieniał większość tych pieluch.

– Nie musiałbym. Nasze dzieci umiałyby używać nocnika w wieku trzech miesięcy.

– W wieku trzech miesięcy dzieci nawet nie raczkują, Mazerze. Nie dotarłyby do łazienki.

– Zbudowałbym pochylnię. Przeprowadzalibyśmy ćwiczenia. Zrobiłbym im zmodyfikowane szkolenie podstawowe, tyle że ukierunkowane na zajęcia łazienkowe. I nie nazywałyby tego „siusiu” i „kupka”. Żadnych głupot. Mielibyśmy wojskowe nazwy. Jak „Operacja Pęcherz”. Spuściłyby się z łóżeczka po linie, zrobiły na podłodze dzieciniego pokoju kilka bojowych przewrotów, zlikwidowały kilka wrogich misiów i popędziły w stronę łazienki, a wszystko w pełnym kamuflażu ciała.

– Skóra niemowlęcia jest zbyt wrażliwa, by malować ją farbą do kamuflażu – rzekła Kim. – Ale poza tym to brzmi jak plan.

Mazer się uśmiechnął.

– Nasze dzieci będą jednak błyskotliwe. Jak mogłyby nie być z taką matką?

Spojrzała na niego z powagą.

– Obiecaj mi, że będziesz rozsądny, Mazerze. Żadnych brawurowych popisów, dobrze? Żadnego niepotrzebnego ryzyka. Do niczego nie zgłaszaś się na ochotnika. Nie rób nic głupiego.

– Będę rozsądny – obiecał Mazer. – Ale muszę robić to, do czego zostałem wyszkolony. W ten sposób utrzymuję się przy życiu. Jeśli przestanę to robić, jeśli przedłożę moje bezpieczeństwo nad bezpieczeństwo mojego oddziału, to wszystkich narażę na śmierć, łącznie ze mną. – Ujął ją za ręce. – A teraz ja mam prośbę do ciebie. Nie zostawaj na Lunie, Kim. Jeśli mnie stąd odeślą, wracaj na Ziemię. W jakieś odległe miejsce. Może do Nowej Zelandii. Jeśli Formidzi się przedrą, to przez jakiś czas nie będą się interesować wyspami. Może nigdy się nimi nie zainteresują.

Może w ogóle nie będą nękać tam ludzi.

Kim zastanowiła się nad tym i kiwnęła głową, a potem położyła ją Mazerowi na ramieniu. Mazer objął żonę i patrzył na kolorowe światło na ścianie.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytała Kim. – Ile trwa służba?

– Tego nikt nie wie. Ale jeśli wyślą mnie do Pasa, to podejrzewam, że zabawię tam jakiś czas.

– Nie jestem na ciebie zła, Mazerze. Nie chcę, żebyś odleciał, myśląc, że to właśnie czuję. Czuję miłość.

Uśmiechnął się.

– Chciałbym, żeby istniało lepsze słowo na określenie miłości, pani Rackham. Dla tego, co czuję do ciebie, co ty czujesz do mnie, to słowo jest za małe.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po prostu ciesząc się, że są razem, że się obejmują, lecz nagle zaczęła wibrować nakładka Kim.

– Wzywają mnie na dół.

– Nie wyślą mnie natychmiast – powiedział Mazer. – Zobaczymy się wieczorem.

Ucałowali się i rozstali. Mazer wyszedł ze szpitala i pojechał na drugą stronę miasta do DoCent. Budynek był po wojskowemu nijaki, surowy i stary. Nad powierzchnię wystawały dwa poziomy, lecz większa część budowli, jak w wypadku wielu agencji, znajdowała się pod ziemią. Mazer nie wiedział, jak daleko ciągną się jej tunele, ale podobno MF kopła i rozbudowywała swoją siedzibę od czasu zakończenia wojny.

Mazer wszedł do środka i poddał się kontroli bezpieczeństwa. Na tablicie strażnika, który go skanował, wyskoczyła wiadomość.

– Panie kapitanie, otrzymałem polecenie, że po przybyciu ma się pan zameldować w LOG 41.

– Dziękuję.

LOG było skrótem od „logistyki”. Był to zespół, który organizował wszystkie ruchy żołnierzy i towarów. LOG 41 to był zapewne boks 41 w dziale. Mazer poszedł do wind i zjechał cztery poziomy, a następnie kluczył po labiryncie, jaki stanowiło

DoCent, aż w końcu dotarł do morza boksów tworzących dział logistyki. Panowała tu krzątanina i wokół toczyło się kilkadziesiąt holorozmów naraz. Ogromna gwiazdna mapa na przeciwległej ścianie ukazywała widziany z góry Układ Słoneczny z mrugającymi punkcikami i ikonami, które oznaczały poruszające się okręty.

Mazer ruszył przejściem między boksami, mijając żołnierzy, którzy siedzieli przy małych biurkach zajęci pracą. Niektórzy mieli przyłbice z bezpośrednimi łączami do terminali. Wszyscy sprawiali wrażenie zaalarmowanych do granic, a w sali panowała atmosfera napięcia. Mazer uświadomił sobie, że coś się dzieje albo zaraz się stanie.

Zatrzymał się i przyjrzał mapie. Pozycje okrętów nie przywodziły na myśl zorganizowanego ruchu; były chaotycznie rozrzucone. Lecz energia krążąca wśród ludzi i urywki rozmów sugerowały, że wszystko zaraz się zmieni. Zaatakujemy formidzkie okręty, pomyślał. Planujemy podzielić flotę na dwie eskadry i wysłać je powyżej i poniżej ekliptyki. Przenosimy walkę na teren Formidów.

Jeśli miał rację, byłoby to ogromne przedsięwzięcie. Trzeba by zebrać zapasy, zmodyfikować i przygotować broń, wyszkolić załogi, skoordynować ataki, taktykę i plany bitewne. Poza tym były też problemy. Przede wszystkim kwestia paliwa. Większość okrętów używała wody pozyskiwanej z lodu zbieranego na asteroidach. Lecz poza płaszczyznę ekliptyki nie było asteroid, a przynajmniej nie było ich dużo. Owszem, zdarzały się planetoidy o szalonych przechylonych orbitach oraz komety, jeśli się wiedziało, gdzie je można znaleźć, ale wykorzystanie ich stanowiłoby spore wyzwanie. Żeby zebrać lód, okręty musiałyby lecieć po zygzakowatej trajektorii od jednej komety do drugiej. Inaczej nie miałyby paliwa potrzebnego do odbycia podróży tam i z powrotem. Nie jesteśmy gotowi, pomyślał Mazer. Nie potrafimy przebić formidzkiego kadłuba, a jak zdołamy zwyciężyć, jeśli nie zniszczymy ich okrętów?

Boks 41 znalazł w kącie z tyłu sali. Był oddzielony od innych i otoczony dźwiękoszczelnym walcem. Walec był

nieprzezroczysty, ale Mazer widział sylwetkę człowieka siedzącego przy biurku. Zastukał; walec się otworzył, ukazując młodego oficera, który uśmiechał się do Mazera od komputerowego terminala.

– Zechce pan usiąść, panie kapitanie? – Pokazał ręką na puste krzesło stojące naprzeciw niego.

Mazer wszedł do środka i usiadł. W boksie było ciasno. Właściwie dotykali się z oficerem kolanami pod biurkiem. Drzwi się zasunęły i odgłosy dobiegające z zewnątrz natychmiast ucichły.

– Trochę tu dziś głośno – przyznał oficer, wciąż się uśmiechając.

– Co się dzieje? – zapytał Mazer. – Wygląda, jakbyśmy planowali jakąś ofensywę.

– Och, oni je planują już od jakiegoś czasu, panie kapitanie. Teraz puszczają wszystko w ruch. Proszę podać pełne nazwisko i wojskowy numer identyfikacyjny.

– Kapitan Mazer bez drugiego imienia Rackham. 7811231002.

Oficer nie odrywał wzroku od terminala.

– Dziękuję, panie kapitanie. Chwileczkę.

– Czy mógłbym poprosić o przydział miejscowy? Taki, który pozwoliłby mi zostać na Lunie?

Wiedział, że to nie ma sensu, ale przyrzekł Kim, że poprosi.

– Przykro mi, panie kapitanie. Pański przydział został już wydany. Ma się pan zameldować u pułkownika Li w doku promowym czternaście.

– W doku promowym? Mam natychmiast odlecieć?

Oficer wstukał coś do holoe ekranu, a potem zrobił przeproszącą minę.

– Przykro mi, panie kapitanie. Według jedynej informacji, do jakiej mam tu dostęp, pułkownik Li otrzymał awans niedawno. System nie podaje nic więcej, także pańskiego dokładnego przydziału ani punktu docelowego. Domyślam się, że ta operacja jest tajna. Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc. Proszę kierować się czerwoną linią wyświetloną na pańskiej nakładce na nadgarstek.

Nakładka Mazera piknęła i na ekranie pojawił się plan budynku.

Drogę wytyczała czerwona linia. Rozsunęły się drzwi walca. Odprawiano go. Mazer wyszedł na zewnątrz i drzwi od razu się za nim zamknęły. Podążył za czerwoną linią do podziemnego peronu, gdzie czekał rząd pustych automatycznych samochodów. Kiedy się do nich zbliżył, pierwszy ożył, otworzyły się przed nim drzwi, lecz Mazer najpierw poszedł na koniec peronu i spojrzał w prawo. Wydawało się, że tunel ciągnie się w tym kierunku w nieskończoność, i Mazer przez chwilę się zastanawiał, czy powinien wsiąść do taksówki. Jeśli wysyłają go do doku, to chcą go wywieźć z Luny natychmiast. Nie zdążyłby więc pożegnać się z Kim. Mazer się tego nie spodziewał. Zakładał, że zanim MF wymyśli, co z nim zrobić, i zorganizuje mu wylot, będzie miał przynajmniej kilka dni dla siebie. A tak stał tu tylko z tym, co miał na sobie. Odwrócił się i spojrzał na drzwi, którymi tu wszedł. Mógłby się wycofać... ale co dalej?

Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem wsiadł do pierwszego samochodu i zapiał pas bezpieczeństwa. Auto powoli wyjechało na ścieżkę, a potem wystrzeliło w ciemność. Po dwudziestu minutach zatrzymało się w ruchliwym doku promowym. Mazer wysiadł i się rozejrzał. Ekipy robocze Międzynarodowej Floty w mundurach ochronnych ładowały towary do promów czekających przy bramkach. Mazer naliczył ich dziesięć; wszystkie były zajęte, co prawdopodobnie oznaczało, że przez cały dzień wypływał stąd równomierny strumień towarów. Kiedy tylko któryś z promów kończył załadunek, odlatywał, a jego miejsce zajmował kolejny, pusty. Robotnicy wykrzykiwali rozkazy, jeździli wózkami widłowymi, ostrzegali dźwiękiem klaksonów i gorączkowo biegali wokół. Zupełnie jak pszczoły robotnice, z których każda wykonuje swoje zadanie w szaleńczym tempie.

Na dźwięk klaksonu, który rozległ się za nim, Mazer drgnął i szybko usunął się na bok. Obok niego śmignął obładowany wózek widłowy, ale robotnik zdążył skinąć mu w podzięcie głową.

– Kapitanie Rackham.

Mazer się odwrócił. Zbliżał się do niego szczupły chiński oficer.

Miał na ramionach belki pułkownika, więc Mazer stanął na baczność i zaszalutował.

– Jestem pułkownik Li. Witam w TAPOS-ie, czyli Taktycznym Partyzanckim Oddziale Szturmowym. W skrócie TAP. Wojsko ma skróty na wszystko, a my nie stanowimy wyjątku.

– Dziękuję, panie pułkowniku. To bardzo uprzejme z pańskiej strony, że przywitał mnie pan osobiście. Cieszę się, że MF znalazła rozwiązanie problemu asteroid.

– To nie rozwiązanie, tylko podejście. I to takie, na które miał pan wielki wpływ. Prawdopodobnie będziemy używać wiele sprzętu, który sprzedał pan firmom Gungsu i Juke.

A więc wiedzą o umowach, pomyślał Mazer. Zawarł je ledwie przed tygodniem, a MF już widziała sprzęt – albo jego projekty – i zaaprobowała go do użytku w terenie. Szybki zwrot. To napawało optymizmem.

– Jeszcze nie wiadomo, czy nasza taktyka okaże się skuteczna – zauważył Li. – Wymyślamy ją na bieżąco i nadal będziemy tworzyć strategię w drodze do Pasa. Ale chodźmy stąd, bo zostaniemy rozjechani.

Mazer poszedł za Li przez znajdujące się na prawo od Mazera podwójne drzwi i szatnię, niewątpliwie używaną przez robotników pracujących przy załadunku.

– Prawdopodobnie nie pamięta mnie pan, ale już raz się spotkaliśmy – rzekł Li. – W Jaskini Smoka w Chinach w dniu, w którym do bazy przybył Bingwen i pozostali członkowie POP-u. Byłem wtedy młodym, pewnym siebie porucznikiem, który starał się wyrobić sobie dobrą opinię.

Przypomnienie go sobie zajęło Mazerowi chwilę.

– Pamiętam pana – powiedział.

Li się uśmiechnął.

– Nasze pierwsze spotkanie było niezręczne, panie kapitanie, ale chciałbym myśleć, że obaj jesteśmy nieco starsi i mądrzejsi. Na przykład teraz o wiele lepiej posługuję się wspólnym językiem.

– Mówi nim pan bez zarzutu – rzekł Mazer.

– To język MF. Naucz się go albo zgiń. Gdyby Chiny były na

początku nieco bardziej skłonne do współpracy, to może wszyscy mówilibyśmy po chińsku.

Dotarł do kolejnych podwójnych drzwi i otworzył je pchnięciem. Weszli do dużego magazynu, może tymczasowego miejsca przechowywania towarów wysyłanych promami. Teraz jednak pomieszczenie służyło za prowizoryczne koszary. Pod ścianami z obu stron stały nienagannie posłane piętrowe prycze. Podłogę pośrodku pokrywały piankowe materace do ćwiczeń. Trenowało na nich walkę wręcz dwunastu chłopców, na oko dwunasto-, trzynastoletnich, którzy rzucali sobą nawzajem o podłogę. Chłopiec znajdujący się najbliżej drzwi zawołał:

– Oficer na pokładzie!

Wszyscy natychmiast ustawili się w dwa szeregi i stanęli bez ruchu na baczność. Ich szybkość i czas reakcji robiły wrażenie.

– Co pan sądzi o naszej małej armii, panie kapitanie? – zapytał Li.

Mazer od razu zrozumiał.

– Zamierzacie wysłać ich do tych wąskich tuneli na asteroidach.

– Oczywiście – odparł Li. – Tunele są za ciasne dla dorosłych mężczyzn. Może oczywiście nie dla pana. Jest pan raczej drobny. Lecz nawet pan miałby kłopoty w większości z nich. Natomiast drobnym chłopcom z Azji Południowo-Wschodniej w takiej przestrzeni będzie się manewrować o wiele łatwiej. Nasze geny stworzyły nas do tego rodzaju pracy. Bingwenie. Wystąp.

Kiedy podbiegł do nich jeden z chłopców stojących z tyłu, Mazerowi serce podskoczyło w piersi. Chłopiec był starszy, wyższy i może nawet nieco szczuplejszy, niż pamiętał go Mazer, i miał ogoloną głowę, ale to był Bingwen. Podbiegł, nie patrząc na Mazera, i z twarzą pozbawioną wszelkich emocji wyprężył się na baczność przed pułkownikiem Li.

– Bingwen na rozkaz, panie pułkowniku.

– Poznajesz tego oficera, Bingwenie? – zapytał Li, pokazując na Mazera.

Bingwen nie odwrócił głowy ani nawet nie zerknął na niego.

– Tak jest, panie pułkowniku. To jest kapitan Mazer Rackham, panie pułkowniku.

– Dobrze znasz kapitana Rackhama?
– Tak jest, panie pułkowniku. Pomógł mi podczas pierwszej wojny z Formidami, panie pułkowniku.
– A Bingwen ocalił mi życie – dodał z uśmiechem Mazer.
– Nie pozwoliłem się panu odzywać, panie kapitanie – zauważył pułkownik Li. – Będzie się pan zwracał do oficera o wyższej randze tylko wtedy, gdy zada panu bezpośrednie pytanie. W innym wypadku, kiedy będę rozmawiał z innym żołnierzem, będzie pan prosił o pozwolenie odezwania się. Czy wyrażam się jasno?

Mazer uniósł brew. To jakiś żart?

– Może ma pan przytępiony słuch – skwitował to pułkownik Li.
– Zadałem panu bezpośrednie pytanie, panie kapitanie. Pańskim obowiązkiem jest udzielić bezpośredniej odpowiedzi.

Mazer zerknął na Bingwena. Chłopiec nawet nie mrugnął. Jakie piekło ci zgotowali? – pomyślał Mazer. Odwrócił się do pułkownika Li.

– Wyraził się pan bardzo jasno, panie pułkowniku. Czy mogę z panem porozmawiać na osobności?

Pułkownik Li wyglądał na zirytowanego. Nie było ściśle określonej zasady co do udzielenia zgody innemu oficerowi na prywatną rozmowę, lecz zwykle wyrażenie takiej zgody było traktowane jako zawodowa uprzejmość. Zwrócił się więc do swojej młodej armii:

– Niech nikt się nie rusza.

A potem przeszedł z koszar do przylegającego do nich niewielkiego biura o szklanych oknach. Mazer wszedł do niego za nim.

Li skrzyżował ramiona na piersi.

– Czy ma pan jakiś problem z tym, jak prowadzę moją armię, panie kapitanie? Jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia, to słucham.

Mazer się zawahał. Stąpił po cienkim lodzie i podejrzewał, że cokolwiek powie, tylko jeszcze bardziej rozzłości Li.

– Panie pułkowniku, w moim rozumieniu rekrutacja dzieci i wykorzystywanie ich w konflikcie zbrojnym to zbrodnia wojenna.

– Historia nie jest pana mocną stroną. Dzieci od stuleci biorą bezpośredni udział w wojnach. Jako żołnierze, szpiegzy, posłańcy, czujki. Proszę wymienić jakiś kraj, a ja wyliczę panu wojny i władców, którzy zatrudniali nieletnich żołnierzy. Ta lista jest długa i może pana zaskoczyć, a znajdują się na niej te narody Zachodu, które uważają, że postępują bez zarzutu, narody, które gardzą resztą świata za tę praktykę, chociaż same są jej winne. Proszę spojrzeć na Rzymian, na krucjaty, wojny napoleońskie, obie wojny światowe, amerykańską wojnę domową, Afrykę, Środkowy Wschód... Zatrudniamy dzieci do działań wojennych od czasu, kiedy człowiek po raz pierwszy uniósł włócznię, by bronić swojego obozowego ogniska.

– Tak, ale to nie czyni tej praktyki moralnie dopuszczalną, panie pułkowniku. Lubię myśleć, że teraz jesteśmy nieco bardziej cywilizowani niż w czasach wymienionych przez pana wojen.

Li się roześmiał.

– Cywilizowani? Kiedy wojna była cywilizowana, panie kapitanie? Wojna z samej swojej definicji jest barbarzyńska i przerażająca.

– Tym większa jest więc potrzeba, by chronić przed nią dzieci – rzekł Mazer.

– Zaskakuje mnie pan, panie kapitanie. Powiedziano mi, że jest pan odważnym strategiem, że ma pan wrodzoną zdolność do stawiania czoła przeszkodom z umysłem otwartym na niekonwencjonalną taktykę. Widzę, że te pochwały były nieuzasadnione.

– Protokół dodatkowy do konwencji genewskiej stwierdza, że nie można rekrutować nikogo, kto nie przekroczył piętnastego roku życia, i że takie osoby nie mogą brać udziału w konflikcie zbrojnym – powiedział Mazer. – Czy teraz ignorujemy konwencję genewską?

– Niech mi pan powie, panie kapitanie, czy kiedy ponad sto lat temu zasiadano do stołu w Genewie, wiedzano o istnieniu Formidów? Czy wiedzano, że pewnego dnia jakaś obca rasa będzie chciała stopić nasze ciała bronią biochemiczną, niszczącą całą faunę i florę Ziemi? Czy ci dowódcy wojskowi, ci mędrcy,

których pan wyraźnie uważa za jedynych ludzi w historii świata zdolnych wydawać osądy moralne w naszym imieniu – więc czy ci ludzie wiedzieli, z czym będziemy się mierzyć? Czy znali zbliżające się zagrożenie? I, co może ważniejsze, czy nie uczyniliby wyjątku, gdyby przeciwne postępowanie oznaczało zniszczenie naszego gatunku? Bo o takie pytanie tu chodzi, panie kapitanie. To jest zimna, twarda, brzydka prawda o tej sytuacji. Jeśli przegramy, nie będzie żadnych dzieci. Żadnych. Ani niemowląt, ani raczkujących maluchów, ani przedszkolaków beztrzesko biegających po placach zabaw na Ziemi. Jeśli nie zwyciężymy, każde z nich stanie się krwawą plamą i kupką kości.

Co chce pan zrobić, by je chronić, panie kapitanie? Wolałby pan raczej bronić tych dwunastu młodzieńców przede mną? Wolałby pan zachować raczej ich życie, niż uratować miliardy ludzi na Ziemi? Taka jest pańska logika? Nie chcielibyśmy, żeby Bingwenowi śniły się koszmary, więc wycofajmy się i patrzmy, jak płonie Ziemia? – Li pokręcił głową. – Nie. Takie podejście nie ma dla mnie sensu, panie kapitanie. To nie jest wojna łatwych wyborów. Nie zwyciężymy, stosując się do przestarzałych zasad, które zostały stworzone bez znajomości naszej wyjątkowej sytuacji. Sądzi pan, że Formidzi kierują się jakimś kodeksem etycznym? Sądzi pan, że nie użyją swojej przewagi z powodu jakiejś konferencji zwołanej w ich przeszłości? Służył pan w Chinach, panie kapitanie. Widział pan, co ci dranie robili niewinnym ludziom. Mojemu narodowi. Mojej ojczyźnie. Chce mi pan powiedzieć, że nie chce pan robić tego, co jest konieczne do ich unicestwienia?

I, szczerze mówiąc, panie kapitanie, uważam pański sprzeciw za przejaw hipokryzji. To pan pierwszy wciągnął Bingwena w konflikt. Czy to nie on zaprowadził pana do formidzkiego lądowika podczas pierwszej wojny z obcymi? To pan wciągnął go w tę wojnę. Nie raz, lecz wiele razy. A kiedy został pan aresztowany przez chińskie wojsko, pańscy towarzysze z POP-u uczynili Bingwena jednym z nich. Ten chłopiec, to dziecko, jak go pan nazywa, brał pod pańskimi rozkazami udział w większej liczbie walk niż większość żołnierzy Międzynarodowej Floty.

Uważam to za bardziej naganne pod względem moralnym niż grzechy, które mi pan zarzuca. Więc proszę zapomnieć o jakiejś moralnej wyższości, panie kapitanie. Jest pan o wiele bardziej winny tej zbrodni niż ja.

Mazer milczał. Co mógł powiedzieć? Li miał rację co do Bingwena. Mazer naraził go na niebezpieczeństwo. Wprawdzie rozpaczliwie starał się usunąć go poza zasięg konfliktu, lecz nie pozwoliły mu na to okoliczności.

– Skończyliśmy – oznajmił Li i wyszedł z biura, a Mazer za nim.
– Powiedz mi, Bingwenie – odezwał się Li na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Kapitan Rackham nie uważa, że jesteś godny zostać żołnierzem. Uważa cię za bezużyteczne dziecko. Sądzi, że nie zasługujesz, by służyć w MF. Co na to powiesz?

– Muszę się z całym szacunkiem nie zgodzić z kapitanem Rackhamem, panie pułkowniku.

– Chciałbyś mu pokazać, że jesteś żołnierzem, prawda, Bingwenie?

– Tak jest, panie pułkowniku. Uznałbym to za zaszczyt, panie pułkowniku.

– Doskonale – rzekł Li. – Zatem spełnimy twoją prośbę. – Odwrócił się do Mazera. – Panie kapitanie, odbędzie pan sparing z Bingwenem i pozwoli mu pan pokazać, że jest wart nazywania go żołnierzem.

Mazer się zawahał.

– Panie pułkowniku, z całym szacunkiem, ale nie uważam tego za dobry pomysł.

– Czy podważa pan mój autorytet, panie kapitanie? Odmawia pan wykonania legalnego bezpośredniego rozkazu? Zważywszy na to, że tak niedawno stał pan przed sądem wojskowym, można by pomyśleć, że powinien pan być nieco bardziej uległy wobec władzy.

Nic, co powiedziałby Mazer, nie wpłynęłoby na zmianę decyzji Li, który nie odwołałby rozkazu w obecności swoich podwładnych, żeby nie stracić twarzy. Uparłby się jeszcze bardziej, a Mazer tylko pogorszyłby sytuację swoją i Bingwena. Jego jedynym wyjściem było wykonanie rozkazu.

– Ma pan rację, panie pułkowniku – powiedział. – Proszę o wybaczenie. Pokaz sprawności Bingwena z pewnością pomógłby mi lepiej zrozumieć pańskie stanowisko.

Li uśmiechnął się zwycięsko. Przez chwilę Mazer widział w jego oczach coś jeszcze: chęć zobaczenia starcia, żądze walki.

Mazer zdjął buty i wszedł na matę. Nadal miał na sobie galowy mundur, którego krój nie ułatwiał ruchów.

– No cóż, Bingwenie. Wyraźnie trenowałeś dużo więcej ode mnie, ale ostrzegam cię, jestem wyższy, cięższy i nie będę ci dawał forów.

Mazer rozstawił nogi, przybrał swobodną pozycję bojową i czekał.

Bingwen wszedł na matę i stanął naprzeciwko niego. Minę miał nadal obojętną, jakby Mazer nic dla niego nie znaczył. Chwilę później zaatakował. Mazer odskoczył do tyłu przed serią kopnięć wymierzonych w jego krocze. Był to mocny, niesłabnący atak. Bingwen wiedział, że ma silnego przeciwnika i że jedyną jego szansą jest celowanie w jego najsłabszy punkt. Mazer zablokował kopnięcie nogą, następne ręką, a potem chwycił Bingwena za stopę i go przewrócił.

Bingwen upadł na matę, a Mazer dostrzegł na twarzy pułkownika Li grymas gniewu. Uświadomił sobie, że musi walczyć dalej, nie okazując litości. Miał tylko nadzieję, że Bingwen wykorzysta okazję, kiedy ta się nadarzy. Chłopiec zerwał się na nogi. Mazer się roześmiał.

– To tego cię uczą, Bingwenie? Kopać człowieka w najwrażliwsze miejsce? Dobrze. Jesteś żołnierzem. Twoim zadaniem jest zwyciężyć, a nie grać czysto.

Nadszedł drugi atak. Mazer znowu odskoczył, poruszając się w lewo po szerokim kole i udając, że się dobrze bawi. Trzy kolejne kopnięcia Bingwena. Mazer wszystkie zablokował.

– Jesteś przewidywalny, Bingwenie. Działasz według wzoru. Masz trzy dobre kopnięcia, których zbyt często używasz. Cała reszta jest słaba. A może dajesz mi fory...

Dwa następne kopnięcia, z łatwością zablokowane.

– Ja ci na pewno ich nie dam – powiedział i ustąpił w bok, by

uniknąć ciosu.

Natychmiast po nim nastąpił kolejny, ale Mazer znowu się wywinął, chwycił Bingwena za nadgarstek, przyciągnął chłopca do siebie tak, że ten stracił równowagę, i mocno uderzył go w pierś płasko ułożoną dłonią.

Bingwen cofnął się chwiejnie, pozbawiony tchu. Chwycił się za pierś, ale utrzymał na nogach, mimo że, zgięty wpół, rozpaczliwie chwycił powietrze. Przez chwilę Mazer myślał, że uderzył go za mocno. Zamknął koło i stanął plecami do pułkownika Li.

– Jeśli nie przestaniemy, to zrobię ci krzywdę, Bingwenie – powiedział. – Lepiej się poddaj i zaoszczędź sobie kilku sińców.

Bingwen przyjął postawę bojową i mocno się skrzywił.

– Uparciuch – rzekł Mazer. – Muszę cię za to pochwalić. Zwłaszcza że walczysz z silniejszym przeciwnikiem. Ale żołnierz musi także umieć się wycofać. Jesteś pewien, że nie chcesz tego zakończyć? A może chcesz zaprosić do pomocy dwóch przyjaciół?

I wtedy Mazer dyskretnie mrugnął do Bingwena, czego pułkownik Li nie mógł zobaczyć. Miał nadzieję, że chłopiec zrozumie, o co mu chodzi.

Bingwen zrozumiał, bo przypuścił najszybszy i najgwałtowniejszy atak. Teraz w gradzie kopnięć i uderzeń nie było żadnego wzoru. Wszystko, co robił do tej pory, miało na celu zmylenie Mazera. Teraz pokazał prawdziwą siłę, jakby do tej chwili zachowywał rezerwę. Mazer rzucił się na lewo, robiąc uniki, odbijając uderzenia, cofając się. Nadarzyła się sposobność i wykorzystał ją, jak zrobiliby to każdy żołnierz. Wyprowadził kopnięcie, lecz Bingwen już padał na ziemię, przewidując atak, i zatoczywszy łuk stopą, podciął Mazerowi nogę, na której ten stał. Mazer nie musiał udawać, że pada. Stracił równowagę.

Ale wiedział, że nie może przegrać w tej chwili. To byłoby zbyt oczywiste. Musiał najpierw wydać się urażony i zły. Żeby Li uwierzył w jego emocje, musiał mu pokazać ich ewolucję. Arogancję, a potem wściekłość i pokorę.

Zaklął więc pod nosem, a potem się przetoczył i podniósł, wciekły, na czworaki. Zgodnie z jego oczekiwaniami Bingwen nie

przerwał ataku. Rzucił się na Mazera ze zwierzęcą zajadłością. Kopnięcie, blok, kopnięcie, blok, uderzenie, blok, zamach, podskok, kopnięcie, unik, uderzenie, blok, kopnięcie...

Trafił stopą w bok Mazera; ten stęknął. Nic się nie złamało, ale Bingwen go nie oszczędzał.

Mazer cofnął się i wyprowadził kopnięcie, którego Bingwen z łatwością uniknął. Mazer trzymał się za bok, lekko się krzywiąc i zaciskając usta. Wtedy Bingwen zaatakował po raz czwarty i tym razem przypuścił atak z jeszcze większą gwałtownością, czego Mazer zupełnie się nie spodziewał i co mile go zaskoczyło. Ktokolwiek szkolił chłopca, robił to wyjątkowo dobrze.

Mazer go powalił, ale Bingwen natychmiast się zerwał na nogi, nie robiąc przerwy na złapanie tchu. Mazer powalił go ponownie. „Teraz, Bingwenie – chciał powiedzieć. – Zrób to teraz”.

Mazer powtórzył ten sam ruch, by rzucić chłopcem na matę, lecz tym razem Bingwen to przewidział i odcoczył się na bok, mocno wbijając po drodze Mazerowi łokieć w żołądek. Mazer zgiął się i padł na kolana, trzymając się za brzuch, a potem uniósł głowę na tyle wysoko, by ujrzeć stopę Bingwena w chwili, gdy zetknęła się z jego twarzą.

Głowa Mazera odchyliła się na bok, a jego ciało skręciło się i runęło na matę. W ustach poczuł smak krwi. Miał rozciętą wargę, dzwoniło mu w uszach. Nie miał złamanej szczęki, ale na twarzy pojawił się siniec. Uniósł potulnie rękę.

– Poddaję się.

Podszedł do niego pułkownik Li i wyciągnął w jego stronę dłoń. Mazer ją ujął i powoli wstał, nawet nie usiłując wytrzeć krwi z wargi. Pułkownik Li się uśmiechnął.

– Co pan teraz sądzi o naszej armii, panie kapitanie?

– Powiedziałbym, że prawie mi żal Formidów.

Otworzył usta, sprawdzając, czy szczeka nie wyskoczyła mu z zawiasów. Pułkownik Li roześmiał się zadowolony z siebie. Bingwen znowu stał na baczność ze wzrokiem skierowanym do przodu, jakby był robotem. Och, Bingwenie, pomyślał Mazer. Czy z tym miałeś do czynienia przez trzy lata? Czy to ci zrobili?

– Ale tymi sztukami walki nikogo nie pokonacie – dodał. – Cała

ta walka wręcz nie ma tu na górze znaczenia. Każdy z tych ruchów jest oparty na grawitacji. W chwili, kiedy opuścimy studnię grawitacyjną Luni, wszystko, czego ci chłopcy się nauczyli na temat walki i manewrowania, przestanie być zasadne. Zerowa grawitacja to całkowicie odmienne doświadczenie.

– Dlatego pan tu jest, panie kapitanie – rzekł Li. – Żeby ich szkolić. Przygotuje pan tę armię do wojny. Naszym celem jest ObGra, stacja kosmiczna umieszczona w jednym z punktów Lagrange’a Jowisza. Tam będzie pan ich uczył zasad walki w zerowej grawitacji.

– Kto tam leci? – zapytał Mazer. – Tylko nasza grupa?

– W skład TAP-u wchodzi także cztery oddziały sił specjalnych. Dorośli. Zaprawieni w boju żołnierze. Polecą razem z nami. Będziemy też mieli warsztat i przedstawicieli Juke Limited i Gungsu, którzy będą nam pomagać w przygotowaniu i naprawach sprzętu. Będzie ciasno. Startujemy o siódmej zero zero. Bingwenie, zaprowadź kapitana Rackhama do jego pryczy.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– A co z moimi rzeczami? – zapytał Mazer. – Nie wiedziałem, że wylecę tak szybko. Niczego nie spakowałem.

Li się uśmiechnął.

– To jest wojsko, panie kapitanie. Zawsze wszystko zapewniamy.

Mazer nie zaprotestował. Nie mógł tego zrobić.

– Proszę za mną – rzekł Bingwen.

Zaprowadził Mazera do jednej z prycz w odległym kącie pomieszczenia. Czekają tam na niego przybory toaletowe i mundur w jego rozmiarze. A ponieważ znajdowali się poza zasięgiem słuchu pułkownika, Mazer powiedział:

– Mam nadzieję, że nie uderzyłem cię w pierś za mocno.

– Było idealnie – odparł Bingwen. – Przepraszam cię za tę wargę.

– Było idealnie. Naprawdę mi przyłożyłeś. Od jak dawna twoim dowódcą jest Li?

– Od naszego rozstania.

Mazerowi pękło serce.

– Przepraszam cię, Bingwenie. Powinienem tam z tobą być. Nie miałem pojęcia...

Bingwen wzruszył ramionami.

– Nasze e-maile były sprawdzane. Nie mogłem ci powiedzieć, jak sytuacja wygląda naprawdę. Jak się ma Kim?

– Będzie zachwycona, że się z tobą widziałem, i zła, że tu jesteś.

– O tym nie może się dowiedzieć – rzekł Bingwen. – Cała ta operacja jest ściśle tajna. Wszystkie twoje wiadomości do Kim będą cenzurowane. Widziałeś filmiki Victora z tych tuneli?

– Wiele razy.

– I jak sądzisz, co jest w środku?

– Mam kilka teorii. Ale jeśli będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia, to nie ty poznasz odpowiedź na to pytanie.

Bingwen pokręcił głową.

– Nie rozumiesz Li. My jesteśmy jego biletem, Mazerze. On w ten program zainwestował wszystko. Musi uzasadnić jego istnienie. Musi udowodnić DoCent, że cały czas miał rację. Zapewniam cię, że wysłał mnie do tych tuneli.

– Nie wejdiesz tam sam, Bing. Obiecuję ci to.

– Nie dasz rady mu się przeciwstawić, Mazerze. On cię zniszczy. Dzisiaj widziałeś jego przyjemne oblicze.

– Przepraszam, Bingwenie. Czuję się, jakby to była moja wina. Mówiłem ci o szkole, zachęcałem cię, żebyś do niej poszedł... Sądziłem, że da ci różne możliwości, przyszłość, bezpieczeństwo. Nie miałem pojęcia, że będzie czymś takim.

– Moja sytuacja to nie twoja wina, Mazerze. Dużo się nauczyłem. Mimo że Li jest taki trudny i szorstki, nauczył mnie więcej, niż sądzisz. Cały czas stara się zrobić ze mnie żołnierza wedle swego wyobrażenia, ale ciągle ostrożnie mu się opieram. Uważa, że będziemy skuteczni tylko wtedy, jeśli będziemy myśleć i działać jak on, co znaczy: bez współczucia i litości.

– On się myli, Bingwenie. Nie mógłby się mylić bardziej. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Jesteśmy żołnierzami. To jest różnica.

– Nie musisz mi mówić, Mazerze. Nauczyłem się tego od ciebie na długo, zanim pojawił się Li.

Mazer się uśmiechnął.

– Dobrze cię widzieć, Bingwenie. Trudno mi uwierzyć, jak wyrosłeś.

Chłopiec też się uśmiechnął.

– Pamiętasz, jak poprosiłem cię, żebyś poszedł do tej szkoły razem ze mną? Chciałem, żebyś w niej uczył. Chyba moje pragnienie jednak się spełniło.

– Zetrzyj ten uśmiech z twarzy, żołnierzu. Jutro zacznie się prawdziwa nauka.

Rozdział 23

RURKI

Do: imala.bootstamp%e2@mfc.com.gov/flotacom/gagak

Od: shongwe%kontradmirał@mfc.com.paskuipera

Temat: Nowe rozkazy

Pani Kapitan,

Rozkazuję Pani natychmiast skierować „Gagaka” do miejsca określonego przez współrzędne podane w załączonym pliku, gdzie otrzyma Pani dalsze polecenia. MF podejmuje kroki w celu przeniesienia Pani rodziny ze strefy zagrożenia. Proszę zapewnić jej członków, że głównym przedmiotem naszej troski jest ich bezpieczeństwo.

*Z poważaniem,
Kontradmirał Shongwe*

Victor unosił się przy holostole na mostku, po raz drugi czytając tę wiadomość. Parsknął śmiechem i odwrócił się do Imali, matki oraz Arjuny.

– Głównym przedmiotem ich troski jest nasze bezpieczeństwo? Od kiedy? Czy komuś jeszcze oprócz mnie wydaje się to boleśnie śmieszne?

– Zauważ, kto to napisał – powiedziała Imala. – Albo raczej kto tego nie napisał. Polemarcha Ketkar zrezygnował albo został do tego zmuszony. Ten gość, Shongwe, jest jednym z dowódców terytorialnych tu, w Pasie Kuipera. Moim zdaniem to jest zmiana nie tylko dowództwa, lecz także polityki. Podejrzewam, że Polemarcha oberwał za narażenie nas na niebezpieczeństwo.

– Jeśli to jest zmiana polityki, to drobna – rzekła matka. – Nadal wydają nam rozkazy, jakby statek należał do nich. Nie zwrócili też dowództwa Arjunie. Jeszcze nas nie puścili wolno, więc udają, że dystansują się od polityki Polemarchy, ale tak naprawdę jej nie porzucają.

– Nie żałuję, że Polemarcha odszedł – przyznał Arjuna. – Nie lubiłem go.

– Ja też po nim nie płaczę – zgodziła się matka Victora.

– To dokąd nas posyłają? – zapytał Victor. – Co to są za współrzędne?

– Placówka MF – odpowiedziała Rena. – Cztery miesiące stąd. Interesujące jest jednak jej położenie. – Machnięciem ręki w holopolu wywołała obraz gwiazdnej mapy. – Nie lecimy do środka. Lecimy na zewnątrz, głębiej w Pas Kuipera, co dla mnie nie ma sensu. Jeśli podejmują kroki w celu przeniesienia nas ze strefy zagrożenia, to można by pomyśleć, że oznacza to przesunięcie nas do środka, w stronę pasa asteroid albo którejś ze stacji przy Jowiszu.

– Rzeczywiście. Po co wybierać w tym celu placówkę leżącą na obrzeżach? – zapytał Victor. – Jeśli nasz los tak ich porusza, to czemu po prostu nie dadzą nam spokoju? Niech przestaną wysyłać nas z jakimiś misjami.

– Wyraźnie mają dla nas jakieś inne zadanie – stwierdziła matka. – Tu jest napisane, że dalsze polecenia otrzymamy w placówce.

– Nie podoba mi się to – zgodził się z nimi Arjuna. – Mówią, że mają plany, ale ich nam nie wyjawiają. Jedynym powodem ukrywania informacji jest pewnie to, że zdają sobie sprawę, że te informacje nam się nie spodobają.

– Powinniśmy wrócić na tę asteroidę i sprawdzić, co jest na końcu tuneli – rzekł Victor. – To ważniejsze od udania się do jakiejś placówki.

Imała pokręciła głową.

– Na tę asteroidę nikt nie wróci. Nawet gdyby MF wydała nam taki rozkaz, my go nie wykonamy. Odbyliśmy naradę i podjęliśmy decyzję. Nigdy więcej nie zrobimy niczego, co mogłoby narazić tę

rodzinę na niebezpieczeństwo.

– Nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa – powiedział Victor. – Albo nie powinno go być. Dziura, którą zrobiłem statkiem, była zbyt duża, by się naprawiła. Atmosfera została wyssana na zewnątrz. Wszystkie żywe stworzenia zginęły z braku powietrza. W tunelach panuje teraz próżnia. Powinniśmy je móc swobodnie zbadać.

– Nie było tam tuneli wystarczająco dużych, żebyś się w nich zmieścił, Victorze – zauważył Arjuna. – Nawet te, do których się wcisnąłeś, rozdzielały się w końcu na mniejsze. Nie da się wejść głębiej.

– Nie zbadaliśmy całej asteroidy. Moglibyśmy znaleźć jakąś drogę do środka.

– Nie ma takiej możliwości – powtórzyła Imala. – Ta sprawa już nas nie dotyczy.

Victor nie sprzeczał się. Imala wciąż była na niego zła za to, że wszedł do kokonu, i gdyby nie odpuścił, tylko zwiększyłby panujące między nimi napięcie.

– To co powinniśmy zrobić? – zapytał. – Lecieć czy zignorować rozkazy?

– Nie możemy ich zignorować – rzekła matka. – Jesteście z Imalą członkami floty. Jeżeli nie posłuchamy, to osiągną was reperkusje. A nikt tego nie chce. Technicznie rzecz biorąc, statek wciąż należy do Międzynarodowej Floty. Jeżeli się postavimy, wszyscy możemy mieć kłopoty. Oskarżenie miałoby słabe podstawy, ale nie powinniśmy go ryzykować. Najlepiej będzie, jeśli uwierzymy, że MF zależy na naszym dobru. A poza tym musimy odnowić zapasy.

Pozostali wymienili spojrzenia.

– Nie zgłaszam sprzeciwu – powiedziała Imala. – Zgadzam się z Reną.

Arjuna zmarszczył brwi.

– To prawda, Rena ma rację. Nie mamy wyboru. Nie podoba mi się, że znaleźliśmy się w takim położeniu, ale trudno.

– Przejmiesz teraz dowództwo? – zapytała go Imala. – Skoro odszedł Polemarcha, to chyba upiecze się nam przeprowadzenie

zmiany tutaj. Tak będzie najlepiej dla załogi. Pod twoim dowództwem będzie spokojniejsza w tej niepewnej sytuacji.

– Nie – rzekł Arjuna. – Może nie chcesz tego przyznać, Imalo, ale jesteś dobrym kapitanem. Nie, daj mi skończyć. Jesteś rozjemczynią, a takich umiejętności ta załoga akurat w tej chwili potrzebuje. Stań tu i przekazywać rozkazy może każdy. Ale tylko ty ze swoim darem do prowadzenia negocjacji sprawiasz, że wszyscy są spokojni i czują się docenieni. To jest w tej chwili najważniejsze. Poza tym nie uważam, że powinniśmy wtrącać się do rozkazów MF. Kiedy dotrzemy do tej placówki, możemy dla zasady się postawić, ale podejrzewam, że do zmiany dojdzie w naturalny sposób. Ty i Victor jesteście teraz w MF. Prawdopodobnie wysłał was gdzie indziej.

– Oboje jesteście doskonałymi kapitanami – odezwała się matka. – Teraz jednak rodzina potrzebuje konsekwencji i jedności. Jeśli zwrócimy dowództwo Arjunie, niektórzy ujrzą w tym dowód podziału między nami. To doprowadzi do szeptów, braku zaufania i brania stron. Powinniśmy tego unikać. Powinnaś pozostać kapitanem, Imalo. W tej chwili wszyscy cię wspierają. A i tak nigdy nie podejmujesz decyzji bez konsultacji z Arjuną. Wiem, że nie lubisz tego stanowiska, ale sądzę, że będzie najlepiej, jeśli wszyscy pozostaną tam, gdzie są.

– Zgadza się – powiedział Victor.

Imalo przez chwilę się zastanawiała, a potem skinęła głową.

– Dobrze. Zbierzmy załogę i przeczytajmy jej rozkazy. Będę wdzięczna, jeśli podczas narady podzielicie się przed głosowaniem swoimi przemyśleniami.

Zebrali załogę. Kilka osób uważało, że powinni zerwać wszelkie więzi z MF i zignorować rozkazy, lecz zdecydowana większość posłuchała głosu rozsądku i opowiedziała się za udaniem się do placówki. Po kilku godzinach i wszystkich koniecznych przygotowaniach przyśpieszyli w stronę miejsca wyznaczonego przez współrzędne.

Kiedy w końcu osiągnęli stałą prędkość i można już było bezpiecznie wstać i poruszać się po statku, Victor udał się do ładowni, gdzie do podłogi był przytwierdzony formidzki mini-

statek. Kilka dni wcześniej, kiedy znajdował się jeszcze na zewnątrz, Victor zalał go krótkofalowym promieniowaniem ultrafioletowym, by wybić wszelkie mikroorganizmy albo bakterie, które mogły znajdować się na jego powierzchni. Następnie odciął silniki i zostawił je w próżni, a to, co pozostało ze statku, niewielką kabinę, wprowadził do ładowni. Od tego czasu razem z Magoosą kilka razy potraktowali ją innymi chemicznymi środkami dezynfekującymi i teraz całe pomieszczenie pachniało chlorem jak publiczna toaleta. Woń była tak silna, że Victor otrzymał od załogi sporo skarg, ale uznał, że statek powinien się dostać w ręce MF.

Podpłynął do kabiny i wyobraził sobie w niej pięciu Formidów opiekujących się ślimakami, pilotujących maszynę, wykonujących swoje obowiązki. Jak długo przebywali w tej ciasnocie? Rok? Dwa? Robaki chyba dostarczały im żywności, bo gdzie przechowywaliby zapasy jedzenia? Była też kwestia paliwa, ale Victor doszedł do wniosku, że po drodze lądowali na kometach i pozyskiwali z nich lód.

– Puk, puk.

Odwrócił się i zobaczył Imalę unoszącą się we włazie ministatku. Od czasu incydentu z asteroidą przepraszał ją wiele razy, mimo to istniało między nimi pewne skrępowanie, którego Victor nie umiał pokonać.

– Czy teraz tu przychodzisz medytować? – zapytała Imala.

– Można tak powiedzieć, chociaż nie wiem, czy to coś da. Teraz to tylko domysły. Nie rozumiem, jak mogli przebyć tak daleką drogę z tak małym wyposażeniem. Ledwie się tu mieści załoga, a na zapasy w ogóle nie ma miejsca. Jedyne duże zbiorniki, które odciąłem z silnikami, musiał zawierać paliwo.

– Załoga nie miała szafy. Latają na golasa. To zdecydowanie ułatwia pakowanie.

– Słuszna uwaga – rzekł Victor. – Oczywiście to oznacza, że są nudystami, co sprawia, że są jeszcze bardziej odrażający.

Imala uśmiechnęła się i wciągnęła do ministatku. Zatrzymała się przy jednym z siedlisk robaków i zajrzała do środka.

– Co to? – zapytała, pokazując na unoszącą się w nim krótką

rukę.

– Znaleźliśmy to tu z Goosą. Chyba używały ich te robaki wydobywające surowce. – Wziął rękę do ręki i obrócił ją. – Jest mniej więcej rozmiarów robaka. A otwory z obu jej końców są na tyle duże, żeby robak mógł wejść do niej z jednej strony i wyjść z drugiej.

– Tak, ale do czego byłaby mu ona potrzebna? Przebywa w kontrolowanym środowisku. Nie musi chronić się przed drapieżnikami.

– Może taki robak rośnie tu od postaci larwy. Może jest w stanie poruszać się po powierzchni skały dopiero wtedy, kiedy jego skóra odpowiednio stwardnieje... Może ta skorupa to taki mały inkubator. Taką mam w każdym razie teorię. Inna możliwość jest taka, że są to jakby skafandry kosmiczne. Widzisz ten osad przy obu końcach? Widziałem, jak taki lodowy robak wydzielał coś podobnego, gęstą śluzową substancję. Możliwe, że robak wpełza do środka i szczelnie zakrywa otwory z obu stron śluzową błoną. Jeśli ma we wnętrzościach wodę, to może mógłby wytwarzać sobie własny tlen. Więc to jest samowystarczalne środowisko.

– Tak, ale co mógłby robić w zamkniętej rurce? – zapytała Imala. – Nie może pracować ani przegryzać się przez skałę.

– Może ten śluz jest gęsty i plastyczny – powiedział Victor. – Tak gęsty, że mógłby szczelnie przywrzeć do skały. Tak jak nasze rękawy dokujące. Wtedy robak mógłby wysunąć pyszczek i zacząć przegryzać się przez skałę, nie wystawiając się na działanie kosmicznej próżni. W ten sam sposób mógłby przez tę błonę wydalać kulki. Tak więc robak mógłby zacząć wgłębiać się w skałę zaraz po wylądowaniu statku, jeszcze przed utkaniem tego wielkiego kokonu.

– Utkaniem?

– Od pewnego czasu wymieniam się e-mailami ze współpracownicą Lema Jukesa. To biochemiczka Wila. Bardzo chciała otrzymać próbkę materiału, z którego jest zrobiony kokon. Znalazłem jego maleńki kawałek na kadłubie ministatku, w miejscu, gdzie do niego przywierał. Umieściłem ten fragment w skanerze i wysłałem dane Wili.

– I co?

– Kokon jest zrobiony z mikrostruktur krzemu. Materiał na szkielet to krzemian. Błony są z silikonu z wplecionymi innymi pierwiastkami śladowymi. Te struktury wyglądają na żywe, ale nie ma w nich chemii podtrzymującej życie.

– To wyjaśnia, dlaczego znalazłeś takie ogromne ilości krzemu. Ale jak kokon mógł się tak szybko regenerować, skoro nie był żywy?

– Wila uważa, że odbudowywało go jakieś inne stworzenie.

– Jakie? Byłeś tam, Vico. Nie widziałeś żadnych stworzeń.

– Wila uważa, że może były za małe, by je zobaczyć. Jak nanomateriał. Mikroستworzenia osadzone w tej żywicy albo przytwierdzone do jej wewnętrznej ściany. Miliony mikroستworzeń. Musiałyby być beztlenowcami, ponieważ były zdolne do przeżycia w próżni. I musiałyby być bezpiecznie przytwierdzone do żywicy, żeby w razie powstania dziury nie zostały wysane w przestrzeń kosmiczną. W jakiś sposób te mikroskopijne robaczki zasklepiają te dziury. Pomyśl o plastrze miodu. Pszczoły budują te niewiarygodnie symetryczne sześciokątne komórki przy użyciu wyłącznie nektaru z kwiatów, który wchłaniają, częściowo trawią, a potem zwracają. Może te mikroستworzenia robią to samo.

– Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że miód to zasadniczo wymiociny pszczoł?

– Zasadniczo. Chodzi o to, że działalność tych formidzkich stworzeń wydaje się nam całkowicie obca, i taka jest. Dostrzegamy jednak zarazem echa tego zachowania u niektórych organizmów na Ziemi. Asteroida ma o wiele więcej surowca niż kwiat i jest on o wiele bardziej zróżnicowany. Może ci tkaczy kokonu używają mieszaniny krzemianów i tlenu wydobytego ze skały? Może bursztynowy kolor kokonu bierze się ze złota wpleczonego w jego strukturę. Albo może jego szkielet jest organiczny, a mikrorobaczki po prostu tkają na nim. Nie wiemy dokładnie, jak to jest robione, ale Wila mówi, że w żywicy widać wzór. Nam wydaje się on przypadkowy i z makroperspektywy taki jest. Lecz w mikroskali punkcik żywicy to w istocie tysiące

splecionych ze sobą pojedynczych pasemek związków. Takiego słowa używa Wila. Splecionych. Nazywa to wzorem konstrukcji filotycznej. Te stworzenia nie montują. One tkają i splatają. Wirują i przecinają nawzajem swoje ścieżki, ciągnąc za sobą mikroskopijne pasemka żywicy. Dla nas wygląda to tak, jakby żywica wyrastała z niczego, ale tkacze kokonu zjadają żywicę, która już się tam znajduje, a następnie wydalają ją i tkają, zasklepiając dziurę w kilka sekund. Tak w każdym razie wygląda teoria. My tych stworzeń nie widzieliśmy, nie wiemy więc, czy Wila ma rację.

Imała wzięła rurkę do ręki i przyjrzała się jej.

– Dlaczego Formidzi to robią, Vico?

– Dlatego chciałem dalej badać tę asteroidę. Moim zdaniem gdzieś tam znajduje się odpowiedź.

Imała pokręciła głową.

– Nie mogłam ci na to pozwolić. Kiedy tam wszedłeś, kiedy zostałeś zaatakowany... myślałam, że cię straciłam. Myślałam, że zginęła jedyna osoba, na której mi zależy. I to byłaby moja wina.

– Nieprawda. Wina była moja. To ja wszedłem do środka. To był mój wybór, wiem, że zły. Naraziłem na niebezpieczeństwo ciebie i wszystkich innych na statku. I po co? Żeby znaleźć jakieś robaki drążące skałę? Co nam to dało? Myślałem, że uda mi się dowiedzieć czegoś znaczącego, czegoś, co pomoże nam wygrać wojnę. Ale się myliłem. Przepraszam.

– Przeprosiłeś już dwadzieścia razy, Vico. Zostawmy to.

– Nie mogę. Gdyby kokon wybuchł, tobie też mógłby wyrządzić krzywdę. Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Żyję, Vico. Ty też. Usunęliśmy wodór z twoich płuc. Wszystko w porządku.

– Tak? Bo od kiedy wróciłem, wyczuwam między nami dystans. Jakbym coś rozbił. Jakby to, co przedtem czuliśmy do siebie, wyparowało. Teraz nasze relacje stały się oficjalne. Na twój widok czuję się niezręcznie. Nie wiem, czy powinienem cię objąć, czy podać ci rękę. Doprowadza mnie to do szaleństwa. Nie tak powinni się zachowywać narzeczeni. Czy się mylę?

Imała się zawahała.

– Nie, nie mylisz się.

– Czuję się, jakbym utracił jedyną rzecz, na której mi zależy, i nie wiem, co mam z tym zrobić. Wiem, że szlachetnie by było zerwać zaręczyny. Uwolnić cię od tego. Zdjąć z ciebie ten ciężar. Mam wrażenie, że jesteśmy jeszcze zaręczeni tylko dlatego, że jesteś zbyt uprzejma, żeby po prostu powiedzieć mi, że to koniec. Nie chcesz mnie urazić, więc pozwoliłaś, żeby to się ciągnęło. Za to cię kocham, Imalo. Jednym z powodów, które mnie do ciebie przyciągnęły, było twoje współczucie. Ale nie możesz za mnie wyjść ze współczucia. Nie można budować małżeństwa na takiej podstawie. Chyba chcę powiedzieć, że nie może tak dalej być, Imalo. Nie potrafię żyć w ten sposób. Wolę być twoim przyjacielem i widzieć cię szczęśliwą, niż być twoim narzeczonym i widzieć cię nieszczęśliwą. Chcę być źródłem radości w twoim życiu, a nie źródłem tego, co czujesz teraz – żalu, rozczarowania, współczucia. Nie wiem, co to jest, ale to na pewno nie jest małżeństwo. Jeśli chcesz to zakończyć, to w porządku.

– A więc chcesz, żeby to się skończyło?

– Chcę, żebyś była szczęśliwa, Imalo. Chcę, żebyś była pewna mężczyzny, którego poślubisz. Nie chcę, żeby w twoim umyśle istniał co do niego chociaż cień wątpliwości. I chcę, żeby skończyła się ta niezręczność między nami. Chcę, żebyśmy byli tacy jak przedtem. Żebyśmy się czuli w swoim towarzystwie swobodnie. Ten stan zawieszenia, w którym się teraz znajdujemy, po prostu mnie dobija. Jeżeli po to, żebyś była szczęśliwa, musimy zerwać zaręczyny i na nowo określić, czym dla siebie jesteśmy, to owszem, chcę to zrobić.

– Czy nadal mnie kochasz, Vico?

To pytanie go zaskoczyło. Jak ona może w to wątpić?

– Tak myślisz? – zapytał. – Że moje uczucia do ciebie się zmieniły?

– A zmieniły się?

– Imalo, jesteś najbystrzejszą, najmądrzejszą, najłagodniejszą, najrozsądniejszą osobą, jaką znam. Wszystko, co robisz, wszystko, co mówisz, jest słuszne. Jest to dokładnie to, co należy

zrobić i co należy powiedzieć. Zwykle zdaję sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy coś zrobisz i powiesz, bo ja czasami chcę powiedzieć i zrobić coś innego. Ale moje pomysły zawsze są gorsze od twoich. Twój osąd, przyjaźń i rady cenię sobie najbardziej. Nie mogę się doczekać rozmowy z tobą, bycia z tobą... Patrzę na ciebie z odległości, kiedy tylko nadarzy się okazja. Wzbudzasz we mnie zachwyty... jak nikt inny. Ciągłe mi się śnisz. Tysiąc razy myślałam o intymnych chwilach z tobą. Tak, przyznaję się do tego. Mówię sobie, że powinienem mieć dobre katolickie, dżentelmeńskie myśli, ale za każdym razem ponoszę porażkę. Chcę jeść z tobą posiłki, myć z tobą zęby, składać z tobą pranie. I jeśli to nie jest miłość, to nie wiem, co nią jest. Ale byłbym nieszczęśliwy, Imalo, byłbym bezgranicznie nieszczęśliwy, gdybyśmy byli ze sobą, a ja wiedziałbym, że nie czujesz tego samego.

Odłożyła rurkę i przez chwilę milczała.

– Czuję to samo, Vico. Ale czasami mam ochotę skrócić ci kark. Kiedy wszedłeś do tego kokonu, przeraziłam się jak nigdy przedtem. I bolało mnie, że zrobiłeś to wbrew moim błaganiom.

– Imalo...

– Nie, daj mi skończyć. Muszę to powiedzieć. To bolało. Poczułam się tak, jakbyś nie cenił tego, co ja chcę, co ja uważam za istotne. Wiem, że musiałeś to zrobić, ale poczułam się zdradzona. Wiem, że to niemądre i samolubne. Ale to prawda. Tak się poczułam. Zdradzona.

– Nie miałem racji, Imalo.

– Miałeś, Vico. Trzeba było to zrobić. Stawką są tu większe sprawy niż ty, ja czy ktokolwiek na tym statku. Ale ja tego tak nie widziałam. Nie wiem, czy nawet teraz to tak widzę, lecz to jest na pewno właściwe podejście. Więc nie masz racji, że ja zawsze ją mam. Wtedy... ujrzałam swoje życie bez ciebie... i przeraziło mnie to. Uświadomiłam sobie, że takiego życia nie chcę. Od tego czasu byłam nieprzystępna, ponieważ musiałam wszystko przetrwać sama. Musiałam przyjąć do wiadomości możliwość, że cię na tej wojnie stracę. A gdyby tak się stało, a ja nie byłabym twoją żoną, to żałowałabym tego chyba najbardziej w życiu.

– Co chcesz powiedzieć?

– Mówię, że chyba powinniśmy się pobrać. Jak najszybciej. Do tej placówki dotrzemy za cztery miesiące i wtedy zapewne mnie wyślą w jedną stronę, a ciebie w drugą. Chcę, żebyśmy się rozstali jako małżeństwo. Nie jako przyjaciele, którzy się kochają, nie jako narzeczeni, którzy być może kiedyś się pobiorą. Jako jedność.

Victor wpatrywał się w nią.

– Mówisz poważnie?

– Czy sprawiam wrażenie nieszczerzej?

– Nigdy nie sprawiasz wrażenia nieszczerzej. Tylko że... nie tego się spodziewałem. Pół minuty temu myślałem, że zrywamy. Teraz bierzemy ślub. Jesteś pewna? Miałaś wcześniej pewne zastrzeżenia. A ja od tamtej pory tylko je potęgowałem. Nie chcę, żebyśmy się pobrali dlatego, że tak jest praktycznie albo że MF wyznaczyła nam czas podróży. Chcę, żebyśmy się pobrali, bo oboje tego chcemy. Ta wojna się kiedyś skończy i wtedy będziesz skazana na moje towarzystwo. Czy tego chcesz?

Uśmiechnęła się.

– Tak. Tego chcę.

Victor roześmiał się i ją objął. Nie czuł najmniejszego skrępowania.

Uroczystość odbyła się tydzień później na mostku, bo w ładowni nie było miejsca. Matka uszyła Imali suknię, poświęcając na nią mnóstwo innych ubrań. Suknia miała w końcu pięć odcieni bieli, ale wyglądało to raczej na świadomy wybór stylu niż na konieczność. Victor nie miał garnitur, lecz mężczyźni zebrali najlepsze ubrania i zaproponowali mu to, co mieli – jeden spodnie, drugi kamizelkę, jeszcze inny parę lakierków i białą koszulę.

Przed samą uroczystością Victor zatrzymał się na korytarzu i spojrzał na swoje odbicie w stalowej ścianie.

– Jak wyglądam, Gooso?

Magoosa przyjrzał mu się okiem znawcy.

- Starzej. Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś się czesał. Włosy Victora były przyлизane na bok.
- Używam grzebienia, Gooso.
- Nie. Zwykle ściągasz włosy z tyłu gumką czy czymś takim, a potem denerwuje cię ich długość i golisz się na tyso.
- Imala nie chce pozwolić, żebym je ściął.
- Widzisz? Dlatego nigdy się nie ożenię. Nie chcę, żeby jakaś kobieta sprawowała nade mną kontrolę.

Victor się roześmiał.

- Imala nie sprawuje nade mną kontroli, Gooso.
- Chcą, żeby człowiek w to wierzył. Uwodzą go za pomocą swoich kobiecych sztuczek i zanim się zorientuje, owijają go sobie dookoła palca.
- Dzięki za specjalistyczną poradę, Romeo. Będę się pilnował. A propos owijania sobie czegoś dookoła palca... Masz obrączki?

Magoosa uniósł je do góry. Victor sam je zaprojektował. Były zrobione ze splecionych pasm żelaza, platyny i złota, wszystkich metali, które rodzina wydobywała z asteroid.

- Dobrze. Dzięki, że jesteś moim drużbą.

Magoosa wyprostował się z uśmiechem.

- Vico?

Victor odwrócił się i ujrzał za sobą Edimar. W jej oczach malowała się rozpacz.

- Wiem, że to nie najlepsza pora, ale mamy problem – powiedziała.

- Jaki problem?

– Asteroidy. Te zajęte przez Formidów. One się poruszają. No, porusza się kilka z nich. Te, o których wiemy i które śledzimy. Mniej więcej osiem. Formidzkie ministatki włączyły silniki i zepchnęły asteroidy z ich orbit.

- W jakim kierunku? – zapytał Victor.

Edimar pokręciła głową.

- Na razie trudno powiedzieć. Ale wszystkie poruszają się do środka. Prawdopodobnie tysiące innych też... Nie wiem.

Victor przez chwilę się zastanawiał.

- Chodź ze mną – powiedział w końcu.

Razem z Magoosą Edimar podążyła za nim do pomieszczeń dla samotnych kobiet, gdzie przygotowywała się Imala. Victor zastukał, drzwi uchyliła Sabad.

– Nie możesz tu wejść, Vico – stwierdziła. – Imala nie jest jeszcze gotowa.

– To jest dość pilne – powiedział Victor.

– W porządku, Sabad – rzekła Imala, szeroko otwierając drzwi.

Victor zapatrzył się na nią w zachwycie. Włosy miała upięte wysoko i poprzetykane kwiatami z ogrodu, który mieli na statku. Biała suknia pasowała na nią idealnie; jej rąbek był przywiązany do stóp Imali ozdobnymi sznureczkami, żeby nie unosiła się w zerowej grawitacji.

– Zobaczenie panny młodej przez pana młodego przed ślubem przynosi pecha – stwierdziła Sabad. – Chorobę, nieszczęście, śmierć. Sprowadzasz to na siebie i na swoje dzieci.

– Doceniam twoją troskę – powiedziała Imala i odwróciła się do Victora. – Co to za alarm?

Edimar wyjaśniła.

– Czy któraś z tych asteroid znajduje się blisko nas? – zapytała Imala.

– Nie, wszystkie są bardzo daleko.

– Czy MF o tym wie?

– Wątpię. Ta informacja krąży między obserwatorami w sieciach. Oni nie mają takiego dostępu do floty jak my.

– Umieść wszystko, co masz, na publicznym serwerze statku – zadecydowała Imala. – Ja pójdę do holostolu i przekażę wiadomość MF, a Victor Lemowi Jukesowi i Mazerowi.

– Nie możecie tego zrobić teraz – wtrąciła się Sabad. – Wszyscy czekają na mostku. Jesteśmy gotowi.

– Dla dobra świata mogą poczekać jeszcze odrobinę – powiedziała Imala. – Edimar, zawiadom, proszę, Arjunę, co się dzieje i że zanim zaczniemy, Victor i ja będziemy potrzebowali chwili przy holostole.

Edimar skinęła głową i odbiła się w stronę mostka.

– Przed holostolem macie się pobrać – rzekła Sabad. – Co zamierzacie robić? Wysyłać przy wszystkich e-maile przed

ślubem?

– To niekonwencjonalne, ale konieczne – odparła Imala. – Nie możemy dusić tej informacji.

– To także przyniesie nam szczęście – dodał Victor. – Wysłanie e-maili do MF przewycięży pech, na który zasłużyliśmy wcześniej. Zrównoważymy szale.

Sabad spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Dlaczego ktoś tak piękny i bystry jak Imala zadowala się kimś takim jak ty, jest dla mnie tajemnicą.

– Z ust mi to wyjął – powiedział Victor.

Sabad nabzdyczyła się i odpłynęła w stronę mostka. Magoosa i pozostali poszli w jej ślady, zostawiając Victora i Imalę samym sobie.

– Lepiej nie narażaj się Sabad – rzekła Imala.

– Robię to od lat. Ślicznie wyglądasz.

– Ty też nieźle. Chociaż raz się uczesałeś.

– Traktuję ten ślub dość poważnie. Wiedziałaś, że jest dezodorant dla mężczyzn?

– Cieszę się, że możesz żartować w takiej chwili. Jeżeli te asteroidy się poruszają, to co powinna zrobić MF – zniszczyć je czy sprawdzić, dokąd zmierzają?

– Jeżeli są ich tysiące, to MF i tak nie da rady ich zniszczyć. Jest ich za dużo, żeby je namierzyć.

Imala ujęła Victora za rękę i zajrzała mu w oczy.

– Kiedy dotrzemy do tej placówki, wszystko się zmieni, prawda?

– Już się zmieniło. – Delikatnie ścisnął jej dłoń. – A skoro się pobieramy, mogę ci wyjawić mały sekret. Zamierzałem ci to powiedzieć po uroczystości, ponieważ nie chciałem, żeby miało to wpływ na twoją decyzję. Ale właściwie mogę to zrobić już teraz.

Imala zrobiła nieufną minę.

– Jeżeli powiesz mi, że już jesteś żonaty, to kopnę cię kolanem tam, gdzie zaboli.

– Jesteśmy bardzo bogaci. Mazer sprzedał kilka moich projektów Juke Limited i Gungsu. Prowadziłem negocjacje przez

pośrednika. Umowy zostały w końcu zawarte.

Imała uniosła brew.

– Jak bogaci?

– Kiedy to się skończy, kupimy sobie własny statek i będziemy mieli tuzin dzieci.

– Tuzin to trochę zbyt ambitne, urodzony w kosmosie.

– No to jedenaścioro – powiedział Victor z uśmiechem. Podał jej ramię. – Pójdziemy wysłać z zażenowaniem kilka e-maili w obecności naszych gości, a potem się pobierzemy?

Wsunęła mu rękę pod ramię.

– Myślałam, że już nigdy nie zapytasz.

Rozdział 24

SZKOLENIE

Rozmowa między Hegemonem i Polemarchą Averbachem przeprowadzona za pomocą ansibla

Biuro Zamkniętych Archiwów Hegemonii,
Imbrium, Luna, 2118

UKKO: Jakież tropy?

AVERBACH: LX-40 odpowiedział na sygnał wzywania pomocy wysłany przez statek górniczy zarejestrowany na brazylijskiego wolnego górnika. Uważamy jednak, że to nie był ten Brazylijczyk. Ściągnęliśmy z dokumentacji jego zdjęcie. Ma ponad pięćdziesiątkę i brakuje mu jednej ręki. Nasz sprawca załatwił czterdziestu dwóch wyszkolonych żołnierzy. To był ktoś inny.

UKKO: Członek załogi?

AVERBACH: Może. Nie mamy jednak listy. Tam niechlujnie prowadzą dokumentację. Mnóstwo wydobywanych minerałów sprzedaje się pod stołem. Załoga otrzymuje płacę w ten sam sposób. Sprawcą mógłby być każdy.

UKKO: To ma bardzo złą prasę. To nam szkodzi.

AVERBACH: Zrobię z tego priorytet, kiedy tylko będę mógł sobie na to pozwolić. Na razie musimy wygrać wojnę.

Mazer zerknął na wyświetlacz czasu w nakładce. Martwił się, że spóźni się na prom. Od dwóch godzin stał w kolejce, żeby uzyskać holograficzne połączenie z Kim, a przed sobą miał jeszcze pięć osób. W porcie kosmicznym były trzy holobudki, ale oczywiście dwie z nich okazały się popsute. Mazer przyszedł

wcześnie rano, na kilka godzin przed odlotem promu, bez śniadania. Sądził, że będzie miał aż nadto czasu, ale na ten sam pomysł wpadli chyba wszyscy żołnierze odlatujący tego dnia z Luny. Kiedy dołączył do kolejki, ciągnęła się przez cały korytarz i podwójne drzwi do doków. Bał się, że mu się nie uda. Będzie musiał wyjść z niej akurat wtedy, kiedy zwolni się budka, i potem przez kilka tygodni nie będzie mógł skontaktować się z Kim, która z nerwów stanie się wrakiem człowieka.

Przez chwilę zastanawiał się nad wykorzystaniem swojego stopnia. Był kapitanem. Przed nim stali sami szeregowi. Ale nie, oni kochali swoje rodziny tak samo jak on. Znowu spojrzał na wyświetlacz. Powinien zrezygnować, ale kiedy właśnie miał zamiar to zrobić, z głośnika odezwało się ostatnie wezwanie do innego promu i wszyscy, którzy stali przed nim, pobiegli z przekleństwami na ustach do doków.

Holobudka się otworzyła. Mazer szybko wcisnął się do środka i zamknął drzwi. Komputer poinformował go, że ma pięć minut na połączenie. Mazer wsunął twarz do holopola i wpisał dane połączenia. Kim odpowiedziała po pierwszym sygnale. Miał nadzieję, że ją zobaczy, ale słyszał tylko jej głos – nie było jej przy holopolu.

– To ja – powiedział.

– Gdzie jesteś?

W jej głosie panika walczyła o lepsze z ulgą.

– W porcie kosmicznym na Lunie koło Imbrium. Mój prom odlatuje za kilka minut. Wysyłają mnie statkiem towarowym do ośrodka szkoleniowego w pobliżu Jowisza. Dali mi na tę rozmowę tylko kilka minut.

W górnym prawym rogu holopola licznik odliczał sekundy.

– Jowisz... – Kim wypowiedziała to słowo, jakby to był wyrok dożywocia.

– Mogli mnie wysłać znacznie dalej.

– Czy tylko tyle wolno ci powiedzieć?

– Nie mogę powiedzieć wiele poza tym, że wydarzy się coś wielkiego. MF podejmuje ogromne ryzyko. Podejrzewam, że wkrótce zostanie to ogłoszone.

– Zaatakujemy formidzkie okręty powyżej i poniżej ekliptyki – rzekła Kim. – To o to chodzi, tak? Media już spekulują na ten temat.

– Ta rozmowa jest prawdopodobnie monitorowana – zauważył Mazer. – Mogę tylko powiedzieć, że nie lecę z nimi. Prawdopodobnie mam najbezpieczniejszy przydział w całej flocie.

Kim przez chwilę milczała, a kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiało wzruszenie:

– Dzięki Bogu. Kiedy nie wróciłeś do domu... I to, co mówią w wiadomościach... Pomyślałam... Nie wiedziałam, co myśleć. Jak się tam znalazłeś? W jednej chwili planujemy kolację, a w następnej już cię nie ma.

Powiedział jej tyle, ile mógł.

– Przepraszam – zakończył. – Skontaktowałbym się wcześniej, gdyby mi pozwolono.

– Nie winię ciebie, Maze – powiedziała Kim już spokojnym głosem. – Winię bezdusznych kretyńskich idiotów, którzy rządzą MF i którzy za nic mają rodziny i małżonków. Mam nadzieję, że ta rozmowa rzeczywiście jest monitorowana i że moje słowa zostaną zarejestrowane.

Mazer się uśmiechnął.

– Nie jesteś pierwsza, która to mówi.

– A co z asteroidami? Teraz się poruszają. Co się z tym robi? Będziesz brał w tym udział?

– Nie mogę powiedzieć. – To właściwie było potwierdzenie. – Natomiast mogę powiedzieć, że na moim statku będzie prawie setka żołnierzy sił specjalnych. Dwaj z nich to Kaufman i Rimas, którzy stanowili część mojego zespołu w WYBABiM-ie. Jest też wiele innych znanych mi osób z WYBABiM-u. Co oznacza, że prawdopodobnie znalazłbym się tu nawet bez sądu wojskowego.

– Sprawdził godzinę. – Ta rozmowa zostanie przerwana za dwie minuty. Chciałbym zobaczyć twoją twarz.

– Lepiej nie. Zostałam wezwana do szpitala w środku nocy. Wyglądam okropnie.

– To niemożliwe.

Przez chwilę milczała.

– Wróć do mnie, Mazerze Rackhamie.

– Wrócę. I wtedy zrobimy kilkoro pucołowatych bobasów, które będą wyglądać jak ty i ja. Będą też płakać po nocach, ulewać na nasze ubrania i na wszystko siusiać, i będzie cudownie.

– Czuję się dobrze – powiedziała Kim. – Chcę, żebyś o tym wiedział. Nic mi nie będzie. Udam się do Nowej Zelandii. Albo do Stanów, do rodziców. Jeszcze się nie zdecydowałam. Ale nic mi nie będzie.

– Zostało nam jeszcze tylko czterdzieści sekund – powiedział Mazer.

– Zaśpiewaj mi – poprosiła.

Miała na myśli jakąś maoryską pieśń z jego dzieciństwa, pieśń mityczną, wojenną albo myśliwską. Mazer znał ich wiele. Nauczył się ich od matki, zanim zabrał ją przedwcześnie rak. Kim nie rozumiała słów, a Mazer nie umiał za bardzo śpiewać, ale potrafił zachować melodię, a te melodie zawsze uspokajały Kim. Wyobraził ją sobie stojącą w izbie przyjęć w szpitalu ze słuchawką w uchu osłanianym dłonią, żeby stłumić otaczający ją hałas. Obok niej przechodzili ludzie: lekarze, pielęgniarki, pacjenci, dzieci, mężczyźni, kobiety. Wszyscy na razie bezpieczni, bo zajmie się nimi i okaże im uprzejmość Kim Rackham.

Zaśpiewał jej pieśń uzdrawiania, pieśń śpiewaną nad ranami wojownika. Pieśń, która wzywała mauri – siłę życiową – wszystkich żywych istot otaczających Kim, by zespoliła się z jej siłą. Śpiewał cicho – nie dlatego, że bał się, że ktoś go podsłucha, ale dlatego, że była to pieśń szacunku, oddająca cześć wojownikowi, który tyle poświęcił.

Sekundy uciekały zbyt szybko. Mazer przerwał śpiew po jednej zwrotce.

– Teraz, w tej chwili kocham cię bardziej niż kiedykolwiek – powiedział.

– Oczywiście.

Uśmiechnął się. Zawsze tak odpowiadała, kiedy mówił, że ją kocha.

– Ja też cię kocham, Mazerze. Każdej chwili, każdego dnia.

Wtedy sekundy dotarły do zera i holo się rozłączyło.

Rozzłościła go ta zimna nieodwracalność. Dał MF tak wiele, a w rewanżu dostał kilka minut rozmowy z żoną. Co za hojność. Ale odepchnął tę myśl. Niechęć do floty nic mu nie da.

Wyszedł z budki i pośpieszył do swojego promu. Inni żołnierze już byli na pokładzie i zapięli pasy. Bingwen i młodzi kadeci siedzieli z tyłu. Mazer znalazł miejsce z przodu i po chwili prom wystartował. Lot trwał krótko. Prom połączył się ze statkiem towarowym, który czekał tuż poza studnią grawitacyjną Luny. Mazer i pozostali przepłynęli rękawem dokującym po swoje plecaki. Jakiś żołnierz przeskanował nadgarstek Mazera i przydzielił mu kajutę. Miała rozmiary szafy. Mazer upuścił plecak na podłogę i wywołał plan statku. Jeśli miał szkolić kadetów, to będą potrzebowali dużej otwartej przestrzeni, a on powinien ją od razu zająć.

Statek miał dziewięć ładowni, ale według komputera pokładowego były one w siedemdziesięciu procentach zapełnione. Resztę stanowiły zatłoczone kwatery i małe biura. Było jedno pomieszczenie do ćwiczeń, ale zaprojektowano je dla kilku osób i stu żołnierzy obecnych na pokładzie statku zajmowałoby je bez przerwy. Jak miał prowadzić szkolenie bez odpowiedniego miejsca?

Rozległo się stukanie do drzwi kajuty. Mazer otworzył je i ku swemu zaskoczeniu zobaczył uśmiechniętego pułkownika Waganowa. Tylko że insygnia na jego mundurze były insygniami kontradmirała.

– Kazałem się statkowi zawiadomić o twoim przybyciu – rzekł Waganow. – Chodź ze mną.

Miał na sobie magnetyczne nagolenice i odwrócił się od drzwi, nie dając Mazerowi możliwości sprzeciwu. Mazer uaktywnił swoje nagolenice i ruszył za Waganowem. Po włączeniu nagolenice przyciągały stopy do podłogi, co symulowało grawitację. Przeszli tak razem kawałek korytarzem do niewielkiej niszy z wyświetlanym obrazem przestrzeni kosmicznej.

– Zapewne jesteś zaskoczony widokiem mojej osoby – odezwał

się Waganow.

Bardziej przerażony, pomyślał Mazer, ale zachował kamienną twarz.

– Zakładałem, że nadal jest pan dyrektorem w WYBABiM-ie, panie kontradmirał.

Waganow machnął lekceważąco ręką.

– Stanowisko bez perspektyw. Może dobre miejsce w czasie pokoju, ale podczas wojny zapomniany zakątek świata. Kiedy zaczęto odbierać mi najlepszych żołnierzy i sprowadzać rezerwę, powiedziałem Polemarsze i Strategosowi, że lepiej przysłużyłbym się MF jako dowódca okrętu wojennego. Nikt przecież nie pamięta urzędników. A tym stawałem się w WYBABiM-ie, wychwalanym urzędnikiem. W tej chwili w Pasie buduje się mój krążownik. To kawał okrętu. Dostałem nawet awans, jak widzisz. Ale nie martw się, nie podlegasz mi. Pułkownik Li podlega kontradmirałowi Zembassiemu. Ja tu jestem tylko pasażerem.

Mazer milczał.

– Podejrzewam, że gardzisz mną za to, co ci się przytrafiło – rzekł Waganow. – Ten sąd wojskowy, adwokaci, oskarżenia... Paskudna sprawa.

– Owszem, to było paskudne.

– Pominąłeś hierarchię służbową, Mazerze. Przesłałeś poufne informacje na forum niższych oficerów, którzy nie powinni byli ich otrzymać. Nie zostawiłeś mi wyboru. Ale chyba powinienem ci za to podziękować. Musiałem przekazać te informacje zwierzchnikom, dzięki czemu zyskałem nieco punktów w DoCent i co w dużej mierze przyczyniło się do mojego awansu. – Uśmiechnął się. – Wiem, że źle cię oceniłem. Sądziłem, że usiłujesz mnie zniszczyć, a w rzeczywistości ty usiłowałeś mi pomóc.

– Myli się pan, panie kontradmirał. Nie usiłowałam pomóc panu. Usiłowałam pomóc ludzkiej rasie.

Waganow się uśmiechnął.

– Nie możesz mnie jednak winić za sceptycyzm. Bywałem już nabierany i upokarzany. To uczy ostrożności.

Mazer milczał.

– Po twoim odlocie poszukałem trochę informacji o tobie – kontakty z właściwymi ludźmi dają człowiekowi dostęp do tajnych informacji... I co znalazłem? Mazer Rackham służył w Policyjnym Oddziale Polowym i podczas ostatniej wojny odegrał kluczową rolę w pokonaniu Formidów. Nie powiedziałeś mi o tym. Gdybyś postępował ze mną otwarcie, nasze relacje mogłyby wyglądać inaczej.

Mazer milczał. Waganow się roześmiał.

– Nawet teraz zasznurowałeś usta. Uważam to za godne podziwu. Paplanina zatonięcia okrętów przyczyna. Albo w naszym wypadku – ich rozsądzenia w próżni.

Mazer tylko na niego patrzył.

– Twój nowy dowódca, ten chiński pułkownik Li... Co o nim myślisz? – zapytał Waganow.

– Myślę, że jest moim dowódcą i że jestem mu winien służbę i szacunek – odparł Mazer.

Waganow znowu się roześmiał.

– Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz poważnie, Mazerze. To u ciebie takie ujmujące. Gdybyś mnie zapytał, to powiedziałbym, że pułkownik Li jest niebezpiecznym człowiekiem. Jedynym powodem, dla którego się tu znajduje i ma taką szarżę, jest to, że Chińczycy zgodzili się dać nam żołnierzy pod warunkiem, że przyjmimy do MF pewną liczbę ich wyższych oficerów. Li znajdował się na tej liście od początku. Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie nosiłby munduru.

– Gdyby to od pana zależało, ja też bym go nie nosił – rzekł Mazer. – To chyba także ze mnie czyni niebezpiecznego człowieka.

Waganow parsknął śmiechem.

– Wcale nie jesteś niebezpieczny. Jesteś idealistą. Staniesz się niebezpieczny, gdy w twojej głowie w końcu zakorzeni się rzeczywistość... kiedy zobaczysz tyle, ile ja... Na razie jesteś po prostu żołnierzem, który wykonuje zadanie. Dlatego tu przyszedłem – żeby cię ostrzec. Jak oficer oficera. Li nie ma w MF przyszłości, a w każdym razie nie po zakończeniu tej drugiej

wojny. Takie kariery załamują się prędzej czy później. Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę tę jego idiotyczną taktykę szkolenia jedenasto- i dwunastolatków do walki w przestrzeni kosmicznej.

– Waganow się roześmiał. – Chyba nie spodziewa się, że ktoś go potraktuje poważnie.

– A jednak – powiedział Mazer. – Inaczej jego kadeci nie znaleźliby się na pokładzie tego statku.

– Wiem, dlaczego tu są. Tylko drobni ludzie mieszczą się w tunelach w tych asteroidach, a azjatyckie dzieci są najdrobniejsze. Czy zostały już przeszkolone do walki w tunelach?

– Nie w zerowej grawitacji – odpowiedział Mazer. – To moje zadanie.

– Rozumiem. Cóż, jesteś jednym z najlepszych dowódców, jakich znam. Ci chłopcy są w dobrych rękach. Muszę jednak powiedzieć, że wyznaczenie ci roli opiekuna do dzieci to zniewaga dla człowieka o twoich umiejętnościach i szarży. Zostałeś stworzony do dowodzenia żołnierzami, Mazerze, a nie przedszkolakami. To obraza. Jesteś zapewne wściekły. Ja tego nie zniosę. Zamierzam ci pomóc.

– Jak?

– Jestem w dobrych stosunkach z Polemarchą i Strategosem, a także z kilkoma kontradmirałami floty. Mogłbym się za tobą wstawić i może nawet załatwić ci przeniesienie na okręt wojenny. Nie na jakieś pozbawione życia stanowisko w nawigacji czy logistyce, ale dające szansę na udział w walkach, działaniach, do jakich zostałeś stworzony.

– A czego by się pan spodziewał w zamian? – zapytał Mazer.

– Nie dobijamy tu żadnego nieoficjalnego targu, Mazerze. Jesteśmy po prostu dwoma oficerami, którzy pomagają sobie nawzajem.

– Oczywiście. A jak dokładnie miałbym panu pomóc?

– Informacjami. Chcę mieć oko na pułkownika Li i jego przełożonego, kontradmirała Zembassiego. Znajdziesz się w ich wewnętrznym kręgu. Zembassiemu nie można ufać. Przed pierwszą wojną przewodził zamachowi stanu w Liberii.

Wiedziałeś o tym? Odbywało się to w imię demokracji, ale on jest tylko oportunistą udającym człowieka z ludu. To żaden władzy biurokrata. Tacy ludzie nie powinni dowodzić.

– A więc chce pan, żebym go dla pana szpiegował?

– W MF jest pełno zgniłych jabłek, Mazerze. Jeśli nie będziemy ich obserwować, to doprowadzą nas do upadku.

Ironia tego stwierdzenia sprawiła, że Mazer niemal się roześmiał.

– Przepraszam, panie kontradmirał. Nie mogę panu pomóc. Zostałem wyszkolony, by nie pomijać hierarchii służbowej.

Zasalutował i odszedł.

– Nie pozwoliłem ci odejść, Mazerze! – zawołał Waganow.

Mazer odwrócił się i stanął na baczność ze wzrokiem skierowanym przed siebie, czekając na pozwolenie odejścia. Waganow ruszył w przeciwnym kierunku bez słowa. Kiedy zniknął Mazerowi z oczu, ten udał się na poszukiwanie Li. Znalazł go w hangarze dokowania, gdzie nadzorował dostarczanie sprzętu dla kadetów.

– Zeszłego wieczoru rozmawiałem z kilkoma żołnierzami – powiedział Mazer. – Większość ludzi na pokładzie tego statku nie przeszła żadnego szkolenia do walki w zerowej grawitacji.

– Dlatego wieziemy ich do ObGry – rzekł Li.

– Tak, ale podejrzewam, że po drodze natrafimy na asteroidy, panie pułkowniku. Jeśli tak się stanie, ktoś będzie musiał wejść do tuneli. Ci ludzie nie są do tego gotowi. Poruszanie się w tunelach przy zerowej grawitacji wymaga wielu godzin intensywnego szkolenia. Proponuję, żebyśmy zaczęli to szkolenie już teraz, tutaj, na statku. Moglibyśmy zacząć od razu po osiągnięciu stałej prędkości. Potrzebowalibyśmy tylko przestrzeni do ćwiczeń.

– Wątpię, czy znajdziesz odpowiednio duże pomieszczenie – powiedział Li. – Mamy prawie pełny ładunek.

– Ten statek ma dziewięć ładowni. Moglibyśmy przenieść zawartość jednej z nich do pozostałych ośmiu i jakoś ją tam upchnąć.

– Jeśli otrzymam zgodę. Co masz na myśli?

– Musimy odtworzyć tunele wydrążone w asteroidzie – rzekł Mazer. – Nie możemy wejść do tego środowiska, jeżeli nie opanujemy poruszania się w nim i wykonywania konkretnych zadań. Będziemy także potrzebowali dostępu do warsztatu mechanicznego statku i przynajmniej dwóch oddanych mechaników.

– Po co? Do sprzętu? Już mamy skafandry i wyposażenie.

– To jest nowy sprzęt – wyjaśnił Mazer. – W tej chwili Lem Jukes i Gungsu razem z Victorem Delgado udoskonalają jego projekty. Będziemy więc musieli utrzymywać kontakty z nimi wszystkimi. A nasi mechanicy powinni być gotowi do opracowywania kolejnych wersji prototypów.

– Jeśli pojawi się propozycja nowego urządzenia, to czy nie zostanie ona przekazana WYBABiM-owi w celu przeprowadzenia testów? Istnieje pewna procedura, Mazerze.

– Nieznośnie powolna i nieskuteczna. Ja to wiem. Widziałem to osobiście. Jeśli przekazemy ten sprzęt WYBABiM-owi, to ugrzęźnie w bagnie biurokracji. Potrzebujemy tylko kilku rodzajów specjalistycznego wyposażenia. Część będzie dla żołnierzy, a część dla kadetów. Jeśli sprzęt okaże się skuteczny tu na statku podczas szkolenia, to waga tych ustaleń będzie taka sama jak w wypadku testu przeprowadzanego w WYBABiM-ie. Poza tym musimy wziąć pod uwagę tajny charakter naszych działań. Gdyby wyciekła informacja, że WYBABiM testuje egzoskafandry w dziecięcych rozmiarach, prasa przywaliłaby MF pałką.

– Słuszna uwaga. Dwaj mechanicy, mówisz?

– Tylu, ilu się da – rzekł Mazer. – Przynajmniej dwóch. Lepiej trzech albo czterech. I inżynier.

– Porozmawiam z kontradmirałem Zembassim i zobaczę, czy da się sprowadzić więcej ludzi z Luny. Nie spodoba mu się to, bo opóźniłoby to nasz start.

– Kiedy wystartujemy, nie będziemy mogli zawrócić. Jeśli nie weźmiemy czegoś ze sobą, to nie będziemy tego mieli.

– Coś jeszcze? – zapytał Li.

– Strefą naszych walk nie będą tylko tunele. Victor Delgado

walczył też z Formidami na powierzchni asteroidy. Proponuję, żebyśmy zaczęli także szkolenie ludzi do walki w zerowej grawitacji w otwartych przestrzeniach. Odbijanie się, lądowanie, posługiwanie się bronią... To są inne umiejętności od tych potrzebnych do poruszania się w tunelu. Latanie w otwartej przestrzeni powoduje dezorientację. Wymaga więc mnóstwa ćwiczeń i dużej koordynacji.

– Już przejmujesz jedną z ładowni do symulacji tuneli – powiedział Li. – Nie ma miejsca na kolejne ćwiczenia w zerowej grawitacji. Możemy zrobić albo jedno, albo drugie.

– Może nie musimy tego robić wewnątrz statku – zauważył Mazer.

– Z pewnością nie można tego robić na zewnątrz.

– Dlaczego? Kiedy statek przestanie przyśpieszać i zacznie poruszać się ze stałą prędkością, będziemy mogli bezpiecznie coś zbudować. Konstrukcja nie byłaby sześcianem ze ścian, lecz z prętów, czymś w rodzaju klatki. W ten sposób nikt unoszący się w próżni nie odleci w pustkę, lecz zatrzyma się na lekkiej siatce. Moglibyśmy ćwiczyć w trakcie lotu różne zadania taktyczne i manewry.

– Zbudować ogromną klatkę na zewnątrz statku? Chyba nie mówisz poważnie.

– Nie byłoby przyśpieszenia, więc żołnierze zachowywaliby stałą pozycję w stosunku do siatki, chyba że sami by się poruszyli dzięki ruchom rąk i nóg. Pomysł nie jest taki karkołomny, jak się wydaje. Ten lot potrwa przynajmniej siedem miesięcy, panie pułkowniku. Czy pozwolimy, by cały ten czas minął żołnierzom bez żadnych ćwiczeń fizycznych, a zwłaszcza ćwiczeń, które może nam się przydadzą, nim dotrzemy do celu?

– A skąd weźmiemy materiały na tę hipotetyczną klatkę szkoleniową?

– Teraz zbierzemy złom na Lunie, a po starcie i osiągnięciu stałej prędkości zbudujemy klatkę z pomocą naszych inżynierów, mechaników i ochotników.

Li zastanowił się nad tym pomysłem.

– Czterech mechaników nie wystarczy.

– Nie, jeśli chcemy ją dobrze zbudować – stwierdził Mazer. – Do tego potrzebowalibyśmy przynajmniej dwunastu.

– Coraz bardziej opóźniasz nasz start.

– Czas możemy z łatwością nadrobić, jeżeli będziemy przyspieszać nieco szybciej. Przymocujemy złom do kadłuba i możemy lecieć, a montować klatkę będziemy później.

– A kto zaprojektuje tę klatkę szkoleniową?

– Victor Delgado. Przy mojej pomocy. I pańskiej, jeżeli zechce pan wziąć w tym udział. Żołnierze mogliby prowadzić w niej walki treningowe.

– Posługując się jaką bronią? – zapytał Li.

– Ćwiczebną. Slaserami o niskiej mocy, które nie wyrządzą krzywdy. I w obcisłych kombinezonach, które nie będą zahaczać o przeszkody i utrudniać ruchów.

– A co z promieniowaniem kosmicznym?

– Zdaję się na Victora oraz inżynierów. Mamy odpowiednią ochronę w naszych skafandrach do spacerów w przestrzeni kosmicznej. To mogłaby być prosta kwestia zaadaptowania projektu i wykonania go.

– Widzę, że masz to już przemyślane – rzekł Li.

– Formidzi umieją manewrować w zerowej grawitacji, panie pułkowniku. My nie umiemy. To stawia nas na przegranej pozycji.

Li przez chwilę milczał.

– Zaczynam się zastanawiać, czy sprowadzenie cię na pokład było dobrym posunięciem. Nowe pomysły działają kontradmirałowi na nerwy.

– Wojen nie wygrywa się dzięki starym pomysłom – stwierdził Mazer.

Li westchnął.

– Coś jeszcze?

– Drobną prośba. Nie nazywajmy tej konstrukcji klatką szkoleniową. Słowo „szkolenie” budzi skojarzenia ze żmudnymi ćwiczeniami i reżimem. Na jego dźwięk żołnierze jęczą. Ci ludzie wstąpili do MF, żeby walczyć, panie pułkowniku. Nazwijmy ją salą walki.

ROZWIKŁANIE

Do: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Od: lem.jukes@juke.net

Temat: Wojny i śluby

Vico

Udam, że dostałem zawiadomienie o ślubie. Niech się Wam urodzi dużo dzieci tak przystojnych jak ja.

Informację, którą mi przysłałeś, przekazałem ojcu. Niewątpliwie on przekazał ją nowemu Polemarsze i Strategosowi. Odwdzięczę Ci się własnymi informacjami. Polemarcha podzielił flotę na trzy eskadry. Dwie zaatakują formidzkie okręty znajdujące się powyżej i poniżej ekliptyki. Trzecia, największa, będzie się trzymać z tyłu, by chronić Ziemię i zająć się asteroidami zajętyymi przez Formidów. Zanim odlatujące okręty MF połączą się na zewnątrz ekliptyki i udadzą się do wyznaczonych miejsc, upłynie rok, a następne pół roku, zanim dotrą do okrętów wroga. Nadal nie zdecydowałem, czy ta cała operacja jest znakomita, czy źle wymyślona.

Jest jedna dobra wiadomość: asteroidy łatwo wybuchają. Jeden ze statków Juke strzelił do takiej i wodorowo-tlenowa atmosfera natychmiast eksplodowała. Jednakże, ku naszemu zdumieniu, zaledwie po kilku dniach skorupa okrywająca asteroidę zaczęła odrastać. Biorąc pod uwagę szybkość odrastania, powinna w całości pokryć asteroidę za dwa tygodnie. Nie wiem, co o tym sądzić. Wila uważa, że tkacze kokonu muszą być niewiarygodnie odporni i nadzwyczaj szybko się mnoż.

Musisz także wiedzieć, że liczba okrętów floty, które mają zlikwidować te asteroidy, jest rozpaczliwie niewystarczająca. Już przedtem mieliśmy słabą obronę. Teraz jest jeszcze gorzej.

Uważaj na siebie.

Lem

Lem wsiadł do swojego prywatnego promu i przypiął się do jednego z eleganckich skórzanych foteli w głównej kabinie. Drugim pasażerem na pokładzie była Benyawe, która już siedziała na sąsiednim miejscu gotowa do startu. Pilot poderwał prom i po chwili opuścili studnię grawitacyjną Luny. Lem obłożył sobie nogi i tułów kocami, żeby mu było ciepło w zerowej grawitacji, a następnie sięgnął do znajdującego się z prawej strony barku i przyrządził sobie drinka z łagodnym środkiem uspokajającym.

– Nie musiałeś lecieć – odezwała się Benyawe. – Masz przecież tysiąc innych problemów do rozwiązania.

– Wymyślenie sposobu na przebicie formidzkiego poszycia zawsze było moim priorytetem – powiedział Lem. – To oraz znalezienie najlepszych babeczek na Lunie. Przypadkiem trafiłem na nową cukiernię na Starym Mieście, w której czerwony tort aksamitny robią lekki jak chmurka. Kiedy wygramy tę wojnę, zaprowadzę cię tam. Nawet zapłacę.

– Wyeliminowałam cukier z diety.

– A, więc teraz praktykujesz samoudrękę. Ja też. Wziąłem się za biczowanie. Blizny swędzą, ale rozdzieranie ciała to świetna zabawa. – Przerwał na chwilę. – Daj spokój, nawet się nie uśmiechasz.

– Bo twoje żarty nie są śmieszne.

– Szczerzy przyjaciele są najlepsi. Proszę. Zrobiłem ci drinka. Pomoże ci zasnąć.

– Nie, dziękuję.

– To długi lot, Benyawe. A ty wyglądasz na wykończoną. Wątpię, czy ostatnio w ogóle spałaś. Możesz teraz trochę odpocząć, póki się da.

Lecieli do Pierścieni. Benyawe i Wila od ponad miesiąca pracowały nad nową wersją nanochmury i w końcu były gotowe do przeprowadzenia testu polowego.

– Nigdy nie mów kobiecie, że wygląda na wykończoną – rzekła Benyawe.

– Masz przekrwione oczy, rozczochrane włosy, jesteś ledwie przytomna. Jak byś nazwała taki stan?

– Znużeniem – odparła Benyawe, usiłując przegarnąć włosy ręką.

Podał jej szczelnie zamknięty kubeczek. Przez chwilę się w niego wpatrywała.

– A jeśli nie zadziała? – zapytała. – To znaczy nanochmura. Całkowicie ją zmodyfikowaliśmy. W niczym nie przypomina tego, co widziałeś ostatnim razem. Ma zupełnie inną funkcję.

– Nie wolno ci wątpić – napomniął ją Lem. – To moje zadanie. Ja tu jestem sceptykiem. Ty odgrywasz rolę mądrej i doświadczonej optymistki.

– Nigdy też nie nazywaj kobiety doświadczoną. To tak, jakbyś nazwał ją starą.

– Jesteś po sześćdziesiątce, Benyawe. Jak na kobietę po sześćdziesiątce jesteś olśniewająca, ale jesteś doświadczona. Pogódź się z tym. I odpręż. Nanochmura zadziała.

– Dopilnowałeś, żeby ją załadowano?

– Sam sprawdziłem ładownię. Mamy pięć ogromnych skrzyń wypełnionych milionami nieaktywnych nanobotów. Jeśli nie ożyją i nie rozłożą skrzyń i promu, wszystko powinno być w porządku. Aha, to był żart. Ale... one nie ożyją, prawda?

– Wszystko jest w porządku.

– I o to chodzi. Już słyszę w twoim głosie doświadczoną optymistkę. Chociaż mogłabyś popracować nad sposobem wygłaszania kwestii. Nie wczuwasz się w swoją rolę.

– Od tego zależy wszystko, Lemie. Nie mamy za wiele czasu.

To była prawda. Dwie eskadry floty już odleciały w stronę formidzkich okrętów znajdujących się powyżej i poniżej ekliptyki. Okręty floty natomiast bardzo się nie oddaliły. Były ogromne i przyśpieszały powoli. W razie potrzeby mogłyby je dogonić mniejsze szybkościaki załadowane różnymi zapasami, by je dostarczyć. Lecz to okno niedługo się zamknie. Wkrótce okręty floty będą się poruszać zbyt prędko, by je dogonić.

– Uzbroiliśmy flotę w pierwotną nanochmurę – powiedział Lem.

– Mają też zakłócacze grawitacji z Gungsu. Nie zostawiliśmy ich

bezbronnych. Jeśli możemy im dostarczyć coś lepszego, to świetnie. Jeśli nie, i tak mają dość duże szanse. Ale jeżeli poczujesz się od tego lepiej, możemy udawać, że to ja wątpię, a ty usiłujesz mnie uspokoić. Spróbujmy.

– Już to robiliśmy. Ostatnim razem miałeś szklisty wzrok.

– Była druga nad ranem. To się nie liczy. No, spróbujmy. Jeszcze nie zażyłem środka uspokajającego. Jeżeli zacznę zasypiać, zaśpiewaj albo pomachaj dłońmi.

– Dobrze.

Lem natychmiast oparł głowę na zagłówek i głośno zachrapał. Po chwili otworzył jedno oko i zerknął na Benyawę.

– Nareszcie. Uśmiech na twarzy Noloi Benyawę o żelaznym sercu. A więc jednak nie jesteś bezduszną...

– Usiłujesz mnie rozbawić, Lemie, ale tylko mnie irytujesz.

– Mimo to wciąż się uśmiechasz. No, dalej. Nanochmura dwa zero. Słucham. Spróbuję znaleźć w niej jakieś wady.

– Właściwie to jest bardziej nanochmura wersja siedem zero. Ale to nieważne. Wyobraź sobie linę, grubą linę wspinaczkową.

– Lina. Gruba. Jest.

Znowu odrzucił głowę do tyłu i zaczął chrapać.

– Bawimy się czy możemy zachowywać się jak dorośli?

– Przepraszam. Nie mogłem się oprzeć. Słucham. To jest ważne. Mów dalej.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

– Ta gruba lina jest spleciona ze szpagatu, który jest spleciony z nitek, które są splecione z cienkich włókien, które są splecione z nanowłókien, które są splecione z cząsteczek. Tak więc wszystko jest splecione ze wszystkim. Na wszystkie strony, z góry do dołu i z dołu do góry. Im bardziej lina jest spleciona, tym jest mocniejsza. Setki plecionych warstw...

– Brzmi rozsądnie – stwierdził Lem.

– Wila uważa, że tak zbudowane są wszystkie struktury Formidów. Formidzkie mikrostworzenia splatają i tkają. Na poziomie cząsteczkowym te mikroorganizmy splatają w swoich wnętrznościach cząsteczki pierwiastków śladowych oraz innych pierwiastków pozyskanych ze skały, budując nici mikroskopijne

jak DNA. Pomyśl o tym, co Victor znalazł na asteroidzie. Niektóre z tych minerałów stanowią niezbędne elementy cząstek DNA. Ja mówię „żelazo”, a ty widzisz materiał do budowy ogromnych statków, tak? Albo cynk, albo magnez. Lecz to są też pierwiastki niezbędne do budowy DNA. Możliwe, że te mikrostrukturzenia nie używają żelaza tak jak my, w skali makro. Może one budują białkopodobne struktury w skali mikro.

– Dobrze.

– A jeśli to prawda – ciągnęła Benyawe – to rozwiązaniem problemu tego niedającego się przebić formidzkiego poszycia nie jest wielka broń makro, która usiłuje wybić w nim dziurę, jak zakłócać grawitacji. Rozwiązanie stanowi mikrobroń jak enzym czy katalizator, która rozkłada to, co zbudowały te mikrostrukturzenia. Nanoboty, które mogą się tam dostać w tempie milionów operacji na sekundę i rozplątać to, co zbudowały mikrostrukturzenia. Taka broń nie przerwałaby liny, tylko ją rozplotła. Najpierw rozplata szpagat, potem nić, potem włókna, a potem cząstki i tak dalej, i tak dalej. Po prostu podąża za nicią, rozplatając ją po drodze. Reakcja chemiczna. Metabolizm niszczący.

– Zatem zamiast programować nanoboty, żeby zakradły się do statku i otworzyły od środka drzwi, właz czy co tam jest, programujemy nanoboty, żeby po prostu znalazły poszycie i za pomocą magii sprawiły, by zniknęło – powiedział Lem.

– To nie magia, to chemia. Za każdym razem, kiedy połykasz kęs czerwonego tortu aksamitnego, twoje ciało robi to samo. Rozkłada cukry i węglowodany. Problem polega na tym, że nie znamy dokładnej struktury chemicznej poszycia. Kadłuby były budowane w pobliżu planety Formidów. Nie mamy się jak dowiedzieć, jakich pierwiastków i minerałów użyły stworzenia, kiedy je... wyplatały. Snujemy zatem domysły, a opieramy je na metalach i minerałach, które Victor znalazł w asteroidzie. Mówimy tak: Formidzi wyraźnie cenią te minerały. Czy jest możliwe, że tych samych minerałów użyli do budowy kadłubów swoich okrętów? Czy jest możliwe, że postanowili zebrać akurat te pierwiastki i minerały, ponieważ używają ich w swoim

świecie?

– To nie jest zbyt duży skok – stwierdził Lem.

– To jest olbrzymi skok. Skok gargantuiczny.

– Robimy, co w naszej mocy, na podstawie informacji, jakimi dysponujemy.

– Czyli niewiele – rzekła Benyawe. – Podejrzewamy jednak, że jednym z głównych pierwiastków jest krzem. Formidzi użyli go do budowy kokonu, może używają go także do tkania poszycia okrętów. Tak więc nanochmura została zaprojektowana do działania jak enzym, a także do znalezienia oraz usunięcia krzemu. Zasadniczo zmieniliśmy każdego nanobota w białko motoryczne, które działa jak helikaza, tylko zamiast rozplątywania nici kwasu nukleinowego poprzez rozrywanie wiązań wodorowych my rozrywamy wiązania krzemowe. Rozplątujemy i rozplątujemy bez końca.

– Czy mam już szklisty wzrok? – zapytał Lem. – Przy czerwonym torcie aksamitnym jeszcze cię rozumiałem, ale zgubiłem się przy wiązaniach wodorowych.

– Mam zacząć śpiewać?

– Powinnaś wypić środek uspokajający, zamknąć oczy i przestać się martwić.

– My się tego wszystkiego domyślamy, Lemie. Martwię się, bo ta technologia to strzał w ciemności.

– Twoim domysłem wierzę bardziej niż faktom przedstawianym przez innych. Myślisz, że Wila ma rację?

Benyawe się zawahała.

– Myślę, że może ją mieć.

– To mi wystarczy. – Uniósł swój kubeczek. – Za przespaną noc ze snami bez Formidów, za to z mnóstwem tortów.

– Jestem za.

Stuknęli się kubeczkami i wypili.

Prom Lema dotarł do formidzkiego statku zwiadowczego półtora dnia później. Z trzema ogromnymi białymi pierścieniami powoli wirującymi wokół niego potężny czerwony statek

w kształcie łyzy wyglądał jak porzucony dziecięcy bąk. Prom zbliżał się do otworu ziejącego z drugiej strony statku, zrobionego przez potężny wybuch promieniowania gamma podczas pierwszej wojny z Formidami. Lem doskonale pamiętał tamtą chwilę.

– Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy potrafili zrobić własną broń rażącą promieniowaniem gamma – stwierdził.

Razem z Benyawę unosił się przy dwóch iluminatorach promu i obserwował zbliżający się formidzki statek.

– Promieniowanie gamma spaliłoby naszą elektronikę – stwierdziła Benyawę. – Poza tym nie mamy gdzie go przechowywać ani jak nim strzelać.

– Tak mi powiedział Dublin, ale można snuć marzenia.

Benyawę wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć większy fragment kadłuba. Statek znajdował się tak blisko, że zajmował całe pole widzenia.

– Jest taki duży...

– Zapomniałem, że jeszcze tu nie byłaś. Ile razy na niego patrzę, robi mi się niedobrze.

Prom okrążał statek, aż wreszcie ujrzeli ogromną dziurę z poszarpanymi brzegami obramowującymi groźną ciemność. Pilot zapalił reflektory i ostrożnie przeprowadził prom przez ciasne przejście. Wnętrze statku nie zostało zbudowane z materiału poszycia i ludzkie ekipy z łatwością rozmontowały większość ścian działowych. Wypatroszony i pozbawiony pokładów i korytarzy statek był właściwie samą skorupą. Wewnętrzną powierzchnią gigantycznej metalowej łyzy. Lem czuł się, jakby był speleologiem wpływającym do potężnej podziemnej jaskini wysokiej jak drapacz chmur i szerokiej jak stadion.

– Większą część tej przestrzeni zajmował ogród – wyjaśnił. – Oczyszciliśmy przyległy teren i zrobiliśmy jeszcze więcej miejsca na siedlisko.

Pokazał na jednokondygnacyjną konstrukcję zbudowaną przez jego firmę. Miała nieprzejrzyste szklane ściany, a na jej dachu dokował prom.

Pilot posadził ich prom obok niego; Lem wkrótce otwierał włącz w podłozde i wciągał się do siedliska. Wewnątrz służy powietrznej czekał doktor Dublin i jeszcze kilkoro innych naukowców. Obok Dublina przytwierdziła się do podłogi Wila. Miała ogoloną głowę, miły wyraz twarzy i była ubrana w obcisły biały kombinezon oraz kilka białych szat. Na nogach miała mokasyny. Lem widział jej zdjęcia, ale stwierdził, że na żywo robi jeszcze większe wrażenie.

– Witamy w ogrodzie – odezwał się doktor Dublin. – Lemie, chciałbym ci przedstawić Wilę Saowaluk.

Wila się ukloniła.

– To zaszczyt, panie Jukes.

– Zaszczycony jestem ja – rzekł Lem. – Ale pan Jukes to mój ojciec, Hegemon. Ja jestem Lem.

– Oczywiście – powiedziała i ukloniła się ponownie.

Lem poczuł cięń rozczarowania. Religię zawsze uważał za coś niezbyt mądrego i nie rozumiał, jak szanujący się naukowiec może nazywać siebie teistą. A jednak miał przed sobą osobę wierzącą i na dodatek bardzo pobożną, która sprawiała wrażenie całkowicie zadowolonej, stojąc z jedną nogą po stronie nauki, a drugą po stronie... No właśnie, czego? Czy buddyści wierzą w niebo? Nie, w formę odrodzenia. Następne życie człowieka jest określone przez to, jak zachowywał się w poprzednim. Co oznacza, że ja prawdopodobnie będę żukiem gnojowym, pomyślał Lem.

Przez włącz wpłynęła Benyawe. Wila przywitała ją uściskiem. Dokonano kolejnych prezentacji. Byli tam inni chemicy, fizycy, metalurdzy i ksenobiolodzy. W sumie piętnaście osób. Lem widział wcześniej ich nazwiska i zdjęcia, ale dopiero teraz poznał ich osobiście.

– Wyładunek i przygotowanie procy do testu zajmie technikom kilka minut – powiedział Dublin. – Proponuję przenieść się do sali konferencyjnej, gdzie czeka drobny poczęstunek.

Sala konferencyjna była cała ze szkła, łącznie z sufitem, co dawało widok na wnętrze ogrodu. Na wewnętrznej ścianie wysoko nad nimi wisiała ogromna okrągła lampa, zalewając całą

przestrzeń ciepłym, jasnym światłem jak wielkie słońce. Przed wojną miejsce to porastała bujna roślinność i roilo się w nim od drobnych leśnych stworzeń. Teraz panował tu brzydki, całkowicie pozbawiony życia metal. Lem patrzył na Wilę, która samotnie oddaliła się do najdalszej ściany sali i patrzyła przed siebie, jakby napawając się jakimś pięknym widokiem. Kiedy robił dwa drinki, kilku chemików próbowało nawiązać z nim rozmowę, lecz on grzecznie ich przeprosił i podszedł do młodej kobiety.

– Podoba ci się widok? – zapytał, podając jej sok. – Nie ma to jak zapierająca dech w piersiach panorama metalowych ścian.

Uśmiechnęła się i przyjęła kubeczek.

– Zgadzam się, że teraz nie ma tu czego oglądać. Wciąż jednak wyobrażam sobie te ogromne obce drzewa, które tu kiedyś stały. Ich konary rosły ukosem w górę, a gałęzie i pnącza powoli rozrastały się przez dziesięciolecia, sięgając przez całe pomieszczenie, aż wreszcie dotarły do pnączy wyrastających z drugiej jego strony i splotły się z nimi, tworząc gęsty zielony baldachim z liści. Bardzo bym chciała to zobaczyć.

– Gdybym nie widział filmików nagranych przez Victora, chyba nie umiałbym sobie tego wyobrazić – powiedział Lem. – Za bardzo jestem przyzwyczajony do lasu z linią horyzontu. Trudno by mi było wyobrazić sobie taki, w którym wszystko rośnie na ścianach do środka jak we wnętrzu olbrzymiej piłki. Nie mieści mi się w głowie, że mogło istnieć coś na taką skalę.

– To był piękny przykład współistnienia rozmaitych gatunków – rzekła Wila. – Wszystko tu harmonijnie współdziałało. Nie było wrogości, nienawiści, chciwości. Owszem, było cierpienie, bo w śmierci zawsze trochę go jest, lecz było także współczucie w tym, jak drzewa łączyły się ze sobą i obejmowały, jak gałęzie dawały owoce, jak to, co umarło, było umieszczane u podstawy drzew jako nawóz...

– Raj – powiedział Lem. A potem uświadomił sobie, że Wila może nie znać tego określenia, i zapytał: – A może to jest mit ściśle judeochrześcijański?

– W naszym tekście nie ma Adama ani Ewy, ale jest koncepcja

pięknej idyllicznej Ziemi w naturalnym rozkwicie przed jej skażeniem przez chciwość i konflikty ludzi.

– Ach, tak, ci nieznosni chciwi ludzie. Jestem chyba jednym z nich, ponieważ ten były raj jest teraz własnością mojej korporacji, a jego całe życie zostało zniszczone.

Wila zarumieniała się i szybko się skłoniła.

– Nie chciałam cię urazić, Lemie. Wydarzenia, do jakich tu doszło, były całkowicie konieczne.

Lem roześmiał się cicho.

– Nie przepraszaaj. Żartowałem. Ale teraz pobudziłaś moją ciekawość. Mówisz, że te wydarzenia były konieczne? Nie masz moralnych zastrzeżeń co do tego, że walczymy z Formidami? Sądziłem, że wszyscy buddyści są pacyfistami.

– To rozpowszechnione błędne przekonanie. Chociaż jest prawdą, że buddyści historycznie wolą ścieżkę niestosowania przemocy, to przyznajemy, że zabijanie jest czasem uzasadnione. W buddyjskiej mitologii jest wiele opowieści ilustrujących tę zasadę. Na przykład człowiek, który zabija złodzieja gotowego zamordować jego rodzinę. Ten akt obrony, chociaż związany z przemocą, zapobiegł cierpieniu żony i dzieci, co niweluje negatywną karmę wytworzoną przez odebranie życia złodziejowi. To kwestia karmicznej równowagi, rozumiesz? I tak jest z Formidami. Nasza obrona ma zapobiec bólowi i cierpieniu miliardów przedstawicieli naszego gatunku. Wolałabym, żeby Formidzi wycofali się i żyli w pokoju we własnym układzie, pozwalając nam żyć w pokoju w naszym. Nie sądzę jednak, by tak mogło się stać.

– Nigdy już nie będziemy żyć w pokoju, nawet jeśli Formidzi rzeczywiście się wycofają – powiedział Lem. – Zawsze będziemy się zastanawiać, czy nie wrócą. Ten strach nigdy nie zniknie. Jeśli chcemy prawdziwego pokoju, musimy znaleźć ich świat i zmieścić ich z jego powierzchnią.

Wila sprawiała wrażenie zaskoczonej tym pomysłem.

– Ale ten akt, akt agresji, zrobiłby z nas potwory.

– Dzięki niemu przetrwalibyśmy, co jest lepsze od stania się trupem – rzekł Lem.

– Uwaga, możemy zaczynać – odezwał się Dublin. – Technicy i sprzęt są na miejscu. Gdybyśmy mogli się wszyscy zgromadzić tu na przodzie.

Wszyscy mieli magnetyczne nagolenice, więc cała grupa podeszła na sztywnych nogach do Dublina i ustawiła się półkolem przodem do niego. Za nim, za szklaną ścianą znajdowała się potężna, wygięta ściana ogrodu.

– Wewnętrzna ściana tego statku, którą widzicie za mną, jest zrobiona z matposzu. Od przestrzeni kosmicznej oddziela nas jedna warstwa niezniszczalnego metalu. Aby dostać się do niego, rozmontowaliśmy wszelkie wewnętrzne rury i ścianki. We wnętrzu ogrodu już panuje próżnia, więc jeśli przebijemy tę ścianę, to będzie to powód do radości, a nie niepokoju.

Pokazał ręką nad głowę. Na szklanym dachu został zamontowany mechanizm procy gotowy do strzału.

– Proca wystrzeli w stronę matposzu czarny balon wypełniony kilkoma milionami nanobotów. Kiedy balon będzie się zbliżał do celu, uruchomię zdalnie nanoboty, które następnie przegryzą się przez balon i rozprzestrzenia w rozległą nanochmurę. Chmura ta osiadzie na matposzu i nanoboty natychmiast rozpoczną rozplatanie nici w tempie kilku milionów operacji na sekundę. Dla okrętu biorącego udział w bitwie przebicie kadłuba byłoby oczywiście katastrofalne, jako że skutkowałoby utratą atmosfery i szybką śmiercią załogi. Wtedy żołnierze MF mogliby wkroczyć na jego pokład i w razie konieczności zająć okręt. Jeśli nie ma pytań, możemy zaczynać.

– Ja mam pytanie – odezwała się Benyawe. – Ten budynek składa się głównie ze szkła. Nie znam jego dokładnego składu chemicznego, ale większość szkła to zasadniczo ditlenek krzemu. Za chwilę uwolnimy milion nanobotów, które wywołują gwałtowną reakcję enzymatyczną we wszystkim, co ma jakikolwiek związek z krzemem. Jeśli kilka tych nanobotów spadnie na ten budynek, to się przez niego przegryzą. A za tymi ścianami panuje próżnia. To by się dla nas wszystkich źle skończyło.

Dublin się uśmiechnął.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza, doktor Benyawe. I ma pani rację. Na wszelki wypadek przejdziemy do aneksu. – Pokazał na drzwi po swojej prawej stronie. – To pomieszczenie jest całkowicie wolne od szkła, a w razie potrzeby ma bezpośrednie połączenie z promami. Obraz testu będzie przekazywany na jego wewnętrzne ściany.

Drzwi do aneksu otworzyły się i wszyscy przeszli do niego. W porównaniu z salą konferencyjną i jej szklanym sufitem pomieszczenie wydawało się ciasne. Dublin stuknął w swoją nakładkę na nadgarstek i na ścianie pojawiło się kilka ekranów z danymi. Szerokie ujęcie ogrodu. Jedno ujęcie procy. Zbliżenie ściany.

– Są jeszcze jakieś pytania? – zapytał Dublin.

– Strzelaj – powiedział Lem.

Dublin stuknął w nakładkę i proca strzeliła. Wszyscy obserwowali czarny balon, który pomknął przez ogromną przestrzeń w stronę matposzu. Dublin odczekał chwilę, a potem jeszcze raz stuknął w nakładkę. Lem spodziewał się, że balon się rozerwie i nanochmura się rozproszy, ale nie stało się nic.

– Hm? – mruknął Dublin i jeszcze raz stuknął w nakładkę.

Czarna kula zbliżała się do ściany.

– Chmura potrzebuje czasu, aby się rozprościć – stwierdziła Benyawe.

– Staram się – powiedział Dublin. – Boty chyba nie reagują.

Znowu stuknął w nakładkę. Bez skutku.

Czarna kula uderzyła w ścianę, odbiła się od niej i popłynęła leniwie w głąb ogrodu. Lem niemal słyszał rozczarowanie, które zapanowało w pomieszczeniu.

– Nie rozumiem – wyznał Dublin. – Powinny z łatwością przerwać błonę.

– Może są tu jakieś zakłócenia? – zapytał Lem. – Szczątkowe promieniowanie z czasu pierwszej wojny z Formidami? Może nawet nie włączyłeś tych botów.

– Promieniowanie w ogrodzie zostało sprawdzone – odparł Dublin. – Owszem, jest szczątkowe promieniowanie, ale w bardzo niewielkiej ilości. Nie takiej, żeby mogło nam zagrozić,

i z pewnością nie takiej, żeby spowodowało zakłócenia. Stale wysyłamy stąd sygnały.

– Z czego jest zrobiony balon? – zapytała Benyawe. – Jakiego materiału użyliście?

– Gummy silikonowej – odpowiedział jeden z chemików. – Skoro nanoboty to enzymy usuwające krzem, to uznaliśmy to za naturalny wybór. Powinny z łatwością przerwać silikon.

– Nie przetestowaliście tego przedtem? – zdziwił się Lem.

Chemik – Lem nie pamiętał jego nazwiska – wzdrygnął się lekko.

– Nie mieliśmy tych nanobotów, panie Jukes. Przywiózł je pan dopiero dzisiaj. Teraz po raz pierwszy mieliśmy okazję wypróbować je z silikonem.

Lem westchnął i potarł oczy. Cały ten wysiłek, cała ta praca i pieniądze, czas i bezsenne noce...

– A może sygnał nie przechodzi przez gumę silikonową? – powiedziała Benyawe. – Może sposób przenoszenia działa jak bariera. Nanoboty są nadzwyczaj czułe. Nie są jak wielkie talerze czy wieże odbiorcze. Mają wielkość cząstek. Wiadomość może je łatwo ominąć.

– Wystrzelcie je jeszcze raz – polecił Lem. – Ale bez tego gumowego balonu.

– Ale... nie mamy mechanizmu, żeby tak zrobić – powiedział Dublin.

– To wsadźcie je do wiadra i chluśnijcie jak pomyjami. Nieważne, jak to zrobicie. Nad innym mechanizmem wystrzeliwania możemy popracować później. Teraz ważne są boty.

Dublin się zaczerwienił.

– Oczywiście. Daj nam chwilę.

Oddalił się pośpiesznie z większością naukowców; w aneksie zostali tylko Benyawe, Lem i Wila. Buddystka wpatrywała się ze skrepowaniem w podłogę.

– Odrzucam moją karmiczną równowagę, tak? – zapytał Lem. – Za stratę cierpliwości zarabiam krechy. Gdybym umarł w tej chwili, kim stałbym się potem? Wężem? Szczurem?

– Nie jestem sędzią charakterów, Lemie – powiedziała Wila – i z pewnością nie jestem twoim sędzią.

– Ja nim będę – rzekła Benyawe i odwróciła się do Lema. – Owszem, zachowujesz się trochę jak dupek, ale akurat tym razem się z tobą zgadzam. A gdybym miała zgadywać, tobym powiedziała, że wrócisz może jako ryjówka. Albo kret.

– Pochlebiasz mi – powiedział Lem. Z zadowoleniem zauważył, że Wila uśmiecha się razem z nim.

Wkrótce wrócił Dublin i pozostali.

– Robimy to, co proponujesz, Lemie. Użyjemy siły ludzkich mięśni. Technicy polecą jednym z promów.

W chwili, gdy to mówił, na ekranie pojawił się prom. Wszyscy patrzyli, jak zbliża się do przeciwległej ściany. W odległości około trzydziestu metrów od niej włączył silniki hamujące i zawisł nieruchomo. Po chwili ze śluzy powietrznej wypłynął jeden z techników w skafandrze kosmicznym. Miał ze sobą dużą skrzynię.

– Każ mu uruchomić nanochmurę, zanim ją uwolni – powiedział Lem.

Dublin przekazał polecenie, mówiąc do nakładki na nadgarstek.

– Podejrzewam, że większość z was nie wierzy w Boga – rzekł Lem i odwrócił się do Wili – ale ty jesteś osobą wierzącą, Wilu. Jaką modlitwę byś odmówiła?

Wila się zawahała.

– Modlitwę, dzięki której nadal będziemy wierzyć w siebie, nawet jeśli nanoboty nie zadziałają. Modlitwę nadziei.

– Dla mnie wystarczy – powiedział Lem, po czym odwrócił się do Dublina i skinieniem głowy wydał rozkaz.

Wszyscy patrzyli, jak technik otwiera skrzynię, aktywuje boty i wyrzuca je w stronę ściany.

Chmura się rozproszyła, robiła się coraz szersza jak sieć, lecz rozrzedzając się tak bardzo, że boty przestawały być widoczne; choć tuż przed zetknięciem się ze ścianą rzeczywiście zniknęły jak wyrzucona w górę na dużym mrozie woda, która zamarza i znika w zetknięciu z powietrzem.

– Co się stało? – zapytał Lem.

Matposz się nie zmieniał.

– Są szeroko rozrzucone, ale są – rzekła Benyawe. – Po prostu ich nie widzimy. Daj im minutę na zakotwiczenie, zanim zaczną działać.

Czekali. Nic się nie stało.

– Jesteśmy pewni, że je uaktywnił? – zapytał Lem.

– Zaczekaj – powiedziała Benyawe.

– Coś już powinno się dziać – rzekł Dublin.

Lem poczuł, że żołądek zawiązuje mu się na supeł. Porażka. I nie tylko tutaj, lecz także dla okrętów floty. Przegramy. Strzelimy do Formidów ze wszystkiego, co mamy, a i tak nawet nie zadraśniemy powierzchni ich okrętów. Przez głowę przebiegły mu obrazy z pierwszej wojny, fala za falą statków górniczych, korporacyjnych i okrętów wojennych atakujących statek zwiadowczy Formidów, niszczonych, zmiotanych jak uprzykrzone komary, ledwie wartych uwagi wroga.

– Może wewnętrzna strona matposzu jest inna – wyraził przypuszczenie Dublin.

– Albo może w tym stopie w ogóle nie ma krzemu – rzekł Lem.

Zerknął na Wilę. Nie patrzyła na ekran jak inni. Oczy miała zamknięte i unosiła się nad podłogą z rozpostartymi ramionami, wyłączwszy nagolenice. „Nie marnuj swojego czasu”, chciał powiedzieć Lem. „Myliłem się. Modlitwy nas nie uratują”.

W radiu rozległ się krzyk technika, ale sygnał przerywały trzaski.

– Co on powiedział? – zapytał Lem.

– Powiedział, że to działa – odparł Dublin.

– Nic nie widzę – odezwał się któryś z naukowców.

– Jak dla mnie ściana wygląda na nienaruszoną.

– Jest pewien?

– Niech wszyscy się zamkną – rozkazał Lem. – Dublin, każ mu zrobić zbliżenie i prześlij nam obraz z jego hełmu. Zobaczmy to, co on.

Nie było to jednak konieczne, bo zanim Dublin zdążył przekazać polecenie, na matposzu zaczęły się pojawiać czarne kropki, początkowo maleńkie, ale zaraz zaczęły rosnać. Robiły się coraz

większe i większe, jakby matposz rozpuszczał się w stu miejscach naraz.

Wszyscy krzyczeli i wiwatowali. Jeden z mężczyzn wybuchnął płaczem i objął kolegę. Lem słyszał to wszystko jakby z oddali. Miał wrażenie, że imadło, które do tej pory ścisnęło mu serce, chociaż on nawet tego nie zauważał, nagle zniknęło. Za ścianą widział piękną, wspaniałą niekończącą się przestrzeń kosmiczną. Z gwiazdami, światami i galaktykami. Przez chwilę obserwował powiększającą się dziurę, a potem odwrócił głowę i spojrzał na Wilę.

Wciąż miała zamknięte oczy. Jej ciało nie poruszyło się, ale kąciaki jej ust wygięły się w uśmiechu ku górze.

Rozdział 26

PRYWATNA INICJATYWA

Rozmowa między DoCent i statkiem zaopatrzeniowym MF „Bajovník” przeprowadzona za pomocą ansibla, Pas Kuipera, 2118

„BAJOVNÍK”: Halo, dranie. Słyszycie mnie?

DOCENT: Kapitan Merryweather?

„BAJOVNÍK”: Natychmiastowa odpowiedź. Fascynujące. Czy to DoCent na Lunie?

DOCENT: Kto mówi?

„BAJOVNÍK”: Jaką macie pogodę na Lunie? Znowu pada?

DOCENT: Podaj swoje nazwisko i stopień.

„BAJOVNÍK”: Nazwisko Łukum, imię Rachat. Chwytasz? Rachatłukum. Oj, chyba umrę ze śmiechu.

DOCENT: Daj kapitana Merryweathera.

„BAJOVNÍK”: Obawiam się, że kapitan Merryweather nie może w tej chwili odpowiedzieć z powodu świeżej dziury w głowie.

DOCENT: Czy rozmawiam z żołnierzem floty? Zrobiłeś krzywdę kapitanowi Merryweatherowi?

„BAJOVNÍK”: Zadajesz dużo pytań. Co powiesz na pytanie ode mnie? Czy tata czyta cytaty Tacyta?

Khalid roześmiał się i odwrócił od urządzenia. Natychmiastowa łączność. Cud. I teraz miał do niego dostęp. Rozejrzał się po mostku statku zaopatrzeniowego MF, na który właśnie napadł ze swoją załogą. Pomieszczenie było w okropnym stanie. Unosiły się w nim trzy trupy w błękitnych mundurach floty poplamionych krwią. Monitory i sprzęt były nowe i szpanerskie, ale podczas strzelaniny załoga Khalida nie celowała starannie.

W tej chwili niewiele urządzeń dałoby się rozmontować i odzyskać. Następnym razem będą musieli postarać się bardziej.

Tak, będzie następny raz. Skradziony holostół dostarczył Khalidowi dobre informacje. Trasy przewozowe, pozycja statku zaopatrzeniowego... – wszystko okazało się dokładne. Choć martwił się nieco, że to pułapka. Zdobył te informacje zbyt łatwo. Ale nie, MF okazała się tak głupia i nieudolna, jak podejrzewał. I teraz wszystko miał na zawołanie.

Przy życiu pozostało tylko dwóch członków załogi. Jeden z nich stał obok i zachowywał stoicki spokój. Maja mierzyła do niego z pistoletu, żeby niczego nie próbował. Ktoś złamał mu nos, ale trzeba było przyznać, że nie zwracał uwagi na ból.

Khalid machnął ręką w stronę natychmiastowego komunikatora.

– Jak się nazywa to urządzenie?

– Chcesz, żeby Formidzi zwyciężyli? – zapytał mężczyzna ze złamanym nosem. – Usiłujemy obronić ludzką rasę przed...

Khalid zastrzelił go i zwrócił się do drugiego oficera. Nie, ten drugi nie był oficerem. To był ledwie osiemnastoletni chłopak. Szeregowiec trzęsący się ze strachu.

– Moja cierpliwość jest dzisiaj nieco nadwerężona – powiedział Khalid. – Jak się nazywa to urządzenie?

– Ansibl – odpowiedział chłopak.

– Ansibl – powtórzył Khalid, jakby wypróbowywał to słowo. – Co to za język?

– Nie wiem.

– Nieważne. Łączy się natychmiast z Luną?

– Tak.

– I mogę każdemu wysłać przez nie wiadomość?

– Nie. Łączy się tylko z innymi sparowanymi ansiblami. To nie jest jak sieci. MF buduje większą sieć, ale jeszcze nie jest gotowa.

– To do kogo jeszcze mogę wysłać wiadomość? – zapytał Khalid.

– Do innych statków na naszej trasie przewozowej. Do innych dowódców. W tej sieci jest w sumie dwanaście kontaktów. Plus DoCent.

– Sami błękitnokrwieści? To znaczy żołnierze jak ty? Okręty MF?

– Tak, sir.

– To nie jest bardzo przydatne i raczej rozczarowujące. Czy MF może nim namierzać?

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Ansiblem? Nie. Do śledzenia używamy innego sprzętu. Ansibl służy tylko do komunikowania się.

– Jeśli mnie okłamujesz, mój przyjaciel cię wypatroszy i udusi twoimi wnętrznościami.

Khalid pokazał na Cleega, najroślejszego członka swojej załogi. Był umięśniony, miał brudne ubranie i fatalną cerę. W rzeczywistości Cleeg nie lubił się bić, ale wrażenie sprawiał wręcz przeciwne.

– Nie kłamię – rzekł chłopak.

– Gdzie są nadajniki?

– Nie ma ich. To wszystko. Jest tylko ansibl.

Ibrahim dobył noża. Dołączył do reszty załogi, która skupiła się wokół chłopaka.

– Jeszcze raz okłam mojego brata – powiedział.

– Przysięgam, że to wszystko. Nie ma żadnych nadajników. Jest tylko ansibl.

– Nie ma opóźnienia, Ibrahimie. To nowa technologia. Odłóż nóż.

Ibrahim schował ostrze do pochwy.

– Jak się nazywasz? – zapytał Khalid.

– Szeregowy Rynsburger.

– Imię.

– Gustaaf.

– A więc, Gustaafie, teraz zgadzasz się mi pomóc. Bo chcesz mi pomóc, prawda?

Gustaaf zerknął na załogę Khalida, groźnie unoszącą się wokół niego. Maja miała krew na twarzy, ale to wyraźnie była cudza krew. Khalid przewrócił oczyma. Wszyscy zachowywali się nieco teatralnie.

– Spójrz na mnie, Gustaafie – powiedział Khalid – nie na nich. To mnie chcesz pomóc. Czy ten ansibl można przenieść?

– Tak. Umiem to zrobić. Pomagam przy nowszych wersjach.

– Są nowsze wersje?

– Co cztery albo pięć miesięcy. Za każdym razem jest coraz mniejszy.

– To dobrze, bo przeniesiesz go na mój statek. Maju, Cleegu, pilnujcie go przy pracy. Będziesz bardzo uważał na ten ansibl, prawda, Gustaafie?

Chłopak skinął głową, cofając się przed Mają.

– Reszta za mną – rozkazał Khalid.

Poprowadził swoich ludzi do ładowni. Statek był wypełniony zaopatrzeniem. Żywnością, narzędziami, surowcami, bronią. Wszystko to miało dotrzeć do dużej stoczni w Pasie Kuipera, a Khalid w życiu nie widział większego bogactwa. Jego ludzie wykrzykiwali i latali po ładowni jak dzieci szalejące po sklepie ze słodyczami.

Ibrahim zatrzymał się przy wejściu obok Khalida.

– Co z tym wszystkim zrobimy? – zapytał. – Nie możemy tego zabrać ze sobą. Nie zmieści się na naszym statku. I nie możemy nigdzie polecieć tym statkiem. Jest powolny. MF by nas namierzyła i schwytała.

– Załadujemy na nasz statek, co się da, i uciekniemy. Żywność i inne niezbędne rzeczy. Szkoda, nie? Takie bogactwo, a my możemy zabrać tylko małą jego część.

Ibrahim zmarszczył z niepokojem brwi.

– Mów, co cię trapi, bracie – rzekł Khalid.

– To, co powiedział ten oficer. Nie chcemy, żeby Formidzi zwyciężyli, prawda?

– Myślisz, że jesteśmy w tej wojnie jedyną prywatną inicjatywą, bracie? Dostawcy sprzętu dla wojska kradną i oszukują na każdym kroku. Wszędzie jest korupcja. My tylko dodajemy trochę tarcia. Lem Jukes zbił na tej wojnie miliardy kredytów. My pracujemy ciężiej od niego. Dlaczego też nie mielibyśmy zarobić?

Ibrahim skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Może. Tylko że... Kiedyś nie byliśmy tacy... twarde, bracie. Kiedyś nie znosiłeś zabijania.

– Nadal go nie znoszę. Gardzę nim. Ale to jest wojna. To jest świat, który stworzyli Formidzi i flota. Możemy pozwolić, by nas

zmietli, albo możemy żyć tak, jak na to zasługujemy.

– To co zrobisz z tym szeregowym, kiedy już przeniesie ansibl?

Zabijesz go?

– Nie, Ibrahimie. Ty to zrobisz. Bo wiesz, że mam rację.

Rozdział 27

PODSTĘP

Do: niebrzytwaockhama@anonim.net

Od: vico.delgado@pocztawolnegopasa.net

Temat: Buty i sala walki

Mazerze

Są dwa załączniki. Jeden dotyczy sali walki. Prosta konstrukcja. Prawdopodobnie przesadziłem z wytrzymałością. Walki w klatce w przestrzeni kosmicznej staną się wkrótce popularnym sportem. Szkoda, że nie ja to wymyśliłem.

Drugi załącznik to mój poprawiony projekt butów stabilizujących, które Magoosa zaczął nazywać butstabami albo butstami. Jak zobaczysz na trójwymiarowym modelu, but jest wyposażony w trójkątny układ prętów, które wysuwają się na zewnątrz i zakotwiczą w ścianach tunelu. Tak więc każdy but ma trzy punkty podparcia – trianguluje. Pręty wysuwa się, napinając palce, a chowa – rozluźniając je. To daje większą kontrolę w tunelach i pozwala się błyskawicznie ustabilizować.

Magoosa wspiął się przy pomocy tych butów do naszych kanałów grzewczych. Dał wycisk swoim palcom u stóp, ale buty dobrze się spisały.

Projekt ten oczywiście zastępuje tę pajęczą uprzęż, która miała opasywać talię żołnierza. Jej mechanika jest po prostu nadmiernie złożona. Żołnierz mógłby się na zbyt wiele sposobów zaplątać w wysuwane pręty. A my w żadnym razie nie chcemy utrudniać mu poruszania się. Zastosowanie tej samej zasady kotwiczących prętów do nóg przynosi o wiele lepsze rezultaty. Powiedz, co o tym myślisz. Odbiliśmy długą drogę od czasu, kiedy zaproponowałem wózek tunelowy. Teraz wzdrygam się na myśl o nim.

Vico

Bingwen wcisnął się głębiej do tunelu treningowego, uniósł slaser i nasłuchiwał, czy nie zbliżają się wrogowie. Lufa broni wystawała z nanotarczy, która unosiła się przed nim w powietrzu jak tafla elastycznego szkła. Tarcza poruszała się do przodu razem z nim, rozszerzając się i kurcząc przy brzegach, by dostosować się do wciąż zmieniającego się kształtu tunelu. Metalowy egzoskafander był obcisły, ale nie ograniczał Bingwenowi ruchów. Hełm nie miał przyłbicy, do czego chłopiec musiał się przyzwyczaić, ale wbudowane kamery dobrze działały, ukazując szeroką panoramę nawet w prawie całkowitej ciemności panującej w podziemnych korytarzach.

Ładownia była pełna takich tuneli – z zakrętami, rozwidleniami, ślepyimi zaułkami. Do ich stworzenia Mazer wraz z inżynierami wykorzystał ustawione blisko siebie metalowe skrzynie towarowe. I ciągle je przestawiał, żeby układać nowe i bardziej złożone scenariusze ćwiczeń. Na ścianki skrzyń rozpylono twardniejącą piankę, dzięki czemu powstały przypadkowe kształty i faktury przypominające ściany tuneli w asteroidzie. Większe grudy piany tworzyły realistyczne wąskie przejścia i prześwity. Dzięki drobnej budowie Bingwenowi było łatwiej się w nich przemieszczać niż większości kadetów, lecz tego dnia miał marne szanse. Polowali na niego wszyscy kadeci w eskadrze.

Bingwen sądził, że przygotowały go na to jego ćwiczenia w formidzkich tunelach w Chinach, ale bardzo się pomylił. Poruszanie się w ciasnej przestrzeni w zerowej grawitacji było o wiele trudniejsze. Owszem, w próżni łatwiej było się przemieszczać, ale dzięki ciężeni Bingwen zawsze panował nad swoim ciałem. Tutaj każdy szybki ruch mógł wprawić go w korkociąg albo spowodować utratę równowagi. Nie mówiąc już o potrzebie utrzymywania orientacji. Na Ziemi było oczywiste, gdzie jest dół. Tutaj znacznie łatwiej było się zgubić w tunelach.

Bingwen ruszył do przodu w butstabach, napinając

i rozluźniając palce, żeby wysuwać i chować pręty kotwiczące. Mięśnie stóp i palców miał już dobrze rozwinięte i poruszanie się w tych butach stało się jego drugą naturą.

Zatrzymał się, nasłuchując. Czy usłyszał przed sobą jakiś dźwięk? Może szelest, jakby o ścianę tunelu otarła się jakaś tkanina? Polowało na niego czterech kadetów udających Formidów. Bingwen nie wiedział, gdzie są, ale zewnętrzny mikrofon jego hełmu był czuły.

Zaczekał, aż ponownie usłyszał ten dźwięk. Tak, zdecydowanie przed nim.

A może z tyłu?

Dźwięk tak łatwo odbijał się w tunelu echem, że trudno było określić, skąd pochodzi.

Bingwen czekał minutę. Potem drugą. Nic. Czyżby to było jakieś odległe echo?

Postąpił krok do przodu. Nanotarcza przesunęła się razem z nim. Po kilku miesiącach ćwiczeń z nią wciąż dziwnie było mieć tak blisko głowy setki tysięcy nanobotów, które natychmiast reagowały na jego poruszenia, jakby były przedłużeniem jego ciała. Do tego sprzętu nie mógł się przyzwyczaić. Nanoboty potrafiły rozłożyć matposz, najtwardszą substancję odkrytą przez człowieka. Bingwen drżał na myśl, co mogłyby zrobić z jego twarzą.

Znowu usłyszał jakiś dźwięk. Tym razem był głośniejszy. I rozległ się blisko. Nie był to jednak szelest tkaniny. To był odgłos stopy odpychającej się od metalowej podłogi, jakby przeciągnięcie po szorstkim papierze ściernym. Czy ten Formida znajdował się tuż za zakrętem?

Bingwen obejrzał się za siebie. Nic.

Zwykle miał drugą nanotarczę osłaniającą go od tyłu, ale na to ćwiczenie Mazer przydzielił mu tylko tę jedną.

Formidzi podchodzili coraz bliżej. Wyczuwał ich jak powoli zaciskającą się pętlę. Znowu usłyszał szuranie i tym razem nie miał wątpliwości, skąd dochodziło.

– Tył – powiedział.

Nanotarcza przekształciła się w gęstą mgłę, spłynęła w dół

wzdłuż jego ciała, minęła stopy i znowu uformowała w płaską taflę chroniącą go od tyłu.

– Jesteś martwy – odezwał się głos przed nim.

Bingwen podniósł wzrok i zobaczył Chatiego z wymierzonym w niego palcem i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Właśnie rozniosła cię w drobny mak serwetka, Bingwenie – powiedział Chati, a następnie przyłożył dłoń do ust. – Zupa z Bingwena w czwartym tunelu. Zupa z Bingwena w czwartym tunelu. Możecie jeść do woli. Krakersów nie ma.

Poniżej niego, obok stóp Bingwena, pojawił się Nak, jeszcze jeden kadet udający Formidę.

– Wyrolowaliśmy cię, Bing.

Bingwen roześmiał się razem z nimi, ale w duchu jęczał. Nie znośił przegrywać.

Wydostali się z tuneli i spotkali przy wejściu, aby omówić ćwiczenie.

– Dobra robota – powiedział Mazer. – Nie rób takiej ponurej miny, Bingwenie. Miałeś jedną tarczę. W tych warunkach każdy miałby taki sam wynik.

– Bing nie znosi przegrywać – zauważył Chati z uśmiechem.

– Mam nadzieję – rzekł Mazer. – Mam nadzieję, że tak bardzo tego nie znosi, że nie zaśnie w nocy. Bo w walce wręcz przegrywa się tylko raz. Potem jest się martwym. Bingwenie, przesunięcie tarczy pod stopami w reakcji na zbliżające się zagrożenie było właściwym posunięciem. Czy coś mógłbyś zrobić inaczej?

– Najpierw powinienem pójść do przodu i sprawdzić tunel. Skręcał w prawo ledwie pół metra ode mnie. Gdybym go sprawdził, mógłbym sprzątnąć Chatiego.

– Możliwe – zgodził się Mazer. – To są decyzje podejmowane w ułamku sekundy. Lecz zabezpieczenie terenu przed opuszczeniem gardy to dobry pomysł. Ktoś jeszcze? Chati, co ty mógłbyś zrobić inaczej?

– Powinienem być wziąć ze sobą miseczkę na darmową zupę z Bingwena – odparł Chati, co wywołało wybuch śmiechu innych kadetów. Mazer zachował obojętną minę.

– Wiem, że dobrze się bawisz, Chati, ale ja widziałem, jak

serwetka unicestwiła mojego przyjaciela. Nie ma w tym nic śmiesznego.

Chati się zarumienił.

– Tak jest, panie kapitanie. Przepraszam.

Przez chwilę omawiali wykorzystanie nanotarczy, kiedy działała tylko jedna z dwóch. Kiedy skończyli, Mazer powiedział:

– Jutro zmienimy tunele. Nowe zadania, nowe przydziały. A teraz, na zakończenie dnia, przeniesiemy się do sali walki.

Rozległy się okrzyki radosnego podniecenia.

– Aby się poprzyglądać – dodał Mazer.

Kadeci jęknęli. Żołnierze przebywający na pokładzie stale ćwiczili w sali walki na zewnątrz statku i chłopcy rzadko mieli okazję wypróbować tam jakieś manewry. Ale Bingwen lubił się przyglądać. Czasami lepiej uczył się strategii, obserwując całe pole bitwy, niż biorąc udział w starciu i widząc tylko to, co się dzieje wokół niego.

Kadeci zebrali się w sali obserwacyjnej i obejrzeni bitwę czerwonej armii z zieloną armią. Kiedy tylko klatka została ukończona, Mazer pomógł zorganizować zespoły i wyznaczyć ich dowódców. Ktoś zaczął prowadzić punktację i w sali treningowej co pewien czas umieszczano wyniki poszczególnych żołnierzy i drużyn.

Po zakończeniu bitwy Mazer omówił z kadetami przebieg walki. Co się udało? Co nie wyszło? Dlaczego? Co zrobilibyście inaczej?

– Dlaczego sala walki jest sześcienna? – zapytał. – Dlaczego nie kulista?

– My nie myślimy w kategoriach kuli – odpowiedział Bingwen. – Bazujemy na planecie. Owszem, Ziemia jest kulą, ale dla nas jest ważna północ, południe, wschód, zachód. Lewo, prawo, góra, dół. Potrzebujemy takich przeciwieństw. Żeby wykorzystywać ludzki umysł tak, jak został zaprogramowany, musimy mieć możliwość powiedzenia: „idź w lewo”, „idź w prawo”, „idź na północ”, „idź na południe”. Trudno to robić w kuli, bo nie ma tam płaszczyzny odniesienia. No i kulę jest po prostu trudniej skonstruować. Znacznie łatwiej jest zbudować sześcian z jego prostymi liniami.

Zaczęła wibrować nakładka na nadgarstek Mazera. Mazer

przeczytał wiadomość, a potem zwrócił się do grupy:

– Na dziś to wszystko. Rozejść się. Bingwenie, mógłbyś zostać?

Kiedy znaleźli się sam na sam, Mazer powiedział:

– Wzywają nas do biura kontradmirała Zembassiego.

Bingwen zrozumiał od razu. Kilka miesięcy wcześniej Li wyznaczył go na dowódcę kadetów. Możliwe, że teraz, kiedy znaleźli się w Pasie, zbliżali się do jakiejś asteroidy.

– Myślisz, że dostaniemy rozkaz zaatakowania asteroidy? – zapytał.

– Tak – odparł Mazer. – Jesteś na to gotowy?

– Ty możesz odpowiedzieć na to lepiej niż ja.

– Ale ty brałeś udział w większej liczbie walk niż większość ludzi na tym statku. Jesteś gotowy od pewnego czasu. Martwię się o innych kadetów.

Zameldowali się w biurze Zembassiego. Był już tam pułkownik Li i kilku innych wyższych oficerów. Zembassi machnięciem ręki w holopolu wywołał gwiazdną mapę Pasa z tysiącami świetlnych punkcików. Po kolejnym ruchu jego ręki setki białych punkcików stały się czerwone.

– Te czerwone kropki przedstawiają asteroidy, które według nas przejęli Formidzi – rzekł Zembassi. – Początkowo baliśmy się, że te skały mogą być pociskami przeznaczonymi do wystrzelenia w stronę Ziemi, ale jeszcze nie znaleźliśmy ani jednej asteroidy, której trajektoria prowadziłaby do niej. W gruncie rzeczy wydaje się, że poruszają się one we wszystkich kierunkach, tylko nie ku Ziemi.

Czerwone kropki na mapie zaczęły się poruszać w przypadkowy sposób.

– Ich trajektorie nie mają sensu – ciągnął Zembassi. – Nie ma w nich żadnego porządku. Niektóre asteroidy zbiły się w grupki po cztery albo pięć sztuk. Inne opuściły ekliptykę, ale potem zmieniły kurs i z powrotem w nią weszły. Jeszcze inne oddalają się od Ziemi.

– Dlaczego Formidzi mieliby odsuwać asteroidy od Ziemi? – zapytał Li. – Nie rozumiem tego.

– To są manewry mylące – odezwał się Bingwen.

Wszyscy mężczyźni odwrócili się do niego, jakby dopiero teraz przypomnieli sobie, że wśród nich znajduje się dwunastoletni chłopiec.

– W tych ruchach jednak jest wzór – powiedział. – Ten sam, którego Formidzi używają od początku. Wzór podstęp. Najpierw z Kopernikiem, potem z pozostałymi satelitami Paralaksy, a teraz te asteroidy. Wszystko, co robią, to podstęp. Przejęli te asteroidy za pomocą ministatków, o których obecności w naszym Układzie nawet nie wiedzieliśmy. Do tego było potrzebne planowanie, logistyka i wiarygodne informacje o tym, gdzie się znajdują nasze okręty, żeby ministatki mogły ich unikać. Jeszcze większe wrażenie robi to, że Formidzi mieli też informacje o składzie tych asteroid. Proszę się nad tym zastanowić. Wszystkie przejęte asteroidy są pokryte lodem z wody i występuje w nich wysokie stężenie krzemu oraz innych użytecznych metali. To nie są przypadkowe skały. To są cele specjalnie wyznaczone ze względu na ich skład chemiczny. Proszę także zauważyć, że do każdej asteroidy udał się jeden formidzki ministatek. Żadnego nadmiaru. To jest wróg, który jest nadzwyczajnie zorganizowany i nadzwyczaj dobrze poinformowany. Formidzi niczego nie robią przypadkowo. Jeśli ich działania wydają się przypadkowe, to jest to po prostu inny rodzaj podstępu.

– On ma rację – poparł Bingwena Mazer. – Na podstawie ich obecnych ruchów nie potrafimy określić celów tych asteroid. Ale przecież Formidzi wiedzą, że je widzimy. Będą więc jeszcze bardziej podstępni niż zwykle.

– Więc nie zdołamy wywnioskować niczego? – zapytał Li.

– Możemy wywnioskować kilka rzeczy – rzekł Bingwen. – Możemy się wprawdzie mylić, ale niejaka pewność mamy.

– Podaj nam przykład – zażądał Li.

– Te asteroidy łatwo zniszczyć. Ich atmosfera jest wybuchowa. A zatem są w dużym stopniu narażone na atak. Królowa roju o tym wie. Wie także, że się tego domyślimy. Przejmuje więc o wiele więcej asteroid, niż ich potrzebuje, ponieważ spodziewa się, że część z nich zniszczymy. Może potrzebuje tylko trzydziestu

procent tych skał. Albo pięciu procent. Tego nie wiemy. Bezpiecznie jest jednak założyć, że duża ich liczba jest spisana na straty. Tę teorię podbudowują wyraźnie przypadkowe trajektorie asteroid, ponieważ jeżeli nie są w ostatecznym rozliczeniu potrzebne, to czemu nie wykorzystać ich do zmylenia wroga?

– To nie mówi nam nic przydatnego – stwierdził Zembassi.

– Mówi nam, że królowa roju ma wobec przynajmniej niektórych z tych asteroid jakiś wyjątkowy zamiar – powiedział Bingwen. – A także podaje w wątpliwość teorię broni zagłady. Bo gdyby królowa roju rzeczywiście usiłowała zniszczyć Ziemię za pomocą tych obiektów, toby to po prostu zrobiła. Tych asteroid jest o wiele więcej, niż my możemy zniszczyć. Królowa roju o tym wie. Ale czy wysyła te asteroidy w stronę Ziemi? Nie. Nie kieruje tam nawet jednej z nich, bo nie chce podjąć takiego ryzyka. Nawet nie spróbuje nas co do tego oszukać, bo to zagroziłoby jej głównemu celowi.

– To tylko spekulacje – powiedział Zembassi.

– Oczywiście – zgodził się Bingwen. – Nie dowiemy się niczego konkretnego, dopóki nie określimy, które asteroidy mają znaczenie.

– Co jest niemożliwe – odezwał się jeden z wyższych oficerów.

– Nie jest niemożliwe – rzekł Mazer. – Lecz, jak powiedział Bingwen, możemy się domyślać z niejaką pewnością. Domyślajmy się więc. Najpierw mamy te, które oddalają się od środka ekliptyki, od Ziemi. Załóżmy, że Bingwen ma rację i że są to wabiki. Na te nie będziemy zwracać uwagi. – Spojrzał na Zembassiego. – Jak możemy je wyeliminować z programu?

Zembassi wpisał polecenie i część czerwonych asteroid na powrót zbiegła.

– Możemy także pominąć te, które opuściły ekliptykę i do niej wróciły – powiedział Zembassi. – One też są oczywistymi wabikami.

– Może nie – rzekł Mazer. – One mogą być ważne. Proszę pomyśleć o logice ich ruchów. Formidzi je odsyłają, więc założymy, że nie są ważne, i zignorujemy je jako

nieprzedstawiające zagrożenia. A potem, kiedy uznają, że nie patrzemy, sprowadzą je z powrotem.

– Dla mnie brzmi to jak podstęp – stwierdził Li.

– Ale Formidzi zastosują podstęp do kwadratu – powiedział Bingwen. – Miejmy to na uwadze i zastanówmy się nad ostatnią grupą. Nad asteroidami, które zbierają się w grupki. Najcenniejszą spośród nich jest ta, która musi przebyć najmniejszą odległość, ponieważ będzie najkrócej odsłonięta dla wroga. Królowa roju ściągnęłaby inne do niej, żeby ją chronić.

– Teraz antropomorfizujemy skałę – rzekł Zembassi. – Asteroida nie może niczego chronić. To jest skała.

– Dla celów naszego wywodu – powiedział Bingwen.

– Tak, ale cały ten wywód opiera się na założeniu, że niektóre asteroidy są cenniejsze od innych. Nie wiemy, czy to prawda.

– Taka jest wojna. Wybieranie najważniejszych celów i niemarnowanie czasu na te, których zniszczenie wyrządzi wrogowi małe szkody. Ale nawet jeśli się mylimy, jeśli wszystkie asteroidy mają równe znaczenie, to niszcząc tę, którą uznamy za być może cenniejszą od innych, nic nie tracimy.

– Poza czasem potrzebnym na dotarcie do niej – powiedział Li.

– Proszę jeszcze raz zastanowić się nad tą ostatnią grupą – rzekł Bingwen. – I znowu my się tu tylko domyślamy z niejaką pewnością. Tak? Szukamy wzoru w podstępie.

– Mów dalej – polecił Zembassi.

– Założmy, że mamy rację co do tej ostatniej grupy. Że ta asteroida, która przebywa najmniejszą odległość, by dotrzeć do grupki, jest najcenniejsza. I założmy też, że Mazer ma rację, że te, które opuszczają ekliptykę i do niej wracają, też mogą być cenne. Ciekawe, ile asteroid spełnia oba te warunki. Innymi słowy, ile asteroid opuściło ekliptykę i wróciło do niej, by dołączyć do grupki, będąc zarazem tą asteroidą w grupce, która przebyła najmniejszą odległość, by do niej dotrzeć?

– Podstęp do kwadratu – powiedział Li.

– Mam w głowie kompletny mętlik – orzekł Zembassi.

Bingwen zbliżył się do gwiazdnej mapy.

– Mogę?

– Proszę bardzo – powiedział Zembassi i cofnął się od holostolu. Bingwen sięgnął w holopole i zaczął wpisywać kod.

– Najpierw musimy założyć, że trajektorie wszystkich asteroid są ostateczne. To może nie być prawdą, ale możemy pracować tylko z posiadanymi danymi. Czyli musimy przyśpieszyć tempo i sprawdzić na podstawie tych trajektorii, czy w przyszłości powstaną jeszcze jakieś inne grupki.

Czerwone kropki na gwiazdnej mapie zaczęły się poruszać szybciej.

– Następnie ustawimy opisane przez nas parametry i zobaczymy, czy jakieś asteroidy je spełniają.

Zniknęły wszystkie kropki oprócz dwunastu czerwonych.

– Dwanaście – powiedział Li. – Co to oznacza?

– To może nie oznaczać niczego – rzekł Zembassi. – My się tu tylko bawimy w zgadywanki.

– To może oznaczać bardzo dużo – odezwał się Mazer. – Która z tych asteroid znajduje się najbliżej nas?

– Castalia – odparł Bingwen. – Asteroida w kształcie orzeszka ziemnego.

– Ile czasu zajęłoby nam dotarcie do niej? – zapytał Li.

– Nie takie mamy rozkazy – zauważył Zembassi. – Zwołałem was tu, ponieważ mamy rozkaz udać się do asteroidy znajdującej się w pobliżu naszej trajektorii.

– Do asteroidy, której może nie warto badać – stwierdził Mazer.

– Podobnie jak niewarta zbadania może się okazać Castalia – rzekł Zembassi. – Szukamy na oślep.

– Możemy dotrzeć do niej w niecałe dwa miesiące – stwierdził Bingwen. – W sumie jest nadzwyczaj blisko.

Wszyscy zwrócili się do Zembassiego, czekając na jego odpowiedź. Westchnął i chwilę się zastanawiał.

– Wezwałem was tu, żeby wydać wam rozkazy, a nie żebyście zmieniali moje. Moglibyśmy ścigać ducha.

– Albo trafić na bardzo ważny cel – powiedział Mazer.

– A co ja mam powiedzieć Strategosowi i Polemarsze? Że trzynastolatek rozegrał skomplikowaną zgadywankę i wybrał Castalię?

– Gdyby wiedzieli, o którego trzynastolatka chodzi, to mogliby się z nim zgodzić – podsunął Li.

– Właściwie mam dopiero dwanaście lat. I to nie była moja propozycja. Wspólnie doszliśmy do tego wniosku. Czy może być całkowicie błędny? Jak najbardziej. Możliwe, że bardzo pobiłdziliśmy. Ale mnóstwo okrętów MF zmierza w stronę przypadkowych asteroid, by je zbadać. My bylibyśmy jedynym, który sprawdza teorię.

Zembassi milczał.

– Chciałby się pan skonsultować z kontradmirałem Waganowem? – zapytał Bingwen. – Zauważyłem, że go tu nie ma.

– Nie ma go tu, ponieważ nie jest tu dowódcą. Dowódcą jestem ja. On jest tu tylko pasażerem. Nikim więcej.

– Miło mi to słyszeć z pańskich ust – powiedział Bingwen – ponieważ Waganow storpedowałby ten pomysł. Nawet nie przedstawiłby go Strategosowi i Polemarsze ze strachu, że mogłaby na tym ucierpieć jego reputacja. To zbyt ryzykowne. Waganowa bardziej interesuje robienie tego, co jest słuszne dla niego, niż robienie tego, co jest słuszne.

Zembassi zwrócił się do Li:

– Gdybym nie był mądrzejszy, to powiedziałbym, że ten chłopiec próbuje mną manipulować.

– Jeśli pan wie, że to robię, i jeśli to, co mówię, jest prawdą, to nie jest to manipulacja. Ja jedynie wyrażam to, co pan już myśli. Mam dwanaście lat i pewne rzeczy mogą mi ująć płazem. Poza tym, jeśli zboczymy z kursu, Waganow później dotrze do celu. Podejrzewam, że nie byłby z tego zbytnio zadowolony.

– To może być najlepszy argument za udaniem się do tej asteroidy z tych, które słyszałem – rzekł Zembassi. Podrapał się w podbródek, chwilę się zastanawiał, a potem zwrócił się do swojego asystenta: – Panie kapitanie, proszę zainicjować połączenie przez ansibl z Polemarchą. Przepraszam wszystkich, muszę odbyć pewną rozmowę. Bingwenie, zostań. Nie umiem tego objaśnić tak dobrze jak ty.

Rozdział 28

STATEK OBSERWACYJNY

Przekaz otrzymany przez ansibl w placówce Turris, Pas Kuipera, 2118

STRATEGOS: Możecie lecieć. Z Bogiem! Nie wracajcie, dopóki nie zabijecie złej czarownicy.

Imała stała przytwierdzona do podłogi przy włączniku i patrzyła, jak „Gagak” zbliża się do placówki MF. Po czterech miesiącach podróży bardzo chciała trochę rozprostować nogi i odpocząć od ciasnoty statku. Miała nadzieję, że na stacji kosmicznej będzie taki nowy prysznic dla warunków zerowej grawitacji z gorącą wodą płynącą wewnątrz rury. Albo może stołówka z dużym wyborem potraw. Po trzech tygodniach racjonowania czarnej fasoli i ryżu marzyła o zmianie diety. Lecz jeden rzut oka na placówkę kazał jej się przygotować na rozczarowanie. Punkt był nie większy od statku, a może nawet trochę mniejszy. Jeśli Imała pragnęła wygod, tu ich nie znajdzie.

– Widzisz w tej stacji kosmicznej coś dziwnego? – zapytał Victor.

Stał obok Imali i wyglądał przez iluminator.

– Masz na myśli coś poza jej rozmiarami?

– Nie ma żadnych nadajników. Żadnych talerzy, odbiorników, anten... To tylko skrzynka.

Imała tego nie zauważyła, ale Victor miał rację. W jaki sposób wysyłano i odbierano przekazy, zwłaszcza tak daleko w przestrzeni kosmicznej?

– Można by pomyśleć, że ich nadajniki będą większe niż zwykle – powiedziała.

- Można by pomyśleć – zgodził się Victor.
- Co wiemy o tym miejscu?
- Prawie nic. Nie ma go nawet na naszych gwiazdnych mapach. Gdyby MF nie przysłała nam współrzędnych, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle istnieje.

Imali się to nie podobało. Wchodzili w to na ślepo, nie wiedząc, co zamierza MF. Wiadomość, którą otrzymali, obiecywała, że jeśli tu przybędą, MF zapewni rodzinie bezpieczeństwo. Imala założyła, że oznacza to, iż stacja jest swego rodzaju węzłem obsługującym duży ruch przylatujących i odlatujących statków. Może da im eskortę w drodze powrotnej na Lunę, a może MF przerzuci rodzinę na duży transportowiec z innymi rodzinami szukającymi schronienia albo... cokolwiek. Ale to? Jak ta maleńka skrzynka pełniąca funkcję stacji ma im zapewnić bezpieczeństwo? Nie dokowały tu żadne statki. I żadne statki znajdujące się w pobliżu nie kierowały się w tę stronę. To nie był węzeł, to był ślepy zaułek.

- Zaczynam mieć złe przeczucia – powiedział Victor.

- Ja też.

Kiedy „Gagak” obrócił się i zakończył podejście, z placówki wysunął się rękaw dokujący i połączył z włazem. Rozległ się brzęczyk, a zaraz potem zapaliło się światelko oznaczające udane dokowanie. Imala otworzyła właz; zasalutował jej młody oficer w mundurze MF.

- Pani kapitan Bootstamp, panie chorąży Delgado, jestem kapitan Mangold. Witamy na Turris.

Był Amerykaninem, zapewne po trzydziestce – młody jak na zarządcę placówki.

- Dziękuję – powiedziała Imala. – Jak to się dokładnie robi? Mam zaprosić pana na pokład naszego statku czy mamy wejść na stację?

- Byłbym zaszczycony, gdybyśmy mogli spotkać się we trójkę w biurze kapitana stacji. Mamy do omówienia wiele spraw.

- Jeżeli będziemy omawiać sytuację mojej załogi, to byłabym wdzięczna, gdyby mogło do nas dołączyć dwoje moich doradców: Arjuna, poprzedni kapitan tego statku i patriarcha

Somalijczyków stanowiących jego załogę, oraz Rena Delgado, nasza zastępczyni dowódcy.

– Byłbym zaszczycony, mogąc przyjąć was wszystkich. Obawiam się jednak, że biuro nie jest zbyt duże. Pięciu osobom będzie w nim ciasno, ale jakoś damy sobie radę.

Victor udał się po Renę i Arjunę, a potem cała piątka przemieściła się rękawem na stację. Ku zaskoczeniu Imali nie było tam licznej obsługi z MF – podążając za Mangoldem do jego biura, naliczyła tylko trzech żołnierzy. Wszyscy mieli ledwo tyle lat, by się zaciągnąć.

Wnętrze stacji przedstawiało wspaniały widok. Wszystko było nowe i nieskazitelnie czyste, jakby zostało oddane do użytku dopiero co i wyposażone w najnowszy sprzęt. „Gagak” wyglądał przy tym jak dinozaur.

– Zauważyliśmy, że na zewnątrz stacji nie ma żadnych nadajników ani odbiorników laselinii – powiedziała Imala. – Jak się komunikujecie z MF?

– Dobre pytanie – rzekł Mangold. – Za chwilę do tego dojdziemy.

Otworzył drzwi do swojego biura i gestem zaprosił wszystkich do środka. Cała piątka zgromadziła się wokół holostolu i przytwierdziła stopy do podłogi. Mangold ustawił się u jego szczytu i uśmiechnął się miło.

– Zanim zaczniemy, trzeba się zająć pewną sprawą. Międzynarodowa Flota jest gotowa kupić wasz statek.

W powietrzu nad holostolem pojawił się przed Arjuną dokument.

– Kontrakt ten zawiera szczegóły naszej umowy – ciągnął Mangold. – Zasadniczo rzecz ujmując, Międzynarodowa Flota kupi „Gagaka” za sześćdziesiąt tysięcy kredytów, a dodatkowo zapewnimy wam i waszej załodze bezpieczny transport do stacji MF w pasie asteroid.

– „Gagak” nie jest na sprzedaż – powiedział Arjuna. – A zwłaszcza nie za ledwie sześćdziesiąt tysięcy kredytów. Jest wart co najmniej trzy albo cztery razy tyle.

– Zapewnienie waszej rodzinie bezpiecznego transportu do pasa na pokładzie transportowca MF to ogromny koszt. Trzeba

go wziąć pod uwagę.

– Możemy do pasa polecieć sami – rzekł Arjuna. – O co tu chodzi? Powiedziano nam, że kiedy tu dolecimy, MF zapewni ochronę naszej rodzinie.

– Właśnie to staram się zrobić. Lecz ludzka rasa prowadzi wojnę. Moim pierwszym obowiązkiem jest zachowanie naszego gatunku. W tym celu MF potrzebuje waszego statku.

– Nie jest na sprzedaż – powtórzył Arjuna. – A za sprowadzenie nas tu podstępem jest nam pan winien paliwo i zaopatrzenie na cztery miesiące lotu.

– Zachęcam pana do przeczytania kontraktu. Myślę, że uzna go pan za bardzo korzystny. Jeśli odmówi pan sprzedania nam statku, skorzystam z naszego prawa, by go zająć.

Arjuna był wściekły.

– Ty draniu. Rekwirujecie nasz statek, wysyłacie nas w wojskowej misji, narażacie nasze rodziny na niebezpieczeństwo, a teraz po tym wszystkim masz czelność grozić mi zajęciem statku? Co ci daje prawo...

– Hegemon – przerwał mu Mangold. – Najwyższy władca Ziemi. Wyznaczony przez Narody Zjednoczone i zaaprobowany przez wszystkie rządy. On daje mi prawo. Podobnie jak Polemarcha i Strategos. Zapewniam pana, że działam w granicach mojej władzy.

– Uspokójmy się na chwilę – odezwała się Imala. – Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani, a to nam w niczym nie pomoże. – Zwróciła się do Mangolda: – To, co pan proponuje, panie kapitanie, nie jest tym, co nam obiecano. Z naszej perspektywy ta cała sytuacja wydaje się dość zwodnicza. „Gagak” jest naszym domem. Co takiego widzi w nim MF, że tak jej na nim zależy?

– W dalekim kosmosie coś jest – rzekł Victor.

Wszyscy odwrócili się do niego.

– To o to chodzi, tak? – ciągnął Victor. – Nie ma żadnego innego wyjaśnienia. Musicie zbadać coś w dalekim kosmosie, a nasz statek jest najbliżej. Wszystkie inne okręty floty zostały zmobilizowane do ataku na jednostki Formidów albo do zniszczenia przejętych asteroid. Wszystkie więc udały się do

centrum Układu i teraz w pobliżu tego sektora nie ma żadnych okrętów MF. Dlatego kazaliście nam przylecieć tutaj, na skraj Układu Słonecznego, zamiast skierować nas do wewnątrz, ponieważ zamierzacie polecieć „Gagakiem” w daleki kosmos.

Mangold nie odpowiedział.

– Czy to prawda? – zapytała Imala.

– Nie mogę powiedzieć, dopóki nie obiecacie mi pełnej współpracy.

– To nam wystarczy – odezwała się Rena. – Co takiego tam jest?

– Nie mogę powiedzieć – odparł Mangold.

– No to nie obiecujemy pełnej współpracy – rzekł Arjuna. – Nie obiecujemy nawet częściowej współpracy. Chodźcie. Koniec rozmowy.

Odczepił stopy od podłogi i ruszył w stronę drzwi.

– A dokąd się udacie? – zapytał Mangold. – Potrzebujecie paliwa. I prawdopodobnie potrzebujecie także zaopatrzenia. Prawie na pewno żywności, ale i innych rzeczy, ubrań, artykułów medycznych... Jeśli będziecie współpracować, jesteśmy gotowi wszystko to wam dostarczyć. Nie możecie odlecieć. Nie bez naszej pomocy.

To była prawda. Statek był prawie pusty. Mieli paliwo w zbiornikach rezerwowych, ale nie tyle, by mogli dotrzeć do jakiegoś celu, zanim skończy im się żywność. Mogli albo uzupełnić zaopatrzenie tutaj, albo zginąć w czerni.

– A więc tak to się robi? – zapytała Rena. – Właściwie porywacie nas i nasz statek i zmuszacie nas do współpracy?

– Jest jeszcze trzecia możliwość – powiedział Mangold. – Możecie zachować prawo własności statku, jeśli oddacie go do tymczasowego użytku mnie i mojej załodze. Wezmę ze sobą kapitan Bootstamp, ponieważ zna jednostkę. Reszta zostanie tutaj, skąd za pięć miesięcy odbierze was transportowiec MF i przewiezie do pasa. To jest chyba najlepsza oferta, jaką mogę wam zaproponować.

Arjuna zmarszczył brwi.

– A więc zabierzesz mój statek i mi nie zapłacisz? Jakie to niewiarygodnie hojne z twojej strony.

– Może się pan do nas przyłączyć. W gruncie rzeczy wolałbym mieć pana ze sobą. Musiałby się pan zaciągnąć do Międzynarodowej Floty i działać pod moją komendą, ale byłbym zachwycony pańską pomocą.

– Jakie to uprzejme z twojej strony, że pozwalasz mi zostać pasażerem na własnym statku.

– A co ze mną? – zapytała Rena. – Wzięłby mnie pan ze sobą?

Arjuna i Victor odwrócili się do niej zaskoczeni.

– I zanim ktokolwiek z was powie, że jestem za stara, żeby wstąpić do MF, powinniście wiedzieć, że jestem najlepszym nawigatorem, jakiego macie. Wszyscy żołnierze, których tu widziałam, wyglądają na ledwie pełnoletnich. Z całą pewnością mam większe doświadczenie i lepsze kwalifikacje od nich do prowadzenia „Gagaka”.

– Nawet nie wiesz, co to za misja – zauważył Arjuna.

– Nie muszę wiedzieć. Jeśli mogę w jakikolwiek sposób przyczynić się do wygrania tej wojny, to zrobię to. I, szczerze mówiąc, tak naprawdę jestem jedyną osobą na pokładzie, która może pomóc. Nie mam małych dzieci... nie mam innych zobowiązań... Od czasu gdy Arjuna mnie przyjął, jestem tylko zbędnym bagażem. Jeśli mnie pan weźmie ze sobą, mogę pomóc.

– Nie jest pani za stara – rzekł Mangold. – Pani pomoc uznalbym za zaszczyt.

– W żadnym razie nie spuszczę z oka mojej żony ani matki – oznajmił Victor. – Jeśli one lecą, to lecę i ja.

– Obawiam się, że to niemożliwe – powiedział Mangold. – Mam rozkazy wysłać pana gdzie indziej.

Na te słowa Imali pękło serce. A więc zostaną z Victorem rozdzielni.

– Ale tu nie ma żadnych statków – zauważyła Rena. – Jak on ma się udać gdzie indziej?

– Wyślemy go szybkim statkiem międzygwiazdowym – powiedział Mangold. – SSM. Albo, jak go nazywamy w MF, świstatkiem. To są małe jednoosobowe statki, które poruszają się z niewiarygodną prędkością. Wystrzelimy Victora w jednym z nich.

– Wystrzelimy? – zapytała Imala. – On już tak leciał szybkostatkiem. Prawie przyplącił to życiem.

– Wiemy o locie Victora szybkostatkiem przed pierwszą wojną z Formidami. Jednostka, którą zbudował, zainspirowała inżynierów do skonstruowania czegoś podobnego. Zapewniam jednak panią, że świstatki są o wiele bezpieczniejsze. Przez ten czas wiele się nauczyliśmy, a Victor sklecił swój statek z nielicznych materiałów, do jakich miał wtedy dostęp. Nasz model jest wyposażony w najnowszy układ podtrzymywania życia. Lot nie będzie w żadnym razie przyjemny, ale go nie zabije.

– Jakie to pocieszające – rzekła Imala.

– Dokąd dokładnie mam się udać? – zapytał Victor.

– Ma się pan spotkać z flotą lecącą w stronę formidzkich okrętów, które znajdują się nad ekliptyką – wyjaśnił Mangold. – Dotrze pan do naszych okrętów przed ich atakiem i będzie pan podczas niego służył jako mechanik i inżynier. Polemarcha osobiście poprosił, by znalazł się pan na jego okręcie.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Imala walczyła z narastającą paniką. Wysłanie Victora do floty atakującej okręty Formidów było jak wyrok śmierci.

– A gdyby odmówił? – zapytała.

– Zostałby postawiony przed sądem wojskowym za zaniedbanie obowiązków i aresztowany – odpowiedział Mangold.

Imala zmarszczyła brwi.

– Ach, tak. Oto sprawiedliwość. A więc powołujecie go do wojska bez jego zgody, a jeśli nie wykonuje waszej woli, aresztujecie go? Nie wydaje się to panu jawnie niesprawiedliwe?

Victor przykrył jej dłoń swoją.

– Już dobrze, Imalo.

– Nie, nie jest dobrze. Ty się na to nie pisałeś, Vico. Nie ma w tym nic dobrego.

– Jestem potrzebny. Mogę pomóc. Ty i matka macie rację. Wszyscy z nas mają tu zobowiązania. To jest większe od nas.

To samo mówiła jemu, kiedy sama wstąpiła do floty, ale teraz bardzo jej się nie podobała ta logika. Wiedziała, że to prawda, wiedziała, że Victor może pomóc, a może nawet ocalić flotę, ale to

wcale nie ułatwiało rozstania. Teraz byli jednością, rodziną. A MF ich rozdzielała.

Odwróciła się do Mangolda i zebrała w sobie.

– Jest tu czwarta możliwość, której być może nie wziął pan pod uwagę.

Mangold uniósł brew.

– Słucham.

– Straszy pan nas przejęciem naszego statku, ale oboje wiemy, że to czczya groźba. Przejmijcie nas, a dowiedzą się o tym wszystkie statki górnicze w przestrzeni kosmicznej. MF traci zaufanie publiczne. Niepotrzebne wam szaleństwo mediów i przypięcie wam łatki tyranów. Wasze lekkomyślne postępowanie z naszą rodziną zagroziło życiu małych dzieci. Wątpię, by taka informacja rozpowszechniona w sieciach przyniosła wam korzyść. Więc przestańmy udawać, że może nas pan zmusić do podjęcia decyzji.

Mangold przez chwilę milczał.

– Co pani proponuje?

– Powiedział pan, że transportowiec przybędzie tu za pięć miesięcy. Ci z nas, którzy polecą z panem, jeszcze wtedy nie wrócą, boby pan o tym powiedział. Co oznacza, że cel tego lotu nie znajduje się blisko.

– Nie – potwierdził Mangold. – Możliwe, że nie zobaczą państwo swojej rodziny przez dwa do trzech lat, a może nawet dłużej.

Trzy lata, pomyślała Imala. To jak całe życie. Ale to oczywiście tyle potrwa. Lot Victora świstatkiem potrwa co najmniej rok w jedną stronę, zależnie od prędkości statku. A ona będzie zmierzać w przeciwną stronę. Trzy lata to zapewne bardzo szacunkowe wyliczenie.

– Arjuna jest ojcem czworga dzieci, które nie skończyły sześciu lat – powiedziała Imala. – Jest patriarchą tego statku. Załoga liczy na niego jako na przywódcę. Bez niego i Reny rodzina zostanie tego przywództwa pozbawiona. Proponuję zatem, by Arjuna został ze swoją rodziną, a MF wynajęła od niego „Gagaka” za sto tysięcy kredytów rocznie.

– Sto tysięcy? – powtórzył Mangold. – Wynająć? Rocznie? To

absurd.

– To niewielka cena za zachowanie ludzkiej rasy – stwierdziła Imala. – A jeszcze nie skończyłam. Zwróci pan statek w idealnym stanie Arjunie i jego rodzinie po zakończeniu misji w ciągu czterech lat albo zapłaci mu pan pełną cenę statku, która wynosi obecnie czterysta tysięcy kredytów.

Mangold się zachnął.

– Nawet on nie mówił, że statek jest tyle wart!

– Jeszcze nie skończyłam. MF będzie przestrzegać tego planu albo zapłaci pan dodatkowe piętnaście tysięcy kredytów za każde trzydzieści dni opóźnienia w zwrocie statku lub wypłacie odpowiedniej sumy, albo podpisze pan wspólnie uzgodniony nowy kontrakt, opiewający na kwotę nie mniejszą od tych, które ustalimy dzisiaj. To wszystko oczywiście w dodatku do wcześniej wspomnianego transportu dla Arjuna i jego rodziny do pasa.

– Teraz to już pani wykorzystuje sytuację – powiedział Mangold.

– A pan nie? – zapytała Imala.

Mangold westchnął.

– Nie mam pełnomocnictwa do zaakceptowania takiej oferty.

– A zatem zaczekamy, aż wyśle pan informację do osoby, która może tę ofertę zaakceptować. Inaczej nie zawrzemy umowy.

– Przypominam pani, że jest pani oficerem Międzynarodowej Floty. Ma pani stać po mojej stronie.

– Stoję po pańskiej stronie. Pomagam tylko panu w negocjacjach. Pierwotna oferta MF był obraźliwie niska i do niczego nie prowadziła, zwłaszcza zważywszy na wyjątkowy charakter tego statku, który Victor przebudował od podstaw i uczynił prawie niezniszczalnym. To nie są pańskie pieniądze, panie kapitanie. A kiedy ostatnim razem sprawdzałam, Międzynarodowa Flota miała bardzo pojemny kufer.

Mangold znowu westchnął i zwrócił się do Arjuna:

– Statek jest zarejestrowany na pana. Czy zgadza się pan na te warunki?

Arjuna się zawahał.

– To najlepsza oferta, jaką dostaniesz – powiedziała Rena.

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o opuszczenie statku.
– Imala i ja dopilnujemy, żeby do ciebie wrócił. Twoje miejsce jest przy twojej rodzinie. Jeżeli przegramy, będzie chciała cię mieć przy sobie.

Arjuna zwrócił się do Mangolda:

– I przechowa pan tu mnie i moją rodzinę do przybycia transportowca? Czy otrzymamy opiekę, wyżywienie? Mamy na pokładzie dzieci.

– Nie ma tu na stacji wielu wygod i będzie ciasno, lecz nieliczna tutejsza załoga MF będzie żywić pańską rodzinę i opiekować się nią do przybycia transportowca, który następnie zawiezie ją do pasa.

Arjuna przez chwilę się zastanawiał, a potem skinął głową.

– A zatem się zgadzam.

Mangold przeczytał jakiś tekst z nakładki na nadgarstek, a następnie wpisał coś do niej i kontrakt widniejący przed Arjuną został zastąpiony przez nowy dokument.

– Komputery statku zmieniły kontrakt na podstawie naszej rozmowy. Zawiera on propozycję wynajęcia statku.

Przed Reną też pojawił się jakiś dokument.

– To jest nasza standardowa umowa dla rekrutów floty – powiedział Mangold. – Jeśli wszyscy podpiszą, będziemy mogli działać dalej. – Odwrócił się do Victora i Imali. – Wy dwoje nie musicie niczego podpisywać. Jako członkowie MF podlegacie jej rozkazom.

– Myślałam, że mówił pan, że nie może pan zaakceptować mojej propozycji.

– Nie zrobiłem tego ja, lecz komputer. Zna aktywa MF i zapewniam państwa, że to jest prawnie wiążąca umowa.

To wydało się Imali dziwne. Wiedziała o algorytmach, które potrafią przewidzieć prawdopodobieństwo zaakceptowania przez dwie strony umów finansowych, jak w wypadku fuzji firm i ich zakupu, ale nigdy nie słyszała o komputerze, który potrafiłby zaakceptować ofertę. Było bardziej prawdopodobne, że ich rozmowy słuchał ktoś o większym zakresie władzy i właśnie dał Mangoldowi zielone światło. Ale jeśli tak, to kto to

był? Ktoś na stacji? Zapewne. Wysłanie przekazu laseliną na Lunę i na Ziemię, a następnie czekanie na odpowiedź trwałoby kilka godzin.

Rena i Arjuna przeczytali dokumenty i je podpisali.

– Dobrze – rzekł kapitan Mangold. Dokumenty zniknęły. – A teraz, jako że jest to misja ściśle tajna, muszę prosić Arjunę i chorążego Delgado o opuszczenie pomieszczenia, żebym mógł porozmawiać z Reną i kapitan Bootstamp na osobności.

– I tak powiedzą nam później – zauważył Arjuna.

– Nie, nie zrobią tego, ponieważ byłby to akt zdrady. Mam nadzieję, że wszyscy to rozumieją.

– A więc nie mogę wiedzieć, dokąd pan posyła moją żonę? – zapytał Victor.

– Nie ja ustalam zasady.

– W porządku – powiedziała Imala. – Spotkamy się na statku.

Victor i Arjuna z ociąganiem wyłączyli nagolenice i wypłynęli na zewnątrz. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Mangold powiedział:

– W dalekim kosmosie jest niewielki formidzki statek. Odłączył się od floty już jakiś czas temu, ale wciąż trzyma się z dala. Podczas gdy okręty wojenne zbliżyły się i zawisły ponad ekliptyką i poniżej jej, ta jednostka trzymała się z tyłu i zajęła pozycję nad nimi wszystkimi. Nazywamy ją statkiem obserwacyjnym, ponieważ uważamy, że takie ma zadanie – obserwować działania wojenne z bezpiecznej odległości. Nie mamy oczywiście pewności, ale wiele wskazuje na to, że na pokładzie tego statku może się znajdować królowa roju.

Rena i Imala wymienili spojrzenia.

– A jaka jest nasza misja? – zapytała Rena. – Zaatakować ten statek? „Gagak” nie jest okrętem wojennym.

– Jest wyposażony w najnowsze lasery górnicze firmy Juke – rzekł Mangold. – I, jak pani powiedziała, ma potężne osłony i jest prawie niezniszczalny. Przejrzelśmy jego plany. „Gagak” jest tak wytrzymały, jak to tylko możliwe. To główny powód, dla którego go wybraliśmy.

– Nie jest zaprojektowany do lotów międzygwiazdnych –

zauważyła Imala. – Jak daleko znajduje się ten statek obserwacyjny?

– Sądzymy, że możemy do niego dotrzeć w ciągu roku. Zakładając, że najpierw nieco zmodyfikujemy „Gagaka”. Mamy już tu potrzebny sprzęt. Przygotowania powinny zająć tylko kilka tygodni.

– A więc naszą misją jest zabójstwo królowej roju? – zapytała Rena. – Imala i ja nie zostałyśmy przeszkolone do walki. Zakładam więc, że tę misję wykona wasza załoga.

– Moja załoga jest młoda, ale została wyjątkowo dobrze wyszkolona do tego zadania. To ona będzie walczyć. Waszym zadaniem jest dostarczyć ją na miejsce.

– Jeśli to jest statek obserwacyjny, to czy Formidzi nie zauważą, że się zbliżamy? – zapytała Imala. – Co ich powstrzyma przed wystrzeleniem do „Gagaka” albo ucieczką? Czy może o to chodzi? Czy my tu jesteśmy królikami doświadczalnymi? Spisanymi na straty żołnierzami wysłanymi do walki, żeby wróg ujawnił możliwości swojej broni? Żeby w ten sposób MF dowiedziała się, z czym ma się zmierzyć, i mogła się przygotować na prawdziwego przeciwnika?

– Zapewniam panią, że nie o to chodzi. Ta misja jest prawdziwa i należy tylko do nas. Nie przybyłem tu, żeby zginąć w imię ujawnienia inteligencji wroga. MF nie prosiłaby też o to was. Przybyłem tu, by zabić królową roju. Ona jest kimś więcej niż generałem tej armii. Ona jest jej umysłem, jej sercem, jej wolą. Jej żołnierze polegają na jej kierownictwie i poleceniach. Gdybyśmy zdołali przerwać tę łączność, moglibyśmy zdestabilizować całą armię.

– Albo moglibyście ją po prostu rozwścieczyć – stwierdziła Rena. – Po zabiciu królowej jej żołnierze mogliby walczyć tym zacieklej, żeby się zemścić.

– Możliwe – rzekł Mangold. – Ale nie będą zorganizowani. Rozproszą się, podzielą i będą walczyć bez rozkazów. Wtedy moglibyśmy ich pokonać. Ich najmocniejszą stroną jest wspólny umysł. Pozwala im na natychmiastowe dzielenie się informacjami i reagowanie jak jeden organizm. Gdybyśmy zdołali

to powstrzymać, moglibyśmy mieć w tej wojnie jakąś szansę.

– Ale królowa roju to tylko teoria – powiedziała Rena.

– To prawda, ale jest więcej dowodów na to, że istnieje, niż przemawiających przeciwko temu. I gdyby pani była królową roju nastawioną na walkę z obcym gatunkiem, to gdzie by się pani znajdowała? Ze swoimi siłami w wirze walki czy przyczałaby się pani w bezpiecznym miejscu, żeby z dala obserwować rozwój akcji? Ale nawet jeżeli się mylimy, nawet jeżeli królowej roju tam nie ma, to Formidzi umieścili tam ten statek z jakiegoś powodu. I bez względu na to, jakie mają plany, chcemy je im pokrzyżować.

Omawiali szczegóły, przeglądając planowane modyfikacje „Gagaka”, ale Imala słuchała tylko jednym uchem. Myślami wciąż wracała do Victora. Tyle lat byli razem, a tylko kilka miesięcy jako mąż i żona. Kiedy tej nocy zapięli się w swoim śpiworze i Imala przytuliła się do Victora, zastanawiała się, dlaczego tak długo zwlekali ze ślubem. Teraz ich potrzeba siebie nawzajem była tak oczywista. Dlaczego czekali? Bo miłość nie była natychmiastowa, napomniwała się Imala. Przyszła stopniowo, rodziła się z chwili na chwilę. Imala zawsze lubiła towarzystwo Victora, zawsze chciała znajdować się blisko niego. Lecz nie jako jego małżonka, nie jako kobieta, która urodzi jego dzieci i poświęci mu życie. Był przyjacielem. Nie, był kimś więcej. Zawsze był kimś więcej. I może to właśnie stanowiło problem. Tak długo byli dla siebie tak bliscy, że wzniesienie się ich relacji na wyższy poziom, na poziom miłości, odbyło się tak szybko, że Imala tego nie zauważyła. Ale naprawdę go kochała. To nie ulegało wątpliwości. Nie tak wyobrażała sobie przedtem miłość; teraz te oczekiwania wydawały jej się niemądre i dziecinne. To była po prostu radość. Radość z przebywania z nim, z widzenia go, ze słyszenia jego głosu. Powrót do domu.

A teraz wszystko to traciła. Może na trzy lata. Może na zawsze.

Wystrzelili go następnego ranka. Świstatek miał wysokość może regału na książki i głębokość stołu w jadalni. Mangold dał

Victorowi broszurę zatytułowaną *Jak się odświstać* ze wskazówkami na temat ćwiczeń, które powinien robić po przybyciu do celu, oraz leków, które powinien wtedy zażywać. Będzie wrakiem człowieka, ale przeżyje.

Ponad godzinę zajęło technikom podłączenie Vico do kroplówki i umieszczenie na jego ciele wszystkich elektrod, które miały co pewien czas pobudzać jego mięśnie, żeby nie uległy atrofii. Cały czas otaczał go tłum, więc Imala nie mogła spędzić z nim ani chwili na osobności, zanim został uśpiony. Zakryto mu twarz maską tlenową i zatopiono go w żelu. Miała wrażenie, że to pogrzeb. Jakby patrzyła na ukochanego męża składanego do ziemi.

Stała przy iluminatorze i obserwowała, jak odlatuje, nie odrywając wzroku od punkciku światła będącego jego statkiem. Stała tam jeszcze długo po tym, jak punkcik zniknął wśród gwiazd.

Rozdział 29

CASTALIA

Nikt nie patrzył na Erosa. Być może to był największy błąd MF.

Demostenes, Historia wojen z Formidami, t. 3

Mazer odepchnął się od ażurowej ściany sali walki i popłynął na drugą stronę, wykonując po drodze obrót, by wylądować stopami do przodu. W momencie uderzenia ugiął kolana i chwycił się kraty. O tak wczesnej porze był tu sam. Dobrze było znowu pływać. Sala walki była zamknięta przez ostatnie dwa miesiące; rozprostowanie nóg i pobudzenie krążenia dawało poczucie swobody.

Kiedy statek zmieniał kurs, kierując się do asteroidy o nazwie Castalia, wszyscy znajdujący się na jego pokładzie musieli przypiąć się w swoich hamakach. W trakcie hamowania, zmiany kierunku lotu i ponownego przyśpieszania nikomu nie wolno było wstać i poruszać się po pokładzie. To było nie do wytrzymania. Wszyscy żołnierze należeli do sił specjalnych i byli szkoleni do poruszania się, maszerowania, przenikania za linie wroga, atakowania. Bezczynne leżenie w hamaku całymi tygodniami stanowiło dla nich największą próbę cierpliwości i wytrwałości, zwłaszcza kiedy sala walki znajdowała się tak blisko i przyzywała ich.

Mazer wiedział, że ludziom spodoba się ta gra. Jako żołnierze kochali potyczki. Żyli dla pozorowanych bitew, w których dochodzili do granic swoich możliwości i uczyli się przydatnych posunięć taktycznych. Mazer nie spodziewał się jednak, że tak ich pochłonie. Była czymś więcej niż zestawem ćwiczeń, więcej niż ucieczką od monotonii kosmicznego lotu. Była czymś, dla czego

żyli. Stała się bijącym sercem ich kultury. Zespoły tworzyły mundury, flagi, okrzyki wojenne, piosenki. Własnoręcznie zrobione trofea, które przyznawali sobie nawzajem, były śmiesznymi drobiazgami, ale żołnierze wystawiali je jak bezcenne statuetki. Po każdym zwycięstwie korytarze statku rozbrzmiewały nieszkodliwą paplaniną, odgłosami poklepywania się po plecach i radosnymi okrzykami. Rozkłady okresów snu zostały zmienione tak, by ćwiczyć mogło więcej zespołów. Godziny posiłków dostosowano do bitew i specjalnych sesji treningowych. Wszystko obracało się wokół sali walki. A teraz, kiedy statek przybył do Castalii, kiedy skończyli hamowanie i byli gotowi do przeprowadzenia ataku, Mazer mógł wreszcie wyjść na zewnątrz i zaznać chwili samotności przed rozpoczęciem misji.

Zadanie jej zaplanowania kontradmirał Zembassi wyznaczył pułkownikowi Li, lecz ten w kwestii szczegółów polegał na Mazerze i Bingwenie. To nie było trudne: doprowadzić do wybuchu atmosfery, wysłać zespół żołnierzy, żeby potwierdzili, że Formidzi i inne stworzenia zostali spaleni na kosmiczny pył, a następnie sprowadzić Bingwena i pozostałych kadetów, by zbadali tunele i zgromadzili wszelkie dodatkowe dane.

Mazer odbił się jeszcze dwa razy, a potem wrócił do środka, żeby przygotować się do misji. Przy włączu czekał na niego Li.

– Kontradmirał natychmiast chce cię widzieć u siebie.

– Coś się stało? – zapytał Mazer.

– Waganow usiłuje storpedować całą operację.

Pośpieszyli do biura Zembassiego i zastali obu oficerów mierzących się w milczeniu wzrokiem. Napięcie między nimi było namacalne. Zembassi miał wściekłą minę. Waganow miło się uśmiechał.

– Chciał się pan ze mną widzieć, panie kontradmirał? – odezwał się Mazer.

– Mamy problem, panie kapitanie – rzekł Zembassi. – Kontradmirał Waganow postanowił zmienić nasze rozkazy i utopić tę misję w biurokratycznym bagnie.

– Przesadzasz, Faridzie – powiedział Waganow. – Ja jedynie

zwróciłem uwagę kilku kolegów na fakt, że twój zespół nie wziął pod uwagę paru zasadniczych szczegółów.

– O czym dokładnie zapomnieliśmy, panie kontradmirał? – zapytał Mazer.

Waganow skrzywił się, jakby pytanie Mazera było żenujące.

– Gdybyś staranniej zaplanował tę misję, Mazerze, nie musiałbyś zadawać tego pytania.

– Przestań się z nim bawić i mów, o co chodzi – warknął Zembassi.

– Te stworzenia, Mazerze. Wskazówkami są te stworzenia. Ślimaki, larwy, robale, wszystkie te małe obce paskudztwa wewnątrz tej skały. Dostarczą nam więcej informacji o zamiarach Formidów, niż mogłaby to zrobić pusta dziura w skale, a właśnie to znajdą twoi kadeci, jeżeli zniszczysz atmosferę asteroidy. Te stworzenia mają DNA, Mazerze – czy też to, z czego jest zbudowana struktura ich białek. A zbadanie ich DNA mogłoby nam dostarczyć ostatecznych odpowiedzi, których szukamy. Na Ziemi przeważa przekonanie, że zostały stworzone za pomocą bioinżynierii przez samą królową roju. Gdybyśmy mogli je schwytać, rozkroić i zrobić to, co robią w takich sytuacjach naukowcy, moglibyśmy się dowiedzieć, co tkwi w umyśle królowej roju. A przynajmniej dowiedzielibyśmy się więcej o tym, jak się z tymi stworzeniami komunikuje. Może znaleźlibyśmy informację, której potrzebujemy, by przerwać to łącze.

– Rozważaliśmy to, co pan proponuje, panie kontradmirał, lecz z pomysłem tym wiąże się oczywiste niebezpieczeństwo. Atmosfera...

– ...składa się z wybuchowego gazu – przerwał Mazerowi Waganow. – Tak, tak. Ale nie zmienia to faktu, że niszcząc asteroidę, możecie spalić bardzo ważne informacje. A co, jeśli w środku znajduje się komputer ze wszystkimi ich poufnymi informacjami? Zniszczymy go w wybuchu, nawet nie usiłując go przejąć?

– Formidzi nie używają komputerów, panie kontradmirał – rzekł Mazer.

– Zgodnie z naszą dotychczasową wiedzą. To, że ich nie widzieliśmy, nie znaczy, że nie istnieją. A nawet jeśli nie ma tam komputera, to mogłby się znajdować jakiś inny obiekt o znaczeniu militarnym. Jakieś urządzenie, broń... coś, co możemy wykorzystać przeciwko nim. Zamierzamy to po prostu zniszczyć bez sprawdzenia?

– Zastanawialiśmy się nad tym. Długo nad tym dyskutowaliśmy, lecz w końcu z wielu powodów uznaliśmy, że wysłanie żołnierzy i kadetów na obiekt, który zasadniczo jest potężną uzbrojoną bombą, to zły pomysł. Po pierwsze, istnieje możliwość, że któryś z żołnierzy skrzese iskrę i spowoduje wybuch atmosfery...

– Victor Delgado tego nie zrobił – zauważył Waganow.

– Victor Delgado miał niezwykle szczęście. Przy większej liczbie żołnierzy w tym środowisku szanse na skrzescie iskry znacznie wzrastają.

– Wysyłamy naszych żołnierzy w niebezpieczne miejsca. To nasz zawód. Podejmujemy ryzyko.

– Są też inne powody – powiedział Mazer. – Jeżeli Formidzi rzeczywiście mają wspólny umysł, to jest prawdopodobne, że królowa roju wie o tym, że Victor Delgado przeniknął do jednej z asteroid i ukradł miniaterek. Wie zatem, że te obiekty są narażone na atak. I jeśli, jak pan sugeruje, wewnątrz Castalii znajduje się coś cennego, to królowa roju robi wszystko, żebyśmy tego nie zdobyli, łącznie z osobistym zniszczeniem asteroidy. Proszę pamiętać, że pojedynczy robotnicy jej nie obchodzą. Chętnie poświęciłaby kilku z nich, by przeszkodzić ludziom w zdobyciu czegoś, co mogłoby nam dać przewagę. Wystarczy, że wyśle któremuś z Formidów na Castalii mentalny rozkaz skrzescia iskry. Formidzi posłuchaliby jej bez wahania.

– Jeśli to prawda, to dlaczego królowa roju nie zdetonowała atmosfery i nie zabiła Victora? – zapytał Waganow.

– Prawdopodobnie sądziła, że jej Formidzi poradzą sobie z jednym intruzem – rzekł Mazer. – A kiedy Victor stracił hełm, wiedziała, że już nie ucieknie. Wątpię, by popełniła ten sam błąd dwa razy. Skoro wie, że interesujemy się jej sprzętem i działaniami, będzie szczególnie ostrożna.

– To wszystko są spekulacje pozbawione znaczenia. Wasze rozkazy zostały zmienione. Macie zakaz wysadzania tej asteroidy. Macie zebrać okazy stworzeń, a następnie posłać tam kadetów, by przeprowadzili zwiad w tunelach.

Mazer zamrugał.

– Panie kontradmirał, z całym szacunkiem, ale wysyłanie kadetów w wybuchową atmosferę jest złym pomysłem.

– Od wielu miesięcy szkolisz ich do walk w tunelach. Co twoim zdaniem zamierzaliśmy z nimi zrobić?

– Owszem, potrafią się poruszać w tunelach, ale o wiele bezpieczniej byłoby ich tam posłać po zniszczeniu atmosfery i zabezpieczeniu terenu.

– Twoje osobiste przywiązanie do Bingwena przeszkadza ci w ocenie sytuacji, Mazerze. Dzięki mojej propozycji możemy wiele zyskać. Rozmawiałem z kontradmirałem Cormackiem i admirałem Denashim, którzy poparli mój pomysł u Polemarchy, który go poparł u Hegemona. Ta sprawa jest już załatwiona.

– Innymi słowy – rzekł Zembassi – użył ansibla znajdującego się na tym statku do prywatnej korespondencji. Działał za moimi plecami, uzurpował sobie moją władzę i stworzył sytuację zagrażającą moim ludziom.

– Zrobiłem to, co ty powinienesz być zrobić, Faridzie. Miałem na względzie całościowy obraz.

Mazer spojrzał na Zembassiego.

– Hegemon się na to zgodził?

– Waganow zaprzął do tego całą armię ludzi – ksenobiologów, kontakty w DoCent... Przekonał ich, że można na tej asteroidzie zdobyć coś cennego. A zważywszy, że kierując się logiką Bingwena, już wcześniej powiedziałem Polemarsze i Strategosowi, że ta asteroida może mieć szczególne znaczenie, Waganow nie miał trudnego zadania.

– Nie jestem tu czarnym charakterem – stwierdził Waganow. – Jedynie poprawiam popełniony przez ciebie strategiczny błąd.

– Pomagasz swojej karierze, ot co.

– Mylisz się. Podejmuję tu ogromne ryzyko. Gdyby z powodu eksplozji miało się coś stać twoim ludziom, wina spadnie na

mnie.

Mazer niemal się na te słowa roześmiał. Oczywiście, że wina nie spadnie na Waganowa. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by tego uniknąć. Zrzuciłby ją na Mazera. Albo na pułkownika Li. Albo na żołnierzy prowadzących tę operację. Uciekłby we wzgórza i pokazywałby oskarżycielsko na wszystkich innych. Tak przeżywają ludzie pokroju Waganowa. A jeśli naprawdę coś znajdziemy, pomyślał Mazer, czego i tak się spodziewaliśmy, Waganow odepchnie wszystkich innych i całą zasługę przypisze sobie. Zachował jednak kamienną twarz i po prostu powiedział:

– A co powiemy światu, jeśli Bingwen i kadeci zginą? Jak uzasadnimy umieszczenie dzieci w tak ewidentnie niebezpiecznej sytuacji?

– Hegemon wypowiedział się na ten temat bardzo wyraźnie – rzekł Waganow. – Jeśli chodzi o świat, to program szkolenia kadetów nie istnieje. Nie ma żadnego programu. Jeżeli będą jakieś ofiary, to nie ma po nich zostać żaden ślad.

– Zatem narazimy ich na niebezpieczeństwo, a potem będziemy udawać, że w ogóle ich nie było? Jakie to szlachetne z naszej strony. Cóż za honor.

Twarz Waganowa pociemniała.

– Ci kadeci są jedynymi ludźmi na tyle drobnymi, by mogli się poruszać w tych tunelach. Nie mamy wyboru. A może wołałbyś, żeby po wygraniu tej wojny Formidzi zaszlachtowali ci żonę?

Powstrzymanie się od zatopienia pięści w twarzy Waganowa wymagało od Mazera zaangażowania całej jego samokontroli.

– Zapominasz się, Waganow – powiedział Zembassi.

– Jestem jedyną osobą, która mówi tu z sensem. Ci kadeci to sieroty. Skutek uboczny pierwszej wojny. Nie mają żadnych krewnych. Myślisz, że to przypadek? Jak sądzisz, dlaczego zostali wybrani do tego programu? A poza tym o co się martwisz? Wyszkolił ich Mazer. Jeśli wyszkolił ich właściwie, nic im nie będzie. – Waganow ruszył do drzwi. – A teraz przepraszam, macie misję do zaplanowania. Nie chciałbym wam w tym przeszkadzać. – Waganow skłonił się lekko i wyszedł.

– Proponuję wysłać tego drania na Castalię i spowodować jej

wybuch – rzekł Zembassi.

Li stał na uboczu. Przez całą rozmowę milczał, lecz teraz się odezwał:

– Mazer dobrze wyszkolił kadetów. Wykonają każdą misję, jaką im przydzielimy.

– Nie możemy tam wysłać nikogo, kto nie ma podwójnej ochrony – powiedział Mazer. – Zwłaszcza kadetów.

– Wszyscy będziecie mieli egzoskafandry – stwierdził Li. – Victor zaprojektował je tak, by chroniły przed wysoką temperaturą.

– Tak, ale nie mamy wielu ostatecznych danych na temat tego, czy te skafandry są wystarczająco mocne, by nas ochronić. Jeśli napełni się balon wodorem i tlenem i doprowadzi do wybuchu tej mieszanki, temperatura zapłonu wynosi około pięciuset osiemdziesięciu stopni Celsjusza. A to jest duże gorąco. W pięciuset trzydziestu ośmiu stopniach mięknie stal. Wewnątrz tego kokonu jest o wiele więcej powietrza niż w balonie. Kiedy w chwili detonacji cząstki powietrza będą uderzać o siebie i wyrwać się na zewnątrz, zrobi się o wiele goręcej.

– Skafander jest ze stopu niklu i chromu – powiedział Li. – Jakie są ich temperatury topnienia?

– O wiele wyższe – rzekł Mazer. – Niklu prawie tysiąc pięćset, a chromu ponad tysiąc dziewięćset, a zatem ponad trzy razy wyższe od temperatury topnienia stali. Stop Victora jest prawdopodobnie jeszcze silniejszy, mimo to wewnątrz skafandra może się zrobić bardzo gorąco.

– Może nie – powiedział Zembassi. – Wybuch dałby chwilowy wzrost temperatury, a nie stałe gorąco. W próżni przestrzeni kosmicznej natychmiast by się ono zmniejszyło. Bardziej martwi mnie ilość uwolnionej energii. Zostalibyście uderzeni przez gwałtownie rozpraszający się gaz i szczątki powstałe wskutek wybuchu.

– Potrzebujemy dodatkowej osłony – stwierdził Mazer. – Tak dla bezpieczeństwa. Sugeruję, żebyśmy zebrali wszystkie nanotarcze znajdujące się na pokładzie i utworzyli z nich pęcherz dookoła jednego żołnierza albo kadeta. Albo jeszcze lepiej,

zrobmy mniejszy pęcherz z wielu warstw nanotarcz. Ułożmy jedną nanotarczę na drugiej. Tyle, ile się da.

– Mamy ograniczoną ich liczbę – zauważył Li.

– I tak potrzebujemy niewielkiego zespołu – rzekł Mazer. – Gdyby Formidzi zdetonowali kokon, kiedy znaleźlibyśmy się wewnątrz niego, to wybuch prawdopodobnie rozruciłby żołnierzy w rozmaitych kierunkach. Trzeba by ich było podjąć ładownikiem statku. Im więcej żołnierzy jest do podjęcia, tym bardziej jest prawdopodobne, że niektórych się straci. Proponowałbym wysłać najwyżej trzech. Mnie, Kaufmana i Rimasa. Pracowałem z nimi w WYBABiM-ie. Przeprowadziliśmy razem wiele testów polowych. Stanowimy bardzo dobry zespół. Wchodzimy do środka, wywabiamy Formidów, zabijamy ich, zabezpieczamy teren, a następnie sprowadzamy kadeta, żeby sprawdził tunele i zebrał okazy robali.

– Jednego? – zapytał Zembassi.

– Minimalizujemy ryzyko ofiar i ryzyko wybuchu. Im więcej kadetów pošlemy do środka, tym większe jest ryzyko, że któryś z nich skrusze iskrę.

– To powinien być Bingwen – zasugerował Li.

– Zamierzałem zaproponować Chatiego – rzekł Mazer. – Jest drobniejszy od Bingwena.

– Bingwen jest lepszym żołnierzem i ty o tym wiesz. Ma większe doświadczenie bojowe niż większość mężczyzn znajdujących się na tym statku.

– Zgadzam się – powiedział Zembassi. – Nikt nie myśli szybciej od niego. I nikt nie jest lepiej wyszkolony. Poza tym on jest tylko odrobinę większy od Chatiego. Będzie się poruszał w tunelach najlepiej z nich wszystkich. Wiem, że jesteście sobie bliscy, Mazerze, ale wybór padł na niego. To rozkaz.

Mazer chciał powiedzieć, że to tylko chłopiec, ale wiedział, że jego przełożeni mają rację. Jeżeli ta misja była do przeprowadzenia, to mógł to zrobić tylko Bingwen.

– Powiedziałeś, że w razie wybuchu żołnierze zostaną odrzuceni od asteroidy – rzekł Li. – Może przywiązać was na długich linach? W ten sposób nie trzeba będzie was podejmować.

– Wybuch sprawi, że nasze ciała zostaną poddane działaniu ogromnego przeciążenia. Gdybyśmy byli uwiązani, zatrzymalibyśmy się natychmiast po naprężeniu liny. A nagła siła takiego zatrzymania mogłaby nas zabić. Kości mogłyby przebić najważniejsze narządy. Lepsze byłoby stopniowe hamowanie. Zatem dociera do nas lądownik, chwytą nas i spowalnia nasz ruch. To znaczy zakładając, że przeżyjemy wybuch.

– Podoba mi się pomysł wykorzystania nanotarcz do stworzenia ochronnego pęcherza – stwierdził Zembassi.

– Dwóch pęcherzy – poprawił go Mazer. – Jednego wewnątrz drugiego dla dodatkowej ochrony. Inżynierowie będą musieli w tym celu przeprogramować nanoboty.

– Czy w razie wybuchu boty wytrzymają taki nacisk? – zapytał Li. – Są mikroskopijne. Nie spalą się?

– Zapytajmy inżynierów – powiedział Mazer. – Niech zrobią obliczenia.

Dwa dni później zebrali się w ładowni gotowi do startu. Mazer, Kaufman, Rimas i Bingwen mieli na sobie egzoskafandry. Nie włożyli jeszcze hełmów i ostatni raz szybko powtórzyli sobie cele misji. Używając swojej nakładki na nadgarstek, Mazer stworzył w powietrzu holo asteroidy.

– Castalia ma kształt orzeszka ziemnego. Jakby to były ściśnięte razem dwie asteroidy. Wchodzimy tutaj, w pobliżu zetknięcia się tych dwóch części. Formidzkie miniatki mają pięcioosobowe załogi. Zabijamy więc pięciu Formidów, zbieramy ślimaki, a kiedy teren będzie bezpieczny, sprowadzamy Bingwena.

– Bezpieczny z zastrzeżeniem, że w każdej chwili może nastąpić wybuch – powiedział Rimas.

– Tak.

Tuż obok nich znajdowały się gotowe do startu trzy małe lądowniki. Za sterami każdego z nich siedział doskonały pilot.

– Jeśli któryś z nas zostanie rzucony w przestrzeń kosmiczną, podejmą nas lądowniki – powiedział Mazer.

– Lepiej niech się postarają – rzekł Kaufman. – Dzisiaj w mesie

będą ravioli. Nie chcę ich stracić.

Zaczęli łądować sprzęt do pierwszego łądownika. Kiedy byli gotowi do startu, pojawił się Waganow. Zbliżył się do Mazera i powiedział cicho:

- Uważaj na siebie, Mazerze. Jeżeli coś ci się stanie, załamie się.
- Uśmiechnął się i odplynał.

Mazer patrzył za nim w milczeniu. Po chwili zamocował hełm, przeprowadził kontrolę kombinezonu i wszedł do łądownika obok Bingwena.

Lot na Castalię trwał krótko. Pilot zatrzymał łądownik pięćdziesiąt metrów od kokonu. Mazer otworzył służbę powietrzną i wydostał się na zewnątrz. Do kadłuba przymocowana była ogromna szpula z liną. Mazer ujął jej koniec jedną ręką i rozpiął pakunek, który miał na piersi. Z pakunku wyfrunęły nanoboty i utworzyły wokół niego dwa nieprzejryste pęcherze ochronne.

Mazer odbił się w stronę kokonu. Nanotarcza ruszyła razem z nim. Za nim rozwijała się lina. Pokonał odległość dzielącą go od kokonu i wylądował delikatnie na jego powierzchni, przytwierdzając się prętami wysuwanymi z butstaków. Według planu miał zakotwiczyć linę do powierzchni asteroidy, żeby Kaufman i Rimas mogli zjechać po niej jak najbezpieczniej i jak najszybciej.

Mazer wyjął nóż z kieszeni, ale się zawahał. Czy królowa roju dowie się, że tu jest, kiedy tylko zacznie przecinać osłonę? Czy natychmiast spowoduje eksplozję? Ciało miał tak napięte, jakby leżał na ogromnej bombie atomowej.

Delikatnie wepchnął nóż w żywicę i chwilę odczekał. Kokon nie eksplodował. Nie było kuli ognia ani bezgłośnego wybuchu.

Zrobił długie pionowe nacięcie. Brzegi rozchyliły się pod naciskiem uciekającego powietrza. Mazer wykonał drugie nacięcie, tym razem poziome, tworząc krzyż. Nagły pęd atmosfery wypchnął cztery luźne kawałki kokonu na zewnątrz.

- Piramida – powiedział Mazer.

Nanoboty utworzyły przed nim smukłą piramidę skierowaną czubkiem do przodu, dzięki czemu powietrze już tak nie

napierało na Mazera. Nadal czuł jego nacisk, ale teraz łatwiej było mu dostać się do środka. Kiedy się znalazł po drugiej stronie i oddalił od szalejącego huraganu, powiedział:

– Pęcherz.

Nanoboty znowu go otoczyły. Mazer nacisnął kciukiem regulator prędkości i napęd pchnął go ku powierzchni asteroidy.

– Światła. Obraz.

Nanoboty znajdujące się w pobliżu hełmu przybliżyły się do niego, żeby światło przedarło się przez tarczę. To samo zrobiły te wokół kamer umieszczonych na hełmie. Pęcherz stał się nieforemnym tworem, który zapewniał dobrą widoczność. Światło reflektora padło na powierzchnię skały i Mazer zobaczył setki tuneli jak na filmiku Victora. Dotknął butami skały i jego podeszwy z nanocieczy przywarły do drobnych pęknięć. Na końcu liny znajdował się mechanizm kotwiczący z prętami triangulującymi. Mazer wepchnął go do jednej z dziur i lina zawisła.

– Lina gotowa.

Po chwili zjechał po niej Kaufman, pchany swoim napędem, a za nim pojawił się Rimas; zatrzymał się jeszcze przy kokonie i zbliżył do siebie luźne kawałki żywicy, żeby pomóc otworowi się zasklepić. Wylądował zaraz potem, otoczony mglistą chmurą nanobotów.

Mazer dobył kuszy – skomplikowanej węglowo-tytanowej broni, którą zrobili inżynierowie na statku. Testowali ją wiele razy, żeby mieć pewność, że mechanizm spustowy nie wytworzy iskry i nie zapali powietrza. Lecz i tak kusza wyglądała w rękach Mazera groźnie. Miała dwadzieścia bełtów, mechanizm samonaciągu i posyłała pociski z prędkością stu metrów na sekundę. Mazer uniósł ją i oparł kolbą o ramię.

– Broń.

Nanotarcza znowu wygięła się do środka, dzięki czemu przeszedł przez nią czubek kuszy. Kaufman i Rimas też byli uzbrojeni. Rozdzielili się i rozeszli się w trzech kierunkach od liny jako punktu centralnego.

Idąc po powierzchni asteroidy, Mazer zatrzymywał się przy

większych tunelach i zaglądał do nich, bojąc się ataku z dołu. Oprócz nich były tam setki małych otworów, jak te, które widział na filmiku Victora, tak wąskich, że zmieściłyby się w nich tylko górnicze robaki. Mazer świecił także do nich, ale nie widział żadnych oznak życia.

– Czy ktoś widzi robaki? – zapytał.

– Ja nie – odpowiedział Kaufman. – Tylko puste dziury.

– U mnie to samo – odezwał się Rimas. – Ściany wszystkich tuneli są pokryte śluzem, ale nie widzę żadnych metalowych kulek. Zupełnie jakby robaki zrobiły swoje i cały metal został zebrany.

Mazer też doszedł do takiego wniosku. Widział wyraźnie ślady działalności robaków, ale wydobyty przez nie metal został zabrany w jakieś inne miejsce.

– Może eksploatują asteroidy etapami? – zasugerował Kaufman.

– Wydobywają cały metal z jednego sektora, a potem Formidzi przenoszą się na drugą stronę skały?

– W gruncie rzeczy to nie jest złe podejście – powiedział Rimas.

– Zaatakowanie od razu całej asteroidy mogłoby szybko osłabić jej strukturę. Działanie etapami zachowałoby spójność skały.

– Przenieśmy się w inne miejsce – zarządził Mazer. – Tu nic nie ma. Zachowajcie czujność.

Przenieśli się na drugą stronę asteroidy i tam też nic nie znaleźli. W końcu wykorzystali napęd do obejrzenia skały z powietrza. Okazało się to równie bezowocne.

Mazer połączył się z Zembassim; na jego wyświetlaczu wewnątrz hełmowym pojawiła się twarz kontradmirała.

– Blisko powierzchni nie ma żadnych stworzeń, panie kontradmirałe. Okrążyliśmy całą tę skałę. Robaki nie mogły nigdzie się udać, więc musiały wkopać się głębiej. Ani śladu Formidów.

– Wprowadź Bingwena.

– Teren nie jest zabezpieczony, panie kontradmirałe.

– Otrzymaliśmy rozkazy, Mazerze. Nie podobają mi się one ani trochę bardziej niż tobie.

Wizerunek Zembassiego zniknął.

Mazer spotkał się z Rimasem i Kaufmanem przy linie.

– Kaufman, jesteś największy, więc odpadasz – powiedział. – Wracaj do lądownika i pomóż Bingwenowi dostać się do kokonu. Daj mu swoje nanotarcze i wszystkie zapasowe pojemniki z tlenem i paliwem, jakie zdoła zabrać, a potem wróć do lądownika i czekaj. Rimas i ja wejdziemy do tuneli z Bingwenem, ja na przodzie, Rimas na końcu. Będziemy się trzymać większych tuneli i zobaczymy, jak daleko uda nam się dotrzeć.

– Sądząc po tym, co do tej pory widziałem, nie zajdziemy daleko – stwierdził Rimas. – Te tunele dość szybko się zwężają, a my jesteśmy dwa razy więksi od Bingwena.

– Zróbmy, co w naszej mocy – powiedział Mazer. – Nie podoba mi się pomysł puszczenia go samego.

Kaufman wystartował, a po pięciu minutach po linie zjechał Bingwen. Podał Mazerowi i Rimasowi zapasowe pojemniki z powietrzem i paliwem, którymi od razu zastąpili te zużyte.

– Gotowi? – zapytał Mazer.

– Pośpieszmy się, żeby Kaufman zdążył na te swoje ravioli – powiedział Bingwen.

W pobliżu znajdował się jeden z największych tuneli, jakie widzieli.

– Ja idę pierwszy – rzekł Mazer. – Wszystkie moje nanotarcze będą z przodu. Rimas, twoje tarcze osłaniają nasze tyły. Bingwenie, twoje powinny zakrywać wszelkie boczne tunele, na jakie natrafimy po drodze. W ten sposób będziemy chronieni cały czas. Zrozumiano?

– I to wszystko przez jakieś głupie robaki – powiedział Rimas.

– Ruszajmy.

Mazer wpełzł do tunelu pierwszy i uaktywnił swoje butstaby. Stawiał kroki powoli, wciągając i wysuwając pręty triangulujące. Bingwen i Rimas trzymali się nieco z tyłu i zachowywali też pewną odległość między sobą, żeby mieć dość miejsca na ruchy. Mazer czuł się tak, jakby wspinał się w jakimś ogromnym poskręcanym kominie. Początkowo tunel był dość przestronny, ale im bardziej się w niego zagłębiali, tym stawał się węższy.

– Robi się trochę ciasno, Mazerze – odezwał się Rimas. – My

dwaj nie bardzo już możemy iść dalej.

Miał rację. Po dziesięciu metrach tunel się zwęził i Mazer musiał się zatrzymać.

– Spróbujemy w innym tunelu – powiedział.

– Nie trzeba, nic mi nie będzie – rzekł Bingwen.

– Są tu do zbadania setki korytarzy. Znajdziemy taki, w którym zmieścimy się wszyscy.

– Nie, nie znajdziemy. One są wydrążone dla Formidów, Mazerze, a nie dla dorosłych ludzi. Poza tym nie mamy czasu szukać czegoś, czego prawdopodobnie nie znajdziemy. Mamy ograniczoną ilość tlenu, a wycofanie się z tunelu zajmie o wiele więcej czasu niż poruszanie się w nim do przodu. Musisz pozwolić mi pójść samemu. Tylko pożycz mi swoją broń.

Mazer wiedział, że chłopiec ma rację. Sytuacja była jednak tak niepewna, tak wiele spraw mogło pójść nie tak. A jeśli Bingwen utknie albo odniesie jakieś obrażenia? Mazer nagle zaczął żałować, że nie wziął ze sobą całego zespołu kadetów.

Chłopiec wyciągnął rękę po kuszę.

– Spotkamy się na zewnątrz przy lądowisku. Możesz monitorować każdy mój ruch.

Mazer zabezpieczył kuszę i podał ją Bingwenowi.

– Umiesz z niej strzelać?

– Niech zgadnę: trzeba wymierzyć bełt w przeciwnika i pociągnąć za spust.

– Pamiętaj, żeby przed strzałem się zakotwiczyć, bo inaczej...

– Rozumiem – rzekł Bingwen. – Nic mi nie będzie.

– Pilnuj tlenu. Zostaw go sobie ponad dwa razy więcej, niż uważasz, że będziesz go potrzebować na powrót.

– Mówiłeś to na wszystkich twoich sesjach szkoleniowych, Mazerze. Wszystko zapamiętałem.

Mazer zawahał się, a potem usunął Bingwenowi z drogi.

Bingwen czekał, aż Mazer i Rimas wycofają się z tunelu, i dopiero potem ruszył dalej. Z łatwością minął miejsce, które okazało się za ciasne dla Mazera, a potem wyłączył wszystkie

swoje światła. Od tego momentu postanowił używać nocnego obrazu. Po co uprzedzać Formidów, że nadchodzi?

Tunel był wąski, ale przestał się zwężać dalej. Bingwen nawet wolał taką jego szerokość. Pręty butstabów nie musiały wysuwać się tak daleko i w rezultacie Bingwen czuł się pewniej. Dwie nanotarcze – z przodu i z tyłu – przemieszczały się razem z nim, zamykając go w strefie ochronnej.

Kiedy przebył jakieś pięćdziesiąt metrów, tunel skończył się na znacznie większym, biegnącym prostopadłe do niego. Bingwen wysunął głowę za załomek ściany i spojrzał w obie strony. Wszędzie było ciemno.

– Co znalazłeś? – zapytał przez radio Mazer.

Dobrze było usłyszeć jego głos. Wzmocniło to nieco odwagę Bingwena.

– To mi wygląda na główną drogę – powiedział. – Jest o wiele szersza. Powiedziałbym, że zmieściłoby się tu pięciu Formidów idących ramię w ramię. Ten tunel jest też o wiele wyższy. Mogę się tu prawie wyprostować.

– Znajdujesz się pośrodku orzeszka ziemnego, dokładnie w miejscu zetknięcia się bulwiastych części asteroidy – wyjaśnił Mazer.

– A zatem możemy wyciągnąć wiele wniosków. To prawdopodobnie oznacza, że Formidzi mają tu dwa ważne miejsca. Ten tunel je łączy, a Formidzi przewidują między nimi duży ruch. Nie wiem, co o tym sądzić. Jeśli na tej skale przebywa tylko pięciu Formidów, to po co drążyliby tak szerokie przejście?

– Widzisz jakieś oznaki ruchu? – zapytał Mazer.

– Nie. Jakby wszyscy stąd zwiali. Pójdę na lewo. To ta większa część orzeszka.

– Bądź ostrożny. Jeśli wyczujesz jakiś ruch, daj nura do jednego z mniejszych korytarzy. Nogi do przodu, broń do tyłu.

Bingwen wysunął się na główną drogę.

– Pęcherz.

Tarcze go otoczyły. Podeszwy z nanociecz trzymały się podłoża. Musiał się trochę garbić, ale mógł stanąć. Ruszył, stawiając ostrożnie nogi i wypatrując jakichkolwiek oznak ruchu.

Gotową do strzału kuszę uniósł do ramienia. Była zaprojektowana dla osoby dwa razy wyższej i sprawiała wrażenie nieporęcznej, ale Bingwen czuł się z nią znacznie lepiej.

Co pewien czas zatrzymywał się i oglądał przez ramię, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Prawie całkowita ciemność sprawiała, że czuł się bezbronny.

Droga kończyła się sto metrów dalej szeroką, ciemną jaskinią. Bingwen miał wrażenie, jakby stał na krawędzi urwiska nad potężną podziemną komorą. Nie miał jednak na nią rozległego widoku, ponieważ zasłaniała go ciemna metalowa ściana stojąca dziesięć metrów od krawędzi pieczary i ciągnąca się we wszystkich kierunkach. Bingwen włączył światła hełmu. Metal był gładki, a pośrodku ściany widniał zamknięty irysowy właz.

– Na co patrzymy, Bingwenie?

– To jest matposz. Niezniszczalny kadłub okrętu wojennego. Asteroidy to nie są pociski, Mazerze, to są fabryki. Formidzi budują w każdej z nich okręt.

– Jak to możliwe?

– Od początku mieli taką strategię. Budowali swoją flotę tuż pod naszym nosem. To dlatego okręty znajdujące się powyżej i poniżej ekliptyki jeszcze nie zaatakowały. Nie muszą tego robić. Ich flota już tu jest. Potrzebowali tylko kilku Formidów i kilku stworzeń, a asteroidy dostarczyły wszystkiego innego. Nie rozumiesz? Robaki wydobyły i przetworzyły metal, a jakieś inne stworzenia użyły go do zbudowania kadłuba okrętu. Nie widzieliśmy żadnej konstrukcji na zewnątrz asteroidy, ponieważ wszystko działo się tutaj, w jej jądrze, gdzie niczego nie było widać.

– A kiedy okręt jest gotowy, Formidzi wchodzą do środka i powodują wybuch atmosfery wewnątrz asteroidy – powiedział Mazer. – W ten sposób statek się z niej wydostaje. Jeden ze statków górniczych Lema Jukesa znalazł w Pasie Kuipera asteroidę rozbitą na kawałki. To właśnie robią Formidzi – oswabadzają gotowy statek poprzez wybuch.

– Masz rację – zgodził się Bingwen. – To byłoby łatwo zrobić.

Mogliby użyć robaków do wydrążenia w skale nad okrętem kanalików na jego obrysie. W momencie eksplozji powierzchnia asteroidy odskakuje jak skorupka jajka od okrętu. To nawet nie musi być duży wybuch. Mogliby budować jednostkę tuż pod powierzchnią skały. A kiedy będzie gotowa, bum! I okręt jest wolny.

– Jest pewien problem z tą teorią – rzekł Mazer. – Do latania takim okrętem trzeba więcej niż pięciu Formidów, a tylko tylu ich tu przybyło.

Bingwen uświadomił sobie, że Mazer ma rację. Jednostka tej wielkości wymagałaby załogi liczącej kilkadziesiąt, a może nawet sto osób.

– Asteroida nie jest tylko fabryką okrętu – powiedział Mazer. – To także fabryka Formidów.

Oczywiście, pomyślał Bingwen. Królowa roju buduje nie tylko flotę. Ona także buduje armię. Dlatego ta droga była taka szeroka – żeby tłum narodzonych tu Formidów miał swobodę dotarcia do okrętu.

– Chyba już wiemy, co się znajduje na drugim końcu tej drogi – rzekł Bingwen.

– Posłuchaj, Bingwenie. Musisz wracać. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, co się dało. Wszystko filmowaliśmy. Znajdź jakiś tunel i wróć do lądownika.

– Nie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Jeszcze nie wiemy, czy mamy rację. Jeśli w tej skale rzeczywiście znajduje się wylęgarnia, to musimy to potwierdzić i, co ważniejsze, dowiedzieć się, co się tam dzieje. Czy Formidzi wykluwają się z jaja? Czy wypełzają z macicy? Czy są hodowani in vitro? Jaki jest ich cykl życiowy? Jeśli to zrozumiemy, jeśli dowiemy się, jak powstają, to może uda nam się odkryć jakiś środek antykoncepcyjny albo sposób na opóźnienie ich wzrostu. Moglibyśmy nie dopuścić do tego, by ich flota otrzymała posiłki.

– Bingwenie...

– Wiesz, że mam rację, Mazerze. To, co odkryjemy na końcu tego tunelu, może zadecydować o naszej wygranej albo przegranej w tej wojnie.

- Nie jesteś przygotowany do takiego rozpoznania.
- Mam kamerę w hełmie. Nie muszę rozumieć tego, co widzę, muszę to tylko nagrać. Nagranie przeanalizują ludzie o wiele bystrzej niż ja i oni powiedzą nam, czego się dowiedzieliśmy.
- Nie możesz iść tam sam.
- Nie ma czasu, żeby wyekwipować więcej kadetów i tu ich sprowadzić. Nie mam dość tlenu, żeby na nich czekać.

W uchu Bingwena rozległ się inny głos:

- Tu kontradmirał Zembassi. Bingwenie, rozkazuję ci kontynuować zwiad.
- Tak jest.

Bingwen wyłączył światła hełmu, wyciszył radio i wrócił tam, skąd przyszedł, otoczony pęcherzami nanotarcz i prowadzony nikłym światłem lamp na nadgarstkach.

Minął korytarz, z którego wcześniej wyszedł, i po kolejnych stu metrach dotarł do drugiej jaskini. Przestrzeń była rozległa, lecz sklepienie znajdowało się zaledwie dwa metry nad jego głową. Kiedy Bingwen omiótł jamę światłami, na jej podłożu i sklepieniu zobaczył ścieżki lśniącego śluzu. Nie biegły one jednak chaotycznie. Wszystkie prowadziły w jednym kierunku – do przejścia po drugiej stronie jaskini.

Światło Bingwena znalazło na ścianie jednego robaka, który powoli zmierzał do przejścia jak gość spóźniony na przyjęcie. Chłopiec zgasił światła i ostrożnie ruszył naprzód z kuszą przy ramieniu. Do przejścia dotarł tuż za robakiem; okazało się, że otwór nie stanowi wejścia do tunelu, lecz do trzeciej jaskini.

Znajdowali się tam Formidzi. Było ich może sześćdziesięciu i wszyscy otaczali podwyższenie umieszczone pośrodku komory. Przy jego krawędziach leżały płaskie bioluminescencyjne stworzenia, w których Bingwen rozpoznał serwetki; rzucały matowe światło na kamienny ołtarz ustawiony na środku podwyższenia. A na ołtarzu znajdowała się, przytwierdzona do niego cienkimi włóknami, kapsuła wielkości niedużej dyni. Nie. Nie kapsuła, uświadomił sobie Bingwen. Kokon. Formidzi oddawali mu cześć, nieświadomi obecności Bingwena. To sala

tronowa, pomyślał Bingwen. Królowa.

Kokon spoczywający na ołtarzu drgnął. Bardzo nieznacznie, ale wśród Formidów przebiegła fala niemego ożywienia.

Kokon drgnął ponownie.

Tworzące go włókna, podobne do nici pajęczej sieci, zaczęły się rozciągać, jakby coś chciało wydostać się na zewnątrz. Kolejne pchnięcie ze środka i jeszcze jedno. Bingwen usłyszał ciche odgłosy pęknięcia włókien. Powoli, z determinacją i majestatycznie z kokonu wynurzyła się królowa. Rozłożyła skrzydła, a ich wilgotne cienkie błony załśniły w świetle serwetek rozmaitymi kolorami. Stała wyprostowana na ołtarzu z wysoko uniesioną głową, ukazując swoją chwałę i wspaniałość.

I wtedy spostrzegła Bingwena.

Błyskawicznie odwróciła głowę w jego stronę. Ułamek sekundy później spojrzeli na niego wszyscy Formidzi. Wpatrywali się teraz w niego tak, jak poprzednio wpatrywali się w królową roju. Zaatakowali go jednocześnie, pędząc na niego z wyciągniętymi rękami i otwartymi paszczami. Nie potykali się o siebie, co byłoby nieuchronne w przypadku tak ciasno zbitego tłumu ludzi. Poruszali się jak jeden organizm, płynnie, dokładnie, zbliżając się do niego jak fala.

Bingwen nie zwracał na nich uwagi. I tak miał zginąć.

Ustabilizował kuszę i nacisnął spust. Odrzut był o wiele mocniejszy, niż się spodziewał, ale Bingwen miał dobrze zakotwiczone stopy.

Bełt ugrzązł w oku królowej, a jej przebita głowa odskoczyła do tyłu.

Zorganizowana fala Formidów się załamała. Wyglądało to tak, jakby nagle zostały przecięte sznurki marionetek. Zamiast rzucić się na Bingwena z zjadłą wściekłością, którą byli ogarnięci jeszcze przed chwilą, zderzyli się z nim i z jego nanobotami jak bezwładna, pozbawiona życia masa.

Bingwen został odrzucony w głąb jaskini. Wymachując rękami, uderzył w przeciwległą ścianę i zagłębił się lekko w pokrywający ją śluz. Przez chwilę pozwolił sobie wierzyć, że przeżyje – zabicie królowej zabiło jej robotników.

Lecz nie. Na jego oczach nieruchomi Formidzi odzyskali wszystkie władze. Wstali, pozbiali się i znowu zaatakowali. Tym razem jednak nie byli tak zorganizowani, tak zjednoczeni. Bingwen uświadomił sobie, że nie są już jednym organizmem. Panował wśród nich pewien porządek, ale pojawiła się też autonomia. Działo mniej sznurków.

Nie miało to znaczenia. Bingwen nie trzymał już w dłoniach kuszy. Rozejrzał się po komorze, ale nie zauważył broni. Plecami przykleił się do śluzu, lecz niezbyt mocno. Z łatwością odepchnął się od ściany, ale nie po to, by uciekać, bo Formidzi dopadliby go w kilka sekund, a on i tak nie zdołałby im umknąć w tunelach. Chciał po prostu pewnie stanąć i uwolnić ręce.

– Ściana. Z przodu.

Otoczająca go nanotarcza utworzyła przed nim ścianę, w którą uderzyła pierwsza fala Formidów, spychając ją w stronę Bingwena. Wiedział, że tarcza ich nie zatrzyma. Będzie uparcie się z nimi zmagać, ale w każdej chwili mogła się rozpaść. Było ich zbyt wielu, przepełnionych zbyt wielką wściekłością. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć, lecz zjadłość, z jaką go atakowali, starczyła za wszystkie miny. Będą walić w niego kamieniami, zniszczą jego skafander, wyrwą go z niego kawałek po kawałku.

Potrzebował jednak tylko jeszcze jednej sekundy. Już wyjął z kieszeni zapalniczkę. Miał nadzieję, że Mazer nie będzie zawiedziony.

A potem opuścił tarczę i skrzesał iskrę.

Rozdział 30

DZIECI

Do: mazer.rackham%kapitan@mfcom.gov

Od: imala.bootstamp%ch@mfcom.gov/flotacom/gagak

Temat: Przekaż wiadomość

Drogi Mazerze

Piszę do Ciebie w nadziei, że uda Ci się przekazać Victorowi wiadomość ode mnie. Zmierza on w stronę okrętu „Vandalorum”, znajdującego się nad ekliptyką. Nie mam pozwolenia na bezpośrednie skontaktowanie się z tym statkiem ani nie umiałabym tego zrobić. Victor znajduje się w świstatku, a więc jest nieosiągalny. Mam nadzieję, że kiedy przybędzie na miejsce, zastanie tam wiadomość ode mnie.

Nie mogę Ci zdradzić, gdzie jestem, ale mogę powiedzieć, że znajduję się na statku, który ma wytyczony kurs i którego misja jest tajna. Przyśpieszamy. Spędzam dni przypięta w skomplikowanej uprzęży. Czuję się, jakby mnie wyciskano jak cytrynę. Nigdy w życiu nie doświadczyłam takiego przeciążenia. To nic przyjemnego.

Początkowo sądziłam, że to od niego mnie mdli, ale mój mocz jest poddawany ciągłym analizom i statek potwierdził, że jestem w ciąży. Nie wiem, jaki wpływ na dziecko będzie miało przyśpieszanie, ale boję się najgorszego. Daj Victorowi znać, że zamierzam znaleźć jakiś sposób na zminimalizowanie zagrożenia dla naszego dziecka. Nie wiem jaki, ale nie mogę nic nie robić. Możliwe, że zmiana przeze mnie rozkładu przyśpieszania statku będzie miała konsekwencje, ale matka musi robić to, co jest konieczne.

Powiedz Victorowi, co następuje: jeśli nasza córka przeżyje, to

pozna ojca w wieku przynajmniej trzech albo czterech lat. Nauczę ją, kim jesteś i dam jej wszelkie powody, by Cię pokochała i nie mogła się doczekać dnia, w którym ją przytulisz. Równie dobrze to może być chłopiec. Kiedy jednak zasypiam, śni mi się córka o Twoich oczach. Wróć do mnie, jak będziesz mógł, urodzony w kosmosie. Będzie czekać na Ciebie Twoje urodzone w kosmosie dziecko i ja.

*Kocham Cię
Imala*

– To nie była królowa roju – rzekł Mazer.

Stał w biurze kontradmirała Zembassiego. Nad holostolem unosiły się obrazy z kamery umieszczonej na hełmie Bingwena.

– Skąd możemy mieć tę pewność?

– Jest kilka powodów – odparł Mazer. – Ale główny jest taki, że właśnie się urodziła. Nie mogła przez te wszystkie lata sprawować kontroli nad armią Formidów z kokonu. Wyrosła niedawno. Może została złożona przez prawdziwą królową roju jakiś czas temu, umieszczona w ministatku i przywieziona na Castalię, żeby dojrzała. Uważamy, że miała zostać umieszczona na tym statku i pokierować częścią formidzkiej armii.

– Zatem nie zabiliśmy prezydenta, ale może zabiliśmy generała?

– Malutkiego generała. Córkę królowej roju. Wysłaliśmy ten filmik do DoCent. Obejrzało go kilku ksenobiologów, którzy następnie orzekli, że ta istota nie była w pełni rozwinięta. – Mazer zrobił powiększenie jednego z obrazów i obwiodł rysikiem kilka miejsc. – Tutaj widać, że podstawa skrzydeł jest gruba i bardziej wydatna, niż można by się spodziewać w wypadku skrzydeł tak małych jak te. Pozwala to sądzić, że ta istota miała jeszcze bardzo wyrosnąć. Poza tym jej skrzydła nie są jeszcze na tyle duże, by utrzymały jej ciężar. Jest też kwestia jej dużych stóp, co dowodzi, że są wykształcone dla o wiele wyższego stworzenia.

– Możliwe, ale to pierwsza istota tego rodzaju, jaką widzieliśmy

– powiedział Zembassi. – Skąd mamy wiedzieć, że nie tak wyglądają osobniki dorosłe?

– Tego nie wiemy, a przynajmniej nie z całą pewnością. Lecz kolejną wskazówką jest wysokość sklepienia w wylęgarni. To bardzo wysoka komora, a Formidzi nie marnują przestrzeni. Uważamy, że córka miała tam dojrzewać do czasu, kiedy byłaby gotowa do wejścia na pokład statku. Popęłzałaby do niego na brzuchu przez ten długi tunel. Początkowo sądziliśmy, że jest taki szeroki, by mogło nim iść kilku Formidów ramię w ramię, lecz teraz podejrzewamy, że został wydrążony specjalnie dla dużej dorosłej królowej roju.

– I niczego nie dało się tam znaleźć?

– Nie. Wybuch wszystko zniszczył.

– A co z Formidami? – zapytał Zembassi. – Najpierw byli dobrze zorganizowani, potem martwi, potem znowu ożyli, ale byli ogłupiali.

– Zachowanie ich jest może najlepszym dowodem na to, że istota zabita przez Bingwena nie była królową roju, której nauczyliśmy się bać. Jeśli obejrzy się filmik kilka razy, to można zauważyć, że Formidzi reagują razem z nią. Córka królowej dostrzega Bingwena i jego obecność zostaje oznajmiona wszystkim zgromadzonym tam Formidom. Następnie walczą jak jeden organizm, wyraźnie pod jej kierunkiem, czego niezbicie dowodzi ich zachowanie po jej śmierci. Kiedy Bingwen zabił ją strzałem w głowę, Formidzi tracą świadomość. Robią się, jak pan to określił, ogłupiali. Martwi. Po chwili, kiedy do akcji wkracza prawdziwa królowa roju i przejmuje nad nimi kontrolę, zostają ponownie ożywieni. Interesująca jest jednak różnica w zachowaniu Formidów. Pod kontrolą prawdziwej królowej roju byli wolniejsi i mniej zorganizowani. Kiedy jednak znajdowali się pod kontrolą jej córki, byli sprawni i szybcy. To pozwala nam sądzić, że odległość, jaka dzieli królową roju od jej poddanych, ma bezpośredni wpływ na stopień jej kontroli nad nimi. A może to nie jest kwestia odległości, tylko liczby. Ta córka królowej roju kierowała zaledwie sześćdziesięcioma Formidami. Przy tak małej ich liczbie miała nad nimi całkowitą kontrolę. Lecz

prawdziwa królowa roju kieruje dziesiątkami, a może setkami tysięcy osobników. Jej kontrola nad nimi jest słabsza, ponieważ rozkłada się na tak wiele organizmów.

– Co więc mówi nam to o wojnie?

– Że królowa roju jest rzeczywiście bardzo bystra. Potrafi kontrolować całą swoją armię, o czym zawsze wiedzieliśmy. Oddając jednak grupy żołnierzy pod kontrolę swoich córek, sprawia, że jej żołnierze są lepiej zorganizowani i szybciej reagują. A pozbywając się kontroli nad częścią swoich żołnierzy, królowa roju zyskuje większy wpływ na mniejszą ich liczbę. Krótko mówiąc, jest to sposób na przekształcenie jej wysoce skutecznych żołnierzy w superżołnierzy. Zdolności pojedynczych osobników mogą zostać ulepszone tylko w minimalnym stopniu, ale mogą oni być o wiele skuteczniejsi i zabójczy jako zbiorowość.

– A więc teraz mamy kilka królowych roju do zabicia?

– Nie nazywałbym tych córek królowymi – powiedział Mazer. – Nie są jeszcze dorosłe. Bardziej prawdopodobne jest to, że dopiero przechodzą szkolenie na królowe. Lecz jest też w tym wszystkim dobra wiadomość. Teraz wiemy, że zabijając córkę, na chwilę ogłupiamy jej robotników. To może się okazać bardzo ważne w czekającej nas walce. Jeśli zdołamy zabić królową, to Formidzi mogą osłabnąć, co dałoby nam możliwość zadania mocnego uderzenia i spowodowania ogromnych strat w ich szeregach.

– A co ze statkiem? – zapytał Zembassi. – Z tym, który zbudowali. Są jakieś wieści na jego temat?

– Jak pan wie, w wyniku eksplozji statek uwolnił się z asteroidy i unosi się w przestrzeni kosmicznej. Wydaje się, że nie ma załogi. Wszyscy Formidzi zgromadzili się, by oglądać narodziny córki królowej roju. Statek sprawia wrażenie ukończonego, ale nie potrafimy dostać się na jego pokład. Jest zamknięty, a my nie mamy jeszcze nanobotów Lema Jukesa, które niszczą matposz. DoCent rozważa wysłanie nam tej broni świstatkiem, żebyśmy mogli się dostać do środka obcej jednostki i ją zbadać.

– A co z flotą zmierzającą ku okrętom, które znajdują się nad

ekliptyką i poniżej niej? Chyba powinniśmy poprosić DoCent o zawrócenie jej części. Musimy zniszczyć jak najwięcej tych asteroid, zanim wykluje się z nich cała formidzka flota.

– Zgadzam się, panie kontradmirał. Większe zagrożenie znajduje się tutaj.

Zembassi machnięciem ręki zlikwidował obrazy wiszące nad holostółem.

– Jest jeszcze jedna zła wiadomość, którą powinienes poznać, a chciałem przekazać ci ją osobiście. Waganow dostał awans na wiceadmirała i będzie moim dowódcą.

– Przykro mi, sir.

– Od razu przypisał sobie zasługi za nasze zwycięstwo. Z tego, co mówi, można sądzić, że to on zastrzelił królową roju. Nasze życie zamieni się w piekło.

Chwilę poużalali się nad sobą, a potem Mazer poszedł poszukać Bingwena. Chłopiec cudem przeżył. Ocalił go skafander, lecz siła wybuchu pozbawiła go przytomności. Mazer natychmiast rzucił się do wyrwy, która powstała nad formidzkim okrętem po wybuchu. Popłynął szerokim tunelem do wylęgarni, nie wiedząc, co tam zastanie. Wybuch zniszczył kamery na hełmie Bingwena, lecz egzoskafander był nietknięty i wciąż działał. Chłopiec był bezwładny i nie reagował, ale wciąż mógł oddychać tlenem. Temperatura wewnątrz skafandra była normalna. Mazer gorączkowo stukał w pęknięty wyświetlacz pod klapką w skafandrze, aż pojawiła się na nim informacja, że owszem, serce wciąż bije. Tak, chłopiec żył. Wtedy pojawili się też Kaufman i Rimas. We trójkę przenieśli Bingwena na statek. Teraz Mazer stał przytwierdzony do podłogi pokładu obserwacyjnego sali walki i patrzył, jak kilka zespołów wręcza Bingwenowi jedno z tych idiotycznych trofeów własnej roboty. Z tej odległości nie widział, co to jest, ale wyglądało jak statuetka królowej roju zrobiona z bełtów, złomu i drutu. Bingwen uniósł ją, a żołnierze wyrzucili w górę pięści.

– Teraz będzie nie do zniesienia – odezwał się czyjś głos.

Mazer odwrócił się i zobaczył pułkownika Li.

– Musi być pan z niego dumny.

– Bynajmniej. Prawie wysadził się w kosmos. Martwy się nam nie przyda.

Chcesz powiedzieć, że nie przyda się tobie, pomyślał Mazer.

– Darzy cię większym szacunkiem, niż myślisz – powiedział Li.

– Przeszliśmy razem wstrząsające doświadczenia. Było ich o wiele za dużo jak na dziecko w jego wieku.

– A więc wciąż widzisz w nim dziecko? – zapytał Li.

– A pan nie?

– A kim jest dziecko, jeśli nie dorosłym z mniejszym doświadczeniem? Bingwen to doświadczenie ma. Myślę, że czyni go to bardziej dorosłym od większości ludzi.

Mazer skinął głową.

– Może ma pan rację.

– Nie wszystkie dzieci są naszą przyszłością, panie kapitanie. Niektóre z nich są naszą teraźniejszością.

Odszedł, nie powiedziawszy już nic więcej.

Na ekranie było widać, że żołnierze uformowali kolejkę i jeden po drugim podchodzą do Bingwena, żeby mu się przedstawić i zaszalutować. Procesja była długa. Mazer stuknął w nakładkę i sprawdził e-maile. Był jeden od Imali. Przeczytał go szybko, ciekawy nowych wiadomości. Cięża. Zagrożone dziecko. Gdzie ona jest? Jaką powierzono jej misję? Przekaze wiadomość na „Vandalorum”. Będzie tam czekać. Kombinezon Victora ocalił Bingwena. Mazer mógł zrobić przynajmniej tyle.

Imała w ciąży... Pomyślał o Kim. Przeniosła się do Nowej Zelandii. Nie była w ciąży. Nie rośło w niej dziecko. Co oznaczało, że czuje się samotna. Przybywam, Kim. Nie powstrzyma mnie żadna obca armia ani durny wiceadmirał, ani królowa roju, ani jej córka. Będziemy mieli naszą małą Pai Mahutangę i naszego małego Pahu Rangiego, i może jeszcze kilkoro innych. I za każdym razem, kiedy będziesz chciała, będę ci śpiewał uspokajającą pieśń.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chcielibyśmy podziękować całej armii utalentowanych ludzi z wydawnictwa Tor, dzięki którym została wydana ta książka, a zwłaszcza naszej redaktor Beth Meacham za jej niezachwiane wsparcie i mądre rady. Podziękowania należą się także profesorowi Ryanowi Julianowi z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Riverside za pomoc w rozwikłaniu szczególnie trudnej zagadki chemicznej. Dziękujemy też Emily Rankin za uważne przeczytanie rękopisu i zasugerowanie zmian, dzięki którym nasza powieść bardzo zyskała. Mamy też wielki dług wdzięczności wobec Cyndie Swindlehurst za wyłapanie błędów, których czytelnik na szczęście już nie ujrzy. Dziękujemy też emerytowanym i czynnym oficerom oraz ekspertom, którzy odpowiadali na nasze pytania związane z książką; są to Andy Johnson, Ben Shaha, Tracy Mann oraz mój tata i bohater David Johnston. Nasze podziękowania otrzymuje także Jeanine Plummer za otwarcie swojego domu, gdzie została napisana część książki.

Oczywiście nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie nasze kochające żony, Kristine Card i Lauren Johnston. Są naszymi pierwszymi czytelniczkami i najmądrzejszymi doradczyniami. Bez ich wsparcia, wiary i słów otuchy ta książka by nie powstała. Rodzina, drogi czytelniku. Oto silnik i paliwo życia. Ale jazda!

ORSON SCOTT CARD

w

Prószyński i S-ka

POŻOGA
W PRZEDEDNIU
GRA ENDERA
MÓWCA UMARŁYCH
KSENOCYD
DZIECI UMYSŁU
ENDER NA WYGNANIU
CIEŃ ENDERA
CIEŃ HEGEMONA
TEATR CIENI
CIEŃ OLBRZYMA
PAMIĘĆ ZIEMI
WEZWANIE ZIEMI
STATKI ZIEMI
ODRODZENIE ZIEMI
DZIECI ZIEMI
TROPICIEL
RUINY
GOŚCIE
ZAGINIONE WROTA
ZŁODZIEJ WRÓT
OJCIEC WRÓT